Treść,

1. J. Korzeniowski,
2. J. Kraszewski.
3. T. Czacki.



JÓZEF KORZENIOWSKI.

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW.

JÓZEF KORZENIOWSKI

Jego życie i działalność literacka.

ZARYS BIOGRAFICZNY

PRZEZ

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

Z PORTRETEM J. KORZENIOWSKIEGO.

Cena 30 kop.

PETERSBURG.
NAKŁADEM KAZIMIERZA GRENDYSZYŃSKIEGO.
1898.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(1816—1831).

I.

Korzeniowski należał do tegoż samego pokolenia, co Mickiewicz, od którego był starszy blizko o dwa lata (ur. 19 marca r. 1787) i którego przeżył o lat ośm. Wpływy zatem ogólne, jako to: wielka epopeja Napoleońska, atmosfera duchowa, wykształcenie literackie oddziaływały i na niego, a jednak ani popchnęły go w szeregi stanowczych, zdecydowanych romantyków, ani też nie wywołały w nim chęci do stawienia oporu nowemu duchowemu ruchowi. Ani gwałtowne, namiętne wybuchy lub nadobłoczne wzloty fantazyi, ni też z drugiej strony chłodne, wymuskane formy wyrażania uczucia i pomysłów poetyckich nie miały w nim zwolennika. W dobie walki romantyków z klasykami zajmował on niezbyt wybitne wprawdzie, lecz samodzielne stanowisko.

Przyczyn tego faktu szukać należy w przyrodzonem usposobieniu pisarza i w trybie jego indywidualnego kształcenia się.

Korzeniowski był synem zubożałej rodziny szlacheckiej, w której jednakże płynęło już trochę krwi mieszczańskiej, i to niemieckiego pierwotnie pochodzenia. Nie będzie nadużyciem wywodów biologicznych, jeżeli matce jego, Klarze z Winklerów, przypiszemy wpływ w utworzeniu jego temperamentu w którym popędliwość i porywczość połączyła się z sentymentalnością, nie wykluczającą bynajmniej zdrowego rozsądku i praktycznego zmysłu. Zarówno w życiu jak w pismach tem-

perament ten odbił się bardzo wyraźnie; znajdziemy na to dowody w całej jego twórczości; tu przytoczę tylko dwa przykłady dla objaśnienia.

Wiadomo wszystkim, jak usposobienia uczuciowe przetwarzają materyał wzięty z rzeczywistości, jeżeli się on do nich samych odnosi, jak ozłacają to, co miłe, jak pogardliwie patrzą na to, co im wstrętne. Zwłaszcza wspomnienia dzieciństwa stają się dla nich przedmiotem uwielbień lub ironii, stosownie do panującego w nich w danej chwili nastroju, lub stosownie do ogólnego kierunku ich życia duchowego. I u Korzeniowskiego można widzieć rys ten bardzo wyraźnie.

Miejscowość pod miastem Brodami w Galicyi, gdzie nasz autor lata dziecinne przepędził, tak nam opisuje człowiek, który patrzył na nią trzeźwo, nie mając żadnego interesu ani jej ganić, ani się nad nią unosić: „Folwarczek, *po Korzeniowskim* zwany, leży okolony kilkunastu bardzo staremi wierzbami na północno-wschodniej granicy włości Smulno, na zupełnej płaszczyźnie, w nizkiem położeniu gleby piaskowej, nad bagnistemi łąkami od północy, które łąki na parę tysięcy sążni w dali okalają ciemne i duże sosnowe bory. Na południe, o ćwierć mili za bagnistemi łąkami i za szarymi wydmuchami piaskowymi, widać miasto Brody, a z którejbądź strony w cokolwiek wilgotną porę dążąc ku temu folwarkowi, mimowoli ciśnie się do myśli znany opis podróży ks. biskupa warmińskiego do Ryczywołu, którego opisu rymów nie pamiętam, ale treść jest mniej więcej następująca: piasek a potem lasek; za laskiem stawek i znowu to piasek, to błoto, to lasek“ [1]).

Jednakże inaczej ten tak pospolity zakątek odbił się w sercu, przypominającem sobie w 63-cim roku życia chwile swobody dziecinnej w nim spędzone! „Co później było — pisze Korzeniowski w r. 1860 do księdza Barącza — widzę jak przez mgłę; co wówczas, w tej epoce pierwszego dzieciństwa, widzę tak żywo, tak jasno, jakby to było wczoraj. Ten folwarczek, w którym wychowałem się, rysuje się w pamięci ze wszystkimi budynkami, ze wszystkiemi drzewami ogrodu, z całem obejściem, otoczonem laskiem, gdziem się tyle nabiegał i naswywolił!... Było to śliczne i wygodne mieszkanie szlacheckie,

---

[1]) List Izydora Kędzierskiego z Fulsztyna w „Dzienniku literackim“ lwowskim, r. 1868, nr. 6.

z ogrodem dużym, pełnym drzew fruktowych, mającym wielką szparagarnię i mnóstwo specyałów w różnych fruktach i jagodach, na których wspomnienie i teraz ślinka mi do ust przychodzi. Zabudowania gospodarskie były obszerne i wszystkie na nowo przez ojca mego wystawione. Wszystko to otaczał śliczny lasek, z prawej strony sosnowy, a za ogrodem dębowy, zielony, pełen woni i głosu ptaków. Z trzech stron lasek ten otoczony był naszemi polami, a z jednej, gdzie był widok na wzgórza, należące do Ponikwy i okryte bukowym lasem, była dość obszerna łąka, gdziem nieraz do potu gromadził siano i ściągał je w kopy. Możesz pan sobie wyobrazić, co to był za raik dla dzieci żywych i zdrowych, prowadzonych nie grozą, ale miłością, mających wszystko, czego dziecinna duma zapragnęła: opiekę rozumną, a nie ciężką, wygodę i dostatek wszelkich łakoci, pole do biegania i swywoli w lasku, który był tuż za bramą, gdzie była swoboda, gdzie był cień i tyle ptaszków, które uczyły mię zawczasu śpiewać i za dary życia dziękować Dawcy wszystkich darów, jakimi człowiek cieszy się na ziemi“.

Tak więc bagniste łąki i szare wydmuchy piaskowe zamieniły się we wspomnieniu na „raik“ pełny powabu i wdzięku. Zauważyć jednak należy, że i w tem uczuciowem zidealizowaniu zachował Korzeniowski miarę, a zmysł praktyczny i pewna trzeźwość widoczne są w ścisłem złączeniu zabaw, śpiewów i figlów z pracą, kiedy to najwyżej 8-letni chłopak „do potu gromadził siano i ściągał je w kopy“.

To samo skojarzenie uczuciowości z trzeźwym rozsądkiem widzimy jeszcze dobitniej wyrażone w listach 25-letniego młodzieńca do narzeczonej, wybranej — dziwną analogią ze stosunkami we własnej rodzinie z pośród mieszczan warszawskich niemieckiego pochodzenia. Monika Vogel była córką profesora architektury w uniwersytecie warszawskim. Na jednym z wieczorków tanecznych podobała się ona Korzeniowskiemu w walcu, w którym poruszała się zgrabnie i z wdziękiem. Poznawszy ją trochę bliżej, wkrótce oświadczył się o jej rękę i został przyjęty. „Romans“ młodej pary „trwał tylko dni kilka“, jak się sam Korzeniowski wyraża — szybko przeszli „od oczekiwania do pewności, przyjaźń i tkliwość i jedność serc wkrótce dojrzały“. Szczerość, serdeczność i głębokość uczucia ze strony Korzeniowskiego nie mogą ulegać wątpliwości; kiedy listy

Moniki czytał, jako narzeczony: „trząsł się cały“, a w twarzy i oczach malowały się jego pełne tkliwości wrażenia; późniejsze długoletnie pożycie zaświadczyło, że uczucie owo było trwałe, na silnym fundamencie szacunku i przyjaźni oparte. A przecież jakże bladymi, niemal chłodnymi wydają się listy, w owym czasie narzeczeństwa do Moniki pisane, zwłaszcza gdy je sobie zestawimy w myśli z tymi płomiennemi wybuchami, jakie z serca swego na papier Mickiewicz właśnie w tymże roku 1822 wylewał! Prawda, że miłość Korzeniowskiego była szczęśliwa, żadnych nie doznawała przeszkód, a więc nie potrzebowała się wyrażać w słowach namiętnych, egzaltowanych; — ale komu wiadomo, jak nawet wśród najpomyślniejszego składu okoliczności, natury nerwowe, gwałtowne lubią dręczyć samych siebie urojonemi nieszczęściami, ten odczytując spokojnie, pełne nauk i przestróg listy Korzeniowskiego, z łatwością dojdzie do wniosku, że ma przed sobą objawy temperamentu refleksyjnego, który nawet nad wyrazem uczuć swych zapanować potrafi, który nie upaja się chwilą obecną, lecz myśli o przyszłości, który nie oddaje się rozkoszy szczęścia, lecz stawia sobie i narzeczonej przed oczy — obowiązek. „Cała miłość gminnych ludzi — zdaniem Korzeniowskiego — jest momentalnem pijaństwem zostawującem niesmak po otrzeźwieniu“; jego miłość „pijaństwem“ być nie mogła; on panował nad sobą, rozmyślał nad swoim do ukochanej stosunkiem, widział w niej nie tyle kochankę, ile raczej przyszłą żonę i matkę jego dzieci, i już naprzód czcił ją za to.

„Jesteśmy teraz — pisał między innemi do narzeczonej — na takim stopniu przywiązania, na jakim będziemy za lat trzydzieści, jeżeli nam Bóg żyć pozwoli. Jak żałuję tych ludzi, którzy w przywiązaniu, w miłości szukają takich ukontentowań, jakich w niej niemasz! Imaginacya dodaje ich żądzom świetnych farb, gdy w czarownem wystawia je oddaleniu; lecz wkrótce przekonywa ich skutek, że niemasz takiego wdzięku w rzeczywistości, jaki był w nadziei. Spodziewali się anielskich rozkoszy — znajdują tylko ludzką przyjemność; ten zawód oziębia ich i studzi... Jakżeby się zimnemi te uwagi wydały zawróconym i rozmarzonym głowom!“ Dla Korzeniowskiego powaby ciała nie stały wyżej nad przymiotami duszy; dobroć cenił wyżej nad piękność.

„Czemże jest piękność — wykładał Monice — przy twojej dobroci? Któryż majątek zastąpi twoją szczerą i prostą miłość, twoją czystą i jasną duszę? Nie wart byłbym szczęścia, które mi przyniesiesz, gdybym się za tak przemiennymi, za tak niebezpiecznymi powabami zapędzał. Nie, moja przyjaciółko, wdzięki nie trwają przez wiek cały, pieniądze stracić można, a szczęścia na całe życie potrzeba. Oszczędność przyczyni nam dochodu, a przestawanie na małem jest najpewniejszem źródłem bogactw. Jakże cieszę się z tego, że to piszę *z rozmysłem* i z mocnego przekonania! Nie myśl bowiem, aby mię *miłość zaślepiła*. Kocham cię bezwątpienia, lecz widzę dobrze wszystkie skutki, które stąd wyniknąć mogą... Już ci to nieraz, moje życie, mówiłem, że miłość prędko zniknie, a przyjaźń jej miejsce zastąpi. Miłość nie uważa na różnicę stanu i usposobienia; przyjaźń nie uważa także na różnicę stanu, ale szuka równości moralnej. Jeżeli więc małżeństwo ma być szczęśliwe, potrzeba, aby przez całe życie w każdym punkcie rozumieć siebie mogło". Troszczy się więc o to, aby go przyszła żona rozumiała, dowodzi jej potrzeby nauki dla kobiety, przeciwko czemu „była trochę uprzedzona".

Zakres tej nauki, wedle wymagań Korzeniowskiego, był niewielki, jak na dzisiaj, ale na owe czasy, kiedy naukę poczytywano tylko za „ozdobę" umysłu kobiecego, wybiegł on poza granice, w wychowaniu domowem przyjęte. „My, moje życie — pisał do narzeczonej — którzy najczęściej będziemy tylko z sobą, idąc nieodmieniającą się koleją jednostajnego życia, będziemy musieli szukać pomocy w nauce, w myślach, które nam ciągły w nich postęp nastręczy, w dziełach gustu i imaginacyi, w wydarzeniach przeszłych całej ludzkości. Albowiem stan mój nie jest takim, abym ci mógł zawsze coś nowego przynieść, jak to może sędzia, urzędnik, żołnierz; gospodarstwo twoje nie będzie tak rozległem, abyś mogła coraz mojej rady i wsparcia potrzebować. Dlatego poznanie przeznaczenia ludzkiego, człowieka, społeczności i jej rozmaitych stanów; rozpatrzenie się w ciekawszych wydarzeniach natury, dzieła poezyi i jej rozważna znajomość, historya i geografia: oto są wiadomości tak tobie, jak i każdej kobiecie potrzebne, która chce być nietylko gospodynią mężowskiego domu, ale miłą towarzyszką życia. Nie jest to tak szeroki zawód, jaki ci się napozór zdawać może, a jeżeli początkowe w nim kroki

wydadzą się pracą, praca ta stanie się wkrótce miłą i konieczną potrzebą, ponieważ jest to cechą umysłu naszego, że się potrzebuje doskonalić, gdy raz zacznie... Wreszcie nim nabierzesz gustu, niech ci przywiązanie do mnie stanie się pobudką, miłość niech cię prowadzi na piękne pole, na którem rozum ludzki tyle plonów zdobył... A jeżeli wszelka przyjemność podwaja się podziałem, pomyśl, jak szczęśliwym będę, gdy nietylko w domu, lecz i w krainie imaginacyi i rozumu będę mógł być z tobą... Nie chcę ja sam z ciebie zrobić kobiety uczonej, bo to są nudniejsze stworzenia od ciężko uczonych mężczyzn, ale wielka zachodzi różnica między kobietą uczoną, a oświeconą. Pierwsza o niczem nie chce mówić, tylko o tem, co wyczytała w książkach i czego dobrze nie zgłębiła; druga stara się rozjaśnić tylko nauką swój umysł, aby wznieść duszę i poznać lepiej obowiązki żony i matki, stara się wykształcić swój gust w sztukach, aby się stać milszą sobie i drugim i podzielać ukontentowanie wszystkich światlejszych ludzi; a nie popisując się nigdy, aby nie być w czasie potrzeby lalką malowaną i milczącą statuą... Moje życie, twój umysł — zdolny i wart doskonalenia; moje serce uczciwe jest warte, abyś je tak czuć nauczyła, jak sama czujesz. Będę ci pisał, będę wybierał dla ciebie takie rzeczy, które kobietę interesować, zająć i podnieść mogą. Znam ja całą ważność obowiązków kobiety... nie myśl więc, abym wymagał od ciebie zapomnienia tych świętych powinności... Nieznośną jest w kobiecie sama nauka bez czucia; czułość bowiem jest jej najpiękniejszym zaszczytem; ktoby chciał ją odjąć, odjąłby farbę kwiatom, śpiewanie słowikowi".

Myśl o przyszłem ojcowstwie wraca ciągle w tych listach; i ten sam człowiek, który wyznawał narzeczonej otwarcie, że jego miłość nie jest gorączką, ani zawrotem głowy, że nie szalałby za jej włosami, ani rzuciłby się z okna na jej rozkaz, dobiera najczulszych w swoim słowniku wyrażeń, gdy o niej jako o matce swoich kiedyś dzieci wspomina. „Jeżeli kiedy przyjdzie ten czas — powiada — na którego myśl samą całe serce się moje trzęsie od radości i szczęścia, jeżeli przyjdzie ten czas, że nie sami już z sobą pieścić się będziemy, o wtenczas, moja droga, moja kochana żono! wtenczas wszystko nam się stanie niepotrzebnem dla nas samych; oddamy wtenczas naszym dzieciom to, co teraz sami zyskamy... Czuję,

mocno przekonany jestem, że będziesz najlepszą matką; czuję, jak ja twoje dzieci kochać będę. Oby nam Bóg tylko tego szczęścia nie odmówił. O moja duszo! ty nie uwierzysz, jak ty szacowną dla mnie jesteś istotą! Dom nasz będzie takim, jaką ty jesteś, będzie to świątynia, w której wszystko to, co w sercu jest najszlachetniejszego, co w życiu jest najszacowniejszego, znajdzie przybytek".

Któż w tych wynurzeniach poufnych nie uzna serca czułego, ale zarazem i rozumu praktycznego, który nie pozwala ani na chwilę łudzić ukochanej majakami szczęścia wymarzonego, w fantazyi tylko wytworzonego. Świadczą one wymownie o zacnym charakterze 25-letniego młodziana i dowodzą zarazem, że w uczuciu jego samo tylko serce i rozum, nie zaś fantazya brały udział.

II.

Ten szczery i serdeczny, ale umiarkowany nastrój uczuciowości, zostający pod ścisłą kontrolą trzeźwego rozumu i będący naturalną podstawą usposobienia Korzeniowskiego, wzmocnił się i utrwalił wskutek wychowania i wykształcenia, jakie odebrał nasz autor w dzieciństwie i młodości.

Pożycie rodzinne skromne, wypełnione pracą, przeplatane prostemi rozrywkami, nie rozkołysywało pragnień, nie wzniecało trudnych do osiągnięcia pożądań. Od najwcześniejszego dzieciństwa słyszał Korzeniowski przestrogi o potrzebie pracy i widział najlepszą tych przestróg illustracyę w przykładzie rodziców.

Ojciec i matka sami nauczyli go czytać i pisać, a potem przygotowywał go do szkół niejaki Filipowicz, którego fizyognomia wryła mu się w pamięć na zawsze. Był to młodzieniec, który skończył kursa filozoficzne we Lwowie, ale zakochawszy się w córce pewnego mularza z jurydyki brodzkiej, „rzucił w kąt filozofię austryacką, dał za wygraną pedagogii i dla miłości dziewczyny został sam mularzem, gdyż inaczej dostać jej nie mógł" — i wyszedł na tem dobrze.

W ósmym roku życia oddany został do 1-szej klasy normalnej w Brodach, naturalnie w duchu i języku niemieckim prowadzonej, pod kierunkiem niejakiego Fontany, człowieka energicznego i surowego, którego bali się uczniowie niezmier-

nie, a którego potężny nos i górne zęby, jedne na drugich leżące i wystające tak, że ust dobrze zamknąć nie mógł, utkwiły w pamięci Korzeniowskiego. Umieszczony był na stancyi u zniemczałego Krakowianina, kupca Lahety, mającego trzy podrastające córki i będącego w przyjacielskich stosunkach z rodzicami Korzeniowskiego. W tem towarzystwie mieszczańskiem przebył malec trzy lata. Przy końcu pierwszego roku doznał bolesnego upokorzenia. Ucząc się dobrze, zawsze chwalony i na pierwszem miejscu w klasie siedzący, spodziewał się napewno nagrody, zaprosił więc córki gospodarza swego na egzamin, upewniając je, że dostanie order na szerokiej żółtej wstędze, z napisem z jednej strony, a z drugiej — z ogromnym orłem austryackim. Tymczasem order dostał jakiś drymblas Łoziński dwa razy starszy od Korzeniowskiego, a on sam — tylko pochwałę. Panny żartowały sobie z jego przechwałek, a jemu serce się ściskało na tę niesprawiedliwość. Order wszakże dostał mu się w roku następnym, gdy był w drugiej klasie: z fantazyą już tedy prowadził ordynek uczniów ze szkoły do kościoła, mając na szyi żółtą wstęgę na trzy palce szeroką, z wielką kokardą na piersiach, na której leżał tombakowy medal z orłem i napisem. „Dziś — dodaje Korzeniowski, opowiadając o tem na trzy lata przed zgonem — błękitna wstęga i gwiazda brylantowa mniejby mnie ucieszyły“.

Po ukończeniu szkoły „normalnej“, odwieziony został w r. 1806 do Zbaraża, gdzie przez rok uczył się łaciny w „infimie“ otwierającego się tamże gimnazyum, pod ks. Daszkiewiczem, bernardynem, którego twarz i dyscyplinę zapamiętał dobrze, choć tylko parę razy za myłki w „okupacyach“ na dłoni jego boleśnie legła.

Podczas wakacyi r. 1807 przybył do domu rodziców Korzeniowskiego bratanek jego matki, bezdzietny a zamożny, zamieszkały na Bukowinie, i zabrał malca ze sobą, zapewniając mu całkowite utrzymanie bezpłatne. Przejeżdżając przez Lwów, zaprowadził go do teatru. Pamięć kilku przedstawień, tu po raz pierwszy widzianych, niezatartą została w umyśle Korzeniowskiego „i żadna późniejsza uciecha, jakiej w życiu doznał, nie była już ani tak wielka, ani tak stanowcza“. Drugą klasę gimnazyalną odbył w Czerniowcach. Przy końcu roku szkolnego, za namową zniemczałej żony swego krewniaka i opiekuna, posłał matce na imieniny powinszowanie w języku nie-

mieckim, oraz list do rodziców w tejże mowie. Stary Korzeniowski tak się tem obruszył, że wyrzekając się i dalszej edukacyi i widoków na przyszłość, kazał synowi natychmiast wracać do domu.

Głośnem już wtedy stawało się gimnazyum wołyńskie w Krzemieńcu, otwarte za staraniem Czackiego, według planu opracowanego wspólnie z Hugonem Kołłątajem w roku 1805. Język wykładowy polski oraz duch obywatelski, ożywiający tę szkołę, pociągnęły ku sobie jak innych, tak i starego Korzeniowskiego. Nie zawahał się przed kosztami i wyprawił syna w r. 1808 do Krzemieńca, będącego tak blizkim granicy austryackiej.

Przebył tu Józef całych lat jedenaście; biografie nie wyjaśniły dotychczas, dlaczego tak długo; zwykły kurs nauk trwał tu najwyżej lat dziesięć: a ponieważ Korzeniowski już ukończył dwie klasy w Galicyi, pozostawałoby mu jeszcze lat ośm. Wypadnie chyba przypuścić, że żądny wiedzy młodzieniec nie poprzestał na wysłuchaniu trzech wykładów w „kursach“ dwuletnich, na które rozpadały się wyższe klasy gimnazyum wołyńskiego, lecz oddawał się jeszcze specyalnie przez dwa lata jakiejś gałęzi nauk, prawdopodobnie literaturze, zarabiając już od 15-go roku życia na swe utrzymanie jako „dozorca“ czyli korepetytor młodszych studentów.

Charakter szkoły krzemienieckiej jest znany. Łączono tu naukę z wyrobieniem towarzyskiem; dbano zarówno o uposażenie głów wiadomościami jak i o przygotowanie praktyczne do stosunków życiowych; studya nie wykluczały zabaw, zawsze odbywanych pod kierunkiem i nadzorem nauczycieli, co wytwarzało serdeczny, niemal rodzinny związek pomiędzy uczącymi i nauczanymi, a zarazem strzegło od obłąkań i nadużyć, do jakich samopas puszczona młodzież bywa skłonna.

Trafił Korzeniowski na najświetniejsze czasy rozwoju gimnazyum wołyńskiego.

Blizko pięć lat przebył w niem jeszcze za życia jego twórcy, Tadeusza Czackiego. Były to lata, w których gorąca a hartowna dusza tego „jałmużnika“ oświaty wykazały się najdobitniej wśród nader trudnych warunków istnienia i działania, gdy zawiść z jednej strony, a z drugiej wojny napoleońskie na ciągłe niebezpieczeństwa wystawiały instytucyę tak ważną i tak ukochaną. Pełne godności i rozumu zachowa-

nie się Czackiego w r. 1810 i 1812 przemówić mogło nawet do niedoświadczonych umysłów małoletniej młodzieży, a serdeczność prawdziwie ojcowska, z jaką się on zwracał ku uczniom, przejmowała ich serca czcią i miłością. I w sercu Korzeniowskiego cześć ta i miłość osiadła głęboko; Czackiego zasłudze przypisywał on wszystko, co mógł dobrego w życiu swem dokonać, jak to sam wyraził w zakończeniu „Ody do pióra".

A i dalsze lata, już po śmierci wielkiego „jałmużnika" w Krzemieńcu przebyte, mogły w duszy młodzieńca zostawić jak najlepsze wspomnienie; żyła wtedy jeszcze silnie tradycya założyciela szkoły, która teraz właśnie zbierała dojrzałe owoce jego gorliwości. Dążność zacna i podniosła, zapał wśród nauczających i uczących się, potężne uczucie koleżeństwa i przyjaźni: wszystko to musiało dobroczynnie oddziaływać na rozważny umysł młodego Korzeniowskiego.

Wypadki współczesne na wielkiej arenie świata, zwycięzki pochód „boga wojny" Napoleona, tak ściśle natenczas łączony z losami naszego społeczeństwa, podtrzymywały i wzmacniały w duszy młodzieży nauki i uczucia wszczepiane w szkole. W późnej starości przypominał sobie Korzeniowski z rozkoszą jedną chwilę z owych czasów tak obfitych w wielkie wypadki. Było to w r. 1809. Książę Józef Poniatowski zajął tryumfalnie Galicyę. Wakacye szkolne jeszcze trwały. Młodziutki student gimnazyum wołyńskiego przyleciał do domu rodziców, by zobaczyć ułanów; trafił na uroczysty obchód imienin Napoleona 15-go sierpnia. „Był wówczas — opowiada Korzeniowski — w Brodach pułk Adama Potockiego, był nowo sztyftowany pułk Rzyszczewskiego, był szwadron szaserów konnych Przebendowskiego w ogromnych bermycach. Łatwo pojąć, jak to wszystko inseresowało, jak rodzice nie mogli nas w domu utrzymać, jak pieszo lataliśmy do Brodów, aby widzieć mustry i egzercycye nowego żołnierza; jak żałowałem, żem miał dopiero lat dwanaście, jak przynajmniej z drewnianym pałaszem i w papierowych, własnego wyrobu ułańskich czapkach i ładownicach uwijaliśmy się z bratem po naszym lasku, ścinając paproć, która nam wyobrażała szłapaków..."

Zapalonym atoli napoleonistą, jak wielu z jego współczesnych, jak między innymi zwłaszcza Mickiewicz, Korzeniowski się nie stał; żywił zapewne przez lat kilka nadzieje związane ze zwycięstwami Napoleona, lecz rychło się po jego

upadku z nich otrząsł i z nowym porządkiem rzeczy, zaprowadzonym po kongresie wiedeńskim, pogodził. Nie lżył wprawdzie pokonanego, nie urągał mu, jak niektórzy z dawniejszych wielbicieli, owszem uznawał jego wielkość nawet w dobie zgnębienia, ale nie żałował, że już go w Europie nie było.

Tak się odbił w umyśle rozważnego młodzieńca największy ówczesny wypadek, który niejedno serce rozgrzał lub goryczą napełnił, niejedną wyobraźnię zapalił.

Żadna zresztą inna, bardziej osobista okoliczność nie przyczyniła się do nadmiernego rozrostu uczucia czy wyobraźni w młodzieńcu oddanym nauce. Jest wprawdzie jedno miejsce w jego dziełach (XII, 164) [1]), dotychczas przez biografów nieuwzględnione, a wskazujące, że i w duszy studenta krzemienieckiego silne, płomienne gościło uczucie „pierwszej miłości". Mówiąc w poemacie „Pan Fortunat" o „brylantowej, niepowrotnej chwili młodzieńczego uniesienia, za którą gotów oddać wszystkie późniejsze bogactwa, hołdy i oklaski", powiada:

I jam miał taką. O ty! coś młodzieńca
Sercu czuć dała jej słodycz, jej czary,
Mój ideale i gwiazdo Krzemieńca!
Tyś już dziś stara, dziś i jam już stary,
Jednak czas z głowy twojej nie zdjął wieńca,
W który cię moje ustroiły mary;
Jeśli cię wspomnień przywołuje siła,
Taką cię widzę, jakąś wówczas była.

Tyś dla mnie zawsze rumiana i młoda;
Słodko się do mnie śmieją twoje oczy,
Lśni czoła twego białość i pogoda
Przy kruczym blasku miękkich twych warkoczy;
Miga mi twojej kibici uroda,
Kiedy ją taniec unosi ochoczy;
Sukienki twojej poję się szelestem,
I zdaje mi się, że przy tobie jestem.

Kto była ta „gwiazda Krzemieńca", która tak trwałe w wyobraźni pisarza zostawiła ślady, powiedzieć nie potrafię; ze sposobu jednak, w jaki Korzeniowski o niej się wyraża,

---

[1]) Wszystkie cyfry w nawiasach, jeżeli innego objaśnienia przy nich nie będzie, są to wskazania tomów i stron w zbiorowem wydaniu **Dzieł** Korzeniowskiego, ogłoszonem w Warszawie r. 1871—73 nakładem **S. Lewentala.**

widać, że to była osoba w stosunkach towarzyskich niedostępna, że to był tylko „ideal“ studencki całkiem platonicznie uwielbiany i strojony we wszystkie wdzięki i czary, jakimi fantazya młodzieńca rozporządza. Rozstanie się z takim „ideałem“ nie wywołuje ostrego cierpienia, bo obraz jego uniesiony w duszy, tem jaśniejszy i świętszy, że żadna ziemska żądza go nie zbrudziła, zastępuje rzeczywistość oczyma ciała widzialną. Taki ideał nie przeszkadzał Korzeniowskiemu kochać się niebawem bardziej po ziemsku w Monice Vogel i ożenić się z nią, gdyż tkwił raczej w wyobraźni, niż w sercu i zmysłach.

I ten więc niewyjaśniony dokładnie szczegół w dziejach ducha Korzeniowskiego nie przeczy pojęciu jego usposobienia i charakteru, jakie tu rozwinąć się staram. Nie szalał on niewątpliwie, nie rozpaczał jak Gustaw w „Dziadach“; dusza jego nie była podobna do lasu, po którym pożar przeszedł, jak dusza Mickiewicza po ostatecznem zerwaniu się stosunku z Marylą; znajdowała tylko w czci dla swego „ideału“ pobudkę do coraz większego doskonalenia się w nauce i twórczości.

III.

Przy takim nastroju duchowym, Korzeniowski nie mógł czuć najmniejszego naturalnego wstrętu do pojęć literackich, jakie mistrz wymowy i poezyi w Krzemieńcu, ksiądz Alojzy Osiński wszczepiał w umysły słuchaczów. Zabawny ten z powodu mocno rozwiniętej próżności i dziecinnego prawie samochwalstwa profesor, ale dobry, łagodny, serdeczny i kochany przez uczniów człowiek, był naturalnie wyznawcą i głosicielem t. z. „klasycznych“ poglądów, zalecał wszystkim pragnącym próbować sił swoich w literaturze wzory starożytne, zwłaszcza łacińskie, a przy nich także francuskie, dla których jako wychowaniec „wieku oświeconego“ miał cześć i uwielbienie. Rozwoju nowszego literatury niemieckiej ani angielskiej nie znał, a więc oczywiście i słuchaczom swoim wskazywać go nie mógł; lecz zarazem nie odstręczał od zapoznania się samoistnego z utworami tych piśmiennictw, gdyż z charakteru swego żadnej zaciętości ku nim nie żywił.

Temu to mistrzowi powierzał Korzeniowski do oceny swe „najpierwsze rymowania“, przyznając się otwarcie do tru-

dności, z jakiemi walczyć mu przychodziło, gdy chciał ubrać wiersz w „dźwięki mocno brzmiące“. Jeżeli jeszcze i w latach późniejszych biedził się nieustannie z „niesfornemi słowy“, przyprzęgając myśl do rymu; jeżeli mazał, przepisywał, palcami szukał środka i zgłoski rachował; jeżeli „piłował wyrażenia z bolem się rodzące“, to niewątpliwie w czasie terminowania wierszopisarskiego te potyczki z opornym językiem musiały być daleko uciążliwsze i nieraz zniechęcały do pióra, tłumiąc w sercu „nieszczęsną chęć pisania“. Podziwiał swego nauczyciela Korzeniowski, widząc jak on „myśl ważną, czerstwą, urodziwą przenosząc w mowę gładką i wolną i żywą, bez tortur i niedbalstwa, bez braku i zbytku, przez dowcip i zabawkę“ wnosił „do pożytku“. A idąc niewątpliwie za jego wskazówkami, puszczał się na „okazałą niwę“ literatury rzymskiej, szukając zasiłku dla swojej twórczości tam, gdzie tyle już geniuszów uczyło się, jak łączyć moc dowcipu z czarodziejstwem stylu“.

Z tem uwielbieniem dla klasycyzmu, zarówno w formie jego łacińskiej jak francuskiej, jednoczył naturalnie Korzeniowski cześć dla poetów ojczystych, którzy natenczas za najznakomitszych byli uważani: dla Ludwika Osińskiego, Alojzego Felińskiego, Ludwika Kropińskiego, a zarazem dla tego, co im wszystkim w artyzmie słowa przodkował, dla autora „Zofijówki“, Stanisława Trembeckiego.

Koledzy szkolni (Tymon Zaborowski, Karol Sienkiewicz, Stefan Witwicki, Teodozy Sierociński, Piotr Chlebowski, Adolf i Erazm Dobrowolscy, Jerzy Zakrzewski, Antoni Tylman, Michał Fryczyński), przez tegoż mistrza i w tej samej atmosferze duchowej kształceni, mogli tylko umacniać Korzeniowskiego w zamiłowaniach klasycznych wskutek swej najzupełniejszej na nie zgody. Z kolegów tych najwcześniej rwali się do pióra Sienkiewicz i Zaborowski; do ich gronka przyłączył się zaraz i nasz przyszły autor. Zapewne dużo wprzódy musiał poprzemazywać lub podrzeć kawałków, nim się zdecydował posłać do druku ten, który natenczas uznał za najlepszy.

Ponieważ w najbliższej okolicy nie było czasopisma literackiego, musiał się z utworem swoim zwrócić do Wilna. Wychodziły tam od r. 1815 dwa wydawnictwa peryodyczne, pomieszczające poezye: „Dziennik wileński“ i „Tygodnik wileński“. Pierwszy był organem profesorów uniwersytetu; dostać

się do niego przedstawiało pewną trudność; drugi, założony przez młodego naówczas Lelewela, otwierał swe karty autorom młodym, zupełnie nieznanym. Do „Tygodnika“ zatem rymujący w Krzemieńcu studenci adresowali swoje produkcye. Zrobił tak i Korzeniowski, jak we dwa lata potem miał zrobić Mickiewicz: przesłał swoją „Odę na rok 1815“, a „Tygodnik“ umieścił ją w 30 numerze z dnia 13 sierpnia r. 1816, zaznaczając tym sposobem pierwsze wystąpienie na arenie piśmienniczej autora, który przez lat czterdzieści kilka miał na niej niezmordowanie pracować.

Oda ta jest wyrazem zarówno spokojnego usposobienia poety, jak i ogólnego wtedy nastroju, przyjmującego pokój dziękczynnie po zmęczeniu długotrwałemi wojnami. Młody student z rozwagą człowieka dojrzałego kreśli, naturalnie w stylu klasycznym, obfitującym w uroczyste wyrażenia i figury retoryczne, okropności walk krwawych, spowodowanych głównie przez „władzcę losu i jeńca“, Napoleona, po wylądowaniu z wyspy Elby, który „podobny do czarnej chmury“ zmienił „dzień jasny w noc straszną“, i zmusił ziemię, która zwykła była przed nim klękać, do ponownego podziwu; w ostatnich zaś dwu strofach składa hołd cesarzowi Aleksandrowi I., „co wyrwał ze zniszczenia mocy — naddziadów naszych siedliska“, i pokój Europie zapewnił...

Nowości pomysłów ani nawet śmiałych oryginalnych wyrażeń w odzie tej nie znajdziemy; autor posługiwał się zwrotami powszechnie wtedy w odach używanymi; nie ubiegał się nawet o niezwykłe rymy, owszem zbyt często może słabych używał; ale całość jest gładka, poprawna, potoczysta i jasna zauważyć się nawet daje tu i owdzie pewna energia wysłowienia.

Przypuszczaćby można, że wydrukowanie pierwszego utworu powinno było stać się zachętą do pisania. Tymczasem Korzeniowski przez całe trzy lata milczał zupełnie. Dlaczego? trudno powiedzieć na pewno, nie mając żadnych wyraźnych wskazówek. Pilniejsze zajęcie się naukami szkolnemi i obowiązkami „dyrektora“ mogło mieć zapewne niejakie znaczenie w sprawie pohamowania żądzy pisarskiej, ale nie zdoła wyjaśnić długiego jej wyrzeczenia się. Prawdopodobniejszą jest rzeczą, iż autor nie był zadowolony sam z tego, co pisał, że

coraz więcej musiał „piłować wyrażenia z bolem się rodzące“, a ta praca obrzydzała mu chwilowo wierszopisarstwo.

Był nawet w tym czasie moment, kiedy Korzeniowski, lubiący trzeźwość, jasność i umiarkowaną temperaturę uczucia, powiedział sobie, że „poezya rozpala namiętności i psuje ludzi“ i zamierzył oddać się naukom moralnym.

Tem sobie tłómaczymy, choć w części, dziwny fakt, iż w czasopiśmie, wydawanem r. 1818 w Warszawie przez byłych wychowańców szkoły krzemienieckiej, p. n. „Ćwiczenia naukowe“, nie znajdujemy ani jednego wiersza Korzeniowskiego, ani jednej jego pracy. Dopiero w roku następnym, kiedy „Ćwiczenia“ zmieniły się na „Pamiętnik naukowy“, Korzeniowski, ulegając przemożnej sile skłonności, przesłał do niego swe utwory. Znamienną jednak jest rzeczą, iż więcej dał prozy niż wierszy. Widocznie zajmował się wtedy pilnie studyowaniem teoryi estetycznych, ale ciągle jeszcze w zakresie klasycyzmu. Dał więc częścią przekład, częścią streszczenie głośnej pracy retora greckiego Longina „O górności“ a prócz tego własną rozprawę „o patetyczności“. Pomijając pierwszą, jako prosty wynik zajęć szkolnych, widzimy w drugiej przejęcie się poglądami klasycznymi. Autor powołuje się nieraz na Horacego, Longina, Homera, Wergilego, Kornela, Rasyna, Woltera, nigdzie ani jednem słowem nie okazując, żeby mu znane były dzieła i rozprawy nowszych niemieckich estetyków. Podejrzewając z późniejszych Korzeniowskiego zamiłowań, że przynajmniej z Schillerem był wówczas zaznajomiony, porównywałem tę rozprawę z artykułami niemieckiego poety, dotyczącymi tej samej kwestyi, ale nigdzie nie znalazłem najmniejszego nawet podobieństwa pomiędzy nimi ani w sposobie zapatrywania się, ani w sposobie wyrażania tych zapatrywań. Wspólne myśli są oczywiście, bo obaj autorowie o tym samym traktują przedmiocie, lecz nietylko zależności od Schillera, ale nawet wpływu jego poglądów nie napotykamy u Korzeniowskiego. Dążność moralna przemaga nad estetyczną u naszego autora; ciekawą rzeczą jest widzieć, jaką formę przybrało tu owo mniemanie, że poezya rozpala namiętności i psuje ludzi. Korzeniowski mówiąc o patetyczności, nie powtarza tego twierdzenia, lecz stara się wykazać, że największą patetyczność wywołują uczucia szlachetne, „co równie do bohaterskich poświęceń się prowadzą, jak umiatają drogę życia

tylu nasterczoną przeciwnościami“, i że „namiętności okropne“, jakoto: zemsta, nienawiść, zazdrość i t. p. winny być wprowadzane do poezyi tylko „dla wystawienia w większem świetle“ uczuć szlachetnych. Dlatego też ceni i za pożyteczne uważa takie tylko tragedye, w których wznioślejsze uczucia odnoszą zwycięstwo nad niższemi, w których miłość np. dwojga osób ulega przywiązaniu względem rodziców, miłości całego narodu lub też religii. „Pokonana bowiem — dodaje Korzeniowski — lub do wielkich prowadząca zbrodni, lubo wreszcie okropnych zbrodni i męczarni stająca się przyczyną, okazując całą okropność swoich skutków, przejmuje serce litością i nietylko (jest) prawdziwie patetyczną, ale nawet bardzo nauczającą“. Chciał tedy, żeby tragedye były „prawdziwą szkołą moralności“; a ten nacisk na moralność widocznie pochodził z obawy, ażeby poezya nie popsuła ludzi.

Dwa utwory poetyckie, pomieszczone r. 1819 w „Pamiętniku naukowym“, różnią się od siebie znacznie. Jeden: „Oda do pióra“ był prawdopodobnie napisany wcześniej, może nawet poprzedził „Odę na rok 1815“; jest w nim trochę chaotyczności w dotykaniu różnych stron pięknych, jakie są dziełem pióra, a właściwie poezyi, jest niezręczność w zaczęciu, która zamiast patetyczności może wywołać uśmiech („powietrznych stworzeń cząstko znakomita... w skrzydłach wybawców Kapitolu skryta“), gdy treść duchową, wzniosłą jednoczy ze wspomnieniem pochodzenia pióra od gęsi. Drugi wiersz „Ernestyna“ zdaje się świadczyć, że jeżeli Korzeniowski nie znał jeszcze wówczas prozaicznych dzieł Schillera, musiał już czytać jego liryki. W „Ernestynie“ bowiem dopatrzyć można pewnego podobieństwa z „Rycerzem Toggenburgiem“, tylko że role są zmienione; u Schillera rycerz wpatruje się w okno celi, w której osiadła jego ukochana, dopóki śmierć nie zabrała go z tego świata; u Korzeniowskiego Ernestyna spogląda aż do zgonu na dolinę, gdzie spoczęły zwłoki rycerza Alfonsa, który ją obraził wyznaniem swojej miłości jako człowiek niższy rodem. Pod względem formy „Ernestyna“ jest słabą, ale widać w niej większą lekkość i swobodę wiersza, aniżeli w „Odzie do pióra“; w nastroju nie jest tak uroczysta i zbliża się do do utworów sentymentalnych.

Z rozprawy o „patetyczności“ wnieść wolno, że Korzeniowski jeszcze jako student rozmyślał głęboko o poezyi dra-

matycznej. Świetne przedstawienia „Barbary Radziwiłłówny“ Felińskiego i „Ludgardy“ Kropińskiego, których wprawdzie wówczas nie widział, ale o których z rozgłosu dobrze był poinformowany, oraz powszechne wśród literatów życzenie, żeby się dramaturgia polska wydoskonalić mogła, — stanowiły zapewne i dla Korzeniowskiego bodziec niemały do wypróbowania sił swoich w tym kierunku. Możemy więc wierzyć jego opowieści, że po skończeniu szkół r. 1819, pojechawszy do kolegi swego na wsi w okolicach Żytomierza, „wolny od wszelkiego zajęcia i kłopotu, patrzący z zachwyceniem na pogodne niebo, na rozległe pola, na których w nieogarnionych okiem obszarach złota dojrzewała pszenica, galopujący na dzielnym koniu o rannej godzinie, gdy słońce tylko co wychylało się nad oddalony horyzont, gdy rosa połyskała brylantami na kłosach łanów, na kwiatach łąk zielonych, na liściach tych dębowych lasków, które tam jakby ręka przemyślnego ogrodnika pozasadzała“, — oddychał całemi piersiami, marzył cudne opisy natury; układał „rozpędzoną myślą“ dramata i epopeje (V, 6, 7). Łatwo też nam zrozumieć, że mu wtenczas snuły się po głowie „wielkie, klasyczne i pełne gwałtownych tyrad tragedye“ (V, 33). Niewątpliwą atoli zdaje się rzeczą, że na papierze chyba jeszcze wtedy żadna tragedya nie była spisana. Dopiero po przyjeździe do Warszawy w drugiej połowie roku 1819, zabrał się on do tej pracy.

IV.

Korzeniowski objął posadę guwernera przy młodziutkim, a już wtedy wielką rzutkość umysłu okazującym Zygmuncie Krasińskim; ale na tem stanowisku wytrwał zaledwie kilka miesięcy, bawiąc to w Warszawie, to w majątku Krasińskich, Opinogórze. Stosunek z matką wychowańca, traktującą wszystkich wyniośle, nie lubiącą mówić po polsku, był dla niego przykry; ustąpił więc swego miejsca koledze szkolnemu, Piotrowi Chlebowskiemu, a sam otrzymał zajęcie w bibliotece Zamojskich w tak zwanym „pałacu błękitnym“, zachowując zresztą z ojcem Zygmunta, generałem Wincentym Krasińskim, najlepsze porozumienie. W Warszawie poznał swą przyszłą żonę, Monikę Vogel, Kazimierza Brodzińskiego, Franciszka Morawskiego i całą grupę młodszych literatów, drukujących

swe prace w „Pamiętniku Warszawskim“, w „Tygodniku polskim“ (później „Wandzie“), w Sybilli nadwiślańskiej“, „Dekadzie polskiej“ i t. d.

Większość ówczesnych literatów warszawskich hołdowała wyobrażeniom klasycznym, ale wiadomości o nowym ruchu poetyckim, który ogólnie pod nazwą „romantyzmu“ znano, już się rozpowszechniały i budziły pewne zajęcie. Rozprawa Brodzińskiego z r. 1818 „O klasyczności i romantyczności“ wywołała, jak wiadomo, gromkie ostrzeżenie Jana Śniadeckiego przed „zarazą“ romantyczną, co znowu spowodowało w „Pamiętniku Warszawskim“ r. 1819 replikę, stającą w obronie potępionych przez niego poetów niemieckich. To starcie się opinii musiało podziałać na młodsze umysły i zaronić w nie myśl, że przecież nie można poprzestać na wzorach w szkole zalecanych, lecz należy też zajrzeć do innych, należy szerszy widnokrąg literacki wziąć pod uwagę. Znający język niemiecki rzucili się do pilniejszego studyowania nowszych poetów; zaczęły coraz częściej pojawiać się przekłady z Schillera, który najwięcej przypadł do smaku ówczesnej młodzieży naszej, zarówno z powodu swej uczuciowości, jak i patetycznego sposobu jej wyrażania. Dążności rozszerzenia widnokręgu pojęć literackich starała się czynić zadość założona w roku 1821 i przez dwa lata wychodząca „Gazeta literacka“, pod redakcyą Chłędowskich, z Galicyi rodem, którzy pragnęli zaznajomić czytelników ze stanem bieżącym literatury europejskiej. Jednym z jej współpracowników był i Korzeniowski.

Zazwyczaj wyobrażamy sobie całkiem fałszywie, że Warszawa ówczesna była siedzibą zakamieniałych klasyków, którzy nie dopuszczali do rogatek miejskich dopływu świeżych pojęć estetycznych i bronili zacięcie twierdzy klasycyzmu. Dziś, gdy wiemy na pewno, że nawet taki arcy-klasyk, jak Ludwik Osiński, powoływał się w prelekcyach swoich uniwersyteckich o literaturze powszechnej na powagę krytyka romantycznego A. W. Schlegla, musimy to wyobrażenie odrzucić. W Warszawie był ruch umysłowy znaczny, była wymiana pojęć żywa; istnieli zwolennicy różnych poglądów estetycznych; brakło tylko genialnego talentu, któryby tak jak Mickiewicz w Wilnie, mógł wywołać zapał i pociągnąć za sobą masy. Koźmian i Osiński prawit zupełnie zaprzestali od r. 1820 ogłaszać utwory swe poetyckie; Brodziński, głoszący hasło samodzielności na-

rodowej w literaturze, zamknął się w zbyt szczupłym i zbyt spokojnym obrębie sielankowego pojęcia o charakterze narodowym, a prócz tego nie posiadał siły i entuzyazmu; inni, mniej utalentowani, mogli tylko iść za jakimś prądem, ale sami go wytworzyć nie zdołali.

I Korzeniowski nie należał do umysłów dających inicyatywę wielkim przewrotom, tem bardziej, że sam jeszcze w sobie staczał walkę co do kierunku, w którym miał swe zdolności zużytkować. Wychowany w pojęciach klasycznych, zapatrzony we wzory rzymskie i francuskie, zasmakowawszy w Schillerze i innych poetach niemieckich, nie mógł od razu otrząsnąć się z przyzwyczajeń, które odpowiadały jego usposobieniu, a jako człowiek rozważny nie poczytywał nawet za rzecz właściwą wyzbywać się pojęć dawniejszych, i sądził, że dadzą się one pogodzić i zharmonizować z nowemi, jakie mu teorya romantyczna i wzory poetów niemieckich nasuwały.

Stąd też w twórczości Korzeniowskiego podczas pobytu w Warszawie widzimy ciągłe jeszcze wahanie się pomiędzy dwoma prądami, ale zawsze z wyraźniejszem przechylaniem się ku kierunkowi klasycznemu.

W utworach poetyckich wtedy powstałych widzimy dwa typy, które już zaznaczyłem przy „Odzie do pióra“ i „Ernestynie“. Jeden jest poważny, uroczysty; drugi miększy, sentymentalny. Formą pierwszego są: listy poetyckie i ody; formą drugiego: dumy i ballady.

Kiedy pisze „List do księdza Alojzego Osińskiego“, składając mu hołd uznania, jako swemu mistrzowi, naśladuje Felińskiego, który podobny list do Trembeckiego niegdyś wystosował, idąc znowu wiernie za wzorem francuskim. Kreśląc wiersz „do Franciszka Morawskiego“, z którym się ściśle zaprzyjaźnił, poznawszy go w domu Krasińskich, stara się zwięzłością, doborem wyrazów i rymów dorównać Trembeckiemu, nie wspomina już o mozolnem piłowaniu wierszy, lecz twierdzi, że to „najczęściej najlepsze, co wyjdzie odrazu“ z pod pióra i radzi przyjacielowi, by „w poprawach nie przebierał miary“, gdyż „dojrzałemu fruktowi soków czas nie nada, wysycha, gdy prześcignie, i zepsuty spada“. Woli on, choć z wadami, dzieła tych poetów, „gdzie życie tchnie i ogień talentu się żarzy, niż te pracowitości dzieci wyprężone, wśród boleści poczęte, chłostaniem kształcone, w których wszystko popra-

wne, z prawidłami zgodne, polerowne, jak marmur, lecz jak marmur chłodne". W myśl Brodzińskiego protestuje przeciwko naśladownictwu Francuzów czy Niemców, i pragnie, by duch narodowy w poezyi polskiej się odzwierciedlał. „Dopókiż — woła z oburzeniem — będziem kwiaty w obcem polu zbierać i Francuzów i Niemców w kontusze ubierać?" — dopókiż mamy „jak żebraki bez siły żyć o cudzym chlebie? (XII, 252, 253).

W odzie p. n. „Chwała poety", ogłoszonej roku 1821 w „Wandzie", a potem nigdzie, o ile wiem, nie przedrukowanej, przerabia Korzeniowski swe pomysły w „Odzie do pióra" potrącane, starając się im nadać uroczystszą formę i szersze rozwinięcie. Pisze wielkimi, „olbrzymowatymi", że użyje własnego jego wyrażenia, okresami, zapewne w przekonaniu, że to najlepszy środek wywołania silnego, podniosłego wrażenia. Treść ody, malującej znaczenie poezyi w życiu narodów, nasuwa nam na myśl wspaniałą „pieśń wajdeloty" w „Konradzie Wallenrodzie", ale porównanie z sobą tych dwu utworów posłużyć może do wskazania nietylko różnicy talentu, lecz także różnicy usposobienia i nastroju obu poetów. U Mickiewicza pieśń nietylko przechowuje pamiątki przeszłości, lecz ma także w swem łonie zarody życia przyszłego; Korzeniowski poprzestaje jedynie na wysławianiu jej nieśmiertelności i wzlotu ponad poziom spraw codziennych i przemiennych; jej zasługi widzi w pochwale dla cnoty i bohaterstwa i w żalu nad cierpieniami narodów. Poeta —

Puszczając umysł do uniesień zdolny,
Nie czuje ziemskich kajdan, nie widzi jej panów,
Jak wiatr na morzach, tak wolny;
A dokąd tylko wzrok zanoszą oczy,
Tam żyje myślą w locie nieścignioną
I duszę wielką, nieograniczoną
Po gwiazdach wiesza, za światami toczy...

W dniach pomyślności i chluby wieszcz „z pod ręki czasu świetne imiona wydziera i sądem wieków przemawia"; a gdy na gruzach... ptak barbarzyństwa rozsiewając pomrokę, i uczucie i mowę przytłumia:

Wtenczas myśl niepodległa, wygnana, zhańbiona,
Znajdując w sercu wieszcza ostatnie schronienie,
Nim z duszą jego wróci do wieczności łona,
W żałosne, w niesłychane przelewa się pienie;

Wtenczas samotnej arfy grzmiące niegdyś strony
Wiatr lekki przylatując z grobów wielkich ludzi,
Jakby tchnienie przeszłości, potrąca i budzi,
A błędne i niezgodne wydobywa tony.

Na potwierdzenie swego poglądu, przypomina dolę Grecyi starożytnej, zanik całej świetności dawnej w życiu fizycznem, a jej nieśmiertelność we wspomnieniu, w poezyi jej wieszczów:

Nie milkną te pieśni wzniosłe i radosne,
Świat Greków będzie zawsze teraźniejszym światem,
Ołtarze jego wiecznym usypane kwiatem
I ziemia przystrojona w nieskończoną wiosnę.

W związku ze wspomnieniem o Grecyi, daje drugi przykład unieśmiertelnienia przez poezyę: losy Troi. Odmalowawszy śmierć najdzielniejszego jej obrońcy, Hektora, woła do płaczących nad jego zgonem:

Ach! wstrzymajcie łzy wasze, córy Ilionu,
Nie ściskaj, starcze, w żalu bohatera dłoni;
Upadł obrońca twego narodu i tronu,
Lecz nie spadnie laur chlubny z jego świętych skroni.
Bo duch poety lecąc od wieków do wieków,
W żyjącej myśli i ognistej mowie
Ostatnim czasom klęski te opowie
I zrówna waszą chwałę z wielką chwałą Greków.

I jakiż stąd wniosek? Nie potrzebujemy go się dopiero domyślać; Korzeniowski jest jasny i wypowiada go wyraźnie: „W marzeniach nieśmiertelnych szukajmy pamiątek; żyje chwała *przeszłości* w oszczędzonej księdze“. I na tem kończy się funkcya poezyi. Jakże to różne od wezwania wajdeloty u Mickiewicza! jak tu się wybornie maluje refleksyjny charakter jednego, a czynny drugiego poety! Takie myśli, jak Korzeniowski, wypowiadało przed nim wielu; taka, jaką wyraził Mickiewicz, miała cały powab świeżości, chociaż się opierała na przykładach rzeczywistych z wieków dawnych i nowszych.

To jest jedna grupa poezyi Korzeniowskiego z czasów pobytu w Warszawie. Druga, bardziej sentymentalna, przedstawia się nieco szczuplej. Należy do niej „Drzewko złamane“, „Światełko“, „Tren Omnii“ i „Ostatnia praca“.

Najbardziej sentymentalną, najwięcej retoryki mieszczącą jest duma p. n. „Drzewko złamane“, której treścią — boleść

matki, rojącej o przyszłości dziecka, usymbolizowanej w zasadzonem przez tęż matkę drzewie. Tuląc dziecinę do łona, idzie matka do owego drzewka, ażeby je podlać i widzi z przerażeniem, że je wiatr złamał; ale przerażenie zamienia się w cichą rozpacz, gdy spostrzega, że i dziecię umarło. Jest w tym wierszu niewątpliwie dużo uczucia, ale niestety! uczucie to w ułomną formę zostało ujęte i wywołać wrażenia nie może.

„Ostatnia praca“ wystawia człowieka steranego życiem, który po stracie wszystkich ułud serca, sam drżącemi rękoma, roniąc łzy obfite i wydając jęki, kopał sobie mogiłę i w niej się ułożył.

„Tren Omnii w dolinie Beder“ powstał oczywiście pod wpływem upodobania w tematach oryentalnych, rozpowszechnionego w owych czasach w literaturze europejskiej. Niema w nim ani siły, ani barwy wschodniej, a słowa jakby z ust filozofa XVIII. wieku wyjęte i głoszące potępienie fanatyzmu religijnego, włożone w usta Araba, brzmią dziwnie. Omnia, przypominając orszakowi, iż na dolinie Beder Mahomet po raz pierwszy na poparcie nauki swojej podniósł oręż i wielu synów Mekki wygubił, woła:

Dla kłamstw ubranych w natchnienie,
Własne źródło krwią zamąca;
Dzikim mieczem w wieczne cienie
Ziomków zsyła, braci wtrąca.
W imię Boga stacza boje;
Nim w pierś wleje wiarę swoję,
Wprzód sztyletem ją otwiera.

„Światełko“ wreszcie jest przeróbką „Ernestyny“ w sposób bardziej balladowy, z większą tajemniczością wypadków, z pozostawieniem większego pola domyślnej fantazyi czytelnika. Forma tej ballady jest niewątpliwie daleko lepsza, aniżeli w dawniejszym wierszu; ale zaciemnienie pomysłu nie wyszło bynajmniej na dobre utworowi. Już tu okazuje się, że swobodne bujanie wyobraźni nie było właściwem talentowi Korzeniowskiego, który przywykł jasno i trzeźwo rzecz każdą sobie wystawiać i wobec czytelników rozwijać.

V.

Jeżeli w powyższych poezyach dydaktycznych i lirycznych nie odstępował właściwie Korzeniowski od klasycznego

trybu tworzenia i tylko ubocznie potępiał albo zbyt wielką dbałość o gładzenie formy ze szkodą żywości uczucia, albo też wprowadzał wątek bardziej fantazyjny, niż zwykł on bywać u klasycznych pisarzy francuskich, to nie trudno zrozumieć, że w zakresie dramatu jeszcze ostrożniej poczynać sobie musiał. Nie były u nas wprawdzie tak silnie wkorzenione, jak we Francyi, pojęcia o potrzebie zachowania reguły trzech jedności, lub też — wprowadzania długich patetycznych tyrad; ale bądź co bądź, wśród grona literatów, nadających ton ówczesnemu życiu umysłowemu w Warszawie, w całej pełni uznawano wyższość dramaturgii francuskiej nad wszelką inną, i stosowanie się do niej poczytywano za rzecz niezbędną dla każdego, kto chciał dramatem literaturę naszą zbogacić. Toż wiadomo, że Towarzystwo przyjaciół nauk odrzuciło rozprawę Franciszka Wężyka, swego członka, z powodu, iż tenże ośmielił się krytykować „Atalię“ Rasyna, a zachwalać utwory Schillera i Szekspira. Co większa, wiadomo, że Wężyk do pewnego stopnia uznał słuszność porobionych sobie uwag, gdyż rozprawy na własną rękę za życia swego nie ogłosił i cofnął bardzo niedaleko zresztą idące projekta reformy kompozycyi dramatycznej, żądające przedłużenia czasu akcyi do tylu dni, ile w tragedyi jest aktów, i wolności tyleżkrotnego zmieniania miejsca.

Korzeniowski widział już niewątpliwie wówczas ciasnotę wymagań dramaturgii francuskiej, rozumiał, że ten stopień swobody, jaką wskazywały utwory Schillera, zapewni dramatowi więcej żywotności i prawdopodobieństwa; lecz zdecydować się stanowczo w duchu reformy nie mógł, wahając się pomiędzy jedną formą a drugą, tłómacząc to „Zairę“ Woltera, to „Intrygę i miłość“ Schillera. We własnej twórczości rozpocząć zapewne musiał od tragedyi w stylu francusko-klasycznym, jeżeli nawet w latach późniejszych wracał do tej krępującej formy.

Niebawem wszakże musiał uczuć, że tragedya o wielkich i gwałtownych namiętnościach, o głośnych historycznych czy mitycznych bohaterach, nie była odpowiednią jego refleksyjnemu usposobieuiu, o uczuciach głębokich, ale spokojnie się wyrażających. Porzucił więc ją na czas długi, a zwrócił się do innego rodzaju, którego twórcami byli pierwotnie Anglicy, ale który dopiero przez Francuza, słynnego Diderota, a następnie jeszcze bardziej przez Niemców został rozpowszech-

niony, znalazłszy licznych przedstawicieli. Mówię tu o tak zwanym dramacie „mieszczańskim“, albo inaczej „tkliwym“, „płaczliwym“, gdzie występują ludzie pospolici ze swymi powszednimi smutkami i radościami, gdzie nie idzie o obudzenie grozy, lecz rzewnego współczucia dla nieszczęśliwych i cierpiących.

Kiedy Korzeniowski wskutek osobistego doświadczenia nabrał przekonania, że nadmierne unikanie akcyi podrzędnych w tragedyi francuskiej sprawiało, iż w utworach scenicznych pojawiały się same rezultaty, bez rozwinięcia ich przygotowań i przyczyn, że ograniczenie się co do miejsca i czasu zmuszało do nienaturalnego skupiania wypadków i prowadziło do mnóstwa nieprawdopodobieństw, że staranie się o przesadzoną godność stylu tragicznego odjęło język indywidualny osobom: postanowił zerwać krępujące twórczość więzy i pójść drogą utorowaną przez Niemców.

Przedewszystkiem więc uważając wiersz rymowany za walną przeszkodę w zbliżeniu się do dykcyi naturalnej, ponieważ zmuszał do zachowania pewnej uroczystej pompy stylu, porzucił go i odwołał się do „Odprawy posłów“ Kochanowskiego, który wiersza białego w dramacie swym użył. Odwołanie się to było dla naszego autora tem łatwiejsze, że już od r. 1816 w Warszawie ponownie wzięto się do rozpatrywania wartości wierszy miarowych w poezyi naszej, a prace Tymowskiego, Brodzińskiego, Elsnera i Królikowskiego wykazały jego potrzebę w zastosowaniu do muzyki, a zatem i jego zalety nawet w poezyi lirycznej, która najwięcej zdawała się rymu potrzebować. Nie można więc przeceniać zasługi nowatorstwa Korzeniowskiego w tym względzie, chociaż uznać wypada, że wskrzeszeniem przykładu, zostawionego przez Jana z Czarnolasu i Kniaźnina w poezyi dramatycznej, zaprotestował przeciwko jednostronnemu w niej rozpanoszeniu się rymowanych aleksandrynów. Nie udoskonalił on wprawdzie tego jednastozgłoskowego niby jambu, jakiego użył Kochanowski; zostawił go prawie takim samym, rachował tylko zgłoski i liczbę akcentów w wierszu, ale nie pilnował jednakowego tych akcentów następstwa; zaczynał więc wiersz, jak się zdarzyło, zarówno od jambu, jak od trocheju; w każdym jednak razie dbał więcej o zachowanie średniówki.

Ze zmianą wiersza łączyła się i zmiana stylu. Napuszoność i deklamacyjność ustąpiły miejsca pewnemu stopniowi

prostoty. Mówię wyraźnie: „pewnemu stopniowi“, gdyż rzeczywistej prostoty, jakiej my dziś domagamy się, niema tu jeszcze. Korzeniowski do końca życia zachował niejaką sztywność i zamiłowanie w pełności wyrażenia; a cóż dopięro w samych początkach przejścia od stylu tragedyi francuskiej do dramatu mieszczańskiego. Sentencyonalność i uroczystość w rozmowie jest w tych początkach stałą cechą dramatów Korzeniowskiego. Dobrzy znajomi przemawiają do siebie całkiem seryo: „Poczciwy starcze! Szanowny starcze!“ Dzieci sześcioletnie mówią tak rozsądnie i tak płynnie, choć tylko w zakresie wyobrażeń właściwych sobie, jak osoby dorosłe i dobrze ćwiczone w mowie. Wszyscy wogóle mają na zawołanie albo jakieś porównanie, albo jakieś zdanie moralne, albo jakąś antytezę. Dbałość o zachowanie „indywidualnego języka“ osobom rozmawiającym jest tu jeszcze w stopniu minimalnym, tak, że często dostrzedz się nie daje. Korzeniowski z umysłu nie chciał natenczas zniżać się do prozy życia rzeczywistego i poetycką konwencyonalność dyalogu w dramatyce poczytywał za rzecz nieodłączną od jej zadania.

W tej poetyczności przemaga jakaś mroczna, lecz łagodna melancholia; ludzie nawet boleśnie dotknięci nie krzyczą i nie oburzają się, tylko co najwyżej skarżą się i używają oręża ironii. Mocy, energii wysłowienia niema tu wcale, jakby autor pragnął co najdalej pozostać od deklamacyjności francuskiej, a nie umiał jej jeszcze czemś odpowiedniejszem zastąpić, i dlatego wolał już być mdłym, ale pełnym umiarkowania.

W teoryi wyrobił sobie zapewne już wtedy Korzeniowski trafne pojęcie o naturze dyalogu dramatycznego, ale w praktyce bardzo długo jeszcze walczył z opornością języka, nim do czystego metalicznego dźwięku się dobrał.

Pozwolę tu sobie zrobić małe chronologiczne odstępstwo i zacytować z „Kursu poezyi“ Korzeniowskiego, ułożonego w r. 1823, a wydanego drukiem w r. 1829, ustęp odnoszący się do zajmującego nas przedmiotu. Rozwija tu autor myśl, że dyalog dramatyczny różni się od opowiadania nie samą tylko formą. „Można sobie wyobrazić — powiada — że działanie lub przemiany zewnętrznego lub wewnętrznego stanu albo już się stały i minęły, albo się dopiero w tejże chwili dzieją. W pierwszym razie będzie zawsze opowiadanie, choćby forma była dyalogowa; lecz jeżeli przemiany powstają i roz-

wijają się w czasie rozmowy i przez nią, wtenczas dopiero jest dyalog dramatyczny". Nic słuszniejszego nad takie określenie; i przyznać należy, że już od najpierwszego dramaciku napisanego w nowym kierunku, Korzeniowski wprowadził dyalog istotnie dramatyczny. Można mu zarzucić sztywność lub rozwlekłość, ale niepodobna odmówić własności posuwania akcyi, choćby bardzo powolnego, naprzód. Dalsze natomiast wywody teoretyczne Korzeniowskiego już mniej w początkach dramatach znajdują zastosowania. „W każdym dyalogu — mówi on — powinien się wyraźnie objawiać sposób myślenia i stan umysłu osób działających, powinny się okazywać właściwości, przechodzące prawie w naturę człowieka, a wynikające z wpływu wieku, stanu, wychowania i t. d. Stąd wynika to prawidło dla poety, *iżby każda osoba po swojemu się wyrażała;* co nadaje dyalogom nietylko rozmaitość, ale też indywidualność, a zatem wyraz prawdy i życia. Takie dyalogi zastępują dla czytelnika miejsce doświadczenia, i jakby rzeczywiste obcowanie z ludźmi uczą poznawać ze sposobu mówienia sposób myślenia i kierunek woli. Dlatego o wartości dyalogów dramatycznych nie należy sądzić podług celniejszych miejsc czyli *oratorskich tyrad*, ale podług stosowności do całej akcyi, do uczuć, do charakterów i do chwilowego położenia osób rozmawiających. Od tegoż usposobienia i położenia osób, tudzież od gatunku dramatu, zależy panujący ton, czyli dykcya dyalogów. Najważniejszym zaś ich przymiotem jest naturalność i prostota. Tok i postęp rozmowy w życiu jest zapewne najlepszym wzorem. A gdy w dramatach bardziej działa imaginacya i uczucie, niż rozum, tak też *wyrażenia obrazowe* nie tyle się przeciwią ich naturalności, ile sztuczne deklamacye, częste wtrącanie sentencyi, peryodyczna dokładność i umyślne używanie figur retorycznych" (XII, 93).

Idąc za temi przekonaniami, Korzeniowski starał się wprawdzie o nadanie indywidualnego charakteru dyalogom, starał się o prostotę i naturalność, ale starania te długo pozostawały mało owocnemi.

W kompozycyi dramatycznej widzimy u naszego autora toż samo powolne i stopniowe oswabadzanie się od tradycyjnych reguł, co i w przemianie dyalogu. Najpierw odrzucił prawidło jedności miejsca i w najkrótszym swym jednoaktowym dramacie czterokrotnie zmienił dekoracye, ażeby nadać akcyi

więcej prawdopodobieństwa. Z odrzuceniem jedności czasu zatrzymał się, i dopiero pod koniec pierwszego okresu swojej twórczości, z początku w sposób nieokreślony, potem wyraźnie i dobitnie, pozwolił sobie swobodniej rozporządzać trwaniem działania dramatycznego. Tym sposobem Korzeniowski chronologicznie pierwszy z naszych pisarzów przełamał szranki dramaturgii francuskiej bez wywołania najmniejszego hałasu ani protestów, jak to się działo we Francyi, gdy Wiktor Hugo przeciw tymże ograniczeniom wystąpił. Przyznając atoli Korzeniowskiemu to chronologiczne pierwszeństwo, nie można mu równocześnie wyznaczyć jako reformatorowi dramatu miejsca wybitniejszego w naszem piśmiennictwie. Niezależnie bowiem od niego, a z niepospolicie większym talentem, Juliusz Słowacki w „Mindowem“ i „Maryi Stuart“ śmiało zniósł zapory starej poetyki: następni zaś nasi dramaturgowie pociągnięci zostali jego wpływem, nie zaś wpływem Korzeniowskiego, a to tem bardziej, że te dramata jego, które były zupełnie oswobodzone od pęt jedności czasu i mejsca, lubo napisane wcześniej, niż Słowackiego, wyszły z druku później od nich; w tych zaś utworach, które przed rokiem 1830 były wydrukowane, zniesioną wprawdzie została jedność miejsca, ale jedność czasu jeszcze bywała zachowywana.

Co do charakterów dramatycznych, wyróżnić potrzeba pierwsze trzy utwory, w nowym duchu napisane, od następnych; tam są osoby wyłącznie szlachetne, tu — mieszane.

Najdawniejszy, w Warszawie r. 1820 skreślony, dramat „Klara“, stanowi jakby oddźwięk „Ernestyny“ i „Światełka“. Starcie się uczucia z przesądem rodowym i zwycięstwo uczucia — oto motyw jedyny, rozprowadzony powolnie, spokojnie, ale umiejętnie i z zachowaniem znacznego stopnia prawdopodobieństwa. Klara, uwiedziona przed sześciu laty przez hrabiego, nosiła się z myślą odebrania sobie życia, miała nawet przy sobie ciągle truciznę, ale myśli tej nie wykonała ze względu na synka. Przeciw uwodzicielowi nie żywi nienawiści, gdyż go kocha, ból w sobie zamyka, starając się wszczepić w dziecię szlachetne uczucia, a zwłaszcza wstręt do robienia krzywdy nietylko ludziom, lecz i zwierzętom. Jest to istota głęboko uczuciowa, lecz nie lubiąca miłości swej na jaw w słowach wyrażać; cierpi w milczeniu, i mimowolne tylko oznaki bolu zdradzają nam stan jej duszy cichej, łagodnej, zrezygno-

[illegible] Albe[illegible] [illegible] [illegible] kra[illegible] [illegible] sprawied[illegible] [illegible] pos[illegible] [illegible] wys[illegible] [illegible]

[illegible]

głosu nie miała, jedną z najważniejszych przyczyn musiał być brak w niej wyraźnego pierwiastku narodowego; ani hrabia, ani Albert, ani Klara, ani Łowczy nie mają w sobie temperamentu polskiego, są to jacyś rozważni i sentymentalni zarazem kosmopolici.

Drugi z kolei dramat w nowym kieranku, napisany był już w Krzemieńcu, dokąd Korzeniowski, ożeniwszy się, wyjechał w r. 1823 dla objęcia katedry wymowy i poezyi po Alojzym Felińskim w tamecznej szkole, przemienionej wtedy na liceum. Na napisanie „Anieli", którą autor nazwał sam „tragedyą", wpłynęły już nietylko wzory niemieckie, lecz i Szekspir, widocznie w tych czasach przez Korzeniowskiego studyowany. Dwa motywa tu się ścierają; z jednej strony kolizya uczucia i przesądu rodowego, z drugiej niezdecydowanie woli w głównym bohaterze. Charaktery wszystkie szlachetne; kilka z nich ma rodowe podobieństwo z osobami występującemi w „Klarze". Albert zmienił tylko imię na Hermana i dostał określone zajęcie lekarza; ale duchowo pozostał takimże samym filozofem refleksyjnym, niezdolnym do energicznego czynu, śmielszym tylko cokolwiek w słowach. Aniela, jego córka, to znów Klara, pełna szlachetności, uczuciowości, tylko ponieważ nie potrzebuje zachowywać życia swego dla syna, zażywa truciznę, którą Klara jedynie przy sobie nosiła. Siostra jej, Zofia, to synek Klary, Henryk. W Gustawie hr. Przeworskim poznajemy także hrabiego z „Klary", szlachetnego i uczuciowego, tylko, że ów brak decyzyi, trwający przez lat sześć, u Gustawa zamienia się w chroniczną chorobę woli, nawianą zapewne od Szekspirowskiego Hamleta. Helena, wdowa po kasztelanie bełzkim, jest nową figurą mającą więcej śmiałości, energii i stanowczości od Anieli, zapowiada ona te silne rysowane charaktery kobiece, które w późniejszych utworach Korzeniowskiego miały zająć tak wydatne miejsce. Nową też, ale słabą figurą jest Wilhelm Stański, wytrwale, ale cicho i pokornie kochający Anielę. W Ludwiku Stężycu, powierniku Gustawa chciał widocznie Korzeniowski przedstawić antytezę trzeźwości i zdrowego rozsądku wobec uczuciowego rozmarzenia bohatera. Grabarze, występujący pod koniec sztuki — naśladowani z Szekspira.

Akcya tej „tragedyi" zbyt była szczupła, ażeby mogła wypełnić dużych pięć aktów; toczy się więc rozwlekle i nie

budzi żywszego zainteresowania. Dwie szlachetne kobiety, które niezdecydowany Gustaw miał zaślubić, odrzucają jego miłość: jedna idzie do klasztoru, druga truje się; bohater zabija się. Oto i wszystko; styl uroczysty nie przyczynia się wcale do wywołania tragicznych efektów, chociaż przedstawia tragiczne zdarzenia.

Te dwie sztuki ogłosił Korzeniowski drukiem roku 1826 w Poczajowie, dawszy im skromny nadpis „Próby dramatyczne" (str. 199). Mickiewicz zwrócił na niego uwagę; jedną z nich (zapewne „Aniełę") nazwał „próbą wcale dobrą i wiele obiecującą; interesował się dalszym rozwojem talentu i wiele nań liczył (zob. „Korespondencyę", t. IV, str. 101, 104, 106). W druku pojawiła się dłuższa ocena dopiero w roku 1829 w „Gazecie Polskiej", będącej wtedy jednym z organów romantycznych (NN. 70, 71, 72). Autor jej (kolega Korzeniowskiego z Krzemieńca, Stefan Witwicki), bardzo sympatycznie dla dramaturga naszego usposobiony, pochwalił wprowadzenie do dramatu wiersza nierymowego, wytknął podobieństwo „Klary" do sztuki Kotzebuego „Syn nieprawy", rozszerzył się nad niektóremi wadami w wystawieniu charakteru w „Anieli", którą zestawił z dramatem Schillera „Intryga i miłość"; ale talent w ogólności uznał, a nawet wysoko postawił. „Klarę" za nizko oszacował, nazywając ją „przydłuższą sceną liryczną", do której sam autor „zapewne mniejszą wartość przywiązuje". O „Anieli" wyraził się w zakończeniu po szczegółowym rozbiorze, jak następuje: „Autor swego talentu użył nie tyle na zawiązanie węzła intrygi i oddanie charakterów, ile raczej na malowanie uczuć; i ten cel sobie naznaczywszy, w całym ciągu dzieła okazuje się poeta uposażonym bujną wyobraźnią, głęboką myślą i rzewną tkliwością. Często jednym wierszem, kilku słowy umie łzy wycisnąć. Szlachetność i godność zacnego, tkliwego serca, na wszystkie myśli i czucia rozlana, szczególny powab utworowi jego nadaje. A chociaż w nim znajdują się niektóre uchybienia i skazy, wszakże wysoki talent p. K., tak obficie i oczywiście w dziele jego wyrażony, szczere dla siebie budzi uwielbienie: i bardzo życzyć należy, aby szanowny autor, dla wzbogacenia literatury, dla rozkoszy swych ziomków, jak najczęściej chciał go używać". Porównywując zaś „Aniełę" z „Intrygą i miłością", powiada: „Położenie, stosunki i los głównych osób są w obu podobne.

W dramie niemieckiej, mianowicie w poczwarnych rolach prezydenta i sekretarza, znać jeszcze świeżego autora okropnych Zbójców; sztuka polska ma mniej od tamtej zapału i charakteru, ale więcej rzewności. P. Korz., pracując nad podobnym, jak Schiller przedmiotem, pracował swoim własnym talentem i jest niezmiernie daleki od tych pisarzów, którzy pożyczając myśli i uczucia innych, udają one za własne i tym sposobem puszczają się na niegodny rodzaj literackiego zarobkowania Wszakże w obudwóch dziełach, tak poety niemieckiego, jak polskiego, przebija się w wielu miejscach duch i koloryt Szekspira. Zapewne przypisać to należy mocnemu wrażeniu, jakie utwory tego wielkiego autora sprawują na każdej żywszej wyobraźni" („Gazeta Polska", 1829, N. 72). „Aniela" miała wogóle szczęście: Słowacki marzył o niej z lubością, a Przezdziecki jeszcze w roku 1844, a więc po ukazaniu się wielu innych dramatów Korzeniowskiego, ją tylko uważał za *jedyny* dramat naszego autora, „a może i dotychczasowej sceny polskiej..."

VI.

Nim mógł Korzeniowski odczytać zachęcające o swej „tragedyi" wyrazy, nie ustawał pracować i bez zachęty. Jakkolwiek zajęcia pedagogiczne w liceum pochłaniały mu sporo czasu, przecież uporawszy się z ułożeniem kursu wymowy i poezyi, zabrał się do pisania dramatów, gdyż ten rodzaj twórczości najwięcej mu do smaku przypadał, a liche wyroby ówczesnej muzy tragicznej zachęcały go do ich prześcignięcia.

Po „Anieli" napisał „Mnicha", obierając już wyraźnie temat narodowy, którego ówczesna krytyka i publiczność się domagały [1]). W „Anieli" były nazwiska polskie, ale stosunki tam odmalowane nader mało posiadały cech polskości. I w „Mnichu" wprawdzie cechy te nie występują dobitnie, ale w każdym razie osobistość głośna w dziejach krajowych, bardzo pociągająca swoim losem tragicznym, zwracała myśl ku przeszłości ojczystej. Nie chciał rywalizować Korzeniowski z Wężykiem, który jeden z pierwszych u nas w r. 1822 postać Bolesława Śmiałego obrał za bohatera tragedyi; nie chciał więc

[1]) Najlepszy rozbiór „Mnicha" podał p. A. Bełcikowski w książce: „Ze studyów nad literaturą polską", str. 570—576.

wystawiać go, jako króla, dokonywającego zabójstwa na biskupie, lecz przeciwnie — jako człowieka pokonanego, który w ciszy klasztoru Osyackiego pragnął zagrzebać i pamięć świetności minionej, i boleść upadku, i wyrzuty sumienia. Ponieważ kolizya dramatyczna tkwi prawie całkiem wewnątrz, tak, że zewnętrzne wypadki (ogłoszenie ekskomuniki w klasztorze) nie wywierają wpływu na treść zasadniczą, forma misteryum, z chórami i duchem św. Stanisława, nie ma w sobie nic rażącego, owszem pod pewnym względem silne, przejmujące wywiera wrażenie. Autorowi chodziło o harmonijne przeprowadzenie walki duchowej w hardem sercu Bolesława, który i pod kapturem mnicha nie stracił swej dumy i popędliwości. W tym celu wprowadził postać Szreniawity, który niegdyś był podżegaczem do zbrodni, a teraz przybył naumyślnie do klasztoru, by wyjednać od króla przebaczenie. Bolesława wyrzeczenie słów przebaczenia kosztuje wiele; ale je wreszcie wypowiada; a to zwycięstwo nad sobą odniesione wyjednywa mu łaskę nieba; duch św. Stanisława wprowadza go do kościoła, od którego do owej pory odpychała go jakaś moc niewidoma. Pojednany z Bogiem i sumieniem, Bolesław umiera. Idea wyrozumiałości i tolerancyi, przeciwstawiona fanatycznemu rygorowi, duch — literze Pisma, nadaje podniosłość tej pracy, której słusznie przyznano nazwę „poematu“ dramatycznego. Jest w niej istotnie dużo poezyi i dużo myśli pięknych, obrazowo wyrażonych, dla których łatwo się wybacza zbyt długie niekiedy przemowy.

„Mnich“ został ogłoszony drukiem w Warszawie z datą r. 1830, ale w kołach literackich znany był o wiele wcześniej, gdyż Mickiewicz już w pierwszej połowie r. 1829 oń się dopytywał Odyńca.

W „Mnichu“ mamy już człowieka występnego, nie tak jak w „Klarze“ i „Anieli“; lecz i ten występny, ukarany strasznym upadkiem, oczyszczony cierpieniem i zwycięstwem nad sobą, doznaje ubłogosławienia. Pomiędzy zakonnikami znajdują się formaliści, którzy po usłyszeniu wyroku Rzymu odsuwają się od wyklętego, ale i ich oskarżać jeszcze nie można; spełniają tylko to, do czego się zobowiązali; wśród nich jaśnieje postać Adalberta, pełna zapału, wyrozumiałości na grzechy ludzkie i wyższego poglądu na zadanie religii.

W roku 1826 napisał Korzeniowski „na prośbę jednej

damy, niby odpowiedź na wyzwanie, w którem wynoszono tragedyę klasyczną nad romantyczną dla trudności formy" [1]) pięcioaktową sztukę w formie zupełnie klasycznej p. t. „Pelopidowie". Była ona przedstawiona w teatrze warszawskim 28 stycznia 1830 roku, ale wielkiego powodzenia nie miała; odegrano ję potem dwa razy tylko [2]). Treść i dwa wyjątki z tej tragedyi pomieścił „Pamiętnik sceny warszawskiej" na rok 1840 (str. 66—72), redagowany przez Karola Wittego. Osnowa mieściła w sobie dużo okropności i zbrodni. Jedność czasu, miejsca i akcyi zostały tu zachowane jak najskrupulatniej, a długie, retoryczne tyrady, antytezami wypełnione, miały być jej ozdobą.

Oto jej treść, jak ją „Pamiętnik" podał: Na fałszywą wieść, że król Pelops w wyprawie przeciw nieprzyjaciołom zginął, Hippodamia, jego żona, z dwoma synami, Atreuszem i Tyestem, lękając się, aby Chryzyp, syn Pelopsa z pierwszej żony, nie posiadł tronu ojca, postanowiła zmusić go do ustąpienia z domu. Przybywa Pelops i dowiaduje się o nikczemnym zamiarze żony i własnych dzieci, od Kratynusa, nauczyciela niegdyś Chryzypa. Stąd zapala się wojna domowa. Pelops skazuje na wygnanie Atreusza i Tyesta. Ci pewni, że oskarżenie pochodziło od Chryzypa, uknuli spisek na jego życie i dokonali czynu, a miłość Atreusza do Europy, przeznaczonej Chryzypowi, zaostrzyła jeszcze sztylet bratobójców.

Charakter dykcyi i nastrój ogólny można poznać dostatecznie ze sceny ostatniej, w której Kratynus woła: „Ojcze, godny litości!" a Pelops odpowiada:

. . . . O chwilo straszliwa!
Nikczemny, kto cię dożył i śmierci nie wzywa!
I na cóż mi się przyda i życie i chwała,
Na którą lat trzydzieści ta dłoń pracowała?
Dla szczęścia dzieci moich walczyłem z zapałem
I tę ziemię imieniem swem zaludnić chciałem.

---

1) Zob. artykuł M. Gawalewicza: „Korzeniowski o sobie — z nieznanych materyałów" (w *Bibliotece Warszawskiej*, 1897, zeszyt marcowy, str. 509).

2) Zob. Dr. Bronisław Czarnik: „Korzeniowski i teatr lwowski, 1822—1841". (Lwów 1896, str. 63).

O! fałszywe nadzieje! płonne urojenia!
Jeden piorun te gmachy w pustynię zamienia;
I ja straciwszy laury i nadzieje swoje,
Wśród tej ciszy ponurej, jak dąb zeschły, stoję.

Taki sam charakter deklamacyjny miała niewątpliwie i druga 5-aktowa, w smaku klasycznym napisana, tragedya p. t. „Bitwa nad Mozgawą“, którą razem z poprzednią miał w ręku F. H. Lewestam, przygotowując do druku zbiorowe wydanie „Dzieł“ Korzeniowskiego, ale ich tu nie pomieścił, nietylko dlatego, że autor zabronił stanowczo je ogłaszać, lecz także dlatego, że przez ich ogłoszenie „lichą tylko jego sławie“ wyrządziłoby się przysługę. „Nie chcemy przez to powiedzieć — dodaje Lewestam — żeby i w tych utworach nie widniał gdzieniegdzie talent autora; lecz niemniej widocznie pozostawał talent ten wówczas w krępujących więzach klasyczności francuskiej, a znowu dość jeszcze nie był spotężniał, iżby się mimo pęt tych na przebój wydobyć zdołał na jasną swobodę ducha“ (XII, 366).

W dwu innych dramatach, napisanych w Krzemieńcu, także występują ludzie źli i przewrotni; także się pojawiają uczucia nienawiści i zbrodnie. Korzeniowski rozszerzył widnokrąg dramatyczny, i nie uchybiając celowi moralnemu, o który mu w rozprawie „o patetyczności“ tak chodziło, większą rozmaitość charakterów wprowadził do swych utworów.

Dwa te dramata, to: „Dymitr i Marya“ (r. 1827), oraz „Piękna kobieta“ (r. 1829). Oba wyszły z druku dopiero w drugim okresie twórczości Korzeniowskiego, ale z wewnętrznych cech zarówno, jak z czasu napisania, należą do pierwszego.

W „Dymitrze i Maryi“ mamy odtworzony wątek „Maryi“ Malczewskiego, z zachowaniem imienia bohaterki, godności ojca bohatera, z przemianą Wacława na Dymitra, miecznika na „Szlachcica“, którego Wojewoda nazywa w pasyi „żebrakiem“, „nędzarzem“; z dodaniem postaci Stefana, faworyta Wojewody, rywala Dymitra co do Maryi, człowieka przewrotnego, mszczącego się za rekuzę, ale umierającego mężnie, oraz Cyganki, występującej jako wszechwiednie i wszędzie obecne bóstwo, które doznało niegdyś krzywdy od Wojewody, a teraz nasyca się widokiem jego nieszczęść. W charakterze Maryi uwydatniona łagodność, czułość, skłonność do smutnych przeczuć, determinacya w chwilach stanowczych. Dymitr to

młodzieniec namiętny, energiczny, pod koniec dopiero staje się jakimś dziwnym melancholikiem. Wojewoda, ambitny, gwałtowny, ledwie uhamować się mogący, jest może najżywszą, najplastyczniejszą, najprawdziwszą figurą. „Szlachcic“ bardzo niewyraźny, przeczuciami smutnemi dręczony (rys powtarzający się w jego córce), w końcu łagodnie obłąkany, czyni przykre wrażenie. Pomimo, że sytuacye są tragiczne, nie robią efektu tragicznego; zamała jest głębia namiętności w Dymitrze i za mało siły posiadają jego słowa. Akcya idzie równo i dobrze; za mało tylko jest gradacyi w natężeniu stopnia niebezpieczeństwa. Widocznie rzecz była starannie opracowana, lecz brak jej tchnienia talentu wyższego oraz głębszego uczucia, brak tej bezpośredniości artystycznego wrażenia, którąby czytelnika porywała. Utwór ten został napisany wierszem rymowanym jedenasto-zgłoskowym; jest on poprawny, ale jakby spętany, nie toczy się gładko. Styl pełen godności; czasami bardzo nienaturalny, niekiedy nawet w swym uroczystym nastroju śmieszny.

Może świadomość tych ujemności dykcyi, które wywołane były, jak się zdawało, wymaganiami wiersza, skłoniły Korzeniowskiego do nowej próby w zakresie dramatu, do skreślenia prozą „Pięknej kobiety“. Użycie prozy w dramacie było względną tylko nowością, bo Niemcewicz jeszcze w roku 1792 w ten sposób swego „Kaźmirza W.“ napisał. Ale Korzeniowskiemu szło głównie o większą swobodę wyrażenia i o zbliżenie się do prawdy i naturalności w odtwarzaniu powszednich stosunków życia, w których się przecie wierszem w rozmowie nie posługujemy. Prócz tego autor pragnął wystawić namiętności silniejsze, niż dotychczas przezeń malowane, oraz wyobrażenia i postępki, które daleko od ideału moralności pozostawały. Obrał w tym celu otwarcie obce życie, z polskiem żadnego nie mające związku. Rozczytywanie się w Szekspirze wpłynęło zarówno na kompozycyę, jak na wybór osób, tryb prowadzenia akcyi, rodzaj porównań i wysłowienia wogóle. Wątek „pięknej kobiety“ jest ten sam, co i dramatu Roberta Greena, współcześnika Szekspira, p. n. „Mnich Bakon“ *(Friar Bacon)*, tylko nazwiska są różne, sposób sprowadzenia katastrofy i zakończenie odmienne. U Greena książe Walii, późniejszy Edward I., pokochawszy córkę leśniczego Małgorzatę, wysyła do niej hrabiego Lincolnu, z listem i podarkiem, by ją

nakłonić ku sobie. Hrabia, ujrzawszy dziewczynę, rozkochał się w niej, i stoczywszy walkę wewnętrzną, poprosił ją o rękę dla siebie. Scenę tę widzi książe w czarnoksięskiem zwierciedle Bakona, pośpiesza na miejsce, robi wyrzuty hrabiemu, zamierza go zabić, ale usłyszawszy, że Małgorzata nie przeżyje śmierci tegoż, przebacza hrabiemu, wyrzeka się Małgorzaty i oddaje mu ją dobrowolnie. U Korzeniowskiego książę Walii nazywa się królem angielskim Edgarem, hrabia Lincolnu jest hrabią Etelwoldem, Małgorzata jest Elfrydą, synowicą Olgara hr. Devonshiru; o czynie Etelwolda dowiaduje się król nie z czarnoksięskiego zwierciadła, ale od Lesley'a, jednego ze swych wodzów, człowieka przewrotnego i nikczemnego. Elfryda nie jest tak nieposzlakowaną, jak Małgorzata, daje się unieść zalotności i kokietuje króla; dopiero gdy Etelwold poległ z ręki zbójców za wiedzą króla, budzą się w niej wyrzuty, odtrąca Edgarda i gardzi nim.

Prawdopodobną jest rzeczą, że Korzeniowski dramatu Greena nie czytał i osnuł swój utwór na jego streszczeniu w jakiejś historyi literatury, albo też na anegdocie poznanej w zbiorze podań z dziejów angielskich. W każdym jednak razie dramata Szekspirowskie oddziałały silnie na całą robotę, nadały jej cechę brawurowej niemal śmiałości, uzuchwaliły skromnego poetę do odtwarzania rozpustnych rozmów dworaczych, a stylowi przyprawiły skrzydła, których jeszcze autor należycie użyć nie potrafił.

W zakresie dramatycznym nie doszedł tedy Korzeniowski w pierwszym okresie twórczości swojej do zupełnego zapanowania nad kompozycyą i dykcyą, próbował tylko ciągle różnych środków celem jak najlepszego wypowiedzenia swych pomysłów; od deklamacyi pseudo-klasycznej w poważnym aleksandrynie, doszedł stopniowo aż do gorączkowej prozy, zuchwałemi przenośniami przetykanej; od skrępowania prawidłami trzech jedności — do zupełnego od nich wyswobodzenia się: ale nie stworzył takiej całości artystycznej, którąby mogła całkowicie zadowolić wymagania smaku; a w charakterystyce postaci obracał się ciągle w szczupłym jeszcze zakresie, chociaż go powoli rozszerzał.

Rychlej doszedł do harmonii z sobą samym w dziedzinie poezyi epiczno-lirycznej. Dwa fragmenta poetyckie, ogłoszone w noworoczniku „Melitele", wydawanym przez Odyńca

w Warszawie na rok 1829 i 1830, dały poznać Korzeniowskiego, jako władcę słowa zwięzłego i wyrażającego dokładnie to tylko, co autor chciał wypowiedzieć. Nie miały one przymiotu porywania, entuzyazmowania czytelników, bo talent Korzeniowskiego refleksyjny, skupiony w sobie, nie buchał płomieniem zapału; ale dla rozważnych wielbicieli piękna przedstawiały zwięźle,ześrodkowane umiejętnie i kształtnie uczucia i myśli, silnie pobudzające do zastanowienia nad duszą ludzką. Fragment, mówiący o losach dwu młodzieńców, z których jeden pragnął pola szerokiego do czynów, drugi — dla myśli, jak zmarnowali swe szczęście i szczęście kobiet, które im zaufały, mniej jest skoncentrowany, mniej też oddziaływa na wyobraźnię. Ale fragment, w którym zakonnik opowiada młodzieńcowi o swych nieszczęściach, o poświęceniu dla przyjaciela, o ciężkich dniach przepędzonych z tego powodu, o wydarciu mu serca żony przez tegoż przyjaciela i o zemście na obojgu wymierzonej, — należy do najdoskonalszych w swoim rodzaju opowiadań i wzrusza głęboko. Żadne tu słowo nie jest zbyteczne, żadne porównanie naciąganem lub niewłaściwem nazwać się nie może, a wiersze, jakkolwiek nie należą do najświetniejszych, są jednak płynne, poprawne i dźwięczne. Tu rodzaj uczucia, właściwego Korzeniowskiemu, głębokiego, lecz w swych objawach małomównego, najlepsze znalazł uzewnętrznienie; forma zupełnie odpowiedziała treści.

* * *

Roztoczone tu szczegóły wyjaśniają, jak mi się zdaje, dostatecznie, dlaczego Korzeniowski nie stanął w szeregach bojowników romantyzmu, dlaczego nie puścił cugli wyobraźni i uczuciowości, lecz je trzymał w silnej garści rozsądku. Gdyby posiadał talent genialniejszy, mógłby był zająć stanowisko wybitne wśród walczących z sobą stronnictw literackich; ale że skala jego zdolności nie sięgała tych wyżyn, mógł tylko swoją własną samoistność indywidualną zachować, i to jeszcze z niezupełną pewnością siebie, objawiającą się w ustawicznem szukaniu ideału formy, któraby jego usposobieniu najlepiej odpowiadała.

CZĘŚĆ DRUGA.

(1832—1850).

I.

Od końca r. 1831 położenie i nastrój piśmiennictwa naszego ogromnej uległy zmianie. Najznakomitsi, najbardziej wpływowi pisarze zamieszkali za granicą i rozwinęli tam tę świetną działalność, która stanowi najpiękniejszy okres w dziejach naszej twórczości. Wówczas to wyszły na świat po raz pierwszy dzieła, będące najcenniejszymi jej nabytkami; kto przejrzy choćby pobieżnie bibliografię z czasu, o którym mówię, łatwo znajdzie potwierdzenie wypowiedzianego tu zdania. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Bohdan Zaleski, Goszczyński, Garczyński, Pol, Trentowski, Lelewel, spółcześnie lub jedni po drugich ogłaszali utwory coraz podnioślejsze pod względem myśli, coraz doskonalsze pod względem formy.

Z pierwiastkową, naiwną romantycznością, od której rozpoczęło się odnowienie literatury, wielcy poeci zrywają mniej lub więcej stanowczo, podejmując najżywotniejsze zagadnienia życia współczesnego, które musiało się naturalnie wyrażać w sposób sobie właściwy, od fantastyki ludowej daleki, a zbliżony do wymagań umysłów nowożytnych. Polityka i socyologia wchodzą do poezyi jako nieodzowne, składowe jej pierwiastki i czynniki, nadając twórczości poetów interes głęboki, z ruchem cywilizacyjnym najściślej związany.

Powstają, nieodbitą koleją rozwoju pojęć, wprost sobie przeciwne przekonania i poglądy, które wytwarzają stronnictwa: arystokratyczne, demokratyczne i religijno-mistyczne.

Z stronnictw tych do roku 1850 najwięcej znaczenia popularności i wpływu ma demokratyczne, które pozyskawszy

gorliwych i namiętnie do sztandaru swego przywiązanych wyznawców i apostołów, opanowuje umysły młodzieży i rzuca pewną lękliwość w szeregi starszego pokolenia, nie śmiejącego częstokroć wyjawić swoich odmiennych zapatrywań. Wyzwolenie ludu ze wszystkiemi jego konsekwencyami, a więc między innemi i z obniżeniem a nawet zaprzeczeniem stanowiska „klas uprzywilejowanych", staje się hasłem tego stronnictwa, hasłem jednającem mu najwięcej sympatyi i dającem wybitne stanowisko społeczne. Z tem hasłem łączy się zaraz drugie: emancypacya kobiet, i trzecie — najogólniejsze: bezwzględna swoboda myśli, rozbioru krytyki z pominięciem wyobrażeń i form tradycyjnych we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Filozofia niezależna od teologii była najświetniejszą tej swobody myśli wyobrazicielką. Kto chciał uchodzić za postępowca, musiał hasła te wyznawać i głosić, stosując do nich swe słowa i pisma.

Tymczasem w samym kraju, opuszczonym przez pisarzów genialnych, i nie mogącym wypowiadać głośno i wyraźnie życzeń i pragnień swoich, musiała literatura poprzestać na tematach powszednich, na przerabianiu myśli i obrazów, które jej romantyka z przed roku 1831 pozostawiła w spadku, albo też na kreśleniu sytuacyi, nastręczanych przez stosunki codzienne, kręcące się w nader szczupłem kółku. Do roku 1841 panuje w niej apatya, cisza albo miernota. Brodziński, słaby i znękany, ledwie daje znaki życia duchowego w „Jutrzence" i „Magazynie Powszechnym", i w r. 1835 umiera; Fredro, zrażony krytyką, milknie około tegoż samego czasu. Gdyby nie Kraszewski, który z młodzieńczą werwą i nieopatrznością rzucał paradoksy lub jaskrawo oświetlał lichotę i niedołęstwo spółczesnego sobie pokolenia na wsi i w miastach; gdyby nie Goszczyński i grono poetów galicyjskich (Bielowski, Siemieński, Borkowscy), oraz K. Wł. Wójcicki, którzy silnym zwrotem do ludowo-narodowego pierwiastku w twórczości poetyckiej budzili uśpione umysły; gdyby nie Michał Grabowski, który rozbiorami krytycznymi do zastanawiania się nad duchem piśmiennictwa zmuszał; — nie byłoby w owej dobie nic do powiedzenia o literaturze pięknej w kraju. Dopiero od r. 1841 ożywia się twórczość. Rozrost czasopiśmiennictwa, wystąpienie na widowni literackiej całego szeregu młodzieńców i kobiet z wrącym talentem i wielce entuzyastycznem uspo-

sobieniem, przejęcie się ideami za granicą wyrobionemi, skupienie sił w pewnych oznaczonych kierunkach wywołało ruch myśli znaczny. Nie wydał on wprawdzie takich utworów, któreby można było porównać z dziełami wielkich poetów, za granicą piszących; ale do rozszerzenia oświaty, do wstrząśnięcia umysłów i zainteresowania ich ważnemi zagadnieniami przyczynił się potężnie. Powstały i w kraju dwa stronnictwa: zachowawczo-arystokratyczne i postępowo-demokratyczne. Na czele pierwszego stała t. z. „pentarchia", zgrupowana około „Tygodnika petersburskiego", t. j. Henryk hr. Rzewuski, Michał Grabowski, ks. Ignacy Hołowiński, Józef E. Przecławski i Ludwik Sztyrmer. Drugie nie miało tak ściśle ze sobą związanych przewódców; ale było liczniejsze i rozporządzało większą ilością organów: „Tygodnik literacki" w Poznaniu, „Dziennik mód paryskich" we Lwowie, „Przegląd warszawski": „Nadwiślanin", „Przegląd naukowy", a po większej części i „Biblioteka Warszawska" w Warszawie. „Gwiazda", wydawana naprzód w Petersburgu a potem w Kijowie przez t. z. „tryadę" t. j. Jakóba Jurkiewicza, Zenona Fisza i Antoniego Marcinkowskiego — stały otworem dla pism postępowców, liczących niewątpliwą większość wśród ówczesnych literatów.

Jakież stanowisko zachował Korzeniowski wobec tego nowego ustosunkowania się sił duchowych w społeczeństwie? Znając już jego zasadnicze usposobienie, łatwo przewidzieć, że do żadnego stronnictwa wyraźnie i bez zastrzeżeń się nie przyłączył, lecz jak wśród walki romantyków z klasykami, tak teraz wśród walki postępowców z zachowawcami utrzymał pośrednie, nie wybitne wprawdzie, nie wpływowe bynajmniej, lecz samoistnie wyrobione sobie miejsce.

Jego religijność, lubo nie formułkowa, lecz wcale nie lekceważąca form, oddalała go od postępowców, którzy czcili i wielbili chrześcijaństwo, ale pojęte duchowo tylko, wykładane nieraz symbolicznie i allegorycznie, a w każdym razie indywidualnie; równocześnie jednak nie zbliżała do grupy konserwatystów z „Tygodnika petersburskiego", gdyż miała w sobie zbyt dużo wyrozumiałości i tolerancyi, podszyta była umiarkowanym liberalizmem. Ten właśnie liberalizm, zastosowany do oceny wartości różnych warstw społecznych, odpychał go od zachowawców, którzy w arystokracyi jedynie widzieli filary narodowości i dobrego porządku; ale nie mógł zjednoczyć

z demokratami, którzy szlachtę i klasy uprzywilejowane w czambuł potępiali, na zagubę skazywali, gdy tymczasem Korzeniowski, chociaż ostro wytykał błędy i nikczemności t. z. „wyższego“ towarzystwa, nie myślał upatrywać jedynego zbawienia w ludzie, a sam osobiście daleko chętniej lubił przebywać w gronie ucywilizowanem.

Stąd to Goszczyński, kreśląc w r. 1835 swoją pamiętną „Nową epokę literatury polskiej“, przepowiadał Korzeniowskiemu, że próby jego dramatyczne „nie rokują pisarza; który ma stworzyć dramat naszemu *ludowi* właściwy“, tak jak lekceważąco talent Fredry oceniając, nazwy poety narodowego mu odmówił. Stąd też w dalszych latach postępowcy te tylko utwory Korzeniowskiego podnosili wysoko, które z ich dążnością harmonizowały, inne mianując miernotą. Więc „Karpaccy Górale“ wywoływali wśród nich okrzyki uwielbienia; szczególniej zaś „Żydzi“. Edward Dembowski, najbardziej krańcowy z krytyków demokratycznych, bez ogródki powiedział, że komedyą tą Korzeniowski się „unieśmiertelnił“, a w motywach wskazał, co mu właściwie w niej się podobało tak dalece, że nawet wady kompozycyi przesłoniło. „W niej — powiada — wystawia mistrzowsko *szachrajstwa magnatów wołyńskich*, których dla ich niecności żydami nazywa. Pod względem techniki scenicznej, żywości dyalogu i skreślenia charakterów Żydzi nic do życzenia nie pozostawiają i są bez zaprzeczenia najlepszą dotąd napisaną polską komedyą“ („Piśmiennictwo polskie w zarysie“, 1845, str. 367). Za Dembowskim powtórzył tęż opinię o „Żydach“ Jan Majorkiewicz, chociaż był to umysł znacznie umiarkowańszy. Korzeniowski — mówi on — „pierwszy pokazał, co to jest komedya ze *znaczeniem społecznem*, pierwszy się podniósł odrazu i śmiało na stanowisko komiki wyższej“ („Historya, literatura i krytyka“, wydanie 2-gie 1850, str. 343).

Zajmowanie się światem salonowym z zaniedbaniem ludu wyrzucali Korzeniowskiemu postępowcy jako grzech nie do przebaczenia. Ażeby poznać atmosferę, wśród której autor nasz tworzył, trzeba odczytać choć jeden z tych głosów oburzenia. Zapomniany dziś prawie, lecz w swoim czasie dość głośny publicysta, Józef Bohdan Dziekoński, pisząc recenzyę „Spekulanta“, wołał: „Tło tej powieści, duch w niej wiejący nie są nasze. Ten świat konwencyonalny, bogaty i na jedną

skalę ukształcony, chłodny i egoistyczny, wszędzie dziś jest jednostajny! wszędzie jednostajnie spekuluje i przeżywa swoje szczęście i nieszczęście. Nie odpowiada on ani potrzebom czasu, ani położeniu naszemu; zatarta już w nim przez połowę krajowa indywidualność i dlatego nie wzbudza silnie naszej sympatyi. Świat ten bardzo przecież, na naszą pociechę, jest nieliczny i w końcu zawsze znajdzie w dostatkach i kupionem szczęściu odrętwienie. Całe spółczucie nasze należy się biedniejszej, ale jakże liczniejszej kaście, czysto naszej, miejscowej; — ale tego nie napotykamy i śladu w stiukowych ścianach i kobiercami wybitych posadzkach salonów powieści p. Korzeniowskiego" („Dzwon literacki", 1846, t. II, 163).

I jeszcze jedno pojęcie głęboko różniło entuzyastycznych postępowców od Korzeniowskiego: był to mianowicie pogląd na miłość i emancypacyę kobiet. Autor nasz, zgodnie ze swoim temperamentem i wyobrażeniami, w których wzrastał chociaż wysoko stawiał uczucie miłości, nie był jednak jego romantycznym bałwochwalcą, nie przypuszczał, ażeby ono mogło być jedynym drogoskazem życia, jedynem prawem, któremu ludzie bezwarunkowo zawsze posłuszni być powinni; nie sądził też, żeby niepodobna było uczucia tego pokonać w sobie, gdy względy wyższe, obowiązek np., tego wymagają; nie godził się również na doktrynę, że pierwsze uczucie jako instynktem wskazane jest zarazem najprawdziwsze, najgłębsze, którego złamanie pociąga za sobą zwichnienie życia całego. Otóż pod tym względem postępowcy nasi owocześni byli wprost przeciwnego przekonania; będąc w tym punkcie najzupełniejszymi romantykami, wyznawali kult miłości i zawzięcie, fanatycznie bronili jej całkowitej swobody i nienaruszalności. Że miłość podzielana prowadzi na szczyty zasług i chwały, stając się pobudką najszlachetniejszych czynów; miłość zaś zawiedziona strąca ludzi w otchłanie bez wyjścia — stanowiło to dla naszych entuzyastów-romantyków dogmat, w którego obronie walczyli nieustraszenie, pewni uznania najzupełniejszego ze strony płci pięknej.

To też gdy Korzeniowski przedstawił w „Spekulancie" omyłkę serca Klary i rozwinął myśl, że rodzice lepiej częstokroć widzą warunki rzetelnego szczęścia swych córek aniżeli one same, uwiedzione poszeptem budzącego się po raz pierwszy serca i nie umiejące jeszcze odróżniać wdzięcznych pozo-

rów od przerażającej prawdy, wystąpili przeciwko tej tendencyi entuzyaści warszawscy w ostrych, potępiających słowach. Wzmiankowany już Józef Bohdan Dziekoński streścił ironicznie „sens moralny" powieści Korzeniowskiego, powiadając, że ma ona dowodzić, „jak dalece miłość na świecie jest niepotrzebną, ponieważ zawodzi, a posłuszeństwo bezwarunkowe uszczęśliwia, bez względu na uczucie nawet odrazy", i żałował mocno, że nie zyska ona „serca czytelników", któregoby mogła być pewna, gdyby zgodniejsza była z dążeniem „wyzwolenia słusznych żądz ludzkiego ducha od ciążących na nim odwiecznych praw niesłuszności".

Równocześnie głośna już wtedy i wielbiona przez młodzież Gabryela (Narcyza Żmichowska) przesłała z Podlasia list do redakcyi „Przeglądu naukowego" (r. 1846, t. III, str. 828 do 836), w którym z właściwą sobie ironią, przenikniętą poważnemi spostrzeżeniami, uderzyła również na sposób traktowania miłości przez Korzeniowskiego. Nie wychodząc bynajmniej ze stanowiska emancypacyjnego, ażeby nie komplikować sprawy, lecz owszem, powołując się niby na pojęcia tradycyjne, pisała: „Mama powiada, że uczucie jest najwyższą niezależnością, przysięga świętością najwyższą, że jak mama ani kochać sercem swojem, ani przysięgać ustami swemi za dzieci nie będzie, tak też na ich wolę zdaje kochanka i ślub; bo mama z dzieciństwa kształciła w nas córkach wszystkie ku dobremu skłonności, rozwijała władze sądzenia i ocenienia; a teraz gdy czas użycia tych władz i skłonności już nadszedł, mama utrzymuje, że jej pozostał tylko współudział w złym lub dobrym losie naszym, nierozdzielność szczęścia lub niedoli, ale że prawo samolubnego zabezpieczenia się o naszej przyszłości według pewnych sobie wiadomych warunków odpadło od niej. To utrzymuje mama nasza bardzo godna, bardzo szanowana, bardzo moralna osoba, którąby pewnie dziecka swojego z postronną miłością w sercu pod obcy dach męża nie wyprawiła, choćby ten mąż był jeszcze lepszy niż pan Marszałek". A uczyniwszy inne nadto uwagi o Klarze, jej matce i panu Marszałku, zakończyła stanowczem zdaniem, że „autor nie zna kobiety matki, nie zna kobiety córki, nie zna kobiety żony i kochanki", poczem dodała: „Autor dla dowcipnego słówka poświęcił nieraz godność naszego charakteru, autor sobie z nas żartuje: w ideał przybrał uległość Chorążyny dla głupiego męża, w zdro-

żność wolne uczucie Klaruni dla człowieka, o którego niegodziwości bez przekonania na słowo jej wierzyć każą, a nakoniec przymieszał jeszcze dwa grana próżności miłującej wystawność i trzy uncye nudów, żeby wesprzeć jej drugie szlachetniejsze, małżeńskie kochanie — och! to musi być złośliwy człowiek ten pan Korzeniowski!“

Dzisiaj, chociaż można również obok spóźnionych ech romantycznych usłyszeć z całkiem innych motywów wypływającą obronę „wolnego uczucia“ czyli inaczej „instynktu“; większość przecież gotowa stanąć po stronie Korzeniowskiego, i nie pochwalając bynajmniej przymuszania córek do małżeństwa, zaprzeczyć nieomylności pierwszego wrażenia czy popędu, choćby już tylko z uwagi, iż społeczeństwo dzisiejsze wskutek swego życia cywilizacyjnego, opartego na wzroście refleksyjnej strony umysłu, nie może liczyć na trafność instynktu zwierzęcego. W czasach atoli, o których mówimy, lubo nie brakowało ludzi trzeźwo myślących, lubo i w belletrystyce pojawiały się niekiedy poglądy na miłość, zgodne z myślą Korzeniowskiego, jak np. w psychologicznych powieściach Sztyrmera; hasła przecież romantyczno-entuzyastyczne zbyt były potężne, ażeby dać możność wydobycia się na jaw w literaturze owym zapatrywaniom chłodniejszym i rachującym się ściślej z rzeczywistością. Korzeniowski tedy w opinii młodzieży nie mógł się wybić na stanowisko wydatne; patrzano nań z nieufnością, jako na zacofanego w pojęciach, a gdy się ukazały takie powiastki, jak „Panna postępowa“, w której potępiał poświęcanie się kobiet spekulacyom filozoficznym, jako wysuszającym uczucie, lub jak „Ksiądz gwardyan“, gdzie opowiadał cudowne nawrócenie się niedowiarka — to nieufność wśród postępowców wzrosnąć tylko mogła.

Tym sposobem się stało, że Korzeniowski, który od lat już tylu pracował, będąc rówieśnikiem twórców nowego kierunku w literaturze, nie mógł uzyskać przewodniczącego wśród rzeszy piszącej w kraju stanowiska, a o wiele młodsi od niego, że tylko o Kraszewskim nadmienię, daleko rychlej rozgłośną sławę i wpływ pozyskali.

Jak umysł twórczy powoli się w nim rozwijał, tak i znaczenie jego w piśmiennictwie zwiększało się zwolna, mozolnie, ulegając czystym przemianom opinii, które go to wynosiły, to spychały na dół. W tej drugiej dobie twórczości swojej

musiał Korzeniowski wypracowywać sobie uznanie i nie zdołał go niewzruszenie ustalić nawet przed rokiem 1850. Jest to tedy okres usilnej pracy, wśród której nieraz opanowywało go zniechęcenie, gdyż oprócz zarzutów ze względu na stanowisko filozoficzno-społeczne, spotykały go bardzo surowe oceny ze strony czysto artystycznej. Nie występuje więc tu jeszcze Korzeniowski jako pewny i siebie i wpływu na społeczeństwo działacz, lecz jako pisarz, w trzech dziedzinach: dramatu, komedyi i powieści *dobijający się* usilnie wydatnego w literaturze miejsca.

II.

Warunki, wśród których wypadło Korzeniowskiemu po raz już drugi wywalczać sobie uznanie w literaturze, były obecnie przez kilka lat bardzo niepomyślne. Zaledwie się wywikławszy ze sprawy studenckiej, w którą jako profesor wizytujący z obowiązku mieszkania uczniów w Krzemieńcu był wciągnięty, ujrzał niebawem zamknięcie liceum i przelanie jego funduszów i zbiorów do nowo tworzącego się uniwersytetu w Kijowie. Przeniesiony na posadę profesorską do tegoż uniwersytetu, wykładał w nim z początku ten sam przedmiot co w Krzemieńcu, to jest wymowę i poezyę, wkrótce jednak musiał przygotowywać sobie kurs całkiem inny, mitologii klasycznej i starożytnościom rzymskim poświęcony. Gdy się już cokolwiek zżył z nowymi stosunkami, gdy myśląc o dłuższym pobycie w Kijowie, wybudował sobie skromny domek przy ulicy Lipki, na pomieszczenie rodziny wystarczający, otrzymuje rozkaz wraz z kilku innymi profesorami b. liceum krzemienieckiego, opuszczenia uniwersytetu św. Włodzimierza i przeniesienia się do Charkowa na posadę dyrektora gimnazyum. Po tylu latach, pełnych zmian i niepewności, dopiero ośmioletni pobyt w Charkowie (1838—1846) dał autorowi naszemu odetchnąć trochę swobodniej i, jakkolwiek bynajmniej nie zadawalniał pragnień serca, pozwolił przecie pracować fantazyi na ulubionej dziedzinie.

Oczywiście dramat był u niego na pierwszym planie. Myśli jego krążyły najchętniej w tej sferze, tem bardziej gdy widział, że rodzaj ten literacki uprawiany był z coraz większą usilnością w literaturze europejskiej. Do dawniejszych wzorów,

na których się kształcił, a które wielbił i teraz, przybywały z rokiem każdym dramata francuskie Wiktora Hugo, Aleksandra Dumasa (ojca) i wielu innych. Z powodu niezbyt łatwej komunikacyi, nowe te dzieła nie mogły przybywać rychło do Kijowa czy Charkowa, lecz przybywały w końcu i budziły w umyśle dramaturga pomysły żywszej akcyi, oryginalnej, lub przynajmniej świeższej intrygi, niespodziewanych efektów i żywego, dowcipnego dyalogu. Temperament naszego autora nie pozwalał mu przyswoić sobie namiętnego sposobu malowania uczuć, lecz w udoskonaleniu techniki dramatycznej niewątpliwie szukał wskazówek w utworach francuskich, a w pomysłach spotykał się z niemi dość często.

W literaturze polskiej jedynym natenczas prawdziwie genialnym przedstawicielem dramatu był tylko Juliusz Słowacki, gdyż wielkie nadzieje, jakie na Dominiku Magnuszewskim pokładano, nie ziszczały się. Ale sławy Juliusza nie należy sobie wyobrażać w takiej mierze, jakiej dosięgła ona w czasach nowszych; przeciwnie, szczupłe wtedy tylko grono młodzieży unosiło się nad autorem „Maryi Stuart“, „Mazepy“, „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“; ogółowi zaś pisma jego po większej części obce nawet były.

Że Korzeniowski czytał utwory Słowackiego, przynajmniej niektóre, mamy na to świadectwo wyraźne we własnem jego zeznaniu, ale zeznanie to świadczy zarazem, że ich bardzo wysoko nie stawiał, umieszczając je na tym samym, co własne, poziomie. Ciekawy ten dokument wart jest przejrzenia, jako bardzo mało znany, a odsłaniający nam pogląd Korzeniowskiego na literaturę jemu spółczesną.

W lutowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“ z r. 1844 ukazały się „Sceny w różnych miejscach“ przez Ambrożego Ambrożkiewicza. Pseudonimem tym osłonił się Korzeniowski dla wypowiedzenia w formie rozmowy z redaktorem i współpracownikami „Biblioteki“ spostrzeżeń swoich o piśmiennictwie w ogóle a o komedyi Fredry „Mąż i żona“ w szczególności.

Nie był on ślepy na braki ówczesnych wydawnictw, wiedział, że dzieła naukowe u nas nie wychodziły, ale dodawał, że wychodzić nie mogły „dla dwudziestu czterech przyczyn“; uznawał, że w literaturze pięknej są słabizny, ale uważał, że to, „co się drukuje, jest swojskie i samorodne“, poczytując to

za „krok olbrzymi i najpiękniejszą wróżbę nadal“, bo, jak objaśniał, „niemałego potrzeba było wysilenia, żeby odrzucić cudzoziemskie paski, żeby wyleźć z francuskich i niemieckich pieluszek“.

Jednę wielką dostrzegał przeszkodę, tamującą prawidłowy rozwój piśmiennictwa, a mianowicie brak sumiennej i bezstronnej krytyki, gdyż my „umiemy tylko albo przechwalić bez miłosierdzia, albo zganić bez miłosierdzia“. Proszony przez rozmówców swoich, wypowiedział sąd o wszystkich piszących, oparty na ponownem odczytaniu ich dzieł, jak zapewniał. Na pierwszem miejscu postawił dwu wielkich poetów (Mickiewicza i Krasińskiego, a może Bohdana Zaleskiego) i „najznakomitszą a godną uwielbienia kobietę“ (niewątpliwie Klementyną z Tańskich Hofmanową). Na drugiem miejscu: Aleksandra Fredrę, Goszczyńskiego, Słowackiego („autora *Żmii*“), Witwickiego i... siebie. Trzecie miejsce w sądzie naszego autora otrzymali: Grabowski, Kraszewski, Rzewuski, Hołowiński, Chołoniewski, Czajkowski, Olizarowski, Placyd Jankowski, Chodźko, Przecławski, Tyszyński, Bujnicki, Ziemięcka, Sztyrmer. Inni, jak Odyniec, Siemieński, Bielowski, byli przezeń uważani za tłómaczów przeważnie, a o niektórych świeżo wtedy w piśmiennictwie występujących radził wstrzymać się ze zdaniem, dopóki w całości talentu swego nie rozwiną.

Ugrupowanie powyższe nie może zapewne rościć sobie prawa do nazwy zupełnie trafnego; zestawione w niem osobistości są bardzo różnej miary talentu; ażeby jednak właściwie je ocenić, trzeba wiedzieć, że druga i trzecia grupa chronologicznie tylko były od siebie oddzielone; w drugiej mieszczą się pisarze, którzy już przed rokiem 1831 pisać zaczęli, a w trzeciej ci, którzy na widownię literacką po tej dopiero dacie wystąpili. Uwzględniwszy te uwagi, będziemy więc mieli dwie tylko kategorye pisarzy: pierwszo- i drugorzędnych. Wśród drugorzędnych nie chciał robić Korzeniowski poddziałów, unikając drażliwości osób żyjących.

Równocześnie z tem ugrupowaniem wypowiedział nasz autor kilka uwag o utworach dramatycznych, w różnicy od wszelkich innych dla wskazania trudności, które dramaturg zwalczyć musi. W innych utworach poetycznych nie bardzo, zdaniem Korzeniowskiego, „obrażamy się niedostatecznością

planu: czego odrazu nie pojmujemy, domyślamy się, bo mamy czas"; przeciwnie „w dramacie każde słowo, każdy ruch jest znaczącym, jest ogniwkiem łańcucha, który się ciągnąć powinien bez najmniejszej przerwy". Plan w dramacie musi być nadzwyczaj starannie obmyślany, gdyż „fałsz w charakterze, fałsz w położeniu jednej z osób odbije się wszędzie i szczegółami z największym talentem oddanymi zagładzić się nie da". To też zwracając się do swoich rozmówców, poetów i romansistów, wołał: „O, nie uwierzycie, panowie, jak tam ciasno na tych pochyłych deskach, śród tych ścian płóciennych; jak zręcznego potrzeba woźnicy, aby ciągłym kłusem pędząc i wykręcając się w tak szczupłych szrankach, nigdzie nie zaczepił i nie wywrócił..."

Uwagi te były oczywiście wynikiem własnych doświadczeń w dziedzinie tak mało natenczas uprawianej, za reprezentanta której w kraju, po zamilknięciu Fredry, mógł z zupełną słusznością podać samego siebie. Reprezentacya nie przychodziła mu łatwo, gdyż obok chwiejności warunków życia codziennego, nie doznawał długo najdzielniejszej zachęty, jaką dla dramaturga jest przedstawianie utworów jego na scenie.

Jeżeli pomnimy „Pelopidów", przedstawianych w Warszawie r. 1830; to zaszczytu reprezentacyi na scenie pierwszy dostąpił dramat: „Dymitr i Marya", grany czterokrotnie we Lwowie r. 1831 i wznawiany w latach późniejszych. Następnie również we Lwowie odegrano w r. 1834 cztery razy „Piękną kobietę", czyli „Piękność zgubą". W dwa lata potem (1836) ukazuje się tamże „Piąty akt", napisany w Kijowie r, 1833, a w latach następnych dość często pojawia się w repertoarze i ugruntowuje się rozgłos Korzeniowskiego jako dramatyka scenicznego.

Sztuka ta nosi na sobie cechy silnego wpływu niemieckiego, a mianowicie dramatów Lessinga, lubo w sposobie prowadzenia akcyi można tu już odczuć lekkie oddziaływanie teatru francuskiego. Z dramatami poprzedniej doby, mianowicie najdawniejszymi, łączy się węzłem powinowactwa wyraźnym, gdyż wszystkie w niej charaktery, aczkolwiek błądzą, są w gruncie najszlachetniejszymi. Zarówno Wacław, który jako sierota znaleziony na ulicy, nie zaznawszy w życiu „głosu ojca, uśmiechu matki, pieszczot siostry", pokochał Elizę z całej duszy „przywiązaniem dziecka, przyjaźnią brata, miłością

kochanka i męża", jak i ta Eliza dobra, przywiązana do męża, kochająca go, a przedewszystkiem głęboko szanująca nawet wówczas, gdy mimowolne, silniejsze od jej rozsądku uczucie wdarło się do jej serca; jak wreszcie hrabia Henryk, będący rzecznikiem potęgi namiętności i nie chcący się cofnąć od podjętego zamiaru poślubienia Elizy, dlatego, że nie samby tylko cierpiał, lecz i ona także, proszący o przyjaźń męża Elizy w chwili, gdy sądzi, że się z życiem rozstaje, — wszystkie te trzy główne osoby dramatu jak i poprzednie (Doktor i służący) są ludźmi zasługującymi na współczucie serdeczne, bo tylko siła wyższa, nieprzeparte uczucie ciągnące ku sobie Hrabiego i Elizę otworzyło przed nimi przepaść, wywołało kolizyę, której usunąć czy zażegnać było niepodobieństwem. Ta właśnie kolizya stanowi węzeł dramatyczny ściśle psychologicznej natury. Hrabia proponuje rozwód, ale Wacław, który całe uczucie sweześrodkował w osobie żony, nie może nawet pomyśleć o takiej możliwości i wyzywa Hrabiego na pojedynek amerykański; los miał rozstrzygnąć o śmierci jednego z dwu współzawodników. Los okazał się dla Hrabiego przychylnym, ale nie potrafił go uszczęśliwić, wola ludzka okazała się nadeń potężniejszą; Eliza chcąc dowieść, że nie myśli samolubnie korzystać ze śmierci męża, wypija podaną sobie truciznę, a wyznając w ostatniej godzinie Henrykowi, że go kochała, powierza mu opiekę nad swemi dziećmi.

Za dużo tu jest niewątpliwie, jak na jeden akt, wstrząśnień i scen gwałtownych; widz musi być niemi ogłuszony, nie może spokojnie rozważać motywów powodujących nagłe czyny, i w końcu czuje się zmęczony i trochę zdziwiony tym zwikłanym kłębkiem uczuć, który sprawia, że Eliza pije truciznę dla zawdzięczenia mężowi ufności w jej cnotę, a wyznaje miłość Henrykowi. Psycholog nie może zaprzeczyć, żeby takie powikłanie w duszy ludzkiej nie istniało; ale krytyk estetyczny musi zrobić zarzut autorowi, że zadużo liczył na refleksyę widza a za mało się rachował z wrażeniami bezpośredniemi. Dyalog jędrny przez zbyteczne ubieganie się za zwięzłością i ciętością stając się naprężonym, lubo pod względem literackim wychodzi bez nagany, na czytelnika i widza działa przytłumiająco. Wolałoby się usłyszeć prawdziwy okrzyk namiętności, niż choćby najlepsze o niej rozumowanie; wolałoby

się, żeby bohaterowie i ich służący mniej dbali o literacką poprawność stylu, a więcej głosowi serca folgowali.

Pierwsze swoje przedstawienie zawdzięczał „Piąty akt“ aktorowi Benzie, z którym Korzeniowski w długiej poufnej zostawał korespondencyi. Odbyło się ono we Lwowie r. 1836 i podobno nie zyskało zbyt wielkiego uznania wśród publiczności. Nie zniechęciło to jednak teatru lwowskiego, który dał niebawem „Dymitra i Maryę“ oraz „Piękną kobietę“. W Warszawie wystawiono „Piąty akt“ w r. 1838.

Opinie ówczesnej publiczności i krytyków znamy dość szczegółowo, dzięki Karolowi Wittemu, niegdyś uczniowi Korzeniowskiego w liceum krzemienieckiem, który właśnie w tym czasie zaczął wydawać swój „Pamiętnik sceny warszawskiej“ i z przykrością widział, że dramat jego mistrza (a w kilka lat potem teścia) nie doznał przyjęcia, na jakie zdaniem jego utwór „najznakomitszego u nas dramatycznego poety“ zasługiwał. „Obecni na przedstawieniu — opowiada on — słyszeliśmy godne pamięci o dramacie tym wyroki, z komiczną gestykulacyą objawione; np. „To byłoby dobre na poezyę, ale nie na scenę“, albo: „Jakiś styl górny jak dla filozofów“, albo: „Ktoby to dzisiaj był tak nierozsądnym, żeby nie przyjął pół miliona za żonę, a wolał umrzeć“, lub nakoniec: „Byłoby to bardzo dobre do literatury“. Z tych zdań — mówi dalej Karol Witte — „nie chcemy nawet żadnego wyciągać wniosku; wyrzekły je usta ludzi bardzo spokojnych na sumieniu. Nie należy przecież sądzić, aby tylko same podobnie głębokie uwagi dawały się słyszeć; nie; — były bardzo gruntowne i godne pięknego dzieła, ale niestety, przeszły z ust do ust lekko a pisma ich nie powtórzyły. Wogóle uskarżano się na poezyę, że jej wiele, a oni nie lubią poezyi, mając gust czysto spekulacyjny. Zjawiło się wszakże w czasopismach kilka recenzyj, obok wielkich pochwał z uwagami w niektórych miejscach może trafnemi, lecz nie bardzo wczesnemi; wspomniano w „Kuryerze“, „Muzeum Domowem“, „Gazecie Porannej“, oddając znowu zasłużone i należne pochwały autorowi, o niezupełnem rozwinięciu dramatu. We wszystkich rozbiorach odgadywano jakąś myśl ukrytą w dramie. Jedni spodziewali się rozwinięcia kiedyś tej myśli w następnych dramatach; inni twierdzili, że jest początkiem czegoś, inni — końcem, którego początku nie znali; a wszyscy w twierdzeniach swoich zdawali się z niejakąś trwogą

i skromnością przystępować do obowiązku; dotknąwszy zaś kilku scen, usuwali się w głąb jak najprędzej, zostawiając na straży i w odwodzie kilka ogólnych frazesów: piękne sceny, wyrażenia, myśli i t. p. Dlaczego tak było: czy nie mieli chęci, czy zamiaru, czy humoru do zgłębienia; czy też może nie cenią poezyi, ale czyste, foremne wiersze? nie wiadomo". Sam sprawozdawca nie dostrzegał w „Piątym akcie" żadnych wad; wszystkie charaktery uznawał za prawdziwe, pełne naturalności, a w prowadzeniu akcyi — prawdopodobieństwo bez naciągania faktów. O Elizie wypowiedział trafne spostrzeżenie: „Ktoby chciał zarzucić niestosowność i nienaturalność jej charakteru, możeby się mylił; zdaje się, że takich kobiet z wyższem wykształceniem i pięknemi zasadami, ale zawsze kobiet — codzień wiele chcący szukać, znajdzie: jako żona i matka ceni honor swój i honor dzieci wyżej nad miłość dla kochanka i nad życie nawet; lecz jako kobieta nie unika sideł; pragnie zapomnieć o Henryku, gdy mogłaby była nigdy go nie mieć w swojej pamięci" (Pamiętnik sceny warszawskiej na rok 1838", str. 154—161).

Jakiekolwiek zresztą wygłaszano zdania o „Piątym akcie", zajmowano się nim przecie, a to bądź co bądź lepsze było od obojętności i milczenia, które Korzeniowskiemu wielce dolegliwe być musiały, gdy widział, że tylu młodszych od niego i wiekiem i okresem pracy autorskiej, rozgłosu już nabyło.

III.

Bezpośrednio po „Piątym akcie" napisanym dramatem, również w Kijowie, była „Dziewczyna i dama", budząca pomimo luźnej budowy, zajęcie niemałe i obfitująca w wiele żywych, rzetelnie dowcipnych dyalogów. Dwa są w nim charaktery dzielnie skreślone, wzbogacające naprawdę zasób postaci dramatycznych o realnych zarysach: Hrabiego i pani Adamowej. Hrabia to człowiek brzydki fizycznie lecz nie moralnie. Będąc bogaczem miał sposobność poznania ludzkich słabości, stał się złośliwym szydercą, ale nie utracił całkowicie wiary w uczciwość; umie odczuć prawdziwe cierpienie i ceni honor prawdziwy. Pani Adamowa to pierwszy u Korzeniowskiego typ kokietki, igrającej uczuciami, która zawikławszy się zarówno moralnie jak majątkowo, zmuszona jest przyjąć rękę Hra-

biego i znieść niewątpliwie najwyższe upokorzenie, gdy hrabia ukazując jej biedną ekonomównę, uwiedzioną przez panicza Kasię, która żoną milionera zostać nie chciała, powiedział do tejże: „To miejsce, któregoś ty nie przyjęła, ta pani przyjąć raczyła“. Efekt to silny zapewne, ale nie mający cech prawdopodobieństwa; upokarzać żonę dopiero co poślubioną wówczas tylko mógłby Hrabia, gdyby z nią zgoła żyć nie zamierzał. Wogóle, chociaż w tym dramacie jest dużo ruchu, a mianowicie zmian miejsca — dramatycznego napięcia jest niewiele. Akcya tu nie wypływa, jakby się po scenie początkowej, zakładu wśród lekkomyślnej młodzieży, spodziewać należało, z usiłowań Hrabiego celem ubieżenia Alfreda i Karola w otrzymaniu ręki pani Adamowej, lecz raczej jest wynikiem kapryśnego i ambitnego w zakresie podbojów miłosnych charakteru kokietki, pragnącej usidlić Karola, który swą względem niej obojętność w liście do Alfreda wyraził. Hrabia umie tylko z zawikłania, wynikłego wskutek tych projektów oraz wskutek skandalicznej sceny, wyprawionej przez Alfreda w domu pani Adamowej, skorzystać i tym sposobem z owego wyzwania młodych wyjść zwycięzko. Zakończenie dramatu odpowiada początkowi: jest to konsekwencya lekkomyślnego, hulaszczego; zgorączkowanego życia. — Inne charaktery, prócz owych dwu, albo są niewyraźne, albo mało mają prawdopodobieństwa, jak np. charakter Kasi melodramatyczny, zaopatrzony w słowa pełne refleksyi i literackiej zwięzłości.

Jeszcze większy stopień efektowności, jeszcze obfitszą dozę salonowo-uszczypliwego dowcipu, ale też równocześnie jeszcze większe pochylenie się w stronę melodramatu w smaku francuskim znajdujemy w utworze, mogącym zrobić teatralne wrażenie, t. j. w „Umarłych i żywych“, napisanym w Charkowie r. 1839. Trzy pierwsze akty tego dramatu są bardzo żywo prowadzone; rozmowy nieraz — subtelnie dowcipne, szczególniej gdy przemawia poeta Fabio; charaktery silnie zarysowane i dobrze utrzymane: rozszalały namiętnością Leonardo, zimna a zręczna Dyana, drugi u Korzeniowskiego typ kokietki, nietylko już lekkomyślnej i ambitnej jak pani Adamowa, lecz nadto zbrodniczej; uczuciowy, ukształcony, utalentowany i wytworny poeta Fabio; wierny i przezorny sługa domu Gonzago, uczony lekarz-alchemik Gianozzi; a mianowicie prześliczna, jedna z najsympatyczniejszych i najlepiej narysowanych przez drama-

turga kobiet, Lucya, serdeczna, wyższym umysłem obdarzona, kochająca męża swego Leonarda namiętnie, widząca jego zaślepienie w Dyanie, robiąca delikatne i ładnie sformułowane alluzye do tego stosunku i do swego „niepotrzebnego“ życia, lecz nigdzie nie wpadająca ani w sentymentalną płaczliwość, ani w patetyczną deklamacyę; cierpiąca jednem słowem z prawdziwą godnością. Scena, kiedy prosi męża, żeby jej dał lekarstwo, które tenże poczytuje za truciznę, a które Lucyi nalewa Dyana, należy niewątpliwie do szczupłej liczby tych, jakie mogą być nazwane najwyższemi pod względem dramatycznym. Późniejsze akty, w których Lucya po śnie letargicznym czuje się całkiem uspokojoną, idzie na bal maskowy wyprawiony przez Leonarda, dręczonego wyrzutami sumienia, — w których następują niespodziewane przemiany pod wpływem wyobrażenia o duchach — to już fantasmagorya, w której prawdziwość czytelnik uwierzyć jakoś nie może, poczytując ją za proste bawidełko dramatyczne.

Krytyka owoczesna, oddając należne pochwały charakterom i dyalogom, nie dopatrywała w „Umarłych i żywych“ świeżej inwencyi; wskazywano powszechnie co do uśpienia Dyany za pomocą cudownego eliksyru odpowiedni pomysł w „Romeo i Julii“; a plan „zbyt sztucznie ułożony“ nie podobał się. Końcowy frazes dramatu, gdzie powiedziano, że mąż występny może się opamiętać i powróciwszy do żony zapewnić jej szczęście i pokój, lecz że kobieta, która się zbłąka, nie ma już drogi do powrotu, — nie znalazł uznania nietylko u płci pięknej, lecz i u wielu mężczyzn, w imieniu których zaprotestował przeciwko niemu świeżo wtedy do literatury naszej wchodzący Fryd. Hen. Lewestam. „Nie wiemy — powiedział on przy końcu swej recenzyi, mówiąc o tym frazesie — czyli tu więcej dziwić się pobłażaniu, czyli nietolerancyi“; dodał atoli zaraz i to bardzo słusznie: „Tyle przynajmniej pewna, że p. Korzeniowski przy poetycznem poczęciu swego przedmiotu nie miał na myśli — idei tak prozaicznej“. („Roczniki krytyki literackiej“, r. 1842, Nr. 89).

Korzeniowski, który w r. 1839 ogłosił był właśnie drukiem pierwszy tom swoich „Dramatów“ w Kijowie, pragnął bardzo posłyszeć o nim zdanie młodego naówczas, ale już głośnego krytyka, Aleksandra Tyszyńskiego. Zapewne parę słów pochwalnych, jakie Tyszyński w swojej „Amerykance w Pol-

sce" o autorze „Fragmentu" i „Anieli" umieścił, pozwalały się Korzeniowskiemu spodziewać, że dozna od niego dobrego przyjęcia. Posłał mu więc do Mińska ów pierwszy tom „Dramatów" wraz z listem, ażeby o nich coś napisał. A donosząc o tem Karolowi Wittemu, prosił go, żeby tę sprawę Tyszyńskiemu, bawiącemu natenczas już w Warszawie, przypomniał, przyczem dodawał: „Krytyka z pod jego pióra, choćby surowa, byłaby mi bardzo przyjemną. Proś go, niech się upomni w Mińsku i niech pisze, bo miło czytać. *Chociaż mię to nie bardzo obchodzi, co o mnie piszą,* jednak dobrze wiedzieć, i *zupełnie obojętnym być nie można.* Bądź-że łaskaw, powyrzynaj z gazety, co napisane, i przyślij w liście. Ja tu żadnej polskiej gazety nie mam". (List z 19 lipca 1839 r., przytoczony przez Kaźmierza Wittego w „Tygodniku ilustrowanym", roku 1888, Nr. 298).

Doczekał się tej pożądanej przez siebie krytyki Tyszyńskiego, ale dopiero w r. 1841, w marcowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej", a treść jej niezupełnie zadowolnić go mogła. Krytyk przyznawał mu, że ma własny styl, że dramata równe tym, które on daje, byłyby „znakomitą ozdobą każdej literatury"; ale zastrzegał zarazem, że w sztuce wynalezienia mniej mu się dramaturg nasz wydawał szczęśliwym. „P. Korzeniowski — czytamy w tej krytyce — przed laty 12-tu wydał książkę o sztuce p. t. „Kurs poezyi"; w książce tej spoglądał na przedmiot ze stanowiska czasu, prawa sztuki wyłożył według uwag naczelnych estetyków, ze zdań o pisarzach krajowych wybrał ówczesne najlepsze; sam jednak ani teoryi sztuki, ani teoryi sądu o jeden krok nie posunął. Toż właśnie w pewien sposób rzec można i o głównej treści dramatów tegoż autora. Dziewice sentymentalne Schillera, intrygi wodewilów francuskich, nazbyt znane cyganki, wróżki i t. p. są zwykle przedmiotem tej treści..."

Nie pomylimy się chyba twierdząc, że pochwały ogólnikowe w zestawieniu z taką charakterystyką pomysłowości nie bardzo musiały Korzeniowskiemu smakować. Odmówienie oryginalnych motywów autorowi i sprowadzenie jego twórczego talentu niemal do znaczenia dobrze wystylizowanych robót, było przykrym wielce i dotkliwym ciosem, który się jeszcze kiedyś miał właśnie z ręki Tyszyńskiego ponowić.

Kłopoty przytem finansowe i urzędowe, trudności w roz-

przedaży 1-go tomu „Dramatów“, niepomyślna, jak się zdaje, podróż do Petersburga w tymże roku 1841 i inne nieznane nam dokładniej nieprzyjemności rozgoryczyły Korzeniowskiego tak silnie, że się odezwał w owym czasie do Karola Wittego w sposób rzadki u niego, bo prawie rozpaczliwy: „Napisz, co się tam w *waszej* literaturze dzieje. Ja ci się przyznam, że mi już *wszystko obrzydło*. Walczyć z takiemi trudnościami może tylko człowiek młody. Pisać będę, ale drukować nie — albo pod cudzem imieniem — albo jak mi dokuczą, to... nie kończę, bo myśl grzeszna“ („Tygodnik ilustrowany“, jak wyżej).

A my nie chcemy dobadywać się tej grzesznej myśli; trwała ona zapewne chwilę tylko; Korzeniowski ani pisać ani drukować nie przestał; to dosyć.

IV.

Jak w pierwszej dobie twórczości Korzeniowskiego po „Klarze“ i „Anieli“, wziętych ze świata ogólno-ludzkiego, nastąpił „Mnich“, osnuty w części przynajmniej na podaniu i stosunkach krajowych; tak obecnie po dramatach bardzo mało posiadających pierwiastku narodowego, albo nie mających go wcale, pojawił się utwór nader wybitnie pierwiastkiem tym odznaczony. Było to arcydzieło dramatyczne naszego autora: „Karpaccy górale“, napisane w Charkowie roku 1840, wydane w Wilnie r. 1843.

Korzeniowski wyrobił sobie teoryjkę, usprawiedliwiającą go niby z wyboru osób do świata dramatycznego. W jednym ze swoich dyalogów („Panna Katarzyna w długach“), w którym wprowadził siebie na scenę, osoba skazana na przepisanie jego dramatów, uważa to za karę okropną i powiada: „To są kompozycye z jakiegoś konwencyonalnego, niemiecko-angielskiego świata, których oryginały chyba na księżycu egzystować mogą. Charakteru narodowego, miejscowego, historycznego, podaniowego zupełnie w nich brak. To też pan usiłuje zawsze utrzymywać się albo w obcych krajach i obcych dziejach, albo w kraju jakimś idealnym, który na mapie Europy nie znajduje się“. Tak zaskoczony autor przyznaje, że w zarzutach tych jest wiele prawdy, że lubi on rzeczywiście przebywać w kraju idealnym, jakiego niema na mapie Europy; ale równocześnie utrzymuje, że takie przejście od ideału ogólno-

ludzkiego do życia rzeczywistego w danym czasie i narodzie jest i powinno być naturalną koleją rozwijającego się talentu. „Trzeba być najprzód poetą — mówi — potem poetą dramatycznym i z tymi tylko warunkami można dopiero zostać poetą dramatycznym polskim, ruskim, niemieckim lub angielskim. To ostatnie jest najwyższym szczeblem sztuki, a ja jestem dopiero na początku mojego zawodu" (X, 124).

Wartości do tej teoryjki nie przywiązujemy; może ją i Korzeniowski okolicznościowo tylko, chcąc krytykom swoim odpowiedzieć, wygłosił; bądź co bądź „Karpaccy górale" byli pierwszym jego dramatem osnutym na tle, ściśle pod względem etnografii i warstwy społecznej oznaczonym.

Zasługuje on z wielu powodów na uwagę. Najprzód, rozgrywa się w miejscowości rzeczywistej; wielka wieś Żabie istnieje do dziś dnia. Powtóre, ma on charakter ludowy. Korzeniowski, podobnie jak Brodziński w „Wiesławie", wierność kolorytu zasadzał głównie na utrzymaniu sfery wyobrażeń, zwyczajów i obyczajów warstwy ludowej, lecz język jej po literacku idealizował, czasami tylko jakieś znamienne wyrażenie miejscowe wtrącając. Idealizacya dykcyi wyraziła się z największą dobitnością w charakterze głównym, w Antosiu Rewizorczuku, który niekiedy nawet w pojęciach przekracza tę sferę wykształcenia i uobyczajenia, z jakiej wyszedł. Po trzecie, jest ten dramat wyjątkowego w pisarzu naszym nastroju, silnie, gorąco przeciwstawia ideał swobody, choćby wychodzącej z karbów porządku społecznego, usposobieniu służalczemu, znikczemniającemu wszystko, co jest pięknem i szlachetnem. Przywiązanie do idei posłuszeństwa, uległości, karności, tak odpowiednie spokojnemu charakterowi uczuć Korzeniowskiego, nie dozwalało mu pospolicie oddawać sympatyi swojej tym, którzy się wyłamywali z pod rygoru zwyczaju a tem bardziej prawa. W „Karpackich góralach", może pociągnięty ogólnem wówczas dla ludu współczuciem, raz jeden jedyny wyzwolił się z pod nacisku swoich zapatrywań codziennych i stworzył dzieło, które pozyskało współczucie ogólne i naprawdę popularnem się stało, tak że piosnki z niego śpiewać zaczęto na podobieństwo tworów ludowych, nie troszcząc się o nazwisko ich autora. Tym jednym dramatem stanął Korzeniowski wyżej w opinii niż wszystkimi poprzednimi razem.

Kolizya dramatyczna w „Karpackich góralach" jest silna

i oparta na prawdzie; uczuciom i namiętnościom dano tu rozwinąć się swobodnie bez lękliwych zastrzeżeń. W Galicyi, w czasach poddaństwa chłopów, mieli niby czuwać nad ich interesami wyznaczeni przez rząd austryacki mandataryusze. Zasłużyli oni sobie postępowaniem swojem na najgorsze w tej prowincyi wspomnienie; zamiast bronić lud od ucisku dziedziców, sami nowe popełniali na nich nadużycia. Mandataryusz we wsi Żabie, nakreślony przez Korzeniowskingo zapewne z natury, chociaż z pewnemi reminiscencyami kaznodziei obozowego (w „Wallensteinie") i sędziów Schillerowskich (w „Zbójcach"), butny i groźny wobec potulnych i słabych, obrzydliwy tchórz wobec siły, zmieniający swą postać jak figurka gumelastyczna, podbudzony przez strzelca rządowego Prokopa, żywiącego nienawiść do młodego górala, Antosia Rewizorczuka, staje się głównym sprawcą całego szeregu nieszczęść wśród gromadki wieśniaczej, która pieczy jego była powierzona. Oderwawszy od matki i kochanki, oddawszy Antosia w rekruty wbrew przepisowi prawa, przeciw któremu znalazł łatwo kłamany kruczek prawny: podrażniwszy tym sposobem w duszy górala miłującego swobodę stronę najdotkliwszą, wywołuje nieuniknione konsekwencye namiętności. Antoś staje się dezerterem, mści się krwawo na Prokopie i chroni się w góry, by pędzić życie wolne jako opryszek, w ostatecznej jedynie konieczności zabijający ludzi. Nawet gdy mu wpadł w ręce mandataryusz, to po przejściu pierwszego gniewu, widząc przed sobą drżącego nikczemnika, wypuszcza go na wolność. Dobrodziejstwo to zwiększa tylko w duszy spodlonej chęć unicestwienia dobrodzieja. Naprowadziwszy żandarmów na obóz opryszków dokonywa zamiaru, choć doznaje znowu upokorzenia i to ze strony tych organów władzy, które wezwał na pomoc. Antoś schwytany, szlachetnem zachowaniem się budzi współczucie w komisarzu, który pragnąłby go ocalić. Prowadzony koło swej chaty, widzi zmarłą matkę i dowiaduje się, że obłąkana jego kochanka znalazła już spokój na dnie Czeremoszu, pchnięta litościwą ręką jego przyjaciela Maksyma. „Wszyscy moi są już w miejscu bezpiecznem — powiada Antoś — czas i mnie... w drogę".

Wszystkie charaktery w dramacie są doskonale utrzymane; a rozwój zdarzeń jest prostym i naturalnym wynikiem swobodnie działających namiętności; żadnego tu naciągania,

żadnego nieprawdopodobieństwa; na tem polega psychologiczna wartość utworu. Pod względem artystycznym doskonałym on zupełnie nie jest; wolelibyśmy ściślejszą cokolwiek budowę niż zbyt częste przenoszenie nas z miejsca na miejsce; wolelibyśmy w słowach Antosia więcej uczucia niż refleksyi, a w słowach obłąkanej Praksedy mniej przypomnień z Ofelii, a raczej mniej literackich upiększeń. Ale ogółem wady te zbyt są drobne w porównaniu z zaletami, ażeby mogły zaciążyć w sądzie o dramacie. Wprawdzie niektórzy oburzali się na owe słowa Antosia wyrzeczone do Maksyma, po dowiedzeniu się o pchnięciu Praksedy do rzeki: „dziękuję ci, bracie", i mówili, że „do takiej ohydy jeszcze żaden zbrodniarz francuskich dramatów nie doszedł"; lecz im można było odpowiedzieć, iż się gorszą raczej formą niż treścią, bo dla Praksedy dobrodziejstwem istotnem była śmierć, dająca zapomnienie i spokój. Słusznie też pisał z tego powodu Karol Witte: „Czyliż śmiały pomysł Maksyma, aby wydrzeć szyderstwu i pośmiewisku z boleści obłąkaną Praksedę, wydrzeć ją z jej własnych cierpień i stanu poniżającego wielkie jej miłością przepełnione serce, nie jest wznioślejszym i moralniejszym jak dozwolić (jej) tarzać się wśród bólów, nędzy, a może wzgardy? Gdzież dla niej po stracie wszystkiego lepsze, szczęśliwsze schronienie, jeżeli nie w nurtach rzeki, w przepaściach gór, które jej młodość i wiosną śmiejące się dni widziały? A z czyichże rąk dar ten miała otrzymać, jak nie z rąk przyjaciela?..." („Biblioteka Warszawska", 1844, t. III, 440).

Dramata, napisane przez Korzeniowskiego po „Karpackich góralach", lubo odznaczające się niekiedy świetniejszemi scenami albo charakterami, nie dorównały im przecie jako całość. Najwydatniejszym tu jest „Andrzej Batory". Wyborny znawca literatury dramatycznej, p. Adam Bełcikowski, starał się nawet wykazać, że w nim jako w najtrudniejszym, bo historycznym rodzaju dramatu, autor nasz stanął najwyżej [1]. Zdaje mi się jednak, że większa tylko doniosłość poruszonych w „Andrzeju Batorym" spraw, aniżeli w innych dramatach Korzeniowskiego, oraz pewne pokrewieństwo w usposobieniu i fakturze z własnymi p. Bełcikowskiego dramatami zbyt opty-

---

[1]) Zob. dzieło A. Bełcikowskiego: „Ze studyów nad literaturą polską". Warszawa 1886, str, 576—586.

mistycznie patrzeć mu kazały na ten utwór, zawierający dużo myśli pięknych i ważnych, parę charakterów dobrze narysowanych, ale bynajmniej nie odznaczający się umiejętnem rozsnuciem akcyi i uwydatnieniem głównego bohatera. Istotnie daleko szczegółowsza i lepsza dramatycznie jest tu charakterystyka słabego, próżnego, kapryśnego Zygmunta, aniżeli jego brata Andrzeja, dzielnego, rozumnego i szlachetnego; właściwości bowiem pierwszego rozwinięte są w czynie, w sytuacyach; zalety zaś drugiego poznajemy przeważnie w jego mowach lub też w opowiadaniu o nim. Tragiczności istotnej trudno tu dopatrzyć; co bowiem mówi p. Bełcikowski o idei poświęcenia się Andrzeja dla kraju nawet wówczas, gdy był przekonanym, że ratować go niepodobna, jest raczej wmówiownem w dramat niż rzeczywiście w nim istniejącem. Wszak sam Andrzej mówi: „Śmierci się nie lękam. Jednak śmierć *wtenczas tylko* byłaby mi miła, gdybym miarkował, że z mogiły mojej drzewo zbawienia wyjdzie dla ojczyzny". Nie, w losie Batorego jest jedynie wypadek dziejowy, ale tragiczności prawdziwej niema; za winę mu tragiczną poczytać ledwie ujawnioną miłość dla Maryi, żony Zygmunta, niepodobna. A i w budowie utworu są wady znaczne. Potęgującego się ruchu i zawikłania, ba, nawet jasnego obrazu sytuacyi, w której się Siedmiogród znajduje, dramat właściwymi sobie środkami nie daje. Sceny poboczne, jako to: położenie Maryi poetycznej, szlachetnej, trochę dziecinnej: posiedzenia rady siedmiogrodzkiej bez rzeczywistej potrzeby, tylko raczej dla efektu dekoracyjnego i okazania dobrych zamiarów Andrzeja; knowania przewrotnego jezuity Kariglio i t. p. — tyle zajmują miejsca, że go na właściwy dramat brakuje; pierwsze i ostatnie sceny stanowią go naprawdę. Słusznie też twierdził krytyk „Przeglądu poznańskiego" (r. 1846, t. III, 493—497), że dramat wykonany był wprawdzie ręką wprawną, posiadał miejsca ładne, lecz że brak mu natchnienia, brak zupełny interesu dramatycznego, że charaktery nie są w nim dostatecznie rozwinięte, a wywody historyczne zajmują miejsce przynależne „nauce serca ludzkiego". Dykcya wreszcie rzadko kiedy bywa w „Andrzeju Batorym" poetyczna, najczęściej chłodna, sucha, rozsądkowa.

Można się zaiste dziwić Korzeniowskiemu, że tak nierównomiernie rozdzielał piękności swego stylu pomiędzy utwory, jedne pisząc aż zanadto rozsądkowym, trzeźwym, drugie zbyt

wybujałym. Styl „Izabeli d'Ayamonte“ należy do względnie najlepszych: jest jędrny, nieraz obrazowy, lubo porównania i przenośnie bywają niekiedy trochę naciągane. I pod względem ruchu dramatycznego jest „Izabella“ o wiele wyższą od „Andrzeja“; akcya potęguje się tu prawie z każdą sceną; może tylko zawiele miejsca zajmuje gadatliwa, płocha i głupia Margerita. Idea zasadnicza utworu, to znany aforyzm zformułowany przez Schillera, że fatalne skutki złego czynu nie dadzą się naprawić. Postać Izabelli kochającej, szlachetnej, mężnej, poetycznej — prześliczna, może jako kreacya dodatniego charakteru niewieściego stanąć obok Lucyi z „Umarłych i żywych“, mając tę nad nią wyższość, iż do końca doskonale została przeprowadzona. Zepsucie wśród magnatów hiszpańskich, spodlonych dworaków, jaskrawo i naprawdę dramatycznie przedstawione. Rodrigo, rozpustnik nawrócony na dobrą drogę przez miłość do Izabelli, lepiej jest narysowany w pierwszej fazie, aniżeli w drugiej. Ojciec Izabelli, don Pedro ma nieco podobieństwa do ojców z „Klary“ i „Anieli“, jest trochę papierowy; brat za to, don Fernando — zapalczywy i nierozważny, zaślepiony namiętną żądzą zemsty na Rodrigu, nie pytając o żadne wyjaśnienia, a więc przez nieporozumienie tylko, sprowadza katastrofę i osłabia ogromnie wrażenie tragiczne. Ostatnia scena, w której Rodrig, po przebiciu Izabelli zasłaniającej go przed ciosem brata, ciągle powtarza, sam się nie ruszając: czemuż jej nie ratujecie?! — psuje efekt niepożądanem wcale przez autora wywołaniem śmieszności; a przebicie się Rodriga po wypowiedzeniu patetycznych frazesów, tchnie melodramatem, teatralnością; widz wolałby już chyba, żeby rozszalały Fernand wywarł na nim zemstę, choćby dlatego, że przezeń siostra zginęła.

Bardzo żywo i bardzo dramatycznie rozwija się akcya w „Sądzie przysięgłych“, ale wątek jako wyjątkowy budzić może tylko zaciekawienie. Dwu starą nienawiścią rozdzielonych przyjaciół mieszka zawsze obok siebie, gdyż jeden z nich, William Ford, chce się pomścić za krzywdę i obrazę poniesioną od baroneta Waltera Rowley, popędliwego, ale serdecznego człowieka. Tymczasem córka Williama, Anna, pokochała synowca baroneta, Henryka; żaden ze zwaśnionych nie chce wyjawić powodu, ale jeden i drugi stanowczo zabraniają młodym myśleć o sobie. Niechęć Williama jest dla widza przy-

najmniej zrozumiała; ale dlaczego baronet nie miałby pragnąć pogodzenia przez małżeństwo, tego pojąć niepodobna; musimy sobie powiedzieć: potrzebna była autorowi obustronna zaciętość, ażeby akcyę dramatyczną przeprowadzić. Z początku rzecz trzymana jest w tonie pogodnym; dużo tu humoru, wywoływanego i popędliwością baroneta i charakterystycznem zachowaniem się jego służby, wśród której intendent Salomon, ustawicznie przytaczający słowa biblii, komicznie poważną odgrywa rolę. Dramatyczność się napręża od chwili zabicia baroneta, o które posądzonym zostaje synowiec jego. Ten przez szlachetność, nie chcąc wplątać w sprawę kryminalną imienia Anny, z którą miał schadzkę w chwili popełnionego mordu, nie daje sądowi objaśnień w najdrażliwszych a decydujących szczegółach. Szlachetność ta przemawia do serca Williama, który sam się oskarża o zabójstwo. Dramat kończy się efektowną sceną, w której Anna, ucieszywszy się dopiero co ogłoszeniem niewinności Henryka, otrzymuje natychmiast cios bolesny, dowiadując się o zbrodni ojca.

Inne dramata z tego czasu zaledwie zasługują na tę nazwę.

„Okno na pierwszem piętrze“ ma właściwie tylko pierwszy obraz całkiem dobry i interesujący, kiedy poznajemy stosunki między mężem, żoną i kapitanem, który ma nadzieję zostania kochankiem. Drugi obraz u pasiecznika sam przez się byłby również dobrym, ale ponieważ jest wskazówką dla Hrabiego, jak ma postąpić z kochankiem żony, osłabia interes trzeciego, ostatniego obrazu, który wykonany został nie jak dramat, ale jak komedya. Niefortunna rozmowa przy zmuszaniu kapitana do wyjścia oknem („żebym ręce i nogi połamał!“ — woła kapitan, IX, 15); gburowata scena z Jakóbem dla ocalenia pozorów, wreszcie lękliwe, małoduszne tłómaczenie się Hrabiny zostawiają czytelnika i widza chłodnym; możnaby powiedzieć, że zimna krew Hrabiego wśród okropnej sytuacyi zmraża wrażenie; wybuch namiętności byłby niewątpliwie o wiele piękniejszy. Pomysł jednak oryginalny; a ta zasada, że dziecko ma być strażą honoru matki i odgrywać rolę niemą przy przebaczeniu żonie — była nieraz potem przez autorów naszych wyzyskiwana.

„Kasztelanowa“ jest to właściwie dyalog tylko, niezbyt żywo prowadzony, z bardzo dobrze wykonaną postacią tytu-

łową (pisaną umyślnie dla Halpertowej), w której wyniosłość, lekceważenie niższych, wielka duma i dotkliwość na mniemane uchybienia zdają się nie dopuszczać żadnego serdeczniejszego uczucia, a przecież mu w końcu ulegają. Brat jej generał uosabia rozum, doświadczenie, postępowanie, wraz z doskonalącemi się ideami. Rzecz cała wymierzona przeciwko przesądom rodowym; zwycięża je piękna, łagodna, poświęcająca się Terenia, uboga szlachcianeczka, która wyszła potajemnie za syna kasztelanowej, Władysława, i przy niewidomej spełniała obowiązki lektorki.

Dyalogiem także obszernym, pisanym prozą silną, ześrodkowaną, jest „Autorka". Wszystkie charaktery w nim występujące są szlachetne, ale sylwetkowo przedstawione, jedynie z tej strony, która dla rozsnucia wątku jest potrzebna. Korzeniowski chciał tu wystawić, na jakie przykrości a nawet potwarze narażał jeszcze wówczas kobietę zawód pisarski, w takiem zwłaszcza mieście jak Warszawa, „stolica plotek". Emilia, bohaterka tytułowa, pełna talentu, wykształcenia i dowcipu, odrzucała oświadczyny Augusta, także autora, nie widząc w nim rzetelnej miłości; kiedy z powodu uwłaczających wieści o ich stosunku, zdecydowała się wreszcie oddać mu rękę, od dawna go bowiem głęboko kochała, on zwrócił już swe uczucia ku jej kuzynce Klementynie, cichej, serdecznej sierocie. Dla wypróbowania ich, Emilia zażądała od Augusta spełnienia dawnych przysiąg. Klementyna, choć okropnie w rojeniach swych zawiedziona, nic nie ma do powiedzenia; August, lubo z goryczą, gotów spełnić ofiarę. Emilia, wyższa nad oboje, łączy ich dłonie na wędrówkę życiową, a sama w pracy szukać chce ukojenia. Myśli rozumne, uczucia zacne, charaktery sympatyczne są zaletą tej sztuki, ale nie mogą jej uczynić dramatem w całem znaczeniu tego wyrazu.

Tym sposobem doszedłszy w „Karpackich góralach" kulminacyjnego punktu w wytworzeniu dobrej całości dramatycznej, Korzeniowski w dalszych utworach nie mógł osiągnąć zharmonizowania wzmożonych sił charakterystyki, działania dramatycznego i dykcyi w jakąś całość jednolitą, lecz uwydatniał tylko oddzielnie różne strony tych zalet i wytwarzał cząstkowe piękności.

Podobne zjawisko ujrzymy i w jego komedyach.

V.

Nie znamy tak dokładnie chronologii komedyi Korzeniowskiego, jak jego dramatów; rozwój zatem jego talentu w tym [illegible] być musi w. rysy ogólniejsze.

Krąży pewne podanie głosi, jakoby autor nasz w pierwszej jego dobie twórczości pisał komedye; jeżeli jednak nawet tak było, musiały to być doraźne tylko próby, które drama[illegible] myślami poważniejszemi, rychło zarzucił.

Wiadomo, że twórczość komiczna wymaga daleko większego zasobu obserwacyi aniżeli tragiczna; stąd fakt, że dobre tragedye pisywali genialni autorowie już w bardzo młodym wieku; komedye zaś bywają zazwyczaj owocem umysłów dojrzalszych. Korzeniowski wystąpił z pierwszemi znanemi nam komedyami, kiedy miał lat z górą 40.

W początkach poszedł on tą samą drogą, co w dramatach; wybierał charaktery i sytuacye ze świata obcego („Zakład“ z r. 1839), albo też konwencyonalnego, który we wszystkich krajach mniej więcej jest jednakowy („Zaręczyny aktorki“, „Mąż i artysta“); ale daleko wcześniej niż w dramatach zwrócił się na grunt swojski, malując osoby i zwyczaje prowincyi, które poznał najlepiej (Wołyń, Podole, Ukraina) i raz wszedłszy na tę drogę, już jej nigdy nie opuszczał, gdy w dramatach, jak wiadomo, często i to z pewnem upodobaniem temata obce obrabiał.

W komedyach swoich, jakkolwiek pod względem wykonania i wartości artystycznej bardzo różnych, odrazu stanął na stanowisku odmiennem od Fredrowskiego, a zbliżonem do tego, jakie zajęli komedyopisarze francuscy XIX. stulecia, od Scribe'a począwszy.

U Fredry był jeszcze typ, u Korzeniowskiego pojawił się indywidualny charakter.

Zmiana to ogromnej doniosłości, a przeprowadzenie jej w naszej komedyi stanowi jednę z największych zalet i zasług Korzeniowskiego czysto literackich. Nie był on tu twórcą samodzielnym, przejął istniejący już kierunek w piśmiennictwach obcych, ale go przystosował oryginalnie do stosunków i potrzeb naszych.

Różnica pomiędzy typem i charakterem — olbrzymia,

i pociąga za sobą nader ważne wyniki w kompozycyi artystycznej. Można się sprzeczać o wartość estetyczną jednego i drugiego, ale trzeba uznać, iż cała dążność nowszej twórczości zwrócona jest ku kreacyom charakterów indywidualnych.

Typ skupia w sobie przymioty i właściwości różnych jednostek pewną namiętnością opanowanych; nie ma więc i mieć nie może odpowiedników całkowitych w rzeczywistości; owszem przez owo nadmierne częstokroć nagromadzenie cech w jednym tylko wyłącznie kierunku, staje się bardzo często nieprawdopodobnym; przyjmuje się go na mocy cichej umowy teatralnej, wybacza się mu przesadę, jaskrawość, byleby tylko był naprawdę komicznym i wywołał szczere i bujne wybuchy śmiechu. Akcya, do typu zastosowana, również nie liczy się ze ścisłymi przepisami prawdopodobieństwa, a byle była rzeczywista werwa w jej przeprowadzeniu, nikt nie będzie sarkał na naiwne środki w wywoływaniu zawikłań.

Inaczej się rzecz ma z charakterem i indywidualizowanym. Tu cechy osobnika nie mogą być tak wybitne i jaskrawe, bo się chce widzieć całego człowieka, niętylko tę jego część, która w komedyi ma być wyzyskaną, a cały człowiek ma w sobie nie samą jedynie namiętność zasadniczą, lecz wiele, bardzo wiele podrzędnych. Otóż dać poznać te inne strony, a nie uszkodzić komizmu, który z cechy zasadniczej wypływa: to wielkie i bardzo trudne zadanie, znacznie trudniejsze, aniżeli przedstawienie typowych skąpców, zrzędów, smakoszów, oszukiwanych mężów i t. d. i t. d. Działanie takich charakterów musi być dobrze umotywowane, a wszystkie sytuacye — prawdopodobne. Subtelność w rysunku osób i położeń nie może już zazwyczaj wywołać szerokiego śmiechu, ale budzić winna uśmiech ironii lub zadowolenia. Dykcya musi być zastosowana do temperamentu, stopnia wykształcenia i nawyknień osób do komedyi wchodzących.

Posiadać dar inwencyi, obfity zasób dowcipu, fantazyę plastyczną, umiejącą tworzyć sytuacye komiczne, uczynić zadość wymaganiom prawdopodobieństwa i sztuki dramatycznej: to chyba dosyć warunków, ograniczających liczbę dobrych komedyopisarzy.

Korzeniowski nie posiadał tej nieprzebranej kopalni wesołości, jaką rozporządzał Fredro; a nie mając gwałtownych *namiętności*, nie mógł ich udzielić i stworzonym przez siebie

postaciom; ale w ciągu życia zebrał wielki zapas trafnych obserwacyi i umiał się niemi bardzo umiejętnie, z wielkim nieraz dowcipem posługiwać; do indywidualizowania charakterów przywykł przy tworzeniu dramatów; wymagania sceny znał dobrze; natomiast z umotywowaniem szczegółów, z układem sytuacyi, z kompozycyą oraz dyalogiem komicznym musiał dopiero odbywać próby, ażeby w nowej dla siebie sferze twórczej umieć się znaleźć.

Początkowe jego komedye, przedstawiające charaktery indywidualne na gruncie swojskim, odznaczają się obok zalet poszczególnych w kreśleniu postaci i położeń oraz w dowcipie, trzema znamiennemi cechami: są raczej dyalogami lub szeregiem obrazów niż utworami dramatycznymi, mają bardzo wyraźny cel dydaktyczny, rozmowy w nich są zbyt często drewniane, bez polotu ni werwy.

Najsłabszą z tego szeregu jest fraszka p. n. „Panna Katarzyna w długach“, wymierzona przeciw bezmyślnemu wydawaniu pieniędzy i robieniu wszystkiego dla popisu. Brakześrodkowania pocisków satyry, niewyraźny charakter tytułowej roli czyni tę fraszkę zupełnie mdłą dramatycznie.

„Doktór medycyny“ to satyra, niekiedy prawie karykaturalnie wykrzywiona, przeciw przesądowi szlacheckiemu o nieimaniu się pracy zawodowej, przyczem próżniacze bałagulstwo młodzieży wołyńskiej schłostane zostało surowo. Figury są tu albo bardzo ogólnikowe (Chorążyna, Pułkownik, Anna, Karol), albo jaskrawo przesadne (Marszałek powtarzający echowo słowa swojej żony, po części Marszałkowa, służący Stefan). Jedna tylko postać Podsędka, zapalonego myśliwca, dobrze scharakteryzowana — w rozmowie. Spryt dramaturgiczny autora widać w tym zwrocie, gdy Karol, który z Charkowa doktorem powrócił, nagle powiada, że próżnował, grał w karty, polował, narobił długów — i tem zyskuje sobie odrazu sympatyę Podsędka i Marszałkowej, którzy się oburzali, gdy mówił o swej nauce i chęci oddania się praktyce lekarskiej.

„Stacya pocztowa w Hulczy“ jest już trochę żywszym stylem pisana, lecz postaci w niej są również ogólnikowe z wyjątkiem oberżystki Rejci, rozsądnej, lubiącej swatać, wygadanej. Komizmu bardzo tu mało, dowcipu — trochę. Dydaktyzm na pierwszym planie; bałagulstwo młodzieży, brak czytelników książek polskich są tu przedmiotem narzekań i satyry.

W „Fabrykancie“ mamy już trochę ruchu dramatycznego, ale ten ruch oparty jeszcze na bardzo starych środkach, odpowiednich komedyi z typami, ale nie z charakterami, bo na przebieraniu się i udawaniu obcej osoby. Właściciel ziemski, wychowaniec Krzemieńca, uroił sobie zostać przemysłowcem, zaniedbał gospodarstwo, zadłużył się, by prowadzić lichą fabrykę powozów. Brat jego żony, młody wychowaniec Berlina, ledwie stamtąd wróciwszy, dowiaduje się o tem, wykupuje jego weksle, przebiera się za Niemca, zmyśla uwiezienie żony, chcąc dać domorosłemu fabrykantowi nauczkę, która jednak nie skutkuje, jak widać z zakończenia komedyi, podobnego do zakończenia satyry Krasickiego „Pijaństwo“. Autor zresztą nie jest bynajmniej przeciwnikiem przemysłowości, lecz chce, by ona istotne zyski, nie straty przynosiła, a musi powodować straty, gdy jest prowadzona przez człowieka nie znającego się fachowo na rzeczy.

I w „Starym mężu“ jest akcya, lecz słabo, rozwlekle prowadzona. Pierwsza scena (w Warszawie) między młodymi wojskowymi jest doskonała, pełna żywości, charakterystyki i dowcipu; lecz z dalszym ciągiem słaby ma związek. Sceny na wsi mają charakter czysto konwersacyjny; przebieg czynności dramatycznej snuje się spokojnie, powoli, bez wstrząśnień; słudzy tylko, a zwłaszcza tęskniący do butelki Mateusz urozmaicają monotonię. Józia 18-letnia oddana w opiekę sędziemu Janikowskiemu, miła, dziecinna jeszcze, została jego żoną. Sędzia, wyczytawszy w gazetach wiadomość o swoim imienniku, podporuczniku, który widzowi przedstawia się jako bardzo mdły ideał młodzieńca, sprowadza go do swego domu, widzi z radością rozwijające się między młodymi uczucia, wyrabia rozwód i łączy ich. Pomysł ten, jak zapewnia Karol Witte, wzięty był ze zdarzenia rzeczywistego; zarzut więc naśladowania przez Korzeniowskiego komedyi francuskiej: „Une pensionnaire mariée“, nie ma, jak się zdaje, żadnej podstawy. Niektórzy gorszyli się treścią. Jeden z krytyków wołał: „Biada społeczeństwu, w którem taka potworność jest podobną do prawdy! Ale czyż godzi się autorowi, co chce za moralnego uchodzić, tak wyjątkowe zdarzenie za przedmiot komedyi obierać, a bardziej jeszcze wystawić szatańską usłużność głupiego starca za wspaniałomyślną dobroduszność?“ („Bibl. Warsz.“, 1844, II, 126). Krytyk widocznie pominął

zupełnie istotne intencye dramaturga a podstawił swoje własne i na tej dopiero podwalinie oparł zarzut przewrotnej niemoralności.

Na końcu tego szeregu, jako w nim najlepsza, ale z niego jednak nie wychodząca, zjawia się komedya „Żydzi“ (1843). Swoje wyższe nad innemi znaczenie zawdzięcza ona śmiałości krytyki społecznej, dosadności charakterystyki osób głównych i podrzędnych i żywności a barwności rozmów; lecz bynajmniej nie kompozycyi. Szachrajów z wielkopańskiego świata nazwał komedyopisarz żydami, a żyda Arona Lewe, nie fałszując jego charakteru, jako wzór dla nich postawił. Hrabia, główny przedstawiciel owego szachrajstwa, obdłużający majątek swój, swojej żony, niszczący dobra swojej wychowanicy księżniczki Zofii, twardy i nieczuły względem poddanych, korzystający nikczemnie z nieszczęścia swego dzierżawcy, nie jest oczywiście postacią komiczną, ale jest charakterem pod względem satyrycznym doskonale odmalowanym. Prezes Zadzirnowski, przyjmujący kapitaliki szlachty na 4 i 5%, a oddający własne na 10 i 15%, szczwany samolub i szalbierz, również komicznym nie jest, jak i szlachcic Brzydkiewicz, który prezesa przeniknął i gra z nim w odkryte karty. Baron Isajewicz wykształcony, rozsądny i szlachetny wychrzta jest prawie dodatnią figurą. Księżniczka Zofia, zacna, rozumna, energiczna, a przynajmniej rezolutna, jest całkiem dodatnią. Komornik Staroświęcki, jego żona i syn reprezentują również szlachetny pierwiastek. W Aronie Lewe (którego kantor plastycznie, widocznie z natury skreślony) nastrój poważny, a nawet religijny, nie przeszkadza wcale obliczać procentów; szlachetność nie ma w sobie nic naciąganego; a owo dobrowolne ustępowanie odsetek Staroświęckiemu po 1 i ½ w miarę nasuwających się wspomnień o dobrodziejstwach od niego odebranych, wybornie charakteryzuje przyzwyczajenie do obrotów pieniężnych, nie mogące zamilknąć nawet wśród serdecznego wzruszenia. Właściwe figury komiczne to Hrabina mówiąca z francuska i poprawiana przez Zofię, a zwłaszcza siostra Hrabiego, Szenionowa, stara elegantka i kokietka, wybornie wystudyowana, chociaż komizm jej polega więcej na słowach niż na sytuacyach, które są dla niej przykre i upokarzające W całym utworze, złożonym raczej z luźnych scen niż ze spójnie ze sobą związanych części, panuje nastrój seryo, a cho-

ciaż dowcipu tu niewiele, nie brak przecież wyrażeń nadzwyczaj trafnych i charakterystycznych, uwag rozumnych i trzeźwych, że tylko scenę w księgarni i rozmowę o trudności zawodu autorskiego dla biednych przypomnę. Myśl, żeby uboga szlachta nie pięła się na wysokie progi pańskie, nie sięgała po rękę księżniczek, za całkiem zdrową przestrogę uznać chyba wypada, chociażby motywa przez Staroświęckiego przytoczone o czci dla krwi za zabytek staroświeckiej dworszczyzny się uważało.

Po całym tym szeregu prób, stopniujących się ciągle pod względem doskonałości, nastąpiła wyborna, jako całość dramatyczna, komedya: „Panna mężatka“, pierwszy raz przedstawiona na scenie warszawskiej w r. 1844. Czem są „Karpaccy górale“ wśród dramatów Korzeniowskiego, tem jest „Panna mężatka“ wśród jego komedyi. Ani przedtem ani potem nie stworzył lepszej całości komicznej, chociaż w charakterach i sytuacyach pojedynczych nieraz doskonalszą rzecz napisał. Ześrodkowanie wszystkich czynników komizmu: charakterów, sytuacyi, dyalogu w organiczną, z zupełnem prawdopodobieństwem i niepospolitem życiem rozwijającą się akcyę nadaje temu utworowi tak wysokie artystyczne znaczenie. Cecylia jest jednym z najsympatyczniejszych, a wprost z życia wyrwanych charakterów niewieścich, w których uczciwość, rozum, dowcip, takt nie wyłącza ani głębszego uczucia, ani trzymanej w mierze zalotności, nadającej życiu towarzyskiemu ruch i powab. Jej ukochany Adolf, przezwany przez poczciwego Majora Fabiuszem Kunktatorem z powodu zwlekania w sprawie ożenienia się, jest człowiekiem, w którym refleksya przytłumia chwilowo popędy uczuciowe, każe mu się trzymać na ostrożności wobec zalet i wdzięków niewieścich, pobudza go do krytycznego zapatrywania się na panny na wydaniu, ostudza zapał i hamuje pochopność do stanowczego kroku, ale w którym uczucie bynajmniej jeszcze nie zastygło i potrzebuje tylko bodźca, by wybuchnąć płomieniem. Takim bodźcem jest właśnie podstęp Cecylii, podającej się za mężatkę i stającej przed ukochanym jako owoc zakazany. Z tego podstępu wysnuwa się z wielką prawdą i konsekwencyą cały szereg sytuacyi komicznych, którym w pomoc przychodzi dowcip słowa. Podstęp ten musi być ukaranym. Fabiusz Kunktator udaje wyleczonego z miłości do Cecylii, zwierza się jej z no-

wym swym afektem i dręczy ją szczegółami o swym niedalekim ślubie — a te udręczenia są dla widza nowem źródłem wrażeń komicznych. Poboczne figury: Major i Pułkownikowa wybornie kompletują to kółko, które sprawia nam tak wysoką przyjemność. Żaden fałszywy ton, żadna niepotrzebna lub niewczesna scena nie bruździą w tej świetnie pomyślanej i świetnie wykonanej sztuce. Gdy była po raz pierwszy przedstawiona, szkodziła jej trochę ta okoliczność, że przed nią dawano w teatrze warszawskim komedyę z francuskiego tłómaczoną: „Panna pełnoletnia“ *(La demoiselle majeure)*, w której pomysł główny był podobny; ale dziś gdy sztuka francuska poszła w zupełne zapomnienie, „Panna mężatka“ budzi obecnie żywsze jeszcze niż dawniej zajęcie. Nie podzielimy wprawdzie zdania Karola Wittego, że była ona wtenczas „jedyną i pierwszą na scenie polskiej dotąd przedstawioną komedyą“, bo okazalibyśmy się niewdzięcznymi względem „Zemsty“ lub „Ślubów panieńskich“; ale twierdzić możemy bez obawy zaprzeczenia, iż była to pierwsza prawdziwie dobra komedya polska w nowym kierunku: malowania charakterów indywidualnych napisana, pełna świeżości, dowcipu i prawdy w przedstawieniu stosunków towarzyskich i uczuć.

A jednak, właśnie w chwili, kiedy Korzeniowski taką komedyę złożył dyrekcyi teatralnej, spotkał go dotkliwy zarzut, że w jego sztukach ani pomysłowości, ani węzła dramatycznego niema. Zarzut ten był co prawda wynikiem odwetu literackiego. Aleksander hr. Przeździecki, wchodzący wtedy do literatury, autor dramatu historycznego „Jadwiga“, jeden z opiekunów i współpracowników „Biblioteki Warszawskiej“, został w lutowym zeszycie tejże „Biblioteki“ z roku 1844 dotknięty przez Korzeniowskiego, piszącego pod pseudonimem Ambrożkiewicza, w sposób mogący podrażnić mocno miłość własną. Gdy go bowiem wśród utalentowanych pisarzów nie wymienił, ktoś ze słuchaczy wprost go zapytał: „A Przeździecki?“ — na co otrzymał odpowiedź: „Z tym panem poczekamy. *Zawcześnie zrobili mu reputacyę.* Ma zdolności, ma siły, niech biegnie; meta jeszcze przed nim“. Przeździecki nie darował i zaraz w kwietniowym zeszycie „Biblioteki“ pomieścił artykuł p. n.: „O dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce ze względu na najnowsze w tym rodzaju utwory“, gdzie wyłącznie prawie zajął się Korzeniowskim, a przyznając

VI.

Do pisania powieści zachęciło Korzeniowskiego powodzenie, jakiem ta gałąź piśmiennictwa cieszyć się u nas naówczas zaczęła, głównie dzięki Kraszewskiemu. Jak w komedyi, tak i tutaj musiał nasz dramaturg przez lat kilka walczyć z opornością nowej dla siebie formy; jak w komedyi, tak i tu dydaktyzm z początku zanadto występował na jaw, nie dozwalając się należycie rozwinąć pierwiastkowi czysto artystycznemu.

Z własnoręcznej notatki Korzeniowskiego wiadomo, że za najpierwszą powiastkę swoją podawał on: „Dobrze i to wiedzieć na te ciężkie czasy“, napisaną w Kijowie r. 1837, lecz drukowaną dopiero w „Roczniku literackim“ na rok 1843. Ponieważ jednak w tej notatce niema zgoła wzmianki o „Anilce“, to opierając się na spostrzeżeniach stylowych, wypadnie to właśnie opowiadanie poczytać za najdawniejszą dochowaną próbę pióra dramaturga i poety — w rodzaju narratorskim. Pisane jest ono t. z. prozą poetyczną, która niegdyś miała swoich zapalonych zwolenników. Słusznie zauważył już dawno Kraszewski (w „Tygodniku Petersburskim“, 1849, Nr. 42), że wszystko w tym utworze, nawet wyrażenia niektóre („co jej powiedział Książę Dymitry, tego nikt nie słyszał, tego nikt nie wie“; „a cóż się stało z Anilką? nie wiadomo“ i t. p.) przypominają poemata z 1825 roku. Dodać potrzeba, że i wybór tematu z obcych stosunków (Anilka jest córą Grecyi, książę Dymitry Wołochem, który niegdyś służył w Rosyi), przez analogię z pomysłami pierwszych dramatów i komedyi Korzeniowskiego, przemawia za tem przypuszczeniem. Próba nie była szczęśliwa; autorowi, że użyję wyrażenia Kraszewskiego, „do płomienistego obrazku zabrakło barw ognistych“.

W żadnej innej powiastce nie użył już Korzeniowski prozy poetycznej; lecz posługiwał się swym stylem jasnym, pełnym, trochę zbyt trzeźwym, choć nie pozbawionym nieraz trafnych przenośni i porównań. Wszędzie w nich przebijała się gruntowna znajomość życia ludzi żyjących w sferze mniejszego lub większego dostatku i wygody; wszędzie rysunek postaci był poprawny i dobitny. Zadanie powieściopisarza pojmował jako opowiadacza, narratora; mało więc w tych po-

wiastkach wprowadzał rozmów, o żywość akcyi się nie troszczył, lecz lubił szeroko określać charaktery, myśli i uczucia osób. Dowcipu w nich zazwyczaj niewiele, morałów za to podostatkiem. To więc zachęca autor do życia oszczędnego, bo pszenica wciąż tania („Dobrze i to wiedzieć"), albo przedstawia i zaleca zwycięstwo rozumu i uczciwości nad namiętnością („Podziękowanie"), lub karze kaprys kobiety staropanieństwem („Po latach trzydziestu"), lub też dowodzi, że nabożeństwo odprawiane za duszę zmarłego może być wynagrodzone jakąś opieką z za grobu („Egzekwie"), albo że kobieta uwiedziona nie może już zaznać szczęścia, choćby zdołała obudzić w sercu mężczyzny szlachetne i trwałe uczucie („Wtorek i piątek"); lub też podaje dowcipny środek wyleczenia młodej głowy z wybujałej miłości za pomocą przepisywania listów kochanka („Korrespondencya").

Dopiero po takiem kilkoletniem przygotowaniu zdołał Korzeniowski tworzyć powieści, które trwałą w piśmiennictwie wartość zachować miały. I w nich nie zarzucił bynajmniej moralizowania; i w nich występował zawsze jako człowiek poważny, trzymający w rygorze wybuchy dobrego humoru i rozbujałej namiętności; i w nich prawie wyłącznie przebywał wśród sfer zamożnych; ale wprowadził większą żywość do opowiadania, urozmaicił je rozmowami zazwyczaj doskonale prowadzonemi, lubo niekiedy przydługiemi, uświetnił dowcipem w najlepszym pospolicie smaku, wystawił wybornie pomyślane (a raczej zaobserwowane) i konsekwentnie przeprowadzone charaktery; jednem słowem artyzmem powieści zajął się usilnie i doprowadził go do wysokiego stopnia doskonałości.

Nie wywierał Korzeniowski pojedyńczemi scenami tak bezpośredniego wrażenia jak Kraszewski, który działał głównie dobrymi, świetnie nakreślonymi rysami, lecz za to zyskiwał sobie czytelnika całością utworu, umiejętnie i prawidłowo rozsnutym wątkiem powieściowym. Nie posiadał tego co Kraszewski tchnienia poetyckiego, więc też młodzieży nie entuzyazmował; lecz przemawiał do rozwagi swoim trzeźwym i wytrawnym sądem o stosunkach życia rzeczywistego.

Pierwszą powieścią, która zwróciła na siebie powszechną uwagę i zapewniła rozgłośne imię autorowi, był „Spekulant", napisany w Charkowie 1845 (nie 1843, jak Korzeniowski sam

w notatce podaje, zob. list jego do Karola Wittego z 10 lut. 1846, przytoczony przez Kazimierza Wittego w „Tyg. Ilustr.", 1888, Nr. 300), a wydrukowany po raz pierwszy w Wilnie 1846 r. Treść jego potrącała zaledwie z daleka o kwestye społeczne, a całkowicie opierała się na obrazach życia towarzyskiego, zwłaszcza zaś na dziejach serca.

August Molicki zdążył zaledwie przebyć dwie klasy w Krzemieńcu; gdy szkoły zostały zamknięte, nie widząc przed sobą żadnych wyższych celów, wpadł, jak znaczna część młodzieży owoczesnej, w próżniacze bałagulstwo, grał w karty, kochał się w mężatkach i wdowach nie z istotnej namiętności, ale żeby się od współtowarzyszy nie wyróżniać i mieć się czem pochwalić. Po śmierci matki spostrzegł, że majątek jego zadłużony; zaczął się więc rachować i oszczędzać; a doszedłszy do przekonania, że tylko pieniądz ma rzeczywistą w świecie dzisiejszym wartość, został samolubem, dość zresztą układnym i towarzyskim; umiał pozyskiwać sobie względy kobiet i oszukiwać przezornych nawet mężczyzn co do swej wewnętrznej wartości; szczwanym atoli spekulantem nie był, nic więc dziwnego, że mu się noga powinęła, że zatroszczył się o wcześniejszą informacyę co do przyszłego posagu panny Klary i że na oporządzenie się pożyczył sobie pocichu pieniądze należące do swego szwagra.

Pomimo tytułowej roli, nie August przecież wypełnia powieść, tylko Klara, dziewczyna ładna, rozwinięta, znająca się trochę na sztuce a bardzo — na prostej i niewinnej kokieteryi, rezolutna (przed ołtarzem odważyła się powiedzieć: nie!), uparta, lecz ostatecznie dobra pospolita natura, trafnie z rzeczywistości pochwycona. Zakochana (może zbyt nagle) w Auguście, idzie za mąż za marszałka ze względu na błagania i cierpienia matki; dopiero przekonawszy się, że spekulant nietylko okazał się nikczemnikiem, lecz nadto zgoła już o niej nie myśli, przywiązuje się do swego męża i darzy go miłością. Przejście to od wstrętu do pokochania marszałka bardzo dobrze zostało odmalowane; może niezbyt subtelnie, ale tem chyba prawdziwiej ze względu na charakter bohaterki.

Marszałek jest w całem znaczeniu tego wyrazu rozumnym i szlachetnym człowiekiem i obywatelem (lekarz utrzymywany przezeń we wsi, uczeń Franka, ma zaufanie u jego „chłopków"); nigdy nie deklamuje o swoich obowiązkach, ale

je spełnia. Zarzut robiony mu przez ówczesnych postępowców, iż dba tylko o siebie, jest niesłuszny; autor nie ukazał nam wprawdzie, jak marszałek z poddanymi postępuje, ale pozwolił wnosić, że postępuje po ludzku w granicach ówczesnej możliwości.

Inne postacie, występujące w „Spekulancie", mają znaczenie sylwetek tylko. Chorąży, sknera wystawny, bardzo charakterystycznie mówi i rusza się; Kacper, dyabeł kulawy, znający i ostro krytykujący wszystkich, ale zacny, utrzymany jest dobrze w ciągu całej powieści. Na karykaturę zakrawa „Homer powiatowy" pan Paweł, ale z jego powodu jest parę scen prawdziwie komicznych. Żyd Abramko, chociaż raz tylko użyty za sprężynę powieściową, wybornie został pochwycony, jako człowiek ceniący przedewszystkiem pieniądz. Najsłabszą w całym utworze postacią jest Chorążyna, którą Korzeniowski zapewne jako wzór dobrych żon mężów głupich i dobrych matek chciał wystawić, ale nie zdołał jej wznieść nad poziom pospolitości.

Wogóle w „Spekulancie" wprowadza nas autor do świata powszedniej prozy, ani jednem uniesieniem nie wkraczając w dziedzinę poezyi, choć nawet poetę zaściankowego namalował. Do ludzi tu występujących, choć zacnych, nie przywiązujemy się, mocniejszych uderzeń serca nie doznajemy; obserwujemy ich tylko wraz z autorem, uznajemy trafność rysów po większej części; ironicznie patrzymy na tę podolską szlachtę, głupią i niezbyt uczciwą, przyjmującą u siebie takiego jak August człowieka, bo czująca w sobie skłonności podobne, którym do objawienia się potrzebna tylko odpowiednia okoliczność.

W sposobie opowiadania przeważa jeszcze cecha narracyjna; autor często i niezawsze szczęśliwie ukazuje swoją fizyognomię, wypowiadając swoje poglądy, robiąc przytyki do krytyków, przedrwiwając próżność i miłość własną swoich współbraci-pisarzów...

Bardziej dramatycznym stylem, z większą ilością rozmów a mniejszą opisów, skreślona została druga obszerniejsza powieść Korzeniowskiego: „Kollokacya" (1847). Świat tu równie jak w „Spekulancie" całkiem prozaiczny, powszedni, z uboższych warstw szlacheckich przeważnie złożony. Z wyraźnem, czasami nawet aż przykrem szyderstwem maluje au-

tor próżniactwo, głupotę, „zdartą i zszarzaną komilfowość“, niepamięć na jutro, kłótliwość, zazdrość i śmieszną pretensyonalność cząstkowych właścicieli, którzy, niestety, na małą skalę, przedstawiają cały ogół społeczeństwa szlacheckiego; obok zaś i wśród nich — dwie rodziny zupełnie odmiennego nastroju i charakteru. Prezes Zagartowski, chciwy mienia, surowy i twardy względem sąsiadów i poddanych, obłudnik mówiący ciągle o spokojnem sumieniu i używający wykrzyknika: „Jezus, Marya!“ posługujący się wszelkimi możliwymi środkami dla zyskania gruntów i pieniędzy, oplątuje siecią zdradzieckich usług szlachtę czapliniecką, ażeby jej ziemię opanować. Dziwnym, ale zdarzającym się nieraz wypadkiem, córka jego Kamilla, która nie mogła nabrać zacnych skłonności ani od ojca-hipokryty, ani od matki, ładnej, zmysłowej kokietki, co ją wcześnie odumarła, ani od panny Beldeau guwernantki, zalotnej i całkiem powierzchownej, wyrobiła się przecież na dziewicę, obdarzoną „dowcipem, rozumem bystrym, sercem ognistem, prawem, pełnem nieograniczonej dobroci i najszlachetniejszych popędów“. Energiczna i śmiała, poznawszy Józefa Starzyckiego, syna jednego z właścicieli Czapliniec, i pokochawszy go całą siłą gorącego serca, pozostała wierną uczuciu swemu pomimo przeszkód stawianych przez ojca, umiała obronić Starzyckich od jego zamachów, a po jego śmierci oddała rękę ukochanemu, nagrodziwszy wprzódy krzywdy wyrządzone szlachcie czaplinieckiej przez prezesa. Postać jej sympatyczna unosi się nad całością i zasłania sobą bohatera.

Dom Starzyckich pełen jest patryarchalnej prostoty; szczególniej pięknie i znamiennie rysują się charaktery: dziadzi, staruszka zacnego, lecz popędliwego, zajmującego się tokarstwem i ogrodnictwem, babci serdecznej, rozumiejącej bóle i zawody uczucia, ojca poważnego i zamyślonego, Anulki szczerej, dobrej i naiwnej. Józef zaś, bohater wątku powieściowego, jest wprawdzie zacny i rozumny, umie uczucia swoje trzymać na wodzy, ale w dziejach miłości swojej bierną tylko odgrywa rolę.

Dobry jest epizodyczny obrazek wielkiej pani, Włodzimierzowej Podziemskiej, czytającej tylko po francusku, mówiącej do oficyalistów w trzeciej osobie, kochającej po głupiemu swego jedynaka, któremu do lat 12-tu noża do rąk wziąć nie pozwoliła i na żadne zajęcia wymagające jakiegoś

natężenia (jazda konna, polowanie) nie zgadzała się. Uczucie dla Kamilli obudziło w duszy młodzieńca chęć przeistoczenia się na mężczyznę; pod kierunkiem starego instruktora wojskowego (doskonały Siodłowski!) potrafił się zreformować, nabrał sił, zdrowia i pozyskał miłość ładnej kuzynki.

Oryginalną jest postać Szlomy, który do lat 16-tu był w szkołach krzemienieckich, nauczył się nieźle mówić po polsku, przyswoił sobie maniery i wyrażenia szlachetniejsze, a choć później wskutek handlarskiego zajęcia zstąpić musiał niżej, nie zatracił jednak popędów lepszych, które wystąpiły zwłaszcza z całą siłą po śmierci prezesa, korzystającego niegdyś z jego usług i pośrednictwa. Takiego charakteru żyda żaden z naszych powieściopisarzów nigdy nie wystawił, wzięty zaś on został niewątpliwie z rzeczywistości.

Scen komicznych jest dużo, mianowicie w opisie zabaw szlachty czaplinieckiej, jej kłótni, sporów, ambicyi, posiedzeń i bójek. Szkoda tylko, że autor nie umiał ich tak ozłocić promieniami łagodnej, wyrozumiałej ironii, jak Mickiewicz swój Zaścianek w „Panu Tadeuszu".

Do innych sfer przenosi nas Korzeniowski w „Wędrówkach Oryginała" (1848), napisanych już po przyjeździe do Warszawy i osnutych na tle życia tutejszego lubo z silnymi jeszcze refleksami dawniejszych spostrzeżeń z Wołynia, Podola i Ukrainy. Jako całość nie zadawalniają one wymagań artystycznych w tym stopniu, co dwie poprzednie powieści; ale w epizodach budzą o wiele żywsze zajęcie i głębiej w duszę sięgają. Jest to bowiem rzecz szkicowana tylko a nie wyrobiona; żaden charakter nie został tu rozwinięty, jak należy, nawet Julisi, której stosunkowo najwięcej miejsca autor poświęcił.

Julisia przedstawia znowu charakter kobiecy śmiały, energiczny, pełny determinacyi, rwący się do życia samodzielnego. Bardzo ciekawe w tym względzie są jej słowa, powołujące się na przykład natury: „Kiedy skrzydła porosną młodym bocianom, rodzice wypędzają je z gniazda, bez względu na to, czy to samczyk, czy samica, aby szły w świat na złe i dobre losy, i nie zalegały miejsca tam, gdzie już zmieścić się nie mogą. Jest to przestroga dla nas, bo wszędzie w naturze, w ruchu świata, we własnościach kamieni, w kształcie roślin, w barwie kwiatów, a szczególniej w życiu i instynkcie

zwierząt, Bóg wyrył swoją myśl jawnie i czytelnie dla oka ludzi, których przeznaczył na to, aby go pojmowali i pojmując wychowali się sami" (I, 320). Wobec takiej zapowiedzi, czytelnik słusznie spodziewać się może czynów ze strony odważnej kobiety. Tymczasem Julisia robi niewiele. Kroki jej samodzielności polegają na tem, że idzie za pannę do towarzystwa w bogatym domu kasztelaństwa, a główny czyn — na poświęceniu swego uczucia i uczucia zacnego Kazimierza na rzecz roznerwowanej wnuczki kasztelaństwa, Ewuni. Umie panować nad sobą, jest wogóle bardzo rozsądna, ale jej zachowanie się, gdy chce Kazimierza do małżeństwa z Ewunią nakłonić, udawanie się do jego mieszkania kawalerskiego, nie nie świadczą o przezorności; czytelnik uważać musi te rysy za niezgodne z charakterem Julisi i posądzić autora, że je uwydatnił tylko dla sprowadzenia katastrofy, wypędzenia z domu kasztelaństwa. Poświęcenie jej w gruncie rzeczy jest bezpłodne, gdyż Ewunia nie może być szczęśliwą, dowiedziawszy się, że mąż kochał i kocha inną.

Misternie z dziejami Julisi zespolona jest historya jej przyrodniego brata Karola Larysza, entuzyasty-muzyka, pokochanego serdecznie przez ładną, ślicznie narysowaną Marcię, w której powab, wdzięk naturalny, naiwność łączy się cudnie z głęboką uczuciowością, uzdolniającą ją do zrozumienia człowieka wyższej sfery umysłowej. Wprowadzenie tej figury daje Korzeniowskiemu sposobność wyrażenia swego poglądu na sztukę i na jej stosunek do społeczeństwa. Autor bardzo ładnie i rozumnie mówi o artyzmie, ma głębokie współczucie dla artystów; karci surowo publiczność naszą za jej płochość i płytkość duchową, humorystycznie wskazuje powody niepowodzenia koncertu Karola (hrabiowie nie idą dlatego, że to swojak, obywatele dlatego, że miejsca tylko po rublu, urzędnicy — że nic jeszcze o nim nie słyszeli); ale bynajmniej nie głaszcze burzliwych lub kapryśnych aspiracyi artystycznych, zachęcając młodzież poświęcającą się sztuce do ograniczania swych potrzeb, do pracy i wytrwania. Jak wszędzie, tak i w tej kwestyi staje na stanowisku trzeźwem, dalekiem od pesymistycznego roztkliwienia Kraszewskiego nad losem wybrańców muz.

W powieści tej poruszył Korzeniowski umiejętnie głębsze warstwy duszy ludzkiej niż w którejkolwiek z poprzednich,

np. miłość matki Julisi do drugiego męża, zimnego napozór, ukrywanie się jej z tą miłością przed dziećmi z pierwszego małżeństwa; dalej egzaltowaną miłość matki Ewuni, serdeczną i głęboką Marci, pełną zaparcia się — Julisi. Autor wprawdzie występuje przeciwko egzaltacyi miłosnej, dowodzi, że ona wywołuje same tylko nieszczęścia; ale umiejąc ją odmalować, przekonywał, że ją umiał odczuć i że nie poprzestawał na przyglądaniu się samym pospolitym figurom, jak mu to postępowcy zarzucali.

Niepodobna wreszcie nie wspomnieć o dwu doskonałych sylwetkach, epizodycznie do opowieści wtrąconych: o przełożonej pensyi, widzącej wszędzie intrygi przeciwko sobie, gadatliwej, podejrzliwej, lecz uczciwej, oraz o przepysznie narysowanym muzykusie, sponiewieranym i upadłym (I, 352).

Jeżeli do powyższych trzech obszerniejszych powieści dodamy jeszcze dwa krótsze opowiadania, napisane już w Warszawie: „Ksiądz Gwardyan" i „Krzyż na stepie", mających stylowe zalety niepowszednie, to będziemy mieli przed oczyma całkowity dorobek powieściowy Korzeniowskiego do roku 1850.

Czy dorobek ten zapewnił mu wysokie w tej gałęzi piśmiennictwa uznanie? Bynajmniej. „Kollokacya", lubo była przyjęta przez publiczność bardzo dobrze, znalazła ostrą, szyderczą krytykę, wyszłą z pod pióra tego Tyszyńskiego (w „Bibliotece Warsz.", 1847, t. II), o którego zdanie tak bardzo się Korzeniowski przed laty dopominał. Mało kto zwrócił uwagę na to, że wychłostana w „Autorce" krytyka jest prawie dosłownem powtórzeniem opinii Tyszyńskiego o „Kollokacyi" dotknąć zatem musiała srodze Korzeniowskiego, kiedy uważał za potrzebne wtrącić jej gwałtowne potępienie do dramatu i umieścić ten dramat w tej samej „Bibliotece Warszawskiej", w której się owa krytyka pojawiła. „Wędrówki Oryginała" zostały drwiąco ocenione przez Kraszewskiego w „Tygodniku Petersburskim" (1849, Nr. 37), a zbiór powieści pomniejszych wydanych w Wilnie 1849 r. bardzo mało co lepiej przez tegoż mistrza w tymże „Tygodniku" (Nr. 42) osądzony. Lekko traktując powieściopisarski talent Korzeniowskiego, Kraszewski uwagi swoje zakończył radą, żeby osoby działające „niekoniecznie wybierał w tych klasach społeczeństwa, w których szuka ich zwykle", bo „łachman, choćby go nie Murillo czarodziejskiem oblał światłem, więcej jest malowniczy od gładko wy-

prasowanej i wysznurowanej sukienki", a „pisarzowi powieści potrzeba koniecznie wnijść wszędzie, zobaczyć wszystko, wszystko uczuć; — świat wielki; mamyż go w swojem kółku zamykać?..."

Korzeniowski nie poszedł za tą radą, pozostał malarzem sfer wykształconych i zyskał świetne powodzenie, ale dopiero w trzeciej dobie twórczości swojej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(1851—1863).

I.

Po stłumieniu ruchów rewolucyjnych z r. 1848 i 1849, Europa kontynentalna popadła w reakcyę polityczno-religijną, która we wszystkich dziedzinach pracy duchowej wycisnęła właściwe sobie piętno.

Zwykłymi jej objawami w czasach nowszych były: ścieśnianie nietylko swobody czynów, ale także swobody słowa, poczytywanie nauki niezależnej od teologii za niebezpieczną dla ołtarzów i tronów, protegowanie religijności, chociażby się miało wywołać tylko obłudne spełnianie form i ceremonii nakazanych przez kościół, sprzyjanie rozrywkom i zabawom a więc i takim rodzajom literackim, które do przyjemnego przepędzenia czasu przeważnie służą, podnoszenie wreszcie znaczenia zajęć i fachów praktycznych ze szkodą teoryi i celów idealnych.

Zwykłym skutkiem takich dążności było obniżenie polotu myśli, uczucia i fantazyi, zacieśnienie sfery umysłowej do najbliższych tylko interesów i zagadnień, pewne zdemoralizowanie opinii publicznej, stępienie ostrza samodzielnego sądu, zaszczepienie w organizm społeczny warstw inteligentnych najzjadliwszej trucizny duchowej — hipokryzyi.

U nas oprócz wpływów reakcyi ogólno-europejskiej działały jeszcze wpływy, z położenia społeczeństwa wynikające i z dziejami jego związane.

Nie wdając się tu w szczegóły odnoszące się do sfery politycznej i społecznej, nakreślę tylko pokrótce zarys zmian, zaszłych na polu umysłowem.

Filozofia niezależna, głoszona przez Trentowskiego i Libelta, filozofia, która poprzednio gorąco zajmowała bystrzejszą młodzież, straciła od r. 1850 nietylko wziętość, lecz wszelkie znaczenie, ba stała się postrachem dla ogółu, gdyż mu potrafiono wmówić, że prowadzi ona do bezbożności i zupełnego moralnego zepsucia. Na jej miejsce pojawia się odświeżona trochę scholastyka pod nazwą filozofii chrześcijańskiej lub katolickiej, tem się tylko różniącej od katechizmu, że nie była na pytania i odpowiedzi podzielona. Tyszyński, Ziemięcka, Maksymilian Jakubowski, ks. Serwatowski, Józef Gołuchowski, że mniej głośnych pominę, tworzą systemy, na zasadach religijnych oparte, i znajdują czytelników i wyznawców. Co więcej, dawniejsi szermierze obozu postępowego, walczący z ciasnotą poglądów hierologicznych, jak np. Antoni Nowosielski (poprzednio Albert Gryf), opuszczają swoją chorągiew i ostentacyjnie przechodzą do szeregu „obrońców wiary". Równocześnie z tymi objawami, jako dzielne posiłki zjawiają się przekłady popularnych wykładów teologicznych ks. Gaume, ks. Guillois, ks. Schmidta i t. d., dokonywane wspólnemi siłami głośnych autorów i autorek. Do takichże posiłków teologicznych policzyć należy ogłoszoną w tym czasie w tłómaczeniu obszerną „Historyę powszechną" Cezara Cantu, napisaną w duchu klerykalnym.

Zacięte spory o arystokracyę i demokracyę ustały; żadna bowiem krańcowa myśl nie mogła teraz pozyskać liczniejszych zwolenników. Doświadczył tego Henryk hr. Rzewuski, który sądząc, że nadeszła pora na jego arystokratyczno-religijne poglądy, wystąpił z nimi bez osłonek i omówień. Nie znalazł odgłosu najmniejszego; owszem wywołał powszechne oburzenie. Teraz bowiem pośrednie opinie cieszyły się uznaniem, bo nie narażały nikogo i dawały możność łatwego wycofania się, jeżeliby z jakiegoś powodu okazało się to lub owo mniemanie niedogodnem. Takim pośrednim wyrazem pomiędzy arystokracyą i demokracyą była t. z. „demokracya szlachecka". W szlachcie polskiej zaczęto widzieć ideał społeczno-narodowego rozwoju; zaczęto wielbić jej dzieje nawet w tem, co na bezwarunkowe potępienie zasługiwało, zaczęto

upatrywać w niej wszystkie doskonałości wystarczające i na dziś i na jutro; zaczęto na tej podstawie wysnuwać „słowo dziejów polskich“, a autor, który pracy tej dokonał, Waleryan Wróblewski (Koronowicz), uważany był za najznakomitszego historyozofa.

Z tej czci dla zasady szlacheckiej wyniknął ciasny szowinizm, poczytujący wszystko, co nasze, za doskonałe, a przedrwiwający wszystko, co obce. Przy takiem oświetleniu nie mogły oczywiście dawniej namiętnie podejmowane kwestye: uwłaszczenia chłopów i emancypacyi kobiet, stać się przedmiotem rozpraw; załatwiano je bowiem teraz sumarycznie. Stan chłopów naszych, pod patryarchalną władzą dziedziców — powiadano — nie jest bynajmniej zły, a w porównaniu z położeniem proletaryatu europejskiego, nazwać się może szczęśliwym. Niewiasty zaś najwłaściwszem polem działania jest dom, gdyż jeżeli poza dom się wychyli, czeka ją zepsucie i zguba... Dopiero kiedy w sferach rządowych od r. 1858 poruszono sprawę włościańską, weszła ona ponownie i do rozpraw publicystycznych; a w połączeniu z nią zaczęto napowrót mówić i pisać o wyższem wykształceniu kobiet i o szerszej arenie ich działalności.

Wielcy poeci umierali jeden po drugim; a ci, co przy życiu jeszcze zostawali, nie brali żywszego udziału w ruchu literackim; stąd też tak ważna w poprzedniej dobie twórczość pozakrajowa, zachowuje w obecnej tylko polityczne swe znaczenie. Wogóle natchnienie poetów nagina się do usposobienia i stopnia wykształcenia mas, zarzuciwszy dawniejszą swą dążność podnoszenia tych mas ku sobie. Pieśniarzami popularnymi stają się ci, co jak najzrozumialej o rzeczach powszednich przemawiali (Wincenty Pol w drugiej fazie swej twórczości, Teofil Lenartowicz, Władysław Syrokomla). Powieść, popierana przez rozrosłe dziennikarstwo, dochodzi niebywałej wziętości, staje się koniecznym pokarmem rzesz czytelniczych, które nie tyle w nich myśli, ile przyjemności szukają. Dramat, jako rzecz za poważna, lubo ukazuje się sporadycznie, dopiero przecież pod koniec tej doby większe budzi zajęcie, które poprzednio podzielone było między powieścią i komedyą, dodatkowo zaś obrazami historycznymi, malowniczo określonymi (Szajnocha).

Jednem słowem, przewaga rozsądku nad entuzyazmem,

obniżenie polotu myśli i fantazyi, umiarkowana temperatura uczuć, szukanie ideałów raczej w przeszłości aniżeli w przyszłości, zajęcie się powszedniemi sprawami a zaniechanie roztrząsań teoretycznych o zasadach, opieranie poglądów na religii a nie na filozofii, pewien szowinizm w uwielbieniu swojszczyzny a wyrazowem tylko po większej części potępianiu zagranicy: oto wybitne znamiona pierwszych lat sześciu doby, o której mówimy. Od roku 1856 widać już powolne zmiany, które zwiększając się z rokiem każdym, wywołują pod jej koniec ruch nowy w zakresie wszystkich dziedzin życia, ruch pod wielu względami reformatorski.

Z powyższej charakterystyki czasu wnieść już zdoła uważny czytelnik, że Korzeniowski dopiero w tej dobie mógł stanąć w pełni swego znaczenia i zająć wybitne w piśmiennictwie miejsce.

Znamionująca go od samego początku przewaga rozsądku nad zapałem, która mu nie dozwoliła zostać ani żarliwym romantykiem, ani zdecydowanym demokratą pomimo pewnych w tym kierunku sympatyi; średni stopień uczuciowości, zmysł praktyczny, silne i tradycyjnie zachowywane uczucie religijne, lekceważenie zapędów filozoficznych, chętne przebywanie myślą i fantazyą w gronie sfer inteligentnych i zamożnych, usposobienie raczej przeciwne emancypacyi kobiet aniżeli jej przychylne: oto cechy umysłu i dążności, które w dobie reakcyjnej znaleźć musiały należyte uznanie, a autorowi, umiejącemu wypowiedzieć poglądy podobne w sposób piękny i zajmujący, zapewnić miano mistrza społecznego.

Można więc powiedzieć, że Korzeniowski nie uległ wpływom doby reakcyjnej, lecz doczekał się tylko szczęśliwej chwili, w której mógł wyraźnie i jawnie, pewny uznania i poklasku, wystąpić ze swemi usposobieniami i poglądami. Stąd to pochodzi ta obfitość uwag, spostrzeżeń, nauk, dygresyj jakie w komedyach i powieściach jego z tej pory znajdujemy; stąd ta swoboda, z jaką wobec czytelników występuje, w charakterze doradcy i nauczyciela.

Lecz i doba reakcyjna wsączyła do umysłu naszego pisarza nieco ze swych teoryj i upodobań, a jakkolwiek te dodatkowe pierwiastki nie stanowią rzeczy głównej w twórczości jego, zaznaczone jednak być muszą, jako dowód oddziaływania prądów chwilowych nawet na umysły wyrobione.

Przedtem Korzeniowski podzielał widocznie poglądy reformatorów XVIII. wieku i widział wady przodków, kiedy pisał w „Kollokacyi": „Szał nas owionął... Wszędzie obaczysz tylko chęci nad siły, zamiary nad sferę, wydatki nad możność, dumę nad stan i urodzenie, pretensye nad naukę i talent; a stąd wszędzie wstyd, upadek, klęskę i pośmiech. To powszechne szaleństwo, tę próżność ślepą i występną uważam za powiew tego ducha zemsty, któremu poruczono nas karać *za wielkie i ciężkie grzechy naszych ojców*" (I, 252, 3).

Teraz, pod wpływem apoteozy przeszłości, a mianowicie kontuszowców z wieku XVIII., apoteozy wyśpiewywanej przez Rzewuskiego, Kaczkowskiego (jako Nieczui), Pola i innych, Korzeniowski, choć mało wogóle mówić lubił o odleglejszych czasach, tak samo przecie jak owi chwalcy występował przeciwko mniemanej filozofii, mniemanej cywilizacyi, a nawet „mniemanemu polorowi" francuskiemu z doby „oświecenia", powiadając, że wpływ tego oświecenia psuł obyczaje, przewracał dobre dawne stosunki (V, 5). Tak samo jak oni i Korzeniowski stawał w obronie edukacyi jezuickiej, wielbił stosunek panów do szlachty, poczytywał fraczkowych za ludzi pozbawionych miłości kraju, a kontuszowych — za jedynych jej cnotliwych i rozumnych obrońców; na tem przeciwieństwie osnuł całą swą komedyę: „Wąsy i peruka". I podobnie jak owi chwalcy, gdy przyszło do malowania szczegółów, mijał się i Korzeniowski z założeniem. W „Panu stolnikowiczu wołyńskim" okazuje się, że ludzie wychowani i wykształceni według starego trybu, którzy mieli jakoby odznaczać się gorącą miłością kraju i wszelkiemi innemi cnotami, byli to pijacy, tyrani względem żon i dzieci, sypiący nahaje podwładnym dla ulżenia własnemu humorowi, krótkowidzący egoiści, którzy swój interes przed publicznym kładli, jak ów stolnik, ojciec bohatera, próżny, marzący o gwiaździe i wstędze (V, 120), oburzający się na myśl, że Wiczfiński, z którym się procesuje, może zostać posłem, choć ten człowiek ma rozum i „dobre dla rzeczypospolitej sentymenta", a dodający przytem naiwnie czy obłudnie: „rzeczpospolita powinna iść *ante omnia*" (V, 72).

Z takiego niekrytycznego uwielbienia dla kontuszowej przeszłości, gdzie i batogi hojnie wlepiane zdawał się uznawać za rzecz zbawienną, zaczerpnął też Korzeniowski otuchy do

śmielszego i stanowczego głoszenia swoich poglądów na miłość i wogóle na wybujałe namiętności. Miłość nowszą, egzaltowaną nazwał wraz ze Stolnikowiczem „bałwochwalczą i niechrześcijańską“ (V, 75), z lekceważeniem mówił o „nierozumnym zapale kochanków“ (II, 76), a za główny warunek szczęścia każdej mężatki podał „wiarę w rozum męża“ (V, 421). Jeśli poprzednio nigdy kobieta nie była dla niego piękniejszą, „jak z igłą w ręku“ (X, 203), to teraz „nigdy ukochana kobieta nie wydaje się uczciwemu człowiekowi tak piękną i tak drogą, jak wtedy gdy się modli“ (V, 99). Świat kobiet „ogranicza się granicą ich pola; zatem ani ich myśl, ani ich serce, ani żadne najniewinniejsze z pozoru pragnienie za granicę tę wybiegać nie powinny“ (V, 421). Wszelkie namiętności gwałtowne prowadzą tylko za sobą, zdaniem Korzeniowskiego, zepsucie, upadek moralny, obłąkanie lub śmierć. Miłość rozsądna tylko, miłość małżeńska jest prawą i godną szacunku. Zbyteczne jednak namyślanie się i pedantyczne określanie sobie z góry przymiotów przyszłej żony ganił i wyśmiewał („Wyprawa po żonę“).

Idealizowanie życia szlachty wiejskiej było oczywiście w związku z czcią dla przeszłości i wielbieniem spokojnego, nienamiętnego usposobienia. Zdaniem Korzeniowskiego, jak i współczesnych mu poetów i powieściopisarzy, „w żadnym zapewne narodzie stosunki wiejskiego życia i pojęcie szczęścia domowego nie wyrobiły się tak poetycznie, jak u nas pomiędzy dawniejszą szlachtą, pomiędzy tymi drobnymi właścicielami wiosek, którzy mieli rzeczywistą niezależność otwierającą pole popędom ich serca i pomysłom ich głowy, którzy byli naprawdę głowami familii nietylko swojej własnej, ale całej tej rodziny wiejskiej, mniej więcej licznej, która od nich zależała... Jeżeli próżność nie zbryzgała błotem miejskiem tego zielonego tła, na którem się ciche sceny życia wiejskiego odbywały; jeżeli pretensye do form tak nazwanego wielkiego świata i zaczerpnięte z niego sztuczne wonie nie zmieszały się z powietrzem wioski i czystości jego nie zatruły; jeżeli błyskotki, przywiezione z miasta, a z niemi pierwiastki jego zepsucia nie zastąpiły pod dachem szlacheckiego dworku prostych kwiatów polnych i nie wypędziły staroświeckich obyczajów, to łatwo sobie wyobrazić, że nigdzie nie było więcej warunków domowego szczęścia, jak tu, gdzie natura wdzię-

kiem swym zdobiła pracę miłą i swobodną; gdzie prostota obyczajów, przestawanie na sobie i rodzinie, nieszukanie żadnej uciechy *za granicami swojego pola* okrywały tarczą swą serca od kolców próżności, przesadzania się i namiętności, lejących truciznę do kielicha życia; gdzie codzienny stosunek z niebem, dającem pogodę lub deszcz, poddawał wszystkie nadzieje pod kierunek boży; gdzie przebywanie z ludem, garnącym się do panów swych z przywiązaniem, dawało pole ich sercu, otwierało szranki ich woli i, powiększając ich koło rodzinne, powiększało zakres tych uczuć miłości i opieki, których rozkosz jest tak czystą i świętą" (V, 419).

Że te wszystkie powaby znajdują się prawie wyłącznie tylko pod dachem dworków szlacheckich, nie zaś w pałacach magnatów, Korzeniowski bynajmniej nie tai, chociaż stanowczo się zastrzega przeciw wywyższaniu jednej klasy kosztem drugiej, gdyż pragnieniem jego jest, ażeby każda była zdrowa i cała, ponieważ każda jest częścią organiczną społeczeństwa, które inaczej zdrowem i całem być nie może. Ale w tej cząstce, co jest wyżej, powinna być jako w widoczniejszej, większa czystość i szlachetność; a gdy się w niej dostrzega więcej plam, więcej brodawek i częstszy zéz, co jej poważne oblicze oszpeca, to obowiązkiem jest obywatelskim skazy te wytknąć. Korzeniowski, starając się, jak powiada, trzeźwem okiem patrzyć na swój czas i malować go prawdziwie, z jego przymiotami i wadami, te skazy mieszkańców pałacu wytykał stale z celem wpłynięcia na skaz zniszczenie. Tym zaś, co „zaślepieni miłością własną, brodawek swych i zéza nie widzą, a co gorsza, szpetności te, lub wielkim kosztem nabyte, lub od przodków odziedziczone, mają za piękność i za przymiot, odróżniający ich od gorszej w ich mniemaniu cząstki narodu", odpowiada, „że zamiast gniewać się na zwierciadło za to, że wierne, i na tego, co je trzyma, za to że śmiały i sumienny, lepiej jest doprawdy dobrze się sobie przypatrzyć, pozakrywać szpetne brodawki, które jeszcze zakryć można, i wyoperować sobie zéza, kiedy jest czas i sztuka łatwe na to podaje środki" (III, 79—81).

Lecz i cnotę a poetyczność dworków szlacheckich odnosił Korzeniowski do czasów nieco dawniejszych, może do pierwszych 30-tu lat naszego stulecia. Zepsuła te cudne właściwości cywilizacya, „europejska kataryuka", według której

skakać zaczęliśmy. „Dziś — głosił nasz powieściopisarz w roku 1855 — postęp czasu i nieszczęśliwe okoliczności, które nas w koło ruchu europejskiego wplątały, odpoetyzowały prawie całkiem wieś naszą i dworek szlachecki zamieniły na kamienicę. Znajdujemy dziś w nim prawie wszystko to, co przyniosła z sobą cywilizacya i zbliżenie nasze z tymi, co nas wyprzedzili rozumem, a przed którymi daleko staliśmy sercem i obyczajami; ale też za to przed każdym niemal dworkiem takim, jak przed każdą kamienicą, płynie rynsztok, cuchnący miastem, lub gdzieś niedaleko gumna, co dawniej było tak czystem i wonnem, kurzy się komin fabryczny, co i jedno i drugie zatruwa powietrze wsi i wszelką z niej wystrasza poezyą". (V, 420).

Szowinizm atoli, wypowiedziany w zdaniach powyższych, nie przybrał nigdy u Korzeniowskiego takich rozmiarów, jak u Kraszewskiego (w „Ładowej pieczarze", w „Chorobach wieku", w „Metamorfozach"); był tylko chwilowym przejawem i nie zasłaniał autorowi oczu na zalety cywilizacyi europejskiej a na wady swojskiej. Mówiąc np. o prawdziwem i czynnem zamiłowaniu sztuki za granicą a u nas, bardzo niepochlebne o miejscowych stosunkach i znawstwie wypowiedział zdanie. Gdzieindziej — mówi — amatorowie „znają się rzeczywiście, kochają sztukę nie żartem, gromadzą jej płody w swoich domach i, postawiwszy to amatorstwo niemal za cel swego życia, nabywają niejako prawa mówić prawdę tym, których pracę uszanują, talent ocenią, geniusz podziwią, a dzieło zakupią. Ale u nas byle gadać; byle się czemsiś popisać, byle cośkolwiekbądź udawać. I tak jest we wszystkiem. Próżność i aktorstwo zabija nas w sztukach, zabija w naukach i w życiu prywatnem wykrzywia i śmiesznymi czyni. Przypatrzmy się sobie dobrze, a postrzeżemy, że ten udaje artystę, a ten znawcę, ten poetę, a tamten krytyka, ten katolika, a ten gardzącego postami i modlitwą, ten pana, a ten demokratę; słowem; biedna nasza społeczność wydaje mi się czasem jak trupa prowincyonalnych komedyantów, z których każdy łże to słowem, to strojem, to miną; gdzie primadonny chwieją się pod wyskubanemi piórami i wytartym aksamitem, pierwsze role dmą się pod szychem i mitrą z kartonu; gdzie łachmany tylko prawdziwe i głód, bo każdy jest razem aktorem i publicznością, i za mizerne

swe szamotanie się ani zapłaty ani oklasków nie odbiera" (III, 175, 6).

Na wytknięciu swemu społeczeństwu chęci pozowania nie poprzestaje Korzeniowski i zapuszcza swą sondę dość głęboko, gdy bada nasze wady: „Żądza pieniędzy, które zdobyć chcemy bez pracy, a których użyć nie umiemy, gdy się zgromadzą; zastawianie się pyszne tarczą rodu, z której nie umiemy zetrzeć dawnych plam i świeżego błota; małpowanie obcych i możniejszych, które nas robi karykaturą i u drzwi naszych stawia wierzycieli; upędzanie się za zabawami i fraszkami życia, bez względu na zdrowie i obowiązki; chęć podobania się, którą nam daje próżność lub rozpusta, a nie serce i myśl o szczęściu tych, którym chcemy się podobać; lenistwo myśli, lenistwo ciała, niewiara w siebie, niewiara w świętość jakiejbądź powinności i t. d. i t. d. — to są w rzeczy samej nasze choroby, gorsze od cholery i suchot, a z których nie wyleczy nas nawet ten wielki lekarz, którego Bóg czasem na pojedyńczych ludzi i całe narody zsyła, a który nas już od lat tylu wezykatoryami i plastrami swymi okłada" (III, 412). Do szeregu wad powyższych dodaje Korzeniowski w innem miejscu wstręt do zastanowienia i rozbioru, sprawiający, że u nas nikt nie słucha, co drugi mówi, ale swoje tylko myśli i przy swojem stoi (VII, 253); a zwłaszcza brak tego głębokiego przeświadczenia, że nieuszanowanie zasad prowadzi do występku, a słabość woli bywa często zbrodnią (VII, 255, 260). Zdrowe te jednak spostrzeżenia nie są tu i owdzie wolne od przymieszki reakcyjnej, gdy np. wbrew narzekaniu, iż mamy wstręt do rozbioru, poczytuje badanie przyczyn, ciągłe pytanie: *dlaczego* za „nieszczęśliwą chorobę natury ludzkiej", za chorobę, która jeszcze od czasów raju pomiędzy nami grasuje" (II, 226).

W radach, podawanych przez siebie, ku wyleczeniu chorób społecznych, Korzeniowski kładł w tym czasie nacisk na trzy główne rzeczy: 1) na podstawę religijną w myślach, uczuciach i postępowaniu, bez bigoteryi i fanatyzmu, 2) na jasne i trzeźwe liczenie się z warunkami bytu, 3) na pracę uczciwą i sumienną w jakimkolwiek zawodzie: urzędowym, lekarskim, artystycznym, handlowym czy rzemieślniczym.

Pod tym ostatnim względem Korzeniowski wyprzedził współczesnych sobie powieściopisarzy i opierając się na nielicznych przykładach, dawanych przez arystokracyę celem pod-

niesienia przemysłu w kraju i przeciw działania przesądom rodowym, wprowadził do powieści naszej myśl, która dopiero po jego śmierci szersze znalazła zastosowanie i była nawet za nowość poczytywaną, myśl pracy organicznej. Korzeniowski nie nazwał jej wprawdzie tem mianem, które przez czas długi popularnem było i głośnem, które jej skrzydeł dodało i rozniosło po szerokich przestrzeniach kraju — lecz główniejsze znamienne jej cechy nakreślił dobitnie już na początku tej doby w „Nowych wędrówkach oryginała“, a rozsnuł szerzej i w praktyce życia jednego z bohaterów swoich uplastycznił w „Krewnych“.

Ubolewając nad „grzesznem zaparciem się siebie samych“ w wielkich rodach, przedstawił Korzeniowski w Janie Firleju dorobkiewicza-magnata, który ażeby stać się społeczeństwu pożytecznym i nie przepróżnować życia, wziął się do przemysłu i handlu, tak, że mógł kupić Firlejów z przyległemi mu wsiami, założyć tam użyteczne fabryki, napełnić go rękodzielnikami, których praca i przykład podniosłyby dobry byt mieszkańców, rozwinąć przedsiębiorstwa, któreby im dały zarobek, zachęciły do trzeźwości i przemyśliwania o jutrze, zaprowadzić wszędzie szkółki wychowania i ochrony dla dzieci mieszczan i włościan, wybudować w każdej gminie stosowny do ludności szpital z małą apteką i znającym się na chorobach ludu felczerem, uporządkować drogi i mostki, urządzić gospody, aby nie były miejscem pijaństwa dla ludu, ale schronieniem podróżnych i placem trzeźwej wesołości w niedzielę i święto. Przykładem swoim i staraniem spodziewał się zachęcić każdego mieszkańca, aby ozdobił swoją siedzibę, tak jak on ozdobił swoją, aby wszyscy mieli latem cień i zieloność, pod którą odpoczęliby po całodziennym znoju. I rachował, że mu wystarczy na to wszystko, a nawet na książki i obrazy, na kocz i wierzchowca, na smaczny obiad i dobry kielich dla miłego gościa, bo tylko próżność i próżnowanie rujnują; ale gdzie jest praca i rachunek, tam może być wygoda i ozdoba, „ale domowa, ale swoja, ale taka, jaką nam ta piękna i bogata ziemia da, a da obficie i hojnie“ (II, 136, 7; 248, 9).

To wskazówka postępowania dla szlachty bogatej, jeżeli chce zatrzymać dawniejsze swe przewodniczące znaczenie, idąc z duchem czasu i przemieniając środki zasługiwania się

krajowi. Dla szlachty ubogiej podał powieściopisarz radę rozumną i zbawienną, lecz wymagającą wyrzeczenia się zakorzenionych przesądów i jęcia się pracy nie dającej rozgłosu, ale zapewniającej niezależność. Wyliczył on rozmaite dziedziny tej pracy i prawie po dzisiejszemu wykazawszy ich dobre i ujemne strony, zatrzymał się na rzemiośle, jako najpewniejszym środku zabezpieczenia sobie bytu i pożytecznego przyczyniania się do dobra ogółu, w warunkach, w których się ten ogół znajduje.

„Nie wszyscy mogą i powinni iść — pisał w r. 1856 — taką drogą, jaką zwykle teraz nasza uboga młodzież idzie. Każdy chce być urzędnikiem, a jest nas kończących szkoły daleko więcej, niźli jest urzędów, które wszystkie zapełnione są mniej więcej przez ludzi zdolnych, trzymających się swego miejsca i nie ustępujących go nikomu“ (VI, 252). Każda praca jest uczciwą, każda biegłość i postawienie się na wyższym stopniu czy w jakiej nauce, czy w sztuce, czy w handlu, czy w przemyśle, czy wreszcie w jakiem rzemiośle, da utrzymanie, nawet lepsze, niż daje urząd i niezależność, jakiej żaden urząd nie daje wcale. Można zostać lekarzem albo prawnikiem. Zostawszy lekarzem, można być „zaraz pewnym jakiego takiego utrzymania i, przy dalszej sumiennej pracy, ciągłem doskonaleniu się, w jakim szczęśliwym przypadku, który wydobędzie z tłumu, można przyjść do imienia i do majątku...“ Skończywszy znowu kursa prawne w jakim uniwersytecie, można albo „prywatnie zajmować się z korzyścią dla siebie i dla drugich, albo w sądownictwie utorować sobie prędszą drogę i zajść nawet daleko“. Wszakże do obu tych zawodów potrzeba „nietylko zdolności i przygotowania, ale nadto osobnego usposobienia, a nadewszystko czasu i funduszów, żeby przez lat kilka utrzymać się w miejscu obcem i dalekiem“, gdyż w Warszawie wówczas uniwersytetu nie było. ....„Gdzieindziej handel i przemysł przedstawia dla młodych aspirantów fortuny obszerne pole; u nas jest ciaśniej a nawet bardzo ciasno, ale jednak przebić się można. Zakładają się fabryki różnego rodzaju sukien, kortów, płócienek i płócien; powstają fabrykacye cukru z buraków, mamy Szteinkellera, mamy Ewansa, Frageta i innych. W każdym z tych zakładów młody człowiek z głową, wolą energiczną i z jakiem-takiem przygotowaniem

w mechanice lub buchalteryi może się pomieścić. Wszakże i tu spotka... znaczne trudności. Naczelnicy zakładów fabrycznych wolą pomocników już gotowych, jak przygotowujących się; wolą zawsze Niemca jak Polaka. Jako sami przybysze, wierzą więcej w rozum, sumienie, a szczególniej w pilność przybyszów. Naszych młodych ludzi, którzy pokończyli szkoły, boją się jako paniczów, okazujących dużo pretensyi, a mało pracowitości... Trudność ta wpływem protekcyi i głosem jakim poważnym, któremuby ci panowie uwierzyli, dałaby się przełamać; ale na to potrzeba, aby rekomendowany zapomniał o tej pretensyi, jaką u nas każdy młody umiejący cokolwiek ma, że już wie wszystko, aby nie bał poniżyć się pracą ręczną, aby się nie wahał wziąć do młota, hebla i pilnika, aby schował na samo dno kuferka swój dyplom szlachecki, swój patent klasy VII-ej gimnazyum, ale, aby się okazał gotowym robić wszystko, nie zrażał się podrzędną rolą, jaką mu, dla wypróbowania go moralnie i technicznie, dadzą, i uczył się własnemi rękoma wykonać to, co teoretycznie bardzo dobrze rozumie... Taką zaś przebywszy szkołę, mając głowę do pomysłu i rękę umiejętną do wykonania go i postawienia swej myśli na nogi, można nawet u nas być pewnym dalszej karyery, a przy szczęśliwych okolicznościach nawet fortuny i wpływu na ogół przemysłowych przedsiębiorców i samych przedsięwzięć. W Anglii tym sposobem kształcą się inżynierowie, mechanicy, naczelnicy owych niezliczonych fabryk i zakładów, które konsumują i wydają miliony“ (VI, 112—115).

Radami rozumnego hr. Adama S. wsparty, doświadczywszy trudności w zawodzie urzędniczym, decyduje się zostać stolarzem Ignacy Zabużski, zabezpiecza dla siebie i innych utrzymanie, dobrobyt i szczęście, i sam na sobie daje przykład, iż warto przez parę lat ukorzyć młodą i hardą głowę, żeby „tym sposobem zapewnić sobie niezależność i przy jakichbądź okolicznościach być panem swojej przyszłości i stać na własnych nogach“ (VI, 116).

Czytając te wywody i przestrogi, mimowoli przypominamy sobie położenie obecne młodzieży, i uznać musimy trafność wskazówek danych przez Korzeniowskiego przed trzydziestu pięciu jeszcze laty.

II.

Dla wypowiedzenia swych pomysłów używał Korzeniowski teraz przeważnie tej ulubionej owemu czasowi formy, która stanowi jego wybitną charakterystykę; poszedł nawet dalej w określeniu jej uprawnienia, niż którykolwiek ze współczesnych mu pisarzy. Zauważywszy bowiem, że w owej dobie dramat i powieść były jedynemi rodzajami poezyi, „które czas, zmiana wyobrażeń o literaturze i stanie społeczności, a szczególnie powódź dziennikarstwa od zagłady ocaliły“, nie wahał się, wywracając całą dawniejszą poetykę, nawet swoją własną, przepowiadać, że „powieść, nieznana prawie w starożytności, długo poniewierana jako najpośledniejszy z rodzajów, zamknie w sobie z czasem wszystkie elementa poezyi, a nawet dramat zagłuszy i wyruguje“. Ten przypuszczalny jej rozrost przyszły przypisywał jej formie, pełnej swobody, elastycznej i wszystko w sobie mieszczącej. „Dramat — powiadał — zmuszony rozwijać się w oczach widzów, pozbawiony pomocy opowiadania, licząc tylko na teraźniejszą chwilę i posuwając swoją treść jedynie przez rozmowę, porusza się w takiej ciasnocie, tak związany jest niedoskonałym mechanizmem sceny i jednostajnemi postaciami aktorów, że nie będzie mógł wyrazić tego wszystkiego, co wyraża i ogarnia powieść. Ustąpi więc miejsca swojej młodszej towarzyszce, pełnej życia, pełnej sił, swobodnej w swoich ruchach, i ani miejscem, ani czasem nie skrępowanej. Przewaga tej powieści nad dramatem już się nawet zaczęła i szybko postępuje. Stąd wszystkie prawie teatra europejskie przestają coraz bardziej być pokarmem dla myśli i uczucia, wyrzekają się coraz dobrowolniej wymownego i poważnego słowa, zamieniając się na miejsce zabawy dla oka i ucha — czemu też wkrótce zapewnie wyłącznie poświęcone zostaną“ (II, 328—329).

Mając tak wysokie wyobrażenie o przyszłości powieści, stawał Korzeniowski nieraz w jej obronie. Kiedy Kraszewski, pobudzony przez krytykę A. Nowosielskiego, a zirytowany tłumem naśladowców swoich, którzy fejletony dzienników owoczesnych niedowarzonymi utworami zapełniali, sarknął w r. 1854 głośno w „Gazecie Warszawskiej“ na zużycie formy powieściowej i powoływał do wynalezienia nowej — Korze-

niowski odpowiedział na to sarknięcie pięknym wierszem w tejże „Gazecie“ (Nr. 271) pomieszczonym, utrzymując, że nie tyle o formę, ile o treść świeżą i piękną chodzić powinno:

Chcecie formę odmienną w nowej dać budowie?
Nudzicie się jak wyschłe przesytem panięta?
To nowe jest nie w formie, lecz w sercu i głowie;
Każda forma jest dobra, gdy życiem natchnięta.

„Znać ludzi, kochać ludzi — oto sekret cały“ zajęcia czytelników i powodzenia autora. Kraszewski nie odstępował od swego twierdzenia i w nowym liście do „Gazety Warszawskiej“ (r. 1855, Nr. 60) uskarżał się, że wszystkie powieści nasze są na jedno niemal kopyto zrobione, że to waryacye na jeden temat, niekiedy z talentem pomyślane, odgrywane prześlicznie, ale ostatecznie męczące i nudne. „Potrzeba być nowym — wołał— nawet napisawszy *Kollokacyę* i *Tadeusza Bezimiennego,* a tem bardziej, gdy się ich nie napisało. Druga *Kollokacya,* drugi *Tadeusz* muszą być już słabsze, a cudze odbitki tych pierwotworów będą wyglądać jak kompozycye sławnych malarzy, litografowane na chustkach od nosa“.

To domaganie się nowości zaczęli powtarzać inni literaci, a najmocniej może Nowosielski, uważający siebie za istotnego inicyatora kwestyi. Wychwalając Kraszewskiego, a ubocznie rzucając przygryzki Korzeniowskiemu, pisał w „Dzienniku Warszawskim“: „Potrzeba wieszcza, któryby mocnem uderzeniem w skałę wywiódł z niej żywe źródło interesu, coby stworzył *nowe, świeże* wpośród starego, odwiecznego, zużytego materyału. Pod grubą powłoką rudy fenomenalnego świata kryją się głębokie żyły jasnego, drogiego metalu; potrzeba tylko umieć dokopać się do tej miny, do tych bogactw moralnych. Kiedy grunt zjałowiał i nie chce już wydawać chleba, potrzeba go głębiej przeorać; kiedy morze ciche, gładkie, spokojne, któż się pod niem spodziewa niezgłębionej bezdni, strasznych, nieznurtowanych tajemnic przyrodzenia? I życie nasze jest oceanem niezgłębionym. Mówicie, że żywot ludzki zastygł w kamiennej skorupie, ale w tym kamieniu jest ogień ukryty i do sztuki-to należy wskrzesić go, wskrzesić życie, wyprowadzić owo cudowne, tajemnicze światło, ten promień idei, którym tak uroczo oświecają się postacie i grupy ludzi, szykując się w jeden, wielkiego moralnego znaczenia

obraz" (Zob. „Pisma krytyczno-filozoficzne A. Nowosielskiego", r. 1857, Wilno, t. II, str. 98).

Korzeniowski już się nie mieszał do dalszych sporów, przypatrywał się tylko szermierce piór, które zaczęły poniewierać powieść i powieściopisarzy, i dostrzegał, że „w tym chórze wrzaskliwym, w którym się znajdowali pseudo-wieszcze, kuglarze rymotwórstwa, mniemani historycy i archeolodzy, a przedewszystkiem krytycy z profesyi, najgłośniej hałasowali ci, którzy raz i drugi sparzyli sobie palce, spróbowawszy także sił swoich w tym rodzaju i, przekonawszy się, że łatwiej im będzie nazywać powieść śmieciem literatury, niż napisać taką, którąby ktokolwiek chciał i mógł przeczytać do końca" (VII, 251).

Wszystkie te rozprawy o formie powieści nie wydały natenczas żadnego praktycznego wyniku. Może nie będzie bez interesu spostrzeżenie, że właśnie w chwili, gdy we Francyi wykluwał się kierunek naturalistyczny w romansach Flauberta i Goncourtów, u nas teoretycy albo pragnęli większego idealizowania materyału wziętego z obserwacyi, albo wołali o kunsztowniejszą kompozycyę w powieści, albo chcieli mieć silniej jeszcze niż podówczas zaznaczony cel, tendencyę utworów.

Korzeniowski nie zmienił w gruncie rzeczy swojego sposobu pisania, wprowadził tylko do swych powieści większą ilość uwag i poglądów na różne nastręczające się okolicznościowo zagadnienia artystyczne lub społeczne, opisy charakterów i miejsc albo rozszerzał, albo przeciwnie całkowicie je wypuszczał, samemi jedynie rozmowami i rozwojem akcyi wypełniając ramy nakreślonego przez się obrazu życia towarzyskiego. Temat obmyślał zazwyczaj starannie i artystycznie, stawiając przed swą wyobraźnią wszystkie postacie, które miał wprowadzić do działania, przypatrując się ich rysom, wyrazowi ich twarzy, ich giestom, ich zwykłemu ubiorowi, przysłuchując się ich głosowi, śledząc nałogowe ich wyrażenia i szukając w powierzchowności odbicia ich myśli i charakteru, słowem usiłując dokładnie poznać się z każdą, aby ich słowa, ruchy i czynności miały wszystkie cechy i prawdy natury (VII, 251).

Przy takim trybie tworzenia postaci, przy talencie plastycznym, który posiadał w wysokim stopniu, cała zewnętrzna strona jego osób powieściowych musiała być bez zarzutu; ni-

gdzie tu nie można zauważyć rysów z sobą sprzecznych, lub zacierających się wzajem, nigdzie niedbalstwa ani zapomnienia, wskutek którego barwa włosów lub oczu, postawa, sposób mówienia uległyby niezamierzonej i niepożądanej zmianie; owszem zgodnymi są szczegóły z podanem przez autora określeniem; figury stają przed nami żywe, pełne, sobie wierne. I pod względem wewnętrznym jest autor konsekwentnym w przeprowadzeniu charakterystyki swego personalu powieściowego: dowcip znamionuje istotnie ludzi przedstawionych nam jako dowcipnych, przebiegłość — szczwanych lisów, zręczność — kokietki; powaga, rozum i doświadczenie — tych, których powieściopisarz wybrał za rzeczników swej myśli; energia, śmiałość i przedsiębiorczość — tych, którzy rozpoczynając zawód życiowy, mają go przebiedz z powodzeniem, zapewnić szczęście sobie i innym. Personal ten licznym nie jest; role są tu nieraz dublowane; Korzeniowski nie zapuszcza się nigdy ani w głębie duszy ludzkiej, ani w tajniki nędzy; najwyższym szczeblem duchowym, do którego osoby jego się wznoszą, to artyzm, ale artyzm spokojny, rozważny, trzeźwy, t. j. taki, jaki znamionował samego twórcę.

Pod względem kompozycyi, można wśród powieści Korzeniowskiego z tego czasu wyróżnić dwie kategorye: niedokończone, czy zbyt gwałtownie przerwane, oraz harmonijnie rozwijające wątek.

Dlaczego autor nasz, tak delikatne pod względem roboty artystycznej mający poczucie, łamał swe utwory, niepodobna się domyśleć. Największą mianowicie zagadkę stanowią, co do budowy swej, dwie powieści, a raczej dwa opowiadania: „Pan Stolnikowicz wołyński“ i „Szczęście za górami“.

„Pan Stolnikowicz wołyński“, jedyna próba Korzeniowskiego w rodzaju opowiadań historycznych, jest raczej szeregiem luźnych obrazów: domu Olszańskich, kontraktów dubieńskich, gdzie prócz graczów i balujących, występują wyraźniej Adam Poniński i Prot Potocki (przezywany „żydkiem“) brzydki, z piękną swą żoną Lubomirską z domu, która po bankructwie męża zaraz go opuściła — a dalej: imienin w Haliczanach u podczaszostwa Czapliców, których córka Teklunia, dobre, serdeczne, po staropolsku wychowane, a więc bezwarunkowo rodzicom posłuszne dziewczę, pokochana pokochała Benedykta Olszańskiego, stolnikowicza, i z niechęcią przyj-

mowała konkury zgrabnego, ale podrujnowanego kawalera, Jana Brzeskiego, łowczego trembowelskiego; — wreszcie dworu wojewody Józefa Stępkowskiego. Epizodycznie wprowadzona tu jeszcze została jowialna figura rejenta Kalasantego Korzeniowskiego, trochę garbatego, z głową prawie kwadratową, z konceptami dość naciąganemi, z których jednakże, będąc pod dobrą datą, śmiać się było można. Opowiadanie wlecze się ociężale, mało posiadając rysów znamiennych; najlepiej stosunkowo opisana scena popisów z ujeżdżaniem nieposkromionego araba na imieninach w Haliczanach (V, 103—105). Urywa się ono w najciekawszem miejscu; co miało stanowić wyjaśnienie upadku bohatera pod względem moralnym i materyalnym, Korzeniowski przemilczał, tak że całość opowieści, którąby musiała nabrać więcej życia przy opisie przejść Benedykta Olszańskiego w stosunku do Tekluni, jej ojca, oraz Jana Brzeskiego, wydać się musi jako wstęp, jako przygotowanie do czegoś, co zgoła wykonanem nie zostało.

Zupełnie taką samą wadę widzimy w „Szczęściu za górami". Jest to rzecz, będąca wynikiem prądu uwielbienia dla szlachetczyzny i życia wiejskiego. Autor pragnąłby wszystkie życzenia i dążenia ludzi zawrzeć w granicach domu i rodziny, jakkolwiek (zapewne pod wpływem powieści Kaczkowskiego) bardzo sympatycznie odmalował dwu legionistów: Cypryana i Zacharyasza, którzy 15 lat poza krajem walczyli dla wielkiej i świętej idei. Syn Cypryana, Józef, od dzieciństwa przeznaczony Regince, córce Zacharyasza, okazywał wstręt do zwykłych zajęć wiejskich a gonił myślami mary wyobraźni, rwał się do książek i szerszego świata; nie żadna jednak wielka idea tam go ciągnęła, tylko prześliczna twarz kobiety, którą ujrzał przypadkiem, będąc w ostatniej klasie gimnazyalnej w Kielcach. Poleciał za nią do Warszawy, przekonał się, że to była znana tancerka Karolcia P., mająca roje wielbicieli. Nie zraził się tem, porwany wichrem namiętności, szalał za nią przez trzy lata, znękany wrócił na pogrzeb ojca i został zakonnikiem. Autor zrobił przykrą niespodziankę czytelnikom; opisawszy szeroko i nudnie zwykłe stosunki wiejskie i ludzi zacnych wprawdzie, ale bardzo powszednich, zrobił przygotowanie do obrazu życia szalonego w Warszawie i... urwał, tłómacząc się, że pamiętnika bohatera odnaleźć nie zdołał; fakt przemiany Józia został zaznaczony, ale psychologicznie cał-

kiem niewyjaśniony. Charaktery w tej opowieści nie mają ani cząstki tej wybitności, jaką się odznaczają w innych utworach Korzeniowskiego. Epizodycznie wprowadzony dziwak-mizantrop zaledwie został naszkicowany. Równie epizodyczny improwizator starej daty, to słaba kopia Radziwiłła Panie Kochanku; koncepta przezeń opowiadane są w duchu staropolskim, ale sztuki w odtworzeniu łgarstw niewiele. Wogóle w bardzo wielu miejscach tyle jest niezdarności i niepoprawności, że nieraz budzi się w umyśle krytycznym wątpliwość, czy wszystko w „Szczęściu za górami“ wyszło z pod pióra Korzeniowskiego...

Luźnością wielką układu, albo jego nieprawidłowością nacechowane są dwa utwory: „Wyprawa po żonę“ i „Nowe wędrówki oryginała“.

W „Wyprawie po żonę“, częścią w krotochwilnym, częścią w poważnym tonie trzymanej, Korzeniowski dał szereg obrazków i opowiadań, przedstawiających rozmaite ustosunkowanie się temperamentów i charakterów niewieścich a męskich, łącząc je dowolnie nicią uogólniającą poszukiwania żony przez zamożnego obywatela Ksawerego Wymysłowskiego, który sobie ułożył rodzaj kodeksu, składającego się z 15-tu paragrafów, określających warunki wybrania przyszłej towarzyszki życia. Autor jest niewątpliwie przekonany o słuszności wielu z tych paragrafów, ale drwi z chęci systematycznego według nich postępowania i wykazuje w końcu zawód zupełny bohatera, który się przekonał, że kodeks jego na nic się nie zdał. Z licznych wprowadzonych tu osób najlepiej i najsympatyczniej wykonaną jest postać doletniej już panny Kamilli, poetycznej, uczuciowej, a rozumnej i doświadczonej, która pomimo silnej dla Ksawerego miłości, wyrzeka się ofiarowanej sobie ręki dlatego, że nie byli do siebie dobrani ani wiekiem, ani przeszłością. „Dziś — pisała do Ksawerego — sztucznym obrzuciłeś mnie kwiatem, dziś promień miłości twej, który spadł na mnie niespodziewanie, daje mi barwy, które cieszą twoje oko, wydobywa z serca mego tę świeżość i wonie, które cię odurzają i poją; ale wkrótce cofnąłbyś się przerażony, spostrzegłszy może ze wstrętem, że w ręku twym jest tylko zeschła łodyga: bo daremnie, daremnie, mój drogi, kochająca ręka zdobi mogiłę murawą, obsadza ją zielonym i kwitnącym krzewem; krzyż znajdzie się tam zawsze, wyciągnie swe ra-

miona z pomiędzy listków i kwiatów i powie każdemu, że pod tą zielonością jest tylko proch, że pod różami są tylko popioły“ (V, 344, 5).

Cel „Nowych wędrówek oryginała“, to wskazanie strasznych wyników, do których prowadzi bogactwo, lekko nabyte, niezapracowane. Użył autor ku przeprowadzeniu go dźwigni fantastycznej, wprowadzając Twardowskiego, który znudzony swojem zawieszeniem między niebem i ziemią, uprosił Lucypera, by mógł zejść do kraju rodzinnego i pokusami, nie przemocą, wieść ludzi do złego. Kilka jego sztuczek w tej mierze przedstawił epizodycznie, dla przestrogi bohaterki, pięknej kokietki, Heleny hr. Tumierskiej; główną zaś uczynił przedmiotem opowiadania: miało nią być rzucenie Gabryela, syna szlachcianki, która wyszła za ukształconego chłopa, w świat rozpusty i marnotrawstwa. Udaje się ta sztuka Twardowskiemu — w połowie tylko. Gabryel, wychowany w największej czystości obyczajów, zapomina o swoich najbliższych, kształci się na salonowca i lekkoducha, żyje hucznie wraz z Heleną, ale szczęścia nie doznaje i w końcu zwraca się do pracy w dobrach znakomitego obywatela Firleja, który „zrozumiawszy swój czas“, stara się podniesieniem rolnictwa, rzemiosł i przemysłu zasłużyć się krajowi, gdy inne sposoby zasługi zostały odjęte. Korzeniowski zapewne sądził, że obsłonki fantastyczne poetyczniejsze będą od obrazów życia realnego; ale się omylił; utwór jego nie znalazł wielkiego rozgłosu, tylko zadziwił. Potrzeba mieć bardzo lotną i bardzo giętką wyobraźnię, ażeby światem fantastycznym w dziełach artyzmu efektownie się posługiwać, a imaginacya Korzeniowskiego była dość ociężała i nie mogła się nałamać do tych lekkich, swobodnych przeskoków, jakich wątek wymagał. To też osnowa powieści urywa się nieraz najniewłaściwiej i potem sztukuje przez dopowiadanie tego, co powinno być odmalowanem; podrzędne rzeczy bywają często ze szkodą głównych szerzej rozwinięte, a psychologia wogóle zaniedbana, tak że ludzi, a zwłaszcza motywa ich czynności poznajemy bardzo powierzchowie i pobieżnie. Osoby niektóre daleko lepiej przedstawiają się w określeniach autora (zacna matka Gabryela, Anastazya, skłonna do widzeń, wzorowy kapłan Pilecki, czynny obywatel Firlej, chłop wykształcony Stanisław Czarosz), aniżeli w działaniu a nawet słowach. Postać Agaty, kochającej

gorąco Gabryela, ma dużo podobieństwa do Marci, ale mniej jest urocza, a jej łagodne obłąkanie przypomina Praksedę z „Karpackich górali“. Akcya wogóle bardzo uboga; przygotowania do sytuacyi kulminacyjnej trwają zbyt długo, tak, że aż nużą; a rozwój bohatera i bohaterki zbyty ogólnikami. Najlepsze sceny — to przyjazd Heleny do Dusanowa, rozmowa jej z mężem i śmierć tegoż, potem opis przechadzki po Wałach we Lwowie, plotkarstwa w domu dewotki i balów u hr. Czaroszów. Sceny fantastyczne nie robią wrażenia, nie podnoszą efektu a czynią całość nieprawdopodobną; tylko nocleg Gabryela na „pustce dyabelskiej“ jest prawdziwie pięknie wykonany.

Nareszcie do powieści z ułomną nieco kompozycyą zaliczyć też musimy „Tadeusza Bezimiennego“, liczonego powszechnie pomiędzy arcydzieła naszego autora. Rzeczywiście, gdybyśmy tylko patrzyli na plastykę przedstawionych tu osób i sytuacyi, na żywość barw w skreśleniu krajobrazów i wypadków, na prawdę życiową, z każdej wyglądającą karty, na werwę i żywość stylu, jakiej Korzeniowski nigdy przedtem ani potem nie rozwinął, — to musielibyśmy uznać „Tadeusza Bezimiennego“ za utwór doskonały. Autor z widoczną miłością przenosił się duchem w czasy swej młodości i odtwarzał ludzi i rzeczy, zapamiętane wyobraźnią i sercem na tej ziemi wołyńskiej, gdzie najpiękniejsze lata przeżył, gdzie ocknął się i rozwijał jego talent, gdzie poznał wiele miłych osób, chociaż i wstrętnych nie brakło. To całkowite zajęcie fantazyi i serca drogiemi i żywo w duszy tkwiącemi pamiątkami odbiło się w dziele, nadało mu ten ciepły koloryt, jakiego żadna inna powieść Korzeniowskiego w tym stopniu nie posiada, i uczyniło opowiadanie wielce zajmującem. Ale równocześnie to wpatrywanie się miłosne w osobę bohatera odciągnęło myśl autora od czuwania nad proporcyonalnością wymiarów części do całości. Dzieciństwo i lata szkolne Tadeusza tak wyłącznie pochłonęły uwagę powieściopisarza, że na rozwinięcie jego działalności jako dojrzałego mężczyzny nie zwrócił już należytego baczenia, i wypełniwszy obrazami przejść jego za młodu, kiedy biernie tylko mógł wchłaniać wrażenia, prawie całą powieść, na opowiedzenie jego życia czynnego, chociażby nader krótkiego, zaledwie kartek kilkanaście zostawił. Zapewne, na to skrócenie przygód Tadeusza wpłynąć mogły silnie okoliczności

od autora niezależne, to jest, sama tych przygód natura, lecz w każdym razie, gdyby Korzeniowski więcej się był zastanawiał nad układem swego opowiadania, byłby obmyślił jakiś środek nadania większej symetryi częściom swego utworu. Tak jak obecnie „Tadeusz Bezimienny“ się przedstawia, wygląda raczej na prolog do zarysu biograficznego, skreślonego powieściowo z nadzwyczajnym talentem i bardzo interesująco, aniżeli na zaokrąglone i wykończone dzieło sztuki. Jakkolwiek ważne są i ciekawe najwcześniejsze lata życia, zawsze jednak czytelnik powieści uważa je tylko za wstęp i oczekuje niecierpliwie jakiegoś działania ze strony bohatera, a gdy go nie znajduje, doznaje zawodu. Tadeusz istotnie skupia w sobie całe zajęcie powieściowe, tak, że wszystkie inne osoby, których zresztą stosunkowo do obszaru dzieła jest niewiele, odgrywają role całkiem poboczne. Nie można tedy szukać zogniskowania efektów powieściowych w innej jakiejś sprawie czy osobie, np. w matce Tadeusza, Rozalii. A gdyby autor dążył był do zogniskowania w niej akcyi, to przy jego poglądzie na Rozalię, uczyniłby powieść najmniej zadawalniającą pod względem estetyczno-moralnym. Nawet tak jak jest, postać ta występnej matki, cierpiącej, prawda, za swój grzech, zasługującej może na litość, ale bynajmniej nie na szacunek, jak chciał mieć Korzeniowski, rzuca cień w połączeniu ze swą dumną i przewrotną matką, na opowiadanie skądinąd tak miłe i sympatyczne. My bowiem widzimy w Rozalii nie męczennicę, pokutującą za błąd niedoświadczenia, lecz przebiegłą, o rybiej krwi obłudnicę, która nie mając odwagi znieść opinii świata i obejść się bez majątku swego męża, kłamie przywiązanie do niego, nie śmie jawnie stanąć w obronie Tadeusza i okazuje wstręt względem drugiego syna, chociaż i ten nie był bynajmniej owocem legalnej miłości, odkryciem czego zagroziła mu cynicznie, siedząc już na dewocyi w Rzymie...

III.

Do zupełnie dobrze ułożonych i równomiernie rozwiniętych powieści Korzeniowskiego w tej dobie należą naprzód wszystkie drobne powiastki i opowiadania bardzo różnej zresztą wartości pod względem treści i charakterów. Zazwyczaj przedstawiają one jakieś zdarzenie ze stosunków między dwiema

płciami w mniej lub więcej żywy sposób skreślone; bardzo rzadko poruszają jakąś sprawę psychologiczną, jak „Spotkanie w Salzbrunn“, w którem odmalowana jest walka wewnętrzna mężatki, zaślubionej grubemu hreczkosiejowi, a kochającej przystojnego, zajmującego i szlachetnego Władysława. Najżywiej, na sposób krotochwili, opowiedział autor przemianę energicznego niegdyś pułkownika w posłusznego wykonawcę woli swej „Drugiej żony“, której pieski wodził na spacer. Dużo scen a zwłaszcza rozmów pięknych zawierają: „Krzyż na stepie“, „Pojedynek“, „Dwa śluby“, „Scena na balu“. Charakter anegdotyczny mają powiastki: „Pomyłka“, „Instynkt“, „Artykuł“ [1]); allegoryczny zaś — „Narożna kamienica“.

Z większych powieści tego czasu dobrą kompozycyą odznaczają się: „Emeryt“, „Garbaty“, „Wdowiec“, „Ofiara i sumienie„ i „Krewni“; ale znaczenie ich estetyczne jest bardzo rozmaite.

W „Emerycie“ doskonale została zobrazowana postać, zwyczaje i nałogi Cypryana, wysłużonego profesora łaciny, nie mogącego wyżyć bez gramatyki łacińskiej i tabaki preparowanej przez siebie w ciągle obmyślanych kombinacyach; mniej już wybitnie — postać starego kawalera, samoluba i pedanta, referendarza Marka; nie oni jednak odgrywają główne role w opowiadaniu, lecz raczej dwie całkiem od siebie różne kobiety: córka Cypryana, Kasia, dziewczę skromne, serdeczne, ciche, lecz zarazem śmiałe i roztropne, oraz pani Rożewska, dowcipna, wyzywająca a bodaj i wyzyskująca uczucia mężczyzn, emancypantka i impertynentka, jeden z najświetniej skreślonych charakterów zalotnych. Łącznikiem powieściowym pomiędzy niemi jest przeciętny osobnik ze sfery obywatelskiej, pan Roman, ulegający nadzwyczaj łatwo wrażeniom, lecz i łatwo o nich zapominający, tak, że pokochanie Kasi i zapomnienie o niej dla pani Rożewskiej, pokochanie pani Rożewskiej i powrót do Kasi odbywają się w jego duszy bez wielkich walk i trudności, jakby tylko tańczył kontredansa. Mimowolną ofiarą Kasi jest poczciwy Marcinek, opuszczony syn pana Marka. Wykształcił się on dla miłości Kasi na nauczyciela

---

[1]) Obrazek ten, nie pomieszczony w zbiorowem wydaniu „Dzieł“ Korzeniowskiego, znajduje się w „Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych“ (r. 1856, Nr. 239—247).

elementarnego, w chwili żalu po czasowej stracie p. Romana otrzymał od niej przyzwolenie na ślub, wyrzekł się jej, gdy p. Roman powrócił, wstąpił do żołnierzy i... rozpił się. Figur podrzędnych a dobrze wykonanych, opisów mistrzowskich, np. kontraktów kijowskich, szlachty zagonowej mazurskiej, jest sporo; przyczyniają się one wybornie do urozmaicenia treści i sprawiają, w połączeniu z treścią główną, że powieść czyta się z zajęciem, chociaż łatwo się o niej zapomina, gdyż niema w niej głębszych pierwiastków.

„Garbaty“ — to powieść poświęcona głównie sztuce i jej przedstawicielom. Przedmiot ten był przez wielu natenczas powieściopisarzy obrabiany („Powieść bez tytułu“, „Laokoon“, „Bajronista“, „Nowy Gladyator“); lubowano się w nim, gdyż stanowił jedyną sferę pracy umysłowej, o której publiczność owej doby słuchać chciała i do której malowania autorowie nasi mniej lub więcej byli przygotowani. Korzeniowski zajął w tej sprawie odrębne stanowisko, wierny swoim poglądom, które już częściowo w „Wędrówkach oryginała“, wypowiedział. Zdaje się, że nie odczuwał, a w każdym razie nie pochwalał furyi artystycznej, namiętnych, gwałtownych natur, żyjących wyobraźnią i uczuciem, drażliwych, wrażeniem chwilowem opętywanych i dla tego wrażenia poświęcających wszystko. Jego poeci i artyści to ludzie porządni, rozważni, uczucie z rozumem łączący, podobnie jak sam ich twórca; albo też — zdegenerowani, upadli czy to wskutek sercowego lub materyalnego zawodu, czy też wskutek poczucia bezsilności do wyrażenia artystycznie tego, co się w ich wyobraźni rodziło. „Garbaty“ Maryan należy do idealnych wzorów dobroci i poświęcenia.

Rzecz tej powieści dzieje się w Rutce Mazowieckiej (w Ostrołęckiem), na folwarku Dymowszczyznie i w Warszawie. Z początku szczegółowo i plastycznie przedstawiona postać Janusza Cieszewskiego, człowieka ukształconego, zacnego, ale strasznie już w młodości zdenerwowanego, który chociaż porwany ogólnym zapałem w r. 1809 wszedł do wojska, wkrótce jednak, raniony pod Sandomierzem, opuścił je, umiłował spokój fizyczny i moralny, żył samotnie, nazwany przez sąsiadów „karmelitą trzewiczkowym“ dlatego, że chodził w trzewikach i kamaszach; polubił siostrzenicę swej klucznicy, Maryannę, ożenił się z nią i miał syna, „garbatego potwora“, Maryana.

Po śmierci tej żony, oplątany zręczną intrygą, wyzyskującą jego słabości, wziął sobie na kark rodzinę Luzyańskich, która się w domu jego rozkwaterowała i wszystkiem rządziła. Druga żona, Teofila, naszkicowana tylko, wwiodła do domu huczne zabawy, od których głowa bolała zdenerwowanego biedaka, dzieci swe wychowywała po cudzoziemsku, Maryana wypchnęła do oficyny i zbliżyła go tym sposobem do poczciwych mieszkańców Dymowszczyzny: starego Narbuta, milczącego a energicznego Litwina, Szumejkowej z domu Dąbskiej, pociesznej babiny, która ciągle miała na ustach wyrzekania na Litwinów, poczytując ich za niższych pod każdym względem od koroniarzy, i pięknej wnuczki Narbuta, śmiałej, wytrwałej, uzdolnionej do rysunku Urszuli (przypominającej i przymiotami swymi, i gotowością do poświęceń i nawet szczegółem zachodzenia do mieszkania kawalerskiego, Julisię z „Wędrówek oryginała“). Przy opisie pobytu Maryana w szkołach w Łukowie namalował autor przepyszny wizerunek Anzelma Łęczyckiego, nauczyciela rysunków, doskonałego restauratora starych obrazów, trochę pijaczyny po godzinach szkolnych, oraz jego syna Ignasia, poczciwego, milczącego, ale kochającego Maryana aż do zapomnienia o sobie, nie mającego twórczych zdolności, ale dobrego kopisty. Maryan sam wyrabia się na charakter silny, nie dający grać sobie po nosie, zasobny w dowcip złośliwy, którym jednak posługuje się tylko w obronie np. wobec macochy, dla wywalczenia sobie i ojcu względnego spokoju; uczuciowy niezmiernie, ale bez płaczliwości i mazgajstwa. W przedstawieniu uczucia zazdrości, rodzącego się w duszy Maryana na wieść i widok cichej, niewyznanej miłości Urszuli i Ignasia, wiele szczegółów przypomina objawy podejrzliwości Kajetana względem Rozalii w „Tadeuszu Bezimiennym“; ale nie może tu być mowy o kopii siebie samego; rzecz wykonana dobrze, tylko może za rozwlekle. Ostateczne zdecydowanie się Maryana na wyrzeczenie się myśli połączenia z Urszulą, o którem przez lat kilka marzył i bez którego nie pojmował celu życia swego, trafnie umotywowanem zostało. Posłyszał nasz garbaty artysta w Jaworowie dzieje analogicznegc stosunku, obejrzał sam portret garbusa i jego nieszczęśliwej a pięknej żony; powiedział sobie, że ponieważ człowiek składa się z duszy i ciała, trzeba więc warunków i z jednej i z drugiego, by miłość obudzić (III, 223), i — wyrzekł się serdecz-

nego marzenia; uczynił szczęśliwymi Urszulę i Ignasia, cieszył się ich szczęściem, chociaż uczucia głębokiego w sobie nie zgładził, wcześnie posiwiał, w pracy ociężał, ale mecenasować sztuce nie przestawał.

Rozumie się, że jest w tej powieści dużo rozpraw o sztuce i artystach; wszystkie one trzeźwo rozwinięte, odznaczają się trafnością we wskazówkach praktycznych, ale nie zawierają nic takiego, coby na szczególne zasługiwało wyróżnienie. Charakterystyczne chyba dla rodzaju talentu samego autora zdanie o granicach artyzmu warto zanotować. Daje on mianowicie przestrogę artystom, ażeby się nie porywali na nic takiego, na co w mowie niema słowa, w ołówku zarysów, ani farb na palecie, i dodaje: „Takim jest cały świat nieskończoności, do którego także każda wielka radość, każda wielka boleść należy. Chcieć ją zamknąć w opisie, aby ją usłyszało ucho, chcieć rysami dokładnie oznaczyć, żeby ją spostrzegło oko, jest to nadawać jej granice, zmieniać jej naturę, i z niebios, gdzie dla jej rozmiarów jedyne miejsce, ściągać na ziemię, gdzie wszystko maleńkie i drobne“ (III, 145). Autor tej uwagi szedł za nią zazwyczaj; nie próbował malować szczegółowo wielkiej boleści; bo tak wymagał jego temperament; zapomniał jednak, przynajmniej na chwilę, że wielcy mistrze próbowali nieraz ją odtworzyć, że używali ku temu bardzo rozmaitych środków i że udawało się im to niekiedy znakomicie; bo granice uzdolnienia artysty tego lub owego nie są przecież jeszcze stanowczemi granicami dla artyzmu wogóle, dla geniuszów wszech czasów.

„Wdowiec“ był napisany w czasie owej żywej dyskusyi o potrzebie zmiany formy powieści i prawdopodobnie w myśli autora miał stanowić praktyczny dowód, że i w formie dotychczasowej można rzecz interesującą napisać, byleby umieć wpatrywać się w objawy życia i mieć serce. Bardzo zręcznie złączone tu zostały za pomocą wątku powieściowego różnorodne sfery życia towarzyskiego w Warszawie i na prowincyi. Treść główna zaczerpnięta jest z warstwy szlacheckiej zamożnej, lecz związki jej lub przypadkowe stosunki wprowadzają na widownię arystokracyę rodową (hr. Franciszka), świat urzędniczy (pani Szambelanowa, pani prezesowa), pieczeniarzy wielkopańskich (wyborna sylwetka Sroczyńskiego), księży, zakonnice, aktorów prowincyonalnych (szczególniej wyborna po-

stać Edmunda Surewicza, utalentowanego, namiętnego, a zwichniętego moralnie wskutek miłosnego zawodu), oryginałów-myśliwych (Maciej Łaguna). Każda z wyprowadzonych tu figur pobocznych była zupełnie nową u Korzeniowskiego, a nawet w naszem powieściopisarstwie; niektóre pod względem siły charakterystyki i umiejętnego zastosowania środków artystycznych do ich odtworzenia nie miały sobie równych w ówczesnej belletrystyce; mianowicie niestrudzona, złośliwa, wszechwiedna weredyczka pani szambelanowa Matraszyńska, pełen ognia, jedyny przykład tego rodzaju u Korzeniowskiego Edmund Surewicz, i zakochany w mądrości „Nowych Aten“, zacny dziwak Maciej Łaguna. Mniej natomiast udatnemi nazwać można osoby główne. Charaktery ich są już modyfikacyą tylko skreślonych dawniej przez naszego powieściopisarza. Tomasz Łuniewicki, gospodarny, rozumny obywatel, dający się opłątać przebiegłej i obłudnej pannie Hieronimie, biorący ją za drugą żonę, wskutek jej intryg obojętniejący dla ukochanej córki Bronisi, jest odmianą Janusza Cieszewskiego z powieści „Garbaty“ i pułkownika z „Drugiej żony“. Hieronima Tączyńska, kokietka wyrafinowana, obłudnie pobożna, o krwi zimnej, wytrzymująca wielbicieli swych przez długie lata w niepewności i pożądaniu, to znowuż odmiana Teofili Luzyańskiej z „Garbatego“ i Rozalii z „Tadeusza Bezimiennego“. Od Rozalii, która wykroczyła przeciw wierności małżeńskiej uczynkiem, gdy Hieronima tylko myślą, słowy i listami, wyróżnił ją Korzeniowski jedynie odmiennym punktem widzenia i oceny wartości moralnej; Rozalię chciał mieć sympatyczną, Hieronimę wstrętną, od pierwszej oddalił wszelkie podejrzenia opinii światowej, drugą przygnębił nieubłaganie listami, które się dostały do rąk szambelanowej i przesłane były jej mężowi. Bronisia wreszcie jest odmianą różnych dodatnich postaci dziewiczych u Korzeniowskiego, śmiałych, energicznych, otwartych, jawnie uczucia swoje wyznających. Sympatyczność jej umniejsza się trochę wskutek pewnej szorstkości w stosunku do dzieci macochy i pewnej oschłości serca względem ojca. Jej zaś marzycielstwo i przeczuwanie życia klasztornego nie dosyć jest umotywowane.

„Ofiarę i sumienie“ nazwał autor dramatem opowiadzianym, i słusznie; niektóre sytuacye tylko tą formą wytłómaczyć się dają, np. przyjazd i zachowanie się trzech plotkarek: Plot-

kowskiej, Nowinkowskiej i Fabulickiej, pełne komizmu, ale trochę naciąganego, teatralnego; albo przedstawienie balu u Adama, lub wreszcie kuligu; w obrazach tych niema skreślonego naturalnego przebiegu, lecz jest natomiast koncentracya dramatyczna. Charaktery tu przedstawione, nie są odmalowane przez autora, a w akcyi nie wyjaśniają się należycie — i to jest największa wada tego utworu, czy go jako powieść, czy jako dramat rozważać zechcemy. Eleonora, kokietka, podobna do pani Adamowej w dramacie „Dama i dziewczyna“ i do pani Rożewskiej z „Emeryta“, z początku niewinna, potem rozmyślna i wyrachowana, mówiąca o zbudzeniu się serca, którego jej odmawiają, nie okazuje w czynie tej zręczności, z której słynie, ani wówczas, gdy ją Adam spotyka sam na sam z Karolem, ani gdy stara się błaganiem i całowaniem ręki Adama ku sobie pociągnąć, ani gdy się z nim kłóci przed balem u tegoż odbyć się mającym, ani wreszcie gdy z kuligiem wpada do domu Adama pogrążonego w smutku i gdy udaje ubiorem zmarłą jego żonę Teklunię w rocznicę jej śmierci. Są to efekta teatralne, dość zresztą grube, ale w niczem nie uwydatniają zręczności Eleonory, tylko jej lekkomyślność, upór i zaślepienie. Adam zaś, ów „orzeł podolski“, któremu ciasno w szrankach, jest w czynach grubo zmysłowym, bez istotnego charakteru, a z wielką pewnością siebie łotrem, który się w końcu nawraca, i który jak poprzednio ani przenikliwości ani delikatności nie okazywał, tak później zanadto staje się tkliwym i imaginacyjnym, gdy mu wspomnienie Tekluni nie daje spokoju i gdy umiera pod wrażeniem wywartem przez zjawienie się Eleonory w stroju zmarłej żony. Teklunia — to dziewczę słabe, całą duszą kochające, bierne, cierpiące najcięższe upokorzenia w milczeniu; postać ta zresztą, nakreślona sylwetkowo, nie mogła się w paru scenach uwydatnić. Doskonałe są natomiast figury poboczne, zwłaszcza szyderczy ale szlachetny Adolf, dalej jedzeniem tylko zajęty Marszałek, zimna, robieniem siatki ustawicznie zatrudniona Marszałkowa, wreszcie uczuciowa i zacna guwernantka Katarzyna, wyrażająca się dobranemi słowy, wielce tkliwa, lecz odciąć się nawet dość ostro umiejąca. Opowiadanie jest bardzo żywe i zajmuje bez przerwy, tak, że chwilowo zasłania braki charakterystyki.

IV.

Najharmonijniej ułożoną, najściślej ześrodkowaną, najszerszy zakres życia towarzyskiego obejmującą powieścią Korzeniowskiego są „Krewni“; o której bardzo wymagający i bardzo uprzedzony co do tendencyi autora krytyk powiedział, że śmiało może być policzona „do rzędu najlepszych naszych romansów, do rzędu tych, któremiby się nawet nie powstydziła i wszelka obca, a w świetne utwory tego rodzaju obfitująca literatura“.

Powieść ta znacznie jest bogatsza pod względem zasobu postaci, położeń i różnorodności sfer towarzyskich od „Wdowca“, który od innych utworów Korzeniowskiego już się był pod tym względem znakomicie wyróżnił. Jak we „Wdowcu“ szlachta zamożna, tak w „Krewnych“ warstwę główną, której życie wypełnia większą część dzieła, z której wychodzą dwaj bohaterowie, stanowi szlachta zubożała, mająca jednak rozgałęzione związki rodzinne z bardzo bogatemi i wpływowemi familiami. Z natury więc rzeczy wynikło zestawienie i przeciwstawienie tych dwu sfer, z bardzo silnie rozwiniętem cieniowaniem. Więc najprzód jedna z najsympatyczniejszych postaci w całej książce, a nawet wogóle w powieściach Korzeniowskiego, Sebastyan Zabużski, właściciel folwarku w miasteczku Sawinie, czerstwy, pracowity, ceniący swą niepodległość, szlachetnie dumny, którędy nawet w ostatniej potrzebie nigdy się nie poniżył, a który uczciwością i zdrowym rozsądkiem zdobył sobie powszechne poważanie. Miał on dwu synów, pozostawionych przez wcześnie zmarłą żonę, Jelewską z domu. Eugeniusz był lotniejszego umysłu, miększego usposobienia i do pracy pospolitej nieochoczy; Ignaś zaś zdrów, wesół, zarówno do nauki jak do roboty chętny, łatwo obchodzący się bez wygód, nie mający wymyślnych przyzwyczajeń. Gdy do tej gromadki dodamy księdza Zielenkowskiego, najzacniejszego kapłana, który w czynie wykazuje te wszystkie przymioty rozumu, szlachetności, dbałości o parafian, jakie inni księża Korzeniowskiego (czy w „Nowych wędrówkach oryginała“, czy we „Wdowcu“) posiadali głównie w określeniach autorskich lub słowach tylko własnych, — oraz ułomną, brzydką, ale z najpoczciwszem sercem, pełnem dobroci i czu-

łości, opłakującem rzewnemi łzami każde nieszczęście, komukolwiekby się przytrafiło, Teresę Jelewską, — to będziemy mieli główniejsze osoby tego kółka ziemiańskiego, z jakiem nas zapoznał powieściopisarz na początku swego utworu, umiejąc dla niego zjednać przywiązanie szczere i głębokie.

Bogata sfera krewnych Zabużskiego reprezentowana jest przez dwie różne od siebie rodziny: kasztelana i referendarza. Sam kasztelan jest człowiekiem dobrym i rozumnym, ale ożeniwszy się z doletnią panną wysokiego rodu, poddał się, jak wielu mu podobnych, władzy żony, kobiety światłej, mającej szlachetne popędy, ale pamiętającej aż do zbytku o swem książęcem pochodzeniu i skrzywiającej tem zarówno postępowanie swoje, jak i wychowanie swego Stasia, który wyrasta na zuchwałego lamparta, chociaż siostra jego Jadwiga, podobna do Kamilli w „Kollokacyi", najlepsze tylko pierwiastki po ojcu i matce odziedziczyła. Rysunek tych postaci, a zwłaszcza kasztelana i jego żony, policzyć należy do najudatniejszych w naszych powieściach wogóle; żaden bowiem rys nietylko fałszywy, lecz choćby w najmniejszym stopniu karykaturalny, nie wkradł się tutaj i nie zamącił wrażenia tchnącego samą prawdą. Delikatnie wycieniowana charakterystyka zarówno w mowie jak w każdym ruchu i postępku jest tu wielkim tryumfem przedmiotowego trybu tworzenia i przyniosłaby istotnie zaszczyt najznakomitszym nawet „twórcom dusz" w piśmiennictwie europejskim. Są to postacie żywe, których się niełatwo zapomina.

Rodzina referendarza Zabużskiego, skreślona tylko sylwetkowo, zupełnie inaczej się przedstawia. Sam referendarz samolub, udający dobrodusznego głupca, gdy kto od niego choćby tylko rekomendacyi zażąda, wykręca się niezdarnie skleconymi frazesami od wszelkiego współudziału w czynnem dopomożeniu ubogim krewnym. Żona jego i dwie córki płytkie i pospolite, wyglądające już od samego rana w pretensyonalnych, lecz pomiętych strojach przez okna na przejeżdżających książąt i hrabiów, paplące po francusku, domagające się czołobitności od niższych, łączą w zachowaniu się swojem próżność z ograniczeniem umysłowem. Dom ich — to mieszanina bogactwa i wykwintu z zaniedbaniem i nieładem. Rysy, któremi autor zapoznając nas z tymi ciekawymi egzemplarzami,

kreśli charakterystykę świata urzędniczego w Warszawie, pozostaną na zawsze ważnym dokumentem cywilizacyjnym.

Niższy świat urzędniczy, reprezentowany przez Kańskiego, młodzieńca lekkomyślnego trochę, ale serdecznego, wesołego i szczerego, z miłością został przez autora odtworzony we wszystkich szczegółach codziennego życia, ze wszystkimi kłopotami i taniemi radościami, w których dobry humor przyprawia „chleb z obiadkiem" lub przedstawienie teatralne tak dobrze, iż za najwyszukańsze starczy rozkosze. Rzecz wystudyowana wybornie a oddana z taką łagodną, wyrozumiałą i słoneczną ironią, że chwyta za serce i pozostaje w duszy jako miłe wspomnienie.

Po raz pierwszy do powieści naszej wprowadził Korzeniowski świat rzemieślniczy i finansowy.

Ponieważ jeden z bohaterów „Krewnych", nie widząc dla siebie przyszłości w biurze, postanowił, idąc za radą rozumnego hrabiego Adama (skreślonego epizodycznie, ale bardzo znamiennie), wstąpić do rzemiosła, wprowadza więc nas autor do warsztatu stolarskiego, zapoznaje z poczciwym Niemcem Heblem, który ożeniwszy się z Warszawianką, przejął się miłością dla kraju, w którym zamieszkał i chociaż licho mówił po polsku, zachowywał się przecież i postępował jak Polak, przedstawia nam urządzenia cechowe z charakterystycznymi obrzędami i naukami przy wyzwalaniu czeladzi; a to wszystko robi widocznie na podstawie studyów nie dorywczych, lecz umyślnie, z zamiarem przedsięwziętych. Wprawdzie ten świat rzemieślniczy łączy się z resztą wątku powieściowego tylko za pośrednictwem Ignasia Zabużskiego, zawsze jednak zajmuje w „Krewnych" tak wydatne miejsce, jak w żadnej innej powieści polskiej, gdzie rzemieślnicy występowali tylko w formie dydaktycznej (jak w „Panu podstolicu"), albo jako motłoch (w powieściach Boguckiego), albo jako tendencyjne przeciwstawienie wobec zepsucia klas wyższych („Pan i szewc" Kraszewskiego). Korzeniowski już ten stan opisywał sam w sobie i jego to zapewne przykładem pobudzony Włodzimierz Wolski całą powieść obrazowaniu życia rzemieślniczego poświęcił („Domek przy ulicy Głębokiej").

Dowodem bystrości zmysłu spostrzegawczego w Korzeniowskim było wprowadzenie do wątku powieści — wzbogaconych żydów, bankierów, którzy właśnie w owych czasach

nabierać zaczęli wielkiego wpływu nietylko na sprawy ekonomiczne, ale też i na życie towarzyskie w Warszawie. Wyprzedził wprawdzie autora „Krewnych" Kraszewski, z właściwą sobie lotnością chwytający nowe objawy cywilizacyjne, gdy w drugiej części „Komedyantów" rodzinę bankierską odmalował; ale zrobił to raczej na podstawie posłuchów, aniżeli własnej obserwacyi, do kreślenia figur i położeń używał raczej analogii i rysów zaczerpniętych ze świata francuskiego, aniżeli szczegółów wziętych wprost z otoczenia. Dlatego też Korzeniowski choć w pomyśle był następcą, w sposobie wykonania, inicyatorem w artystycznem przedstawieniu tej warstwy nazwanym być musi. Znał on ją z blizka i ciekawie się jej przypatrywał, bez sympatyi wprawdzie, ale też i bez tendencyjnego uprzedzenia. Widział w niej cechy wspólne: cześć dla złotego cielca połączoną z „brakiem zupełnym podniesienia się do jakichściś wyższych celów życia, do myśli odlatujących od ziemi" (VI, 398), oraz próżność i chęć popisu; ale rozróżniał starannie jednostki ją składające, dostrzegał w niej ludzi „uczciwych, dobrych, chętnych do przysługi, gładkich w obejściu", a pięknym, chociaż szkicowym rysunkiem różnych odmian usposobienia i charakteru w Stanisławie Olkuskim (ochrzczonym), Glücksohnie, Silberze, Walerym Blau, Leontynie wskazał artystycznie moralną i umysłową ich organizacyę, dowodząc swego przedmiotowego punktu widzenia.

Z tą sferą wstrętnym choć pozłacanym łańcuchem poniżenia moralnego złączona jest przedstawicielka półświatka warszawskiego, dobrem, tkliwem sercem obdarzona Herminia, ciotka bohaterów powieści, Jelewska z domu. Stryjeczny jej brat, również z dobrem sercem, ale z burzliwemi namiętnościami, hulaka i cynik, Paweł, przeobraża się moralnie pod koniec powieści i zapewnia los opuszczonym swym dzieciom, Paulinie i Julii, z których pierwsza ukochała Kańskiego, druga Ignasia, dużo biedy mężnem znosząc sercem; gdy Herminia pozostawiona została przez autora swemu poprzedniemu losowi, jakby znów dla sprawdzenia zdania, które o upadku kobiet w „Umarłych i żywych" wypowiedział.

Wśród tak różnobarwnego a wielce zajmującego tła rozwijają się losy dwu braci Zabużskich. Eugeniusz, wychowany i wykształcony w domu kasztelana, rozwinął w sobie talent poetycki i zamiłowanie do wykwintu, osłabił wolę w życiu

próżniaczem, tak, że wypędzony z domu kasztelaństwa za pokochanie ich córki, staczał się coraz niżej po pochyłości moralnej, dopóki zachowana w głębi duszy iskra miłości braterskiej nie natchnęła go myślą zastąpienia Ignacego w wojsku, gdzie zahartował ciało ponoszonymi trudami, ukrzepił wolę — poczuciem karności i ciągłą myślą o możliwych niebezpieczeństwach i śmierci, i stał się człowiekiem, mogącym polegać na sobie, a więc wzbudzającym szacunek w innych. Ignacy nie potrzebował przechodzić tak przykrych kolei. Z usposobienia spokojniejszy i rozważniejszy, ufny w swe siły, prędko się zdecydował porzucić zwykłą drogę młodzieży szlacheckiej szukania karyery w urzędzie, został terminatorem stolarskim, odrzuciwszy przesądy, poniżające pracę ręczną, mężnie zniósł śmiechy i drwiny, wytrwałością i zręcznością pozyskał sobie uznanie, a serdecznością miłość nowych towarzyszy, potrafił wybić się na niezależność i mógł uszczęśliwić wierne i śmiałe serce Julki, zbiedniałej, ale pracowitej i oszczędnej szlachcianki, która tak samo jak on na wyobrażenia swej sfery całkiem nie zważała.

Rzadko kiedy w życiu znajdujemy tak pogodne usposobienie, jakiem się kończą „Krewni“, ale powieściopisarzowi, który o „naturalizmie artystycznym“ jeszcze nie słyszał, niepodobna mieć za złe, iż chciał, rozstając się z czytelnikami, pozostawić w ich duszy miłe wrażenia, któreby utwierdziły ich w przekonaniu, że uczciwość, praca, wytrwałość, wyzbycie się próżności, zahartowanie woli, przynoszą zadowolenie i szczęście, że nawet ludzie słabi, jeżeli tylko mają dobry grunt serca, mogą zmienić się na pożytecznych członków społeczeństwa, i jak Eugeniusz lub Paweł Jelewski, znaleźć nagrodę za odniesione nad namiętnościami zwycięstwo.

Ten ostatni szczegół wywołał najniespodziewaniej okrzyk oburzenia i trwogi o społeczeństwo, wydany przez bardzo utalentowanego, ale zbytecznie powodującego się chwilowemi wrażeniami krytyka, p. Juliana Klaczkę, który napisał obszerny rozbiór „Krewnych“ na początku roku 1857, i oddawszy w nim wielkie pochwały zaletom artystycznym powieści, napadł gwałtownie na jej tendencyę. Wywody Klaczki miały wszystkie pozory głębokiego poglądu na sprawy społeczne i bystrego dostrzegania ujemności zawartych w utworze Korzeniowskiego; mogły zatem złudzić mianowicie młodzież zapalną i tych z po-

między starszego pokolenia (jak np. Siemieńskiego), którzy się pięknymi i wzniosłymi frazesami popisywać lubili. W gruncie jednak rzeczy, przy chłodnem zastanowieniu nad treścią „Krewnych“, a mianowicie nad historyą Eugeniusza i Pawła, przy rozpatrzeniu się w warunkach, wśród których pisał Korzeniowski, trzeba uznać wyprawę p. Klaczki za chybioną, a raczej niesprawiedliwą, dotykającą boleśnie człowieka, który przecież nie mógł odpowiadać ani za to, że nie był entuzyastą, lecz rozważnym spostrzegaczem, ani też za to, że w umyśle krytyka pojawiły się widma, które w myśli autora nie postały wcale. Nietrafnym może był wybór środka poprawy Eugeniusza i Pawła, zwłaszcza, że aż w zdwojonej postaci zjawiał się w jednej powieści; ale nie była nietrafną myśl, która mu go poddała: karność, znoszenie trudów, wystawianie się na ciągłe niebezpieczeństwa; gotowość na śmierć, a więc i zdolność do poświęcenia; to są wpływy, które na duszę zniepra- wioną, ale w gruncie zacną, podziałać mogą uzdrawiająco i uczynić ją zdolną do odrodzenia się.

V.

Zająwszy się pisaniem powieści, Korzeniowski zaniechał prawie zupełnie dramatów. I wówczas właśnie, gdy pojawiły się nowe usiłowania w dramaturgii naszej, gdy zaczęli występować z utworami swoimi: Tomasz Olizarowski, Antoni Małecki, Wacław Szymanowski, Józef Szujski, Ludwik Kubala, wreszcie Mieczysław Romanowski, nasz autor milczał uparcie, skarżąc się przy sposobności na niegościnność sceny dla sztuk swoich, żałując, że nie może osób przez siebie stworzonych ukazać na odpowiedniejszej dla nich arenie, gdy trudno mu było kusić się o to, aby mógł przeskoczyć tam, gdzie nawet przeleźć nie może (III, 369, 402).

Niewątpliwie obojętność publiczności ówczesnej, bawionej farsami, operami i baletami, względem dramatów była jednym z ważnych powodów ochłodzenia chęci tworzenia ich, ale za jedyną poczytywać jej nie można. Inni dramaturgowie byli mniej więcej w tem samem położeniu; pisali swe utwory bez nadziei ujrzenia ich na scenie; a mimo to pisali, pragnąc chociaż w skromnej mierze popędowi swemu zadość uczynić Otóż zdaje się, że w Korzeniowskim popęd ten osłabł, może

wskutek wieku, może wskutek pojawienia się współzawodników, z których jednak żaden, aż do Romanowskiego, groźnym się nie wydawał. Refleksyjny charakter umysłu autora wzmacniał się wraz z rozwojem lat, a znajdując swobodne ujście w formie powieściowej, z której, jak już wiemy, korzystał, by szereg swych spostrzeżeń, uwag i przestróg wypowiedzieć, nie kwapił się do bardziejześrodkowanej formy dramatu, gdzie akcya musiała być rzeczą główną. To też i te nieliczne utwory, jakie w tej dobie z zakresu dramatycznego utworzył, mają charakter luźny, są obrazami lub refleksyami przepełnione.

Właściwy dramat z tego czasu jest tylko jeden, tj. „Cyganie“. Wiersz w nim miarowy jest płynny i gładki, jak nigdy przedtem; w dykcyi widzimy pewność i pełność; mowa cyganów, trzymana w tonie prostym, nie wykracza w pojęciach poza granice życia włóczęgów, podmalowana z lekka barwami wziętemi z gwary, ale wogóle po literacku uszlachetniona. Trzy główne postacie dobrze oddane: Nango, młody, piękny, silny, energiczny, do pewnego stopnia szlachetny; Naja łagodna, cicha, poetyczna, Gulda (poprzednia *gassi* Nangi), namiętna, gwałtowna, kochająca na śmierć, otruwszy niewiernego kochanka, gdy ten Naję przeniósł nad nią, truje się sama. Jerni, stara cyganicha, nienawidząca Nangę, i Kimro, dawny naczelnik bandy, silnie wierzący w przeznaczenie, dość blado się przedstawiają. Zbyt długie mowy, opowiadania, piosenki, chociaż prawie zawsze w sposób dramatyczny prowadzone, nadają przecież całości raczej cechę obrazu obyczajów i wyobrażeń cygańskich, aniżeli dramatu silnie skoncentrowanego. Rozciągnięcie bardzo szczupłej treści na pięć sporych aktów nie przyczynia się oczywiście do spotęgowania wrażenia; chociaż sama robota artystyczna świadczy o opanowaniu języka stylu przez doświadczonego autora, a niektóre ustępy (IX, 187, 209, 217) — o niewyschłem źródle poetyczności w jego sercu i fantazyi.

Najpiękniejsza atoli robota nie mogła zastąpić treści, niezbyt doniosłej, zwłaszcza, że w przedstawieniu jej brakło ognia zapału. Wprawdzie uczucia ludzkie, czy w piersi cygańskiej, czy w innej się objawiają, ciekawe są jednako w swoim rozwoju; ale więcej nas obchodzą, jeżeli się odnoszą do stosunków naszych własnych, kiedy je odczuć nam łatwiej. A pod-

niosłość ich się wzmaga, gdy je połączonemi widzimy z jakimś ważnym wypadkiem dziejowym. Wobec prób dramatów z historyi naszej, krytyka owoczesna pytała się, co zrobił tak ładnie zarekomendowany bohater „Cyganów“, Nango? i znajdowała odpowiedź, że ukradł konia, kilka worów krup i połeć słoniny, oczywiście tyle, ile mógł zrobić naczelnik bandy cygańskiej. Żałowała więc, że talentu swego nie zwrócił autor do innego przedmiotu, gdzieby „mógł właściwiej użyć tylu piękności poetycznych, niż utopić je w mętnem, stojącem jeziorze cygańskiego widnokręgu“ (K. Kaszewski w rozbiorze „Cyganów“ w „Bibl. warsz.“, 1859, I, 189—200).

Nie dał się Korzeniowski zwabić tym nawoływaniom do dramatu historycznego. W krainie sztuki szukał ukojenia i harmonii, których nie znajdował ani w dziejach ani we współczesności. Coraz więcej starał się o wyszlachetnienie dykcyi i pozyskanie klasycznej przedmiotowości, zapatrując się na takie wzory Goethego, jak „Ifigenia w Taurydzie“ i „Torquato Tasso“. W krótkich scenach udało mu się osiągnąć cel zamierzony prawie zupełnie, w dłuższych dbałość o piękny dyalog usuwała mu z przed myśli troskę o budowę całości, o spójność kompozycyi. „Gentile Bellini“ i „Śpiący Kupidyn“ mogą służyć za illustracyę w pierwszym punkcie, a „Beata“ — w drugim.

Bellini, entuzyastycznie sztuką swą przeniknięty malarz włoski, bawiący na dworze sułtana Mahometa II., namalował jego portret i obraz ścięcia św. Jana. Władca wschodni, chwaląc obraz, wskazuje błąd w namalowaniu zbyt długiej szyi, a chcąc artyście pokazać, jak wygląda szyja po odcięciu głowy, każe niewolnikom ściąć głowę słudze Belliniego, Markowi, który na krótko przedtem wyrażał tęsknotę do swej rodzinnej Wenecyi, — poczem spokojnie wdaje się w opis szczegółów, demonstrując na trupie, i odchodzi, mówiąc: „Bywaj zdrów mistrzu!... popraw, jak tu widzisz, a dzieło twoje będzie doskonałem“. Po chwili osłupienia, Bellini bolejąc nad losem sługi, wzdycha za powrotem do kraju i za przybyciem obiecuje pójść naprzód do kościoła i podziękować Bogu za światło wiary, bo: „na czyjej piersi nie legł krzyż zbawienia i z niego miłość w serce nie spłynęła, może być wielkim, lecz człowiekiem nie jest“ (IX, 183). Wrażenia tragicznego nie do-

znajemy tu wprawdzie, ale czujemy się wzruszeni i podniesieni duchowo.

„Śpiący Kupidyn“ — to wdzięczny, pogodny obrazek, malujący zazdrostki życia artystycznego w wieku Odrodzenia we Włoszech za Medyceusza. Buonarotti, chcąc zadrwić ze swych kolegów, malarzy i rzeźbiarzy, którzy w ocenie jego talentu nader stronniczo się zachowali, zakopał potajemnie w ogrodzie Medyceusza posążek Śpiącego Kupidyna. Wszyscy uważając tę rzeźbę po znalezieniu za dzieło mistrza starożytnego, nie mieli dość słów na jej uwielbienie; gdy się rzecz wykryła, ogłosili ją (prócz Ghirlandaja) — za mierną. Rozmowy dowcipne i charakterystyczne, pełne myśli pięknie wyrażonych, czynią ten obrazek klejnocikiem literackim.

W „Beacie“ szczegóły są tylko piękne i duch podniosłego pojęcia sztuki, przenikający całą tę „fantazyę dramatyczną“; treść bowiem wychodzi zupełnie z ram rzeczywistości. Marya-Beata, przypominająca umysłem Maryę-Reginę Żmichowskiej, dziewica zamożna, wykształcona, niezależna, pełna uwielbienia dla piękna, żyjąca tylko w jego atmosferze, pokochała artystę-malarza Konrada i, nie zważając na konwenanse, poślubia go tajemnie z zasłoniętą twarzą, przyczem zastrzega sobie, ażeby Konrad, mając zupełnie zabezpieczony byt materyalny, nie starał się jej poznać, dopóki obrazu swego nie skończy. Potem ukazuje mu się w towarzystwie pod imieniem Maryi, doświadczając go, czy wytrwa w swej idealnej miłości dla nieznanej małżonki. Przekonawszy się, że zdobyła sobie jego miłość jako Marya i stała się zarazem przyczyną smutku dla ukochanego, który pragnie pozostać Beacie swej wiernym, odkrywa mu swą tajemnicę i dramat kończy się szczęściem zobopólnem. Zgodziwszy się na pomysł ekscentryczny, miło jest przebywać wśród tego świata, w którym się toczą piękne, rozumne dyskusye o zadaniach i środkach sztuki, w którym szlachetności uczuć odpowiada szlachetność ich uzewnętrznienia, w którym pospolitość, miałkość, śmieszność lub nikczemność powszednich stosunków życia nie mąci wyższego nastroju ducha.

Miło niewątpliwie, lecz tylko na chwilę, jako odpoczynek po pracy. Zatonąć w tym świecie na zawsze niepodobna; życie wyprowadza nas z niego siłą przemożną. Korzeniowski, gdy się w życiu temu przypatrywał i wrażenia swe w formie

dramatycznej wypowiedzieć pragnął, brał do ręki bicz satyry i smagał nim zdrożności, albo ustroiwszy usta w uśmiech ironii, przedstawiał śmieszne i zabawne sceny.

Najogólniej i najszerzej pomyślaną satyrą dramatyczną Korzeniowskiego wogóle, napisaną w tym czasie, jest tragikomedya p. n. „Złote kajdany“. Treść jej jest w gruncie ta sama, co „Nowych wędrówek oryginała“: nie brak tu nawet pierwiastku fantastycznego, który reprezentuje Ruachowicz, będący nowożytnem wcieleniem Mefistofelesa, poddający różnym stanom zwodnicze środki rychłego wzbogacenia się lekko, bez pracy. Pod wpływem namów i rozumowań Ruachowicza osoby tej sztuki stają się milionerami a zarazem nikczemnikami, drwiącymi z uczciwości a ubiegającymi się za rozkoszą i używaniem. Różnica kardynalna między powieścią a tragikomedyą polega na tem, że cała ta gwałtowna przemiana i przewrót w stosunkach osób okazuje się przy końcu ciężkim jedynie snem Jana Filozofickiego, urzędnika, który zasnął nad swym referatem, a który ocknąwszy się, rusza do roboty i głosi, że jest szczęście istotne na ziemi, lecz „w poczciwej pracy, nie w obietnicach losu i loteryi i w grzesznem złocie, co przychodzi za nic“. Wśród różnorodnych scen wypełniających tę fantasmagoryę, a pod względem myśli nieraz wysoce interesujących, umieścił Korzeniowski jednę, którą trzeba nazwać odwetem literackim za bolesną a niezasłużoną krytykę „Krewnych“. Wprowadza w niej hrabiego Achillesa i Centaurowicza, znakomitego krytyka, który stał „na straży sumienia wszystkich tych, co u nas piszą“. Hr. Achilles odmalowawszy Filozofickiemu tego krytyka jako nawróconego demokratę, pyta Centaurowicza, jak mu się podobali „Krewni“. Gdy krytyk zganiwszy tom czwarty, nie widział w zakończeniu nic więcej nad chęć podniesienia bohatera z upadku, hrabia poddaje myśl, że w tem zakończeniu jest obraza tego sumienia, na którego straży stanął, a Centaurowicz odpowiada z uśmiechem, że gdy się zechce, to z tego stanowiska można rzecz bardzo potępić, i na ponowne naleganie hrabiego przyrzeka to zrobić (odgrażając się na stronie, że kiedyś i hrabi nie daruje przycinków). A kiedy po jego wyjściu Filozoficki pyta hrabiego, czy Centaurowicz dotrzyma swej obietnicy, — hrabia Achilles odpowiada:

Ale jak jeszcze! — Pióro to tak zręczne,
Że równie dobrze pisze tak i na wspak.
Nie żartem mówię, głowa to nielada,
Jakich niewiele mamy; pamięć rzadka,
Nauka wielka, bystrość i pojęcie.
Pisze wybornie. Prawda, w pismach jego
Zdarza się często blaga i paradoks,
Lecz jest i dowcip czasem, rozum zawsze.

Gdy porównamy napaść z odwetem, nie będziemy mogli mieć za złe Korzeniowskiemu jego zachowania się w sprawie tak drażliwej, tem bardziej, że niebawem potem wyrzekł dla swego wroga słowa szczerego przebaczenia.

Inne utwory dramatyczne Korzeniowskiego z tej doby są to już krotochwile lub komedye. Należy w nich wyróżnić dwie kategorye; do pierwszej zaliczam te, które powstały w latach 1850—1852; do drugiej te, które po przerwie, poczynając od r. 1856, tworzył do r. 1860.

Pierwsza kategorya odznacza się, wogóle biorąc, pewną żywością dykcyi i często siłą komiczną; w drugiej, obok nudnych i rozwlekłych gadanin, znajdujemy także najlepszą z tego czasu komedyę.

Zacznijmy od pierwszej.

„Stara elegantka“ — to karykatura, która niedawno temu pod piórem p. Lubowskiego („Przyjaciółka żon“) przemieniła się na charakter, poczytywany za wytwór najnowszych towarzyskich stosunków. Dla podreperowania swej sakiewki stara się ona rozdmuchać iskierkę miłości pomiędzy żoną szlachcica a hrabią; rozsądek męża i wczesne odkrycie intrygi zapobiegają rozwinięciu się zgorszenia.

W „Wojnie z kobietą“ Korzeniowski chwycił się ponownie starego środka: przebrania, ale użyta do tego przebrania figura szczwanego, dowcipnego sługusa Bartosza z wielkim skreślona komizmem. Podrażniony i niby znudzony hrabia, gdy od kochanej przez się kuzynki usłyszał, że do niej droga przez ołtarz prowadzi, zaczął jej nasyłać różnych niesmacznych konkurentów, dokuczając jej próżnostce arystokratycznej, wreszcie wybrał się do niej sam z lokajem Bartoszem, przedstawiając go za barona. Emilia, wcześnie przestrzeżona przez wiernego sługę, upokarza wojewodzica i wywołuje jego oświadczyny.

„Wąsy i peruka“ — to wpływ uwielbienia dla staroszlachetczyzny, bardzo powierzchownie zresztą wyrażonego, gdyż zasadzonego prawie wyłącznie na miłości dla stroju narodowego, z lekkiem zaledwie potrąceniem zepsucia obyczajów. Parę dowcipnych rozmów, efektowna scena, gdy wojewodzic podstawia szablę Kortycellemu, ubranemu po francusku, wołając: „Hop, lalko!“ — to główne ozdoby tej sztuki. *Qui pro quo* jest dość udatną krotochwilą, gdzie omyłka w adresach, popełniona przez doktora, sprowadza komiczne zawikłanie; „Przyjaciółki“ zaś, to farsa słabo prowadzona, o nizkim poziomie moralnym, dająca nauczkę mężom, żeby afektów swoich nie zwracali ku koleżankom swych żon.

W komedyach pisanych od roku 1856 przemaga forma wierszowana. Staranność o piękną dykcyę, tak samo jak w dramatach, jest i tu bardzo wielka, lecz siła prawdziwie komiczna rzadko kiedy towarzyszy doborowym słowom. Żywość dyalogu, a nawet jego charakterystyczność zazwyczaj się zatraca; autor skrępowany jest widocznie trudnościami rymu, które pokonywa, lecz z wysiłkiem, odbijającym się niekorzystnie na stylu, gdyż ten popada w rozwlekłość. Zdawałoby się, że powrót do formy, przez dawniejszą komedyę ulubionej, pociągnął za sobą główne ujemne strony tej formy, t. j. brak naturalności i pewną monotonię.

Pierwsza próba Korzeniowskiego napisania komedyi wierszem, to „Młody mąż“ (1856). Nie można jej nazwać szczęśliwą. Rzecz błaha, dowcipu niewiele, rozmowy rozwlekłe, wiersze poprawne, ale mdłe. Jest to przestroga dla starych żon zazdrosnych. Młody małżonek, chcąc połowicę swoją z zazdrości wyleczyć, udaje intrygę miłosną na maskaradzie; słucha potem morałów żony i — następuje zgoda.

Gdy się autor od więzów wiersza uwolnił w krotochwili: „Reputacya w miasteczku“ (1857), powróciła mu swoboda słowa, zręczność w prowadzeniu intrygi, dowcip i zdolność tworzenia sytuacyi komicznych. Wybornie są tu odmalowane stosunki i rywalizacye małomiasteczkowe. Rodziny rej tu wodzące, zmistyfikowane przyjazdem jakiegoś młodzieńca, wyprawiają mu ucztę, a przekonawszy się o omyłce lekceważą go.

Resztę komedyi swoich napisał Korzeniowski w Nizzy, dokąd, zmęczony trapiącym go już od dawna kaszlem, wyjeżdżał w r. 1858—1860. Owocem każdorocznego tu pobytu

były dwie lub trzy komedye, które dla uprzytomnienia sobie kraju na obczyźnie opracowywał.

Najbardziej z okolicznościami owoczesnemi związaną jest „Podróżomania". Gdy po ukończeniu wojny krymskiej i zawarciu pokoju paryskiego (r. 1856), rozpoczęła się w Rosyi doba reform, gdy między innemi udogodniony został wyjazd za granicę przez łatwość dostania paszportu i jego taniość, zaczęto jak w cesarstwie tak i w królestwie z dogodności tej tłumnie korzystać, zwłaszcza że komunikacya odbywała się już kolejami żelaznemi. Korzeniowski znamienny ten objaw życia ówczesnego pochwycił na gorącym uczynku i upamiętnił go komedyą. Nie był naturalnie przeciwnikiem podróży za granicę z celem jakimś ważnym istotnie dla nauki, sztuki, przemysłu czy zdrowia, lecz karcił surowo wycieczki dla popisu i marnotrawstwa, które, niestety, daleko częstsze bywały od pierwszych, mianowicie wśród warstwy szlacheckiej. „Podróżomania" nie jest komedyą charakterów, nie odznacza się silnie ześrodkowaną akcyą, lecz jest szeregiem zabawnych, pociesznych i komicznych obrazów, w których próżność połączona z brakiem rzetelnego wykształcenia i istotnej oszczędności, po zabawieniu nas smutne a nawet bolesne nasuwa w końcu refleksye.

Komedya ta napisana jest jędrną prozą; przedmiot świeży dostarczał widocznie autorowi żywych barw stylowych. Nie można tego powiedzieć o „Starym kawalerze", również prozą pisanym, osnutym zapewne na jakimś wypadku rzeczywistym z czasów dawniejszych, a opartym na motywie dramatycznym bardzo starym, bo na poznaniu w tej, z którą chce się żenić stary kawaler (schorowany major...) swojej własnej córki. Podrzędne tylko figury sług są dobrze wykonane; akcya wlecze się bardzo powoli; dowcipu brak.

Inne komedye z tego czasu, pomiędzy któremi jest i niezbyt udatne libretto do opery Moniuszki: „Rokiczana", pisane są wierszem.

„Konkurent i mąż" jest to bardziej nowożytne, bardziej eleganckie „Poskromienie złośnicy" Szekspira. „Pustynia" jest zapełniona pięknemi i rozumnemi tyradami o wychowaniu, francuszczyznie, pracy, obowiązku, a przedstawia pogodzenie się z życiem Henryka zawiedzionego przez kobiety. „Plotkarz"— to rozwlekła, nie ożywiona ani sytuacyami komicznemi, ani

dowcipem relacya o postępku Bartka Zięby, co domysłami swymi o stosunku żony zacnego i rozumnego hrabiego z dawnym jej wielbicielem wprawia w ruch wszystkie języki Humania, a na chwilę samemu hrabiemu nawet nasuwa podejrzenia.

„Majątek albo imię“ stanowi wyjątek wśród tych robót, natchnionych zacną myślą, ale dalekich od wartości estetycznej. I w tej komedyi wprawdzie akcyi jest niewiele, rozmowy za długo się przeciągają i nie celują żywością i werwą; ale są prawdziwe charaktery, jest istotny dowcip słowa, a kilka sytuacyi szczerym odznacza się komizmem; całość zaś jest tak dobrze ułożona, że jakkolwiek niektóre położenia naciąganemi trochę wydać się mogą, nie można im przecież odmówić należytego upowodowania artystycznego. Wszystkie szczegóły są starannie obmyślane i opracowane; zajmują swoje właściwe miejsce w utworze, nie wyskakują nigdzie niespodzianie i nie w porę. Charakter pełnoletniej panny, Anieli Bydgowskiej, ukształconej, jasno na rzeczy patrzącej, bardzo zręcznej i powabnej, z dobrem w gruncie sercem, ale wychowanej przez matkę próżną w sferze konwencyonalnej, która pragnęła widzieć swą córkę na wielkim świecie, a więc w wyborze męża kazała powodować się nie skłonnością, lecz widokami na przyszłość: zdobycia albo dużego majątku, albo też arystokratycznego imienia, — jest bardzo dobrze i konsekwentnie w sztuce przeprowadzony. Od pierwszej chwili poznania pięknego, rozumnego i dzielnego charakterem artysty Karola widzimy jej dla niego żywą sympatyę, która przygłuszana bywa dotychczasowemi nawyknieniami oraz radami śmiesznej arystokratki, ciotki Reginy, ale która żyje w głębi serca i sprawia, że gdy goły hrabia oświadcza chęć posiadania jej ręki, a właściwie jej mienia, wiadomość tę przyjmuje Aniela spazmatycznem ziewaniem, chociaż nie ma siły odrzucić propozycyi. Odmawia urzędnikowi, Antoniemu Lickiemu, dlatego, że nie ma wydatnego stanowiska w świecie ani znacznego majątku, przyjmuje go, zapominając łatwo o hrabi, gdy milionowy wujaszek sprawę poparł; a robi to dlatego tak obojętnie, że miłość Lickiego nie obudziła w niej żywszego nad przyjaźń uczucia. Z tego powodu, gdy się Licki, zrażony tem, że nie jego osobę, lecz majątek ceniono, zwrócił ku poczciwej Basi; gdy hrabia otrzymawszy spadek, nie myślał ponawiać

oświadczyn, Aniela nie z gniewu, nie pod wpływem zawodu, lecz uszczęśliwiona tym, że może posłuchać serca, wyrzeka się szukania imienia i majątku, powierzając swe losy ubogiemu artyście, synowi wieśniaka. Przejścia te psychiczne nie są wprawdzie wycieniowane, ale zaznaczone jak na scenę, dostatecznie. Obok Anieli drugą wybitną postacią komedyi jest hrabia Janusz, w rysunku którego widzimy pewne pochylenie się ku karykaturze. Zbyt mianowicie otwarcie i zbyt seryo wobec osób z innej klasy społecznej wygłasza swoje mniemania o wyższości zagranicy nad kraj rodzinny, zbyt jawnie okazuje swoje lekceważenie artystom i urzędnikom, od których jednak zmuszony jest parę dukatów pożyczać. W powieści figura taka raziłaby niewątpliwie, ale na scenie, jeżeli się chce uniknąć monologów, takie zaznaczenie postaci jest do pewnego stopnia uprawnione i potęguje wrażenie komiczne. Trzecią figurą żywą w komedyi — to Wincenty Starzycki, wuj Antoniego, bogaty szlachcic-rubacha, ukrywający jednak pod temi szorstkiemi formami spryt duży i niemały zapas i ronii. Jego rozmowa z malarzem, a zwłaszcza z Anielą należy do bardzo charakterystycznych i bardzo zręcznie przeprowadzonych. Inne figury są dobrze nakreślone, ale szkicowo traktowane. Całość wywiera harmonijne, pogodne wrażenie.

Bardzo nierówne, jak widzimy, były utwory Korzeniowskiego pod względem wartości estetycznej: w jednych prawda, siła, żywość, barwność, dowcip błyszczały jak w latach dawniejszych; w innych obok pięknych i rozumnych myśli — nużąca rozwlekłość i pewna suchość wykładu. Jakkolwiek podobne objawy znaleźć było już można i w dobie poprzedniej, nie w takim atoli przedstawiały się one tam stopniu; wzmogły się teraz pod wpływem wieku i choroby. Czuł to sam autor, pisząc w r. 1860 swego „Plotkarza“, jak się wyraził, „na zakończenie skrybomanii“. Nie odpoczął wszakże. Okoliczności czasowe powołały go do pracy w innej dziedzinie, którą zresztą od młodości pilnie się zajmował.

VI.

Korzeniowski, jak wiemy, był zawsze zwolennikiem spokojnego rozwoju społecznego, zalecającym pracę usilną i wytrwałą na wszystkich polach, jako jedyną dźwignię postępu

materyalnego i moralnego. Cieszył go więc w wysokim stopniu ten objaw żywszej, gorliwszej pilności około spraw ekonomicznych, naukowych i literackich, jaki zauważyć można było w kraju szczególniej od roku 1859, kiedy wpływy wewnętrzne i postronne, poruszenie przez rząd kwestyi włościańskiej, spotęgowany ruch przemysłowy i handlowy, ożywienie widnokręgu politycznego przez wojnę włoską, nabrały potęgi i do działania zachęcały.

Przez usta Henryka w „Pustyni" wypowiedział on tę radość na myśl, że zrujnowani przez nieład, dźwigniemy się ładem", i z przyjemnością nakreślił obrazek krzątania się około dobra ogólnego (XI. 247):

.... Więc się szlachta na seryo do pracy
Poważniejszej zabiera? i już się sprzykrzyło
Próżniactwo, co niedawno chlubą naszą było?
Więc się przecie postrzegli, jak niewiele wiedzą,
I po domach podobno i nad książką siedzą;
A jeśli się zbierają w kółko u sąsiada,
To, słyszę, kto najmędrszy, ten najgłośniej gada,
A inni go słuchają i notują w głowie,
Co rozumniejszy od nich z przekonania powie?
Nowość to jest nielada i fenomen wielki!
A drugi, że podobno karty i butelki
Poszły w kąt i nie świecą tam na pierwszym planie;
Że tylko dowodzenie i rozumowanie
O pługach, o nawozie, o uprawie roli,
O środkach, jak z żydowskiej wybić się niewoli,
Jest celem owych zjazdów i że z tej narady
Rozjeżdżają się wszyscy trzeźwi i bez zwady.

Lecz błogie te nadzieje o odrodzeniu się społeczeństwa w pracy, zatruwała Korzeniowskiemu znajomość naszego usposobienia, brak wytrwałości na obranej rozumnie drodze. Wołał więc ostrzegająco (XI, 248):

Zapłonąć nam nietrudno. Rzecz dobra, chwalebna,
Nawet pokaźna tylko, choćby niepotrzebna,
Zapala nas odrazu. Buchamy płomieniem,
Póki trud i powinność świeżem jest zachceniem.
Gdy skutek ich przeszkoda jakabądź oddala,
Jak spirytus, ten zapał całkiem się wypala.
Nudzi nas, co służyło zrazu do zabawy,
I zimniejszemi czyni dla najlepszej sprawy.

Łatwo zrozumieć, że gdy za inicyatywą margrabi Aleksandra Wielopolskiego nastała w Królestwie roku 1861 doba reform, które organicznie przeprowadzone być miały, Korzeniowski przylgnął całą duszą do sprawy, doskonale odpowiadającej jego najgłębszym przekonaniom, będącej spełnieniem najgorętszych jego życzeń. Stał się wielbicielem Wielopolskiego i chętnie poświęcił ostatek sił starganych służbie publicznej. Powołany na dyrektora wydziału oświecenia, z całą gorliwością zajął się ułożeniem projektu do reorganizacyi szkół elementarnych, powiatowych i gimnazyalnych i opracowaniem ustawy Szkoły Głównej. Wychowany i wykształcony w tradycyach Komisyi Edukacyjnej, przejął z niej główną zasadę, t. j. zniesienie dualizmu nauk humanistycznych i realnych, i przepisał jednakową edukacyę publiczną w gimnazyach dla wszystkich, chcących odebrać wychowanie średnie; specyalizacyę zaś na poszczególne kierunki i zawody naukowe przekazał dopiero uniwersytetowi, czyli Szkole głównej. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły, tem bardziej, że jakkolwiek wiemy niezawodnie, iż Ustawa o edukacyi w Królestwie Polskiem z r. 1862 jest dziełem Korzeniowskiego, nie znamy przecież jej oryginalnego brzmienia, w jakie autor ją ujął, lecz w tekscie urzędowym, w którym mogło uledz zmianie niejedno; nie znamy również motywów, którymi Korzeniowski projekt swój popierał. Pod tym względem trzeba czekać ogłoszenia rękopismów naszego autora, odnoszących się do tej kwestyi. Wprowadzenie w życie tej Ustawy dokonane zostało również niezmordowaną gorliwością Korzeniowskiego.

„Trzeba było widzieć — powiada świadek naoczny, Leopold Winkler — tego starca, nie mającego już pięciu minut spokojnych od prześladujących go bólów fizycznych, jak się ożywił, jak był pełen nadziei, jak był wdzięcznym margrabiemu, że go wybrał do tak drogiej sercu roboty. Dlatego też widząc w nim jedynie przyszłą pomyślność kraju, serdecznie gniewał się na młodzież za jej lekkomyślność, za manifestacye, które przeszkadzały prawdziwemu, jak się odzywał, patryocie, mężowi czynu postępować swobodnie na drodze obranej dla dobra kraju, i po której, sądził, że dojdzie bezpiecznie do celu“.

W tym duchu zalecania rozwoju spokojnego spisał też Korzeniowski swój testament dnia 11 maja 1862 roku, gdzie

między innemi prosił Boga, żeby prowadził kraj „drogami rozumu, pracy i nauki“, żeby mu dał mężów, „którymby zaufał, którzyby mieli dość siły moralnej a władzy materyalnej, aby go wiedli do prawdziwych jego, a nie wymarzonych przez niedojrzałe głowy, przeznaczeń“.

Gdy rzeczy poszły w innym, niż pragnął, kierunku, przerwał Korzeniowski swe prace, poprosił o uwolnienie od obowiązków dyrektora wydziału oświecenia, które objął Michał Grabowski, i w początkach roku 1863 wyjechał za granicę, gdzie znękany, zbolały i schorowany, ostatnie miesiące życia swego przebył. Zamierzał, będąc w Warszawie jeszcze, spisać autobiografię p. n. „Wspomnienia mojego życia“ i nakreślił wstęp do niej; teraz widocznie zaniechał tej pracy, a napisał natomiast ułamki „Trenów przedgrobowych“, poświęconych rozmyślaniom nad nieszczęściami kraju i nad przyczynami, co je sprowadziły, oraz dyktował, w chwilach wolnych od duszącej go astmy, córce swojej, p. Falkenhagen-Zaleskiej, sceny z obrazów dramatycznych p. n. „Nasza prawda“, które miały być osnute na tle najnowszych naówczas wypadków krajowych. Oba utwory spoczywają dotychczas w rękopiśmie. Krótki urywek z niedrukowanej także „Ody do Boga“ przytoczył p. Kazimierz Witte w „Tygodniku ilustrowanym“ (z r. 1888, Nr. 300).

Umarł Korzeniowski, otoczony staraniami żony i dzieci, w Dreźnie 17 września 1863 roku.

VII.

Rzućmy raz jeszcze okiem na przebieżoną drogę i starajmy się skupić w jedną całość rozproszone rysy, któreśmy w trzech dobach rozwoju talentu Korzeniowskiego poznali.

Temperament spokojny, chociaż od chwilowej popędliwości bynajmniej nie wolny, charakter wyrobiony, oparty na trwałych zasadach religijności, poczucia obowiązku i pracy wytrwałej, rozległe i gruntowne wykształcenie, zasilane ciągle czytaniem nowych dzieł w języku ojczystym, francuskim i niemieckim, przytomność umysłu niepospolita, spostrzegawczość bystra, dowcip na zawołanie, umiejętność podpatrywania śmiesznych stron w ludziach wielka, lecz nie zasłaniająca wcale oczu na strony ich dodatnie, uczyniły Korzeniowskiego czło-

wiekiem światłym, wysoko ponad poziom przeciętny wzbijającym się, obywatelem, spełniającym zadania z swego zakresu sumiennie, umiejętnie i z istotnym dla ogółu pożytkiem, ojcem rodziny najprzykładniejszym, wielce rządnym, w czynach okazującym swą miłość, uczestnikiem zebrań towarzyskich nader poszukiwanym, pisarzem wreszcie ulubionym i wywierającym na społeczeństwo wpływ doniosły.

Do zajęcia przodującego, kierowniczego stanowiska w literaturze i społeczeństwie przeszkodził mu brak ducha inicyatywy i brak śmiałości, podobnie jak Brodzińskiemu.

Korzeniowski był wielkim talentem, ale nie był genialnym. Nie przynosił on poezyi naszej nowych idei lub świeżych a ważnych pomysłów; brał ze skarbnicy cywilizacyi powszechnej i swojskiej te, jakie za najlepsze w owym czasie uznał, zastosowywał je do potrzeb chwili, ubierał w szaty skromne, lecz schludne i przedstawiał je ogółowi do rozwagi. Słowa, któreby przebiegło jak iskra elektryczna i wstrząsnęło ten ogół, nie wypowiedział nigdy, a nawet wyjątkowym w jego pomysłach był utwór („Karpaccy górale"), który budził żywsze serca bicie. Jasność w myślach, umiarkowanie w uczuciach, ład i sumienność w postępowaniu ceniąc najwyżej, nie mógł i nie chciał ani sam zbaczać, ani społeczeństwa swego prowadzić do krainy, w której „zapał czyni cudy", w której serce łamie, czego rozum złamać nie może. Rozum jego, rozległy i zdający sobie trzeźwo sprawę ze wszystkiego, zawsze mierzył zamiary według sił, a nie mając głębokości, nie lubił wnikać w ostateczne, dostępne ludzkiemu poznaniu zakątki tajników i nie popadając ani w optymizm, ani w pesymizm, chociaż widział więcej na ziemi cierpień niż radości, zadawalniał się tem, co o tajnikach życia mówiła tradycya religijna. Stąd wstręt jego do zaciekań filozoficznych, stąd brak pogłębienia psychologicznego w charakterystyce osób, stąd unikanie przedstawiania ludzi, którzy się wyższej pracy umysłowej oddają, stąd w traktowaniu życia artystycznego i sztuki przewaga uwag natury technicznej lub moralnej nad myślową i idealną; stąd wreszcie nieuwzględnianie rozleglejszych widnokręgów przy obrazowaniu stosunków towarzyskich, co miał na myśli p. Klaczko, gdy autorowi „Krewnych" zarzucał przesadnie rozpaczliwą poziomość natchnienia, sceptyczną rezygnacyę na bieg ludzkich rzeczy, ciągłe apoteozowanie

rozsądku i użyteczności kosztem najdroższych marzeń i najszlachetniejszych uniesień, nieustanne przestrzeganie przed bezpośrednimi, instynktowymi popędami naszej duszy i zalecanie tej miernej cnoty i cnotliwej mierności i tej umiarkowanej temperatury, którą na termometrze serca oznacza punkt zera między ciepłem uczucia a chłodem rozumu". Zdjąwszy z tych słów zabarwienie przesadne, otrzymamy trafne określenie rodzaju umysłowości Korzeniowskiego, nie torującej dróg nowych, nie nurtującej głębin, ani nie zapowiadającej wniebowstąpień, lecz przechadzającej się rozważnie po wielce urozmaiconych błoniach życia powszedniego.

Tam nawet, gdzie w zakresie naszego piśmiennictwa wchodził na nieubite jeszcze ścieżki, nie miał dosyć śmiałości, by głośnym okrzykiem powołać na nie innych. I tak, był on niewątpliwie pierwszym u nas chronologicznie dramaturgiem, który odrzucił ciasne więzy poetyki francuskiej i poszedł za nowszymi niemieckimi a potem angielskimi wzorami; ale nie on, tylko Juliusz Słowacki pociągnął w tym kierunku późniejszych pisarzy naszych. Korzeniowski zbyt lękliwie, po cichu, bez rozgłosu wprowadził reformę do tej gałęzi piśmiennictwa, tak że zaledwie najbystrzejsi naówczas znawcy dostrzegli ten kierunek i przepowiadali twórcy „Anieli" i „Mnicha" wielką przyszłość; ogół zaś piszących pominął te próby odnowienia dramatu obojętnie i dopiero gdy Słowacki z „Maryą Stuart" i dalszymi utworami wystąpił, wdzięcznie wspominając o swoim poprzedniku, uznano przełom za dokonany. Podobnież zupełnie spokojnie i bez hałasu przetworzył Korzeniowski komedyę typów na komedyę charakterów indywidualnych, nie wywołując ani zdziwienia, ani też naśladownictwa, gdyż obok jego dzieł w tym nowym kierunku pojawiają się komedye Stanisława Bogusławskiego, zupełnie dawniejszym trybem tworzone. Bo i w tem nie miał nasz autor koniecznej stanowczości, ponieważ sam, lubo rzadko, wracał do sposobów tworzenia już starzejących się lub całkiem przestarzałych. Zasługa też jego w tym względzie do tej pory nie była uwydatniona przez krytykę i dzieje piśmiennictwa, choć taka reforma komedyi utworzyła nowy okres jej rozwoju w naszej literaturze i wpływem swoim sięga do dziś dnia, jeżeli zwrócimy uwagę na rzecz główną, a nie na modyfikacye poboczne.

Nie będąc jednak inicyatorem wielkich przemian w lite-

raturze, nie chciał być Korzeniowski bezwarunkowym zwolennikiem tych, jakie się przy nim dokonywały. Ani zapalonym romantykiem w dobie romantyzmu, ani stanowczym demokratą w dobie przewagi kierunku demokratycznego, ani wstecznikiem w dobie reakcyi nie został; zawsze zachowując chociaż nie wybitną i nie głośną, ale swoją własną, na jasnych przekonaniach i dążnościach opartą samodzielność, a objaw ten, należący do bardzo rzadkich, nawet wśród ludzi utalentowanych zasługuje na szczere uznanie i gorącą pochwałę.

Koło tej samodzielności nie jest wielkie, ale bądź co bądź istnieje; zakreślają je promienie uczuciowości i fantazyi autora.

Umiarkowana temperatura pierwszej i niezbyt wysoki polot drugiej wykluczyły z zakresu twórczości Korzeniowskiego zdolność do malowania uczuć głębokich i subtelnych, charakterów wielkich i wstrząsających duszę, sytuacyi pełnych grozy lub rzewności, marzeń i wzruszeń mistycznych. Przeglądając w myśli ten ogromny szereg położeń, jakie w dramatach i powieściach swoich stworzył Korzeniowski, napróżno wypatrujemy tragiczności, i w tem jest on podobny do Kraszewskiego. Znajdziemy tam różne rodzaje cierpień, bólów, śmierci; znajdziemy nieszczęścia i klęski wielkie, widoki przerażające; ale nie spotkamy prawdziwej tragiki. Dlaczego? Bo do odmalowania sytuacyi tragicznej potrzeba potężnego uczucia i potężnej fantazyi; potrzeba czuć wulkan w piersi własnej i mieć do rozporządzenia całą skalę i wszystkie tony barw, ażeby podołać zadaniu. Podobnież, nie brak u Korzeniowskiego łez, może nawet za często płaczą jego mężczyźni, jakby spadkobiercy powieści sentymentalnych z początku naszego stulecia; lecz brak jest obrazów, któreby w samym czytelniku silne rozrzewnienie wywołały, a które u Kraszewskiego np. zjawiają się tak często. Tu mała subtelność w odczuwaniu i dobieraniu barw słowa sprowadza pewne zobojętnienie i w czytelniku, któremu lepiej byłoby odtworzyć sytuacyę płaczącego niż powiedzieć poprostu, że ktoś płakał. Sceny fantastyczne, ilekroć próbował je nakreślić autor „Nowych wędrówek oryginała“, nie sprawiają odpowiedniego wrażenia, gdyż wyobraźnia autora zamało posiada lotności i giętkości.

Natomiast wszystko, co się blizko ziemi trzyma, wszystkie szczegóły powszedniego życia towarzyskiego, wszystkie

postaci ludzi zacnych, rozumnych, porządnych, dowcipnych lub też na odwrót — przewrotnych, obłudnych, wykolejonych, upadłych, nierozważnych i głupich, wszystkie charaktery nie wkraczające w dziedzinę wzniosłości, wszystkie uczucia szlachetne czy niecne, byle tylko zbyt wysoko lub zbyt nizko poza średnią miarę nie przechodziły, miłość, nienawiść, obojętność, cynizm, sarkazm, ironię, żartobliwość, komizm, od najwykwintniejszego do karykaturalnego, znajdowały w Korzeniowskim bardzo bystrego postrzegacza i malarza, którego nie zawiodło ani oko, ani pewność ręki. Dla dobrych miał cześć, dla złych wyrozumiałość a nawet pewną skłonność do pobłażania; dla śmiesznych i głupich — dobroduszny uśmiech ironii. Ulubieńcami jego byli wojskowi. Iluż to generałów, pułkowników, oficerów przewija się przez wszystkie jego utwory! Bohaterów swoich, z wyjątkiem kilku w dramatach, robił zawsze wprost przeciwnie aniżeli Kraszewski do r. 1870, ludźmi energicznymi, śmiało idącymi do celu, albo jeżeli malował ich słabość, to z zamiarem podźwignięcia w końcu ich woli i uczynienia dzielnymi przedstawicielami idei pracy i obowiązku. Ta energia silniej jeszcze była przezeń uwydatniana w młodych kobietach. Poczynając od Heleny w „Anieli" do Jadwigi i Julki w „Krewnych" narysował on cały zastęp wdów i panien, odznaczających się szlachetnością, uczuciowością, ale zarazem śmiałych, odważnych, wytrwałych, bez wahania się idących naprzód. Istoty tkliwe i słabe są naturalnie i u niego, bo się znajdują w społeczeństwie, ale nie lubił ich malować wiele, a sympatyę swoją zwracał zawsze ku rozważnym i śmiałym.

Nikt lepiej od Korzeniowskiego i wielostronniej, z zachowaniem nader trafnego stopniowania i cieniowania, nie odmalował naszych rodzin arystokratycznych lub mających do arystokracyi pretensyę; nikt trafniej nie używał dowcipu salonowego; nikt przed nim nie obejrzał tak umiejętnie i nie odtworzył tak prawdziwie kantorów bankierskich, zabaw towarzyskich wśród żydów ucywilizowanych warszawskich, jadłodajni urzędniczych, stosunków i rozmów aplikanckich; on pierwszy sportretował rzemieślnika warszawskiego i opisał nauki i obrzędy w cechu stolarskim tradycyjnie przechowywane. A chociaż w malowaniu szlachty wiejskiej miał znakomitego poprzednika i towarzysza w Kraszewskim, nie zapo-

życzał się od niego w niczem, lecz owszem zaraz przy pierwszem wystąpieniu z większemi powieściami wprowadził obrazy charakterów, sytuacyj i stosunków, których Kraszewski przed nim nie tykał, a później przeniósłszy się do Warszawy i jako wizytator szkół jeżdżąc po całem Królestwie, ciągle zasób spostrzeżeń swoich nad szlachtą wzbogacał i pierwszy opisywał nie przedstawiane do jego czasów w powieściach okolice, charakteryzując je szczegółowo i dobitnie.

Wyznać jednak potrzeba, że charakterystyka Korzeniowskiego odnosi się przeważnie do zewnętrznej, powierzchownej strony człowieka i stosunków jego z innymi; a w określeniac duszy, umysłu, serca, wyobraźni poprzestaje na rysach grubych, łatwych do spostrzeżenia, bo rzucających się w oczy. I tu nawet, mianowicie w oznaczaniu poruszeń duszy za pomocą giestów, bywa dość jednostajny; należy szczególnie wytknąć dwa ulubione ruchy jego bohaterów i bohaterek: pocieranie czoła ręką i kładzenie dłoni przez kobietę na dłoń mężczyzny. Analiza psychologiczna nie była mu wprawdzie obcą, ale się rzadko do niej uciekał; dawszy w „Spekulancie" przykład, że proste przynajmniej objawy usposobienia i uczucia oraz ich zmiany dobrze potrafi podpatrzyć i odtworzyć, w późniejszych powieściach, choć sposobność ku temu nadarzała się nieraz, wolał pomijać rozbiór procesów duchowych i tłómaczenie przewrotów, jakie w duszy osób zachodziły, i zadawalniał się samem zaznaczaniem wyników. Nie było w tem niezawodnie teoryi z góry powziętej, tylko częścią zamiłowanie w kreśleniu plastycznem osób i położeń, częścią oddziaływanie twórczości dramatycznej na powieściową, w dramacie bowiem sama jego forma powoduje wykluczenie szczegółowego wyjaśniania czynników, które na zmianę zaszłą w danej osobistości wpłynęły; widz musi w stosunku jednych do drugich wyjaśnienie takie znaleźć.

Korzeniowski nie hołdował hasłu, które pod wpływem filozofii niemieckiej znajdowało odgłos i u nas, że sztuka sama sobie jest celem. Przeciwnie, był on od początku do końca swego zawodu tak w tej kwestyi, jak w innych, szlachetnym utylitarystą. Cel, dążność jasną i wyraźną miało każde jego dzieło. W dramatach, których bezwarunkowa większość osnuta była na stosunkach obcych lub na uczuciach ogólno-ludzkich, cel ten miał charakter wyłącznie moralny; w komedyach i po-

wieściach przybierał on prócz tego cechę społeczną wytknięcia jakiejś wady, zdrożności, grzechu lub wskazania drogi ku lepszemu i szczęśliwszemu życiu. Nie przeszkadzało to jednak tworzyć autorowi figur żywych i nie zmuszało go bynajmniej do wykrzywiania i fałszowania prawdy gwoli tendencyi, lub do kreślenia postaci abstrakcyjnych. W komedyach, co najwyżej, dla uwydatnienia myśli przewodniej, dopuszczał się szarży i popadał niekiedy w karykaturę; w powieściach zaś, mając wedle ówczesnego, powszechnie jeszcze przyjętego zwyczaju, możność wypowiadania swoich poglądów na dane kwestye w ustępach wprost od siebie pochodzących, nie potrzebował zazwyczaj popełniać nawet takiego odstępstwa od prawdy. Tendencye zaś te, jeżeli obronę Rozalii z „Tadeusza Bezimiennego“ wyłączymy, były rozumne i zacne, a względnie do czasu, w którym autor pisał, postępowe, z małymi tylko wyjątkami.

Dramata w przeważnej części z powodu niezbyt wielkiej doniosłości idei i niezbyt wysokiego stopnia artyzmu, muszą utonąć w zapomnieniu; komedye zawierają bardzo dużo scen i figur znakomitych; ale jako całość tylko „Panna mężatka“; „Majątek albo imię“ i kilka krotochwil będą miały zapewnione w teatrze powodzenie; większość zaś powieści, choć nie zadowolni natur egzaltowanych, delikatnych i subtelnych, które w nich karmi dla siebie stosownej nie znajdą, będzie jeszcze bardzo długo czytana przez ogół, gdyż ogół ten ceni zdrowy rozsądek, w karbach trzymaną uczuciowość, sumienne spełnianie obowiązków, trzeźwe patrzenie na rzeczy bez szkieł optymizmu czy pesymizmu, a to wszystko Korzeniowski wybornie, niekiedy po mistrzowsku umiał malować. Dla autora, który pod hasłem pożytku ogólnego pracował, stanowi to najpożądańszą nagrodę i największą chlubę.

[illegible] po 20 rs. [illegible].

Zygmunt Kaczkowski.
Jego życie i działalność literacka
Zarys biograficzny
przez
Piotra Chmielowskiego.

I.

Pierwsze dziesięciolecie drugiej połowy XIX. wieku z samego już początku zaznaczyło się w dziejach cywilizacyjnego rozwoju Europy kontynentalnej znamionami reakcyi zarówno w dziedzinie polityki, jak w sferach religijnych i społecznych. Ruchy rewolucyjne lat dawniejszych zgniotła zręczna ręka Ludwika Bonapartego, a wszechwładztwo ludu stało się stopniem, po którym idea monarchiczna wznosiła się na coraz większe wyżyny. Teorye i ...onki socyalistyczne straciły kredyt mas, znajdując jedyny przytułek w głowach zapalonych i ekscentrycznych. Reformy religijne nie znalazłszy ani gorliwych apostołów, ani fanatycznie posłusznych wyznawców, posłużyły wyłącznie do silniejszego ugruntowania wyznań dotychczas istniejących. Nawet naukę, tę wytrwałą pracowniczkę na polu ustalenia prawdy i przygotowania przyszłych ulepszeń, chciano zaprządz do rydwanu ówczesnych dążeń wstecznych; lecz to usiłowanie pozostało bez trwalszych następstw. Literatura, przeżywszy świetne dni chwały, grzęzła w powszednim błocie życia, kiedy niekiedy tylko przypominając sobie, że niedawno cały świat ideałów w sobie mieściła. Praktyczna tylko strona rozwoju, rolnictwo, przemysł i handel, korzystając ze względnej w Europie spokojności i wyzyskując, o ile się dało, chwile starć krwawych, rozwielmożniła się nie żartem, a wspomagana nowymi wynalazkami i odkryciami, olbrzymie czyniła postępy, darząc społeczeństwo zachodnie z jednej strony dobrobytem, z drugiej zaś... proletaryatem. Rozwój materyalny zyskał czasową przewagę nad rozwojem duchowym, który zaczął się czołgać przez lat kilka w żółwiej skorupie zastoju, nie odganiając od siebie nawet i wstecznictwa.

Tak było w Europie, tak też po części i u nas, o ile naturalnie wielkie rzeczy dają się porównywać z małemi.

Po latach, w których się wyrobiły dwa dość wybitnie odznaczone kierunki: arystokratyczno-katolicki i demokratyczno-postępowy, nadeszła chwila niezdecydowanych przekonań, chwila jakiejś ugody zarówno niejasnej w swych podstawach jak i nader chwiejnej pod względem samej budowy. Gorętsze żywioły postępowe wydalono z łona społeczeństwa; ci zaś, co w nich znajdowali karm' duchową, nauczeni smutnymi wypadkami, już to specyalnej, już też ogólniejszej natury w roku 1846 i 1848, albo przycichli, albo wywiesili sztandar pojednania z biorącym górę prądem religijnym. Postępowe atoli usiłowania nie przebrzmiały bez skutku. Zdyskredytowały one przedewszystkiem kierunek wsteczny, tak, że kiedy hr. Rzewuski, który w latach poprzednich z podniesioną głową i z wielką pewnością siebie wygłaszał swe poglądy, założył „Dziennik Warszawski“ w celu szybszego ich rozpowszechnienia, to publiczność zaczęła sarkać i zmusiła autora „Listopada“ do złożenia redakcyi w inne ręce. Powtóre, usiłowania owe tyle przynajmniej podziałały na umysły, że „urodzony“ nie wstydził się imać przemysłu i rękodzieł, i że Korzeniowski w „Krewnych“ mógł bez zająknienia proponować podupadłemu obywatelowi uczenie się i praktykowanie stolarstwa.

Były to oczywiście bardzo drobne okruchy skutków, jakie sobie demokracya obiecywała po swojej daleko sięgającej działalności; zdyskredytowana atoli na czas jakiś smutnymi a krwawymi wypadkami, nie mogła się już spodziewać innych. Tym sposobem stało się, że w dziesięcioleciu od 1850 do 1860 żadna krańcowość nie popłacała. Umysły pokochały środek wygodny dlatego właśnie, że w nim pełzły jaskrawe barwy przekonań, a ostre kanty stronnictw ścierały się.

Filozofią niezależną od wiary, reprezentowaną u nas głównie przez Trentowskiego, a podsycającą niegdyś ducha demokratycznego, filozofią, którą dawniej zaszczycano szczegółowymi rozbiorami, wówczas przyjmowano szyderstwem, frazesami rzucanymi mimochodem, jakby od niechcenia, to w powieściach, to w artykułach krytycznych i literackich. Filozofia katolicka natomiast, idąca ręka w rękę z teologią, zyskiwała coraz więcej zwolenników. Trentowski w przeciągu lat dziesięciu odzywa się raz jeden w „Tece Wileńskiej“ na

to tylko, ażeby, doznawszy niemiłej i wcale nie filozoficznej odprawy, zamilknąć aż do r. 1860. Zmieniony stan rzeczy uczuł on bardzo boleśnie i z namiętnością sobie właściwą pisząc w r. 1861 przedmowę do „Panteonu“, który wyszedł dopiero w kilka lat po jego zgonie, kreśli jaskrawy obraz smutnego upadku wyższych pojęć i głębszych badań. „Coraz okropniejsze położenie kraju — powiada — zwrot Europy całej na piekielne manowce stare, muzułmanizm chrześcijański w zażartej walce z oświatą chrześcijańską... wszystko to razem przyprawiło mię o dziesięcioletnią niemoc... Naród sam zwrócił się lewo w tył i pędził szybko, by kolej żelazna, ku XIII. wiekowi, prześcignął wnet pod tym względem Zachód, który przecież stawiał potężny i w końcu zwycięski opór; że stał się coś na kształt Hiszpanii północnej. Ustały u nas przeglądy, światłu, postępowi i umiejętności poświęcone, takie np. jak niegdyś Kwartalnik krakowski i Rok poznański. Na miejscu ich królowały pisma w duchu i kierunku średniowiecznym, który wężową mądrością umiał nas wyprowadzić w las... Rzucano klątwy na filozofią, poniewierano rozum ludzki i umiejętność niepodległą... potwarzano a nawet prześladowano uprawiaczów i przyjaciół światła. O, straszne było to dziesięciolecie!... Głos swobodniejszy i słowo oświecić kraj chcące nie znalazły przyjęcia w czasopismach. Dzieło filozoficzne szukało daremnie czytelnika, a więc i wydawcy. Powróciło się w najohydniejszy dawnej upadającej Polski czas, wyjąwszy chyba, że nie spalono Łyszczyńskiego i dano tak zwanemu makaronizmowi pokój! Było ognia wiarowego siła, a światło utaiło się tam i sam pod popiołem. Stany te bolały mnie mocno i nie mogły mi dopomódz do zdrowia. Potrzeba mi było wyczekiwać przyszłości lepszej, albowiem dla chwil barwy takowej pracować i pisać nie warto!“ Wskutek takichto przyczyn najoryginalniejszy umysł filozoficzny polski musiał trawić się sam w sobie, nie mogąc przedstawić szerokiej publiczności myśli i pragnień swoich.

Kremer i Libelt poświęcili swe prace estetyce, nie zaczepiając innych zagadnień z dziedziny „królowej nauk“.

Wielka masa dzieł teologicznych znacznego rozmiaru a popularnie pisanych, teraz bardzo chętnych znajdowała tłómaczów. Ks. Gaume, ks. Guillois i wielu innych weszli u nas na porządek dzienny. Wielka historya powszechna Cezara

Cantu, napisana w duchu katolickim, została właśnie wówczas językowi naszemu przyswojona. Wymieniam tylko główniejsze fakta, nie mając bynajmniej zamiaru wyczerpywać tak obszernej kwestyi; dodam tylko jeszcze kilka słów obcych, ażeby pokazać, że już współcześni uczuwali dokonywającą się zmianę. Oto jakie życzenia na rok 1851 składa historyograf demokracyi szlacheckiej, Waleryan Wróblewski, swym ziomkom w Athenaeum, redagowanem przez Kraszewskiego (zeszyt VI, str. 224 z roku 1850): „Unikajmy szaleństw socyalistów, bo one w niczem nie przypadają do naszego umysłu wychowanego w zdrowiu (?) i własnem historycznem doświadczeniu, a mogłyby nam przyćmić nasze dobre u ludzi imię! Odrzućmy naukę filozofów niemieckich, bo nudna, ciemna, a w ostatecznym wypadku niepoczciwa. Nie wierzmy nadewszystko ich nieszczeremu słowu i obietnicom, bo jest to wierzyć w możebność pogodzenia ateizmu z wiarą, entuzyazmu z rachunkiem, jestto bratać odwiecznie niecierpiące się z sobą plemiona i ich żywotne interesa“. Głos to bynajmniej nieodosobniony; z takich i tym podobnych mógłbym porządny chór ułożyć.

Kwestya usamowolnienia włościan i emancypacyi kobiet, którą w poprzedniem dziesięcioleciu tak gorąco się zajmowano, doznała losu filozofii. Usamowolnienie włościan, obrabiane w książkach specyalnych, a z ekonomicznego punktu widzenia, dopiero pod koniec chwili dziejowej, o której mówimy, weszło napowrót na szersze pole dyskusyi w szpaltach dziennikarskich. Emancypacya zaś kobiet wyszydzona, wyśmiana, stała się straszydłem społecznem, o którem lękano się wzmiankować nawet.

Nauki przyrodnicze nie były co prawda zaniedbywane, lecz w przeprowadzeniu ich szczegółów i w ogólnym na nie poglądzie trzymano się powag dawnych, a nowsze badania pomijano milczeniem. Cały np. ruch materyalistyczny, który taką wrzawę wzniecił wówczas w Niemczech a w znacznej części i w innych krajach Zachodu, u nas nie odbił się ani sympatycznem, ani antypatycznem echem; poprostu ignorowano go; wiedziały o nim zaledwie jednostki. Nowsze zdobycze geologii i zoologii doszły do nas bardzo późno, bo w najbliższych nas dopiero czasach. Brak uniwersytetu jak w innych gałęziach wiedzy, tak mianowicie w naukach przyrodniczych dawał się uczuć bardzo dotkliwie: odosobnił je od ru-

chu ogólno-europejskiego, przeciął dopływ nowych, ożywiających soków. Dzieła naukowe ukazują się sporadycznie, a wydawnictwa popularne przeżuwają tylko stary pokarm.

Strona głównie praktyczna tych nauk w zastósowaniu do rękodzieł, przemysłu i sztuki leczenia stała się przedmiotem dosyć pilnie badanym i rozpatrywanym. Realny kierunek wychowania w Królestwie sprzyjał temu nie mało. Nie wspominając o tak zwanych gimnazyach realnych, o instytucie agronomicznym i o założonej w roku 1857 akademii medyczno-chirurgicznej, z własnych wspomnień przytoczyć mogę okoliczność świadczącą, że wykształcenie techniczne rozpoczynano wtenczas bardzo wcześnie. Przy ulicy Bednarskiej istniała szkoła elementarna o dwu oddziałach. Otóż w drugim oddziale dzieci mniej więcej dziesięcioletnie uczyły się technologii i mechaniki, wykładanej rozumie się bardzo przystępnie, chociaż niezbyt praktycznie; opowiadano tam np. o własnościach tlenu i azotu bez żadnych doświadczeń. Ile takich szkółek było wówczas w kraju, nie wiem, dość że istniały, i jakkolwiek wadliwie, rozpowszechniały przecież wiadomości realne, których wymagał podnoszący się przemysł.

Zniesiona w roku 1850 granica od cesarstwa, niedawno zbudowana kolej warszawsko-wiedeńska, urządzone statki parowe na Wiśle, ułatwiając komunikacyą, przyczyniały się do rozwoju handlu oraz bliższych stosunków z zagranicą. Dążność do polepszenia bytu materyalnego, z krzątaniem się około zakładania fabryk i udoskonalania rzemiosł, chociaż w porównaniu z europejskim ruchem na tem polu, równała się prawie pracy Robinsona, chociaż jako początkująca znajdowała poparcie u ludzi trzeźwo zapatrujących się na sprawy kraju, raziła przecież umysły sentymentalno-poetyczne, nie znoszące dymu fabrycznych kominów, a lubujące się w naszych błotach, jeziorkach, wybojach szosowych i tym podobnych arcypatryarchalnych zabytkach, które „ducha nie gaszą“.

Z tej samej dążności praktycznej wyniknął w dziedzinie umysłowej prąd wychowawczy, który się ujawnił w wydawnictwach książkowych i pismach peryodycznych. W drugiej mianowicie połowie rozpatrywanego dziesięciolecia prąd ten nabrał pewnej siły, wywołanej po części zainteresowaniem się losem chorego Jachowicza. „Zabawy przyjemne i pożyteczne dla młodego wieku“ r. 1856 i 1857 Józefy Śmigielskiej,

„Rozrywki dla młodocianego wieku“ Seweryny z Żochowskich Pruszakowej od 1856 do 1860 r. oto tytuły czasopism poświęconych sprawie wychowania. Nowe wydanie dzieł Hofmanowej r. 1857 świadczyło o zamiłowaniu w dawnych ideałach wychowawczych.

Możnaby tu jeszcze przytoczyć jeden, co prawda chorobliwy już objaw owej dążności praktycznej na polu polityki, objaw wyrażony w połowie przez niby-idealistów (A. E. Odyńca, I. Chodźkę, M. Malinowskiego, A. H. Kirkora); lecz o tej smutnej chwili naszych dziejów wewnętrznych wolę zamilczeć.

* * *

Typem panującym ówczesnej chwili literackiej była historya malownicza i beletrystyka.

Przeszedłszy przez rózgi doświadczenia krwawego, umysły szukały ukojenia w rozpamiętywaniu przeszłości. Chciano zapomnieć choćby na czas krótki tylko o niesmaku bieżącej chwili i zanurzyć się w ożywczem źródle tradycyi, chciano sobie osłodzić przykrość położenia rzeczywistego przypomnieniem dawniejszej sławy. Nie żądano ani demokratycznych, ani arystokratycznych, ani nawet czysto naukowych, objektywnych poglądów na wypadki dziejowe; pierwsze bowiem i drugie przy zmienionem usposobieniu nie mogły popłacać; do trzecich nie miano dostatecznego przygotowania. Przedstawić tedy przeszłość w obrazie żywym, taką, jaką była, a choćby nawet dobrze jej pochlebić; zainteresować ubiorami, sprzętami, szczegółami życia domowego, ciekawostkami archeologicznemi, rapsodami rycerskimi, stało się przedmiotem pragnień czytelników i usiłowań autorów. — Zaczęto więc poszukiwania archeologiczne, ażeby zdobyć szczegóły zajmujące do tła obrazów. Komisye archeologiczne w Kijowie i Wilnie pomagały skutecznie do obudzenia zapału dla takich badań.

Zaczęto wydawać pamiątki historyczne, wizerunki królów i t. d. w przepysznych wydaniach, na które arystokracya kosztów nie skąpiła. Zaczęto opłacać malownicze opowiadania historyczne, życiorysy i t. p. Karol Szajnocha zachwycił wszystkich swoimi szkicami, swojem dziełem „Jadwiga i Jagiełło“. Julian Bartoszewicz, choć z mniejszym talentem słowa, z niemniejszą jednak żywością i obfitością szczegółów pisał

swoje życiorysy znakomitych mężów, swoje kościoły warszawskie. Obaj mieli gruntowną naukę; obaj badali źródła; lecz owoc swych mozolnych trudów przywdziewać musieli w szaty malownicze, ażeby dzieła ich znalazły czytelników a zatem i pokup. Za nimi zdążali i inni.

Historya jednak była tylko przysmakiem; właściwy zasadniczy pokarm ogółu stanowiła beletrystyka. Były tego powody ogólne, trwające do dziś dnia, i szczegółowe, będące sprężyną chwili ówczesnej. O pierwszych nie tu miejsce rozprawiać; o drugich wspomnę pokrótce.

Przypomnijmy sobie, że dziesięciolecie od 1850—1860 stanowi trzecią niejako dobę w rozwoju nowszej poezyi naszej, że wówczas rozwinęły się talenta nie powszednie, umiejące zyskać słuchaczy nawet po takich mistrzach jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Na tę chwilę przypada druga faza talentu Wincentego Pola, który wystąpił jako wyłączny śpiewak szlacheckości w „Sejmiku w Sądowej Wiszni“, „Senatorskiej Zgodzie“, „Mohorcie“, „Stryjance“, a jako śpiewak ciasnej lub przesądnej religijności w „Czarnej Krówce“, „Wicie Stwoszu“. Na tę chwilę również przypada działalność poetycka Syrokomli, Deotymy, Lenartowicza, Felicyana Faleńskiego, Wacława Szymanowskiego, Mieczysława Romanowskiego, Henryka Jabłońskiego, Apolla Korzeniowskiego, Leonarda Sowińskiego, Brunona Bielawskiego, Platona Kosteckiego, że pominę wielu innych.

Tyle zdolności, występujących na widownię w jednym czasie, musiało wywrzeć wpływ na publiczność, która, jak się zdawało, zobojętniała już na powaby poezyi. Istotnie dzieła owych twórców, opiewające po większej części przeszłość, trafiały wybornie w usposobienie czytelników, spragnionych takich obrazów. Nie wymagały one wielkiego natężenia umysłu, bo opowiadały wypadki łatwo, zrozumiałe, wystawiały ludzi nie grzeszących zbytkiem inteligencyi, — nie wymagały również forsowania wyobraźni, gdyż same bardzo wysokim lotem się nie odznaczały. Jeżeli zaś czasem trudniejsze były do pojęcia (np. u Deotymy), to wynagradzały trud zadany umysłowi — nadzwyczajnością swojego powstania, improwizacyą. Wielka serdeczność, prostota, a nawet rubaszna jowialność, cześć dla cnoty, uwielbienie dla przeszłości, rzewność i wiersz gładki, potoczysty: oto środki, którymi przeważnie

szturmowały utwory poetyczne do serc czytelników. Takie środki skuteczniejsze nawet były od niesłychanej potęgi fantazyi Słowackiego, od filozoficzno-socyalnych pomysłów Krasińskiego; nie dziw więc, że ci, którzy się nimi posługiwali otrzymywali nieraz zwycięstwo nad wielkimi mistrzami; zwycięstwo bezwątpienia ciche, nie ogłaszane przy dźwięku trąb i bębnów, nie przyznawane otwarcie, pomimo to jednak upajające duszę. Czytano więc poezye z rozkoszą, rozkupywano poemata bardzo szybko: tysiąc egzemplarzy Mohorta rozeszło się niemal odrazu; księgarze nietylko chętnie drukowali, lecz nawet nieźle płacili za wiersze: Syrokomla brał za każdy po 2 złote, Pol daleko drożej.

Podobnie mniej więcej rzecz się miała z powieścią. I tu również obok dawniejszych uznanych już pisarzy ukazały się talenta młode, świeże, wróżące świetną przyszłość. Obok Kraszewskiego, Rzewuskiego, Korzeniowskiego, Chodźki, Józefa Dzierzkowskiego, wystąpili: Kaczkowski, Zacharyasiewicz, Łoziński Walery, Albert Wilczyński, Miniszewski, Niewiarowski, Gregorowicz, Pług, a wreszcie Jeż. Wszystkie niemal stany: szlachta, duchowieństwo, urzędnicy, lud miejski i wiejski, bakuniarze (przemytnicy w Beskidach), znaleźli swoich malarzów, którzy ze szczególną drobiazgowością podpatrywali ich wady i zalety, ich przyzwyczajenia, miny, ubiór, i z serdeczną dobrodusznością, lub wcale nieszkodliwym humorem przedstawiali je w mniej lub więcej udatnych obrazkach i obrazach. Publiczność wdzięczna była za taką troskliwość i pobłażliwość zarazem i chętnie się podobnym malowidłom przypatrywała.

Wówczas to powieść nabrała ogromnego znaczenia. Taki urzędowo-poważny człowiek, jak Józef Korzeniowski, nie wahał się na początku tego dziesięciolecia utrzymywać, że powieść pochłonie wszystkie inne rodzaje twórczości, nawet dramat, i w tem pochłonięciu nie upatrywał nic złego. Wprawdzie w kilka lat potem, Kraszewski, widząc niezdarne utwory swoich naśladowców, oświadczył, że jeżeli nie sama powieść, to przynajmniej dotychczasowa jej forma przeżyła się; że ówczesne utwory powieściowe wyglądają „jak kompozycye sławnych malarzy, litografowane na chustkach od nosa"; że żaden z nich ani o włos nie różni się od tysiąca pięciuset powieści i powiastek, których obfitość zagrażała potopem: ale Korzeniowski wystąpił w obronie powieści, mówiąc, że „każda

forma jest dobra, gdy życiem natchnięta" — i na tem poprzestano. Kraszewski nie porzucił przestarzałej formy i pisał dalej powieści tak samo, jak i inni autorowie. Powieść była jakby gmachem rozległym, który wieńczyła kopuła poezyi.

Dziennikarstwo, które po założeniu „Dziennika Warszawskiego" zaczęło się reformować, było doskonałym pośrednikiem pomiędzy powieściopisarzami a publicznością. Odcinek musiał być zapełniony poematem lub powieścią, a przedewszystkiem tą drugą formą elastyczną, dającą się rozciągać do przyzwoitej długości.

Współubiegano się więc o dostarczenie przyciągającej prenumeratorów lektury, i pośrednio wprawdzie, ale bardzo silnie, wpływano na płodność twórczości autorskiej. Z drugiej strony dziennikarstwo zajmowało się nader gorliwie rozbiorem wychodzących powieści. Oprócz krytyków urzędowych, piszących recenzye w oznaczonym terminie, każda gazeta miała korespondentów na Litwie i Ukrainie, którzy prawie wyłącznie rozbiorem powieści się trudnili, tak, że o jednym utworze w tem samem piśmie bywało po kilka krytyk i sprawozdań. Była wówczas moda listów krytycznych pisanych niby poufnie przez literatów do siebie, a drukowanych w gazecie; pisał więc Tadeusz do Antoniego a Antoni do Tadeusza, i znowu Tadeusz do Adama a Adam do Tadeusza; Michał (Grabowski) zaś, jako patryarcha całej tej rzeszy krytycznej, pisał do wszystkich. Były to po większej części gawędy bez naukowego znaczenia, pisane lekko, czasami obrazowo, przystępne zatem dla ogółu czytelników. Nie szczędzono w nich kadzidła uznanym powagom, zarzuty obwijano w bawełnę; przekonań nie rozbierano gruntownie. Obrażały one jednakże niekiedy drażliwy ród poetów. Syrokomla, Pług zarzucali im poprostu stronność. Syrokomla radził Lesznowskiemu, ażeby zamiast pojedyńczych liter kazał poodlewać całe frazesy krytyczne, takie np. „Ulubiony nasz autor (a zarazem współpracownik „Gazety Warszawskiej") udarował naszą literaturę" i t. d.; albo też: „Ciekawi jesteśmy, co mógłby lepszego napisać autor, który pomimo apoteozy „Dziennika Warszawskiego" i t. d. [1]). W tymże samym czasie (1855 r.) pisał Pług w „Ga-

[1]) List Syrokomli do Kraszewskiego (*Przegląd Europejski*, r. 1862, listopad, str. 356).

zecie Warszawskiej", że „na jeden sąd zdrowy a sumienny miewamy dziesięć namiętnych a uprzedzonych, na jedno zdanie wyrzeczone z powagą a namaszczeniem, dziesięć gwałtownych pamfletów lub panegiryków przyjacielskich".

Nie wchodzimy w to, czy te skargi były słuszne czy nie, dość że istniały gawędy o literaturze poetycznej i powieściowej w bardzo wielkiej ilości. Publiczność interesowała się niemi widocznie, gdyż w przeciwnym razie wydawcy nie byliby pozwolili zapełniać gazet drukiem niepoczytnym.

Wobec współdziałania takich czynników jak: ilość talentów, poparcie prasy i smak publiczności, nie można się dziwić, że beletrystyka stała się najwybitniejszym i najdokładniejszym obrazem ówczesnego stanu literatury i oświaty narodowej wogóle. Wszystkie inne działy piśmiennictwa musiały pożyczać barw od niej, ażeby się upowszechnić wśród rozłakomionego na powieści ogółu czytelników.

II.

W takiej to dobie wystąpił Zygmunt Kaczkowski, jako nowy pracownik na niwie powieściopisarstwa. Dziennikarstwo ówczesne przyjęło go frenetycznymi oklaskami; publiczność z niepraktykowanem dotąd zajęciem czytała jego utwory, które w bardzo krótkim przeciągu czasu doczekiwały się przedruków. Posypał się prawdziwy grad recenzyi, ubiegających się o to jedynie, która lepiej i silniej zastosuje wyrazy „znakomitość", „arcydzieło" i t. d. do pism autora „Bitwy o Chorążankę". Ktokolwiek wziął pióro do ręki, by napisać korespondencyę do gazet o czembądź, choćby o burakach np., zawsze na Kaczkowskim skończyć musiał. Starzy nawet, zagorzali klasycy, np. Kajetan Koźmian, Franciszek Wężyk, którzy nietylko lekceważyli takich autorów jak Korzeniowski, Kraszewski, lecz nawet w poufnej korespondencyi obelżywymi obdarzali ich epitetami, podejrzywając o spekulacyą literacką, ci klasycy interesowali się mocno działalnością Kaczkowskiego, otaczali go niezmyśloną sympatyą i talent jego wysoko nad innych podnosili.

To niezaprzeczone powodzenie, które wstępnym niemal bojem potrafił sobie zdobyć Kaczkowski, musiało mieć oczywiście swoje przyczyny; a cokolwiekbyśmy powiedzieli

o magnetycznym wpływie, wywieranym przez talent na czytającą publiczność, z której naturalnie i krytyków nie wykluczam, zawsze to w zgodności ogólnego nastroju ducha społecznego z kierunkiem umysłowym i sferą działalności pewnej utalentowanej jednostki wypadnie szukać najgłówniejszego źródła wzajemnej między nimi sympatyi. W przekonaniach Kaczkowskiego, w jego poglądach na przeszłość i życie współczesne, w naturze jego talentu, w charakterze artyzmu odnaleźć musimy ten węzeł sympatyczny, który go uczynił odrazu rzecznikiem społecznym, wygłaszającym potrzeby, pragnienia i ideały inteligentnej cząstki społeczeństwa w owej chwili dziejowej.

Zygmunt Józef Erazm Kaczkowski, urodzony roku 1826 we wsi Bereźnicy w Sanockiem, wychowywał się przeważnie w domu. Matka jego „była niewiastą cnót nieskalanych, charakteru anielskiego, cicha, spokojna, bez żółci, pełna miłości dla wszystkich, oddana jedynie życiu domowemu i rodzinie“. Ojciec, wyćwiczony w naukach realnych: górnictwie, mechanice i rachunkowości, niegdyś wojak napoleoński a następnie ziemianin, był człowiekiem „nader bystrego pojęcia, żartkiego dowcipu i wesołego temperamentu, wyobrażeń i form poniekąd bardziej cudzoziemskich niż polskich“, co mu jednak nie przeszkadzało być wielkim miłośnikiem kraju. Nie stroniąc od zabawy i chętnie podejmując u siebie gości, nie był przecie hulaką i marnotrawnym; nie mogąc brać czynnego udziału w sprawach publicznych, zajmował się gospodarstwem i popierał życie umysłowe. Posiadał bibliotekę, prenumerował wszystkie niemal pisma peryodyczne polskie; „goście zaś przywozili ze sobą najnowsze książki a częstokroć i nieogłoszone jeszcze rękopisma znakomitych utworów“. Zebrania w domu Kaczkowskich nie były, zdaje się, obrachowane wyłącznie na skonsumowanie pewnej liczby potraw i napojów, jak niemniej na grę w karty; lecz miały charakter bardziej umysłowy. Rozprawiano tu o potrzebach kraju, o piśmiennictwie, czytano dzienniki, deklamowano poezye. Atmosfera literacka obejmowała Zygmunta już od samego zarania wieku.

Wielka pojętność, pamięć bystra, którą się młody Kaczkowski odznaczał, czyniła go wrażliwym na wpływy otoczenia. Przy gorliwości ojca, mając lat *cztery*, umiał już czytać po polsku i po francusku, umiał pisać i trochę rachować;

a mając lat *siedm,* zdał egzamin z czterech klas normalnych tj. elementarnych, pisał poprawnie po polsku i po niemiecku, a w języku francuskim znaczne zrobił postępy. Nie mogąc wstąpić do gimnazyum z powodu młodocianego wieku, kształcił się dalej w domu pod kierunkiem ks. Pawła Żegiestowskiego, proboszcza obrządku unickiego, męża używającego wielkiej czci w okolicy, który uczył religii, łaciny i geografii, oraz Józefa Niklewicza, krewnego matki Zygmunta, który miał od niego nauczyć się wszystkich innych przedmiotów z zakresu pierwszych klas gimnazyalnych. O ks. Żegiestowskim nie posiadamy bliższych szczegółów, któreby nam wyjaśniły tak jego metodę nauki jako też jej ducha. Przypuszczać tylko można, wnioskując z późniejszych przekonań Kaczkowskiego, że unita, trzymając się ściśle zasad wiary i jej obrządków, nie wszczepiał w młodziutkiego wychowańca ani bigoteryi ani fanatyzmu. Niklewicz zaś, człowiek jeszcze młody, wysmukły, wiotki, niezmiernie blady, zawsze zamyślony i rozmarzony, pomimo gruntownej nauki, wcale na nauczyciela nie stworzony, oprowadzał Zygmunta przez całe dni po Bieszczadach, przysiadał od chwili do chwili na karpackich polanach, wydobywał Byrona, Schillera, Goethego lub Mickiewicza, niekiedy zaś Kochanowskiego, Karpińskiego lub Kniaźnina i odczytywał na głos ulubione utwory, zalecając chłopcu powtarzać je za sobą. Śliczne, podbudzające fantazyą widoki górskie, prostota wdzięków i wspaniała groza przyrody, melancholia świata roślinnego, którego ruchów wiatr jest samowładnym panem, lot orła śmiało szybującego ponad wierchami, zgrabne skoki sarny lecącej jak błyskawica ponad przepaściami, wesoły gwar ptactwa śpiewającego swe barkarole i hymny — na najobojętniejszego nawet wywierają wrażenie; a cóż dopiero na chłopca obdarzonego żywą wyobraźnią, wielką wrażliwością, rozkołysaną powiewem harmonii dźwięków!

Taki tryb wychowania trwał dwa lata; w dziewiątym roku życia wszedł Zygmunt do pierwszej klasy gimnazyalnej, a przy końcu kursu rocznego nietylko z pierwszej, lecz i z drugiej złożył egzamina; poczem ojciec oddał go do *konwiktu dominikańskiego* we Lwowie. O przebiegu nauk szkolnych niewiele wiemy; to tylko pewna, że szóstą klasę odbywał r. 1841/2 wraz z Mikołajem Zyblikiewiczem w Samborze. Znamienne szczegóły z ówczesnego życia studenckiego opowiedział później

Kaczkowski w „Świętej Klarze“. Powtarzam je tu prawie w całości.

„W Samborze nie było ani jednego konwiktu, studenci mieszkali po stancyach, u profesorów, u urzędników niemieckich i mieszczan, niektórzy nawet po dalszych przedmieściach, lecz mimo to żyli pod tak ścisłym dozorem, jak gdyby byli zamknięci w murach jednego i tego samego seminaryum. Prefekt wiedział o mieszkaniu każdego studenta, był zawsze jak najdokładniej zainformowany o tem, co robi w domu, z kim żyje i kto bywa u niego, a u tych, którzy mu byli podejrzani, odbywał zazwyczaj z drugim profesorem rewizye, często nawet w nocy, a wtedy trzeba mu było wszystkie szuflady i wszystkie kuferki otwierać, w których wszystko dowolnie przerzucał. Jeżeli znalazł jaki zapisany świstek papieru, to trzeba mu go było jak najdokładniej tłómaczyć; jeżeli mu wpadła jaka książka pod rękę, która mu się nie podobała, choćby to był który z takich pisarzy niemieckich jak Herwegh, Heine lub Boerne, to ją zabierał, poczem następowała nazajutrz inkwizycya w biurze prefekta, a za nią szły: admonicya publiczna w klasie albo w sali gimnazyalnego senatu wobec wszystkich klas zgromadzonych, areszt domowy na parę dni, albo więzienie w klasie, zazwyczaj przez całą niedzielę, o chlebie i wodzie. Wszystkie te biurokratyczne prześladowania młodzież znosiła z humorem, a te areszty niedzielne nawet nas niepomału bawiły, bo wtedy pod okna tego więzienia przychodziły zazwyczaj panienki z miasta i przynosiły nam rozmaite łakocie i buteleczki napełnione winem, któreśmy na sznurkach wyciągali przez okno do klasy, z czego była zawsze wielka uciecha. Rzecz charakterystyczna do tych czasów, że między temi panienkami było nie mało Niemek, córek urzędników i profesorów, a rej nad niemi wodziła żona Linzbauera, jedynego liberalnego profesora w tem gimnazyum, od którego też zawsze dowiadywały się, który student siedzi w więzieniu i w której klasie.

„W tych gimnazyach ówczesnych nie słyszeliśmy nigdy ani jednego polskiego słowa. Wszystkie wykłady odbywały się po niemiecku lub po łacinie, do czego należała także literatura grecka. Wszyscy profesorowie byli doskonale wyćwiczeni w tych językach i uczyli ich pilnie i dobrze, matematykę i geografię wykładali także praktycznie i umiejętnie, ale ich wy-

kłady historyi, poezyi i retoryki były taką monstrualnością, jakiej dzisiaj w najdzikszym kraju nie znajdzie. Zapatrywania ich na te przedmioty były nietylko niezmiernie ograniczone, ale wymierzone wyłącznie ku temu, aby nas austryackiego patryotyzmu nauczyć, toż według nich niemal już Cycero i Horacyusz byli austryackimi patryotami *in nuce*. Młodzież, pragnąca zazwyczaj prawdy i wiedzy, słuchała tych wykładów ze wstrętem, a natomiast szukała (!) oświecić się o tych przedmiotach po za obrębem szkoły. Prócz tego usiłowała nauczyć się tych przedmiotów ze źródeł pisanych we własnym języku. Stąd poszło, żeśmy urządzali schadzki w naszych własnych mieszkaniach, na których czytywaliśmy książki takie, o których istnieniu dowiadywaliśmy się tylko pomiędzy sobą, bo na wykładach szkolnych nawet o ich tytułach nie wspominano.

„W mocno wówczas zniemczonym Samborze było nawet nie wielu takich studentów, którzy pochodzili z rodzin zamożniejszych i oświeceńszych, a przeto mieli cokolwiek więcej ukształcenia z domu; wszyscy inni byli to po największej części synowie urzędników niemieckich, ruskich księży, małomieszczan i chłopów mazurów, których osady otaczały dokoła miasto. Oświata pomiędzy nimi stała na bardzo nizkim stopniu, to też i później mało który z nich zajął jakieś znaczniejsze stanowisko w społeczeństwie. Szkoły te, mające na celu ograniczenie umysłów i ogłupienie młodzieży, przypominające zupełnie nasze szkoły jezuickie z czasów saskich, wywierały na nią wpływ zgubny, działający zazwyczaj do końca życia. Ze wszystkich moich samborskich kolegów tylko jeden Mikołaj Zyblikiewicz wybił się w górę, a przeszedłszy całą skalę publicznych powołań, zajął na końcu najwyższy urząd w autonomicznej administracyi kraju. Syn kuśnierza z Nowego Miasta, w zimie w kożuszku, a w lecie w grubym kubraku, był on wtenczas tak ubogi, że kiedy jakiś arcyksiążę przejeżdżał przez Sambor i on miał mieć mowę łacińską do niego, to musiał sobie pożyczyć fraka u jednego z kolegów: ale to mu wcale nie ujmowało ani czci, ani miłości pomiędzy nami, bo w naszem gronie górowało nad wszystkiem uczucie równości, a ktoby był usiłował występować z szeregu na podstawie swojego rodu albo majątku swoich rodziców, tenby był wygwizdanym i niktby mu był ręki nie podał. Myśmy znali natenczas tylko arystokracyę talentu i ukształcenia, a do tej

arystokracyi Zyblikiewicz w pierwszym rzędzie należał. Profesorowie wytężali wszystkie swe siły, aby utrzymywać średniowieczne przesądy pomiędzy młodzieżą, ale pomimo to w tej młodzieży żył duch, który był silniejszy od profesorów i otwierał na ścieżaj jej umysły i serca dla nowożytnych idei.

„W naszej klasie było tylko pięciu czy sześciu takich studentów, którzy mieli mieszkania osobne a zarazem i możność zaopatrywania się w takie książki, których w bibliotece gimnazyalnej nie było: ale schadzki odbywały się tylko u Kubusia [1]) i u mnie. Ja mieszkałem u urzędnika magistratu, francuskiego Szwajcara, obarczonego liczną, lecz bardzo ukształconą rodziną, w dworku położonym w ogrodzie, i miałem u niego pokój osobny z gabinetem sypialnym i z dwoma wychodami — a Kubuś miał nawet dwa duże pokoje, także w dworku odosobnionym i także z dwoma wychodami, a nadto jeszcze i z przedpokojem, w którym mieszkał jego służący. Te podwójne wychody były to klapy bezpieczeństwa na wypadek wizyty prefekta; dlatego ostrożni koledzy, do których i Zyblikiewicz się liczył, przenosili nasze mieszkania nad inne.

„Ale myśmy mieli jeszcze inną klapę bezpieczeństwa, a był nią stary Hermanowicz, Rusin z rodu, ale legionista od pierwszej chwili, potem żołnierz napoleoński a w końcu konstantynowski do końca, z którego to powodu powiadał o sobie, że miał trzydzieści cztery lat służby bez przerwy. Po tej służbie na stare lata, osiadł w Samborze i dawał lekcye języków: francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego. Ile jego lekcye były warte, można się stąd domyśleć, że przez cały czas swojej służby był tylko wachmistrzem i dopiero w roku 1831 został podporucznikiem: ale był to typ w całem mieście znany i szanowany; gorący przyjaciel młodzieży a postrach na Niemców. Dobrego wzrostu, okrutnie barczysty, z ogromną łysiną pokiereszowaną wzdłuż i na poprzek, z ogromnymi wąsami sadzą wyczernionymi, w długim surducie z szerokimi rabatami, w wysokim czworograniastym, niby ułańskim kaszkiecie, z kawalerzyskiemi ostrogami u butów i ogromną sękatą pałką w ręku: tak można go było widzieć codzień w południe przy ratuszu na rynku, kiedy warta zaciągała na odwach. Ten i ów

[1]) Jest to jedna z głównych postaci w „Świętej Klarze“, entuzyasta; Kaczkowski nie podaje jego nazwiska.

żołnierz mógł chybić przy apelu, ale Hermanowicz był pewnie. Dawał nam lekcye włoskiego języka po południu, po szkole i tu czasem chybiał, ale za to regularnie na schadzki przychodził, bo wtedy była zawsze buteleczka wina dla niego, i albo opowiadał nam dzieje wojen napoleońskich, albo przysłuchiwał się deklamacyom. Owóż kiedy dano znać, że prefekt idzie, co się nieraz zdarzało, Hermanowicz wybiegał z pałką do niego i wołał łamanym językiem: *Nichts Revision! Hier ist Lektion! Das kostet Geld! Rechtsum! Adieu!* Niemcy go serdecznie nienawidzili, ale mieli taki respekt przed jego wąsami, ostrogami i pałką, że odchodzili, kłaniając się i mówiąc do siebie na ulicy: *Ein närrischer Kerl.*

„Tymczasem nie można sobie nic niewinniejszego wyobrazić, jak te nasze schadzki ówczesne. O polityce tam nigdy mowy nie było, nawet politycznych teoryi nigdy nie dotykano. Czytaliśmy tylko polskich i niemieckich poetów i deklamowaliśmy ich wiersze. Nawet o ich drukowane dzieła było trudno natenczas; jeżeli się zdarzył jaki egzemplarz, to biegał po rękach, niektórzy go przepisywali, inni się uczyli na pamięć. Byli tacy, którzy nawet polskich poetów nie rozumieli i czytali ich tylko dla nauczenia się polskiego języka. Ale Kubuś ich rozumiał, chociaż po swojemu, uczył się ich na pamięć i deklamował z zapałem. Zapał ten tak go czasem porywał, że się rumienił, tracił oddech i mdlał, chociaż już wtedy był silniej zbudowany niż inni. Ten jego zapał zwykle nas wszystkich unosił; wtedy deklamowaliśmy jeden za drugim, jedni twarz zakrywali rękami z wzruszenia, drudzy połykali słyszane słowa otwartemi ustami, trzeci płakali; zgoła były to orgie duchowe, gdzie wszyscy byli pijani do bezprzytomności, chociaż żaden ani kropli wina nie wypił.

„Jednak, kiedy byli tacy pomiędzy nami, którzy tych poetów rozbierali krytycznie, starając się wniknąć w ich ducha i określić różnice, zachodzące pomiędzy ich poglądami na świat i ludzi a ich pojęciami o ideałach ludzkości; on wcale nie rozróżniał jednych od drugich, na nim równe sprawiali wrażenie Goethe i Schiller, chociaż jeden przemawia do rozumu, a drugi do serca; on nawet nie znał różnicy pomiędzy Krasińskim a Słowackim, chociaż już wtedy było rzeczą widoczną, że to są dwie gwiazdy pędzące do urojonej przez siebie przystani zbawienia na dwóch przeciwległych biegunach.

Zgoła dla niego każdy ideał był niebem, byle tylko trzeba się go dobijać Homerycznemi walkami, byle był wielkim, czystym i świętym, a zarazem czemś takiem, czego nie masz na ziemi".

Co do samego Zygmunta, zaznaczyć należy z czasu studyów szkolnych dwa fakta, które w nim przyszłego pisarza wskazywały. Będąc w klasie piątej, napisał Kaczkowski po łacinie rozprawę o Cyceronie, z której bardzo się cieszył owoczesny profesor retoryki Janowski, podając ją za wzór dla innych uczniów. W klasie szóstej pojawiła się jego pióra satyra na wszystkich towarzyszów ławy szkolnej, których opisywał w porządku alfabetycznym mieszaniną najrozmaitszych języków: polskiego, ruskiego, żydowskiego, niemieckiego, łacińskiego, greckiego, francuskiego, włoskiego i angielskiego. Koledzy autora wielce się cieszyli tym wybrykiem dobrego humoru; lecz nauczyciel, poznawszy satyrę, nie podzielił ogólnej radości i strofował Kaczkowskiego publicznie przed klasą. W odpowiedzi na to strofowanie puścił Kaczkowski satyrę na wszystkich profesorów; a ponieważ przeważna ich liczba z Niemców się składała, napisał ją po niemiecku, przyczem sparodyował wiersz owego karciciela, ułożony na powitanie wizytatora szkół, biskupa. Grono nauczycielskie wielce się oczywiście zgorszyło postępkiem Zygmunta; ze studenckiego figla zrobiono niemal „zbrodnię stanu"; ojciec młodego satyryka musiał go wziąć do domu, a potem na powtórzenie „retoryki" odesłać do Tarnowa.

Zapach atramentu pozostał i nadal miłym Kaczkowskiemu. Wszedłszy w roku 1842 na wydział filozoficzny w uniwersytecie lwowskim, napisał wierszem niemieckim, co wówczas nie było rzeczą zbyt nadzwyczajną u zdolnych studentów, tragedyę w pięciu aktach. Czytano ją w kółkach akademickich i ogłoszono jej autora za poetę. Prócz tego Kaczkowski przekładał na język polski Horacego, Wergiliusza i ułamki z Tacyta, a od czasu do czasu pisywał parodye wykładów prof. Tangla o estetyce, co bardzo bawiło współtowarzyszów i obiegało z rąk do rąk jako przedmiot szczerego śmiechu.

W dwa lata skończyszy wydział filozoficzny, zapisał się Kaczkowski na prawny, lecz systematycznemi studyami niewiele się już zajmował. Jeździł też w tym czasie na kilka

miesięcy do Wiednia i Lipska, by się tamecznym wykładom uniwersyteckim przysłuchać.

Na wiosnę roku 1845 ustąpił mu ojciec Bereżnicę, a dodawszy mu babkę jego jako opiekunkę, zalecił zaglądać do Lwowa i uczyć sią prawa, lecz także radził pilnować roli, „bo dla szlachcica nie masz nad pług stosowniejszego rzemiosła". Lecz Zygmunt i jedno i drugie zalecenie spełniał niezbyt gorliwie; uśmiechały mu się przedewszystkiem powaby życia towarzyskiego. Szczegóły, podane przez biografów, naprowadzają na domysł, że Kaczkowski tak odbywał wówczas studya uniwersyteckie, jak Edmund, arystokratyczny bohater powieści p. n. „Dziwożona". Zdaje się nawet, że ówczesne znajomości, stosunki i wypadki stały się tłem, na którem osnuty jest cały ten utwór. Gospodarstwo niewiele zajmowało Kaczkowskiego; lecz i w murach uniwersytetu bywał rzadko. Szczególną namiętność miał do koni, jak większa część synów szlacheckich. Na wsi trzymał ich tyle, ile stajnia pomieścić mogła; a jadąc do miasta, zabierał ze sobą tyle wierzchowców i powozowych, ile ich mógł utrzymać we Lwowie. Po całych dniach uganiał się na koniu lub w faetonie; wieczory zaś w mieście przepędzał wśród literatów lub innej młodzieży na gorących rozprawach ze sfery piśmiennictwa lub zagadnień i reform społecznych, rozprawach, które tak świetnie w „Dziwożonie" odmalował.

Wieczory w Zakładzie Ossolińskich niemało także zajmowały mu czasu. Tu zaznajamiał się z nowemi dziełami mistrzów słowa, tu wchodził w ten ruch naukowo-literacki, który tak dobrze do twórczości usposabia; tu widział, jak utwory pisarzy młodych, nieznanych znajdowały pochwałę i zachętę. Zebrania te licznie były uczęszczane, a Kaczkowski był ich „Benjaminem", jak sam powiada. Wysmukły i blady, prawie z kobiecem obliczem, na którem wielkie, łagodne świeciły oczy, stawał zwykle w jakimś skromnym kąciku, nie mieszając się do rozmowy starszych. Czasami panie brały go między siebie i kazały deklamować wiersze Mickiewicza lub Krasińskiego. Stary Jan Nepomucen Kamiński, wysoce dla sceny krajowej i dziennikarstwa zasłużony, pierwszy przepowiedział Kaczkowskiemu, że będzie coś z niego, bo „umie dobrze po łacinie i pisze poprawnie po polsku". Henryk książę Lubomirski, ówczesny kurator Zakładu, szczególną miłością otaczał młodzieńca,

a dyrektor Zakładu, Adam Kłodziński, zachęcał go do trzymania się tej instytucyi, mówiąc: „Tutaj dla takich wielka jest przyszłość, a takich, niestety, niewiele“.

Wówczas też, t. j. w r. 1845 pojawiły się pierwsze próby pióra Kaczkowskiego, zarówno prozą jak i wierszem. „Dziennik Mód Paryskich“, pismo dwutygodniowe, wydawane od roku 1840 przez krawca Kulczyckiego, pod redakcyą A. Bielowskiego, pomieścił w Nr. 16, 20, 24, 25 z roku 1845 i w Nrze 1 z r. 1846 następujące artykuły dziewiętnastoletniego Zygmunta: „Uwagi nad moralnemi chorobami: Gorączka dowcipowa, Parafianizm“; „Tuz“ (powiastka), „O czem marzyć“ (wiersz), „Zapalenie szlachetnej strony serca...“

O pewnych zasadach, o przekonaniach ściśle sformułowanych nie może być tu jeszcze mowy. Kaczkowski nie należał do rzędu tych natur teoretycznych, które od najmłodszego już wieku szukają ściśle ustalonych poglądów i nad ich wyrobieniem usilnie pracują. Duch jego owszem skłaniał się ku praktycznej stronie życia, a wrażliwość umysłu, żywość wyobraźni, łagodność, lecz przytem i pewna sprężystość charakteru sprawiały, że wszystkie ówczesne prądy nietylko wdzierały się bystrym nurtem w jego serce i głowę, lecz także i na postępki jego niemało wpływały. Stosunki domowe, oprócz utrwalenia w Kaczkowskim cnót prywatnych, przyczyniły się wielce do zainteresowania go sprawami publicznemi, a między innemi i literaturą.

Przypomnijmy sobie, że czas wykształcenia Zygmunta przypadł na okres najwyższego rozkwitu poezyi polskiej. Mickiewicz ukończył był właśnie świetnie poetyczny swój zawód, a słynął natomiast na Europę całą jako profesor literatur słowiańskich w paryskiem „Collége de France“. Słowacki i Krasiński coraz to nowymi utworami, pełnymi blasków fantazyi lub myśli, walczyli o pierwszeństwo z uznanym już mistrzem litewskim. Zaleski, Goszczyński, Pol, każdy w odpowiednim sobie zakresie, zajmowali skromniejsze wprawdzie, niemniej jednak wpływowe miejsce. Łatwo pojąć, że utwory takich poetów, z którymi Kaczkowski, dzięki literackiemu charakterowi zebrań domowych, rozprawom ze studentami i stosunkowi z Zakładem Ossolińskich, mógł się na świeżo zaznajamiać, były w stanie zarówno rozgrzać fantazyę jak i zwrócić umysł ku głębszym rozmyślaniom nad zagadnieniami społecz-

nemi; mogły słowem pobudzić młodzieńca do szukania środków mających na celu jakieś nieokreślone przeobrażenie świata. Połączywszy bardzo wysoki nastrój naczelnych dzieł poetycznych z owych czasów ze znaną skłonnością młodych umysłów do zwyciężania trudności i przedsiębrania czynów olbrzymich, bez trudu wywnioskować będziemy mogli, że potrzeba było tylko jakiegoś impulsu, jakiegoś dokładniej oznaczonego planu reformy, ażeby pociągnąć Kaczkowskiego, jak wielu innych młodzieńców do działania w tym kierunku.

Taki dokładniej oznaczony plan przedstawiał w sferze religijnej mesyanizm, głoszony przez Mickiewicza z katedry paryskiej, w sferze zaś społecznej — propaganda demokratyczna. Lecz mesyanizm, ograniczony do bardzo szczupłej liczby wyznawców, pomimo olbrzymiego talentu Mickiewicza, pomimo żarliwości kilku innych członków, nie miał dostatecznej siły, ażeby wśród ogółu katolickiego zyskać wyznawców; reforma więc religijna dokonywała się w szczupłych jedynie granicach. Inaczej było z ideami demokratycznemi. Miały one grunt pewien w przeszłości narodu, a oprócz tego obiecywały polepszenie, którego wszyscy sobie życzyli. Ruch jednej grupy społecznej łączył się tu z ruchem ogólno-europejskim i znajdował bardzo licznych zwolenników. Pomimo ogromnych przeszkód ruch ten udzielił się i Galicyi, a wskutek tajemniczości dróg, któremi tam przechodził, działał na umysły o wiele silniej, niż wówczas np., gdyby się był zupełnie swobodnie rozwijał. Ci, którzy się jego propagandą zajmowali, gotowi byli na śmierć; a to całemu ruchowi nadawało urok niewypowiedziany. Idea równości i uwłaszczenia włościan o tyle potężniej wdrażała się w umysły, o ile środki do urzeczywistnienia jej proponowane w wysokim stopniu były niebezpieczne. Złudzenia względem usposobień ludu trwały jeszcze w głowach ówczesnych działaczy pomimo paru bardzo wymownych przykładów, które powinny były je stamtąd wyparować. Sądzono, że dosyć dać ludowi własność, ażeby go natychmiastowo, bez przygotowania, bez przejścia, na grono obywatelskie przemienić. Rozpatrując błędy przeszłości i chcąc je odrazu naprawić, nie zmierzono dostatecznie przepaści dzielącej teoryę od praktyki, nie zrozumiano siły tradycyjnych przyzwyczajeń, nie wniknięto w powolny rozwój uczuć obywatelskich na drodze *stopniowej oświaty*. Ówczesnych reformatorów społeczeństwa

piekła, że tak powiem, sama myśl reformy; radykalne środki uważano za jedynie zdolne do jej przeprowadzenia.

Kaczkowski dał się porwać ogólnemu prądowi umysłów młodych i niedoświadczonych. Znano go z tej strony we Lwowie, znano w Tarnowskiem i Krakowskiem, w domu Franciszka i Michała Wiesiołowskich, Jana Tyssowskiego, Rejów, w towarzystwie Edwarda Dembowskiego, Juliana Goslara, Gorzkowskiego i innych. Zdaje się, że stosunek Karola w powieści „Rozbitek“ do ruchu demokratycznego w Galicyi przedstawia mniej więcej własny stosunek Kaczkowskiego. Tak jak Karol wierzył on w możliwość nagłej przemiany ludu; tak jak Karol przejęty był dla niego najszlachetniejszemi uczuciami i pragnął jak najszybszej reformy.

„Mój ojciec — opowiada Kaczkowski w „Świętej Klarze“ — przyzwyczajony w służbie inżynierskiej do trzeźwego zapatrywania się na tego rodzaju zamiary, i jego bliżsi przyjaciele, po największej części także dawni wojskowi, byli w gruncie rzeczy przeciwni zbrojnemu powstaniu. Jednak nie tak bardzo zatrważali się tem, co się stać może w Galicyi, jakby się dziś można tego domyślać. Austryacy mieli wtedy bardzo słabą załogę w tym kraju i ze względu na grożące już wówczas niepokoje we Włoszech nie mogli jej tak prędko powiększyć. Załoga ta, rozrzucona w drobnych oddziałach od Wadowic do Bukowiny, wynosiła tylko 20.000 ludzi i składała się przeważnie z piechoty — a ta piechota, którą nazywano szłapakami, w białych frakach i pludrach, w czarnych kamaszach, w ciężkich czakach i uzbrojona jeszcze cięższymi skałkowymi karabinami, skretynizowana barbarzyńskiem obchodzeniem się z nią w równej głupocie utrzymywanych oficerów niemieckich, była raczej śmieszną, niż straszną. Było kilka pułków huzarów i szwoleżerów, także porozpraszanych po całym kraju; ale o wierności huzarów rozmaite chodziły wieści, a szwoleżerów także nie miano za wielkich rycerzy. Opinię tę w kilka miesięcy potem zupełnie potwierdził generał Collin, który zająwszy Kraków w tysiąc piechoty i kawaleryi, wzmocnionych jeszcze do tego całą milicyą krakowską, w parę dni po tem tryumfalnem zajęciu, niewiedzieć dlaczego, wyniósł się z miasta, bety oficerskie w niem pozostawił, wszystkie kawaleryjskie komendy, porozsyłane po wsiach, potracił, przez Podgórze jak gdyby wichrem gnany przeleciał i nie

oparł się, aż w Wadowicach. Opinii tej nie zaprzeczył także pułkownik Benedek, który bitwę pod Gdowem stoczył samymi chłopami, a wojsk swoich używał tylko do ścigania i chwytania rozbitków.

„Wojskami temi dowodził ze Lwowa cywilny i wojenny gubernator, arcyksiążę Ferdynand d'Este, o którym śpiewano pieśń:

Arcyksiążę Ferdynandzie, co to ci się stało,
Żeś tak czmychnął z Warszawy w samo Boże Ciało?

wówczas już stary, otoczony jezuitami i dewotkami, i znany powszechnie ze swej nieudolności, za co też potem popadł w niełaskę. Miał on wprawdzie we Lwowie kilka bateryi i kilka tysięcy załogi, ale i tego się nie obawiano, bo i na to w danym razie mogły się znaleźć sposoby...

„Z biurokracyą zaś, chociaż niesłusznie, wcale się nie liczono, bo ta już od Wielkiejnocy (r. 1845) żyła w bezustannym strachu, przygotowywała się do wyjazdu z kraju, a tymczasem się łasiła u szlachty, aby ją jak najlepiej usposobić dla siebie.

„Zgoła rzeczy tak stały, iż mniemano powszechnie, że jeżeli tylko połowa tych mieszkańców kraju, których nazywano *surdutowymi*, chwyci za broń, to w parę tygodni w całej Galicyi Niemca na zaprószenie oka nie znajdzie; a co do arcyksięcia, to albo się go pod przyzwoitym konwojem do granicy kraju odeśle, albo się go jako zakładnika zatrzyma, aby z Wiedniem rozpocząć układy.

„Mój ojciec tym przewidywaniom nie przeczył, bo polegały niejako na cyfrach; ale w ich spełnienie nie wierzył i mówił:

„— Na naszą szlachtę nigdy od kołka do kołka liczyć nie można, bo każdy chce mieć swoje zdanie. Jeden się zerwie, drugi będzie przeciwny, a trzeci zaczeka, aby zobaczyć, jaki obrót te rzeczy wezmą gdzieindziej. W najlepszym razie będzie to awantura, która tylko miejscami będzie kipieć przez kilka tygodni, a przeto pozostawi rządowi dość czasu, aby porządną armię do kraju sprowadzić i miejscowe rozruchy po kolei zadusić. A potem co? Drzewa na szubienice jest w lasach aż nadto. Dziwi mnie, że są ludzie, którym sumienie pozwala na wszczynanie takich awantur..."

„Ale innym przecież uśmiechała się wojna; dlatego nie wdawali się wcale w obliczanie sił, utrzymując, że jest ich więcej niż trzeba; pytali tylko: czy jest jaka organizacya? czy jest broń i czy są pieniądze? Jeżeli to wszystko jest, to według nich skutek był pewny...“

Kiedy w lutym wybuchło w Galicyi powstanie, ojciec Kaczkowskiego w ostatniej chwili wszystkich wyprzedził i sam jeden sto zbrojnych ludzi wyprawił. Zygmunt wyruszył także. Dnia 21 lutego przed zmrokiem zebrało się w Uhercach pod Liskiem przeszło 300 ludzi z małym, lecz wybornym oddziałem konnicy i z taborami. Dowództwo objął Jerzy Bułharyn. Szczegóły o działaniu tej gromadki, niebawem bardzo uszczuplonej, opowiada szeroko Kaczkowski w „Świętej Klarze“, do której muszę po nie czytelników odesłać.

Wiadomo zresztą, że ruch cały został zakończony w bardzo krótkim przeciągu czasu; lecz w sferach wiedeńskich umiano z niego korzystać i wywołując powstanie band chłopskich, potrafiono je zwrócić przeciwko ich własnym nieproszonym dobroczyńcom. Nastąpiła rzeź galicyjska 1846 roku.

Kaczkowski wróciwszy z wyprawy, bawił w domu.

Jedna z band chłopskich, snujących się od dworu do dworu, uprowadziła ojca i syna ze sobą, odwiozła do Sanoka i oddała w ręce Niemców. Zakuci w kajdany i osadzeni w więzieniu zostawali czas jakiś w Sanoku.

„Więzienie to — mówi Kaczkowski w „Świętej Klarze“ — umieszczone w budynkach szkolnych, było raczej wielkim szpitalem, bo było bardzo wielu fatalnie pobitych i pokaleczonych, niektórzy nawet już prawie umierający. Niejeden szlachcic wziął więcej kijów, niżeli sam rozdał przez całe życie. Ci, którzy wyszli cało z tej zawieruchy, jak ja i mój ojciec i wielu innych, mianowicie starych żołnierzy, pielęgnowali chorych. Z początku było skarg i narzekań i jęków bez końca; ten i ów kazał sobie nawet księdza sprowadzić, wyspowiadał się z grzechów i przyjął pomazanie ostatnie. Były chwile smutne, czasem przerażające. Ale żaden nie umarł — a niejednemu to wstrząśnienie fizyczne wyszło nawet na dobre, bo się wyleczył z reumatyzmu, z podagry lub z opasłości żołądka. A potem nasz stary humor dokonał reszty; nie widziałem nigdy w mojem życiu zebrania tak wesołego, tak pełnego dowcipu i żartów jak to więzienie w Sanoku.

„Dopiero pod jesień zrobiło się smutniej, bo nas zaczęto wywozić w kajdanach do Karmelitów do Lwowa. U Karmelitów było więzienie ciężkie; trzeba było siedzieć w kaźniach ponurych, w towarzystwie złodziejów, trucicieli i rozbójników, i poprzestawać na pożywieniu nieznośnem. Ale po kilku miesiącach znowu zrobiło się lepiej, bo po indagacyach skończonych zezwalano na pewne ulgi i przenoszono nas do więzień weselszych i wygodniejszych.

„Ja dostałem się do Maryi Magdaleny, gdzie było bardzo wiele swobody i gdzie wszyscy mogli się widywać ze sobą. Mieliśmy gazety i książki, ołówki i papier, i mogliśmy przyjmować odwiedziny ze świata. Toż dopiero tam, po półtorarocznem odosobnieniu, zaczęliśmy się dowiadywać pomału, co się stało w kraju podczas burzy przeszłego roku. Opowiadania te były niezmiernie zajmujące, pełne życia i ruchu, zawsze dramatyczne, często zadziwiające przykładami odwagi i poświęcenia, czasem przerażające do tego stopnia, że słuchając ich, oddech mi się zapierał w piersiach, zimny dreszcz mnie przejmował i włosy stawały na głowie.

„Niektóre z tych scen opisywałem wierszem na małych karteczkach; karteczki się rozchodziły po mieście, gdzie je czytywano tak, jak się czytuje feljetony w gazetach, oczekując z niecierpliwością dnia jutrzejszego, w którym ma ciąg dalszy nastąpić.

„Pani Grocholska, Brzozowska z domu, dama wielkiego świata, słusznego wzrostu, w okularach niebieskich, zamieszkała wtenczas umyślnie w pałacu Baworowskich, położonym naprzeciw klasztoru Maryi Magdaleny, aby być blizko nas, przynosić nam wiadomości ze świata i nasze skargi, uczucia i myśli znowu na świat wynosić. Ona także te moje karteczki na świat wynosiła i codzień się upominała o inne. Było ich wiele, ale wszystkie przepadły, czego jednak nie żałuję, bo było to wywnętrzenie zbolałej duszy i zanadto wrażliwego umysłu, dla których najwłaściwszą biblioteką jest grób zapomnienia.

„Przez długi czas te opowiadania z czasów burzy nie przekraczały granic tarnowskiego obwodu, bo tylko z tych stron byli koledzy pomiędzy nami; o wypadkach na ostatecznych krańcach zachodniej Galicyi, tak samo jak o Krakowie, niceśmy nie wiedzieli. Dopiero później zaczęli do nas przy-

bywać niektórzy z Bocheńskiego i z Sądeckiego, a między nimi i tacy, co byli pod Gdowem; ci byli dla nas najciekawsi, bo opowiadali rzeczy, dotąd wcale nam niewiadome“.

Wśród takich to okoliczności zapadł wyrok skazujący ojca Kaczkowskiego na 20 lat fortecy, a syna na — szubienicę. Do spełnienia jednak wyroku nie przyszło. Nastąpił rok 1848. Wypadki wiedeńskie skłoniły cesarza austryackiego do wydania patentów, zapewniających całej Austryi rząd reprezentacyjny i do ogłoszenia amnestyi dla skompromitowanych w wypadkach roku 1846. Kaczkowscy wyszli na wolność.

Dwa lata rozmyślań więziennych znacznie zmodyfikowały dawne wyobrażenia Zygmunta, rozwiały zupełnie marzenia o nagłym przełomie w sprawach społecznych, wykazały niewłaściwość środków, których dawniej był zwolennikiem. Przekonywa nas o tej zmianie późniejszy sąd Kaczkowskiego o propagandzie demokratycznej. Tytułowa osoba powiastki „Kato“, napisanej w 5 lat po wypadkach 1846, powiada o działaniach demokratów: „Będąc w Paryżu i wiedząc o wszystkiem, starałem się dotrzeć do jądra rzeczy, która tak śmiało wywiesiła sztandar z niezawodną obietnicą zbawienia... Tam przekonałem się, że ludzie, którzy się około tej zasady krzątali, była to młodzież zapalona, *zarozumiała i głupia.* Przyjdzie czas, kiedy wszyscy się o tem przekonają i moje zdanie potwierdzą“. O samej zasadzie, którą ta młodzież zapalona, zarozumiała i głupia wyznawała, nie mówi Kaczkowski w tem miejscu ani słowa; lecz w dalszym ciągu powiastki znajduje się ustęp, potępiający ostatecznie cały ruch, a więc pośrednio i jego zasadę. Kaczkowski przedstawia chwilę poprzedzającą wybuch: „Zapusty owego roku (1846) były huczne i szalone; ścisk był na wszystkich zabawach. *Circenses!* — wołano zewsząd — *panem* miano dopiero jutro zawołać i to nie *panem quotidianum*, który ma sycić żołądki, lecz *panem,* który łaknącym i uciśnionym duszom miał przynieść oddech wolniejszy; jedni więc marzyli tylko swobodę, inni wolność, a jeszcze inni rozpustę i szaleństwo. Ot, różni różne mają zachcenia i wedle tych zachceń wyobrażają sobie przyszłość szczęśliwą. Tajemniczość jakaś, która wtedy była w powietrzu, o wiele podnosiła zwyczajny interes balów maskowych; tajemniczość owa była wprost przeciwną tej otwartości i szczerości, która we dwa lata *później* także przyszła z powietrzem; tajemni-

czość owa nakoniec uczyniła to, iż niekoniecznie potrzeba było iść na bal maskowy, aby maski obaczyć — cały świat był zamaskowany; jedni maskowali swą cnotę mniemaną, drudzy swą przeszłość może nie bardzo czystą i cnotliwą. Oczekiwano czegoś, co miało przyjść i świat zadziwić; ogółem zaś nie wiedziano, co to będzie to coś tyle oczekiwane i nie wiedziano, gdzie się pojawi: może w mieście, może na rynku, może w kościele, może nawet na reducie. Ciekawi a niecierpliwi zaglądali dziwaczniejszym maskom pod larwę, czy nie biją promienie od ich twarzy, i na plecy, czy nie mają tam skrzydeł ukrytych, i do ręki, czy nie mają w niej... noża; uważano pilnie na każde słówko głośniejsze, badano je i roztrząsano, azali niemasz w niem objawionej jakiej politycznej zasady; a często się zdarzało, iż powtarzano sobie jakieś nic nie znaczące słowa, wykładano je wedle natchnienia rozgrzanej wyobraźni i przywiązywano do nich ewangeliczne znaczenie. Cóż to było? Oto duch unoszący się nad ziemią upuścił ziarnko aloesu; nasienie zeszło, wybujało w niezliczone lecz koszlawe gałęzie, na których wierzchu pokazał się węzeł zielony i zawinięty. Ludzie go obstąpili dokoła i niecierpliwie czekali strzału, aby rychło obaczyć, co też wyjdzie z zawiązanego węzła! Prorocy mówili, że będzie kwiat, jakiego jeszcze nie widziała ziemia. Węzeł pękł i nie strzelił, lecz rozdarł się pomału, a z jego wnętrza, zamiast kwiatu, bluznęło trochę krwi i rozlało się po ziemi... Po takim wypadku w naturze roślinnej, naturaliści zasiadają z księgami za stołem i badają przyczynę i dochodzą sumiennie, dlaczego jej nie odpowiedział skutek; zaś po takim wypadku w świecie, ogrodnicy nikną *z horyzontu i z za morza się znowu odezwą, że to właśnie dobrze, że nie kwiat wytrysnął odrazu*, bo byłby słabym: lecz *ze krwi* dopiero będzie kwiat; a kiedy ze krwi znów pokaże się kość i dym i ludzkie głupstwo i nic więcej... to ogrodnicy znów z za lądów i z za mórz przyślą tylko *przekleństwo przeszłości* i nadzieję na przyszłość. Teraźniejszości, mówią oni, niemasz na świecie... A ta nędza, która jest w teraźniejszości?... *Oni nędzy nie znają!*"

Wszystkie więc mniej więcej zarzuty, które robili i robią konserwatyści ruchowi demokratycznemu, wszystkie prawdy i plotki, jego działań tyczące się, w obrazku powyższym zostały nie kategorycznie wprawdzie, lecz niemniej wyraziście

przedstawione. Jakie poglądy na miejsce dawniejszych wyrobiły się w Kaczkowskim, o tem pomówimy później; teraz musimy się jeszcze przyjrzeć dalszemu trybowi jego wykształcenia tak w więzieniu jak i na swobodzie.

Przez pierwszy rok przeczytał on niemal całą wypożyczalnię książek Karola Wilda, złożoną z dzieł różnej treści, przeważnie jednak beletrystycznej, w języku polskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Następnego roku przysłano mu z Zakładu Ossolińskich dzieła osnowy poważniejszej, a głównie historycznej, przedstawiającej dzieje XVIII. wieku. Kiedy je poznał, wydawało mu się niepodobieństwem napisać o konfederacyi barskiej, która go już wówczas zajmowała, coś więcej nad to, co już było napisane; nie miał bowiem wtedy nawet pojęcia o wielkim zasobie źródeł rękopiśmiennych. Zarzuciwszy więc myśl pisania historyi, której doniosłości jeszcze nie pojmował, pisywał wiersze, o których była już wzmianka w opowiadaniu samego ich autora.

Wyszedłszy z więzienia, wziął Kaczkowski dość czynny udział w życiu publicznem. Mianowany przez Radę Narodową Centralną organizatorem gwardyi narodowej konnej sanockiej, spełniał swoją czynność gorliwie. Kiedy Szajnocha, wybrany przez tęż Radę delegatem na zjazd słowiański w Pradze Czeskiej, nie przyjął mandatu, wysłano Kaczkowskiego. Praca literacka w „Dzienniku Mód Paryskich", który od 27 numeru (czyli od 1 lipca) przezwał się „Tygodnikiem Polskim" i przeszedł pod redakcyę Karola Szajnochy, dopełniała miary działalności publicznej dotychczas nam znanej.

Kaczkowski jednak nie dzielił tego zapału, jaki od dnia 18 marca a szczególnie od 13 kwietnia (data zawiązania Rady Narodowej) ogarniał niektóre warstwy. Nie łączył się on wprawdzie z żywiołem arystokratycznym i reakcyjnym, reprezentowanym przez Towarzystwo Ziemiańskie; nie sympatyzował jednak w zupełności ze stronnictwem demokratyczno-postępowem. Zapatrywania swoje ówczesne tak nam opowiada w piśmie z epoki znacznie późniejszej, bo z r. 1862: „Gdzieindziej walka mogła równie wielkie jak i korzystne odnieść zwycięstwa; atoli co do naszej prowincyi, każdemu trzeźwiejszemu oku musiało się już wkrótce okazać, że w jej granicach tylko ta jedna idea, która natenczas była dojrzała do ciałowzięcia, idea *usamowolnienia wiejskiego ludu*, mogła z istotnym pożyt-

kiem wejść w życie; wszystkie zaś inne, wśród niespodzianej wolności, wyrodzonej zbyt prędko w nieświadomą swych celów swawolę, zaczęły coraz mniej odpowiednie rzeczywistym warunkom, co gorsza! coraz mniej odpowiednie *naszym rodzimym potrzebom,* przybierać dążności i kształty. Nie bezczynny w tej porze, lecz nie dzielący tego konwulsyjnego zapału, który nas tylko z zewnątrz ogarniał a wewnątrz żadnej nie miał podstawy, spostrzegałem z boleścią, żeśmy się nietylko w dążeniach ogólnych dali porwać prądom nam obcym, ale co większa, że w naszych szczegółowych czynnościach brak znajomości tych niezliczonych doświadczeń, jakie na nas nasza ośmiowiekowa przeszłość przelała, niemal na każdym kroku uczuwać się dawał". (*Dzieła* Z. Kaczkowskiego, I, 4).

Ze słów powyższych widać, że kiedy demokraci zarzucali Radzie Narodowej zbyteczną powolność i oględną legalność, Kaczkowski oskarżał ją o radykalizm i nieuwzględnienie praw rozwoju historycznego. Czy zarzuty te już w r. 1848 jasno się w umyśle jego rysowały, czy też są wynikiem późniejszej rozwagi i dokładniejszych badań, niepodobna rozstrzygnąć z powodu braku odpowiednich dowodów. Musimy się więc zadowolić jedynie zaznaczeniem faktu, że Kaczkowski dosyć chłodny brał udział w kilkomiesięcznych sprawach stosunkowo wolnej Galicyi.

Wkrótce okoliczności znowu się zmieniły; wiatr konstytucyjny ustąpił miejsca gromom armatnim. Dnia 1, 2 i 3 listopada Hammerstein kazał bombardować Lwów i zmusił go do tak zwanej „kapitulacyi", która położyła koniec wszystkim działaniom narodowym. Dnia 30 listopada Hammerstein ogłosił stan oblężenia, rozwiązał radę miejską konstytucyjnie zorganizowaną, nakazał powszechne rozbrojenie gwardyi i całej ludności, zniósł Radę Narodową i wszelkie stowarzyszenia, wzbronił wydawania pism peryodycznych, ulotnych lub plakatów, zabronił zgromadzeń po domach lub zbiegowisk na ulicach i t. p.

Kaczkowski musiał także kryć się przez kilka miesięcy po wioskach i dopiero pod koniec zimy 1849 roku mógł znowu zjawić się we Lwowie, w którym było pusto i smutno. Życie literackie wraz z politycznem obumarło; w Zakładzie Ossolińskich zbierano się wprawdzie bardzo licznie, brakowało atoli dawniejszego ożywienia. Podjazdowa walka przeciw kiero-

wnikom tego zakładu, podjęta przez młodzież jeszcze w roku 1842, coraz gwałtowniejszą się stawała. Zarzucano Kłodzińskiemu a potem Szlachtowskiemu powolność w katalogowaniu ksiąg i rękopismów, niewłaściwe ich układanie na półkach bibliotecznych, zaniedbywanie wydawnictw, brak starania około naukowego wykształcenia stypendystów Zakładu, brak ukształcenia specyalnego. Jak powiada Estreicher w życiorysie Szlachtowskiego [1]), nie chodziło tym gwałtownym głosom o dobro Zakładu, lecz o uzyskanie posady. W roku 1849 nurtowały one tylko pokątnie, nie mogąc się ujawnić w druku; lecz w roku następnym zaczęły się bardzo wyraźne manifestacye w szpaltach „Czasu", „Gazety Lwowskiej" i pism niemieckich. Kłodziński, znużony ciągłą szermierką, ukończywszy budowę gmachu bibliotecznego, złożył dyrektorstwo Zakładu w ręce kustosza Szlachtowskiego. Napady nie ustawały. Szlachtowski, chcąc zadość uczynić dopominaniu się o pismo, rozpoczął z dniem 1 kwietnia 1850 roku wydawnictwo „Pamiętnika literackiego", który wychodził tygodniowo. W piśmie tem Kaczkowski wziął czynny udział, mieszcząc w niem kilkanaście artykułów wierszem i prozą.

W utworach wierszowanych („Niniwe", „Herburt", „Dwie gwiazdy", „Zapomnieni", „Sielanka", „Dwa pokolenia", urywek z dramatu), pisanych dość poprawnie, ale bez szczególnego talentu, dodawał otuchy przygnębionym wtedy umysłom, albo przypominał im dzielność i sławę przodków, albo wysławiał cichy wieczór na wsi, ożywiony myślami o losach kraju, albo przeciwstawił staropolską uczciwość i cnotę zfrancuziałym, zgnuśniałym i bezwstydnie cynicznym wyrodkom, albo wreszcie zbladłej gwiaździe przesądów arystokratycznych kazał ustępować miejca nowemu światłu poświęcenia i pracy:

My im pieśnią snu nie mącim,
My ich grobów nie potrącim,
Ale niechże oni, starzy,
Z grzechem tajnym u spowiedzi,
Z dumą rodu w czerstwej twarzy,
Z naczelnictwem wśród gawiedzi,
Co ich święte imię kala,
Zdala od nas będą, zdala!

---

[1]) „Na dziś", 1872, t. II, str. 218.

Zdala od nas starych światów
Widma śpiące i wybladłe,
Bo my zedrzem blask szkarłatów,
Groby wzruszym już zapadłe,
Zgruchotamy tarcze wasze,
Jeśli was stąd pieśni nasze
Nie odtrącą, jak mórz fala...
Zdala, duchy, od nas, zdala!...

Z pomiędzy utworów prozą pisanych wyróżnić należy powiastki („Braciszek“, „Dziedzic Strwiążyka“, ta druga niedokończona), recenzye i artykuły treści społecznej. Powiastki to bardzo słabiutkie pod względem wykonania; są w nich już próby odmiennej dykcyi dla przedstawienia różnych osób, są usiłowania w celu stworzenia charakterów i nakreślenia sytuacyi, ale to wszystko dopiero w zarodku. Recenzye natomiast i artykuły społeczne są pisane dzielnie i jędrnie, znamionują młodzieńca jasno i trzeźwo myślącego, który posiada już pewne wyrobione przekonania. Wykazuje autor śmiało, a czasami w sposób cięty braki psychologiczne, artystyczne i myślowe w powieściach i poezyach ówczesnych, wielbi powieściopisarstwo francuskie i stawia je pod względem sztuki za wzór Polakom (w rozbiorze „Dzieci Miłości“ Suego), od wszystkich a więc i od księży domaga się *du positif* (w artykule „O kazaniach i kaznodziejach“); wyroby ówczesnej reakcyi katolickiej wyśmiewa i potępia. Jest zwolennikiem stronnictw w społeczeństwie i poczytuje ich istnienie za objaw postępu („O walkach umysłowych“) i pragnie, ażeby dzienniki i czasopisma poświęcone literaturze stale wyznawały pewne określone zasady i były ich wytrwałymi organami („O powołaniu pism czasowych“), byle tylko w walce z przeciwnikami zachowały godność i wyrozumiałość, naśladując w tem parlament angielski; stronnictw pośredniczących nie cierpiał, uważając je za wsteczniejsze od konserwatywnych dlatego, że one obustronne siły osłabiają, chwilę starcia się odraczają, a więc i zbawienie, ze zwycięstwa tej lub owej strony wyniknąć mające, choćby na zawsze odsuwają; — mistycyzm i mglista poezya prorocza miały w nim stanowczego przeciwnika („O przesadzie w poezyach“), gdyż wydawało mu się „bardzo naturalną rzeczą i przeznaczeniom człowieka na ziemi wcale nie przeciwną, iżby ile możności prawdy z nieba wykradać

i sprowadzać je na ziemię, nie zaś ziemskie myśli w niedostępne dla ludzi obwijać kształty i oddawać je niebu".

Zresztą występował Kaczkowski bardzo dowcipnie w obronie Zakładu i jego kierowników, czem narobił sobie wielu nieprzyjaciół, a przedewszystkiem poróżnił się z Szajnochą, który w sposób namiętny powstawał przeciw Szlachtowskiemu w „Tygodniku Lwowskim". Odtąd polemika o Zakład Ossolińskich przybrała formy gorszące. Kłodziński wystąpił w swojej i swego następcy obronie, dowodząc, że w Galicyi niema zdolniejszego bibliotekarza nad Szlachtowskiego i oświadczając, że w całym tym zajadłym sporze idzie o przeprowadzenie zdania: *Ote-toi; je m'y placerai*. Takie postawienie kwestyi nie mogło zażegnać burzy, rozsrożyła się też ona z jeszcze większą wściekłością. Wśród tej zawieruchy umarł kurator Zakładu, Henryk ks. Lubomirski, który nie zwracał uwagi na potwarze. Stosunki Szlachtowskiego z nowym kuratorem ułożyły się nie najlepiej; natarczywość napadów dziennikarskich była wielka; a nowy kurator nie był spoufalony z zasługami bibliotekarza. Szlachtowski zrzekł się urzędu, który się dostał Augustowi Bielowskiemu (7 stycznia 1851 r.).

Wśród takich wypadków dojrzewał umysł Kaczkowskiego, który się zwrócił do badania historyi jako najlepszej przewodniczki na drodze rozwoju społecznego. Zarówno w zamęcie politycznym jak i w nieumiarkowanej polemice widział brak wyrobionych pojęć a zatem i trudność wzajemnego porozumienia się.. Egzaltacya umysłów wydała mu się i słusznie powodem niemożności chłodnego, rozumnego ocenienia tak teoryi, jak i praktyki. W najbliższym wieku chciał szukać klucza do otwarcia podwojów tego chaotycznie pobudowanego gmachu wyobrażeń, jakie się w ówczesnem społeczeństwie rozpanoszyły. Z nowem zajęciem zaczął badać szczegółowo jeden epizod z dziejów zeszłego stulecia — konfederacyę barską. Zabrał się do drabowania rękopismów odnoszących się do tego czasu. Przedewszystkiem więc w bibliotece Zakładu Ossolińskich znalazł bardzo obfity materyał. Mianowicie „Collectanea" Kuropatnickiego, obejmujące wszelkiego pochodzenia akta urzędowe, manifesty, protestacye, nominacye, rozkazy, recesa, dyaryusze, relacye, raporta, korespondencye dyplomatyczne, listy prywatne, gazetki pisane, paszkwile, pieśni nabożne, wojskowe i konfederackie, kwity, bony, rejestra, naj-

prywatniejsze nawet notatki rodzinne, stały się dla niego głównem źródłem rękopiśmiennem do historyi konfederacyi barskiej, a zarazem do historyi całej drugiej połowy XVIII. wieku. Biblioteka Gwalberta Pawlikowskiego, archiwa różnych bogatych rodzin, akta Bernardyńskie, papiery nadsyłane mu z domów szlachty uboższej i tym podobne dokumenta pisane zaznajomiły go ze szczegółami, z drobnostkami nawet rodzinnego i społecznego żywota w zeszłem stuleciu.

Większa część źródeł, któremi się Kaczkowski posiłkował, dzisiaj znana jest uczonym już to ze studyów rękopiśmiennych, już też z niedawno drukiem ogłoszonych wydawnictw; lecz na początku drugiej połowy naszego wieku mało co o nich słyszano. Kaczkowski miał to szczęście, że był jednym z najpierwszych, którzy od druków już po części zużytkowanych zwrócili się do badań nad nieznanymi rękopismami.

Prócz tego zaciekania się nad duchem uwięzionym w martwej literze, wsłuchiwał się Kaczkowski w żywe słowa tradycyi, uosobionej w babce jego, urodzonej jeszcze przed pierwszym rozbiorem z Dęborogów Bylczyńskich. W jej pamięci żywo przechowały się podania nietylko z konfederacyi barskiej, lecz także z czasów o wiele wcześniejszych. „Obdarzona przytem — jak pisze jej wnuk — niezmiernie zdrowym i względnie trafnym na rzeczy poglądem, umiała dziwnie jasno odsłaniać te węzły, jakimi pojedyńcze rodziny pomiędzy sobą, a przez nie cały naród był powiązany i przez to oświecać ważniejsze krajowe wypadki; — a rzadki to był szczegół, dotyczący tamtoczesnych strojów, obrzędów i obyczajów, o którymby się nie można było od niej z dokładnością objaśnić“. Była to prawdziwa, żywa illustracya do wspomnień i wiadowości z dawnych czasów. Postać jej odtworzył Kaczkowski nadzwyczaj zręcznie w babce Edmunda, jednego z bohaterów powieści p. n. „Dziwożona“.

Lecz nietylko babka, ale i inni krewni; nietylko krewni, ale całe sąsiedztwo, zarówno szlacheckie jak i mieszczańskie obfitowało w mnóstwo wieści, uprzytomniających chwile dawno ubiegłe. W ziemi sanockiej kilka razy zawiązywały się większe i mniejsze konfederacye; w jej górach częstokroć oddziały braci szlachty z innych okolic znajdowały schronienie; nagromadziło się więc w niej wiele materyału podaniowego, które należało tylko zebrać i przenieść do pieśni lub

opowiadania. Zresztą sama ta ziemia, oddzielona wieńcem gór od innych pod względem sposobu życia i obyczajów, prawie do czasu zniesienia poddaństwa, nadzwyczaj małym, w porównaniu z epoką dawniejszą, uległa zmianom; bezpośrednie tedy wrażenia mogły ożywić i uplastycznić niewyraźne lub zatarte kształty podań.

Wszystkie zasłyszane w wieku pacholęcym opowiadania, które niezbyt zapewne zajmowały umysł, karmiony częścią świeżemi wrażeniami życia, częścią wielkimi utworami spółczesnej poezyi, powróciły do pamięci Kaczkowskiego w godzinach samotności więziennej i stały się przedmiotem długich rozmyślań. Teraz, kiedy go gwar życia nie dochodził, nauczył się cenić srebrne nici splątanego kłębka tradycyi, który rozmotać postanowił za pośrednictwem dokumentów piśmiennych. Myśl ta osiadłszy w głowie, nie dała mu już spokoju, dopóki po trzech latach studyów nie doszedł do całych stosów notatek, odnoszących się do epok najrozmaitszych. Kaczkowski, rozejrzawszy się w nich, ostatecznie osądził, że pomimo wyczerpnięcia niemal wszystkich dostępnych mu źródeł, nie potrafiłby przecież napisać historyi konfederacyi barskiej. Cóż więc było począć? Karol Sienkiewicz, jeden z historyków ówczesnych, radził mu obrabiać materyały krytycznie i drukiem ogłaszać. Jakkolwiek rada ta była trafną w zasadzie, Kaczkowski nie poszedł za nią, z powodu, jak powiada, obojętności ogółu względem suchych wydawnictw źródłowych. Postanowił więc „podmalować tło do historyi“ i ogłosić cały cykl opowiadań i obrazków z wieku XVIII.

Taka była geneza powieści historycznych Kaczkowskiego. Ogłaszając je, uległ on z jednej strony parciu młodzieńczej fantazyi swojej, a z drugiej ówczesnemu usposobieniu umysłowemu czytającego ogółu, który pragnął przedewszystkiem powieści i w niej widział najwyższy stopień doskonałości literatury. Kaczkowski był jakby naumyślnie stworzony na powieściopisarza tej chwili. Ukształcenie jego estetyczne i społeczne przeszło w skróceniu te fazy rozwoju, jakie się w całem społeczeństwie wyraźnie odbiły; a ostateczny jego rezultat zgadzał się wybornie w ogólnych swych rysach z duchem, ożywiającym większość inteligencyi. Nie było więc dysharmonii pomiędzy dążeniami autora a usposobieniem otoczenia, do którego przemawiał; nie potrzebował zjednywać

3*

sobie uwagi słuchaczów drogą powolnej pracy, lecz stanąwszy na właściwym gruncie, mógł być pewnym sympatyi. Zwrot do tradycyi i forma powieściowa — oto główna tajemnica sympatyi pomiędzy Kaczkowskim a ówczesną publicznością, sympatyi, wyjaśniającej nam nagłe jego powodzenie.

III.

Wykazawszy, o ile się dało, na jakiej drodze przyszedł Kaczkowski do zharmonizowania poglądów swoich z ogólnem usposobieniem owej chwili, w której wystąpił na obszerniejszą widownię literacką, wypada mi przypomnieć szczegółowe jego przekonania co do najważniejszych, bo zasadniczych kwestyj, mogących obchodzić człowieka i obywatela.

Nasamprzód tedy potrzeba pamiętać, że w powieściach Kaczkowskiego należy koniecznie rozróżniać sposób zapatrywania się Imci Pana Marcina Nieczui od sposobu zapatrywania się samego Kaczkowskiego. Jakkolwiek bowiem powieściopisarz otacza największą sympatyą pana skarbnikowicza, jakkolwiek nawet w niektórych razach zgadza się z nim najzupełniej; to przecież nie zniósłby bezwątpienia spokojnie, gdyby się sferę jego pojęć starano zlać w jedno ze sferą pojęć Imci Pana Nieczui. Kaczkowski używał tej interesującej figury jako doskonałego, a może jedynego środka artystycznego do przedstawiania wypadków XVIII. wieku z barwą im właściwą, nie startą przez refleksye umysłu, wychowanego i wykształconego wśród innych warunków, a mianowicie wśród cywilizacyi nowoczesnej. Z zastosowania tego artystycznego środka wyniknęły zalety i wady dzieł, o których później pomówię; tu mi idzie tylko o zaakcentowanie różnicy pomiędzy umysłowością Nieczui a Kaczkowskiego.

Imć Pan Marcin Nieczuja jest religiantem starej daty; dla niego obrządki kościelne, posty, biczowanie, odbywanie pieszych pielgrzymek do miejsc cudami słynących i tym podobne praktyki religijne stanowią grunt rzeczy i prawie zupełnie zastępują istotę uczucia religijnego i nauki dogmatycznej. Nad dogmatami nigdy się nie zastanawia, bo to rzecz teologa; uczucia religijnego nie rozbiera, bo to przechodzi zakres jego umysłowych zasobów; zwyczaje i ceremonie reli-

gijne spełnia sumiennie, bo do nich przywykł, ale ich doniosłości i właściwego znaczenia nie dochodzi, bo mu nikt drogi takiego dochodzenia nie wskazał, a sam ścieżek sobie torować nie potrafi. Krytyka Woltera i encyklopedystów, których nazwisko uszu jego doszło, nie mogła oczywiście wpłynąć na niego; lecz herezyj, rozsiewanych przez tych szatanów, lęka się, gdyż widział, że ci, co im posłuch dali, dziwnie obojętni byli na praktyki religijne. A jak był religijnym z przyzwyczajenia, tak też i uczciwie postępował naprzód z naśladownictwa, bo tak postępowali rodzice i wszyscy sąsiedzi, a potem z nawyknienia; pierwiastek rozumowy tak tu jak i tam nie gra roli najmniejszej.

Imć Pan Marcin Nieczuja to szlachcic ceniący swój klejnot herbowy na równi z uczciwością, nienawidzący dorobkiewiczów, pomiatający żydostwem i mieszczuchami, zaprzęgający chłopa do roboty bez najlżejszego skrupułu, bez przypuszczenia, że inaczej byćby mogło. Kiedy widzi zgraję spodlonej szlachty, przywożącej swoje żony i córki na dwór pijaka i rozpustnika, starosty bachtyńskiego, nie tyle ubolewa nad brakiem poczucia godności własnej, ile nad zhańbieniem szlachectwa. „Wolę — powiada — widzieć prostego chłopa pokalanego błotem jakiej nieprawości, aniżeli szlachcica, który mi jest równy i *z dniem urodzenia swego namaszczony* na to, aby w obronie cnoty i uczciwości stawał, a gminowi przykładem był". Wysokie to przekonanie o zacności stanu szlacheckiego ma swe dobre strony, o ile utrzymuje szlachcica na pewnej wyżynie moralnej; ale ma też i złe, gdyż naprzód czyni cnotę niejako monopolem szlachectwa, jakby jej gdzieindziej być nie mogło, a przynajmniej nie bywało, a powtóre zacieśnia pogląd na ustrój społeczny.

Imć Pan Marcin Nieczuja patrzy na sprawy rzeczypospolitej z wysokości dachu swego dworku, uważając tradycyę rodzinną za jedyną busolę w żegludze po morzu wydarzeń, za jedyną pochodnię rozświecającą kręte zaułki labiryntu, jakim był ówcześnie gmach państwa. Historya to rzecz dobra, ale nie dla szlachcica, który nie ma czasu na przerzucanie grubych foliałów i forsowanie sobie oczu nad rozpoznawaniem znaczenia szeregu czarnych znaczków; dla niego dosyć się wsłuchać w dźwięki głosu ludzkiego i bez trudu, przy lampeczce wina, dojść do takiego bogactwa pod względem rozumu

politycznego, że wszystkie biblioteki razem pomieścićby go nie zdołały. Trådycya, rozumie się, rodów pokrewnych co najwyżej, jest dla niego świętością, którą czcić jest mądrością, którą uwielbiać i podług niej kierować się należy.

Wszystkie te stosunki inaczej się trochę przedstawiały samemu Kaczkowskiemu. I on uznaje religię za ostateczny motor spraw życia prywatnego i publicznego. Kto się uwalnia z pod jej błogiego jarzma, ten traci grunt pod nogami, a cała jego działalność przyniesie zarówno dla niego jak i dla społeczeństwa bardzo gorzkie owoce. Ale ta religia nie zasadza się u Kaczkowskiego na zewnętrznych oznakach, szanowanych wprawdzie i zalecanych, ale nie poczytywanych za rzecz najważniejszą. Kaczkowski, jeżeli sam nie przeszedł, to był w każdym razie świadkiem religijnego sceptycyzmu, a świadomość zarzutów, robionych dogmatom, musiała go zwrócić do głębszego nad nimi zastanowienia się i wysunięcia kwestyj dogmatycznych na plan pierwszy. Nie stał się on wskutek tego tak zwanym ultramontaninem, lecz katolicyzm swój manifestował bardzo wyraźnie. „Pewną obojętność u pewnych ludzi dla pewnych *obrządków*“ uważał on nie za brak wiary w ich sercach, ale tylko za lekceważenie szczegółów, które w dzisiejszym rozumującym wieku bardzo dobrze może iść w parze z wielkiem i głębokiem poszanowaniem dla samej rzeczy. Lekceważenie takie poczytywał wprawdzie za złe, gdyż w artykułach wiary lub obrządkach kościelnych niemasz ani jednego szczegółu, któryby był niepotrzebnym; przyznawał przecież, że obojętność dla wiary zmniejszała się ciągle, co dawało nadzieję, iż cywilizacya oprze się z czasem i ufunduje na religii. Dziwiły go też wszelkie stronnictwa religijne w kraju, w którym cała ludność jest jednego wyznania. Pragnął on gorąco, ażeby ogół zajął się w jakikolwiekbądź sposób sprawami religijnemi; lecz też nie taił przed sobą niestosowności, wynikających z propagandy religijnej za pośrednictwem ludzi świeckich.

Najjaśniej te swoje poglądy wypowiedział Kaczkowski w obrazie wykształcenia starego szefa, Mikołaja Niemiry, w powieści „Wnuczęta“. W młodości swojej, powąchawszy trochę prochu, udał się Niemira na jeden ze sławniejszych uniwersytetów niemieckich. Było to pod koniec wieku XVIII. „*W Niemczech* — powiada Kaczkowski — panował natenczas

wielki ruch umysłowy. Kant zadziwiał świat myślący ścisłą anatomią ludzkiego rozumu, przelatywały jak błyskawice po Niemczech *genialne* Fichtego broszury, zwracał uwagę myślących ludzi na Słowiańszczyznę głęboko myślący Herder, upajał głowy nieznaną dotąd filozofią natury *cudnie* marzący Schelling. Poezya niemiecka otworzyła już natenczas przed oczyma prozaicznych Germanów całe niebo idealnego świata; czterdziestu mistrzów poezyi siedziało już z nastrojonemi lutniami w rękach na niemieckim Parnasie, a na ich tronie piorunowładny Goethe. Nie brakło i na twarzach, anielskim rozjaśnionych uśmiechem a łzy w oczach niosących, jak Richter, i na swawolnych dudach, rozbijających się po dzikiej fantazyi światach, jak Hoffmann, i na podzwaniających ustawicznej wesołości dzwonkami i silnym strzelających dowcipem Hipplach i Lichtenbergach. I tak cały ten dramat duchowy, wiążący spokojną dotąd ziemię w jednym czasie z niebem i piekłem, odwalający ręką wszechmocną głazy grobowe i odrzucający mgły zasłaniające przed śmiertelnemi oczyma przyszłość, tryskający coraz to nowymi promieniami fantazyi i odkrywający nieznane dotąd ducha wiekuistego źródliska, przedstawił się tam w całej swojej wspaniałości i blasku". Niemira z łatwością się poddał temu czarującemu wpływowi nauki niemieckiej: matematyka i geometrya, historya i filozofia, polityka i poezya stały się dla niego przedmiotami, które począł uprawiać, nietylko z niezmordowaną pilnością, ale nawet z łakomstwem. W ten sposób wzbogacił swój umysł, lecz równocześnie poniósł wielkie szkody, gdyż przez „zbyteczne przywiązanie" do filozofii niemieckiej i wskutek uwielbienia dla utworów Goethego, „które tak wysoko stawiają moc ludzkiego rozumu i tak jawnie preleguja pogaństwo", zachwiał się w wierze i został niedowiarkiem. „Jego rozum się burzył i buntował przeciwko odwiecznej mądrości boskiej, miotał się w niecierpliwości swojej przeciwko tajemnicom religii, wybuchał śmiechem szyderczym przeciwko jej obrządkom, a natrząsając się z rzeczy świętych, kłócił się ustawicznie z *sercem*, które, odrzucone i podeptane jak męczennik pierwszych wieków chrześcijaństwa z swych katakumb, rzewnym i przytłumionym głosem modliło się do Boga o pomoc w tem uciśnieniu". Wspomnienia wieku dziecinnego, wspomnienia cichych praktyk religijnych, jakkolwiek odnosiły chwilami zwycięstwo, nie

zdołały jednak przytłumić głosu rozumu, analizującego wszystko. Niemira, jak wszyscy Słowianie, nie mógł się zadowolić teoryą, nie mógł oddzielić przekonań rozumu i marzeń fantazyi od praktyki życiowej. „Niemcy — powiada Kaczkowski — daleko z większem zajęciem jeszcze myśleli nad myśleniem, marzyli o marzeniu; a trawiąc tak życie swoje nad dochodzeniem i zbadaniem procesu myślenia, byli tylko podobni do owej małpy, która umiejąc już sama zgotować ziemniaki w garnku, wlazła na kuchnię i włożyła jeszcze swój własny ogon do garnka, aby umieć nietylko gotować, ale i przez własne doświadczenie dowiedzieć się, jak się to właściwie gotuje". Niemira nie miał tej flegmy niemieckiej; u niego każda myśl musiała się zamienić w plan jakiś dający się urzeczywistnić; takich planów co tydzień było po kilka i niewiadomo, jakby skończył ten myśliciel, gdyby nie wojny Napoleońskie. Wśród bitew ustawicznych dokonało się jego nawrócenie. Zmienność losu, niepewność jutra, niebezpieczeństwo zagrażające każdej chwili teraźniejszości, zwróciły umysł Niemiry w stronę rozmyślań o losie pozagrobowym człowieka i nasuwały wspomnienia dawnych modlitewek i innych aktów pobożnych. Wypadek jeden wreszcie, który on sobie objawem szczególnej łaski boskiej tłómaczył, uwieńczył dzieło przeobrażenia. Niemira miał bateryą swoją rozpocząć szarżę; przeżegnał się więc krzyżem świętym, „a rozum ukorzył się przed temi słowami i jeszcze podparł sobą on święty i błogi spokój duszy, który po modlitwie nastąpił". Istotnie baterya Niemiry powstrzymała ostatni sukurs nieprzyjacielski i przeważyła los bitwy na szalę zwycięstwa: pan Mikołaj po bitwie rzucił się na kolana i ze łzami w oczach, a gorącą modlitwą na ustach powitał gwiazdę swojej młodości — wiarę. „Odtąd — dodaje autor — ustały w nim wszystkie wewnętrzne waśnie i niepokoje, i odtąd stał się z pana Mikołaja człowiek silny rozumem i charakterem, ale głęboko religijny". Religijność ta nie ograniczała się jedynie na wewnętrznem uznaniu rządów Opatrzności i zupełnem im poddaniu się: lecz występowała także zewnętrznie, bo chociaż Niemira nie był „za ustawicznem odmawianiem pacierzy" i wolał częste dobre uczynki niż częste modlitwy, uważał jednak, własnem doświadczeniem nauczony, iż lepiej jest wznosić się myślą ku Bogu, niż puszczać ją po ciemnych światach marzenia. We wszystkich też wątpliwo-

ściach sumienia pan szef, jakkolwiek miał rozum silny, zdrowy i na książkach ćwiczony, uciekał się zawsze do Pisma świętego, „a szukając tam czystego natchnienia serca i pomocy boskiej, zawsze ją znachodził".

Psycholog, rozważając historyę Niemiry, zakwestyonowałby bezwątpienia tę łatwość i nagłość, z jaką się w nim dokonał przewrót umysłowy, z pewnem niedowierzaniem oceniałby doniosłość skutecznej pomocy bateryi pana szefa pod względem jego nawrócenia, dziwiąc się prostocie i naiwności środka apostolskiego. Dla Kaczkowskiego wątpliwości tego rodzaju nie istniały, a przynajmniej występowały w zupełnie innej postaci. Widząc w religii podstawę wszystkich spraw ludzkich i narodowych tak w życiu prywatnem jak i publicznem: wierząc najmocniej we wszechwładną jej potęgę nad duszami nietylko wiernych, ale i niedowiarków, Kaczkowski uważał za rzecz całkiem naturalną przebieg wypadków, opisany w historyi pana szefa i wszystkich podobnych. Kiedy np. Hania (w „Dziwożonie"), dziewczyna prosta, niewymowna, niezbyt wysoko wykształcona, dla której wyrocznią jest katechizm i ksiądz proboszcz, rozmawia z Edmundem, człowiekiem, który zarówno teoretycznie jak i praktycznie przeszedł wszystkie niemal stopnie wykształcenia i doświadczenia; to Hania, zbrojna prawdami religijnemi, odnosi stanowcze zwycięstwo nad całą świecką uczonością, nad całym zasobem praktyki Edmunda. Dziwi to niejednego, jak Kaczkowski z całą świadomością mógł przypuszczać, ażeby ta domorosła katechetka zdołała wywrzeć jakikolwiek wpływ na takich ludzi jak Edmund lub Kamil. O ciasnotę pojęć trudno autora pomówić; o chęć łapania czytelników na wędkę naiwności, również; omyłkę taką można sobie jedynie wyjaśnić tem wysokiem przekonaniem, jakie Kaczkowski miał o wpływie wiary. Nie objawiając jej w sposób demonstracyjny, uczynił ją on podścieliskiem wszystkich swoich poglądów zarówno psychologicznych jak społecznych i politycznych. Kto jest przekonany o nieomylności jakiegoś środka leczniczego, ten nigdy się nie zawaha przypisać jego przymiotom skuteczności jak najcudowniejszej; jeżeli zaś ktokolwiek umrze po jego zażyciu, to wypadku takiego nie zapisze po stronie pasywów lekarstwa, lecz uważać go będzie za wynik nieumiejętnego obchodzenia się ze swoim zachwalonym środkiem.

Kaczkowski nie miał nic do potępienia w religijności polskiej wieków dawniejszych, a na przyszłość widział zbawienie przedewszystkiem w powrocie niedowiarków na łono kościoła, w ożywieniu wiary wśród mas zobojętniałych, choć w gruncie poczciwych i oddanych praktykom pobożnym. Cześć dla religii rozciągnął i na jej widomych przedstawicieli — na kapłanów. Księża, występujący w jego powieściach, są albo zupełnie wolni od słabostek ludzkich, celując wszystkiemi cnotami i darami Ducha Świętego, a więc i nadzwyczajną mądrością, albo też ulegając pewnym bardzo niewinnym zresztą ułomnościom, bywają otoczeni mistyczną aureolą, która ich nad zwykłych śmiertelników wysoko wynosi, nie pozwalając zbyt ściśle rozbierać ich słów, uczuć i postępków. Najlepszymi reprezentantami księży pierwszej kategoryi są: ksiądz Augustyn w „Dziwożonie" i ks. Gwardyan we „Wnuczętach"; do kategoryi drugiej zaliczyć wypada starego kapelana z „Braci ślubnych". Inne zwyczajne indywidua ludzkie, przybrane w księżą sukienkę, doznają bardzo oględnego i bardzo pobłażliwego traktamentu.

Ale ci kapłani nie występują na szerokiej widowni jako działacze społeczno-polityczni. Ich rola jest skromniejsza — zadanie insze. Nie na placach publicznych i nie na zgromadzeniach narodowych, lecz w kościele i w domach prywatnych spełniają oni swoje obowiązki. Nie marzą o przekształceniu z gruntu istniejących stosunków, nie rzucają się na przedsięwzięcia, przechodzące ich siły; lecz mądrem, pełnem namaszczenia słowem uspokajają rozgorączkowane rozumy i fantazye, a serca przepełnione goryczą starają się skłonić do zapomnienia obelg i potwarzy, do zwalczenia pychy, do umiłowania wszystkich braci. Ksiądz Augustyn jest pod tym względem typem prawdziwie klasycznym. Przetrwawszy burzę młodości, która przypadła na chwilę chaotycznych dążeń w celu podniesienia ludu, uspokoił się u stóp krzyża, lecz nie zamarł dla spraw świata. Roztropność jego nie jest tak zwanym chłopskim rozumem, który najważniejsze nawet rzeczy, najgłębsze uczucia, najzawilsze kwestye lubi wyrównywać strychulcem najpospolitszej prozy; rozsądek jego nie jest zimny a serce nie wyschło jak pergamin, lecz chociaż skrwawione, żywo pulsuje na wieść nieszczęścia lub radości. Jakże serdecznym jest jego stosunek do Kamila, zarówno w pierwszej

chwili rozbudzającej się energii, jak po wycierpieniu tysiąca strasznych utrapień, po rozbiciu wszystkich marzonych niegdyś planów! On mu wymówek nie robi, nie naigrawa się z jego upadku, nie liczy wszystkich jego błędów; ale słowami pełnemi ciepła i zacnych przekonań stara się go naprowadzić na drogę nowej a pomyślniejszej działalności.

Innym jest kapelan z „Braci ślubnych“, ten lekarz, cudotwórca i dobrodziej pospólstwa. Ma on słabość do ptactwa, które szczególną otacza troskliwością, trzymając ten drobiazg u siebie masami; znać w jego sercu była jakaś próżnia, domagająca się uzupełnienia; jestto rys buddyjskiej prawie miękkości uczucia, widzącej w każdem żyjącem stworzeniu coś wspólnego z istotą ludzką... Odznaczał się on dobrocią i rozsądkiem; ale starość nie dozwalała mu brać czynnego udziału w życiu. Odcień mistycyzmu, niegdyś może bardzo słaby, jakimś wypadkiem spowodowany, powiększał się z dniem każdym, tak, że starzec w końcu uczuł się powołanym do urzędu proroczego, oddalił się od ludzi, zbudował sobie chatkę w lesie, a opatrzywszy ją we wszystko, co mu się do pustelniczego życia wydawało potrzebnem, kupił sobie kilka koszul włosiennych, kazał sobie uszyć suknię długą pielgrzymską z wiszącym kołnierzem, szablę do boku przypasał, kosztur długi wziął w rękę, ptaszki zabrał ze sobą i, albo przyjmował w swej skromnej chałupie pospólstwo garnące się do niego, albo też wychodził z lasu, nawiedzając wsie i dwory szlacheckie to jako lekarz, to jako prorok jakiś i błogosławiony.

Oto co myślą i czują, co robią i do czego dążą księża Kaczkowskiego, jako przedstawiciele religii w społeczeństwie; zakres życia prywatnego wystarcza dla nich zupełnie. Jeżeli więc autor pragnął podniesienia religijności w kraju, nie czynił z tego programu politycznego, nie opierał się na znaczeniu religii dla narodowości i tem się różni od wielu dzisiejszych polityków; nie miał też na celu wywalczenia dla kościoła wpływu stanowczego na sprawy państwa przez utrwalenie władzy świeckiej hierarchii duchownej — i tym się różni od ultramontanów. Religię uważał za węzeł łączący społeczeństwo przedewszystkiem pod względem moralnym i umysłowym wobec demagogicznej i wolnomyślnej propagandy; a ponieważ wzgląd ten poczytywał za zasadniczy w rozwoju społecznym, stąd też uczynił go podstawą tego rozwoju, nie zasta-

nawiając się dokładniej nad tem, jak na niej da się zbudować gmach nauki, poezyi, przemysłu, ustroju społecznego i t. d.

Przeszłości naszej był Kaczkowski czcicielem, ale nie bałwochwalcą; szczycąc się z synowską dumą jej zaletami, nietylko z goryczą wspominał jej błędy, lecz je uwydatnić się starał dla przestrogi potomnych. Według niego idea samorządu narodowego wije się i wzrasta przez całe pasmo dziejów naszych. Miała ona swoją stronę ujemną, jak każda rzecz ludzka; albowiem zamiast przelać się w cały naród *od góry do dołu* i „udzielnością“ obdzielić wszystkich, zamiast utworzyć państwo zamieszkane przez samych obywateli udzielnych wobec prawa, wcieliła się w jednę tylko warstwę społeczną i utworzyła owo *fatalne wszechwładztwo szlacheckie,* które, mając kogo gnieść, a nie mając się kogo obawiać, musiało z czasem wyrodzić się w swawolę, wydało nareszcie *oligarchią.*

Tyle co do poglądu ogólnego na dzieje nasze. Co się tyczy wieku XVIII., który się stał na długo wyłącznym przedmiotem jego historycznych obrazów, to Kaczkowski obok uwielbienia dla cnót domowych szlachty, dla jej gotowości do ofiar na rzecz sprawy ogólnej, nie żałuje też wydatnych barw dla oddania jej niesłychanej ciemnoty. „Najdziwaczniejsze pojęcia — powiada — najgrubsza niewiadomość, najpotworniejsze przesądy i zabobony lęgły się po jej rodzinach i domach jako posiew zwyczajny; a jak w tym wieku aż do pierwszych lat panowania Stanisława Augusta obiegała w Polsce prawie tylko sama fałszywa moneta, tak oprócz zacnych, lecz nie bardzo siebie świadomych, uczuć obywatelskich obiegały prawie same fałszywe pojęcia i wyobrażenia“.

Jednym z licznych dowodów takiego stanu rzeczy jest fakt przezeń przytoczony, że wielu ze szlachty jeszcze na elekcyjnym dyplomie Stanisława Augusta i na manifestach konfederacyi barskiej podpisywało się znakiem krzyża świętego. Nie oszczędza też silnych razów zbyt licznym niegdyś rodzinom pieniaczów, wśród których możnowładcy zawsze znajdowali zręcznych sekretarzy, niezmordowanych totumfackich, „nieprzegadanych szczekaczy“. Z takich to rodzin wyszła, wedle Kaczkowskiego, owa „haniebna agitacya“ przeciwko ustawom sądowym kanclerza Andrzeja Zamojskiego, które zaręczały pewne prawa cywilne i sprawiedliwość ludowi wiejskiemu.

Bezwzględnym więc wielbicielem starych złotych czasów Kaczkowski nie był; wadliwość pierwotnej organizacyi państwa, rozprzężenie społeczne, przyćmienie światła i cnót publicznych widział dosyć jasno, może nie tak dokładnie jak my dzisiaj po tylolicznych poszukiwaniach i badaniach nad stanem wieku XVIII., ale zapewne o wiele lepiej i dokładniej niż wielu ówczesnych poetów, publicystów, a nawet historyków, którzy oślepieni kilkoma promieniami sławy wojennej a zbici z toru uczuciową apoteozą upadku Polski, uwielbiali to, co potępienia godnem było. Jego samego uderzał zapewne ten kontrast pojęć jego własnych z temi, które mógł wyczytać w dziełach i dziennikach; przynajmniej wnieść to można z jednego ustępu „Wnucząt", w którym autor zastanawia się nad przyczyną chwalby dawnych czasów, a zauważywszy, iż najwięcej szczegółów dziejowych znaleźć można w historyi rodzin, tak się wyraża: „Zebrawszy wszystko, co się do historyi jednej rodziny odnosi, można o członkach tej rodziny utworzyć sobie jak najdokładniejsze wyobrażenie, ale czy to wyobrażenie będzie prawdziwe, zachodzi wielka wątpliwość. Jeżeli bowiem zwracamy naszą uwagę na przeszłość jakiej rodziny, to była to pewnie rodzina można i znakomita, a *ile* takie rodziny mogły w Polsce i jak dbały o swoje znaczenie i sławę, to rzecz wiadoma. Pomiędzy temi źródłami tedy niezawodnie nie znachodzi się nic, coby dawało świadectwo jej stronom słabym, i jeżeli w testamencie nikt swych spadkobierców nie gani, jeżeli nowożeńcom nie wytyka nikt błędów, i w dedykacyi nie pisze wyrzutów; toż ksiądz, który miał pogrzebowe *kazanie*, był zapłacony przez familią, *dyaryusze* pisywał pański podwładny, a *relacyj wojennych* autorem nigdy nie bywał nieprzyjaciel. Dalej zaś idąc, trzeba powiedzieć, iż podczas kiedy wszystkie takie broszury, które mogły rzucać plamę na pojedyńcze familie, przez też familie były zawsze wyniszczone tak, że mało która nas doszła, toż i autorowie *herbarzów* oglądali się na możność rodziny i *kronikarze* nawet albo omijają całkowicie albo li z ostrożnością napomykają o tem, co odkrywało stronę ujemną rodzin możnych i znakomitych. Do nas tedy podochodziły tylko wiadomości o cnotach wielkich i zbrodniach wielkich, które nie mogły być ukrytemi; ale o słabościach ludzkich tamtych czasów, o ich grzechach małych wiemy zaledwie wogólności, a przy studyowaniu cha-

rakterów pojedyńczych ludzi, jeżeli nam jakiś akt sądowy albo list prywatny, albo zresztą zestawienie wydarzeń nie odkryje jakiejś strony ujemnej, nie możemy prawie dojrzeć niczego innego, prócz samych cnót wielkich, waleczności nieporównanych i olbrzymich poświęceń, — co wszystko jeszcze się staje o tyle wątpliwszem i na znaczne zmniejszenie zasługującem, ile że wiadoma rzecz jest, jak wszyscy starzy pisarze nasi byli rozmiłowani w sławie swego narodu, jakim zaszczytem było tę sławę w jakikolwiekbądź sposób powiększać i rozszerzać — i *jak duch panegiryczny* zawsze przeważał w literaturze". (*Dzieła,* VIII, 316 i 317).

Kaczkowski, wyliczając przyczyny przesadnego wyobrażenia o wielkości przodków, zapomniał o braku statystycznych danych nietylko z czasów dawniejszych, lecz nawet z XVIII. wieku, któreby najlepszy mogły nam dać obraz umysłowego i moralnego stanu społeczeństwa, a zapomniał dlatego, że kiedy dał do druku „Wnuczęta" (1855), statystyka nie była u nas jeszcze tak modną nauką jak jest teraz. W każdym jednak razie wykazał inne przyczyny bardzo jasno i zrozumiale i tem dowiódł, że się wcale nie łudził istnieniem tylko wielkich cnót i poświęceń w naszej przeszłości, że się nie dał obałamucić dymowi kadzideł, który za jego czasów wznosił się tak potężnym słupem, zasłaniając rzeczywistą postać ludzi i rzeczy w XVIII. mianowicie stuleciu. Uczuciowe poglądy na przeszłość rozumiał, ale nie został ich niewolnikiem; w ocenie dziejów wolał pójść za głosem rozumu, który rozwiewając iluzye, uczy zastanawiania się i wyciągania korzyści nawet z tego, co już minęło.

Przy tym obrachunku z przeszłością, z konieczności rzeczy nastręczała się kwestya *tradycyi,* naprzód jako źródła naszych wiadomości historycznych, a powtóre jako drogowskazu przyszłego pochodu dziejowego. Piękne i pouczające są słowa, któremi Kaczkowski określa znaczenie i ważność podań ustnych zarówno dla badań historycznych jak i dla życia; znać w nich głębokie wsłuchanie się i zrozumienie zarówno szczegółów jak i ducha ożywiającego opowiadania ludzi sędziwych, robiące na nim takie wrażenie, jakby widział przed sobą „jakiś dramat olbrzymi, w którym od głazów granicznych do puszcz niezbrodzonych, od pustych szlaków stepowych do miast rojących się ludem, od ludzi do potęg duchowych nie-

widzialnych dla oka, wszystko co żywe i martwe, tajemniczymi węzły w jednę całość złączone, przesuwa się nieskończonym korowodem przed nami i nas zabiera ze sobą". Uznaniu temu atoli dla tradycyi, dla tego żywego ducha dawnych wieków, towarzyszy również rozum krytyczny. Kaczkowski wiedział dobrze, że tradycya nie jest historyą i że w ustnem podaniu nie może się zawierać cała „nauka stanu". Twierdził więc, nauczony doświadczeniem poprzedników, że ktoby ustnym tradycyom więcej zawierzył niż książkom i źródłom piśmiennym, ten zamiast prawdziwych, poznałby bajeczne dzieje; a ktoby podług owych podań ustnych jedynie chciał wyznaczać kierunki myśli i pracy w przyszłości, tenby trafił na manowce prowadzące ku przepaści. Starzy ludzie, którzy tradycye przechowują, choć czasem posiadają wiele nauki, są bardzo mało krytyczni, a przywiązując bezwarunkowo wiarę do tego wszystkiego, co otrzymali z ust wiarogodnych wprawdzie, ale natchnionych umysłem niebadawczym, czasem w tejże skrzyni, wraz z wielkiemi i żywotnemi podaniami narodu z epok szczęśliwych i jędrnych, przechowują polityczne tradycye martwe, strupieszałe, bezużyteczne, z epok strupieszałych i martwych. W tej samej bałwochwalczej miłości pielęgnują podania społeczne, administracyjne, wojskowe, sądowe i inne, nie rozróżniając dość trafnie, co było złe, a co dobre, gdyż nawet wiedzieć nie chcą o tem, „że każdy naród, przenosząc byt swój z wieku do wieku, przenosi wprawdzie także swoje pojęcia i urządzenia, ale *na progu każdego wieku grzebie umarłe, a tylko żywe zabiera ze sobą*". To też w tradycyach wiele bywa sprzętów spaczonych, „wiele rupieci, które rdza zjadła".

Jakąż więc rolę odgrywać ma tradycya w nauce historyi? Wedle Kaczkowskiego, trzy mamy drogi, na których przychodzimy do odgadnięcia i zrozumienia ducha przeszłości: albo przeczuwa go geniusz swoją mocą cudowną, albo go zwolna odkrywa zdrowy rozsądek za pomocą mozolnej pracy i długiego wczytywania się w zródła współczesne, albo go przekazuje w spuściźnie ustne podanie. Lecz największy geniusz nie potrafi nic dojrzałego utworzyć bez wielkiej pracy, a nawet geniusz z nauką razem zawsze jeszcze chromać będzie w historyi, jeżeli nie chce albo nie może pokrzepić się przy źródle żywych tradycyj. Dopiero te trzy środki w połączeniu dają nam możność odtworzenia przeszłości w całej

prawdzie i „od Tacyta aż do Thiersa nie było jeszcze żadnego prawdziwie wielkiego dziejopisarza, któryby się był nie posługiwał tymi wszystkimi trzema środkami“.

Jeżeli wyrażenie „geniusz ze swoją mocą cudowną“, które odpowiadało zamiłowaniu do hiperbol w tem otoczeniu, w którem się wykształcił Kaczkowski, zamienimy na „wyobraźnią dopełniającą, do najwyższego stopnia rozwiniętą“; jeżeli nadto dodamy jeszcze „krytykę podań za pomocą źródeł piśmiennych“, omówioną przez autora w innem miejscu: to nie będziemy potrzebowali niczego więcej prostować w zdaniach powyższych, ażeby się znaleźć na stanowisku dzisiejszej historyografii, w jego najogólniejszym wyrazie. Zostawałaby jeszcze tylko zasada przyczynowości wypadków dziejowych, podług której stałe skutki wypływają ze stałych przyczyn; ale zasadę tę można bardzo naturalnie wnieść jako element składowy do owego zdrowego rozsądku, poddanego wpływom nowoczesnej nauki. Możeby Kaczkowski przeciw prawom rządzącym dziejami zaprotestował w imię Opatrzności; a możeby też uznał, że prawa takie nie są wcale sprzeczne z ideą Bóstwa, kierującego wszechludzkością, tak jak prawa uznane przez nauki przyrodnicze są nieraz pojmowane jako ustawy Wszechmocy.

Nie mogąc rozstrzygnąć tego dylematu na podstawie pism Kaczkowskiego, muszę się ograniczyć na jego zaznaczeniu i przejść do określenia poglądów naszego autora na zadania teraźniejszości.

Hasłem jego w tym względzie, zgodnie z poglądami historycznymi, było umiejętne łączenie przeszłości ze zdobyczami cywilizacyi nowożytnej. Ideały zatem wieków minionych nie miały nadal pozostać ideałami w całej swojej dawniejszej formie, lecz winny były uledz zmianie stosownie do potrzeb i wymagań czasów obecnych. Ludzi marzących tylko o przeszłości przyrównywał do owych kwiatów zamyślonych i smutnych, które rosną na grobach i kwitną tylko umarłym; jest w nich woń jakaś, jak gdyby zagrobowa, nadziemska, chwilami pełna najpiękniejszego uroku. Na dnie atoli przekonań takich ludzi widział poprostu martwy, drewniany i lodowaty sceptycyzm, który gdziekolwiek tylko się ruszy w teraźniejszości, prowadzi do takich samych zasad i czynów, jak „nagi i niczem nie upiększony realizm“. Powolny i spokojny

rozwój wszystkich zasobów materyalnych i duchowych, rozwój, oparty na przeszłości, nie śpieszący się w odrzucaniu dawnych rzeczy i form dlatego tylko, że dawne, ani w przyjmowaniu rzeczy i form nowych dlatego tylko, że nowe: to była rada najogólniejsza, jaką ziomkom swoim podawał, przedstawiając im jako wzór do naśladowania szefa Niemirę, owego sceptyka filozofującego, który się w końcu stał głęboko-religijnym. Człowiek ten, pozbywszy się niewiary, składał jeszcze hołdy politycznemu marzycielstwu, snując codzień plany nowych wielkich przedsięwzięć. Trwało to póty, póki wojny europejskie, przez Napoleona wzniecone, nie skończyły się powszechnym pokojem i związkiem monarchów. Wówczas pan szef zrozumiał, że jest daleko więcej małych a bliższych nas obowiązków, które pod groźbą następstw najgorszych wykonywać potrzeba pilnie i sumiennie; wówczas przekonał się, że napowietrzne latanie i „knowanie planów“ bez możności urzeczywistnienia ich, nie prowadzi do niczego i ledwo gołowąsym młodzieńcom przystoi. Skutkiem tego z całym zapałem rzucił się do gospodarstwa, wiele w niem robiąc ulepszeń, ale wiele także zachowując z dawnej metody, dowodząc o każdym zostawionym szczególe cyframi, że jest lepszy od nowego wynalazku. Ze sługami zachował dawniejszy stosunek; dwór zostawił nietknięty; ale wymurował stajnię nową wedle nowszego smaku, a oficynę nawet bardzo ozdobną, mówiąc, że dwór dawny dla niego wystarcza, a syn postąpi sobie wedle swojej potrzeby. Względność dla przyszłego pokolenia posuwał do tego stopnia, że kiedy w podeszłym wieku przedsiębrał coś nowego, zawsze pytał syna o radę i jemu oddawał prawo ostatecznej decyzyi.

Nie zaniedbywał codziennie ćwiczyć swych sił fizycznych, które tym sposobem w stanie czerstwości i młodzieńczej energii do późnych lat zachował, zapewniając zarazem umysłowi zupełną przytomność, a nawet pewną świeżość. Inteligencyi swojej dawał pokarm zdrowy, odczytując tych autorów, którzy niegdyś silne na nim zrobili wrażenie, nie gardząc atoli nowymi; a trzymając gazety, lubił zawsze wiedzieć, co się dzieje w krainach wiedzy. Świeże utwory historyczne sprowadzał zazwyczaj wszystkie i odczytywał z zajęciem; a kiedy widział się spowodowanym nie dowierzać zdaniu autora, uciekał się po staroświecku do starych kronik, które

z pewną czcią przechowywał w swojej bibliotece. Wątpliwości wszelkie, jak już wiemy, rozstrzygał za pomocą Pisma świętego. Pomimo to wysoko cenił rozum i brakowi „krytycyzmu" przypisywał powolność w rozszerzaniu się oświaty i uformowaniu się *jakiejś dzielnej opinii publicznej* w naszem społeczeństwie. Powstawał też ostro przeciw tym krzykaczom, którzy rozwodzili się nad przewagą zimnego wyrachowanego rozumu nad sercem, i twierdził, że serce, choć niewykształcone, a może nawet zepsute, króluje u nas, nie dając przyjść do głosu rozumowi. „Taka organizacya nasza — powiadał — daje nam zapewne niezaprzeczone świadectwo, że jesteśmy materyałem, z którego przy szczęśliwych okolicznościach cośby być mogło; ale tymczasem nic z nas nie jest; chodzimy po omacku i łamiemy częstokroć karki na takim kamyku, który nawet przy krótkim wzroku łatwo było ominąć".

Pan szef tedy siedział na ziemi, odziedziczonej po przodkach i starał się ją utrzymać w najlepszym stanie, przyjmując z wyników postępu te tylko, które uważał za dobre, a zachowując wiele doskonałych choć starych zwyczajów. O szerszych horyzontach politycznych w ówczesnych stosunkach społecznych nie mógł marzyć; całą więc usilność swoją włożył w to, ażeby nietylko nie uszczuplić, „lecz nadto powiększyć spuściznę naddziadów". Że to stanie na straży ziemi nie było skutkiem egoistycznych tylko popędów, mających na celu zapewnienie sobie tylko dobrobytu, lecz że miało znaczenie głębsze, narodowe, to nie ulega wątpliwości. Kaczkowski kładzie na ten fakt nacisk osobliwy, a myśl swoją rozwija bliżej, występując przez usta Tadeusza Niemiry przeciwko szlachcie trawiącej czas i mienie po wielkich miastach. „Kto ma ziemski majątek — powiada tu — ten nietylko go ma na to, ażeby zeń ciągnął dochody, ale żeby także wypełniał powiązane z nim obowiązki. A obowiązkami tymi są najprzód opieka nad kilkuset albo kilku tysiącami dusz ludzkich... dalej są to obowiązki względem naszego sąsiedztwa, obowiązki dobrego przykładu, wzajemnej pomocy, wzajemnej narady nad dobrem powiatu i zresztą wzajemnej rozrywki; a nakoniec są to obowiązki względem roli samej i was samych, którzy powinniście tej roli, która was żywi, pilnować własnem swem okiem, bo wy macie obowiązek w takim samym stanie oddać ją dzieciom waszym, w jakimeście ją odebrali po ojcach".

A tymczasem dzieje się inaczej. We wsiach duszą i drą chłopów ze skóry komisarze i ekonomowie, frymarczą na różne sposoby z żydami, okradają właścicieli i zostawiając klątw gromadę na ich sumieniu, zakupują majątki w ich sąsiedztwie i urągają im jeszcze. Właściciele zaś z połową możliwych dochodów siedzą w mieście, marnotrawiąc czas na lichej, jeżeli nie grzesznej rozrywce i bez żadnego poważnego zajęcia wystawiają żony na ciężkie próby, które, jak się to pokazuje z doświadczenia, zanadto są ciężkie na słabe ich charaktery; podają córkom sposobność patrzenia na zepsucie obyczajów, na bezwstyd i plugastwa, sposobność wyuczenia się zawczasu różnych wybiegów i intryg, które się im przydają potem, kiedy są już zamężne... Z takiego trybu życia wynika ruina majątkowa i nuda, każdą radość zabijająca.

Pilnować więc roli — to pierwszy obowiązek obywatela; drugim — jest posiadanie jakiegoś specyalnego wykształcenia. Kaczkowski wybornie podpatrzył i trafnie wskazał jedną z największych wad naszego narodowego wychowania t. j. niepohamowany jakiś pociąg do uniwersalności. Powstaje też przeciw niej z całą siłą rozumowania.

„My wszyscy — powiada — na nasze nieszczęście, jesteśmy szlachtą i chcemy wiedzieć wszystko; puszczamy się więc już zaraz z młodu kilkunastoma drogami odrazu i nie doszedłszy nigdzie, wracamy nazad, a powróciwszy, powiadamy z miną filozofów: mądrość światowa jest głupstwem. Taka metoda wychowywania i kształcenia się nie prowadzi nas oczywiście do czego innego, jak tylko, że po skończeniu całkowitej edukacyi właściwie nic nie umiemy, przez resztę życia już niczego się nie uczymy, nie zostajemy specyalnie niczem, a wśród tego uczuwamy coraz większą czczość w sercu, coraz większy chaos w umyśle, coraz mniejszą świadomość siebie w naszem sumieniu i nakoniec przestajemy być nawet samymi sobą... Gdyby każden z nas prócz szlachectwa obrał sobie jakąś profesyę, to aniby się nam świat wydawał tak zupełnie znikomym, ani życie taką nędzotą, ani mądrość ludzka tak głupią, anibyśmy znali owe czczości i nudności serca, ani owe gorączki umysłu, które sprowadzają nam choroby moralne, albo rodzą w nas żądzę zmieniania światowego porządku, i stawania się fałszywymi prorokami albo nieproszonymi zbawicielami ludzkości... Gdybyśmy ciągle i pracowicie

coś produkowali ze siebie, nabralibyśmy znaczenia w sobie i poza sobą, wyrobilibyśmy sobie cywilizacyę swojską, rodzimą i nią bylibyśmy więcej warci na świecie, niżeli tem, że jesteśmy encyklopedycznymi zbiorami wszystkich cywilizacyj europejskich. A moglibyśmy to zrobić, gdybyśmy tylko chcieli, bo na zdolnościach wcale nam nie brakuje. Ale brak chęci, wstręt do jednostajnej i wytrwałej pracy i początkowe wychowanie nasze stoi nam na przeszkodzie". *(Dzieła,* VIII, 110 i 111).

A więc, kiedy społeczeństwo straciło dawne wielkie znaczenie; kiedy na wielkiem polu polityki nic zdziałać nie może; kiedy musi żyć w sferze zacieśnionej pod wszystkimi względami: nie powinno upadać na duchu, rozpaczać, wegetować lub marzyć lekkomyślnie; lecz przeciwnie, należy mu umieć uzupełnić dni swego życia cichą, drobną, ale użyteczną pracą. Nie ranga jenerała, ale służba prostego szeregowca winna być jego ambicyą. Idea pracy organicznej, wewnętrznej, wypowiedziana była tym sposobem przez Kaczkowskiego dosyć wyraźnie i dobitnie, zarówno we „Wnuczętach", jak w „Dziwożonie" i „Rozbitku". W zakresie trudów, materyalnego bytu dotyczących, rozwinął szerzej myśli o jednej tylko dziedzinie pracy organicznej — o rolnictwie; o przemyśle, rękodzielnictwie i handlu nie rozpowiadał wcale.

Nie chcemy z tego powodu oskarżać autora o ciasnotę pojęć, a przycinki, wypowiadane przez niektóre dodatnie skądinąd osoby jego powieści przeciw mieszczanom wogóle, a dorobkowiczom w szczególności, wolimy tym osobom tylko przypisać, a nie samemu Kaczkowskiemu. Mając na oku głównie szlachtę i wieś, znając jedną i drugą wybornie, nie zapuszczał się w społeczne badania natury ogólnej i wolał ograniczyć sferę swego obrazowania, niż obrabiać to, z czem stykał się rzadziej. Programu społecznego nie pisał, tylko powieści, nie mógł więc oczywiście wypełnić ram jego z całą dokładnością. Czuł jednakże potrzebę nieodzowną wciągnięcia w zakres twórczości artystycznej mieszkańców miast i miasteczek, i potrzebę tę wypowiedział w r. 1862, t. j. po zamkniętym na razie zawodzie powieściopisarskim, dobitnemi słowy: „Szlachta się kąpie w powieściach o swoich dawnych cnotach i obyczajach; nie masz już prawie ani tak wielkiej, ani tak małej sprężyny w jej dziejach, którejby nie poruszono; azaliż choć co-

kolwiek zrobiono ku temu samemu celowi dla mieszczan i rzemieślników? A przecież i to jest *pars magna* naszego ogółu, i ona nie potrzebuje się wzorami cnót zapożyczać u innych, i ona ma pełną skarbnicę swojej przeszłości, z której wiele da się wydobyć". Autor miał w tym ustępie na uwadze głównie historyę, to prawda; ale to samo dowodzi właśnie, że nie lekceważył sobie pierwiastka mieszczańskiego i traktował go na seryo. Kaczkowski nie wyszedł pod tym względem poza ogólniki; nie oznaczył ani stosunku mieszczaństwa do szlachty, ani jego obowiązków w czasach dzisiejszych, ani ważności różnych działów przemysłu i handlu; w każdym jednak razie idea pracy drobnej a wytrwałej i do tej nieobrobionej klasy mieszkańców zastosować się daje.

Już z tego planu działania w teraźniejszości łatwo wnieść można, że Kaczkowski był stanowczym nieprzyjacielem radykalizmu. Chłodny i rozważny we wszystkich innych kwestyach, wybuchał gniewem niepohamowanym przez usta dodatnich swoich figur, ilekroć przyszło mu mówić o działaniu propagandy demokratycznej w kraju naszym. Nie było ani jednego słowa oburzenia, któremby nie napiętnował postępowania demokratów czy demagogów; nie było gromu, któregoby na nie nie rzucił. Przyznał wprawdzie raz, że pomiędzy zwolennikami teoryi demokratycznej znajdowały się znakomite zdolności, nieprzełamane cnoty, wielka otwartość serca, nieustraszona odwaga cywilna, ale uczynił to, jakby przymuszony, i zastrzegł natychmiast, że wszyscy „dla miłości świętej teoryi umieli sobie wszystkie niedostatki, częstokroć występki, a czasem nawet zbrodnie przebaczać". Zresztą zarzucał tej doktrynie bezbożność, zerwanie z dziesięciowiekową historyą narodu i potoki krwi niewinnie przelanej.

Doktryny arystokratycznej, wyzyskującej zasługi wiekowe na rzecz znaczenia przewodniego w czasach obecnych, nie uznawał również, ale był dla niej z większem uszanowaniem, z większą pobłażliwością. Ponieważ opierała się na przeszłości, ciągnąc z niej soki pożywne, ponieważ nie splamiła się krwią ludzką i wiele tylko papieru zmarnowała, ponieważ odznaczała się łagodnością i elegancyą form, przebaczał jej błędy, jej „martwe przesądy" daleko łatwiej, daleko chętniej aniżeli szorstkim, rubasznym, grubijańskim i nieubłaganym demokratom. Zasługi historyczne miały dla niego urok wielki,

który mu zasłaniał oczy na takie fakta jak: dobrowolne zejście z pola, brak inicyatywy, zcudzoziemczenie, po części nawet serwilizm, fakta świadczące przeciwko arystokracyi w tych czasach, kiedy się rozgrywał dramat powieściowy Kaczkowskiego. Autor nie widział ich lub nie chciał widzieć; pojedyńczy objaw pożytecznej działalności brał za charakterystykę całej klasy i tym sposobem zbyt surowy dla biedaków pracujących o chłodzie i głodzie gdzieś na poddaszach, był zbyt pobłażliwym dla tych, co w złoconych pałacach, w paryskich hotelach, w rzymskich willach lub na pokojach królów i książąt gnuśne pędzili życie.

Można nie zgadzać się na idee głoszone przez demokracyę, można nawet potępiać środki, których się chwytała dla przeprowadzenia swych planów; ale niepodobna zaprzeczyć, że jej wyznawcy własną krew za myśli swoje przelewali, że wierzyli przynajmniej szczerze w to, co głosili. Że pomiędzy nimi byli kuglarze szafujący cudzem życiem na rzecz własną, nikt nie zaprzecza; ale historya, wskazując postaci szlachetne, nie pozwala na traktowanie ogółu jako szajki nikczemników.

Zresztą, ażeby słusznie ocenić zapatrywanie się Kaczkowskiego na tę kwestyę, potrzeba sobie przypomnieć, że wyrażenia: arystokracya i demokracya przedstawiają pojęcia bardzo elastyczne, dające się rozciągać i ściągać stosownie do chwilowej potrzeby, mianowicie u nas, w czasach dzisiejszych. Przez arystokracyę rozumieć można wszystkie szlachetne i wielkie pierwiastki ustroju społecznego, z którymi inne powoli asymilować się powinny; ale też można rozumieć pretensye bez siły, zarozumiałość bez zdolności, przestarzałe przywileje bez obowiązków, naczelnictwo bez podwładnych. Podobnież i w demokracyi można upatrzyć zarówno ideę równości wobec prawa, dążenie do braterstwa nietylko w niebie, ale i na ziemi, pragnienie samodzielności dla wszystkich; jak niemniej chęć zrównania całej ludzkości strychulcem zwierzęcych popędów, chęć obniżenia wysokich ideałów społecznych na rzecz mało rozwiniętych indywiduów, chęć zdeptania cywilizacyi przeszłości dla zaprowadzenia urządzeń tchnących dzikością i t. d.

Stąd też z biegiem czasu, kiedy bolesne wspomnienia wieku młodzieńczego zacierały się, Kaczkowski łagodniał

w swych napadach na demokracyę, a raczej demagogię, a za to goręcej powstawał przeciw tym arystokratom, wierzącym w krew, którzy „znając dążenia postępowe, nie mogą się z niemi pogodzić, nie mogą działać pożytecznie“. W „Rozbitku“ nazywa zasadę arystokracyi i demokracyi po prostu „ciasną“; a za wzór, z któregoby Polacy mogli odnieść wiele korzyści, podaje Anglię. Do końca jednak swego powieściopisarskiego zawodu pozostał zaciętym nieprzyjacielem rewolucyi, zalecając powściągliwość i pracę powolną. Słusznie utrzymywał, że na wybuch jakiś gwałtowny, na poświęcenie się dorazowe, na wojnę choćby śmiertelną, stać nas było każdego czasu; ale obaczyć przed sobą cel jakiś daleki, dążyć do niego wytrwałą pracą całych pokoleń, poświęcać się jednemu celowi codzień przez całe życie, nigdyśmy nie umieli. („Rozbitek“, III, 8).

Najdobitniejszym wyrazem tych przekonań jest „kronika rodzinna“ p. n. „Żydowscy“ (r. 1860), która wywołała gwałtowną opozycyę ze strony radykałów, pragnących jakiegokolwiek ruchu, choćby ten ruch miał nas zabić, zarażających nas „pijaństwem serca i szaleństwem sumienia“ (II, 258).

I tu wszelako Kaczkowski nie jest bynajmniej przeciwnikiem zmian i reform, tylko pragnie je dokonywać z rozwagą i umiarkowaniem. „Ruch — powiada — rzecz pożądana! główny to warunek postępu i życia. Ale ruch ruchowi nierówny. A kiedy się kędyś zrobi ruch nadzwyczajny, każdy człowiek roztropny pyta dzisiaj przedewszystkiem, z jakich ten ruch wypływa źródeł, jakimi jest obudzony środkami i do jakich zmierza celów. Kiedyśmy ufni w żywotność naszych dziejowych tradycyj i w jedność natchnień narodu, wierzyli ślepo, że każdy ruch u nas może tylko z jednego wypływać źródła i do jednego zmierzać celu; nigdyśmy o to nie pytali i szliśmy za każdym ruchem, choćby na śmierć lub męczeństwo; ale odkądeśmy się przekonali po dwakroć, iż już i u nas zdarzają się ruchy, z rozmaitych wypływające źródeł, rozmaitymi obudzane środkami i do rozmaitych służące celów; odtąd się zawsze i bardzo pilnie o to pytać powinniśmy — i będziemy...“ (II, 243, 244).

Ideałem jego był wtedy Dobiesław Żydowski, człowiek wszechstronnie wykształcony, idealista w głębi duszy, ale realista w obieraniu środków prowadzących do celu, który prze-

frymarczoną przez brata wieś dziedziczną odkupił, porządnie zagospodarował, sąsiadom pomagał i do zajęcia się sprawami publicznemi ich przygotowywał. W zasadach był on najczystszym demokratą i co do różnic pomiędzy ludzmi „trzymał się ściśle tego, czego uczy nas anatomia: jeden człowiek jest jako drugi". Wolności i swobód pragnął jak najobszerniejszych, uwielbiał republikę; a nim się ta forma ustali, był za nieustającą opozycyą przeciw wszystkiemu, co temu stoi na drodze. Ale w zastosowaniu tych zasad robił ustępstwa i wielkie. I tak np. wedle jego teoryi należałoby pielęgnowanie ducha i spraw narodowych wyrwać z rąk ludzi tych, którzy się tem zajmowali dotychczas, a którzy mają zamało ognia i zapału dla pojęć nowszych, i należałoby ich całkiem odsunąć na stronę i zastąpić innymi — a tu tymczasem właśnie tych ludzi odsuwać nie można, bo oni są jeszcze zawsze głównem narodowego ducha objęciem, jego wyrazem i siłą, a niemasz, ktoby ich godnie zastąpił. Wedle jego teoryi należałoby wszystkie dotychczasowe powagi obalić, zmiąć i pogrzebać, bo się zużyły, ociężały, odpoczywają w spokoju i martwy spokój rozszerzają około siebie — a tu tymczasem właśnie tych powag obalić nie można, choćby tylko dlatego, iż „są skarbnicami naszych duchowych prac i zasobów, ściągają przez siebie ku nam poszanowanie u obcych i są naszą chwałą, naszym zaszczytem, naszą reprezentacyą nazewnątrz..." (II, 198, 199). I to umiarkowanie właśnie różni go od zapalonych demagogów, których tu uosobił Kaczkowski w Walentym Wichrze, człowieku obdarzonym „sercem wulkanicznem", „ognistą fantazyą", a więc też „dziwnie niespokojnym umysłem", co pędził na rumaku swych mrzonek, nie chcąc go wcale okiełznać.

Z tym poglądem na kierunek spraw politycznych łączy się ściśle ocena naszej poezyi „romantycznej" i — tak zwanej romantycznej. Kaczkowski nie rozróżniał faz literackich w latach od 1820—1850, lecz cały rozwój poetyczny tej chwili dziejowej za coś jednostajnego i jednorodnego uważał. To też grom, jaki rzucił na romantyzm, w części tylko da się usprawiedliwić, t. j. o tyle, o ile padł na utwory istotnie wybujałe, nierachujące się z rzeczywistością, marzycielskie i egzaltowane. Jako nieprzyjaciel egzaltacyi, nadmiernego wrzenia uczucia i zbyt lotnego bujania fantazyi, dążenia do przewrotów wszelkiego rodzaju, przyznawał wprawdzie, że nowa poe-

zya nasza „rozbudziła śpiącą duszę narodu"; ale dodawał zaraz, że „kto kielich nią napełniony wychylił do dna, dostał zawrotu głowy, który się z czasem zamienił w *szaleństwo*", utrzymywał, że lekarstwo było dobre, ale oskarżał lekarzy o to, że zapomnieli podać przepisu, jak go należało używać.

Porównanie to niewłaściwe, a oskarżenie niesłuszne. Poezya nie jest i być nie może programem politycznym, obrachowanym na pewną tylko chwilę; niepodobna więc szukać w niej lekarstwa na choroby społeczne. Powtóre, poeci nie są pedagogami, żeby wydzielali porcye nauki i porcye poezyi dla swoich wychowanków. Jak uczeni podają wyniki swoich badań bez względu na to, czy kto się nie stanie bezbożnym wskutek przejęcia się ich zasadami; jak inżynierowie budują koleje bez względu na to, że ktoś może się rzucić na szyny i życie stracić: tak i poeci wyśpiewują swoje ideały bez obawy, żeby im ktoś miał wyrzucać szaleństwo tego, kto w ich utworach znalazł truciznę. Od społeczeństwa zależy przyjęcie lub nieprzyjęcie ideałów poety; od społeczeństwa zależy pochwała ich lub nagana; społeczeństwo też samo winić wypada, jeżeli niekorzystny wybór zrobiło. Poezya, a wogóle literatura, jest pewnego rodzaju pedagogią, ale pedagogią dla dojrzałych, jest działaniem samodzielnych osobistości na inne mniej lub więcej samodzielne osobistości; winić więc jednę stronę o zły wpływ, a rozgrzeszać drugą ze złych postępków nie jest bynajmniej rzeczą sprawiedliwą. Wiem ja, że w przyczynowym łańcuchu wypadków poezya jest jednym z potężnych ogniw; ale nie należy zapominać, że nie stanowi całego łańcucha. Kto o tem zapomina, ten dopuszcza się niesprawiedliwości, tak jak Kaczkowski w ustępie powyższym i jeszcze w następnym: „Romantyczna poezya wyrządziła wiele złego naszej wielkiej rodzinie. Rozpasanie się jej z wszelkich form stałych, do której ją doprowadzili niezdarni uczniowie, sprowadziło za sobą takież samo rozpasanie się zdań i umysłów. Gdybyśmy byli poszli tą drogą dalej, bylibyśmy przyszli ostatecznie do tego, że społeczeństwo nasze byłoby się zamieniło w *wielki dom obłąkanych*... Życie nasze upłynęło w poetycznem pijaństwie, a ślady naszego pochodu krwią się oznaczyły niewinną". A przecież „rozpasanie się zdań i umysłów" zawdzięczamy nietyle rozluźnieniu form poetycznych, ile brakowi gruntownej nauki i anormalnemu stanowi politycznemu; a brak grunto-

wnej nauki był skutkiem braku uniwersytetów albo ich ślimaczego żywota; co zaś do anormalności stosunków, o tem niema co i wspominać.

A jak był Kaczkowski niesprawiedliwym dla romantyzmu wogóle, tak też bardzo jednostronnie ocenił i dwu wielkich poetów: Mickiewicza i Słowackiego. Mickiewicza nazwał przez usta ks. Augustyna „poetą, który wiele pieśni zwodniczych naśpiewał“, przyznając mu, że dał oddech, czucie i życie całej młodzieży, marzącej o przekształceniu świata; a ustęp z Ody do młodości, w którym się te trzy wiersze zawierają:

I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu —

piętnuje cechą fałszu, choć każdy widzi, że bez usposobień i uczuć oddanych w tych wierszach, nie można marzyć o postępie, który się natężeniem wszystkich sił zdobywa. Słowackiego poprostu nazywa poetą-szaleńcem, dyszącym krwawymi wybuchami ostatecznej rozpaczy.

Są naturalnie pewne niezgodności pomiędzy pojęciami o poezyi dwu dodatnich osób „Dziwożony“, gdzie pogląd na romantyzm się mieści; ale niezgodności te dowodzą jedynie, że Kaczkowski nie był jeszcze wówczas przyszedł do jakiegoś stanowczego zdania w tej ważnej kwestyi. Tu podałem pogląd na romantyzm zamieszczony przy końcu powieści, ponieważ tam wypowiedziany został nie w sprzeczce z kimś drugim, ale jako prawda zdobyta długiem a nawet krwawem doświadczeniem.

Winienem jednakże dodać, że w latach późniejszych Kaczkowski znacznie zmodyfikował potępiający sąd swój o tym przedmiocie, a wymownym wyrazem zmienionych poglądów jest „Słowo o romantyzmie“ (ogłoszone we Lwowie 1891, str. 81). Przedstawiwszy tu źródła, z których nurt romantyczny wypłynął, zarówno na Zachodzie jak i u nas, określił go jako „prąd ducha, mający na celu wyswobodzenie naturalnego ludzkiego uczucia z narzuconych mu form i formułek, przyprowadzenie go do samowiedzy i oddanie mu najwyższej władzy w poezyi, literaturze i sztuce“ (str. 65). Zgodnie z takiem określeniem, wykazał też dziejowe znaczenie naszego romantyzmu, powiadając: „Zasługi, które on, pomimo wielu zboczeń i grze-

chów, położył około naszej kultury, są ogromne i niepoliczone. W tej królewskiej spuściźnie, którą nam po sobie zostawił, są myśli sięgające swoją wzniosłością na najszczytniejsze wyżyny ludzkiego ducha, są uczucia anielskiej czystości i woni, są głosy wykradzione nadziemskim światom, do których my śmiertelnicy przystępu nie mamy, są dźwięki podsłuchane w sferach odwiecznej harmonii wszechświata, której my mamy tylko przeczucie, są wreszcie formy prawdziwie piękne i jest ich tak wielkie bogactwo, że będą przechodzić z pokoleń na pokolenia, a nigdy się nie zużyją. Prócz tego romantyzm nauczył nas pisać, wzbogacił, ukształcił i uwspanialił nasz język do wysokości przed nim nieznanej, podniósł nasz umysł na poziom najukształceńszych narodów, a nadto wszystko, jeżeli nie wskrzesił, to utrzymał w nas tę treść duchową naszego wiekowego żywota, która bez niego byłaby pewnie zmarniała, a może i całkiem zamarła. Nawet jego przewodnia narodowa idea nie może i nie powinna być potępioną bezwzględnie, bo jeżeli usiłowania wprowadzenia jej w życie przyniosły nam ciężkie i krwawe rozczarowania, to nie dlatego, żeby ta idea nie miała racyi bytu, tylko dlatego, że tym usiłowaniom nie towarzyszyły cierpliwość, rozwaga i umiejętność wybrania stosownej chwili, czemu z pewnością nie winna sama idea...“ (str. 70). Na takie zdanie o romantyzmie naszym zapalony nawet wielbiciel tegoż przystać może bez wyrzutu sumienia; lecz pamiętać potrzeba, że zdanie to wygłosił Kaczkowski dopiero w wieku sędziwym, kiedy już walczyć przeciw skutkom wybujałości romantycznej nie potrzebował.

Potępiając przesadę w pojęciach, nie cierpiąc ani apoteozy zbrodni, ani apoteozy jakiejś jednostronnej lub względnej cnoty; słowem strzegąc się ostateczności, Kaczkowski chciał przedstawiać ludzi w całej ich prawdzie i naturalności. Nie wabiło go jednak sentymentalne napawanie się łagodnemi uciechami, chociaż uznawał, że one więcej zadawalają wyobraźnię. Pójść pod strzechy prawdziwych ludzi i powtórzyć w duszy rozmowę serc młodych, zespolonych miłością; rozdawać ślubne obrączki stęsknionym za sobą kochankom; zasiąść z gołąbkowatym staruszkiem pod lipą w dziedzińcu, pociągnąć z nim lipca starego, który księcia Józefa pamięta, pogawędzić z nim o mroźnej Berezynie i gorącej Hiszpanii; zmówić cichy paciorek za dusze zmarłe, kiedy na Anioł Pań-

ski zadzwonią w niedalekim kościołku; pobłogosławić z nim syna wyjeżdżającego po milionową sukcesyę; pójść za nim poważnego poloneza na wnuczki weselu; ucałować rączki ukochanej babuni, której obraz już znika ze ziemi, potrzymać z nią do chrztu dorodnego prawnuczka, przysłuchać się jej rozmowie z wąsatym panem rotmistrzem i sędziwym plebanem: rzucić wzrok nieokiełznany na szerokie niwy podolskie, na łany złotą falujące pszenicą, na łąki kwietne i gaje zielone, dworki jak śnieg bielutkie, chatki wiejskie otoczone sadami; napoić piersi świeżem powietrzem górskiem; spieczone usta ochłodzić wichrem pędzącym od Ukrainy; podsłuchać dumek lecących gdzieś od góry powietrzem (*Dzieła*, VII, 294) — to są bezwątpienia rzeczy bardzo piękne, bardzo miłe, bardzo powabne dla fantazyi, ale wyłączne ich malowanie, jak to było zwyczajem w naszej powieściowej literaturze, nie odpowiadało, wedle Kaczkowskiego, zadaniu pisarza w dobie ówczesnej. Dlaczego? — „Bo nie ten jest dobry gospodarz pomiędzy nami, który z okna swego pałacu patrzy tylko w piękne klomby swojego ogrodu, który nagradza sługi przynoszące mu *dobre nowiny,* a bije w gębę tych, którzy go ostrzegają, że chwast obsiada pszenicę albo zaraza wkradła się do obory; ale ten, który sam we wszystkie kąty swego gospodarstwa zagląda, wszystkie role obchodzi, nie ominie żadnej stajenki, a chwasty w pszenicy i choroby pomiędzy dobytkiem własnemi obejrzy oczyma i czemprędzej o skuteczne postara się środki. Bo nie nam to dziś piękne klomby roztaczać sobie przed okna, *nie nam pochlebne pokazywać sobie zwierciadła,* abyśmy się w nich przeglądali z rozkoszą i cieszyli się twarzy nienaszych widokiem; nie nam to *kadzić sobie nawzajem* za te okruszyny cnót, które się jeszcze jako tako u nas uchowują; nie nam się wznosić w owe napowietrzne krainy eterycznego marzenia, w których rajskiej rozrywki szukają szczęśliwe, zepsute lub strupieszałe narody. Przetrzeć nam trzeba dobrze oczy nasze zamglone; *zajrzeć w rzeczywistą głąb' naszą,* przypatrzyć się zblizka tym wszystkim zgniliznom i rakom, które toczą naszego ducha, przedstawić żywcem wszystkie nasze błędy, występki, szaleństwa; a wykazawszy jasno nieominione ich skutki, uderzyć silnie, jak gdyby zabójczym toporem w samo źródło choroby... ten jest nasz obowiązek i ten

spełniać sumiennie powinien każdy, któremu Pan Bóg dał siły potemu!“

Wysokie więc i bardzo ważne stawiał sobie Kaczkowski zadanie, chcąc oderwać powieść od rozpatrywania drobnostek życia codziennego, a wznieść ją ku sferze wielkich zagadnień społecznego rozwoju; chcąc z dziedziny sielanki przejść do potężnego gmachu epopei; chcąc raz już skończyć z rutyną zadyszanych pochwał i nieśmiałej nagany, ale smagać biczem Eumenidy wszystkie zdrożności, krajać nożem anatomicznym wszystkie chorobliwe narośle. Wybrał sobie powieściopisarz stanowisko publicysty raczej, dopatrującego się potrzeb społecznych i dającego na nie lekarstwo, niż artysty, lubującego się we wszystkich objawach natury i życia ludzkiego, byleby w tych objawach była jakaś strona piękna, którąby mógł pochwycić i przedstawić. Stanowisko takie nie jest oczywiście jedynie dobre, ale w pewnych położeniach społecznych zasługuje na wysokie uznanie, a autor, który je zajął — na prawdziwą wdzięczność.

* * *

Gdyby mi przyszło w krótkiem wyrażeniu skupić charakterystykę poglądów społeczno-politycznych Kaczkowskiego, miałbym jedno tylko do rozporządzenia, a mianowicie: konserwatyzm umiarkowany. Trzyma się on przeszłości, ale nie gardzi i nie poniewiera nabytkami czasów nowszych, każąc przyswajać sobie to, co w nich jest dobrego; zachowuje zatem przeważnie bierne stanowisko. Na tem stanowisku można nic nie stracić, ale niepodobna przysporzyć bogactw do ogólnej skarbnicy cywilizacyjnej. Kaczkowski twierdzi wprawdzie, że stać nas na wyprodukowanie własnej kultury, nie podaje jednak środków takiej produkcyi, ponieważ nie rozwija przed nami swego zapatrywania się na te organa społecznego ustroju, które służą do przeprowadzenia postępu. Wskazał on z naciskiem pracę organiczną w małem kółku, radził się pozbyć butnej myśli, żeśmy się wszyscy wielkimi ludźmi porodzili: lecz to są tylko środki ochronne, zabezpieczające od strat. O przemyśle i o nauce — o tych dwu czynnikach głównych postępowego *zwiększania* sił materyalnych i duchowych, głucho u niego. Doradza wprawdzie specyalne wykształcenie; alež

i ten środek podniesienia umysłowości, jakkolwiek niezmiernie ważny i dziś jak i dawniej niezbędny, służy również tylko do przyswojenia biernego nabytków cudzych, nie zaś do spotęgowania sił własnych. Poddając naukę pod kontrolę teologii osłabia jej energię i czyni ją niezdolną do kroków samodzielnych; milcząc o przemyśle lub kramarstwem go nazywając nie wzmacnia podwalin, na których dzisiejsza kultura si wznosi.

Takie są braki teoretycznego poglądu Kaczkowskiego braki ważne, ale nie umniejszające wielkiej zasługi zalecani pracy cichej, drobnej i wykształcenia specyalnego. Zasługa t pozostanie przy nim jako przy pisarzu i obywatelu; podnosimy ją też i akcentujemy.

Lecz Kaczkowski był przedewszystkiem powieściopisarzem, t. j. artystą wcielającym swe pomysły w pewne kształt sztuki; wypada więc zbadać, o ile zdołał poglądy teoretyczne wypowiadane przy sposobności, zużytkować na rzecz artyzmu o ile osoby, przezeń do życia powołane, odtworzyły plastycznie to, co było przedmiotem myślowego uogólnienia abstrakcyi.

IV.

Artystyczna działalność Kaczkowskiego ma dwie odrębne strony, które się wyraźnie zarysowały z samego zara początku i później z małemi zmianami stale się uwydatniał w jego utworach.

Kaczkowski rozpoczął swój zawód powieściopisarski n większą skalę od dwu powiastek, jednej spółczesnej („Kato“ i jednej historycznej („Bitwa o chorążankę“), drukowanyc tego samego r. 1851 w feljetonie „Czasu“. Pierwsza nie zr biła żadnego wrażenia; druga stała się fundamentem niezmie nej wziętości i popularności pisarza. Cóż było przyczyną ta wielkiej różnicy w powodzeniu dwu utworów jednego autora

W „Katonie“ wyprowadza autor na scenę siebie sameg i swojego znajomego, do którego czuł szczególną sympat czy pociąg, będący magnetycznym objawem, z wielkiego prz ciwieństwa usposobień wynikłym. Ten znajomy, imieniem Adar był to człowieck nadzwyczaj zimny: oko jego nie znało łz pierś nie wydawała ani jednego westchnienia, a serce „by

kawałkiem głazu, potrzebnym do obiegu krwi w jego ciele"; odznaczał się natomiast wielkim rozumem, charakterem niewzruszonym, posiadał wiele wiadomości, lecz lubił sofizmata; cnoty przestrzegał ściśle, ale nikomu nie dał wglądać w swoje uczynki; jego słowo a czyn to było prawie wszystko jedno; gdy co raz powiedział, z pewnością dotrzymał. W młodości już lubował się w groźnych zjawiskach przyrody, w tragicznych ustępach dziejów, w utworach przedstawiających ludzi dzielnych zarówno w cnocie jak i występku. Miał on brata, miękkiego i mazgajowatego, którego chciał wszelkimi sposobami zahartować: raz zamknął go w trupiarni, co sprowadziło nań długą chorobę; drugi raz rozłączył go z kochanką, co go unieszczęśliwiło na całe życie. Kochankę tę zdołał zjednać dla siebie — i to było może jedyne uczucie, jakiego zaznał w swem życiu; lecz gdy jego miejsce w sercu płochej, a raczej zepsutej panny zajął oficer od dragonów, stłumił w sobie miłość, oficera w pojedynku ranił i poszedł na wojnę. Kochanka obu braci wyszła za oficera od dragonów, lecz wkrótce z nim się rozstała i prowadziła życie swobodne, wyłudzając pieniądze nawet od pierwszego swego amanta, mazgajowatego Adasia, aż wreszcie zestarzawszy się i zbrzydłszy, w nędzy umarła. Pan Adam, Katonem dla surowości swojej przezwany, odbywszy nieszczęśliwie zakończoną kampanię, prowadził życie wędrowca, włócząc się po obcych krajach, starając się zabić wspomnienie nawet miłości i wożąc ze sobą wszędzie nieodstępną nudę. W roku 1846, będąc przytomnym konaniu dawnej swej ulubionej, rzucił na pogrzeb paczkę banknotów i wybrał się natychmiast przez Francyę do Stanów Zjednoczonych.

Pomysł nie był zły. Przeciwstawienie dwu charakterów: energicznego i miękkiego, rozsądkowego i uczuciowego, czynnego i marzycielskiego, było przedsięwzięciem godnem sił artysty, było zadaniem wielkiej wagi psychologicznej i społecznej. To jedno; a powtóre odmalowanie kobiety, która skutkiem swego temperamentu i skrzywienia czy złamania pierwszego silniej rozbudzonego uczucia nie umie okiełznać ani fantazyi, ani zmysłów i przekracza granicę uczciwości, dawało tyle materyału do sytuacyj zajmujących i ciekawych, do kolizyj w wysokim stopniu dramatycznych, że powieściopisarz obdarzony talentem mógłby stworzyć z Kamilli obraz pierw-

szorzędnej wartości artystycznej. A jakie wyborne tło dla tych trzech głównych postaci! Jakże szeroki widnokrąg roztacza się przed artystą i przed czytelnikami! Ileż wspomnień, ileż myśli wywołuje ten szesnastoletni przeciąg czasu!

A więc i pod względem psychologicznym i pod względem artystycznym i pod względem społecznym pomysł był doskonały. Ale zepsuło go wykonanie. Kaczkowski ujął swój utwór w formę opowiadania, w formę świeckiej spowiedzi naczelnego bohatera. Stąd poszło, że tylko jednego Katona widzimy w całej pełni; gdy tymczasem inne osoby, a przedewszystkiem brat Adaś i Kamilla są zaledwie cieniami. O całym przebiegu wypadków dowiadujemy się ogółowo tylko i to jednostronnie, bo z ust interesowanego, patrzącego przez pewien pryzmat, który nie służy do patrzenia wszystkim. A przytem tło czasu narysowane blado, a raczej zaznaczone jedynie; rok 1846 występuje wprawdzie wyraźniej, lecz służy wyłącznie do wypowiedzenia kilkunastu sarkazmów przez Katona. W tych sarkazmach jest bezwątpienia wiele pokarmu dla myśli, ale bardzo mało dla fantazyi, która potrzebuje malowideł barwnych i żywych, nie zaś dyskusyj abstrakcyjnych.

Słowem „Kato" był suchem opowiadaniem, ale nie obrazem, a nawet nie obrazkiem.

Inaczej w drugiej powiastce. „Bitwa o chorążankę" była obrazkiem barwnym, żywym a tak plastycznym, jak gdyby się na osoby tu przedstawione patrzyło własnemi oczyma. Za motyw do niego obrał sobie Kaczkowski pewien rodzaj antagonizmu i nieprzyjaźni, jaka oddawna istniała między Sanoczanami i Przemyślakami — rzecz w gruncie błahą, ale bardzo charakterystyczną. Przemyślanin pewien (Niezabitowski) wybrał się w konkury do panny chorążanki, o którą się starał Sanoczanin Żurowski. Wlazłszy między szlachtę sanocką, która się tęgo biła i tęgo piła, wystawił się na mnóstwo przekąsów, lecz umiał je zręcznie odpierać. Gdy go więc zbić z pantałyku nie było można, a pannie wpadł w oko, postanowiono za zgodą gospodarza *spoić* go i tem skompromitować wobec panny. Nastąpiła pijatyka; Niezabitowski dotrzymywał placu bardzo długo tak, że musiano użyć podstępu, ażeby go winem oszołomić i z nóg zwalić! Gdy się to stało, zaniesiono go rozebranego do pokojów niewieścich, przyczem jeden odpalony konkurent włożył swojej niegdyś bohdance żabę pod

kołdrę. Nastał huczek wśród narodu niewieściego; Niezabitowski z Żurowskim poszli na szable i Przemyślanin szpetnie został porąbany. Lizał się parę tygodni, wreszcie zatęsknił do domu i w towarzystwie Imci pana Nieczui pojechał do Przemyśla. W drodze napadli na konwujującego obdarci Przemyślanie i gonili go aż do miasta, tak że ten musiał się skryć w klasztorze OO. Reformatów. Nastąpiło wyjaśnienie i zobopólna zgoda: „Pijatyka i gawędka trwała aż do świtania — mówi opowiadający — śród której ku zadziwieniu memu przekonałem się, że w Przemyskiem tak samo piją jak u nas“. Było tego kilka tygodni.

W tej powiastce Kączkowski wystąpił nie jako myśliciel, lecz jako malarz; nie dbał o myśl — a jeżeli dbał, to ją starannie ukrył — lecz o przedstawienie barwnego obrazka z przeszłości. Zamaskował się więc pod postacią opowiadającego, który był spółczesny wypadkom i ze spokojnem sumieniem, z duszą dziwnie pogodną, z pobłażliwością braterską opowiadał o zabawnej awanturze. A przytem odrysował kilka postaci tak charakterystycznych, tak prawdziwych, tak zajmujących *zewnętrznością* swoją, że się czyta powiastkę z zajęciem niekłamanem. Wszystka ta szlachta, jednej chwili gotowa się bić i całować, pijąca na zabój i nie myśląca o reszcie, spokojna i krotochwilna, jakby za najlepszych czasów, nie przedstawia żadnego rozdźwięku, żadnej dysharmonii i zachwyca pełnią swojego życia. I szczegółowo: ten Niezabitowski, układny konkurent, tęgi pijus, wyborny rębacz, honorowy kawaler, i ten Deręgowski, który tak był wysoki, że kiedy z równym sobie wzrostem panem Edmundem Chojnackim wzięli się za ręce, to pomiędzy nimi fura siana przejechać mogła, i ten Żurowski, któremu srodze żal było Niezabitowskiego, chociaż się cieszył, że go porąbał, i Błoński i Nieczuja i starszy klasztoru; toć to tak żywo, tak artystycznie oddane postaci, że zdają się mówić, pić i chodzić przed nami. A też szaraki, co w Niżankowcach napadły na Nieczuję, toż to chór tak doskonały, że ledwie kilka podobnych można w naszych powieściach naliczyć.

Że pod tą powierzchownością zdrową, wesołą, zadowoloną świeciło się próchno moralne, o tem wówczas, gdy „Bitwa o chorążankę“ wyszła, może nikt nie pomyślał. Że pijacy i rębacze, chociaż w gruncie ludzie poczciwi, byli bardzo

złymi obywatelami, jeżeli po roku 1772 lepszego zajęcia nad pijatyki i burdy wymyśleć nie mogli, to nie wchodziło w rachubę. Że inteligencya tych ludzi równała się zeru, a może i ilości ujemnej, że serce ich obejmowało bardzo mało przedmiotów godnych kochania a wola była w uśpieniu, o tem późniejsi dopiero zaczęli przebąkiwać!

Kaczkowski nie wglądał w głąb' tych ludzi, których malował, nie robił żadnych refleksyj, nie wdawał się w żadne rozumowania; chwytał tylko rysy powierzchowne, zewnętrzne, łatwo wpadające w oczy i łatwo zrozumiałe. Tego właśnie pragnęła publiczność, której nie zastanawiać się, lecz bawić się chciało. Autor trafił w jej gust, zyskał popularność, a zachęcony powodzeniem, porzucił na czas jakiś myśl pisania powieści współczesnych i oddał się z całym zapałem przedstawianiu obrazków przeszłości.

Obok szlachty wesołej i zadowolonej, tęgiej do kielicha i korda, której pełno w jego powieściach, zaczął, zawsze pod maską Nieczujowską, opowiadać o innych ludziach i o innych kierunkach. Zaraz w „Kasztelanicach Lubaczewskich" oprócz pijatyk i bijatyk, oprócz serc skłonnych do gniewu i miłości, oprócz łbów podgolonych, a niezasobnych w inteligencyę, przedstawił stosunek magnata do szlachty i napływ wyobrażeń zagranicznych do mózgów szlacheckich, dwa przedmioty, do których nieraz Kaczkowski powracał, uwydatniając je w scenach lub charakterach.

Wiadomo, że stosunek magnatów do szlachty przedstawiano u nas jako pełen uroku, piękna i cnoty zabytek patryarchalny. Magnat miał być ojcem, starszym bratem czy głową rodziny, a szlachta rodzeństwem, związanem węzłami miłości braterskiej i uszanowania dla starszych. Wielbiciele tej społecznej budowy, zaślepieni niektóremi jej bardzo niewielkiej dobroci stronami, uważali za zbyteczne zastanowić się, że ona mogła mieć ważne znaczenie w czasach pierwotnych, w czasach nierozwiniętej kultury i nierozgałęzionych stosunków; lecz w w. XVIII. była już ruderą, której fundamenta spróchniały a ściany popękały. Innemi słowy, magnat w XVIII. w. stał się oligarchą używającym szlachcica za narzędzie do przeprowadzenia swoich planów; szlachcic zaś za łyżkę barszczu, „ukłon bałamutny" robił, co mu kazano. Demoralizacya, upadek istotny, nie na frazesach zasadzającej się

miłości kraju, brak słusznego wymiaru sprawiedliwości, poniżenie godności obywatelstwa, przekupstwo — oto niektóre objawy owego osławionego stosunku z czasów patryarchalnych. Buta szlachecka objawiała się tylko tam, gdzie nie było uszu magnackich; a gdy się te pojawiły, „uniżony sługa“ ze skóry „równego wojewodzie“ wyłazil i utożsamiał sprawę jakiegoś magnata z losami Rzeczypospolitej.

Kaczkowski nie należał bezwątpienia do grona wielbicieli tego nieszczęśliwego stosunku; przemawiając atoli przez usta wychowańca wieku XVIII., nie mógł się wyrazić o nim dosyć stanowczo. W zdaniach Imci Pana Marcina Nieczui o Józefie Ossolińskim, który w ziemi sanockiej chciał rej wodzić, widać niejednostajność, że nie powiem sprzeczność.

W „Kasztelanicach Lubaczewskich“, opowiadając o tem, jak JW. Józef Ossoliński zapraszał okoliczną szlachtę co niedziela „na gorzałkę i śliwki suszone“, nie pozbywa się lekkiej ironii, kiedy wspomina o szlachcie. „Nie jeden z tych — powiada — którzy już w godzinę potem u żyda za stołem *psy wieszali* na wszystkich wojewodów na świecie, nizko mu się kłaniał do kolan i takie wyrazy kładł na swe usta, *których wcale nie miał w swem sercu*“. Wojewoda bowiem miał na butę szlachecką niejedno lekarstwo: posiadając dzierżawy do rozdania, których nie żałował uboższym, i gotowe grosiwo w skarbcu, które łatwo przechodziło do rąk szlachty na wieczne nieoddanie, i stadko bydła i koni rozlicznych, bogactw niemało, z których okruchy mogły stanowić fortunę dla szlachcica siejącego lichą owsinę. Natychmiast jednak, wykazawszy w ten sposób zupełną zależność szlachty od wojewody, Imć pan Nieczuja żałuje ironii i rzecz całą zbywa ogólnikiem, że po wszystkie czasy w Rzeczypospolitej przy zamożnych żywiła się chudzina, i że korzyści materyalne wielki wpływ mają na najbujniejsze nawet umysły.

W „Mężu szalonym“ już dowiadujemy się, że taż szlachta sanocka, mając *pewien respekt* dla wojewody, za nic sobie ważyła jego senatorską purpurę i nawet przy zdarzonej okoliczności dała mu dotkliwie to lekceważenie poczuć, kiedy na zamek jego napadła i zburzyć chciała, z powodu niedorzecznej burdy przy kościele o pierwszeństwo dla powozu. Nie przeszkodziło to atoli wcale, ażeby taż szlachta, bijąca się za honor ziemi sanockiej, nie opuściła uszu na głos księdza Ka-

lasantego, który ją nazwał tłumem podłym i plugawym, pijanicą obrzydłym i kosterą przeklętym, buntującym się przeciw bogatszemu bratu, rzucającym się „świętokradzką ręką“ na zamek wspaniały wojewody. Gorzkie, chociaż karczemne słowa ks. Kalasantego, są prawdziwą chłostą dla tej szlachty, pozbawionej i własnej godności i własnego zdania; ale włożone w usta kaznodziei, karcącego błędy ludzkie z urzędu i przesadzającego z urzędu, nie wpływają oczywiście na istotę sądu Nieczui o swojej braci.

W „Gnieździe Nieczujów“ znowu znajdujemy „głębokie przekonanie“ o „poczciwości wojewody“ u wszystkiej szlachty. Tu Imć pan Nieczuja nie żałuje barw jasnych do odmalowania sceny patryarchalnej, w której sędziwy ojciec jego uważa sobie za wielki honor pokłonić się głęboko wojewodzie, upaść do nóg wojewodzinie i prosić o błogosławieństwo dla swej córki idącej za mąż. Tu również opisuje Imć pan Marcin w mowie wojewody i ojca swego stosunek magnatów do szlachty w jak najsympatyczniejszych wyrazach. „Od niepamiętnych czasów — mówi Ossoliński do Ślaskiego — twoja rodzina, trzymając się z moim domem za ręce, płynie przez fale tego wspaniałego strumienia, który nazywamy historyą. Moi przodkowie, wyniesieni szczęściem i pracą, stanęli wyżej od twoich, ale pomimo to Nieczujowie nie pozazdrościli im nigdy fortuny ni sławy, bo mając tego i owego po kęsie, wiedzieli, że *medium tenuere beati.* I płynęli tak razem, w niefortunnych razach ratując się wzajem, tamci tych *groszem i ziemią,* ci zaś tamtych *przyjaźnią, poświęceniem i męstwem.* Co im Pan Bóg przeznaczył w przyszłości, jest zakrytem przed ludzkiemi oczyma, a czas dzisiejszy, w którym losy ludzkie dziwnemi zaczynają chodzić drogami, i w takiej Rzeczypospolitej, w której każdemu szlachcicowi otwarta stoi droga do najwyższych państwa zaszczytów, a nakoniec w czasie, w którym mokotowskich podstarościch wnukowie (tj. Stanisław August) osiadają na tego starożytnego narodu tronie, nikt nie może zaręczyć za to, azali wnuk wojewody wołyńskiego nie zasiądzie kiedyś u twojego wnuka senatora na łaskawym chlebie...“ Opowiadający czuł pewną przesadę w powyższej oracyi i zauważył, że nie była mówioną z wiarą w to, co wygłaszała; ale nie chciał bynajmniej wystawiać Ossolińskiego jako politycznego komedyanta, któremu z roli wypadało odzywać się właśnie

tak a nie inaczej. Owszem, odmalował nam w dalszym ciągu wojewodę wołyńskiego, jako pełnego czułości ojca, nie zapominającego wprawdzie o swojej powadze, lecz szczerze do swojej rodziny, tj. szlachty od siebie zależnej przywiązanego. To też w odpowiedzi Imci pana Nieczui Ślaskiego widać całą uniżoność, połączoną z czcią dla senatora Rzeczypospolitej. Nie pragnie on, aby jego potomstwo dorobiło się nagle jakiejś znakomitej fortuny, gdyż Rzeczpospolita *nie miała* nigdy wielkiego *z dorobkiewiczów pożytku;* chociaż nie zrzeka się wyższych miejsc w państwie, kładąc jedynie za warunek, żeby się ich dosłużyli synowie z orężem w ręku. Następnie bardzo przykro mu się robi, że oddaje córkę nie za „wiernego sługę“ Ossolińskich. A jednakże ten pan skarbnik był jeszcze stosunkowo dosyć niepodległym, łask bowiem nie potrzebował; cóż dopiero dziać się musiało z innymi, którzy czy z biedy, czy z interesu u pańskiej klamki wisieli... Takiej szlachty nie przedstawia nam Imć pan skarbnikowicz, a mówiąc raz epizodycznie w „Swatach na Rusi“ o tałałajstwie składającem towarzystwo starosty bachtyńskiego, u którego szaraki jadły i piły wraz z żonami i córkami na rzecz prowizyi kapitałów u niego ulokowanych, podejrzywa ich szlachectwo, a głównego ich przedstawiciela Ostrowskiego wyraźnie już o pochodzenie *mieszczańskie* obwinia, przytaczając nawet rodowód. Inną znów razą stronników tylko tak zwanej „familii“ (Czartoryskich) czarno przedstawia; czyni to jednakże zawsze bardzo oględnie i w bardzo krótkich rysach, jakby się lękał przedstawić stosunki owe w całej ich naturalnej szkaradzie, którejby cień i na niego, jako na szlachcica, spadał po części. Ulegał on pod tym względem, jak pod wielu innymi, staremu przesądowi, wedle którego odkrywanie ran społecznych dla nabrania rzetelnej wiadomości o stanie narodu, a więc o jego zdrowiu i słabościach, nazywało się „kalaniem własnego gniazda“, przesądu, dla którego złudzenie, chociaż do zguby wiodące, milszem było od prawdy gorzkiej wprawdzie i smutnej, ale zawsze prawdy, mogącej dopomódz do wybrnięcia z nieszczęśliwego położenia.

Wpływ cywilizacyi francuskiej na polską w XVIII. w. rozmaicie u nas był oceniany. Jedni widzieli w nim same pierwiastki szkodliwe, dążące do wynarodowienia kraju i zaszczepienia w nim bezbożności; drudzy wskazywali z uwiel-

bieniem ogólne podniesienie poziomu oświaty, wytępienie zabobonów, przygłuszenie fanatyzmu, jako jego skutki; inni jeszcze uznając go za rzecz pożądaną w zakresie nauki i przemysłu, nie mogli darować zaprowadzenia konwencyonalnych i ciasnych formułek i pojęć do literatury. W miarę jakeśmy się oddalali od zeszłego stulecia, liczba jego wielbicieli zmniejszała się, a liczba przyganiaczy i potępicieli rosła. Kiedy Kaczkowski zaczął pisać swoje powieści, ogół inteligencyi jak najsrożej się przeciw zepsuciu, bezbożności, płytkości XVIII. wieku uzbroił, i rzadko kto śmiał wspomnieć nie już wielkie jego zasługi, ale nawet przymioty prywatne, że tak powiem, cechujące ludzi w duchu jego wychowanym, a więc waleczność, honorowość, oczytanie, zdrowy sąd o rzeczach. Wówczas unoszono się nad „Wąsami i peruką“ Korzeniowskiego, utworem koniec końców słabym, pomimo niektóre piękne ustępy, napchanym komunałami, pozbawionym głębszej myśli; a unoszono się dlatego, że przeciwstawił strój narodowy — francuskiemu. Powierzchowność znaczyła wówczas więcej niż rozwój ducha. Jakkolwiek bowiem nie da się zaprzeczyć, że zewnętrzne oznaki (np. strój) przyczyniają się do zaakcentowania odrębności narodowej, nikt przecież nie będzie chciał utrzymywać, że Polak bez wąsów nie może być dobrym Polakiem; do czego właśnie zdawał się pić Korzeniowski.

Kaczkowski kilkakrotnie przedmiot ten podejmował a zawsze w sposób potępiający wpływ francuski, nie dla czego innego zapewne, tylko dla tego, że przemawia w duchu Polonusa, który jakkolwiek umiał mówić *po francusku*, nigdy chyba nie zajrzał do dzieł filozofów, polityków i ekonomistów XVIII. wieku; a o całym ruchu cywilizacyjnym wiedział tylko z posłuchu, jak ten szlachcic Rzewuskiego, który krytykował Woltera, nie czytając go, lecz z opowiadania cudzego dowiedziawszy się o kilku szczegółach z dzieł jego.

Najpierwszą figurą sfrancuziałą wyprowadzoną na scenę przez Kaczkowskiego był jeden z kasztelaniców lubaczewskich, Kacper. Mieszanina to rozmaitych uczuć i pojęć, która nawet przy wybuchu nie sprawia wielkiego hałasu. Sentymentalny jak średniowieczny trubadur, wykształcony na rozmaitych zagranicznych filozofach, lubił muzykę, sprowadzał do swego dworu Czechów i Cyganów, ucząc ich grać, wyprawiał serenady pięknościom magnackim, przyczem raz skonfundowano

go z kretesem, podstawiwszy pannę służącą zamiast panny wojewodzianki. Piorunował czasami przeciw przywilejom szlacheckim, mówiąc o prawach mieszczan i włościan, co spowodowało, że szlachta, nietylko oburzała się na niego, ale nawet pieniła się ze złości; wytykał błędy konfederacyi. Przytem bezbożnikiem nie był; bić się w pojedynku nie wzdragał, w walce o niepodległość Stanów Amerykańskich brał udział. Następnie był z Robespierrem w przyjaźni i stał się jakobinem; ale jedyny czyn jego opowiedziany szczegółowo przez mć Pana Nieczuję, było rzezanie kozikiem po szyi Niemca, którego *ktoś inny* na ziemię powalił.

Drugą figurą jest Bartek w „Braciach ślubnych". Powieść ta nie należy wprawdzie do cyklu opowiadań Nieczui; pomimo to jednak nie ma w niej żadnego rysu, któryby wskazywał nowe drogi w artyzmie Kaczkowskiego; możemy ją więc traktować na równi z owym cyklem. Bartek tedy — to przedewszystkiem powierzchowność różniąca się od podgolonych Polonusów, to strój francuski ze wszystkimi jego szczegółami, to, słowem, małpiątko naśladujące wszystkie miny i ruchy ucywilizowanego świata w peruce. A potem jest to typ równoznaczny z honorem, z odwagą w pojedynku, z lekkomyślnością w obyczajach, a mianowicie w stosunku z płcią piękną. Występuje on jako człowiek prywatny lubiący się bawić, bałamucący cudze żony, dbały o swój strój, ale przy tem wszystkiem zręczny, honorowy i o tyle o ile uczciwy. Taka postać ani grzeje, ani ziębi, a śmiech, który wzbudza wśród szlachty, jako odnoszący się jedynie do zewnętrzności, jest tylko krotochwilą ludzi poczciwej, ale słabej głowy. Nieposzanowanie VI. przykazania piętnuje go wprawdzie dosyć silnie; ponieważ jednak zdarzało się ono i wśród tych, którzy peruki nie nosili (przykładem Michał Strzelecki „w Mężu szalonym"); ponieważ nadto schwytany na gorącym uczynku Bartek zginął w pojedynku: niepodobna tego „nieposzanowania" uważać za cechę Kaimową, którąby z zepsutego jegomości robiła np. interesującego zbrodniarza, albo reprezentanta zgubnego wpływu cywilizacyi francuskiej. Rozważany jako osobistość niepretensyonalna, pospolita nawet, przedstawia się Bartek bardzo dobrze; jest naturalny i konsekwentny zarówno w słowach jak i w postępowaniu, o ile na to pozwalały dość ciasne granice jego powieściowej roli.

Ze wszystkich wymienionych dotąd kategoryj postaci zasługuje na szczególną uwagę przedstawiciel osób wiekowych, Wit w „Murdelionie“. Kilkodziesięcioletni ten starzec, znękany nieszczęściami, z osłabionymi zmysłami, z przytępioną bystrością umysłu, ożywia się pod wpływem starego węgrzyna i umie świetnie opowiadać o swoich latach dziecinnych, o swojej młodości i kłopotach późniejszych. Kiedy mu przyjdzie bronić honoru domu, wyrasta z niego bohater. Doświadczony w szkole życia, zna słabości ludzkie i umie z nich korzystać z łagodnym sceptycyzmem. Nie liczy wiele na krótkotrwałą życzliwość ludzi i zapał chwilowy; ale dla podbudzenia łechciwej próżności, potrafi podbijać, jak to mówią, bębenka i dostarczać napoju, któryby zapał mógł podtrzymać. Surowy i energiczny, przebiegły i zręczny, umie trafić do wszystkich umysłów panów braci i do swojego wózka ich zaprządz. Każdy, patrząc na niego, powie z pewnością: dzielny staruszek!

Świat kobiecy obraca się na szczupłem terytoryum w Nieczujowskich powieściach i małoznaczącą odgrywa na niem rolę. Nie będziemy się temu dziwili, jeżeli zważymy, że Imć pan Marcin Nieczuja uważał miłość przedślubną nie za objaw bożego natchnienia, lecz za produkt krwi ludzkiej, produkt nerwów albo rozpalonego mózgu, nazywał ją żądzą tylko, namiętnością albo marnem, upornem zachceniem. Zapatrywał się więc na miłość z punktu jedynie kaznodziejskiego a nie psychologicznego. Nie mógł się zatem lubować w szczegółowym opisie jej symptomatów, jej wielkości i małości, jej natchnień i kaprysów, słowem całej skali jej siły. Kobieta więc, będąc podług jego pojęcia takiem stworzeniem boskiem, które dopiero od czasu związania rąk stułą nabiera przymiotów oślicy Balaama, t. j. zaczyna przemawiać, nie mogła być przedmiotem jego szerokich opowiadań. Mógł wprawdzie mówić o niej jako o żonie i matce, ale jakoś mu to z toku rzeczy nie wypadało; a wspominając nawiasowo o paru matronach, wystawia je w postaci szkiców rysunkowych, w których główniejsze tylko kontury oznaczono. Młode dziewczęta tedy pozostają w cieniu. Powód „Bitwy o Chorążankę“ np. t. j. sama chorążanka nie została wcale opisaną i nie przemawia ani słowa. *Teresa* w „Kasztelanicach“, Anusia w „Swatach“, Jadwisia, *siostra Nieczui* są to sylwetki, którym dobrze przypatrzywszy

się, można rozróżnić rysy łagodne, postawę szlachetną, ruchy spokojne, pokrywające usposobienie bierne, serce tkliwe, cnotę rutyniczną, zwyczajową; ale nie są to wcale bohaterki ani pół-bohaterki.

Trochę dokładniej wycieniowane są: Zosia w „Murdelionie", Julia i Barbarka w „Braciach ślubnych"; one też stanowią trzy odrębne typy kobiecości.

Zosia — to dziewczyna hoża i zdrowa, z pojęciami gospodarskiemi, sięgającemi tylko do granic dworu i plebanii z pewnym niejasnym odcieniem poetyczności w *sennych widzeniach*... Rozsądna, miła, wesoła, podobać się może każdemu, a Nieczui wpadła w oko na seryo i zburzyła dawniejszy spokój jego serca. Zosia zdobywa się nawet na krok dość śmiały w stosunkach domowych szlachty polskiej XVIII. wieku: pisze list do ukochanego Marcina i to... bez wiedzy matki. W liście niema wcale czułości, to prawda; ale już sama odwaga zrobienia „kroku nagannego", jak list swój nazywa, dowodzi w niej jakiegoś pierwiastku inicyatywy, przynajmniej w sprawach serca. Ale na tym nagannym kroku działalność jej się kończy; odtąd powierza całą rzecz rozumowi i odwadze Marcina, jak niemniej Bogu lub losowi, gdyż pod tym względem pojęcia jej, jak zresztą całego otoczenia, w którem żyje, nie były zbyt jasne. Historya jej niedługa. Wyszedłszy po wielu zwalczonych trudnościach, w przełamaniu których nie próbowała nawet sił swoich, za Imci Pana Nieczuję, żyła przez rok, jak każda młoda gosposia: odwiedzała z mężem sąsiadów, trudniła się gospodarstwem, miała szczególne staranie o ogródku — i była szczęśliwa. Po roku, dawszy życie dwojgu istot, zmarła.

Julia odznacza się również biernością, ale ma odcień odróżniający ją stanowczo od Zosi. Julia jest melancholijną marzycielką. Zawiedziona w miłości (kochanek o niej zapomniał), cierpiała wiele, łudziła się długo, tak, że mogła być obawa o jej zdrowie i rozum. Naczytawszy się romansów, które podsycały jej już i tak bujną fantazyę, daleka była od rozumienia świata rzeczywistego i jego stosunków i żyła życiem mary w ciało przyodzianej. To też nie sprzeciwiała się silnie, kiedy jej rodzice kazali wyjść za niekochanego i niekochającego, który z przesadnie zrozumianego tylko obowiązku przyjaźni poślubić ją zapragnął. Była dla niego cichą i potulną

żoną, ale marzyła ciągle i gotową była uciec się do czarów, byle odzyskać dawną utraconą miłość. Ciało nie mogło wytrzymać udręczeń moralnych i uwolniło wprędce ze swoich więzów tę duszę cichą i pokorną.

Barbarka jest istotą zupełnie inną. Żywa, wesoła, kapryśna, samowolna, chce nad wszystkimi przewodzić i jedynie fantazyom własnym dogadzać. Lubi zajęcia męskie: jeździ konno, strzela zające, w słowie i ruchach niczem się nie krępuje, ani obecnością ojca, ani ludzi obcych. Poróżniwszy się o jakąś drobnostkę z kuzynem sfrancuziałym, jakby jemu na złość, wychodzi za mąż za człowieka łagodnego i spokojnego, ażeby go osiodłać. Osiodłała go też wybornie; rządzi nim i domem według swojej woli i przy sposobności romansuje z owym kuzynem. Trwało to czas jakiś, czas w powieści dosyć długi, póki mąż, podburzony przez przyjaciela, nie pokazał się mężczyzną i schwytawszy ją na schadzce z Bartkiem, nie wtrącił do domowego więzienia, w którem kilka tygodni tylko chorując, umarła.

Oto trzy wybitniejsze postaci młodych kobiet, wszystkie trzy w kwiecie wieku na śmierć przez autora skazane. Powieściowe ich życie niewiele mieści w sobie faktów, a obracając się wśród najpospolitszej pospolitości, do ważnych uwag nie przedstawia pola.

Z kobiet starszych trochę ujemnej natury wyborna jest pod względem charakterystyki artystycznej *ochmistrzyni* w „Murdelionie", osoba gadatliwa, pozornie moralna, czuła na brzęk monety i dla niej poświęcająca swój obowiązek czuwania nad młodą, powierzoną sobie osobą.

Takie są mniej więcej *normalne* osobistości, które upatrzył Kaczkowski w społeczeństwie polskiem XVIII. wieku i przedstawił w powieściach włożonych w usta Nieczui, tudzież w „Braciach ślubnych", które się niewiele od nich różnią. Obok atoli tych postaci, występują tu jeszcze mniej zwykłe, mniej pospolite, wyjątkowe. Do nich przedewszystkiem policzyć należy Starostę bachtyńskiego w „Swatach na Rusi", pana z panów, dziwaka nad dziwakami, hulającego przez sześć dni w tygodniu a ostro pokutującego dzień jeden, trzymającego kapelę z Cyganów, których nie odziewa dlatego, *ażeby się nie porozbiegali*, podejmującego na swym dworze *tłum szlachty z żonami* i córkami, którzy w ten sposób odja-

dają i odpijają prowizyę od kapitałów, u starosty lokowanych. Starosta bachtyński śmiało stanąć może obok znanego w beletrystyce naszej Starosty kaniowskiego, z którym go łączą wszystkie rysy oryginalnego dziwactwa.

Drugą postacią oryginalną jest Murdelio. Charakter to gwałtowny, ambitny, umysł szeroki i świetny. Namiętności podniecone wychowaniem źle pokierowanem przez francuskich metrów, wybujały w nim nad miarę, a nie trzymane w karbach, prowadziły nietylko do wybryków, nietylko do szaleństw, ale i do zbrodni. Sumienie, głuszone systematycznie, odzywało się w nim tylko chwilami, ale na postępowanie wcale nie wpływało. Posiadając zdolności, które go mogły zrobić wielkim, zużytkował je na czyny dosyć powszednie podówczas: na hulankę, rozpustę, pijatykę, na zrywanie sejmów, trzęsienie trybunałami; na zajazdy, porywanie niewiast; na wypędzanie i wieszanie dzierżawców, niechcących ustąpić z jego majątków, obdłużonych przez guwernerów. Pokochawszy pannę z dobrego szlacheckiego gniazda, przycichł na chwilę; ale gdy stary Wit na zbyt długie wystawiał go próby, zhardział nanowo, kochankę porwał i zawiózł na swój zamek. Gdy mu ją odebrano, ze złości i zmartwienia zachorował, a potem szalał jak dawniej. Panna wyszła za mąż, lecz wkrótce owdowiała; chciał ją poślubić, lecz ona, choć go kochała, jak się pokazuje później, zapamiętale, niewiadomo dlaczego (spokój bowiem dziadka Wita nie mógł być dla niej bardzo drogim), każe mu czekać lat dziesięć. Murdelio czeka... przywdziawszy habit franciszkana, pod którym wedle przysłowia, nie zawsze dusza mnicha siedzi. Murdelio hula i pije przy sposobności, jak smok bajeczny, a otoczony obłokiem tajemniczości, uważany przez niektórych za wcielonego djabła, płatając niespodziewane figle, miewa gwałtowne sceny ze swą dawną kochanką, którą wreszcie porywa; a oblężony w zamku, broni się zajadle. Nie mogąc podołać sile przemagającej, ucieka, a raczej znika tajemniczo, poczem znów mnichem zostaje i umiera. Że fantastyczna obsłonka, otaczająca Murdeliona, jest tylko formą, w której mógł go zrozumieć płytki Imć pan Nieczuja — to się samo przez się rozumie. Umysł jego zabobonny nie mógł przypuścić, żeby taki niezwykły charakter miał być przymiotem czysto ludzkim, bez przymieszki siły szatańskiej. Uderzony jego niecodziennym pokrojem, uwierzył gadaninie po-

spólstwa i takim Murdeliona przedstawił, jakim go pojął. A ponieważ postać ta zrobiła na nim wielkie wrażenie; ponieważ wplotła się w jego sercową historyą: opowiadał o niej z zamiłowaniem, z dokładnością i szczegółowością, z wyrazistością i plastycznością taką, że pomimo braki psychologiczne (dziesięcioletnie czekanie z racyi czterdziestoletnich oczu) Murdelio pozostanie kreacyą, najżywiej malującą się w naszej wyobraźni, najdłużej w niej goszczącą; a jakkolwiek niesympatyczną, nie pozbawioną przecież pewnego uroku, mianowicie pod względem artystycznym. „Murdelio" bowiem jest to powieść, w której artyzm Kaczkowskiego wzniósł się najwyżej.

Trzecią osobistością zasługującą na wyróżnienie jest „Kitajgrodzki" czyli „Mąż szalony". Przedstawia się on jako człowiek nieszczęśliwy w miłości. Ubóstwiał swoją małżonkę, a gdy ta uciekła z jakimś niemieckim jenerałem, z rozpaczy został wojownikiem i pod imieniem „Rudego Sokoła" był postrachem hajdamaków. Odznaczywszy się męstwem i rozumem, otrzymuje godność starosty samborskiego, żeni się po raz drugi, a miłość do żony objawia w niespokojnej, podejrzliwej zazdrości, która niewinną z początku istotę na myśl przeniewierzenia się naprowadza. Gdy się nieszczęście stało, Kitajgrodzki wpada w furyę, nie karze jednak winnych, lecz mści się na ich narzędziach, na pannie służebnej, wyświeconej z grodu, i na żydzie, spalonym na stosie. Kiedy żona osiadła w klasztorze, Kitajgrodzki wpada w lekkie obłąkanie, objawiające się w egzaltowanej pokucie religijnej i ciągłej myśli o zamordowanych ofiarach. I w obłąkaniu tem jednak staje się pożytecznym, uśmierza bowiem waśń dwu rodzin i do walki w sprawie ogólnej zagrzewa. W jednej z bitw umiera. Charakter ten, mający wiele stron artystycznych, nie został należycie wyzyskany przez Kaczkowskiego pod względem analizy psychologicznej i dlatego nas razi.

O dwóch kobietach, które się stały powodem wielu awantur i nieszczęść w życiu Murdeliona i Kitajgrodzkiego, nie można dużo powiedzieć. Stolnikowa Strzegocka, występująca z początku jako pełna taktu matrona, miłująca dziadka i prowadząca dom wzorowo, już w opowiadaniu Murdeliona przedstawia się jako kobieta lekkomyślna i płocha; potem, *każąc dziesięć* lat czekać kochankowi, daje dowód jakiegoś *niezrozumiałego* kaprysu; ostatecznie gdy ją z zamku Murde-

liona oswobodzono, gniewa się na swoich obrońców, że jej z ukochanym mieszkać nie pozwolili. Jest to szkatuła sprzeczności, kilku otworami opatrzona.

Anna jest taką drugą szkatułą. Ograniczona, uparta, a z gwałtownymi popędami, nie chciała pomimo próśb Strzeleckiego, błagać matki, żeby jej nie wydawano za Kitajgrodzkiego; a potem, choć zapewniała o swej uczciwości, choć cierpiała nad swoją słabością, nie mogła się jej oprzeć i przyjmowała u siebie potajemnie dawnego kochanka, narażając swe sługi na katusze. Oswobodzona przez śmierć męża, znowuż nie chce iść za Strzeleckiego i zostaje zakonnicą... Do takiej szkatuły trudno dobrać klucza... a zresztą niema podobno po co się fatygować.

Nie możnaby sobie wytłómaczyć całego zajęcia, jakie budziły powieści Nieczujowskie, gdybym nie wspomniał, że w wielu z nich nie charaktery główne, które były chybione, nie budowa całości, która była wielce luźna, ale figury podrzędne, wybornie narysowane i dobrze utrzymane, przywiązywały do siebie czytelnika. W „Braciach ślubnych" takiemi figurami są: ksiądz-prorok, szachraj-kauzyperda Dzianott, przebiegły i zręczny totumfacki Grott. W „Mężu szalonym", Handzia, Jarwan, Samojło więcej nas interesują, aniżeli sam Kitajgrodzki. W innych powieściach, w których charaktery naczelne istotnie odpowiednią odgrywają rolę, postaci drugorzędnego znaczenia swojem wykończeniem doskonale wypełniają całość, służą do skupienia efektów w głównem ognisku. Widzimy to mianowicie w Murdelionie, o którym Michał Grabowski powiedział, że „nietylko w powieściach polskich, ale w najlepszych zagranicznych, trudno o szykowniejszą budowę, o większą jedność, która bądźcobądź jest konieczną w organicznym utworze" [1]). Zarówno pan Błoński, jak Lgocki, Zuzia, szlachta oszmiańska, Jur z Borowiczek, Gintowt, misyonarz, pan Fredro, jak inni, są tak żywi, tak naturalni, że się mimowoli przypomina „Odyseja" albo „Pan Tadeusz" — nie pod względem pomysłu wielkiego, ale pod względem plastycznego przedstawienia pojedyńczych postaci i połączenia ich w ru-

---

[1]) „Gazeta Codzienna", 1854, N. 259. List V.

chome grupy. Dodajmy do tego wszystkiego sceny wszędzie ożywione, charakterystyczne opisy zaślubin, odpustów, narad, zabaw zapustnych, rozmów, burd; a z tych żywiołów, przy jakiej takiej fantazyi dopełniającej, potrafimy sobie uprzytomnić to ruchliwe, gwarne, ochocze chociaż nieraz pospolite i tępe umysłowo grono ludzi, których historyą Kaczkowski czarował współczesnych. Potrafimy również zrozumieć jednogłośne niemal uwielbienie krytyków, którzy zaczęli o wiele wyżej stawiać Kaczkowskiego od Rzewuskiego.

Z pomiędzy wielu sądów o Nieczujowskiej seryi opowiadań, podniosę dwa tylko, z których jeden wyszedł od człowieka, rządzącego się głównie uczuciem i fantazyą, a drugi od znawcy wytrawnego, kierującego się przeważnie rozumem.

Padalica Tadeusz (Zenon Fisz) tak pisał o Kaczkowskim w porównaniu z Rzewuskim *à propos* „Męża szalonego“: „Rzewuski dał nam wielkiej wartości typy polskie, odwzorował zdolnie kilka historycznych postaci; ale obrazy jego były jeszcze *za sztywne* i przy wypełnianiu ram powieściowych dorabiały się często *figurami podrzędnej wartości*. Rzewuski był przedewszystkiem malarzem *typów narodowych*; wydzielał je z epoki danej jak cegiełki z ogólnej społeczeńskiej budowy i zdawał się nie pojmować, że pod cechami charakterystycznemi ludu, czy plemienia, skrywały się jeszcze cechy człowieczej namiętności, uczuć i cały labirynt tajemnic duchowych, które wiek nasz dopiero studyować zaczął, skąd już tysiąc wziął obrazów i jak tajemnic oceanu zgłębić, ani wyczerpać nie zdołał. Pierwszy Kaczkowski przy malowaniu naszej przeszłości dopełnił w tym sposobie jej obrazy i w ramy obyczajowe potrafił ustawić człowieka, jakim musiał być wistocie człowiek. Co lekceważył Rzewuski i za podrzędne miał zadanie; to Kaczkowski zrobił pierwszym celem prac swoich, a form narodowych użył jak draperyj do wykończenia całości. Rzewuski w romansach swoich był *genialnym plastykiem*, nic nadto. Jego figury *mechanicznie* zdały się wypełniać swoje role; *oblicza* miały *piękne, ale bez wyrazu;* na nich powtórzyła się, że tak powiem, *idea piękności greckiej* (!). Kaczkowski nie gardząc najmniej metodą swojego poprzednika, potrafił nadto takie postacie natchnąć *moralnem życiem* (?); na miejsce typów *ogólnych* (?) porysował ludzi, wykończył ich oblicza, studyował

wyraz każdego; stąd obrazy jego zyskały na potędze moralnej i duch ludzki wyraził się w tem dziele“ [1]).

Następujący sąd Aleksandra Tyszyńskiego sprostuje w niektórych szczegółach zdanie Fisza, a w głównem orzeczeniu nawet mu zaprzeczy, zdaniem mojem bardzo słusznie; chociaż ton pochwalny i w nim przeważa: „Opowiadania Nieczui nie tem tylko się różnią od opowiadań Soplicy, iż bohaterką ich główną w miejsce litewskiej, jest szlachta sanocka, ale też tem, iż w miejsce określeń figur odosobnionych, dają obraz w *złączeniu ich;* iż są opisem nietyle tych figur, ile raczej *stosunków, zwyczajów, obyczajów,* słowem domowego towarzystwa ich wieku; iż za przedmiot opisów tych obierają nie jednostki w kraju głośniejsze, lub jakim szczególnym przymiotem odznaczone, lecz zwykłe; i że słowem dają nam w ten sposób obrazy powieściowe, *o stopień bliższe ogólnej domowej historyi danego kraju,* lub rzec można, *fragmenta historyi* o stopień do przedstawienia obrazów zwykłych krajowych posunięte. Kaczkowski nie dał nam jeszcze utworu tego rozmiaru i tej zasługi, jak jest *Listopad* [2]); lecz użyty i przestrzegany wiernie we wszystkich jego powieściach kształt autobiografii w samych opisach, uwagach, ustępach, monologu autora, znosi wszelką nitkę związku jego ze społecznością i obraz dany wyłączniej (niż nawet w owej ostatniej powieści) jako idący z wieku innego, nam przedstawia“ [3]).

Sądy te przytaczam dla charakterystyki czasu, ale rozbierać ich nie będę; czytelnicy z mojego przedstawienia pierwiastków składowych powieści Nieczujowskich sami mogą wywnioskować, o ile podzielam je lub odrzucam. Dodać więc tylko muszę, że wśród chóru uwielbień, odezwał się głośniej jeden tylko dysharmonijny akord z ust Lucyana Siemieńskiego, który zastrzegając ogólnikowo, że w utworach Kaczkowskiego jest więcej zalet niż wad, obszerny artykuł poświęcił na wy-

---

[1]) „Gazeta Warszawska“, 1855. Nr. 47.

[2]) Michał Grabowski przeciwnie uważa Murdeliona za utwór większej wartości, niż „Listopad“. Oto jego słowa: „Możemy powiedzieć, że do Murdelia nie mieliśmy *nigdy* powieści historycznej w całości dobrej. *Listopad, Zamek Krakowski* pomimo miejsc nieporównanych, mają drugie tak samo *niedostatecznego tchu poetyckiego,* jak i *Pamiętniki ks. Jordana*“. („Gazeta Codzienna“, 1854. List III, Nr. 182—187).

[3]) „Biblioteka Warszawska“, 1854, tom I. str. 881.

kazanie uchybień przeciw tradycyi i prawdzie historycznej, tudzież na ironiczne przedstawienie treści „Murdeliona“ i wyszykanowanie jego usterek psychologicznych. Występuje tu także przeciwko „kompromitującym eksklamacyom“ uwielbienia, które autora nie uczą, a nawet nie tłómaczą natury jego utworów. Najważniejszy zarzut, jaki robi Kaczkowskiemu, jest ten, że w jego powieściach prócz wzmianek o konfederacyi barskiej, wszystko obraca się w kole pospolitych pijatyk, burd jarmarcznych, zajazdów, procesów, konkurów, wykradzeń i t. p. Siemieński zwrócił jego uwagę na tę okoliczność, że jest jeszcze strona wyższej tradycyi, sięgającej w głębszą przeszłość, wyprowadzającej na widownię figury na pół historyczne, charaktery szlachetnie wzniosłe, umysły widzące szerzej i dalej, trzymające ster pojęć i ducha publicznego [1]). Zarzut ten niewłaściwie rozwinięty wskazaniem Senatorskiej zgody, Sejmiku w Sądowej Wiszni Pola, jako przykładów wyższej tradycyi, niewłaściwiej jeszcze zakończony optymistycznem zdaniem o społeczeństwie polskiem XVIII. wieku, dotykać mógł Kaczkowskiego w jednym tylko punkcie, t. j. w obraniu Nieczui, jako osoby, opowiadającej wypadki. Gdy się jednakże przyjmie Imci pana skarbnikowicza za narratora, niepodobna mu robić zarzutu, że opowiada o rzeczach małych, o zajazdach, pijatykach i wykradzeniach, gdyż jego umysł nie był zdolny wznieść się wyżej, a istotną artystyczną zasługą Kaczkowskiego jest właśnie to, że bardzo rzadko dał się porywać prądowi własnych myśli i przekraczał granice inteligencyi Nieczujowskiej. Gdyby Siemieński zastosował zarzut swój tylko do „Braci ślubnych“, w których sam autor uległ pod naciskiem długiego przyzwyczajenia i zasklepił się dobrowolnie w ślimaczej skorupie pojęć szlachcica XVIII. w., łatwiejby się nań można było zgodzić; gdyż jakkolwiek nie możemy rozkazać malarzowi szkoły niderlandzkiej, żeby malował sceny historyczne, wolno nam przecież wyrazić zdanie, że wolimy „kazanie Skargi“ od obrazka przedstawiającego „gęsi zarżnięte“.

Nie mając tedy pretensyi do autora „Ostatniego z Nieczujów“ — za to, że opowiadał nam o wypadkach małej wagi,

[1]) W „Czasie“, 1854; przedrukowano to w „Kilku rysach z lit. i społecz.“, 1859, t. I, str. 169—212.

że przedstawiał życie domowe zamiast publicznego; cenimy jego drobne obrazki, cenimy takie piękne malowidło jak „Murdeliu“ i zaznaczamy ich wartość artystyczną. Zanotujemy tylko fakt, że Nieczuja nie mógł dać nam obrazu całego społecznego i politycznego życia narodu; że nie potrafił go ocenić, jak się należy, gdyż zbyt ściśle zrósł się ze swem otoczeniem, pełnem przesądów i ciasnych pojęć.

Kaczkowski uczuł to sam. Wróciwszy z podróży za granicę, odbytej w r. 1855 dla wypoczynku po natężonej pracy powieściopisarskiej, która fizycznie wielce go osłabiła, zaczął powoli Imć pana Nieczuję usuwać na bok, zostawiając tylko starą zasłużoną firmę; zaczął go edukować w szkole większych wypadków, a w końcu całkiem się z nim rozstał i na własną rękę zawód swój prowadził.

Obce uwagi, własne rozmyślanie, dokładniejsze a naoczne rozpatrzenie się w stosunkach zagranicznych, rozmowy ze znakomitościami polskiemi i francuskiemi w Paryżu, rozszerzyły widnokrąg poglądów Kaczkowskiego, naprowadziły go na myśl malowania wypadków ważniejszych niż dotąd; spowodowały pewną zmianę w artystycznem obrobieniu, chociaż nie zmieniły *radykalnie* jego oceny przeszłości.

Wprawdzie Imć Pan Nieczuja, który tak swobodnie i tak wesoło rozprawiał o hulankach i pijatykach szlachty sanockiej po roku 1772, już w „Hołobuckim Staroście“ gorzkiemi zalewa się łzami ze współczucia lub wstydu nad aktorami, którzy natenczas role odgrywali w ognisku kraju, w Warszawie; wprawdzie wyznaje tu z boleścią, że naród, który przez wiek cały zaniedbał się w naukach i wszelkiej nowszej oświacie, w pojęciach swoich i obyczajach *zakamieniał* i nietylko do przyjęcia, ale nawet do zrozumienia jakichkolwiek nowości nie był zgoła przygotowany; wprawdzie twierdzi, że czasy Stanisława Augusta przedstawiają obraz straszny i przerażający: — lecz przyczynę złego widzi jedynie i wyłącznie w „szale pijanym, w którym zdecydowano odrazu, że wszystko jest nicpotem i że potrzeba koniecznie nowości“. Francuszczyzna tedy, peruka i fraczek, były winne temu, że zwodzicielstwo obrzydłe nazwano galanteryą, przeniewierstwo żony — intrygą, utrzymywanie metresy — rozrywką; że libertyna i niedowiarka nazywano mocną głową lub filozofem; że te czasy, w których wszelka moralność podkopana została do gruntu, a najohy-

wówczas popularną, to prawda; ale istniały już głosy, przemawiające za nią — choćby w książkach i postępowaniu Staszica, Czackiego i kilku innych.

Stosunek życia prywatnego do publicznego dobrze przedstawił Kaczkowski na początku powieści. Smutek a nawet rozpacz przygnębiła skarbnika po bolesnym końcu wypadków 1794 r. Odosobnił się od ludzi, nie chciał przyjmować nikogo popadł w czarne rozmyślania i krzepił się jedynie modlitwą i słowy pisma św. Cóż go pobudza do wejścia napowrót między ludzi? Stosunki życia codziennego — wydanie za mąż siostrzenicy. A potem? Potem już odzywa się w nim chęć do życia, do pracy; ale umysł, przywykły do zapasów wojennych, widzi tylko jeden jedyny środek zapełnienia próżni wewnętrznej — walkę na miecze. Podobny proces duchowy zachodzi w Rudnickim i Flawiuszu. Inne osoby, albo mają cechy dodatnie tylko w życiu prywatnem, albo też odznaczają się niezaradnością, plotkarstwem, kaprysami, żądzą hołdów i pochlebstw. Świat kobiecy zupełnie bierny. Z kilku młodych dziewic jedna Melania tylko zyskuje sympatyą czytelnika swoją szlachetnością, swoim heroizmem — choć tylko w zakresie życia prywatnego. Ze starszych niewiast zasługuje na uwagę kasztelanowa kamieńska, dawna polska matrona: rubaszna, poczciwa i szanowana. Dwie podkomorzyny, lwowska i sandomirska, z których pierwsza jest skąpa i plotkarka, a druga gadatliwa, kapryśna i niezdecydowana — są to figury podrzędne, wybornie traktowane, ożywiające jednostajność życia salonowego, z którem nas zapoznaje Kaczkowski.

Tak więc i w „Grobie Nieczui“ drobne sprawy codzienne stoją na pierwszym planie, a z wielkimi wypadkami dziejowymi mimochodem niejako dopiero przy końcu powieści się zapoznajemy. Obraz, choć namalowany z talentem, oczywiście traci na tem bardzo wiele, ponieważ zamiast być historycznym, staje się w znacznej części rodzajowym tylko, a to tem bardziej, iż stosunki, w nim przedstawione, mało co się różnią od stosunków dzisiejszych, albowiem Kaczkowski nie usiłował już tu uwydatnić kontrastu pomiędzy starym trybem życia a nowym, jak to było jeszcze w „Staroście Hołobuckim“, ani kontrastu pojęć przestarzałych szlacheckich z nowemi ideami; lecz powlókł wszystkie osoby wraz z ich poglądami szarym, jednostajnym pokostem salonowym, który jest charaktery-

styczną cechą ludzi, zakrywających starannie wszystkie ostre kanty swego umysłu, ażeby tylko żyć ze sobą w jakiej takiej, choćby pozornej zgodzie.

Dopiero w „Anuncyacie“ wszedł Kaczkowski na szerszą arenę dziejową. Konfederacya barska, której poprzednio podnosił pojedyńcze jeno momenta („Bitwa pod Widawą, pod Domaradzem“) wydobyła się teraz na plan pierwszy, chociaż nie w głównych przedstawicielach swoich, lecz tylko w jednym z podrzędniejszych działaczy. Jeneralność, zarząd występuje raz tylko na scenę widomie; później słyszymy tylko o niej jako o tajemniczej władzy, niepozbawionej wprawdzie pewnej siły, niezbyt jednakże energicznej. Józef Bierzyński człowiek zdolny, zręczny, mężny, ale przejęty widokami ambicyi osobistej, nie słucha rozkazów Jeneralności i na własną rękę wojnę prowadzi. Nie przebierając bardzo w środkach, staje się potężnym; gromadzi około siebie oddział ludzi bezwarunkowo sobie posłusznych; odnosi świetne zwycięstwa; wsławia się po całej Polsce. Naraz rozkłada się obozem blizko zamku kasztelana i długie trawi tu miesiące bezczynnie, zalecając się tylko córce pana zamku, Anuncyacie, z którą go dziecinna jeszcze łączyła znajomość. Sądził, że dość już odniósł zwycięstw, dość widomych śladów męstwa na swojej twarzy zapisał, by kasztelan zgodził się na oddanie mu córki za żonę. Kasztelan jednak dziwił się bezczynności Bierzyńskiego i oczekiwał od niego większych dowodów poświęcenia dla sprawy. Bierzyński tymczasem już wstąpił na pochyłość, po której mógł się stoczyć w przepaść: rozkazy Jeneralności lekceważył i prowadził układy z Wesslem w celu otrzymania od króla jakichś dóbr za odstąpienie sprawy konfederacyi. W tym czasie zaszła bitwa, która się fatalnie dla Bierzyńskiego skończyła; duma jego została zgruchotana, urok wojennej sławy prysł. A gdy wszyscy ludzie odbiegli od niego, gdy nie znalazł ani jednej duszy, którąby w „Złotym kluczu“ współczuciem dla niego biła; wtedy bohater nasz ukorzył się i chcąc zrehabilitować honor swego imienia, skażonego potępiającym wyrokiem Jeneralności, zaczął pracować po cichu pod zmienionem nazwiskiem dla dobra konfederacyi. Powstał jako rycerz nieznany z zakrytą przyłbicą i odznaczył się w wielu bitwach. W ostatniej gdy się miał rozstać z życiem, zapewnił się na wieczność całą o miłości Anuncyaty.

Taki bohater pozostawia nas obojętnymi i nie może się bynajmniej przyczynić do utrwalenia uroku, jakim dawniej konfederacyę barską otaczano; ale też autorowi wcale o to nie szło. Osądził on, że urok ten polega w części na złudzeniu, w części na projektach, które mieli przywódcy konfederacyi, w rzeczywistości atoli, w czynach widział jasno słabość, brak jedności, brak sił, brak istotnego na rozumnej ocenie okoliczności opartego zajęcia się sprawą ogólną. To więc, co mogło dodać uroku — Jeneralność — pozostawił w półświetle; a wszystkie promienie artystycznego słońca skupił na jednostce zdolnej wprawdzie, lecz nieumiejącej zużytkować zdolności swoich na rzecz podjętej sprawy: jednostki ambitnej, lecz bardzo mizerne ambitnemu usposobieniu stawiającej cele; jednostce mężnej osobiście, umiejącej dowodzić małym oddziałem, lecz dalekiej od powzięcia i przeprowadzenia wielkiego planu. Kaczkowski pisząc „Anuncyatę“, odrzucił już w znacznej części Nieczujowskie poglądy na konfederacyę i na szlachtę ówczesną. Postać też Bierzyńskiego wystawia jako jednookiego wśród ślepych. „Pomiędzy szlachtą ówczesną — powiada — umiejącą czyny spełniać, ale rzadko się *zastanawiać* nad nimi, umiejącą czuć głęboko i żywo stanowiące o sprawie publicznej zdarzenia, ale *nie znającą się* wcale na tem, co jest *polityczna rozwaga*, Bierzyński zajaśniał jak lampa oliwna“. Mówiąc o dworszczyznie, szeroko i długo opisuje jej butę, ambicyę niepohamowaną, połowiczność cnót i t. p.; zalety jej wzmiankuje króciutko, a w końcu powiada: „My sami nawet, mówiąc przez usta którego z tamtowiekowej szlachty, unosiliśmy się z miłością nad temi patryarchalnemi akademiami młodzieży (jaką znajdowała na dworach wielkich panów), wyliczając wszystkie niezliczone ich cnoty i ani myśląc o wadach. Była to jednak połowa prawdy, która mogła wystarczyć gdzieindziej, lecz nie wystarczy tam, gdzie koniecznie idzie *o całą*“. Oto jest słowo zagadki. Kaczkowski chciał w „Anuncyacie“ powiedzieć całą prawdę i dlatego wybrał na jednego z przedstawicieli konfederacyi — Bierzyńskiego...

Anuncyata sama jakkolwiek z powodu swej kobiecości nie mogła się tak uwydatnić jak Bierzyński, przewyższa go jednak pod względem moralnym. Jest to dziewica dzielna, jeden z najpiękniejszych charakterów nietylko w powieściach

Kaczkowskiego, lecz w całem naszem powieściopisarstwie. Ukształcona, zakreślająca okiem swego ducha szerokie koło wyobrażeń, bolejąca nad nierównością stanów, jest energiczną i śmiałą. Gdy Bierzyński, przeniewierzywszy się sprawie konfederacyi, osiadł na „Złotym kluczu“, nie chciała temu uwierzyć a uwierzywszy, miłość swoją stłumiła i wówczas dopiero pozwoliła uczuciu zapanować w swem sercu, gdy się przekonała, że jej ukochany na dobrą drogę powrócił. Nie była to marzycielka jak Julia np., ani *hic mulier* jak Barbara, ale był to anioł cierpliwości na ziemi, duch pokoju i zgody, kobieta z całym urokiem kobiecości, ale z umysłem jasnym i silnym, z charakterem hartownym. Jeden tylko rys rażący dopatrzyć w niej można: oto brak zdecydowania się w stanowczych chwilach, a mianowicie przewaga, którą na nią wywierały tak liche osobistości jak Gałecki lub ksieni i to w przedmiocie dla niej najważniejszym, bo względem Bierzyńskiego. Dopiero w scenie przedostatniej z ksienią, kiedy wysyła służącą Martę z pieniędzmi dla zrehabilitowanego Bierzyńskiego, pokazuje się dziewicą samodzielną, nie kokietującą z niebem, ale śmiało do życia się wydzierającą.

Około tych dwu głównych postaci, które nie skupiają w sobie akcyi, lecz na dwie połowy je rozdzielają, grupuje się kilka osób wybornie narysowanych. Stary kasztelan Mączyński, starosta Gałecki, stolnik Szadkowski, są to osobistości oryginalne, tchnące życiem, wysoce plastyczne. Szlachetny Lenartowicz należy już do mniej udatnych, gdyż przedstawiony zbyt blado, dopiero przy końcu mężem się okazuje. Pierwiastek grubo komiczny, uosobiony w kapitanie Wściekliczy i jego Jukundzie, rozśmiesza na chwilę, lecz w końcu niesmak po sobie zostawia. Żywioł ludowy z naciskiem wprowadzony dla wskazania dwu prądów przeciwnych: apatyi, patrzącej tylko własnych korzyści najbliższych, i szczerego zajęcia się sprawami kraju w oświeconym synu apatycznego ojca, nie wywiera wpływu na przebieg wypadków i mimo staranie autora nie zwraca na siebie uwagi.

Układ artystyczny bardzo wiele pozostawia do życzenia. Szkicowość, luźność a skutkiem nich brak jednego punktu, około którego skupiałyby się wszystkie sytuacye i wypadki, oto wada najgłówniejsza, będąca źródłem wielu innych. Sceny więc następują po sobie dowolnie, nie zaś z konieczności;

niema między niemi innego związku prócz spółczesności lub kolejności; jedna nawet (scena rozmowy króla z Wesslem) jest zupełnie zbyteczna; w innych słyszymy potrzykroć o tym samym wypadku. Chwila, w której Anuncyata dowiaduje się, że Bierzyński osiadł na Złotym kluczu wybornie naszkicowana, ale tylko naszkicowana; prawdziwy artysta wyzyskałby ją daleko silniej. Pomimo jednak te usterki więcej w „Anuncyacie“ życia, więcaj figur oryginalnych, aniżeli np. w „Grobie Nieczui“; natomiast o wiele mniej aniżeli np. w „Murdelionie“. Refleksye zajmują tu zbyt dużo miejsca i szkodzą a nie pomagają rozwojowi akcyi. Styl też nie ma tej barwności i oryginalności co w Nieczujowych opowieściach. W miarę rozszerzania się historycznych poglądów, w miarę przewagi wielkich idei dziejowych nad drobnostkami życia, artyzm Kaczkowskiego słabł i malał. Wprawdzie już dawniej, bo w „Mężu szalonym“ a szczególniej w nieskończenie nudnych „Braciach ślubnych“ dawały się czuć ważne braki w układzie i uszeregowaniu wypadków; ale w nich małoznaczność wypadków nie kazała umysłowi naszemu domagać się czegoś więcej nad galerye malowniczych obrazków. Gdy atoli treść powieści nabierała wagi, pragnęliśmy, ażeby słowo wyrównało czynom. Tymczasem stało się inaczej. Bezbarwność i pospolitość wyrażeń i uwag, luźność scen, brak skupienia efektów zwiększały się zarówno w „Staroście Hołobuckim“ jak w „Grobie Nieczui“ i „Anuncyacie“. Ta ostatnia powieść czyta się bezwątpienia daleko przyjemniej niż „Mąż szalony“ lub „Bracia ślubni“; lecz tę własność zawdzięcza bohaterce swojej i niektórym znamiennym postaciom, nie zaś artyzmowi scen i stylu. „Anuncyata“ z tego względu zajmie drugie miejsce zaraz po „Murdelionie“; ale pomimo większego swego znaczenia nie odbierze mu pierwszego.

Wreszcie doszedł Kaczkowski do zupełnego bankructwa pod względem artystycznym w powieści „Sodalis Marianus“, której bohater jest słabą kopią Józefa Bierzyńskiego, Wiszowaty — Męża szalonego a inne osobistości są takiemi lichotami, że o nich długo mówić nie warto. Toż samo powiedzieć można o układzie, zachowującym formę kroniki, i bezbarwnem scenowaniu.

V.

Ten sam objaw ujrzymy w powieściach spółczesnych Już w „Katonie“ zauważyliśmy przewagę refleksyi nad obrazowością, rozumowania — nad kreśleniem postaci pełnych, żywych, plastycznych. Powróciwszy po paru latach do odtwarzania współczesnych stosunków w powieści, Kaczkowski poszedł tą samą drogą, co i w „Katonie“. Umysł jego opanowały ważne kwestye: związek teraźniejszości z przeszłością, kierunek demokratyczny i arystokratyczny, znaczenie i wpływ poezyi zwątpienia na społeczeństwo, program pracy organicznej na dziś. Myśli te, nie opuszczając go ani na chwilę, sprawiły, że poczuł wstręt do przedstawiania drobnych wypadków życia codziennego, małych intryg i komeraży, lichych śmieszności i lichych cnót, zawodów miłosnych powszedniej duszy i dziecinnych boleści rozpieszczonego próżniaka; a przemyśliwał nad tem, jakby owe kwestye palące przed czytelnikami rozwinąć w sposób o tyle przynajmniej zajmujący, żeby się od nich nie odwrócili ze wstrętem. Powziął tedy zamiar odmalowania w powieści nie małostek indywidualnych, ale wielkich prądów społecznych, o ile się one oczywiście w pewnej grupie indywiduów uwydatnić dadzą. Kaczkowski już w roku 1854 zaczął drukować swą „Dziwożonę“, w której zamiar swój urzeczywistniać rozpoczął, drugi zaś wielki utwór „Wnuczęta“ wyszedł w Petersburgu w r. 1855; a napisany był także w roku poprzednim, jak o tem wiemy z ówczesnych doniesień dziennikarskich. Należy więc Kaczkowskiemu przyznać w zupełności samoistność wielkiego pomysłu, w którym chciał objąć i przedstawić najwydatniejsze grupy społeczne w czasach siebie najbliższych, chciał zrobić bilans stron dodatnich i ujemnych w gospodarstwie narodowem, ażeby ludzie przyjrzeli mu się dokładnie i przedsięwzięli jakieś usiłowania w celu zaradzenia złemu.

W „Dziwożonie“ starał się przedstawić dwa typy młodzieży przed r. 1846, „typy tych sławnych marzycieli społecznych, którzy za młodu obiecywali tak wiele, którzy tyle niezaprzeczonych posiadali zdolności; którzy wszyscy, jeżeli zawczasu z błędnego koła niewczesnych sporów o *czcze teorye* lub *martwe przesądy* nie wyleźli — i nic zgoła nie ziścili i sami

się zmordowali". Obrazy ich pochwycić i postawić na torach przyszłych pokoleń jako drogoskazy odwracające ich kroki od zdradliwych topielisk serca i rozumu — oto, wedle wyznania samego Kaczkowskiego, cel jego powieści. Usiłował być bezstronnym i zarówno demokratycznej jak arystokratycznej partyi jednakową sprawiedliwość wymierzyć. Usiłowania te jednak, widoczne w wyrażeniach pochodzących od autora, nie były dość silne, ażeby się odbić artystycznie w przedstawionych postaciach.

Kamil Łaski, reprezentant idei demokratycznej, jest to młodzieniec zapalony, wichrowaty, nierozważny, dla marnej demonstracyi narażający całą niemal przyszłość swoją, w wyrażeniach niewybredny, gryzący: — dotąd bardzo dobrze i na taką charakterystykę godzimy się chętnie. Ale Kamil uczucie „umieścił w mózgu", nie zdolen jest kochać prawdziwie, serdecznie, tylko fantazyować w miłości i w przyjaźni, patrzeć jedynie własnego zadowolenia... Przymioty te napotykały się bezwątpienia w niejednem indywiduum; ale indywiduum to mogło być zarówno demokratą jak arystokratą. Gdyby Kamil nie miał być „typem", nie potrzebowałbym i przeciwko temu protestować; atoli według zapewnienia Kaczkowskiego, to typ naprawdę, to przedstawiciel wielkiej masy młodzieży, więc protestować muszę, gdyż przypomniawszy sobie choćby tylko Konarskiego i Wiśniowskiego, widzę w charakterystyce nieprawdę. Nie dosyć na tem. Postępki Kamila są zawsze występkami; gdy tymczasem czyny Edmunda, przedstawiciela arystokracyi, rozważnego i salonowo ukształconego, czyny choćby najbrzydsze, są tylko zapomnieniem się. Gdy Kamil podejrzywa np., jest nikczemnikiem: gdy Edmund nazywa go *niczem, synem pogańskim, zdrajcą, łajdakiem,* postępuje słusznie i ma jeszcze do niego urazę. Kamil, który miał zawsze plany wielkie obejmujące całe społeczeństwo, jest w każdym kroku niepraktycznym, zraża się lada przeszkodą, rozczarowywa się natręctwem i oszukaństwem chłopów, nie może pracować w małym zakresie. Jest waryatem, który poznawszy całą nikczemność kobiety nie może się od niej oderwać; pomimo doświadczenia nabytego za granicą, pomimo wielkiego rozwinięcia umysłu daje się złapać jak wróbel na plewy i robi „dziwnie głupią minę", gdy mu dawna kochanka Adela pocałunku odmawia. Skończył na tem, że wziął ślub z 28-letnią piękno-

ścią, jak ona sama liczyła; i gdyby nie to, że najdziwniejszym w świecie wypadkiem „dziwożona“ Adela jadąc w tym samym powozie co Kamil nie podruzgotała sobie w jarze pogańskim kości, byłby został *szczęśliwym* jej małżonkiem. Kamil pomimo upadku był zupełnie zdrów i tegoż jeszcze wieczora pojechał na Zachód, a z Paryża napisał do opiekuna list, w którym go żegna na zawsze, a ojczyźnie swojej srogie posyła przekleństwo.

Autor tak dalece upośledził Kamila, że mu nawet odmówił zgrabnych ruchów i pewności siebie. Że Kamil w początku powieści jest nieśmiały i niezgrabny, pojmujemy to doskonale; nie żył on bowiem na wielkim świecie, a pogrążony w marzeniach życia wewnętrznego, nie miał sposobności ani czasu do nabierania gracyi. Ale od tego czasu upłynęło lat blisko 12; Kamil przeszedł wiele przygód, bywał w świecie, wykształcił się w Paryżu, miał stosunki z eleganckim stanem bogatego mieszczaństwa; a jednak wobec Edmunda i Adeli jest tak samo nieśmiałym i niezgrabnym jak przed laty 12...

Kamil tedy skończył na przekleństwie. A Edmund? Edmund zażywszy niezbyt edenowych rozkoszy z Adelą, która go oszukała dla jakiegoś huzara, zmarnowawszy majątek na podróże dla rozrywki lub zabicia nudów i na zbudowanie pysznego pałacu; słowem przepędziwszy młodość bez żadnej myśli o całości społeczeństwa, staje się ideałem, powraca na łono religii, żeni się z Hanią biedną (t. j. pozbywa się przesądów) i pracuje na roli jak najzacniejszy, najrozumniejszy obywatel. Idee więc arystokratyczne torują „ścieżki pańskie“, a demokratyczne wiodą do znienawidzenia kraju...

Dla demokratów nie był Kaczkowski łaskawszym i we „Wnuczętach“. Przedstawił tu Drabika, człowieka propagującego teorye o równości stanów, o potędze ludu; wywnętrzającego się z wielką miłością dla chłopów a ciągnącego z nich lichwę; samoluba i epikurejczyka, dbającego przedewszystkiem o trzos i podniebienie, używającego swych zdolności na motanie różnorodnych intryg, w których widzi jakąkolwiek korzyść dla siebie; człowieka słowem popisującego się wielkimi frazesami, a podłego we wszystkich postępkach.

Później Kaczkowski widział dwa tylko sposoby, złączone ze sobą ściśle, mogące wykierować demokratę na po-

żytecznego członka społeczeństwa: religię i pożycie wśród *szlachty z dobrego gniazda.* Pierwszy sposób zrobił z księdza Wikarego w „Stachu z Kępy“ zapalczywego trochę, ale szlachetnego i gorliwego propagatora oświaty wśród ludu, oświaty, kontrolowanej wprawdzie przez dziedzica, niemniej jednak zbawiennej. Drugi sposób powołuje Stefana (w „Bajroniście“), dziecię wieśniacze, na małżonka arystokratycznej panny i właściciela znacznego majątku; a demokratycznemu doktrynerowi Skibie w „Rozbitku“ każe się ciągle wyszlachetniać i niezmordowaną pracą wetować szkody, zadane gospodarstwu szlacheckiemu niedojrzałemi lub zgubnemi ideami. Najlepszą z tych postaci jest bezwątpienia Skiba, którego portret wykończył Kaczkowski we wszystkich prawie szczegółach. Najzacniejszemi przejęty uczuciami, wszystko widzący jasno w teoryi, umiejący wytłómaczyć sobie każde zjawisko, jest niedołężnym w praktyce do najwyższego stopnia. Był to czysty teoretyk, zmuszony okolicznościami do praktycznej pracy na roli; popełniał w niej ciągłe błędy, lecz miał tyle odważnej szczerości, że się przyznawał do pomyłek, a tyle cierpliwej energii, że nie rzucał raz rozpoczętej roboty, ale poprawiał ją, modyfikował dopóty, póki jej należycie nie wykończył. Gdy i wówczas jeszcze nie odpowiadała celowi, rozpoczynał na nowo. Naraziwszy swojemi teoryami dom, w którym był nauczycielem, na wielkie, okropne straty w 1846 r., wszystkie siły wytężał, byle je choć w części naprawić. Smutne tedy doświadczenie przyłączyło się tu do wpływów życia szlacheckiego, ażeby charakter Skiby podnieść i uszlachetnić, nie rugując jednak w gruncie z jego głowy demokratycznych przekonań.

Obecnie w sprawie przekształcenia charakterów uznajemy za najważniejsze doświadczenie, o którem Kaczkowski mimochodem tylko wspomniał, a które najlepszym jest probierzem praktyczności pomysłów; dodajemy nadto ścisłą wiedzę, która wszelkie ekscentryczności, wszelkie jednostronne zapatrywania wygładzić umie. Kładziemy też szczególny nacisk na wiedzę, gdyż ona jedynie potrafi do ładu doprowadzić straszliwy chaos pojęć, wśród społeczeństwa naszego panujący.

We „Wnuczętach“ wystawił Kaczkowski powolne osłabianie się siły ducha i energii życiowej w trzech po sobie następujących pokoleniach. Najstarsza generacya uosobiona

w Demborogu, zapalonym arystokracie, człowieku uczciwym ale przesądnym, niegdyś tęgim żołnierzu, który widział czasy wielkich powszechno-dziejowych wypadków. Tem wszystkiem był dawniej: w powieści występuje to jako impetyk, to jako tetryk, dożywający ostatnich chwil swoich w gadatliwości nieskończonej, a powtarzającej ustawicznie jedną tylko zwrotkę o upadku młodego pokolenia. Widzi on ruinę majątkową, ale jej nie umie zaradzić inaczej jak ucieczką do skarbu zostawionego przez przodków dla użycia w wypadkach nadzwyczajnych; a gdy skarbu tego nie znalazł, ginie. Druga figura przedstawiająca najstarszą generacyę, szef Niemira, używający ogromnego poważania, nie mający wielkiego afektu do herbu, lecz zważający pilnie na dobre gniazdo, nie sprzeciwiający się wprawdzie wprost miłości syna, ale kładący nacisk na posłuszeństwo winne ojcu, — pozostawiony został na boku.

Następne pokolenie przedstawia już większe zepsucie, większe samolubstwo, a w najlepszym razie brak celu życia i zatem idące próżniactwo. Najsympatyczniejszą w tem pokoleniu osobistością jest Tadeusz Niemira, synowiec szefa, trochę Cyrulik sewilski a trochę Don Kiszot. Rozum ma niezmiernie trzeźwy, w wielu kwestyach dobrze widzący; charakter — szlachetny i energiczny. Nie ma jednak przed sobą nic, do czegoby się silnie przywiązał; stąd jego dalekie podróże po Europie, Azyi i Afryce, stąd szukanie ciągłej zmiany i gorączka ruchów. Gdy się znajduje w kraju, jest wujaszkiem całego świata, ale nie widać wcale, żeby się majątkiem i poddanymi swymi zajmował choć trochę. Umysł to koniec końców tak kapryśny i niejednolity jak historya powszechna prawd i błędów ludzkich, ceni na równi Woltera i księdza Chołoniewskiego, Schillera i traktat o fabrykacyi wódki; nieporządna i niesystematyczna lektura odbiła się w urządzeniu mieszkania i w postępowaniu. Radząc wszystkim jak najlepiej, sobie samemu pomódz nie potrafił. Racibor, znany z nieszczęśliwej miłości, smutku i szlachetności, zasypany śniegiem wówczas, gdy dla poratowania rodziny Demborogów wiózł pieniądze, jest figurą mającą wszystkie rysy dodatnie, ale bardzo bladym pociągnięte kolorem. Amilkar, syn starego Demboroga jest znudzonym i znarowionym angielszczyzną egoistą, marzącym jedynie o używaniu, nie dbającym o jutro, projektującym tysiąc rzeczy na godzinę. Zadłuża się ciągle a o spła-

cie długu ani myśli; gotów córkę poświęcić, ażeby komfort sobie zapewnić. Obok tej nadętej próżności staroszlacheckiej staje godnie próżność świeżego pokroju — pan baron, zdzierający trzy kapelusze rocznie na wsi a 52 w stolicy na grzeczne ukłony dla wszystkich, a szczególniej dla tych, co mają tytuły książąt i hofratów. Jest on jednakże czemś zawsze zajęty: oprócz spekulacyj handlowych i pieniężnych, gospodaruje wzorowo, a nawet trudni się cudzymi interesami; ma zaszczyt być członkiem kilku gospodarskich towarzystw, kilku banków, towarzystw uczonych, miłosiernych a w różnych ochronkach i kasach zapomogi dla ubogich jest nawet prezesem. Wszystkich tych szczegółów dowiadujemy się z rekomendującej go charakterystyki: lecz w akcyi występuje tylko jako nadęty, niezgrabny i śmieszny egoista; wedle zapewnień szefa Niemiry — najpodlejszy to szachraj.

Najmłodsze wreszcie pokolenie nietylko już nie ma celu życia, ale skarlało zarówno fizycznie, jak moralnie i umysłowo. Niedołężny, niezaradny, wrażliwy syn szefa, Adaś, nie może postawić kroku bez cudzej porady. Papinkowaty Lolo jest maminym synkiem bez hartu ducha, bez woli, powiedziećby nawet można, bez mózgu. Są to wprawdzie chłopcy grzeczni, ogładzeni, cnotliwi; umieją się nawet pojedynkować; ale do działania jakiegobądź zupełnie niezdolni. A ten, który jest do niego zdolny, Edward, dorobkiewicz, wnuk kuchty-złodzieja, należy do kategoryi ludzi bez sumienia. Nieszczególna to zresztą zdolność. Intrygant nibyto przebiegły, we własne łapie się sieci; zaślepiony namiętnostką, poświęca dla niej, nie wiadomo po co, i swój egoizm (wystawia się bowiem na upokorzenia) i majątek i stosunki. Nibyto wykształcony, a największe popełnia omyłki w zarządzie domowym, zaprowadza reformy gospodarskie, które go rujnują, daje się oplątać nietylko Drabikowi, nietylko Kopytkiewiczowi, ale nawet Ernestynie, istocie nerwowej i ekscentrycznej.

Albo bierność albo podłość — oto cechy młodego pokolenia galicyjskiego przed 1846 r. wedle Kaczkowskiego. Skutkiem tego majątki upadały i z rąk szlachty przechodziły na własność przekupniów, nie związanych z ziemią żadnymi węzłami. I tu jak co do demokracyi powiedzieć można, że tak było w pojedyńczych wypadkach, ale że straszny i przerażający stan umysłów i nagromadzonych bogactw nie mógł cha-

rakteryzować ogółu. Kaczkowski był przeciwnikiem dorobkiewiczów jak wszyscy ówcześni powieściopisarze; widać to ze sposobu, w jaki wystawia barona i Edmunda. Nie zastanowił się więc nad tem, że bez idei dorobku niema właściwie cywilizacyi; gdyż (mówiąc tylko o jednem jej szczególe) wszystkie rody znakomite dorobiły się kiedyś znaczenia i majątku. Że dorobek ten zawdzięczały mieczowi lub dyplomacyi, to w niczem nie zmienia kwestyi. Różnica czasów dostatecznie usprawiedliwia różnicę środków. Dorobek z szydła czy z łokcia równie jest dobrym, równie szlachetnym, chociaż niekiedy nie tak wzniosłym jak dorobek z miecza, byle tylko człowiek pozostawał tym samym, t. j. cnotliwym. Bardzo często tak nie jest, gdyż człowiek, zajęty zbieraniem grosza, staje się nieczułym samolubem, albo przebiegłym szalbierzem. Ale zważmy także, że długa niewola włościan była skutkiem przewagi oręża, a ucisk i nadużycia, któremi wojownicy sławy się dobijali, mogą być w pewnej mierze na równi postawione ze zdrożnościami nowożytnego przemysłu i handlu. Jeżeli więc szlachcie dzisiejszej jako ogółowi nie wytykamy gwałtu, za pomocą którego przodkowie jej doszli do majątku; nie wytykajmy podłości i szachrajstwa *ogółowi* dorobkiewiczów. Nie przeszkadza to jednak artyście wystawiać ludzi złych i zepsutych, nie przeszkadza moraliście gromić błędy i zdrożności, byle obaj, opierając się na faktach pojedyńczych, nie uogólniali ich i nie nadawali im znaczenia reguły powszechnej. Statystyka kryminalna przekonywa nas, że tylko pewien procent społeczeństwa należy do liczby większych i mniejszych zbrodniarzy; nie bądźmyż surowsi od nieubłaganych cyfr i nie zarzucajmy zbrodni tym, którzy ulegają tylko słabościom, nie nazywajmy grzechem tego, co jest tylko śmiesznością; a prawda i sprawiedliwość nic na tem nie ucierpi.

W „Bajroniście" marzycielstwo bezcelowe i bezczynne zostało osmagane. Epoka, w której bajronista Miron żył i mógł działać od r. 1825—1837, była najświetniejszą chwilą rozkwitu i wzrostu poezyi narodowej. Kaczkowski nie dotknął tej myśli ani jednem słowem; o zasługach tylko Brodzińskiego, niby nieocenionych należycie, napomknął przez usta Mirona w kilku nieumotywowanych ogólnikach, że „jego zasługi przeszły dzisiaj w wielkiej części na jego następców, którzy z jego spuścizny zręczniej a może i głośniej umieli korzystać", że główna

idea nowego zwrotu w poezyi w Brodzińskim tylko była całkiem czysta i swoja; a u późniejszych, choć niezawodnie wznioślejszych i większych twórców, jest już połowa prawie naleciałości obcych i że tylko nieznajomość poetów angielskich i niemieckich może nie widzieć tych strumieni uczucia i myśli, które z gór obcych przeprowadzono w rzek naszych koryta. Szczególne to i doprawdy zadziwiające zamiłowanie bajronisty w utworach spokojnego wsi śpiewaka! Trzeba do tego dodać, że słowa powyższe pisał Miron już po wydaniu „Pana Tadeusza".

Miron był naturalnie potomkiem starożytnej rodziny. Dzieckiem, odznaczał się dziwną fantastycznością, duszą pełną przeczuć i widzeń cudownych. Wychowanie odebrał staranne i z pozoru bardzo systematyczne. Ojciec jego, człowiek zasad surowych, z początku arystokrata, później wraz z przemianą na chrześcijańsko-postępowego odznaczający się pobłażaniem, nie wywarł nań żadnego wpływu. Toż samo Chrewta, ideał żelaznej konsekwencyi i wytrwałości, nieposzlakowanej uczciwości i wielkiego hartu duszy, umysłu szerokiego i trzeźwego, pomimo, że się zajmował edukacyą Mirona, żadnego ze swoich przymiotów i zasad w nim nie zaszczepił. Jeden tylko łzawy guwerner de Toutrien przelał nań swą uczuciowość, która się zamieniła następnie w kapryśną żądzę hołdów pod działaniem utworów Byrona. Kaczkowski więc, jak się zdaje, uważał oględne i systematyczne wychowanie za rzecz bardzo małej wagi w ukształceniu duszy człowieka, gdyż tylko usposobienie naturalne i atmosfera duchowa czasu może mieć pod tym względem według niego decydujące znaczenie, tak jakby edukacya nie była jednym z przejawów atmosfery duchowej.

Jako młodzian, Miron jest próżniakiem, marzycielem, pochlebcą w razie potrzeby: ma być dowcipnym, lecz ani w rozmowach, ani w listach jego dowcipu nie widać; co więcej grzeszy nawet brakiem przenikliwości, jak się to pokazuje z rozmowy z senatorową, która potrafiła weń wmówić, że tylko sposobem próby obrała go za cel swoich zapałów... Lubi się bawić w jakiemkolwiek towarzystwie i wszystkich kocha z początku; a dziecinna miłość dla Minki w ogniu bojowym z r. 1831 zupełnie się wypaliła. Zawód ogólny dotknął i jego, chociaż doprawdy trudno zgadnąć, dlaczegoby w nim mianowicie doszedł do punktu, w którym się rozpacz poczyna. Że

miał serce czułe a umysł fantastyczny, to prawda: ale i to także prawda, że był lekkomyślny i samolubny; a na takie natury tylko zawody osobiste oddziaływają. Potrzeba mieć jawnych lub urojonych nieprzyjaciół, ażeby z podobnem do Mironowego usposobieniem zostać bajronistą. Tymczasem jedyny Mirona osobisty zawód stanowi nieszczęśliwa miłość dla Talii; lecz on, co parę innych miłości tak lekceważył, nie mógł się ugiąć pod jego ciężarem; tembardziej, że, jak się później przekonywamy, cenił w Talii tylko wdzięki zewnętrzne, nie zaś przymioty duszy. O Mironie i wszystkich jemu podobnych umysłach mówi Chrewta: „Ci ludzie rzuceni są na tę ziemię tak jak losy fantowej loteryi rzucone do urny. To jest *nihil*, mości dobrodzieju. Przy niektórych loteryach nihile są ozdobione daleko piękniej niżeli losy wygrywające — on należy do takiej loteryi: ozdoby z wierzchu, ale pusto we środku. Jest to beczka, która jest pełna różnego złocistego rupiecia, ale ta beczka nie ma ani dna ani wieka; co dzisiaj wrzucisz wiekiem, dnem do jutra wyleci i nie zostawi po sobie śladu. Jest to zresztą kocioł z gorącą wodą, pod którym pali się ustawicznie; cokolwiek weń wrzucisz, będzie się zaraz gotować, ale też i rozgotuje się zawsze na miazgę i wyparuje za dobę“. Otóż taki charakter, pozbawiony zdolności do jakiegokolwiek czynu, trawi się wewnętrznie, ubiega się za uciechami, czuje nudę okropną, tuła się bezcelowo po całym świecie, nigdzie ani spokoju, ani pokarmu dla duszy znaleźć nie mogąc, zgrywa się, goni marę dawnej miłości i, zrobiwszy w końcu dobry uczynek, umiera.

Andrzej Edward Koźmian nie widzi w Mironie istotnego bajronisty. „Młodzież — powiada — na którą duch Byrona wpłynął, inną była; nie była ona wcale marzącą jak Miron na zamku, romansową i kochającą, jakim się okazuje w salonach lwowskich; lecz była pełna dumy, goryczy, niepokoju ducha, pełna szyderstwa i żalu do świata“ [1]). Istotnie, zdaje mi się, że Kaczkowski popełnił omyłkę. Miron jego nie jest reprezentantem całego byronowskiego kierunku, lecz jednostką mierną, albo co najwięcej średnich zdolności, która wyłącznie przez kaprys autora musiała nosić cierniową geniuszu

[1]) „Dziennik Warszawski“, 1856, Nr. 57. Korespondencya „Z nad Bystrzycy“.

koronę. Bardzo to trudno przedstawić poetę, którego dzieł nie znamy, który był zatem poetą tylko dla małego kółka znajomych i przyjaciół. Potrzeba wszystkie okoliczności jego życia tak dokładnie obmyśleć, ażeby prawda wewnętrzna jego natury, a więc, jeżeli nie gienialność, to wielki talent przynajmniej — nie stanęła w kolizyi z tem prostem pytaniem: gdzież są owoce sławionego geniuszu, czy talentu?... Nie może tu być oczywiście mowy o samem tylko tak zwanem usposobieniu poetycznem, które bywa udziałem ludzi, z wierszami nic nie mających wspólnego, ale o rzeczywistej poetycznej działalności, która nie mogła, lub nie chciała występować na zewnątrz.

Chwila ta, w której tworzył Kaczkowski, jako odznaczająca się przewagą beletrystyki w literaturze, obfitowała w powieści, przedstawiające poetów i artystów. Kraszewski pisał swoją „Powieść bez tytułu", Korzeniowski „Garbatego", Morzkowska „Nowego Gladyatora", Niewiarowski „Laokoona", że pominę kilku innych pisarzy o wiele mniejszego talentu, znaczenia i wpływu. Podnoszono nieznanych artystów do ideału, opisywano ich walki wewnętrzne i rozterki z otaczającym światem, zimnym, egoistycznym a czasami brudnym; wieńczono laurami nikomu nieznane talenta z takim entuzyazmem, z jakim nikt nie wieńczył znanych powszechnie. Pośród nich odznaczył się wielką szlachetnością i tęgością charakteru „Garbaty" Korzeniowskiego; inne były to mniej więcej patologiczne objawy słabości, niedołęstwa, a jeden nawet — zepsucia. Wszędzie atoli rozbiór duchowej, wewnętrznej istoty tych artystów był powierzchowny i płytki, albo też tak mglisty, niejasny i niekonsekwentny, że nikogo nie mógł przekonać o ich gienialności a nawet o wielkim talencie, lecz tylko — z wyjątkiem „Garbatego" — o płaczliwej lub butnej pretensyonalności.

Kaczkowski nie był szczęśliwszym od swoich poprzedników i następców w skreśleniu i umotywowaniu wewnętrznej natury bohatera; lecz wskutek przewagi wyższego nastroju nad drobnostkami salonowemi i wskutek odmalowania kilku oryginalnych figur, takich jak Chrewta i Regimentarz, nadał swojemu utworowi cechę wyróżniającą go od wszystkich innych tego rodzaju. Inne (a mianowicie Kraszewskiego), przewyższają go w szczegółach życia potocznego, w rysunku

postaci średniej, albo żadnej inteligencyi; lecz pod względem tonu całości muszą mu ustąpić.

Pomijając „Stacha z Kępy", jako utwór mniejszej wagi, w którym Kaczkowski zalecał wieśniakom słuchać pana i plebana a nie piąć się do wyższego stanu; pozostaje mi powiedzieć słów kilka o „Rozbitku". Wszystkie żywioły, składające tę powieść, znane są z poprzednich utworów. Główny bohater Karol, który słuchając nauk doktrynera demokratycznego Skiby, brał udział w zwichniętym a zużytkowanym przez rząd austryacki ruchu roku 1846, przebywszy dwa lata więzienia, nie staje się wprawdzie zwolennikiem zasad ściśle arystokratycznych, ale szuka podstawy w rozwoju szlachetczyzny i ideę pracy organicznej na roli, zalecaną w „Dziwożonie", wprowadza w praktykę. To też dom w Zawisłoczu był wzorem dla innych. „Na dnie ich życia siedziała skrzętna, wyrachowana praca; lecz nad nią unosił się uszlachetniony duch ludzki w całej swojej swobodzie i wspaniałości".

Przedstawicielem arystokracyi niepoprawnej, pogrążonej w przesądach, choć uczciwej i szlachetnej, jest hrabia Izydor, który zna dobrze dążenia postępowe, ale nie może się z niemi pogodzić i zżyć. Stąd istnienie jego jest szeregiem nudów nieznośnych. Wierzy on w „krew", choć oczywiście najnowszej teoryi dziedziczności nie zna, a gdyby ją znał, to pewnieby potępił jako owoc mrzonek postępowych. Wie, że zginąć musi, lecz się tem wcale nie zraża i przyjmuje ten cios jako przejściową fazę zmiennego losu; do pracy wśród zmienionych warunków, do pracy drobnej, mrówczej nie czuje ni siły, ni pociągu. Woli się we wspomnienia dziejowe zawinąć i z godnością rycerza, choć nie z jego walecznością i energią, czekać przeznaczenia.

O świecie kobiecym we współczesnych powieściach Kaczkowskiego mimochodem tylko wspomniałem, gdyż on istotnie w wielkim jego bilansie społecznym nie stanowi znacznej pozycyi. Jako istoty bierne służą kobiety albo własnym jedynie namiętnościom, albo też stają się nagrodą szlachetnych mężczyzn; same przez się nic nie znaczą. Dzielą się one na dwie wielkie grupy: zalotnych intrygantek i truś niewinnych.

Pierwowzorem pierwszej grupy jest Kamila w powiastce „Kato"; bliższe jej określenie podał Kaczkowski w Adeli („Dziwożonie"). Jest to rozpustnica, myśląca wyłącznie o do-

godzeniu zmysłom i zachciankom, jest to intrygantka zręczna i bezczelna. Tegoż samego rodzaju jest baronowa we „Wnuczętach“; a starszą odmianą — marszałkowa w „Dziwożonie“, senatorowa w „Bajroniście“ i inne.

Drugą grupę reprezentuje Hania w „Dziwożonie“, istota cicha, skromna, niewinna, ale zarazem gąska parafialna bez szerszych myśli i uczuć gwałtowniejszych. Jej odmianę stanowią: Mania we „Wnuczętach“, Hermina w „Bajroniście“, Józia w „Rozbitku“. Cechą ich najogólniejszą — mdła uczuciowość i słaba inteligencya.

Odrębne miejsce zajmuje Talia, która przedstawia ten sam typ, co Melania w „Grobie Nieczui“: zręczna, salonowo wykształcona, dobra muzyczka, pełna uczucia, ale ostatecznie słaba, bez żadnej energii, jak to się najlepiej okazuje w scenie z mężem, gdy ten zastał ją razem z Mironem. Emancypacyjne do pewnego stopnia idee przedstawia Ernestyna we „Wnuczętach“; cała jej jednak emancypacya zasadza się na pogardzie opinii światowej i na wrzącem, niespokojnem uczuciu.

Wogóle można zauważyć, że postaci kobiece nie mają u Kaczkowskiego dobitnej charakterystyki; autor, zdaje się, tak jak jego Miron, uważa kobiety za wieczne zagadki i nie sili się wcale na wyjaśnienie ich natury. Nie lubując się w przedstawieniu namiętności, nie mógł też rozwinąć przed nami obrazu ani jednej istoty niewieściej ze świata współczesnego, którąby żywą plastyką wrażała się w naszą pamięć i silny w niej ślad pozostawiła. Jako moralista, nie widział Kaczkowski potrzeby wprowadzania kobiety w świat samoistnej działalności; idea też pracy kobiecej nie pojawiła się u niego wcale. Tylko w rodzinie, tylko z mężem stanowi kobieta według niego, jakąś pozycyę w bilansie społecznym.

Wielka doniosłość kwestyj, podjętych przez Kaczkowskiego w powieściach współczesnych, zaszkodziła ich stronie artystycznej. Refleksye, rozumowania, rozprawy na temat abstrakcyjny zajmują w nich miejsce naczelne; charaktery zaś, sceny, akcya nieśmiało się ruszają, jakby zawstydzone swą rolą. Takie obszerne utwory, jak „Dziwożona“ lub „Wnuczęta“, które w pierwszem wydaniu po cztery spore tomy obejmowały, są osnute na treści powieściowej nadzwyczaj szczupłej, dającej się opowiedzieć w krótkości. To więc, co rozwlekłością nazywamy, oczywiście musiało tę malutką treść rozdąć

do żądanych rozmiarów. Szerokie, drobnostkowe, a suche zazwyczaj opisy miejscowości, mieszkań i osób; powtarzanie kilkakrotne relacyj o tymże samym wypadku; dysputy nie zostające w bezpośrednim stosunku z główną powieści osnową a przeciągane aż do znużenia: oto środki, za pomocą których dokonywało sią owo rozdymanie.

Powtóre Kaczkowski, zaprzątnięty abstrakcyjnemi myślami, nie przywiązywał wielkiej wagi do kreślenia charakterów, które miały być tylko uosobieniem pewnych idei i przekonań lub ich braku. Cóż go obchodziły szczegóły charakterystyczne, będące wynikiem duchowego ustroju *jednostki,* kiedy mu szło przedewszystkiem o odmalowanie a raczej odrysowanie *ogółu?* Z tej samej przyczyny nie obmyślał należycie scen, lecz je zupełnie przygodnie, jak mu się same nastręczały, przedstawiał. Pod względem korzystania z nich miał on bezwątpienia więcej rozwagi, aniżeli najlepsi nawet nasi powieściopisarze; ponieważ jednak brakło mu talentu umiejętnego zużytkowywania szczegółów charakterystycznych, scenowanie jego jest raczej nużące, niż ożywiające, trwa bowiem długo, a nie przedstawia dla imaginacyi koniecznej świeżej karmi. Brak żywotności w przedstawianych figurach sprawia, że i sceny martwemi się wydają, tak że np. we „Wnuczętach“ dwie tylko pozostają w umyśle: scena czytania testamentu i otwarcia skarbu, tudzież scena śnieżnej zawiei i śmierci Racibora. W tym samym mniej więcej stosunku wyrazistości znajdują się sceny w innych powieściach współczesnych Kaczkowskiego.

Potrzecie układ powieści po większej części jest wadliwy. Przerywanie opowiadaniią i nawracanie ku niemu po pewnym przeciągu czasu, w którem mówiło się o czem innem; brak proporcyi pomiędzy pojedyńczemi częściami i nieumiejętność w skupieniu efektów: są to wady najogólniejsze powieści Kaczkowskiego ze stosunków spółczesnych, wady obniżające a nawet unicestwiające interes i wrażenie, jakie utwory jego z powodu myśli przewodnich wywrzeć były mogły. To też nigdy one nie miały takiego powodzenia jak opowiadania Nieczujowskie i podlegały mniej więcej surowej krytyce. Spółcześni nie umieli zazwyczaj ocenić ważności przedstawionych przez Kaczkowskiego kwestyj; żądni byli natomiast ładnych obrazków; ponieważ ich nie znajdowali, lekce-

ważyli zatem utwory, które artystyczną obsłonką gardziły. Najmniej zarzutowi temu mógł podlegać „Bajronista“; w nim bowiem dyskusye wynikały z samej natury bohatera, a oprócz tego nie brakowało oryginalnych i nieźle utrzymanych charakterów, które się w odpowiednich scenach ukazywały. Sytuacye, co prawda, są tam powszednie; a co więcej jednostajne, gdyż składa się na nie życie domowego zacisza, bal, gra w karty, pojedynek; ale też znajdują się rzeczy malownicze a nowe: np. jazda Mirona na koniu po galeryach zamkowych. Najsłabszym artystycznie jest „Rozbitek“, w którym niepodobna nawet dopatrzyć jakiegoś porządnego układu. Ażeby dać pojęcie, jak się Kaczkowski zaniedbał w artyzmie, dość przytoczyć, że w połowie trzeciego tomu, t. j. już przy końcu powieści sam oświadcza, iż charakteru bohaterki głównej, Józi, jeszcze nie znamy i wtedy dopiero przedstawia nam dzieje jej rozwoju. Mało co lepiej wyszedł na staranności autora bohater Karol. I tak „Rozbitek“, utwór Kaczkowskiego dojrzały pod względem *myśli i przekonań*, przedstawia się nam jako wyborny okaz *suchot artystycznych.*

VI.

Od roku 1860, kiedy się po raz pierwszy ukazali „Żydowscy“ [1]), Zygmunt Kaczkowski zaprzestał pisać powieści, a oddał się publicystyce. Grono przyjaciół jego postanowiło założyć dziennik polityczny we Lwowie i powierzyć kierunek jemu i Ludwikowi Skrzyńskiemu. Założenie dziennika wymagało najprzód podróży do Paryża i Warszawy, albowiem nowe pismo nie miało być „przedsiębiorstwem publicystycznem we właściwem takim przedsiębiorstwom znaczeniu, tylko widomym sztandarem nie mogącego jawnie wystąpić politycznego stronnictwa, które się składało z 72 najznamienitszych obywateli kraju, a którego celem było utrzymanie agitacyi w granicach

[1]) Wydanie książkowe tej „kroniki rodzinnej“ wyszło dopiero w r. 1872 (Lwów, nakład F. H. Richtera, 2 tomy). Autor, pisząc słówko wstępne do tej edycyi, dobrze scharakteryzował jej publicystyczne tylko znaczenie, a w końcu nawet zauważył, „że gdyby to wszystko wykreślił, co mu się dzisiaj wydaje przestarzałem lub źle napisanem, z całej książki zaledwieby kilkanaście kartek zostało“. Sąd to zbyt surowy, samemu jedynie autorowi dozwolony.

legalności i niedopuszczenie do kroków gwałtownych". Wróciwszy z podróży w pierwszych dniach grudnia 1860 r. do Lwowa, Kaczkowski z d. 1 stycznia 1861 zaczął wydawać ten dziennik p. t. „Głos". Wkrótce jednak zarówno on, jak i Skrzyński i kilku innych, co przy nich wytrwali, spostrzegli, że przedsięwzięli rzecz niemożliwą; kiedy bowiem z jednej strony agitacya rewolucyjna we Lwowie wzięła wtedy do tego stopnia górę nad wszystkiem, iż potrafiła redaktora i zwolenników „Głosu" okrzyczeć jako odstępców i zdrajców; z drugiej strony towarzysze Kaczkowskiego zaczęli się wobec tej agitacyi coraz więcej chwiać i rozpierzchać. Pod koniec czerwca zaledwo kilku wytrwało przy wywieszonym sztandarze; wówczas Kaczkowski, widząc, że cel wydawnictwa został chybiony, postanowił zginąć z honorem, „choćby i łba przytem nadstawić". Umieścił więc w dzienniku namiętną korespondencyę z Warszawy; rząd austryacki zamknął dziennik, a redaktora uwięził w początku lipca.

Więzienie ciężkiem nie było; pozwalano czytać i pisać; tylko nie wolno było otrzymywać listów ani rękopismów. Wśród takich to okoliczności dokonał Kaczkowski pracy, rozpoczętej w r. 1859, p. t. „Kobieta w Polsce". Pierwszy jej tom oddał był do druku Spółce żytomierskiej jeszcze w początkach r. 1861; drugi zaś, w znacznej części z pamięci, napisał w więzieniu. Pierwszy tom wydrukowano w Żytomierzu 1862 r., ale w obieg księgarski nie puszczono; tom drugi ocenzurowano 3 kwietnia 1862, lecz już do druku nie oddano z powodu, iż składy i księgarnia Spółki zostały zamknięte. Dopiero w r. 1895 Kazimierz Grendyszyński, księgarz w Petersburgu, nabywszy egzemplarze tomu I-go i rękopism II-go, ogłosił oba i w świat puścił. Jakkolwiek dzieło to, pisane tak dawno, ma liczne usterki pod względem i faktów i poglądów, jest jednakże do dziś dnia jedyną pracą obejmującą całość historycznego rozwoju losów kobiety naszej, pisaną pięknie i wymownie, pełną uwag i poglądów wartych rozwagi [1]).

Po wyjściu z więzienia w grudniu 1862 roku, Kaczkowski, lubo dawniej był przeciwnikiem ruchawki rewolucyjnej, po jej wybuchu, któremu zapobiedz nie było oczywiście w jego

---

[1]) Szczegółowszą charakterystykę tej pracy podałem w przedmowie do drugiego tomu „Kobiety w Polsce".

mocy, uważał sobie za obowiazek wziąć w niej udział. W samej walce nie uczestniczył, ale udał się do Wiednia i założył rodzaj biura dyplomatycznego. Niechętni mu, na podstawie błahych w najwyższym stopniu dowodów, oskarżyli go o zdradę. Dowiedziawszy się o tem, wyjechał Kaczkowski 26 grudnia 1863 r. do Lwowa i przez cały miesiąc domagał się sam zwołania jawnego sądu, ale napróżno. Podczas jego nieobecności we Lwowie, naczelnik lwowskiego okręgu, bez upoważnienia i wiedzy rządu narodowego i pełnomocnego komisarza na całą Galicyę, zwołał sąd tajny i rozstrzygnąwszy równość głosów swoją własną afirmatywą, wydał wyrok skazujący autora „Rozbitka“ na wygnanie r. 1864. Wyrok ten został następnie skasowany i rzecz cała do ponownego osądzenia Karolowi Ruprechtowi oddana. Ten rozpatrzywszy się w doręczonych sobie papierach i nie znalazłszy w nich materyałów dostatecznych do wytoczenia oskarżenia, urzędu prokuratora nie przyjął, roli oskarżyciela z tych samych powodów nikt inny podjąć się nie chciał, sąd, mogący sądzić prawnie, zwołanym być nie mógł, gdy oskarżenia nie było; to też Kaczkowskiemu doręczono 6 grudnia 1864 roku urzędowy paszport dla wolnego powrotu do kraju. Autor nasz, zebrawszy dokumenta, ogłosił je wraz ze swemi objaśnieniami w broszurze zatytułowanej: „Rewolucyjne sądy i wyroki“ (Paryż. 1866).

Kaczkowski do Galicyi nie wrócił, lecz osiadł w Wiedniu. Jak dawniej Michał Wiszniewski, tak teraz on oddał się operacyom finansowym; był atoli szczęśliwszym od tamtego: dorobił się znacznej fortuny, a jakkolwiek podczas głośnego krachu w r. 1873 dużo stracił, pozostało mu jednak tyle, że przeniósłszy się do Paryża, mógł dalej przedsiębiorstwa prowadzić i zająć tam w świecie bankierskim jako Mr. de Pomian wybitne stanowisko. Nieznane są nam szczegóły tej strony działalności Kaczkowskiego, a byłyby one wielce ciekawe ze względu na to, żeby nam częściowo przynajmniej wyjaśniły, jakim sposobem ziemianin i literat mógł zostać finansistą i mieć powodzenie.

Od r. 1866 przez lat 12 nic nowego Kaczkowski drukiem nie ogłosił; to też interesujący się rozwojem literatury ojczystej niezmiernie byli zaciekawieni, gdy „Gazeta Polska“, w r. 1878 obudziwszy z długoletniej drzemki literackiej głośnego niegdyś powieściopisarza, ogłosiła, że zacznie drukować nowy jego

utwór pod dość zagadkowym napisem: „Graf Rak“. Istotnie ciekawą było rzeczą, jak się przedstawi umysł niepospolity po tylu latach trudów, cierpień, radości, a wogóle doświadczeń wszelakiego rodzaju; jak patrzyć będzie na zmienione pod bardzo wielu względami stosunki społeczne; jak traktować zechce ten świat wyobraźni, te kształty, duchem artysty i myśliciela do życia powoływane, które tyle szlachetnych rozkoszy ludziom przynoszą...

Gdy po długiem oczekiwaniu ukazały się pierwsze numery z „Grafem Rakiem“, można było wprawdzie zauważyć, że autor widocznie jest zmęczonym, znużonym, wychłodłym, ale zarazem niepodobna było nie przyznać, że myśl jego rozpatruje się w widnokręgach szerokich, szerszych nawet od tych, jakie dawniej ogarniała; że talent jego skupił się iześrodkował, pozbywając się rozwlekłego gawędziarstwa o rzeczach powszednich, a potęgując treściwe, faktyczne niemal przedstawianie osób i wypadków. Rozpoczęcie powieści było zajmującem i efektownem, pomimo, że autor na efekt wcale się nie wysilał, opowiadając sposobem prostym to, na co patrzył. Ta scena pełna tragiki, w której wśród obozu, rojącego się od ludzi, wystąpił ojciec zrozpaczony, wołając o synów swoich, co wbrew jego życzeniu do armii włoskiej się udali, i ten drugi człowiek obojętny, szyderczy, co z ironią na rozpacz jego patrzał, ta scena, powiadam, należy do najświetniejszych, jakie Kaczkowski kiedykolwiek utworzył. A dla ocenienia jej pamiętać trzeba, że to się dzieje podczas przygotowującej się wojny Włochów z Austryakami, że potem indywidualne cierpienia, indywidualne uczucia łączą się tu misternie z cierpieniami i uczuciami ogólniejszego znaczenia; stąd wrażenie potęguje się, bo scena owa porusza najróżnorodniejsze a przytem najdźwięczniejsze struny serca...

W miarę atoli, jak powieść rozwijać się zaczęła, przestała zajmować; od chwili, w której „Graf Rak“ wdał się w rozmowę z autorem, a za jego pośrednictwem z czytelnikami, ujawniły się dawne braki talentu Kaczkowskiego. Autor wziął do obrobienia temat wielki i ważny, pojął go głęboko i zasadniczo: i wpadł w najsuchszy, jak tylko można, dydaktyzm. Wykład astronomii pozytywnej i hipotetycznej, prowadzony bezwątpienia z talentem, zapełniał po kilka numerów z rzędu i stanowił bądźcobądź twardy do zgryzienia orze-

szek — nietylko dla mlecznych, ale i dla dojrzałych zębów. Zapewne, wykład ten miał swoje znaczenie w powieści, nie był wtrącony bezcelowo, nie rozpływał się w rozumowaniach oderwanych, lecz szedł z biegiem akcyi — do pewnego stopnia przynajmniej; mimo to przecież, zarówno pod względem artystycznym jak i filozoficznym, za chybiony poczytanym być musi.

Pod względem artystycznym ma on charakteryzować osobę główną w powieści, „Grafa Raka“. Człowiek ten — to typ najnowszy w społeczeństwie europejskiem, jakiego ani starożytność, ani średnie wieki, ani nawet pierwsza połowa stulecia naszego nie znały. Niezmiernie bogaty, znający mechanikę stosunków ludzkich na wylot, zwłaszcza w zakresie przemysłu i handlu, lubiący żyć z komfortem, wierzący wyłącznie tylko w potęgę rozumu, a lekceważący porywy serca i fantazyi, ukształcony w wysokim stopniu — a w dodatku specyalista. Tak jest, specyalista; nie ma on wprawdzie stopnia doktora, nie wygłasza prelekcyj na żadnym uniwersytecie, nie nurza się w pyle książkowym i owszem, żyje i używa życia; a pomimo to zna jedną naukę doskonale, stosunkuje się z ludźmi uczonymi całej ukształconej Europy i w razie potrzeby mógłby zastąpić jakiego docenta. Nie mogąc wśród olbrzymiego rozgałęzienia drzewa umiejętności w naszych czasach oddać się naukom wszystkim, wybrał dla siebie z taktem nietylko wielkoświatowym, lecz i filozoficznym naukę, która od epoki Kopernika zrobiła przewrót we wszystkich naukach nietylko przyrodniczych, ale i historycznych, naukę najbardziej skończoną z pomiędzy nauk przyrody — astronomią. Zna on w niej najnowsze rezultaty i teorye, a idea walki o byt, przeniesiona z ziemi na niebo, stanowi oś, około której wszystkie jego rozumowania się obracają...

Dotąd wszystko jest w porządku. Powieściopisarz stworzył postać nową, oryginalną, pełną prawdy, mogącą zainteresować nawet najwybredniejszy umysł w naszej mianowicie literaturze, gdzie taki rozpaczliwy brak charakterów wyższych czuć się daje. Jest to figura znakomita, pod pewnym względem — nawet skończona. Ale cóż? Postać ta w pomyśle i w kilku scenach prezentująca się wyśmienicie, staje się nudną przez maniacką niemal żądzę produkowania swej wiedzy astronomicznej wobec czytelników. Że tak w rzeczywistości

bywa, że istotnie człowiek zamiłowany w nauce, napotkawszy powolnego słuchacza, który go choć trochę rozumie, wypowiada głośno swe myśli, to jeszcze nie racya, ażeby te głośno wypowiedziane myśli powtarzać w utworze artystycznym. Charakterystyka bowiem człowieka wskutek tak rozwlekłego traktowania zamiast stawać się wyraźniejszą i dobitniejszą, rozpływa się we mgłę, bo się staje tautologiczną. Artystycznie rzecz biorąc, daleko lepiej przedstawiłby się nam „Rak", gdyby więcej działał i gdyby to, co mówi, miało cechy zwięźlejsze, bardziej skoncentrowane, słowem — gdyby rozmowa nie przemieniała się w rozprawę.

Pod względem filozoficznym astronomia „Grafa Raka" miała przy współudziale krytycznym autora i życia dowieść niesłuszności pretensyi nauk przyrodniczych wogóle, a astronomii w szczególności do przepisywania trybu postępowania istotom ludzkim, miała być obroną wolnej woli, cnoty, sprawiedliwości i wszelkich zresztą pojęć i uczuć, składających się na wytworzenie moralności wśród ludzi. Kaczkowski poszedł za dość pospolitym dzisiaj poglądem, jakoby zdobycze nauk przyrodniczych, wykładane materyalistycznie, stanowiły bezpośrednią przyczynę tak zwanego materyalizmu praktycznego, którego naczelną zasadą jest interes własny, jakimikolwiek środkami, byleby tylko prawnymi, poszukiwany i osiągany. Tymczasem jest w tem dość gruba pomyłka. Jeżeli bowiem wogóle oskarżanie nauk teoretycznych o złe skutki praktyczne jest niezbyt uzasadnionem, to co do teoryj materyalistycznych w szczególności pamiętać trzeba, że zwolennicy ich od najdawniejszych czasów zalecając jako cel życia — rozkosz, użycie itp. nie sformułowali go przecież w postaci interesu osobistego. Wiadomo, przecież, że pierwszy Adam Smith, bynajmniej nie materyalista, nietylko formułę ową wypowiedział, ale co ważniejsza za podstawę ekonomiki ją przyjął. Odtąd aż do najnowszych czasów, ekonomika to, a nie nauki przyrodnicze lub materyalizm teoretyczny, zbudowała cały system postępowania społecznego, wyłącznie na interesie własnym oparty. Jeżeli zaś niektórzy materyaliści w naszej epoce przyjęli tę formułę, to ulegli tylko silnemu prądowi datującemu bezwiednie i praktycznie od chwil niepamiętnych, a świadomie i teoretycznie od końca zeszłego stulecia; zatem mając już robić zarzut jakiejkolwiek nauce teoretycznej, prędzej mo-

żnaby się z nim zwrócić do ekonomiki niż do astronomii. Dzisiaj i w ekonomice zaczynają się spostrzegać uczeni, że za podstawę nauki wzięli niedowiedzione przypuszczenie, że głównie dla największego uproszczenia badań przyjęto jeden tylko z czynników woli ludzkiej, ale, że w rzeczywistości dzieje się inaczej, bo tam biorą udział wszystkie jej czynniki...

Z historycznego więc punktu widzenia Kaczkowski nie ma słuszności, przedstawiając nauki przyrodnicze jako źródło materyalizmu praktycznego; walczyć atoli mógł na gruncie dzisiejszych stosunków, i tak też zapewne pojął swoje zadanie. Ale i tu w rozumowaniach okazał się słabym i o ile zna dobrze astronomią, o tyle psychologią, do której w latach dawniejszych miał wstręt wielki, dość powierzchownie obejrzał. Przez cały ciąg opowiadania zbiera się na odpowiedź swemu astronomowi; ale zawsze coś mu przeszkadza, a gdy ją wreszcie mógł wygłosić, ograniczył się na tym jedynie aforyzmie, że nie można stosunkami natury martwej mierzyć stosunków ludzkich, bo ludzie, „mają od natury wyryte w swem przyrodzonem uczuciu i w swojem sumieniu całkiem inne filozoficzne zasady". W tem właśnie sęk. Astronom nie był przecież tyle naiwnym, ażeby bez żadnych danych miał utożsamiać stosunki ludzkie ze stosunkami martwej natury, tylko robił to dlatego, że je najściślej ze sobą jednoczył. Zdaniu Kaczkowskiego o przyrodzonych uczuciach moralnych mógł „Graf Rak" przeciwstawić wprost przeciwne zdanie i poprzeć je tysiącem argumentów, a że tego nie zrobił, to już tylko dowodzi wielkiej grzeczności... dla autora powieści.

Właściwą odpowiedź dało naszemu astronomowi dopiero życie samo, wykazując wyraźnie, że oprócz interesu dobrze zrozumianego, który według teoryi miał kierować wszystkimi bez wyjątku postępkami ludzkimi, istnieją jeszcze sprężyny inne, biorące swą siłę z bogatej w namiętności przyrody ludzkiej. „Graf Rak" jest to natura pozbawiona z pozoru wszelkich uczuć; nie wzrusza go ani straszna rozpacz ojca, który widzi naprzód synów nieposłusznych swej woli i idących na wojnę przeciw państwu przez siebie obsługiwanemu, a potem dowiaduje się o ich okropnej śmierci; nie rozrzewnia go boleść matki tych synów, która dostaje łagodnego obłąkania; on we wszystkich tych wypadkach dostrzega jedynie stronę korzystną dla siebie, jakby z danych

okoliczności zrobić najszerszy użytek... Co więcej, człowiek ten nie troszczy się ani o wychowanie swej córki, którą powierza opiece mieszczan paryskich, ani o jej los; gdy ją wykradł syn owych miejskich opiekunów, mechanik, nie martwi się tem wcale, nie myśli biedz w pogoń, idzie mu tylko o to, czy fabryka jego idzie dobrze bez nadzoru mechanika, a przekonawszy się, że tenże zostawił zastępcę, o nic już nie dba, będąc zadowolonym, że miał tak przezornego... zięcia. A przecież i ten zimny, wśród gwiazd, liczb i fabryk żyjący astronom ma także jedną stronę, która go łączy ze wszystkimi śmiertelnikami, kocha żonę, ubóstwia ją, nie przypuszcza ani na chwilę, żeby mu niewierną być mogła, otacza ją zbytkiem najwyszukańszym, okazuje dla niej posłuszeństwo niemal dziecinne wraz z ślepem dziecinnem przywiązaniem. W tem jednem uczuciu nie powodował się on własnym dobrze zrozumianym interesem; w tem jednem uczuciu okazywał się człowiekiem, całkowitym, rzeczywistym, a nie abstrakcyą, mniej lub więcej ułomną. To też, gdy dowiaduje się niespodziewanie o jej niewierze, gdy słyszy przyznanie się otwarte z własnych jej ust, traci przytomność umysłu, pozbywa się chłodnej rozwagi i staje się zwierzęciem, żądnem krwi na chwilę. Ale nie na tem koniec. On tak ślepo kocha swą żonę, że przebaczyłby jej wszystko, byleby nadal żyć z nim chciała; — i umiera wtedy dopiero, gdy się dowiaduje, że go porzuciła...

Przeciwieństwem „Raka“ jest... Raczek, jak go autor, może za żartobliwie trochę, tytułuje. Młodzieniec ten, to typ polskiego sangwinicznego usposobienia wśród szlachty: przystojny, zręczny, zdrowy, rumiany, uczuciowy, łatwo ulegający silnym wrażeniom, a zatem zmienny w przedmiotach uwielbienia i miłości, żądny czynu nie tyle dla idei jakiejś, ile dla zużytkowania nadmiaru sił żywotnych, a zatem znajdujący się wszędzie, gdzie można rycersko się popisać; szlachetny we wszystkich innych względach prócz spraw miłosnych; obdarzony rozsądkiem chłopskim czy szlacheckim, ale nie rwący się do nauki, ruchliwy, ale nie wytrwały. Autor młodzieńca takiego bardzo wysoko ceni i spodziewa się po nim doskonałego gospodarza i obywatela; każe mu przechodzić różne życia koleje, ażeby nabrać doświadczenia; pozwala mu nawet kochać się w żonie krewnego swego, „Grafa Raka“, i stać się *pośrednią* przyczyną jego gwałtownej śmierci; wyprowadza go

ze wszelkich kłopotów i zawikłań po żołniersku rozcięciem węzłów a nie ich powolnem rozplątywaniem, uszczęśliwia go wreszcie ręką ukochanej dziewicy i daje do zrozumienia, że odtąd jego ulubieniec pójdzie drogą prostą i spełni jego o nim marzenia... Gdyby autor artystycznie tylko postać tę traktował, gdyby ją przedstawiał jako jeden z okazów polskiej natury; łatwoby mi było uznać w niej piękną, jakkolwiek wcale nie nową, bo wprost niby z „Pana Tadeusza" przekopiowaną kreacyą; ale ponieważ oprócz artystycznej przyjemności, Kaczkowski chce jeszcze dać naukę moralną, to zauważyć muszę, że ideałowi jego nic a nicby nie zaszkodziło trochę nauki, trochę rozwagi „Grafa Raka".

W tych dwu postaciach streszcza się główna myśl, a zarazem główna osnowa powieści; pomiędzy niemi rozgrywa się dramat wewnętrzny, któremu nie brak ani tragicznych, ani komicznych momentów. Dramat ten atoli, prócz chwil kulminacyjnych, ukryty jest przed oczyma czytelników; muszą go oni sami sobie w wyobraźni wypełnić, muszą jego perypetye własnem sercem odczuć, bo autor dziwnie niezręcznie, jak na doświadczonego pisarza, użył w tym utworze formy pamiętnikowej, przedstawiającej to tylko, na co autor sam patrzał, co sam słyszał i czego doświadczył. Skutkiem tej formy powieść pozbawiona została analizy psychologicznej i tego artystycznego zaokrąglenia, jakieby otrzymać mogła, gdyby przedstawione w niej osoby żyły niejako wobec wszystkich i we wszystkich chwilach, a nie wobec autora w pewnym danym momencie. Kaczkowski dla zachowania prawdopodobieństwa, to się rozstaje ze swojemi osobistościami na czas dosyć długi, to rysuje je tylko z wierzchu, o ile w pewnej sytuacyi mu się przedstawiły, to słucha opowiadania o zaszłych w czasie jego niebytności wypadkach. Podróżuje wprawdzie dużo, znajduje się i we Florencyi i w Wiedniu i w Paryżu i w wielu innych miejscach, ażeby módz jak najwięcej o bohaterach swoich powiedzieć, ale koniec końców przedstawia nam ich urywkowo tylko, nie daje nam historyi ich umysłu i serca, ale fragmenta, że tak powiem, statystyczne. W końcu występuje nawet z roli, i ostatnią scenę, jedną z najlepszych, w której się rozstrzygają losy bohaterów, musi opowiedzieć na wzór wszystkich powieściopisarzy, jako nieobecny, ale wszechwiedzący obserwator — z głębi swojej wyobraźni. To

wypadnięcie z roli psuje harmonię całości, i robi uszczerbek w kompozycyi.

Opowiadanie całe trzymane jest w tonie trzeźwym, chłodnym, niemal sprawozdawczym; a wierność w relacyi zdarzeń posunięta do tego stopnia, że dosyć długie nawet rozmowy podawane są w języku francuskim, jeżeli w nim były prowadzone, z odcieniami nawet dyalektycznymi. Zachwytów, uniesień, poetycznych opisów niema tu wcale: refleksyj nawet własnych autora prócz tych, jakie w rozmowie z „Rakiem“ wypowiada, brak zupełnie; jest to rys stanowczo odróżniający dawne powieści Kaczkowskiego z epoki współczesnej od utworu, o którym mowa.

Życie, jakie autor przedstawił, nie ma nic prawie wspólnego z tem, które stanowi zwykły temat powieści naszych. Jesteśmy prawie ciągle wśród sfer arystokratycznych dawnego i nowego pokroju; dyplomaci, jenerałowie, ekscelencye, bankierzy przesuwają sią przed naszemi oczyma, czasami tylko ustępując miejsca mieszczaninowi paryskiemu i jego żonie, albo wojskowemu niższej rangi, który zapomniał po polsku, a po francusku się nie nauczył.

Polacy, tu występujący, przedstawiają się jako na pół albo zupełnie wynarodowieni; myśli ich i dążności są ogólno europejskie, nie mając w sobie żadnej cechy odrębnej. Wyjątek stanowi młody Raczek i ojciec „Grafa Raka“, w którym autor dał nam poznać dawnego znajomego z jego poprzednich powieści, tj. człowieka zacnego, rubasznego, trochę zabobonnego, nie cierpiącego zagranicy i lubiącego wychodzić z trudności sztuką krzyżową.

Jeżeli teraz zsumujemy wszystkie wrażenia, jakich doznajemy, czytając „Grafa Raka“, i jeżeli je porównamy z temi, które z dawniejszych powieści, malujących epokę współczesną, na nas działały: to nie trudno będzie spostrzedz znaczną pomiędzy niemi różnicę. Wprawdzie jak tu tak i tam jest jakaś ogólna tendencya, nadająca utworowi artystycznemu pewne znaczenie publicystyczne; wprawdzie tak tu jak i tam ludzie są przeważnie argumentami dla dowiedzenia tezy, a nie istotami żyjącemi same przez się w całem bogactwie (lub ubóstwie) natury swojej; — ale w dawniejszych powieściach autor siedzący wśród społeczeństwa swego brał pod rozwagę objawy grup całych, gdy tymczasem w utworze obecnym

zastanawia się nad wypadkiem pojedyńczym, nad *jednostkami* w ścisłem znaczeniu wyrazu; boć taki Rak nie przedstawia nam jakiegoś ogólnego typu Polaków żyjących za granicą, ale jest indywiduum, które wśród szczególnych jedynie okoliczności wykształcić się mogło. Jeżeli dawniejsze powieści były patologią społeczeństwa, to ta jest patologią jednostek. Z tego punktu patrząc na ten utwór, nie będziemy się nawet sprzeczali o to, czy Kaczkowski właściwą nadał rolę zwolennika nauk przyrodniczych człowiekowi już w wieku, który wykształcenie swoje ukończył dawno przed rokiem 1860; bo chociaż ruch przyrodniczy na ogół nasz mianowicie, dopiero około tego czasu działać zaczął, to jednostki mogły się nim zajmować o wiele wcześniej. Z tego też punktu „Graf Rak", nie stanewiąc artystycznie pięknej całości, zasługuje na uwagę jako popularny rozbiór kwestyj bardzo pobieżnie i nadzwyczaj powierzchownie w beletrystyce naszej uwzględnianych, choć one, wpływając na umysły współczesnych, wyrabiają w narodzie powoli nowe postaci, zasługujące na odtworzenie w sztuce. „Graf Rak", chociaż nie zadowolni poczucia estetycznego, chociaż podjętej kwestyi nie rozwiązuje, może jednak w umyśle czytelnika wiele, bardzo wiele myśli obudzić, a to jest podług Montesquieu'go niemałą zaletą książki...

W pięć lat potem ogłosił Kaczkowski satyrę polityczno-społeczną p. n. „Teka Nieczui. Posłanie Imć Pana Nieczui do Małych Polaków i Czerwonych Rusinów, a które też i Wielcy Polacy na czas sobie czytać mogą, dla zbudowania i krotochwili". (Tom I, Paryż, 1883, str. 304). Wrócił tu znowuż nasz autor do formy Nieczujowego opowiadania, którą dawniej władał tak znakomicie, ale swego Imć Pana Marcina podkształcił jeszcze więcej, niż to było w ostatnich powieściach chwili poprzedniej. I nic w tem niema dziwnego. Nieczuja nie przemawia tu już do nas z tego, ale z tamtego świata, gdzie żyje i rozmawia z najznakomitszymi mężami XVIII. i XIX. stulecia: Krasickim, Kołłątajem, Niemcewiczem, Koźmianem, Mickiewiczem, Lelewelem i wielu, wielu innymi, którzy gorąco kochając ojczyznę, bardzo pilnie przypatrują się temu, co się tam dzieje na ziemi i o wszystkich sprawach ważniejszych szerokie z sobą toczą rozprawy. Nieczuja, jako był człek ciekawy zawsze, tak też i w raju wielce uważnie przysłuchuje się naradom tylu głów senatorskich albo i lepszych niż sena-

torskie. Więc oczywiście, bawiąc w tak dobranem gronie, nabrał i lepszego niż dawniej rozumienia rzeczy i głębszego nad każdą zastanowienia. A mimo to nie chce on sam bezpośrednio zabierać głosu w sprawach ważnych, lecz tylko pragnie być sprawozdawcą z tego, co widział i słyszał; spisuje więc dokładny raptularz z kilku posiedzeń, na których owi sławni mężowie roztrząsali położenie Galicyi od czasów konstytucyjnych, a zwłaszcza też zachowanie się stronnictwa krakowskiego, Stańczykami przezwanego. Teka Nieczui jest jakoby równoważnikiem teki Stańczyka.

Jak widzimy, forma obmyślona przez Kaczkowskiego do przeprowadzenia gruntownej krytyki polityczno-społecznej była nadzwyczaj wdzięczna dla człowieka z talentem; usuwając bowiem suchość zwykłego rozumowania, nadawała ruch i rozmaitość, wprowadzała niemal akcyę w sferę roztrząsań, a przytem dozwalała malowniczemi opisy miejscowości i osób dostarczać karmi wyobraźni. I nie można powiedzieć, żeby Kaczkowski nie wyzyskał tak szczęśliwie obranej formy. Teka Nieczui czyta się z zajęciem wielkiem prawie jak powieść; a są w niej obrazy tak wspaniałe i piękne, że równych im mało jest w naszej literaturze. Całość atoli nie robi na czytelniku prawdziwie artystycznego wrażenia; znajdują się w niej bowiem cząstki nieskładne i niesforne, które ją paczą a nawet w niektórych miejscach rozbijają. Wprowadzając na scenę osobistości znane z historyi, potrzeba było koniecznie zachować ściśle znany ich, a ostatecznie na ziemi wyrobiony charakter; potrzeba im było takie tylko w usta wkładać słowa, jakie się z ich przekonaniami, które za życia poznać dali, zgadzają. A tymczasem Kaczkowski bardzo sobie dowolnie pod tym względem postąpił. O wierną charakterystykę wielkich postaci, które wprowadził, niewiele się troszczył, a co do ich poglądów, to niekiedy przyznawał im takie, jakich oni nigdy nie głosili, bo były ich usposobieniu i przekonaniom przeciwne. Nic tu nie nada tłómaczenie, iż w tamtem życiu zmienić się mogli, bo to byłaby fantastyka całkiem w poważnem dziele niewłaściwa. I sama miejscowość, w której osoby owe rozprawiają, nie ma ściśle oznaczonego charakteru; stąd też i zmiany tam zachodzące wydają się zupełnie dowolnym a nawet kapryśnym wymysłem autora.

Tyle co do formy, a co do treści, to spotykamy znane

już nam poglądy Kaczkowskiego, zastosowane do tych okoliczności politycznych, wśród których znajdowała się Galicya. Jako wróg oligarchii, bardzo surowo osądził Stańczyków wogóle i poszczególe, zarzucając im, bez obwijania w bawełnę, iż gwoli własnym interesom, dopuścili się podczas wojny wschodniej r. 1876—1878 denuncyacyi względem własnego społeczeństwa. Jako gorący patryota potępił działalność Zmartwychwstańców, przekładających interesa władzy kościelnej nad sprawy i dobro kraju. Jako obywatel pragnący wszystkie siły zaprządz do pracy wspólnej, krytykuje postępowanie Polaków z Rusinami w Galicyi, a za jedyny środek zażegnania burz przyszłych podaje przyznanie Rusi tych wszystkich praw, które Polacy posiadają, kładąc bardzo silny nacisk na konieczność innego, serdeczniejszego zachowania się szlachty względem ludu ruskiego. Jako realista postępowy uważa wywieszenie u nas sztandaru zachowawczego za bezsens, bo to, co jest do zachowania na prawdę, to jest język, ziemię i wiarę ojców, zachowuje jak kto może, najmniej zaś dzisiejsi konserwatyści, co język kaleczą, wiarę udają a ziemię sprzedają; niedbalstwo zaś tradycyjne, lenistwo, ciemnotę ludu, niegospodarstwo, próżność rodową, niezdatność do handlu, nieudolność w przemyśle — to wszystko nie konserwować, ale wykorzeniać coprędzej należy.

Autor obiecał, że w miarę potrzeby dalsze tomy Teki wydawać będzie; ale za życia nie ogłosił ich wcale; podobno jednak wygotował tom drugi; zabrał natomiast głos w kwestyi literackiej i sam wrócił do tworzenia powieści historycznych.

W r. 1884, gdy powieść Sienkiewicza „Ogniem i mieczem" wyszła w osobnej odbitce, Kaczkowski w szeregu listów do A. Z. napisał bardzo obszerne i bardzo szczegółowe nad nią uwagi. Pod względem objętości przypominała ta praca młodzieńczy list tegoż autora o „Deotymie w Krakowie", ale pod względem nastroju była od niego całkiem odmienna. Gdy w owym liście sypał hiperboliczne pochwały, tu mówiąc ze szczerem, ale rozważnem uznaniem o znakomitym talencie młodego powieściopisarza, wytykał równocześnie wielkie wady zarówno w pomniejszych jego nowelach jak i w „powieści z dawnych lat". Nie na miejscu by tu było powtarzanie zarzutów szczegółowych co do układu, opisów i charakterów,

ale niepodobna nie wspomnieć o zarzucie ogólnym. Największym błędem powieści „Ogniem i mieczem“ jest, zdaniem Kaczkowskiego, brak w niej myśli dziejowej; ciało historyi odtworzone tu zostało pięknie, niekiedy wspaniale, ale ducha w niem niema. Uzasadniając doniosłość tego zarzutu, Kaczkowski uogólnia swe wymagania od powieściopisarza historycznego w słowach następujących [1].

„Zapewnie, że nie każdemu jest dane, kto wziął pióro lub pędzel do ręki, objąć całą ideę dziejową i ożywić jej duchem obraz przedstawionej epoki; ale zawsze mamy prawo wymagać, abyśmy widzieli przynajmniej usiłowanie, ażebyśmy przynajmniej spostrzegli zrozumienie najwyższej dla historycznego powieściopisarstwa zasady, a zasadą tą jest: iż właściwem zadaniem historycznego poety nie jest to, ażeby tę lub ową dobę dziejową w jej odosobnieniu wiernie odtworzył, ale przeciwnie, aby przedstawił, jak duch dziejowy, jak gieniusz narodu się w danej epoce i w danych wypadkach wyraził. Jednem słowem dziejowa myśl powinna być celem, a epoka środkiem, a nie odwrotnie. Takie pojęcie zadania poety, pracującego na polu historyi, jest bezwątpienia nowszych czasów nabytkiem. Wiek dziewiętnasty ducha dziejów tak dobrze odsłonił, jak archeologowie powygrzebywali guziki i sprzączki najdawniejszych kaftanów rycerskich. Dzisiaj też słusznie się wymaga od powieściopisarzy historycznych odtworzenia przedewszystkiem ducha dziejów, a obraną przez nich epokę uważa się tylko jako miejsce i środek, w którym i zapomocą którego ten duch ma się wyobrazić przed nami. Przed laty trzydziestu pojęcia te znajdowały się jeszcze zaledwie w stanie przeczucia, lecz dzisiaj stały się już udziałem umiejętnej krytyki u wszystkich oświeconych narodów; dowiedlibyśmy zatem tylko, iż nie dotrzymujemy kroku postępowi oświaty ogólnej, gdybyśmy ich nie uczynili także naszą własnością“.

Takie względem innych stawiając wymagania, usprawiedliwiał się Kaczkowski ubocznie z braków powieści swych dawniejszych, ale zarazem poddawał się ciężkim warunkom na wypadek, gdyby się napowrót wziął do uprawy tej niwy od tak dawna przez siebie zarzuconej. Jakoż wieść, iż Kaczkowski pisze powieść z czasów Jana Sobieskiego obudziła

[1]) Zob. „Wędrowiec“, 1884, Nr. 42.

wśród inteligencyi bardzo poważne zainteresowanie, gdyż każdy był ciekaw, czy i o ile krytyk Sienkiewicza uczynił zadość wielkiemu zadaniu, które powieściopisarstwu historycznemu naznaczył.

Gdy się oczekiwany ciekawie „Abraham Kitaj" (1886) drukować zaczął, nie potrafił zająć uwagi czytelników w takim stopniu, w jakim interesowały powieści Sienkiewicza; nie można w nim było odnaleźć ani tej plastyki charakterów, ani tej barwności kolorytu, ani tych szczegółów zajmujących, co w utworach Litwosa, a tok opowiadania bywał niekiedy nudnie kronikarskim. Wybrawszy temat opowieści z tej chwili dziejowej, w której Polacy poraz ostatni za bytu Rzeczypospolitej zabłysnęli wielkim czynem dziejowym na widowni europejskiej, gromiąc Turków pod Wiedniem, nie mógł oczywiście autor pominąć faktu tego milczeniem, ale zamiast użyć całego swego talentu na jego zobrazowanie, wolał go przedstawić sucho i bezbarwnie, topiąc go tym sposobem w morzu drobiazgów życia rodzinnego i towarzyskiego. Tym sposobem ominął samochcąc sposobność ujęcia sobie czytelników, za pośrednictwem przemówienia do ich serc i wyobraźni wspomnieniem świetnych czynów przeszłości.

Ale tu właśnie nasuwa się pytanie, czy Kaczkowski nie zrobił tego umyślnie. Wszak nie wszystko, co jest poczytne i popularne, już przez to samo za doskonałe uznane być winno; wszak nie wszystko, za czem ogół przepada, na uczczenie głębszej uwagi zasługuje. Może autorowi chodziło o dokonanie zadania donioślejszego niż rozciekawienie czytelników lub schlebianie ich upodobaniom?... Może w myśl swojej teoryi powieściopisarstwa historycznego pragnął przedstawić przedewszystkiem ducha dziejów z całą możliwą dokładnością, a chcąc tego dopełnić, nie mógł opisowi wiktoryi wiedeńskiej nadać większego znaczenia, niż je miała w rzeczywistości?

Jakoż jeżeli z tego punktu widzenia rozejrzymy się w „Abrahamie Kitaju"; to nas owo kronikarskie przedstawienie zwycięstwa pod Wiedniem razić już tak bardzo nie będzie. Zwycięstwo to jak meteor zalśniło na chmurnem niebie Rzeczypospolitej, ale ani chmur, coraz większymi zastępami zbierających się, nie rozproszyło, ani tem bardziej słońca lepszej przyszłości nie ukazało. Ani przez króla ani przez naród nie było ono wyzyskane pod względem politycznym, ani zewnę-

trznie, co do stanowiska Rzeczypospolitej wobec potęg europejskich, ani wewnętrznie co do urządzenia skarbu, wojska i wymiaru sprawiedliwości. Jak przed niem, tak po niem Polska była już czemś bardzo mało znaczącem w Europie, a we wnętrzu swojem też same miała czynniki rozstroju, tylko że się one z każdym lat dziesiątkiem powiększały. Gdyby Kaczkowski uczynił był zwycięstwo wiedeńskie środkowym punktem powieści, to niewątpliwie mógłby artystycznie podnieść ją znacznie, a przytem połechtałby przyjemnie uczucie dumy narodowej; aleby się był minął z prawdą historyczną i nie odtworzyłby owego ducha dziejów, co za przedniejsze zadanie utworu takiego poczytywał. W niczem nie ujmując doniosłości samemu faktowi, wolał jednak obok niego postawić dalsze trzy niepomyślne wyprawy przeciwko Turkom z jednej strony, a z drugiej odmalować rozmaite choroby, na które Rzeczpospolita cierpiała. Obok dzielności i odwagi w boju, obok szlachetności charakterów, przedstawił więc niekarność, prywatę, samowolę, nieradność społeczeństwa, a przedewszystkiem słabość siły wykonawczej, która sprawiała, że postanowienia i wyroki były przedmiotem naigrawania się większych i mniejszych łotrzyków.

Na tak zrozumianem tle czasu, daje się dopiero należycie zrozumieć awanturnicza historya Abrahama Kitaja.

Ten mieszaniec z ojca Polaka, matki Węgierki, ochrzczony Abrahamem, na pamiątkę oszukaństwa ze strony teścia względem zięcia, wychowany po śmierci rodziców przez kasztelana Fredrę, już młodzieńcem zdradzał namiętne a burzliwe usposobienie, kiedy się puszczał w zaloty do żony swego opiekuna. Rozstawszy się z nim, przebył szkołę życia w rozmaitych okolicach kraju i zagranicy, wyćwiczył się w rzemiośle wojennem, wypolerował w formach towarzyskich, nauczył się mówić kilkoma językami, wygimnastykował umysł, nabył takiej zręczności i układności, że gdy tylko chciał, potrafił nawet najrozważniejszych wywieść w pole i przychylnie dla siebie usposobić... Wędzidła religijne i moralne pozrywał, w Boga nie wierzył a za jedyne prawo etyczne poczytywał siłę i własne zachcianki. A miał tych zachcianek sporo, gdyż pragnął, ażeby wszyscy i wszystko według jego woli się układało. W wyprawie wiedeńskiej wziął udział, i zaraz w pierwszem natarciu tak się odznaczył, iż zwrócił na siebie uwagę króla,

nie tem, żeby karnością celował, bo przeciwko niej zgrzeszył ale tem, że się na niebezpieczeństwo rzucił z lwią odwagą. Miał on już po odniesionem zwycięstwie ułożony plan połączenia się z Węgrami i natarcia na Niemców, chciał plan ten osobiście królowi przedstawić, ale gdy go kasztelan Fredro do Sobieskiego nie dopuścił, zawrzał gniewem i okazał niebawem, że gotów działać na własną rękę. W nieszczęśliwej bitwie pod Parkanami, gdy inni uciekali, i on uciekał także; ale na wspomnienie, ażeby pozostał przy królu, odpowiedział wobec Jana III., że gdy króla zabiją, to Polacy wybiorą sobie innego, a gdy jego samego zabiją, to go król nie wskrzesi — i sunął dalej. Nie myślał on jednakże jeszcze opuszczać obozu polskiego, ale gdy zwierzchnik zwlókł odpowiedź na jego pytanie, czy może wrócić pod chorągiew, oddał się całkiem pomysłom swojej fantazyi. W drugiej zwycięskiej bitwie pod Parkanami już udziału nie wziął, a zebrawszy obfite łupy, o które zawsze nadzwyczaj chciwie się ubiegał, pociągnął do kraju. Na granicy Węgier i Polski stoczył w obronie swych łupów utarczkę z bandą rozbójników, herszta ich, żyda Wulfa powiesił, a osiadłszy w swym majątku, zaczął się rozglądać po sąsiedztwie, starając się przedewszystkiem afekt Krzysi Borawskiej, narzeczonej swego brata, który dostał się do niewoli tureckiej, ku sobie zwrócić i znacznym jej posagiem fortunę swoją podeprzeć. Tak zręcznie i tak umiejętnie sprawą tą się zajął, że zjednał sobie ze wszystkiem i Krzysię i jej matkę, a nawet jej ojca odludka, który rojąc reformy Rzeczypospolitej, nie rymujące z usposobieniem braci szlachty, za waryata był przez nią podawany. Przed matką, córką, roztaczał swoje bogactwa, czem ujmował ich oczy i wyobraźnię, oraz znajomość świata i układność towarzyską, czem podbijał ich serca. Wobec ojca rozwijał poglądy, jakby z głowy Borawskiego wyjęte, wykazując potrzebę uczynienia z ludu polskiego potęgi politycznej, którąby można było przeciwstawić samolubnej i niekarnej szlachcie i tym sposobem dojść do utrwalenia rządu silnego. I byłby osiągnął cel swój łatwo, bo już wszyscy uważali jego brata za przepadłego, a Krzysia całą duszą lgnęła ku niemu, gdyby nie ta niesforna fantazya, która go unosiła niekiedy poza granice przez rozum wytknięte. Raz zachciało mu się wobec Borawskiego usprawiedliwić opryszków przez postawienie na równi ich grabieży z postępowa-

niem rycerzy na wojnie, a wyciągnięty przez swego rozmówcę na słowa, przyznał się, że w Boga nie wierzy, i że za jedyne prawo uważa siłę. Wtedy odludek, który nie był wprawdzie religiantem i ze świętych podżartowywał nawet potrosze, ale który wiarę w Opatrzność i w moc zasad moralnych uważał za fundament uspołecznienia, odnalazł w sobie duży zapas energii i nietylko odprawił przewrotnego Abrahama ze swego zacisza, ale nadto powrócił do dawno opuszczonego dworu, gdzie żona z córką przebywały. Postawił straż i nie dozwolił przestąpić wrót swoich temu, co miał się niebawem z jego Krzysią małżeństwem połączyć. A gdy brat Abrahama Rafał potrafił uciec z niewoli i przybył do kraju, zakrzątnął się coprędzej Borawski, by Krzysia wyszła za niego.

Zakipiała wtedy krew w Kitaju i pobudziła do zerwania ze społeczeństwem uczciwem. Już on i dawniej miał bandę z rozmaitych włóczęgów złożoną, z którą łotrował po Węgrzech, ale teraz ją zwiększył, werbując do niej nawet szlachtę chodaczkową i zaczął palić wsie i miasteczka, ażeby się zemścić na tych, co mu byli wstrętni lub też z łupów nagromadzić takie bogactwa, któreby mu starczyły na utrzymanie poważnej siły zbrojnej i zapewnienie sobie tym sposobem bezkarności.

Wobec takiego szlacheckiego opryszka okazuje się w całej smutnej okazałości bezradność społeczeństwa i niemoc urzędu. Napróżno kasztelan Fredro zbiera szlachtę, by obmyśliła środki zapobieżenia dalszym pożogom i rabunkom; za środkami takimi są ci jedynie, w sąsiedztwie których najbliższem zdarzyły się owe klęski; inni zaś dalej mieszkający nietylko o zebraniu siły zbrojnej nie myślą, ale jeszcze przedrwiwają zbyt wielką płochliwość kasztelana. Gdy zaś przekonano się, że sprawcą nieszczęścia jest Abraham Kitaj, to tylko mała garsteczka ludzi z różnych powodów, najczęściej osobistych, nieprzyjaźnie względem niego usposobiona, myśli o pozbyciu się łotra i oddaniu go w ręce sprawiedliwości. Gdy wskutek zeznania samego króla o obrazie majestatu przez Abrahama, został wyjęty z pod prawa ten, co praw nie szanował, wyrok pozostał tylko wyrokiem, z którego Kitaj się naigrawał. Ogół szlachty nie myślał o ściganiu brata szlachcica, w obawie utraty swojej złotej wolności. Trzeba szczęśliwego wypadku na to, żeby Abraham został schwytany, gdy w zameczku gra-

nicznym podstępnie zdobytym kapitan Mleczko, który z Kitajem oddawna miał na pieńku, beczułkę prochu zapalił. Związany, odstawiony do starosty sanockiego, który miał także złość do Kitaja za szpetne pokiereszowanie mu syna, już ma być stracony, ale i tu się okazuje nieudolność w wymiarze kary. Skutkiem braku dozoru i niekarności służby zamkowej, Abraham z więzienia wychodzi sobie swobodnie przy pomocy swej bandy, a kat ścina głowę jakiemuś żydowi.

I na kilka lat niknie nawet wieść o Abrahamie. Nie próżnował on jednak. Udał się na Mołdawię i tam po swojemu politykę traktował. Gdy Sobieski odbywał wyprawę wołoską, celem zdobycia tronu dla królewicza Jakóba, znalazł się Kitaj na tyłach wojska polskiego, hetmaniąc uzbrojonemu oddziałowi; nie zależąc od nikogo, oddawał on niemałe usługi wojsku, gdyż dzielnie prażył Tatarów, ale też dbał o swoje interesa, bo niemniej dzielnie łupieżył. Zdawało się, że Kitaj chciał się owemi usługami zrehabilitować w oczach szlachty, boć to nie był rozbójnik zwyczajny, tylko szlachcic z gorącą fantazyą. Już król zwrócił uwagę na niego, i już się Abraham zbliżał do króla, ale zawsze po swojemu z butą i obcesowo, gdy mu znów jak po zwycięstwie wiedeńskiem kasztelan Fredro stanął na zawadzie, powiadając mu, żeby odesłał swą asystencyę i wprzód się opowiedział komu należy, ażeby posłuchanie u króla uzyskać. Niecierpliwy Abraham buchnął obraźliwą przymówką i nastąpił pojedynek; Kitaj zginął nie od miecza, ale z ręki tego, któremu młodzieńcem chciał żonę zbałamucić. Był to przodek tego niespokojnego ducha, „Mężem szalonym“ przezwanego, którego dzieje Kaczkowski dawniej w formie Nieczujowego opowiadania rozwinął.

Taki to okaz rozbujałego indywidualizmu i nieokiełznanej swobody wysunął Kaczkowski na plan pierwszy swego utworu, ażeby uwydatnić ten najsilniejszy pierwiastek rozkładowy, jaki się we wnętrzu Rzeczypospolitej znajdował. Wobec tego zgubnego pierwiastku, inne z dobrych i wpływowych stają się obojętnymi, w działaniu swem nieskutecznymi. A jest ich niemało, bo powieściopisarz chciał wszechstronnie obraną przez siebie chwilę dziejową odmalować.

Jest tu Sobieski, żołnierz nie mający sobie równego w swoim czasie, wódz znamienity, a często nawet miewający pomysły natchnione, ale nieudolny mąż stanu, czasem zręczny

w kabałach, ale nie posiadający ani umiejętności badania przyczyn, ani daru przewidywania odległych wypadków, ani stałości w raz powziętych zapatrywaniach, do tego próżen wszelkiej organizatorskiej zdolności!

Jest tu Borawski, człowiek z umysłem jasnym i głębokim, który widział dokładnie złe nurtujące w Rzeczypospolitej i podawał zbawienne środki do zapobieżenia mu, środki takie, jakie statyści wieku XVIII. wygłosili następnie, ale będąc w poglądach swoich osamotnionym, ogłoszony za waryata, nie oddziaływał na ogół i tylko w rozmowach prywatnych opinię swoją wypowiadał.

Jest tu i szlachcic-rycerz, Rafał Kitajgrodzki, który może być uważany za przedstawiciela młodzieży szlacheckiej, bijący się dzielnie, nie myślący wiele, nie dbający o wygody, ale też nie pragnący żadnych zmian w ustroju Rzeczypospolitej. Gdy za młodu trochę sobie krwi upuści, osiada na roli, gospodaruje i staje się potem podobnym do Fredry, dobrego człowieka, dobrego sąsiada, powolnego królowi, gdzie idzie o sprawy kraju, ale nie garnącego się ku niemu z własnej chęci i o reformach nie myślącego.

Jest tu jeszcze jeden młodzieniec szlachecki należący do rodzaju domatorów, co lubią wygódki i chętniej jeżdżą karetami niż wierzchem, co na wyprawy wojenne się nie kwapią, lubo ostatecznie do wojenki wstrętu wielkiego nie czują, i gdy już koniecznie potrzeba, to się bić będą odważnie. Jego ojciec, starosta sanocki, lubi hulać i weselić się, a urzędu swego niezbyt pilnować. Gdy mu dokucza podagra, sprasza dwunastu bernardynów, i każe im śpiewać pieśni nabożne, a przytem pić wino, przekonany jest bowiem, że jak bernardyni, naśpiewawszy się, nalawszy winem, już chodzić nie będą mogli, to on wtedy wstanie i rzeźwo się rozrusza, jakby podagry nie miał nigdy.

Jest i biskup i władyka, jest kapitan zameczku granicznego, i kilku sług starych szlacheckich, są żydzi, jest kozak; słowem jest taka obfitość osób i sytuacyj możliwych, że gdyby Kaczkowski chciał był wszystkie należycie rozwinąć, treści wystarczyłoby mu na parę dużych tomów. Ale powieściopisarz wolał być zwięzłym, by tem wydatniej owa myśl dziejowa tj. smutny stan Rzeczypospolitej w końcu wieku XVII. wystąpiła na jaśnią. Pomylił się. Gdyby był artystycznie swe

zadanie rozwinął; gdyby był wprowadzone osoby i zdarzenia nie po kronikarsku zbywał, ale je malował naprawdę: to wówczas myśl dziejowa, którą chciał wyrazić, daleko widomiej niż obecnie stanęłaby przed wyobraźnią i rozumem czytelnika, tak ze autor nie potrzebowałby w epilogu pisać do niej komentarza. Komentarz to dobry i rozumny, ale w utworze artystycznym mniej właściwy.

Co się tyczy języka i stylu, to, Kaczkowski ściśle wykonywał to, co w krytyce Sienkiewicza jako wymaganie postawił. Powiedział on tam słowa następne: „Mnie się zdaje, że odtwarzanie języka wieku w tekscie powieści nietylko nie jest potrzebnem, bo przecież dzisiejszym językiem można daleko dokładniej opowiedzieć, jak się te rzeczy działy i wyglądały, niżeli niedostatecznie wyrobionym językiem dawniejszych wieków, ale jest także zasadniczo niedopuszczalnem, bo w takim razie powieść z tych wieków, które nie pozostawiły po sobie pomników językowych, byłaby niemożebna, kiedy tymczasem pewnie nikt nie zaprzeczy, iż może się zjawić pisarz, który doskonałą powieść napisze z czasów Bolesławowskich lub Kaźmierzowskich. Język współczesny wiekowi może w opowiadaniu tekstu tylko tam być użytym, gdzie ten tekst opowiada człowiek wiekowi współczesny. Natomiast koniecznością jest odtwarzać język wieku w dyalogach, o ile jest to możebne, bo inaczej w prawdopodobieństwo tych dyalogów trudnoby było uwierzyć“. Jest maleńka wprawdzie sprzeczność w argumentowaniu powieściopisarza, ale nie podnosząc jej, należy stwierdzić fakt, że „Abraham Kitaj“ pisany jest wogóle językiem właściwym Kaczkowskiemu, z bardzo rozważnem użyciem archaistycznego ubarwienia, że rozmowy są charakterystyczne zarówno w języku jak i w stylu, ale zarazem dodać, że w rozmowach tych tak samo pragnęlibyśmy widzieć więcej barwności, jak w opowiadaniu zdarzeń więcej artyzmu.

Wkrótce po „Abrahamie Kitaju“ wyszła ostatnia i najznakomitsza powieść historyczna Kaczkowskiego: „Olbrachtowi rycerze“ (1889, Lwów, trzy tomy).

Temat wziął tu sobie nader trudny; obyczaje bowiem, stosunki towarzyskie, pojęcia ludzi, pobudki ich czynów przy końcu XV. wieku, jako dalsze od naszej doby, są tem samem trudniejsze do zrozumienia i odtworzenia, aniżeli analogiczne

fakta z XVII. stulecia. I studyów ku temu potrzeba mozolniejszych i większego doświadczenia życiowego i większej znajomości ludzi i interesów, i wyobraźni nawet silniejszej, ażeby z drobnych stosunkowo śladów odtworzyć żywy obraz uczuć, poglądów i działań tak różnych od naszych. Niejeden fakt z dziejów literatury nowożytnej przytoczyćby można ku stwierdzeniu tej prawdy, że pisarze, którzy doskonale malowali wiek nam bliższy, np. XVIII., stracili większą część swych zalet pisarskich, gdy się brali do przedstawienia epok odległych; dość wspomnieć w tej mierze próby Rzewuskiego i Kraszewskiego.

Kaczkowski miał czas obmyśleć wszechstronnie obrany przez siebie przedmiot, bo jeszcze w pierwszej dobie swojej twórczości robił studya nad czasami Olbrachta w zamiarze utworzenia powieści z tej epoki. Naturalnie, dalsze jego losy i zajęcia nie pozwoliły mu studyów tych ciągnąć systematycznie, lecz prawdopodobnie idea sama utworu osnutego na tle czasów Olbrachtowych, nieraz musiała się zjawiać w jego umyśle, pobudzając go do rozwagi, co i jak miał w nim przedstawić. A gdy po raz drugi wrócił na pole powieściopisarstwa, i gdy mu ponownie przyszła ochota urzeczywistnienia dawnego zamiaru, potrzebował już tylko uzupełnić swą znajomość dziejów przeczytaniem nowych materyałów, które się w przeciągu ostatnich trzydziestu lat ukazały, potrzebował usystematyzować poszczególne pomysły i nadać im artystyczne kształty.

A w ciągu tego długiego lat szeregu, od czasu kiedy w duszy autora pojawiła się pierwsza myśl skreślenia powieści i kiedy ostatecznie miała być wykonaną, zgarnął on takie zasoby doświadczenia, ukształcił tak umysł, już i poprzednio bogaty w wiedzę, że mógł się odważyć na wykonanie trudnego zadania z pewną otuchą powodzenia.

Ale czy mu wyobraźnia będzie posłuszną? Czy myśl i rozwaga nie zaszkodzą świeżości i barwności obrazu, jak to się stało w „Grafie Raku“, a w znacznej części i w „Abrahamie Kitaju“? Zapewne, zapału i werwy dawniejszej już nie odzyszcze; lata nie napróżno uniosły z sobą młodość i jej przymioty; niektóre części utworu stracą na tem niewątpliwie; lecz czyż bogactwo wychłódłej trochę wyobraźni wzmocnione rozległym rozumem, nie wystarczy do stworzenia dzieła,

które miało za zadanie jak najbliżej trzymać się ziemi i być, ile możności, najwierniejszem odbiciem prawdy? Porywać, unosić, nawet żywo zainteresować przeciętnego ogółu czytelników autor nie zamierzał, ale tylko barwnie, malowniczo, plastycznie starać się zbliżyć przed oczy współczesnych obraz cywilizacyi polskiej w różnych warstwach społeczeństwa i na różnym stopniu rozwoju w końcu wieku XV.

I zamiar ten udał mu się w zupełności: „Olbrachtowi rycerze“ — to nie powieść, którąby rozgorączkować mogła, którąby pochłaniać potrzeba, ale śmiało twierdzić można, że niema w literaturze naszej drugiego beletrystycznego utworu, któryby w tym stopniu różnorodność objawów jakiejkolwiek doby w dziejach naszych plastycznie przedstawił jak ona. Porównany z nią *pod tym względem* „Listopad“ Rzewuskiego okaże się ubogim i jednostronnym, chociaż wiadomo, że z naszych powieści historycznych on najwielostronniej jeszcze cywilizacyę naszą z końca XVIII. wieku maluje. Rzewuski nie wyczerpał głównych nawet czynników życia cywilizacyjnego, Kaczkowski zawarł je w „Olbrachtowych rycerzach“ prawie wszystkie, przedstawiając życie i warstw różnych i jednostek wybijających się nad tłumy, dając obrazy i codziennych wypadków i nadzwyczajnych zdarzeń, stosunków powszednich i dziwnie zawikłanych lub wyjątkowych, kreśląc usposobienia prozaiczne, marzycielskie, czynne, ospałe, przebiegłe, wyrachowane, natchnione i mistyczne. A jednak nie zrobił z tych obrazków panoramy tylko, lecz rzeczywistą całość artystyczną, związaną dość silnie dobrze osnutą intrygą powieściową, która pomimo całej nadzwyczajności swojej usprawiedliwiona jest i umotywowana psychologicznie na wszystkich niemal punktach.

Tą więzią, spajającą w całość artystyczną obrazy życia cywilizacyjnego w XV. wieku, jest silna wzajemna miłość dwojga niepospolitych, lecz w szczegółach swego charakteru, postępowania i losów czysto ludzkich istot: Wilczka i Jagienki.

Lenard Wilczek, starosta na zamku Tustań, właściwie Suchywilk, był to na początku powieści młodzian 26-letni, „pięknego wzrostu, ale nie nadto wysoki, a suchej kompleksyi, jak wszyscy jego przodkowie“: kość miał potężną, mięśnie mocne, „a taką sprawność w całej swojej postaci, że w pełnym rynsztunku wskoczyć na konia bez strzemion, albo się

wdrapać na najwyższy cypel wieży, było mu prawie zabawką; twarz także miał chudą, cerę zlekka smagławą, lecz zdrową, nos chrząstkowaty i równy, oczy wyraziste i zwykle bardzo łagodne, lecz czasem dziko błyszczące, wąs niewielki i bródkę przystrzyżoną śpiczasto; zaś swój włos ciemny, bogaty, nosił w kędziorach spadających na plecy, tylko nad czołem go krótko przystrzygał, ażeby w bitwie, gdzie często piersią o pierś trzeba się zetrzeć, jakiś wróg zapalczywy nie mógł go wziąć za czuprynę, co już dla knechta byłoby rzeczą bardzo szpetną, a dla rycerza wcale haniebną". Z usposobienia był popędliwy, porywczy, gwałtowny, więc dążył czemprędzej do postawienia na swojem, do usunięcia jakimkolwiek sposobem przeszkód, stojących mu na drodze; ale miał też w sobie rozwinięty potężnie pierwiastek uczuciowy, skłaniający go do częstej zadumy. „Czasem był cichy, spokojny i zamyślony, a ludzie jego zauważali, że wtedy z duchami rozmawia. W takie dni często wieczorami wykradał się z zamku i nikt nigdy nie wiedział, gdzie bywał... Lecz często głowę nosił wysoko, męczył swoich żołnierzy musztrami, konno i pieszo, kazał występować załodze w miasteczku, opatrywał mury i baszty, burczał wszystkich, tego i owego kazał wrzucić do turmy, a wtedy choćby kto był kasztelanem lub wojewodą, musiał mu zmilczeć, zwłaszcza na jego terytoryum, gdzie też miał juryzdykcyę". Był to słowem, jeden z tych bogatych, świetnie uposażonych pod względem fizycznym i duchowym, sangwinicznych temperamentów, które u nas najczęściej się spotykają. Nie jest to typ według dawnej terminologii estetycznej, ale wielce zindywidualizowany wizerunek typowego Polaka.

Jagienka była to sierota bardzo bogata, piękna, śmiała i energiczna, lecz mniej porywcza, rozważniejsza od Wilczka. Wychowanie klasztorne u panien klarysek uczyniło ją pobożną, ale nie dewotką, nie zraziło jej do świata, lubo go nie dało jej poznać. Zachwycona postacią i zachowaniem się Wilczka, którego poznała na zamku sobieńskim u opiekunów swoich Kmitów, powzięła dla niego miłość najgłębszą, połączoną z czcią niemal. Przez chwilę czuli się oboje szczęśliwi nad wyraz i sądzili, że im ta chwila w całe lata się przedłuży.

Omylili się srodze. Na zamku sobieńskim, kasztelanowa Kmicina była wszystkiem, kasztelan był tylko gębą do wypowiadania zdań o sprawach publicznych. Kasztelanowej Wil-

czek nie podobał się; chociaż więc domyślała się jego miłości dla Jagienki, udała, że jej nie dostrzegła i postępowaniem swojem, oraz ubocznemi napomknieniami sprawiła, że Wilczek nie śmiał złożyć otwartej deklaracyi o rękę ukochanej, ale pomyślał wprzódy o wyszukaniu sobie takiego swata, którego wstawieniu się kasztelanowa oprzećby się nie mogła; miał na myśli króla Olbrachta, wielkie okazującego mu względy. Wyjechał więc, aby do niego trafić, a tymczasem skorzystano z jego nieobecności.

Zjechała na Sobień kobieta „z piekła rodem“, przebiegła i przewrotna, żelaznej woli, i razem z kasztelanową ułożyły małżeństwo między Jagienką a Stanisławem Gniewoszem, serdecznym przyjacielem Wilczka, nie wiedzącym nic o uczuciach tegoż do Jagienki, bo się w tym czasie z sobą nie widzieli, ale mającym w sercu inną miłość, do czarującej mieszczanki z rodu szlacheckiego, pani Formozy, wydanej za Tygranesa Kijasa, syna bogatego kupca ormiańskiego we Lwowie. Ponieważ Tygranes, choć całą duszą do rycerskiego rwący się stanu, nie miał kanonicznie na męża wymaganego przymiotu: można się było wystarać o rozwód; Gniewosz tedy przysiągł Formozie miłość i był zdecydowany bądźcobądź dotrzymać słowa. Atoli o nadziei możności połączenia się z Formozą węzłem małżeńskim nie mógł przekonać matki, któraby zresztą i na to nie zważała, uprządłszy już wprzódy zamiar ożenienia go z Jagienką, bogatą i możnego rodu, z którą zmieszczaniona Formoza porównania wytrzymać nie mogła w jej wyobrażeniu. Znalazł się przytem na Wilczka taki zarzut, który i sumienie głównego opiekuna Jagienki, księdza Chryzostoma Kmity, człowieka ascetyzmowi oddanego i cudami słynącego, skłonił na stronę układów dwu matron: oto Wilczek uwiódł był przedtem Ofkę, córkę Rusina Biłowusa, mającego w charakterze wójta tytuł kniazia.

Dokonała się więc na zamku sobieńskim „średniowieczna tragedya“: dwoje osób z uczuciami w zupełnie odmienne strony zwróconemi, przysięgło sobie formalnie u ołtarza miłość i wiarę dozgonną pod naciskiem władzy rodzicielskiej i opiekuńczej. Jagienka wprost i wyraźnie oświadczyła przed swymi opiekunami, że idzie za Gniewosza z rozkazu a nie z dobrej woli, Gniewosz zaś postanowił w cichości duszy dochować przysięgi Formozie. Tak oboje znaleźli się obrzędowo wobec ludzi

i przepisów religijnych połączonymi, ale w rzeczywistości całkowicie rozdzielonymi. Z takiego stosunku wyniknęły dalsze następstwa.

Wilczka zawiadomić chciała Jagienka o przeznaczonym dla niej losie przed ostatecznym jeszcze krokiem, lecz wybrała posła fatalnie. Był nim obieżyświat dbający tylko o jedzenie i napitek, ksiądz Wara, który za dobrą nagrodę podjął się spełnienia niebezpiecznego zaniesienia listu do Lenarda, lecz mając za co pić, nie śpieszył się i wręczył Wilczkowi zawiadomienie o projektowanym ślubie wtedy dopiero, gdy tenże został już zawarty. Łatwo sobie wystawić wściekłość Wilczka przy jego porywczym temperamencie. Poleciał do księdza Chryzostoma, sądząc, że ten, co go pierwszy do swej pupilki forytował, poprze jego sprawę, ale tu został przyjęty chłodno; asceta wymówił się od dania mu pomocy, wyrzucając mu grzech względem Ofki popełniony. Nie grzech sam jednak był w jego przekonaniu powodem istotnym, ale ta okoliczność, że się rozgłosił. Zawiódłszy się na człowieku, na którego najwięcej liczył, Wilczek wpadł w rozpacz, a że podzielał przesądy swego stulecia jako w niem wychowany, pragnął zapisać duszę dyabłu, byleby tylko mógł osiągnąć cel jedyny pragnień swoich, połączenie z Jagienką. W mniemaniu jego dyabeł, w rzeczywistości sługa sprytny a dziwacznej postaci, zjawił mu się na jego zaklęcia i służył mu wiernie, zbieg zaś wypadków doprowadził do urzeczywistnienia marzeń najgorętszych.

Nastąpiła nieszczęśliwa wyprawa i klęska bukowińska. Wśród niej Gniewosz, który ciągle przemyśliwał nad sposobami uwolnienia siebie i Jagienki od narzuconych więzów, znalazł, jak się zdawało, najlepszy po temu środek. Potrafił wszystko urządzić tak, iżby go miano za umarłego, a chcąc i Wilczkowi dać możność sięgnięcia po rękę Jagienki, sprawił, że temuż właśnie dostał się testament przezeń uczyniony i połowa pierścienia mająca być znakiem dla rządcy zamku Czorsztyńskiego, na którym mieszkała Jagienka, ażeby przed oddawcą bramy otwarto. Uszczęśliwiony Wilczek popędził na Czorsztyn, za okazaniem pierścienia otrzymał wolne wejście, w rozmowach z Jagienką zapomniał o całym świecie, ale świat, reprezentowany tu głównie przez rządcę zamku, nie zapomniał o nim i o przystojności. Dano Jagience i Wilczkowi do

poznania, że ich stosunki bez uświęcenia przez władzę duchowną dłużej trwać nie mogą. Sądzono, że nie będzie w tem przeszkody żadnej; napotkano nieprzełamaną. Testament nie mógł być uważany za dokument świadczący napewno o śmierci Gniewosza; proboszcz najbliższy odmówił ślubu, udanie się Wilczka do władzy wyższej nie powiodło się; kazano czekać przepisanego przez kościół terminu. I znowu porywczość Wilczka pchnęła go na drogę, na której znalazł wprawdzie chwilę szczęścia, lecz niebawem — cios stanowczy i nieodparty. Ten sam obieżyświat, ksiądz Wara, który poprzednio tak fatalnie spełnił swe poselstwo, teraz podjął się dania ślubu. Wilczek i Jagienka zostali małżonkami; ale dawniejsi znajomi, a mianowicie kobiety, ślub ich uważali za podejrzany i stosunki z nimi zerwali. Na razie nie uczuli oni swego osamotnienia; wkrótce jednak świadomość opinii ludzkiej zatruwać zaczęła Wilczkowi chwile szczęścia, tem bardziej, że nie mógł nawet zgodnie ze swem usposobieniem z nikim się wyrąbać, bo nikt wyraźnie żadnej nie wyrządził obelgi, ani jemu ani jego żonie.

Tymczasem, gdy już dawno upłynął termin przez kościół przepisany względem nowych ślubów, Gniewosz zjawił się w kraju i załatwiwszy wszelkie przeszkody (staranie się o rozwód było niepotrzebne, gdyż Tygranes zginął na wojnie), odbył uroczyście ślub i wesele z Formozą. Wybierał się właśnie w odwiedziny do zamku Wilczków. Jagienka stała wtenczas z dzieciątkiem na ganku wieży. Gdy spostrzegła zdala Gniewosza, zachwiała się i runęła w przepaść. Żadne poszukiwania nie mogły nawet ciała jej wydostać.

Wilczek szalał z początku, potem się uspokoił, prowadził z księdzem Warą częste i długie rozmowy, a gdy wyrozumiał dostatecznie koleje swego losu, gdy przypomniał sobie oddanie się dyabłu i krzywdę Ofce wyrządzoną, rzekł raz do niego, gdy ten chcąc go pocieszyć, w młodości jego upatrywał jeszcze rękojmię szczęścia na przyszłość: „Jam młody, ale ten świat, ta piękna ziemia ze wszystkimi swymi darami już się na zawsze odwróciły odemnie... Ciało moje możeby jeszcze było sposobne do życia, ale tam (w duszy) noc się rozległa, tam już niema tego świętego płomienia, co ciałem porusza i prawa mu daje. Jestem bezwładny jak trup, boleść mi wszystką władzę wyżarła. Jakieżby u mnie jeszcze mogło

być życie! Jestem umierającym starcem w młodzieńczem ciele. Ze strachem kładę się do snu, bo we śnie najstraszliwsze mary się nademną wieszają, powykrzywiane twarze ze zwierzęcemi oczyma, pootwierane paszczęki bez zębów, z nich długie czerwone wyskakują języki i liżą mnie po policzkach, przyciskają mi swoje długie uszy do piersi, aby posłuchać, czy jeszcze serce w niej bije, kłują mnie w gardło swymi dyabelskimi rogami, ażeby tę resztę krwi ze mnie wypuścić. O Wara! nie życzę takiej jednej nocy mojemu najzawziętszemu wrogowi. A moja śliczna Jagienka nigdy mi się nie pokazała! Natomiast Ofka wciąż mi się jawi... Po takich nocach... wstaję rano jak z krzyża zdjęty, albo i gorzej, bo właśnie, jak gdyby mnie spuszczono z tortury. A kiedy już czuwam, jeszcze się nocne widzenia nademną wieszają. I potem już taki dzień cały! Do południa wspomnienia tych mar, co je przeszłej nocy widziałem, a od południa strach mnie bierze przed temi, które w przyszłej obaczę. A w ciągu całego dnia w głowie taka próżnia, że ani jednej myśli uchwycić nie mogę. W sercu się odzywają życzenia, ale czuję zarazem, że żadna ludzka potęga ich spełnić nie zdoła. I to jest życie? Niechże w nie raczej wszystkie pioruny uderzą! Nieznośnym ciężarem mi jest takie życie! Śmierci mi trzeba — i tylko śmierć mnie może wybawić!“

I to życzenie spełniło się całkowicie. Pioruny istotnie uderzyły w zamek tustański, a zarazem w Wilczka i Warę. „Z tego wszystkiego, co ludzka ręka stworzyła, leżały tylko prochy rumowisk na ziemi; gwałtownemu wybuchowi żywiołów tylko to się oparło, co zrodziła natura“.

Taki jest szkielet tej pięknej budowy, co ma napis „Olbrachtowi rycerze“. Ażeby dać poznać, jakie ciało pokrywa ten szkielet i jakim ono ożywione duchem, potrzebaby kilka co najmniej przytoczyć scen wspaniałych i skreślić żywo rozmaitość charakterów tu występujących. Ogólnie powiedzieć tylko można, że wszędzie, zarówno w ważnych jak i drobnych rzeczach, Kaczkowski starał się odmalować prawdziwych, rzeczywistych ludzi, nie chcąc ich wyśrubowywać na niedościgłych w swych zaletach bohaterów, ale usiłując wniknąć w ich serca, wyobraźnie i rozumy, oraz pilnie wglądając w okoliczności urodzenia, wychowania, zajęcia, trybu życia, ażeby stosownie do wpływów, jakie na wyrobienie ich indywidualności

oddziaływały, odtworzyć ich słowa i postępki. W całem obszernem dziele znajdzie się zaledwie kilka drobnych rysów, o których trafności odnośnie do osób przez powieściopisarza odmalowanych powątpiewaćby można, pomimo całej nadzwyczajnej rozmaitości sfer i położeń, z jakich one wzięte. Nie zamierzając tu wypisywać katalogu nazwisk i charakterystyk, dość wspomnieć tylko najwybitniejsze.

Więc najprzód mamy tu osobistości ze świata szlacheckiego w najprzeróżniejszych odcieniach: od króla Olbrachta, ukazanego nam zarówno w powadze majestatu rozprawiającego o ważnych sprawach kraju, jak i w chwili rozochocenia biesiadniczego, aż do dowcipnych, ciętych błędnych rycerzy w rodzaju batarda Jana Feliksa Kergolaja, oraz do giermków, z pomiędzy których marzycielski, poetyczny, idealnie kochający Jagienkę Lubek Pretficz jest, pomimo swej skromnej roli w powieści, jedną z najsympatyczniejszych i najdelikatniej, najsubtelniej narysowanych postaci. Następnie duchowieństwo znowuż w przeróżnych odmianach od hulaszczego, ale powagę w razie potrzeby choć z wysiłkiem umiejącego utrzymać kardynała Fryderyka, aż do łgarza tumaniącego ludzi opowiadaniami o swych stosunkach ze świętymi, księdza Wary. A dalej mieszczaństwo lwowskie tak świetnie odtworzone w postaciach starego ormiańskiego kupca Kijasa, który doświadczeniem i bystrym rozumem góruje nad niejednym rycerzem i umie nakazać dla siebie poważanie nawet królowi, — Kundrata, który pomimo swojego doktorskiego tytułu, jest najniezaradniejszym i najśmieszniejszym we wszystkich swych postępkach, — Pachny przyjmującej zaloty bardzo wielu, ale umiejącej sobie radzić w najtrudniejszych położeniach. A dalej jeszcze Rusini tacy jak Biłowus, Daszkiewicz, Olizar, Ofka, wszyscy pełni życia, o bardzo wybitnej charakterystyce.

A ci ludzie wprawieni są wszyscy w ruch, bawią się, kłócą, płatają sobie figle, rozmawiają, oddają się bogomyślności; robią na siebie zasadzki, staczają z sobą bitwy. Wszystko drga życiem. Takie obrazy jak zabawy we Lwowie, misteryum rubaszno-religijne wyprawione na wzór francuski przez Kergolaja, obława na złodziei, mistyczne widzenia, siedziba księdza Chryzostoma, wesele Gniewosza z Formozą, w każdym niemal szczególe świetne i nowe, na długo utkwić muszą w wyobraźni czytelników i uprzytomnią im pełnię objawów

cywilizacyjnych XV. stulecia. Autor bardzo rzadko ubiega się o efekt umyślny, dowolną kombinacyą wypadków sprowadzony, ale wszędzie prawie efekt ten osiąga przez prawdę i wybitność szczegółów. Nie chce też sobie pozyskać łatwego uwielbienia przez takie ugrupowanie scen, żeby przez nie wywołać w ostatku przyjemne, łechcące wrażenie: obok grozy stawia trywialność, obok wzruszającej scenę śmieszną, obok uniesień chłodne wyrachowanie — jak bywało i jest w życiu. A jednak nie wynika stąd niesmaczna mieszanina, bo miara prawdziwie artystyczna prawie wszędzie jest zachowana.

Niemałego uroku dodaje obrazom pogodna ironia autora, unosząca się ponad niemi; wiadomo, ile taki czynnik waży w „Panu Tadeuszu". Kaczkowski jest i czuje się panem tego całego świata stworzonego przez siebie i daje poznać swe władztwo, tak przedstawiając zachody i zawody ludzkie, że czytelnik może je z góry rozpatrzyć, ocenić je nie tak jak osoby interesowane, ale jak ludzie wyżsi, stojący z boku sympatycznie wprawdzie dla działaczów usposobieni, ale nie dający się porwać w wir drobnostek lub namiętności. Zauważyć jednak trzeba na niekorzyść autora, że czasami nadużywa swego prawa i zdaje się drwić poprostu ze swego światka, a to czyni cokolwiek ujmy temu bezpośredniemu oddaniu się wrażeniom, jakie dzieło sztuki wywoływać powinno. Mianowicie scena, w której zrozpaczony Wilczek przywołuje dyabła, a pojawia się Kostruban rekomendujący się z niemiecka jako „biedny dyabeł", jest zbyt sarkastycznie (dla czytelnika) rozwiniętą, gdy przecież w samej akcyi powieściowej (dla Wilczka) odgrywa ona rolę poważną i znamienną.

Akcya powieści, jak z poprzednich słów wnosić już można, jest rzeczywiście bogata, lecz rozwija się powoli z epickim spokojem. Powiedzieć nawet trzeba, że za powoli. Zanim Wilczek z zamku tustańskiego dojechał na sobieński, gdzie się węzeł intrygi zadzierżgnął, tyle czytelnik poznaje osób, tylu przypatruje się scenom, widzi tyle stron życia, że uwaga jego jest rozerwana zanadto, ażeby mógł mieć świeżo w pamięci wątek główny i żeby nim się w wyższym stopniu interesował.

Po wydrukowaniu „Olbrachtowych rycerzy", Kaczkowski zwrócił się ponownie do zagadnień chwili obecnej. W „gawędzie literackiej" p. t. „Słowo o romantyzmie" (1891) potrącił o wiele zagadnień pierwszorzędnych, dotyczących twórczości

i krytyki. W „Liście otwartym (*Sendschreiben)* do księcia Bismarcka“ (1894), bezimiennie po niemiecku w Szwajcaryi ogłoszonym, roztrząsał z głęboką znajomością rzeczy najważniejsze kwestye polityki bieżącej w stosunkach europejskich i wymownie napiętnował sposób postępowania Prusaków z Polakami. O ile mi wiadomo, list ten, pomimo swej aktualności i niepospolitych zalet wykonania, nie doczekał się w prasie naszej nietylko szczegółowego rozbioru, ale nawet uwzględnienia.

Obok tych prac czysto publicystycznych ogłosił nasz sędziwy autor trzy powieści, mające charakter przeważnie publicystyczny: „Wasi ojcowie“ (1892, w „Dzienniku Polskim“), „Zaklika“ (1893), „Święta Klara“ (1895, w „Nowej Reformie)“. Pod względem artyzmu, wartość ich jako całostek sztuki, jest wogóle szczupła, lecz pod względem świeżości i ważności tematów tu poruszonych, pod względem oryginalności postaci, jakie w nich zostały wyprowadzone, trudnoby w naszej współczesnej beletrystyce znaleźć im równe.

Kaczkowski, chociaż żył zdala od kraju, śledził pilnie jego sprawy i znał je dokładnie. Pisząc powieści, nie chciał poprzestać na obrazkach potocznego życia, zajętego interesami drobiazgowymi i powszednimi, lecz sięgnął do podwalin, na których wspiera się gmach społeczeństwa i narodu, starając się skierować umysł czytelnika ku głębszemu wglądaniu w najistotniejsze sprawy bytu. Nie obce mu były najnowsze prądy i kierunki (materyalizm, pozytywizm, socyalizm, emancypacya kobiet, kosmopolityzm religijny, lojalność i dążności ugodowe); a pełen wyrozumienia, zdobytego doświadczeniem, nie potępiał wszystkich nowych objawów ryczałtem, lecz karcił to tylko, co było naprawdę niedorzecznem lub zgubnem. Okazał się on w tej mierze znacznie rozleglejszym umysłem, niż większa część jego rówieśników: chciał zrozumieć wszystko, nie stać się umysłowo zacofanym, a w sprawach narodowych jednostronnie uprzedzonym.

W „Świętej Klarze“, którą nazwał „historyą polskiej rodziny“, nakreślił w formie pamiętnikowej obraz przekształceń, jakim duch społeczeństwa ulegał pod wpływem okoliczności przemożnych i prawa rozwoju. Kubuś to entuzyasta namiętny, nie tracący, pomimo najsroższych przeciwieństw i kaźni, wiary w wielkie ideały i pogrążający się ostatecznie

w mistycyzm, gdy na ziemi nie znajdował już środków do ich urzeczywistnienia. Jego żona Klara, z ojca męczennika, z matki praktycznej urodzona, w młodości podzielająca wszystkie uniesienia swego męża, potem gdy sama pokierować musiała wychowaniem synów, starała się w nich wyrobić zmysł praktyczności, by nie byli narażeni w życiu na takie straszne katastrofy, jakie sama z mężem przeszła. Dwaj synowie przejęli się zasadami, wszczepianemi przez matkę, i poszli dalej, niż ona sobie zamierzała. Melchior myślał tylko o własnem wyniesieniu i złożył wszystkie swe nadzieje na monarchii austryackiej. Baltazar duchem kosmopolitycznej religijności przeniknięty, w Afryce jako misyonarz szukał pola dla swej działalności. Oba dla kraju własnego zupełnie zobojętnieli i sprawami jego wcale się nie zajmowali. Trzeci tylko syn Klary, Kacper, w którym pomimo całej usilności matki, ojcowskie usposobienie przemogło, osiadłszy na wsi, usiłował podźwignąć stan majątkowy, aby odkupić dobra rodzinne, co poszły w obce ręce, płacąc koszta drogiego wychowania i wykształcenia — dyplomaty i misyonarza. Klara doczekała się gorzkich owoców swego systemu; wraz z wyziębieniem uczuć narodowych postradali dwaj jej najukochańsi synowie i uczucie rodzinne, stali się jej zupełnie obcymi; do nielubionego Kacpra matka sama zgłaszać się nie chciała — więc z rozpaczą w duszy osiadła w klasztorze.

Przedstawiając tę „historyę polskiej rodziny“ wzruszającą do głębi, miał Kaczkowski sposobność wypowiedzenia swojego ostatecznego poglądu na zadania społeczno-narodowe. Najogólniejsze określenie tegoż pozwalam tu sobie przytoczyć, gdyż będzie najwłaściwszem zamknięciem obrazu życia i dążeń autora.

„Od dziecka byłem zdania, że my tylko pracą możemy się dorobić lepszej przyszłości. Nie napisałem ani jednej książki, traktującej sprawy współczesne, z którejby, czy to na drodze afirmacyi, czy za pomocą negacyi, nie wynikało to przekonanie. Ale obok tego nigdy nie lekceważyłem ideałów. Jak człowiek ma ciało i duszę, tak każde społeczeństwo powinno mieć jakąś duszę w swem ciele. W społeczeństwie praca jest ciałem, a duszą jego — duchowa treść, jego ideały. Społeczeństwo, pracujące tylko w tym celu, ażeby składający je ludzie mieli co jeść i z głodu nie marli, zniża się w rodzinie naro-

dów i ludów do znaczenia rośliny. Są przecież rośliny, które najpożywniejsze owoce wydają, a mimo to są tylko roślinami. Toż takie społeczeństwo bez duszy, tak samo jak roślina i drzewo, zgnije z czasem na swoim pniu i w proch się rozsypie, a jego ciało fizyczne stanie się tylko nawozem dla innych wegetacyj całkiem mu obcych. Tylko wtedy, kiedy ma swoją własną duszę, utrzymywaną i rozwijającą się ciągle od wieków, będzie żyć wiecznie, a nawet, gdyby mu jego gałęzie poobcinano i jego pień porąbano, to jeszcze ze swoich korzeni nowe pędy wypuści i znowu wspaniałe drzewo wyrośnie. Ale, ażeby społeczeństwo zachowywało wciąż swoją duszę i aby ta dusza ciągle się wzmacniała i rozwijała do coraz wyższej potęgi, nie dosyć na tem, ażeby ci i owi jego członkowie pielęgnowali jego ideały; nie dosyć na tem, ażeby jego ideały wyrażały się tylko w dziełach wybranych ludzi, w literaturze, w poezyi, w sztuce: trzeba, ażeby wszyscy byli nimi przejęci, trzeba, ażeby w pracy każdego pracownika żyła myśl wspólna i aby żywiła swem tchnieniem ducha całości. Im więcej takich tchnień będzie wpływać w strumień duchowej całości, tem silniejszym będzie duch społeczeństwa i tem większą będzie miał pewność, że przetrwa wszystkie słoty i niepogody i będzie żyć wiecznie.

„Szczególny zawód pracy jest dla każdego człowieka niezbędnie potrzebnym — minęły te czasy i nie powinny nigdy powrócić, gdzie zamożniejsi rodzice kazali swych synów uczyć wszystkiego, ale nie nauczyli ich żadnego im właściwego zawodu — ale, dając im zawód, powinni wpoić w nich to przekonanie, że nie mają prawa zasklepiać się w swym zawodzie dla samych siebie, tylko przeciwnie, że są obowiązani swoim zawodem służyć całemu społeczeństwu i w swoim zawodzie pielęgnować ducha całości. Nie pozwolić im latać za ideałami, założywszy ręce i oczekując cudu zbawienia, — to dobrze; wytrzeźwić ich z tego romantycznego marzenia, że samem cierpieniem na ten cud sobie zasłużą, — to także dobrze; ale coby było niedobrze, to wytrzeźwić ich z ideałów, bo człowiek bez ideałów, choćby jemu samemu powodziło się jak najlepiej, to martwa gałąź na drzewie, która drzewu nie przynosi żadnego pożytku, ani go nawet nie zdobi, owszem, przeciwnie, jeszcze je szpeci — a nieraz nawet odpada od pnia i staje się igraszką wiatrów, które nie wiedzieć gdzie je zaniosą“.

„Święta Klara“ — to jakby testament polityczny Kaczkowskiego; nie długo już żył po jego ogłoszeniu; kilka miesięcy trwała choroba; umarł 7 września 1896 r. w Paryżu; pochowany został na cmentarzu w Montmorency.

VII.

Widzieliśmy, że Kaczkowski w pierwszych swoich Nieczujowskich powieściach był lepszym artystą niż myślicielem, a później stał się lepszym myślicielem niż artystą. W odpowiedzi na pytanie: dlaczego tak jest, znajdzie się także i ogólna charakterystyka umysłu autora.

Rozum jego był jasny, trzeźwy, szerokie obejmujący widnokręgi; nie lubił zatem rzeczy i scen zawiłych, tajemniczych, mistycznych, mglistych, napuszonych, nienaturalnych; nie lubił parodoksów błyskotliwych, sytuacyj zbyt naprężonych, usposobień przepaścistych. Uznaje on, że w dawnych czasach potrzebny był mistycyzm, a może nawet konieczny; ale dzisiaj nadeszły czasy inne a z nimi i inne potrzeby. Jasność w pojęciach, przejrzystość uczuć i wyrazistość wszystkich kształtów, w jakie duch ma ubierać swoje utwory — owóż dążność i potrzeba dzisiejszej epoki. Wszelka mglistość, cudowność, mistyczność, stają się dzisiaj tylko przeszkodą w rzeczach wiary, *prawie niczem* w obliczności rozumu, a rzeczą niezajmującą, bo już bardzo zużytą, a nawet nadużytą w krainie sztuki“ [1]).

Trzymał się więc Kaczkowski ziemi i w sfery eteryczne nie wzlatywał; mglistość, mistyczność i cudowność stanowczo i doraźnie potępiał, chociaż nie umiał tych pierwiastków *naukowo* ocenić, jak się należy. Brak mu potemu subtelności i przenikliwości, które nie zawsze chodzą w parze z jasnością i trzeźwością umysłu. Stąd wynikają te rysy powierzchowne, któremi lubił przeszłość malować; stąd rubaszność w charakterystyce, w scenach a nawet w stylu; stąd brak dowcipu, zastępowanego zazwyczaj przez staropolską jowialność, której najlepszym przykładem jest popielcowa oracya w „Murdelionie“ lub grubo-płaski niemiecki komizm. Najlepsze też, jak już wiemy, są te ustępy w powieściach Kaczkowskiego, w któ-

1) „Deotyma w Krakowie“, Warszawa 1854, str. 82.

rych występują ludzie niewielkiej inteligencyi, co się w żadne subtelności nie bawią, rżną prawdę, jak się im widzi, biją się zamaszyście, modlą się po staremu, nie wchodząc w analizę ani modlitw, ani uczuć, ani postępków swoich. Powtóre wyborne są zawsze poglądy na pewne kwestye obchodzące ogół społeczeństwa; można się z nich bowiem bardzo wiele nauczyć, chociażby się ich nie podzielało, ponieważ przedstawiają dużo materyału do myślenia, zgromadzają razem dużo stosunków, nad którymi zastanowić się warto.

Analiza natomiast psychologiczna jakiegokolwiek głębszego charakteru, uwydatnienie dowcipu w osobach, które autor dowcipnemi chce zrobić, zawsze bardzo wiele pozostawia do życzenia. Kaczkowski nie widział, zdaje się, tych braków w swoich powieściach, a co więcej badania psychologiczne, któreby im choć w pewnej części zaradziły, poprostu lekceważył. Podług jego zdania „szkoda nawet czasu na psychologiczne rozprawy". Na tem polu — powiada — „rozum ludzki *dawno już* dotarł do dna, a nie znalazłszy *nic na niem* (sic) pozostawił wprawdzie pobudowane przez siebie teorye, ale sam w nie nie wierzył" [1]). Któż dziś ośmieli się twierdzić razem z Kaczkowskim, że tajemnice psychiczne zostały wyczerpane do dna, a raczej, że w nich nic niema do wyczerpania, ponieważ one wiadome są tylko Bogu? Któż podzieli jego wstręt do rozpraw psychologicznych, dla których nowa nastała epoka? Nie waham się twierdzić, że Kaczkowski dlatego tylko gardził badaniami psychologicznemi, że ich nie znał, że się niemi nie zajmował, i gdyby je był studyował, zostawiłby nam daleko dokładniejsze, żywsze i barwniejsze portrety osobistości współczesnych, w których różnorodne wpływy wyżłabiają brózdy duchowe, załamy i skazy, niepodobne do pojęcia bez należytego rozbioru psychologicznego. Gdyby je był studyował, uznałby, że uczucie, namiętność, stanowiąc podstawę ludzkiej działalności, są siłami, które i sztuka przedewszystkiem uwzględniać musi; a przekonanie takie zmusiłoby go do bliższego zastanowienia się nad żywiołem prawie zupełnie upośledzonym w jego powieściach. Gdyby je był studyował, to zamiast maryonetek, w które obfitują jego romanse współczesne, mielibyśmy prawdziwych ludzi, żyjących życiem

---

[1]) „Rozbitek" 1861, t. III, 215.

indywidualnem sobie właściwem, samoistnem a nie pożyczonem, odbitem, sztucznem.

Fantazya Kaczkowskiego szła bezwarunkowo pod komendę rozumu: trzymała się jak najbliżej ziemi, lubowała się w rysach grubych, prostych i jasnych, z należytą precyzyą odkreślonych. Taki stosunek fantazyi do rozumu był zaletą, o ile nie dozwalał jej puszczać się samopas, i broić niedorzeczności w awanturniczych wyprawach do krain nadzmysłowych, ale krył też w sobie i wady, które się w artystycznym układzie powieści, w obrobieniu charakterów i scen na niekorzyść sztukmistrza uwydatniły. Fantazyi brakowało swobody, brakowało tych drgnień namiętnych [1]), w których ona daje poznać swoją potęgę, brakowało barw wyrazistych, brakowało ciepła. Kaczkowski nie dawał się porywać namiętności, nie chciał być krańcowym w żadnym kierunku, starał się zachować złoty środek i chwalebne umiarkowanie. Ale nie posiadając w arsenale umysłowym broni przenikliwości i subtelności, uczynił ten złoty środek pospolitym, a czasami trywialnym, a to chwalebne umiarkowanie — niezdecydowaną niezaradnością. W pierwszych chwilach powieściopisarskiego zawodu, kiedy był jeszcze bardzo młodym, zwróciwszy się ku przeszłości XVIII. wieku, pokochał ją całem sercem pomimo jej wad; nie pragnął nic jej wyrzucać, lecz chciał ją jedynie odtworzyć taką, jaką się w umyśle jego przedstawiała. Było to zadanie czysto artystyczne bez żadnej myśli ubocznej, bez chęci moralizowania i wpływania na opinię publiczną. Ponieważ obrał sobie za opowiadacza jednostkę mierną pod każdym względem; ponieważ chwytał tylko rysy powierzchowne; ponieważ dla przedstawienia rubaszności ojców nie potrzebował szczególnej finezyi i dowcipu; ponieważ wreszcie z prawdziwą namiętnością wpatrzył się w oblicze wieku zeszłego: wywiązał się z zadania znakomicie w kilku obrazkach mniejszych i w jednym większym — „Murdelionie". Inne utwory z tego czasu, chociaż mniej zadowalają pod względem budowy całości, mają świetne ustępy pod względem artystycznym, choć pod względem myśli są nijakie.

Później chciał Kaczkowski rozszerzyć widnokrąg swoich

---

[1]) Jakie znaczenie dla fantazyi ma uczucie i namiętność, starałem się przedstawić w „Genezie fantazyi". Warszawa 1873, str. 77—88.

powieści, wprowadzając w nie żywioł badawczy; chciał wyjaśnić przyczyny różnych zjawisk przeszłych i współczesnych; chciał wniknąć głębiej w istotę chorób narodowych, ażeby zwrócić na nie uwagę ogółu. Cel czysto artystyczny ustąpił miejsca tendencyi społecznej; moralizowanie stało się rzeczą główną, a obrazowanie — podrzędną. Szczegółowa obserwacya charakterów, przypatrywanie się im z miłością i zajęciem, studyowanie ich ciała, szat i duszy uważał teraz Kaczkowski za trud niezbyt ważny względnie do obszaru i znaczenia myśli, które wśród publiczności rozpowszechnić przedsięwziął. Tak było przedewszystkiem w przedstawieniu stosunków współczesnych. Kaczkowski wystąpił jako myśliciel-satyryk; a satyryk mało dba o wierne, plastyczne odmalowanie ludzi, gdyż mu chodzi głównie o napiętnowanie jakiejś przywary, wady lub zgubnych przekonań, które powiększa a niekiedy karykaturuje. Autor nie szukał już wzorów na ziemi, w swojem otoczeniu; ale myśli własne, poglądy na społeczeństwo — przyoblekał w ciało. A ponieważ nie posiadał silnej fantazyi; ponieważ na ludzi patrzył z groźbą a nie z miłością; ponieważ przedsięwziął zajrzeć głębiej w duszę człowieka, a nie miał do tego dostatecznych danych, którychby mu badania psychologiczne dostarczyć mogły; tworzył więc rzeczy pod względem artystycznym wielce słabe. Natury jasne, proste, których cały umysł i całe uczucie były, że tak powiem, na wierzchu, jak dawniej tak i teraz wybornie się prezentowały; lecz natury powikłane, chaotyczne, głębokie, wypowiadające daleko mniej niż myślą i czują, posiadające w sobie materyał na ludzi wielkich, czy w zbrodni czy w cnocie, takie natury jak Kamila, Mirona, Chrewty, Anuncyaty, Grafa Raka, Abrahama Kitaja, Leonarda Wilczka, Kubusia, Klary zostały narysowane albo blado, albo ułamkowo, albo szkicowo tylko. Umysł Kaczkowskiego, pomimo swe braki, potrafił je zapewne ocenić, jeżeli je uznał godnemi wprowadzenia w świat artystyczny; ale fantazya przywykła do nizkiego lotu nie dotrzymała kroku umysłowi i chociaż starała się być mu posłuszną, nie zdołała przecież wzmocnić swych sił i podążyć za nim w równej odległości.

Obok pomysłów niewielkiej wagi wysoki artyzm; obok tematów znakomitej doniosłości obrobienie artystyczne niezadowalające: oto rezultat dwu sił umysłowych — rozumu

trzeźwego i fantazyi jemu podległej. Czyżby to miało dowodzić, że pomysły, wznoszące się nad poziom życia codziennego, nie mogły być przedmiotem działalności artystycznej? Nie, bezwątpienia. Historya literatury przedstawia nam przykłady, dowodzące, że bywało inaczej; przyczyny szukać musimy tylko w umyśle powieściopisarza. Potrzeba mieć rozum bardzo głęboki i bardzo subtelny, fantazyą bardzo żywą i bardzo potężną, ażeby stworzyć arcydzieło. Nie każdemu takie dary dostają się w podziale.

Atoli obok geniuszów istnieją talenta różnego rodzaju, które tworzą *częściowe* tylko piękności. Do tych talentów pierwszego rzędu należy bezwątpienia Kaczkowski. Nie można o nim zapewne powiedzieć, żeby w jego dawniejszych powieściach historycznych odbite było *całkowite* życie wieku XVIII; bo tego żaden dotychczas romansopisarz dokonać nie potrafił; lecz można twierdzić, że żaden z naszych autorów nie dał tak rozległego, tak wyczerpującego i tak na autentycznych świadectwach opartego malowidła przeszłości, jak on w „Olbrachtowych rycerzach" przedstawił schyłek wieku XV. Mało też kto zgodzi się ze zdaniem Kraszewskiego, który we dwa lata po Siemieńskim, powtarzając jego zarzuty, powiada, że w Kaczkowskim „razi co chwila jakaś komedya i maszkarada, a przez aktora przegląda świeżuteńki i młodziuchny *człowieczek*", a już z niesmakiem chyba odczyta się wyrok proroczy, że wizerunek przeszłości nie przyjdzie nam „przez pióro młodzika, który zadania potężne ma sobie za igraszkę i pisze *po studencku* (!!) ćwiczenia na dane tema" [1]). Sam Kraszewski, który tak absolutny ferował werdykt, czyż dał nam marzony przez siebie wizerunek przeszłości?...

A co się tyczy powieści współczesnych Kaczkowskiego to wyznać należy, że w dziesięcioleciu od r. 1850 do 1860 bardzo mało pojawiło się utworów, któreby tak silnie *pobudzały do myślenia* jak one. Kto pojmuje doniosłość tego zdania, temu nie trzeba objaśniać szeroko wartości zasług, położonych przez człowieka, który takie utwory napisał. Współcześni nie ocenili należycie tej strony powieści Kaczkowskiego; późniejsi nie zabierali się zbyt skwapliwie do ich

---

[1]) „Gawędy o literaturze i sztuce" J. I. Kraszewskiego. Lwów 1857, str. 65 i 75.

czytania; do krytyki zatem należy tę właśnie stronę zaakcentować. Wszystkie kwestye podjęte przez Kaczkowskiego w powieściach współczesnych dzisiaj jeszcze są żywotne i albo w tej samej, albo w zmienionej nieco formie, przeszły obecnie do szpalt czasopiśmiennictwa. Ażeby tylko dać jeden przykład, dość wspomnieć, że Kaczkowski wśród rozbawionej i łakociami powieściowemi zepsutej publiczności, ośmielił się wprowadzić na nowo do romansu ideę pracy wewnętrznej, drobnej, mozolnej, powolnej, ale krzepiącej siły społeczeństwa. A przecież po latach kilkunastu wrócono do tej idei w dziennikarstwie i powieści, jakby do czegoś zupełnie nowego. Podobnie rzecz się ma z wielu innemi kwestyami, o których poprzednio mówiłem, zwłaszcza w ostatnich powieściach współczesnych.

Że nie wszystkie podniesione przez siebie wątpliwości zadowalająco zwalczył; że przyczyny nieszczęść podał czasami nietrafnie; że w poglądzie na ustrój społeczny nie zawsze był sprawiedliwym: to nic a nic nie uwłacza zasłudze, że o *ważnych* przedmiotach mówił, że chciał przerwać drzemkę umysłową, w której społeczeństwo było pogrążone, albo że chciał wskazać zgubność drogi, na którą pewna grupa przewódców wprowadzić je chciała, że podsuwał mu temata do rozwagi. Jak wiadomo, nikt jeszcze nie wynalazł *panaceum* na wszystkie choroby społeczne; nikt sposobu istotnego uszczęśliwienia ludzi nie obmyślił; pomimo to jednak nikt ku temu celowi dążyć nie przestał. Stosunki społeczne należą do najbardziej złożonych i najbardziej zawikłanych; nic więc dziwnego, że dotychczasowe usiłowania celem uregulowania ich ku powszechnemu zadowoleniu nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Ażeby je uregulować, potrzeba je poznać i zbadać. Pierwszym krokiem do ich poznania jest zwrócenie na nie powszechnej uwagi. Kaczkowski zrobił ten krok i to mu się liczy za znakomitą zasługę — jako jednego z największych u nas budzicieli myśli.



Tadeusz Czacki.

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW.
Nr. 10.

TADEUSZ CZACKI

Jego życie i działalność wychowawcza.

ZARYS BIOGRAFICZNY

PRZEZ

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

Z PORTRETEM TADEUSZA CZACKIEGO.

Cena 30 kop.

PETERSBURG.
NAKŁADEM KAZIMIERZA GRENDYSZYŃSKIEGO.
1898.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Tadeusz Czacki należał do tej niewielkiej liczby ludzi, co pod koniec wieku zeszłego, po rozbiciu się politycznem Rzeczypospolitej, nie straciwszy wiary w dalszą żywotność narodu i, nie chcąc losów jej zasadzać na sypkim gruncie kombinacyj politycznych, zwrócili się z całą usilnością do cichej, mrówczej pracy na własnej ziemi i zachęcali współziomków do wydobywania sił i zasobów na przyszłość zpośród samych siebie. Wziąwszy sobie za hasło: „nil desperandum", w czynnych zabiegach o jego faktyczne urzeczywistnienie nie strudził się i nie spoczął, dopóki we właściwym sobie zakresie zbawienności jego ziomkom naocznie nie okazał. Wszystkie inne zasługi wobec tej głównej w cień usunąć się muszą.

Jako urzędnik sumienny w komisyi skarbu położył zasługi niewątpliwe, to też w historyi czasów Stanisława Augusta imię jego chlubnie wspominane będzie. Jako uczony prawoznawca i historyk, jako wielostronny erudyt zajmuje w dziejach nauki naszej miejsce niepoślednie. Ale w żywej pamięci narodu, przechowującej imiona tych, co go sławą okryli lub dobra mu przysporzyli, staje Czacki jako gorliwy wizytator szkół na Rusi, jako śmiały i rozumny twórca

gimnazyum wołyńskiego i połączonych z niem zakładów, jako rozszerzyciel oświaty naszej na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, jako światły obrońca „zdobyczy pługa polskiego“.

Tę właśnie najpiękniejszą i w skutki najpłodniejszą stronę jego działalności zamierzam w pracy obecnej przedstawić, starając się o to głównie, aby zgromadziwszy autentyczne, niewątpliwe dane, zobrazować genezę i rozwój pomysłów i działalności wychowawczej Czackiego nie tyle za pośrednictwem rozumowania, ile za pośrednictwem faktów.

I.

Czacki urodził się dnia 28 sierpnia 1765 roku w mieście Porycku (pow. włodzimierskim) z ojca Szczęsnego, podczaszego koronnego, i matki Katarzyny Małachowskiej. Matka wcześnie go odumarła, ojciec zaś, znany ze swych przekonań staroszlacheckich i zbyt żarliwego katolicyzmu, wskutek sporu w sprawie dyssydentów, był od r. 1766 więziony najprzód w majątku swoim Brusiłowie, potem w Brodach i Połonnem. Wtedy Tadeuszem i starszym jego bratem, Michałem, zajął się stryj ich, Franciszek Czacki, strażnik w. k., żonaty z Kunegundą Sanguszkówną, i zabrawszy ich z sobą do Gdańska, tam przez półpięta roku z nimi przebywał; poczem wrócił ich ojcu, gdy temu dozwolono, lubo pod strażą, zamieszkać w Porycku.

Rozpoczęło się wówczas ich kształcenie, którego kierownikiem został sędziwy jezuita ks. Faustyn Grodzicki, niegdyś nauczyciel geometryi w kolegium lwowskiem, gdzie Szczęsny Czacki nauki pobierał. Przewodnik ten, z wdzięcznością zawsze przez Tadeusza

wspominany, miał się odznaczać „wybornymi obyczajami, umiarkowaniem, prawym rozsądkiem i głębokiem rzeczy objęciem“; głównym przedmiotem nauczania był język i literatura łacińska. Marcin Gerber, warmińczyk, udzielał nauki języka niemieckiego. Szczegółów bliższych o uczeniu innych przedmiotów szkolnych nie posiadamy. Tadeusz celował nadzwyczaj żywą pamięcią i miał wielką chęć do czytania.

Przyszły twórca „gimnazyum wołyńskiego“ już w dzieciństwie okazywał niezwykłą troskliwość o wychowanie i wykształcenie dzieci ubogich. Mając lat 12, pieniądze dawane mu przez rodziców na drobne przyjemności, przeznaczał na utrzymanie nauczyciela (Franciszka Świątkowskiego) dla dzieci domowników i niezamożnych mieszkańców Porycka i tym sposobem szkółkę wiejską utworzył. Miłość bliźniego i gorąca chęć szerzenia oświaty, a więc przymioty, które w życiu późniejszem miały się stać wybitnemi cechami charakteru Czackiego, już wtedy zjednywały mu serca.

Bardzo młodo, bo zaledwie 19 lat licząc, wszedł w zawód życia publicznego jako członek sądów zadwornych koronnych (r. 1784). Czując, że mu brak bardzo wielu wiadomości dla należytego spełnienia obowiązków obywatelskich, wszystkie wolne godziny poświęcał badaniu dzieł prawnych, politycznych i dziejopisarskich w bibliotece Załuskich, pod światłem przewodnictwem Adama Naruszewicza i Jana Albertrandego. Karol Glawe zaznajamiał go z literaturą francuską. Powołany niebawem do „komisyi kruszcowej“, musiał się zapoznać z naukami przyrodniczemi. W dwa lata potem (r. 1786) sejm wybrał go na członka „komisyi skarbowej“, co mu dało i pobudkę

i możność zbadania kraju pod względem produkcyi i handlu.

Na tem stanowisku, na którem przetrwał do r. 1792, rozwinął Czacki wielce ożywioną działalność. Przełożył sejmowi potrzebę wysyłania młodzieży za granicę dla doskonalenia się w nauce górniczej, probierskiej, mineralogii i metalurgii. Własnym nakładem (10.000 czerw. zł.) wydał mapę hydrograficzną Polski i Litwy z wyrażeniem biegu 4819 rzek wielkich i małych, z oznaczeniem zakrętów, spadków i wszelkich pomocy lub przeszkód do uczynienia ich spławnemi. Oddzielnie, za jego staraniem, wyszła mapa hydrograficzna Dniestru na 13 kartach, z wymiarem głębokości dokonanym przez Jana Möllera i innych inżynierów, od miasta Uszycy aż do Benderu. Dokonał objazdu prowincyi ruskiej (w połowie r. 1787) a następnie ukraińskiej dla naocznego przekonania się o stanie komór celnych i o czynności urzędników oraz dla powściągnięcia nadużyć. Objeżdżał (w połowie 1788) wszystkie miejscowości, w których, po pierwszym podziale kraju, mogły się znaleźć krynice soli: „końcem albo z mylnych nadziei wyprowadzenia, albo dzielniejszej partykularnych obywatelów użyczenia pomocy". O tych czynnościach swoich złożył komisyi szczegółowe raporty, do których dołączył „uwagi o handlu polskim". W r. 1788 podał projekt „ulepszenia porządku w kasie jeneralnej".

Jeżeli te wszystkie starania Czackiego nie przyniosły dotykalnego dla kraju pożytku, nie wina w tem zacnego, a wielce ruchliwego obywatela, lecz wina okoliczności, nie dozwalających wprowadzić w czyn reform, za konieczne poczytywanych. Ku czci Czackiego pozostanie na zawsze wspomnienie obywatelskiej

gorliwości, niezmordowanej pracy i niepospolitego obeznania się z różnorodnemi sprawami, do załatwiania których bywał powoływany. W listach do Augusta Piegłowskiego (z r. 1787—1792), superintendenta skarbu koronnego prowincyi ruskiej, widać wszędzie umysł wzniosły i serce szlachetne, oddane całkowicie sprawie ogólnej z poświęceniem własnych interesów. Służba publiczna była ciężka, zasiadał bowiem w komisyi skarbowej z takimi, „u których częstokroć egoizm Bogiem, niewiadomość, zazdrość i przeszkadzanie najlepszym zamiarom cechą“ (Poniński); bywał „niewczesnej intrygi ofiarą i łupem“; pracował jednak wytrwale i nie dawał się zrażać, gdyż wiedział, że „własne przeświadczenie o dobrej chęci najświetniejszą staje się trosków i prac nagrodą“. Był zwolennikiem nieograniczonej swobody obywatelskiej. W rozmowie (17 lutego 1788 r.) z posłem szwedzkim, Wawrzyńcem Engeströmem, wystąpił przeciwko rewolucyi z r. 1772 i wyraził się, że ona uczyniła Szwedów niewolnikami. A gdy poseł zwrócił jego uwagę na to, że rewolucya owa, nie czyniąc Szwecyi niewolnicą, właśnie powiększyła znacznie prerogatywę tronu, a zmniejszyła władzę Stanów, ukracając równocześnie wpływ obcych mocarstw, i życzył Polakom, ażeby tego wpływu tak samo się pozbyli jak Szwedzi, — Czacki odparł: „Co do mnie, wolałbym może być niewolnikiem obcego mocarstwa, niż własnego króla“.

Taką polityczną wyznając zasadę, w czynnościach sejmu czteroletniego nie brał bezpośredniego i gorącego udziału. Podobnie jak ojciec (zmarły w czerwcu 1790), który był posłem, nie należał i Tadeusz do entuzyastycznych zwolenników t. z. stronnictwa pa-

tryotycznego; działalność sejmowa nie podobała mu się. „Proszę niebios — pisze do Piegłowskiego 28 lipca 1789 — abyśmy mało głupstw robili, bo się na wielkie zanosi“, a w dwa miesiące potem: „Na sejmie bzdurstwami się nudzimy; kłócą się o brygadyerów, vice-brygadyerów, majorów, a jeszcze materyi znacznej podatkowej nie ukończyli“. Z przekąsem wspomina o tem, że król „co był stanem, został czczym prezesem“. Ustawa 3-go maja wielbiciela w nim nie miała; sposób, w jaki prawomocną ją uczyniono, był wstrętny jego przekonaniom prawno-politycznym. „Dzięki Bogu — pisał 23 października 1791 r. do Marcina Zaleskiego — że nie stawiałem tej budowy rządu, dzięki wychowaniu ojca mego, że nie kryłem sposobu myślenia“. Uległ wszakże prawu „przez rozsądek“ i wraz z komisyą skarbową wykonał na konstytucyę przysięgę 7 maja 1791 r. a we wrześniu miał na sejmie mowę w kwestyi menniczej. W październiku atoli szuka już „wiejskiego zacisza“, aby na łonie cnotliwej żony“, gdy ją dostanie, szukać osobistego szczęścia; a ponieważ nie widzi ojczyzny „zupełnie szczęśliwą“, starać się będzie „zjednywać tym szczęście, których los w licznych względach“ do niego zbliża. Raz jednakże złożywszy przysięgę, za obowiązek sumienia poczytuje wytrwać w wierności dla niej. To też gdy zwyciężyła Targowica, wyszedł ze składu komisyi skarbowej. „Smutne kraju klęski — donosi Piegłowskiemu 24 września 1792 — okropny rozkaz wykonywania przysięgi na to, czego cnotliwa dusza się wzdryga, nie dozwoliły mi być dłużej urzędnikiem publicznym i prywatnym zostałem człowiekiem“.

Był już wówczas żonatym z Barbarą Dembińską. Zajmował się skrzętnie gromadzeniem księgo-

zbioru i oddawał się badaniom dziejowym. Zamierzał opisać historyę panowania Stanisława Augusta. „Ani żółć ani podchlebstwo piórem mojem nie włada“ — dodaje, donosząc M. Zaleskiemu o tem przedsięwzięciu. Dzieła wprawdzie w tym przedmiocie nie zostawił, ale wiadomo z licznych wzmianek, iż czasy Stanisława Augusta bywały ulubionym przedmiotem rozmów i pogadanek Czackiego. Nie znane nam jest dokładnie jego zachowanie się podczas Kościuszkowskiego powstania; to tylko wiadomo, iż oskarżony przed rządem rosyjskim o sprawowanie podczas powstania urzędu podskarbiego, i za „jakobina“ ogłoszony, pozbawiony został Ostroga i klucza Brusiłowskiego; Poryck zaś wzięto w sekwestr. Czacki udał się wtedy do Petersburga i tłómaczył się przed Zubowem w słowach pełnych godności: „zachowałem nieskażoną wierność dla mojej ojczyzny, a powinności przyjętych w nowym rządzie nie zdradzam“. Zagrożony zupełną utratą majątku, zamierzał, po spłaceniu długów, poświęcić się zawodowi profesorskiemu w Akademii krakowskiej. Cesarz Paweł wrócił mu majętność. Jako delegat z gubernii kijowskiej Czacki znajdował się na koronacyi cesarza w Moskwie i w imieniu obywateli zanosił prośbę do tronu za pośrednictwem księcia Kurakina o umorzenie win przeszłych, a przeniesienie aktów metryki koronnej do gubernii kijowskiej, podolskiej lub wołyńskiej, o ustanowienie tu sądu głównego jak w Litwie i przywrócenie wyboru marszałków gubernialnych. Prośba ta w części pomyślny odniosła skutek. Przejęty poczuciem potrzeby utrzymania naukowości polskiej w języku polskim, wraz z Janem Albertrandym, Stanisławem Sołtykiem i Franciszkiem Ksawerym Dmochowskim za-

wiązał r. 1800 w Warszawie „Towarzystwo przyjaciół nauk“. W r. 1803 wraz z Stanisławem Sołtykiem, Józefem Drzewieckim i Michałem Walickim utworzył „Towarzystwo handlowe“; 9 lipca 1803 r. okręt noszący nazwę Tadeusza Czackiego odpływał z Odessy do Tryestu, świadcząc o usiłowaniach uczonego, celem podniesienia dobrobytu podjętych.

W tym przeciągu czasu, oprócz urzędowych sprawozdań, które utworzyły „dwa ogromne tomy“ z 3000 przeszło arkuszy złożone, ogłosił Czacki parę broszur i mów okolicznościowych, napisał „Obronę Zygmunta Augusta“ i wydrukował swoje najcelniejsze dzieło „O litewskich i polskich prawach“ (2 tomy, Warsz. 1800—1), które imię jego w świecie naukowym rozsławiło. Świadczy ono o nadzwyczaj rozległem oczytaniu autora, lecz zarazem o braku systematyczności i metody. Do dziś dnia jest skarbnicą wiadomości najróżnorodniejszych, odnoszących się do dziejów cywilizacyi naszej, ale jako całość straciło już swoje znaczenie. Michał Bobrzyński w gruntownej rozprawie swojej „O dawnem prawie polskiem“ (1873) tak określił wartość tego dzieła: „Czacki zgromadził niezmiernie bogaty materyał; zamiast jednakże ogłaszać go i opracowywać krytycznie, rzucił się odrazu do tego, aby go za pomocą wypisków wyczerpnąć i bez poprzednich prac wstępnych dzieła konstruktywne zbudować. Było to przedsięwzięcie zbyt śmiałe, tem więcej, że wypracowanie systematycznego dzieła leżało najmniej w talencie i usposobieniu Czackiego. Stąd też poczynione przezeń wypisy pozostały, czem były od samego początku, t. j. zbiorem do każdej materyi mnóstwa nieznanych wiadomości statystyczno-historyczno-prawniczych, żadnym zresztą wewnętrznym

duchem nie spojonych ze sobą i żadnem opowiadaniem w jedną całość nie uchwyconych. Trudno myślą ogarnąć, jak wielki zasób spostrzeżeń i faktów wypłynął dla nauki prawa polskiego z dzieła Czackiego; ale dzieło to dla umiejętności nie zbudowało żadnych trwalszych podwalin. Owszem, poniekąd wprowadziło ono do prawa polskiego błędną teoryę, jakoby urządzenia nasze prawne obcy miały początek i głównie na normandzkich wzorach się opierały. Poglądu tego Czacki wytrwale bronił i konsekwentnie, lubo bez korzyści dla nauki, starał się go przeprowadzić. Zdanie to prysnęło dopiero pod młotem Lelewela, który prawo polskie na urządzeniach słowiańskich oparł i głównie z pierwiastków swojskich, słowiańskich jego istotę rozwijał".

II.

W roku 1803 rozpoczyna się ważny okres w dziejach oświaty na Litwie i Rusi, a zarazem w życiu Czackiego.

Aleksander I., najlepszymi przejęty zamiarami względem zreformowania państwa swego, umiał ocenić ważność edukacyi publicznej; to też wspieramy radą światłych a młodych natenczas ludzi, których do poufałego niemal przestawania ze sobą przypuścił, przedsięwziął przeprowadzić zmianę w urządzeniu szkół. Do grona tych ludzi należał Adam ks. Czartoryski, będący wtedy ministrem spraw zewnętrznych. Powierzone mu zostało kuratorstwo wydziału naukowego wileńskiego, w obręb którego wchodziły wszystkie prowincye dawniej polskie a wówczas do państwa rosyjskiego już przyłączone. Czartoryski wraz z ks. Hieronimem Strojnowskim, ówczesnym rektorem aka-

demii wileńskiej, dokonali reformy wydziału naukowego wileńskiego na podstawie i w duchu Ustaw Komisyi Edukacyjnej.

Na wizytatora szkół w trzech guberniach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej starał się kurator pozyskać Tadeusza Czackiego. Już w d. 10 lutego wyrażał Czartoryski w liście swym radość, iż skład prac i interesów pozwolił Czackiemu podjąć się „chwalebnej i pożytecznej krajowi zasługi w odwiedzeniu i poznaniu niniejszego stanu szkół“ w trzech wspomnianych guberniach. Dnia 2 kwietnia napomykał przyszłemu wizytatorowi, iż może zachęcić współobywateli do ofiar na rzecz oświaty, przyczem dla pobudzenia gorliwości wskazywał na ofiarność Rosyan. „Wizyta JWPD. — pisał — potrafi skłonić niektórych majętnych obywateli do naśladowania przykładów, jakie się często teraz w głębi Rosyi zdarzają, przez dobrowolne ofiary i składki na powiększenie funduszów edukacyjnych lub założenie i utrzymywanie szkół nowych i pensyonów... Jako współrodak nie chciałbym widzieć, ażeby prowincye polskie dały się przewyższyć w tej mierze“. Następnie poleca Czackiemu zwracać uwagę na szkoły zakonne; zdaniem jego „te tylko zgromadzenia powinny mieć powierzoną sobie edukacyę publiczną, które są w stanie utrzymania jej na d o b r y m stopniu“.

Czacki, który niewątpliwie z upragnieniem upatrywał sposobności służenia ogółowi, wziął się do dzieła z całą właściwą sobie gorączkową gorliwością. Instrukcya, dana mu jako wizytatorowi, była krótka i ogólnikowa; znajdowało się tam atoli wyrażenie „*caetera activitati* pozostawia się“, które, zrozumiane szeroko a poparte wskazówkami zawartemi

w listach kuratora, mogło upoważniać Czackiego do przedsięwzięcia spraw donioślejszego zakresu. Rozumiał on i wyznawał, że puszczał się w drogę sobie „nieznaną“, gdyż, jak słusznie utrzymuje, „oddawszy się niewielu rodzajom nauk, badać o wszystkich, uczywszy się przypadkowo, stanowić o systemie nauk — jest rzeczą trudną“. Sądził wszakże, iż dobra wola i gorąca a oświecona chęć służenia krajowi przełamie trudności. „Pożyczam środków od prostego rozsądku — pisał — a gdzie nie staje oświeconej wiadomości własnej, tam chcę się sam nauczyć“.

Pierwsze wrażenia odebrane w początkach wizyty szkół (w lipcu), były wielce przykre i pobudzały do myślenia o gruntownej tych zakładów reformie. „Szkoły zahorowskie są składem głupstwa — donosił — a włodzimierskie przybytkiem nędzy. W pierwszem miejscu gramatyka Kopczyńskiego nie była znaną, w drugiem nauczyciel niemieckiego języka nie rozumiał najprostszej mowy i wyznał, że tylko w życiu całem przez dwa uczył się miesiące. Nauka dziejów krajowych, nauka prawa przyrodzonego, logika przez nierozumnych urzędników zostały wywołane“.

Że to ujemne wrażenie nie było skutkiem uprzedzenia reformatorskiego, mamy dowód we wspomnieniach Karola Micowskiego o szkole międzyrzeckiej z r. 1801. Konwikt pijarski wyglądał wtedy jak kordegarda: „aż ciemno od lulek w ustach szesnastoletnich młodzików; krzyk, hałas, zabawy, gry, a wszystko w godzinach niegdyś przeznaczonych do nauk i spokojności; ten rzępoli na skrzypcach, ów piszczy na dudzie; ten pokazuje jakie *pas* do robienia w anglezie“. („Pamiętniki domowe“, wydane przez M. Grabowskiego, 1845, str. 188).

Tak smutne objawy upadku szkół po r. 1795 zmuszały do zastanowienia. A gdy Czacki rozważał, co nowe ustawy szkolne 18 maja 1803 ogłoszone zawierały, zaczęły się w nim budzić wątpliwości, czy one w skutkach swoich, w praktyce przyczynią się do polepszenia a raczej gruntownego przekształcenia szkół istniejących. W krótkim przeciągu czasu wyrobił sobie przekonanie, że nowe ustawy „mają cechę dobroczynności, ale mają istotne wady“ i że Ustawy Komisyi Edukacyjnej, na której te nowe opierały się, jako wytwór innych stosunków, nie mogą już być w całości stosowane.

Zasadniczą myślą, którą już w pierwszych chwilach swego wizytatorskiego zawodu Czacki sobie wytworzył, było zastosowanie nauki szkolnej do praktyki życia, uczynienie z niej środka do przysposobienia krajowi użytecznych w każdym fachu ludzi. Użyteczność nauki szkolnej w życiu — oto cel, ku któremu szkoła zdążać winna. W tej też myśli, zanim nakreślił całkowity plan nauk, przedewszystkiem dosyć szczegółowo rozpisywał się o potrzebie uczenia w każdej szkole trzech nauk: „ogrodowej, mechaniki praktycznej i *artis veterinariae*“; mianowicie ulubionym przedmiotem było dla niego ogrodnictwo tak dalece, że zaraz w pierwszej chwili obmyślił i napisał szkicowy program zakładania ogrodów szkolnych.

Z temi myślami zwierzył się ks. Hugonowi Kołłątajowi, przesiadującemu wtedy na Wołyniu, z którym już poprzednio zamieniał listy w przedmiocie drugiego wydania dzieła „O litewskich i polskich prawach“. Prosił go o rady i wskazówki, mając nadzieję, że ten, co pierwszy Szkołę Główną wizytował i nią rządził, ten, co doświadczenie łączył z teoryą, nie od-

mówi mu wsparcia". Kołłątaj zgodził się chętnie na udzielanie swoich spostrzeżeń, zastrzegając sobie tylko zupełną niemal tajemnicę co do swego współudziału w tej pracy nad ustaleniem zasad edukacyi. Wynikły stąd kilkakrotne rozmowy i częsta korespondencya z Czackim. Skutkiem tego bardzo trudną jest rzeczą oznaczyć dokładnie, co w projektowanych reformach należy wyłącznie do Kołłątaja, a co do Czackiego... Szczegóły prawdopodobnie na zawsze pozostaną nieznane; w ogólności jednak zauważyć wypada, że w początkach samych, a więc w założeniu fundamentów budowy, Czacki dał się powodować Kołłątajowi, jako mało w sprawach szkolnych doświadczony; lecz posiadając niewiele cierpliwości, a wyobraźnię nadzwyczaj ruchliwą, przerywaną błyskawicami myśli, w miarę zaznajamiania się z nową dla siebie sferą działalności i w miarę coraz obfitszego materyału, dostarczanego przez Kołłątaja, który jako człowiek systematyczny i metodyczny ciągle obrabiał pomysły raz wygłoszone, Czacki usamowalniał się od wpływu b. podkanclerzego, tracił ku niemu ufność, zasięgał rady różnych ludzi, a w końcu robił według swego widzenia rzeczy. W r. 1803 i 1804 ma największe w nim zaufanie, w r. 1805 już zaczyna względem niego chłodnąć, aż wreszcie zupełnie z nim zrywa stosunki. Lecz właśnie owe lata 1803 i 1804 były najważniejsze w sprawie z a s a d nauczania; w tych latach Czacki przedstawia się jako gorliwy fundator, Kołłątaj jako rozumny prawodawca oświecenia. Nie można atoli wszystkich bezwarunkowo pomysłów przypisywać Kołłątajowi; Czacki nie poprzestawał na jego radach, zwracał się po nie do Ignacego Potockiego, do Jana Śniadeckiego, do Staszica, Lindego, Chodkiewicza, a i sam

też rzucił niejedno spostrzeżenie, które przez Kołłątaja zostało uwzględnione i do planu instrukcyi wprowadzone.

Pod tym względem ważna jest treść rozmowy Czackiego z Kołłątajem d. 7 września 1803 r. w Krzemieńcu. Czacki w ogólnych zarysach przedstawił w niej zamiary swoje dotyczące reformy szkół w trzech guberniach. W trzech gimnazyach gubernialnych miały być wykładane: języki, literatura, historya i geografia; prawo, matematyka, fizyka, mechanika praktyczna, historya naturalna, botanika, ogrodnictwo i rolnictwo; chemia, chirurgia, sztuka położnicza, konowalstwo. Co do botaniki zamierzał sobie upowszechnić tę naukę tak dalece, żeby zaczynając od szkółek parafialnych były wszędzie utrzymywane ogrody po szkołach powiatowych i przy gimnazyach; w Winnicy zaś (na Podolu) miał być największy centralny ogród, którego dozorca miał mieć razem nadzór nad wszystkimi innymi. Miał być założony konwikt dla uczniów, którzyby się ćwiczyli na zdatnych nauczycieli szkół parafialnych. Przy każdem gimnazyum miała się znajdować szkoła dla guwernantek, gdzieby ubogie panienki mogły się doskonalić na dobre mistrzynie córek obywatelskich.

Gdy Kołłątaj, wysłuchawszy tego projektu, zauważył, iż lepiej byłoby założyć uniwersytet niż trzy gimnazya z tak rozległym programem, Czacki uznał, iż rzeczywiście byłoby to lepiej, ale dodał, że nie można w tej chwili myśli tej podejmować ze względu na osoby stojące u steru wychowania, któreby się czuły przez myśl tę dotknięte, ze względu na obywateli, którymby się mogło zdawać, że Czacki chce

rozerwać związek między Litwą i Rusią, i wreszcie ze względu na tę okoliczność, iż gdyby miano założyć uniwersytet, to w Kijowie, a miasto to zbyt odległe i niedogodne dla obywateli gub. wołyńskiej i podolskiej. Na dalszą uwagę Kołłątaja, iż należałoby w tym duchu, jak chce Czacki, zreformować uniwersytet wileński, odpowiedział wizytator, iż to „więcejby jeszcze narobiło zazdrości, jak zakładać nowy, boby to obrażało własną miłość ks. Strojnowskiego i wszystkich uniwersytetu członków; trzeba więc zacząć przez oswojenie ks. Czartoryskiego z urządzeniem tutejszych gimnazyów i wszystkich szkół i przekonać go ze skutku, iż lepiej jest, co się w tym kraju zaprowadza, a potem dopiero wytknąć mu pomyłki i błędy, jakie się wcisnęły w ustawy 18 maja. „Może tym sposobem — dodał Czacki — choć dalszym, przyjdziemy kiedyś albo do nowego zreformowania akademii wileńskiej, albo do założenia nowej w tym kraju".

Uwagi te przypadły Kołłątajowi do przekonania; uznał więc wraz z Czackim, że w danej chwili należy myśleć przedewszystkiem o urządzeniu „gimnazyum wołyńskiego"; w rzuconej wątpliwości, czy ma ono być założone w Łucku czy w Krzemieńcu, oświadczył się za tem drugiem miastem, które też i Czackiemu najodpowiedniejszem się wydało.

Po tej rozmowie, stanowiącej pod pewnym względem o przyszłem wykształceniu na Rusi, Kołłątaj zajął się opracowaniem projektu urządzenia szkół w trzech guberniach, Czacki zaś oddał się wyłączniej niż dotąd zbieraniu funduszów na te szkoły wśród obywatelstwa i duchowieństwa.

Niezmordowana czynność i przemyślna gorliwość

zapewniły tej szlachetnej kweście nadzwyczajne powodzenie. Wsparty radą Aleksandra hr. Chodkiewicza, zacnego obywatela, znanego ze swego zamiłowania do chemii, który pierwszy dał przykład ofiarności na cele szkolne, gorącemi przemowami potrafił Czacki w krótkim czasie zebrać znaczne fundusze. Przenosił się z miejsca na miejsce i wszędzie był „sejmikowym szlachcicem“: z Dubna do Równego, stąd do Zasławia, dalej do Konstantynowa itd. itd. D. 18 września pisze do Chodkiewicza: „Do samego gimnazyum mam już 43 tysięcy intraty. Seminaryum kobiet mieć będzie 40 tysięcy dochodu. Sanguszko, Czartoryski, Stecki wyprzedzali siebie. Iliński mało dał na gimnazyum, bo 1000 zł. na rok. Lecz za to 40 tys. intraty rocznej na instytut głuchoniemych na 12 panien pensyę i dla nich posagi“. Fundusze te ciągle wzrastały, coraz więcej ludzi chciało mieć udział w mającej się zaprowadzić reformie szkół.

Obok zbierania składek od osób pojedyńczych, Czacki potrafił skłonić współobywateli do „ofiary powszechnej“, która przez każdy powiat roztrząsana oddzielnie, została następnie uchwaloną na zjeździe ogólnym przedstawicieli wszystkich powiatów pod przewodnictwem marszałka gubernialnego. Ofiara ta wypłynęła z następującego układu. Za poprzednich panowań ustanowiony był podatek na utrzymanie poczty i opłaty etatu cywilnego; wysokość podatku tego zależała „od liczby dusz“; w miarę zwiększającej się ludności, oczywiście i on się powiększał, co sprawiło, że dochód roczny przewyższał w końcu potrzebę rocznego wydatku. Temi zbywającemi resztami rozrządzali samowolnie urzędnicy i niektórzy obywatele i dopiero marszałek gubernialny hr. Worcell, „tro-

skliwy o dobro obywateli, posiadający ich ufność“, porozumiawszy się z marszałkami powiatowymi, przedsięwziął przeprowadzić zmniejszenie owego podatku przez zmniejszenie opłaty od „każdej duszy“. Wówczas to Czacki przedstawił Wercellowi, iż owa przewyżka mogłaby być z pożytkiem obrócona na fundusz dla seminaryum guwernantek; a gdy ten się zgodził i gdy wraz z marszałkami powiatowymi objaśniał rzecz całą współobywatelom, ci „jako już od dawna nawykli“ do składania tego podatku przewyższającego potrzebę publiczną, chętnie na myśl Czackiego przystali, dodając szlachetne zastrzeżenie, iż „chociaż ta zbywająca od utrzymywania poczty i etatu cywilnego składka przywiązana jest, podług zasad rządowych, do liczby dusz; niema jednak w żaden sposób być ciężarem włościan, lecz zabezpieczoną została na czystej każdego właściciela intracie“.

Od szlachty zwrócił się Czacki do księży: 20 października, przybywszy do Łucka, gdzie był zjazd duchowieństwa, przemówił do zgromadzonych, wzywając ich do poświęcenia części dochodów na rzecz oświaty. Przedstawiwszy zmiany zaszłe w stanowisku duchowieństwa wogóle a Kościoła rzymskiego w prowincyach do Rosyi przyłączonych w szczególności, zachęcał, ażeby księża do uprawy nauk się rzucili, ponieważ „nie opieka religii, ale wolność jej mienia jest tylko celem naszej nadziei“. „Wy, duchowni — mówił — celniejsze w rozszerzeniu światła trzymać winniście miejsce. Wasza ręka opóźni lub posunie oświecenie. Sami siebie doskonaląc, gotujcie innym wydoskonalenie. Póki tylko samych niewidzialnych skutków od Nieba przez modły będą ludzie od wielu duchownych się spodziewać; póki tylko kapłan bę-

dzie nauczycielem prawdy przez kilka godzin, a nie zgodzi swojej nauki z potrzebami ludu i nie będzie ciągłym przez czyny przykładem, a upowszechnienia światła nauczycielem: póty bojaźni wasze są gruntowne, póty cnotliwa narodu wdzięczność nie odpowie zarzutom czynionym przeciwko duchowieństwu, póty nakoniec religia oczekiwać będzie napróżno czynnego waszego wsparcia". W dalszym ciągu nastaje na konieczność zmiany sposobu wykładania nauk, który zastosowany być winien do wymagań czasu, a ujednostajniony we wszystkich szkołach. Zaleca potem ukochaną przez siebie praktyczność w wykształceniu: „Jest moją radą i spodziewam się, że będzie za użyteczną uznaną, aby seminarzyści początkowi sposobili się do sztuki ogrodniczej i rolniczej, do mechaniki praktycznej, a gdyby nawet można, do sztuki ratowania w chorobach". Zachęca do zajmowania się botaniką, hodowaniem jedwabników: „niech każdy zakon szczególną krzewów i roślin trudni się uprawą". Kończy pamiętnemi słowy: „Czujecie, że jedynie użyteczność daje miejsce ludziom między ludźmi i trwałość ustanowieniom... Starajcie się coraz więcej być użytecznymi. Wdzięczność narodu zawstydzi uśmiechy poziomej tłuszczy trefnisiów, a hołd od ludzi cnotliwych będzie świetną prac waszych nagrodą".

Duchowieństwo, pod przewodnictwem Kacpra Cieciszowskiego, biskupa łuckiego i żytomierskiego, porwane urokiem mowy Czackiego, wydało uchwałę, mocą której zobowiązało się składać ofiarę dziesiątego grosza od dochodów swoich na utrzymanie szkółek parafialnych w 47 miejscowościach z nazwiska wymienionych. Podobną uchwałę w kilka miesięcy potem (5 marcu 1804 r.), również za staraniem Czac-

kiego, wydało duchowieństwo dyecezyi kamienieckiej pod przewodnictwem biskupa Borgiasza Mackiewicza w Kamieńcu zebrane. Zobowiązało się utrzymywać szkółki parafialne w 60 miejscowościach, również z nazwiska wymienionych. Obie uchwały pozyskały najwyższe zatwierdzenie, ale niestety, zaledwie gdzieniegdzie urzeczywistnionemi zostały. Wiadomo np., że ks. Maciejowski, rektor gimnazyum podolskiego, wizytując szkoły podolskie, nie zastał szkółki w żadnej z miejscowości wymienionych w uchwale duchowieństwa dyecezyi kamienieckiej z wyjątkiem Latyczowa (Ks. Marczyński: „Opisanie gubernii Podolskiej", II. 69).

Kiedy Czacki objeżdżając kraj zbierał fundusze, Kołłątaj wypracowywał na podstawie umówionych z wizytatorem punktów, szkic urządzeń szkolnych, jakie w Krzemieńcu założone być miały. Czacki naglił, gdyż — jak pisał do Chodkiewicza 28 września — „choć Pan widzi, że się dobrze robi i prędko, w Petersburgu jeszcze mówią, że niedość czynnie się uwijam; tę zaś mają racyą, iż naszą gubernię chcą mieć za wzór".

W dniu 8 października r. 1803 Kołłątaj zjechał po raz pierwszy do Porycka, ażeby przedewszystkiem ułożyć ogólny obraz, „któryby w piśmie rozumowanem podał całkowity plan dzieła, plan potrzebny nawet samemu Tadeuszowi Czackiemu dla objęcia razem wszystkich przedmiotów i dla wytłómaczenia onych tym, którzy wiedzieć chcieli, jakie dobro dla obywateli ma przynieść praca tak gorliwego wizytatora". A ponieważ nowe urządzenie gimnazyum miało odmienić lub przynajmniej rozszerzyć ustawy 18 maja, należało także w tem piśmie usprawiedliwić wszyst-

kie powody gotujące do przyjęcia projektu, tak szkołę główną wileńską jak i kuratora tego wydziału". W tym celu przedstawił Kołłątaj swoje uwagi „O gimnazyach guberskich", ułożone w imieniu Tadeusza Czackiego. Uwagi te Czacki, porobiwszy mało znaczące zmiany, po naradzie z kilku zaufanymi, a mianowicie z Chodkiewiczem, do którego pisał 17 października, iż kroku ważnego nie uczyni, póki z nim nie pomówi, przesłał do oceny uniwersytetowi wileńskiemu, a następnie w grudniu wydrukował p. n. „O Gimnazyum w Wołyńskiej Gubernii i innych dla oboiey płci ustanowieniach uczynione przedstawienie przez Tadeusza Czackiego tey i innych Gubernii Wizytatora Roku 1803" (kart nlb. 14) [1]).

---

[1]) Porównywając to pisemko z tekstem uwag Kołłątaja, dostrzegamy 1⁰ podział na 5 §§. 2⁰ zmiany wyrazowe (zwykle łacińskich słów na polskie), 3⁰ zmiany w formułach urzędowej przemowy; 4⁰ kilka opuszczeń w takim razie, gdzie chodziło o oszczędzanie urzędników; 5⁰ kilka zmian lub dodatków, nie dotyczących istoty rzeczy, ale sposobu jej przedstawienia. Dla przykładu przytaczam dwa ustępy, cytując tylko zmiany zaprowadzone przez Czackiego; tekst Kołłątaja łatwo znaleść w „X. H. K. Korrespondencyi Listowej z Tadeuszem Czackim". (Kraków 1844). Zamiast słów Kołłątaja na str. I., 299 („Nie będziemy tu więc zastanawiać się....; pożyteczniejszą zdaje się być rzeczą"), czytamy u Czackiego: „Szanujmy wyrok najwyższej władzy i w tem, co przepisała dla gimnazyum utrzymywanego ze skarbu i w tem, czego się spodziewać każe od oświeconej cnoty, gorliwości i sposobności obywatelów. Wszystkie prowincye mają prawo do opieki dobroczynnej rządu; lecz stan potrzeb doskonalenia się jest inny w północnej Syberyi, a inny u nas. Skarb zaś jest całego kraju pod wspólnym milionów ludzi ojcem. Byłoby więc rzeczą niesłuszną, aby mieszkaniec Kamczatki dawał dla nas, kiedy od nas dla niego ofiara, dla małości jeszcze jego potrzeb w edukacyi, nie mo-

W „przedstawieniu“ tem uzasadnione zostało zakładanie gimnazyów wystarczających w zupełności potrzebom miejscowym zbyt wielką odległością wielu okolic od Wilna, gdzie utrzymanie studenta dużo kosztuje. „Gdzie idzie o dobro oświecenia powszechnego — powiedziano tu — tam rząd najwięcej zapewne uważa na potrzeby uboższej klasy obywatelów. Bogaci często mniej o to dobrodziejstwo dbają; ich młodzież po większej części odbiera wychowanie prywatne; a ciężary sprawowania urzędów publicznych po guberniach i powiatach spadają najczęściej na klasę obywateli miernego majątku, który nie będąc w stanie utrzymywać dzieci swoje w uniwersytecie, nie mogliby ich zdolnie usposobić do sprawowania onych, albo sprawowaliby oni te urzędy nie będąc do nich dość opatrzonymi w umiejętności, których potrzeba kraju i wola prawodawcza Najj. Imperatora wymaga po przyszłych urzędnikach“.

Atoli nie idzie tu tylko o stan szlachecki; ale także o mieszczan. Nędza miast, ich „nieprzyjemna postać najwidoczniejszym jest owocem nieoświecenia mieszkańców. Nigdy miasta tutejsze z swych zwalisk

głaby do niego dochodzić; ta zapewne była przyczyna, iż celniejsza u nas szkoła świetny ma tytuł gimnazyum a jest szkołą wydziałową. Ma gubernia wołyńska stan wyższej cywilizacyi, więcej potrzeb doskonalenia się, dosyć gorliwości i funduszów“. Do tekstu Kołłątaja str. I., 318 dodano: „Gubernia nasza ma największe źródło dochodów z rolnictwa, przychody nawet pieniężne są środkami pomnożenia i stworzenia zbożowych intrat. W ciągu lat kilku nie podniosła się cena produktów, a cena bydła jest podwójną. Doświadczy rolnictwo przeszkody, jeżeli *artem veterinariam*, łącząc leczenie owiec, nie upowszechnimy. Każde miasto, każda wieś większa potrzebuje takiego konowała“.

z swej wkorzenionej nikczemności powstać nie zdołają, póki się nie dochowają urzędników i obywateli oświeconych, którzy jedni do urzędu, drudzy do wielorakiego gatunku przemysłu zdolnie braćby się mogli". A ci mieszczanie „ubodzy i znikczemnieni" mniej jeszcze aniżeli szlachta miernego majątku będą mogli do Wilna synów swych posyłać.

Ażeby zadosyć uczynić tym potrzebom miejscowym należy założyć gimnazyum, w którem by wykładane były nauki uzdatniające młodzież do przyszłej działalności jako urzędników i obywateli.

Tu rozwinięty został plan podziału całej nauki gimnazyalnej na klasy i na kursy, plan, który w głównym pomyśle, zgadza się z projektem Franciszka Bielińskiego, dzielącego, jak wiadomo, kurs wykształcenia na „szkołę języków" i „szkołę nauk". W programie Kołłątaja i Czackiego znajdujemy podział na „klasy" i „kursa". W „klasach", których jest cztery, wykładane są języki: 1) polski i łaciński, 2) rosyjski, 3) francuski, 4) niemiecki. Nauczycieli jest czterech; profesor języka polskiego udzielał i łaciny, na którą przeznacza się 20 godzin tygodniowo; nauczyciel języka rosyjskiego dawać oraz będzie arytmetykę, nauczyciel języka francuskiego da początki nauki moralnej; nauczyciel języka niemieckiego da geografię powszechną. Całe te 4 lata poświęcone są na „ćwiczenia pamięci", która u dzieci jest najżywszą i do uprawy najpodatniejszą.

Wykład powinien być w języku polskim, do czego skłania „nie samo próżne przywiązanie do ojczystej mowy, ale widoczna potrzeba oświecenia publicznego", gdyż „gdziekolwiek nauki dawane były w obcym języku, tam zawsze mała bardzo liczba lu-

dzi korzystała z ich światła, a cała masa ludu była podobnie barbarzyńska jak i ich mowa; gdziekolwiek nauki dawane były w ojczystej mowie, tam oświecenie zastąpiło barbarzyństwo, a mowa ojczysta stawała się prawdziwie mową uczoną". „Powinniśmy się przykładać do dawnych i teraźniejszych uczonych języków, abyśmy znali obce bogactwa w wynalazkach i literaturze; lecz naród nasz nie może być powszechnie oświeconym, wynalazki i prace naszych pisarzów będą zawsze poziome i niedokładne, jeżeli mowa nasza nie będzie mową nauczycielów i pisarzów".

„Kursów" nauk będzie trzy, a każdy z nich dwuletni. Uczniowie wychodzący z czterech niższych klas przez pierwsze dwa lata słuchać będą wykładu matematyki elementarnej i logiki, historyi i jeografii powszechnej, dawnej i teraźniejszej; po ukończeniu tych kursów pójdą przez drugie dwa lata na wykład fizyki i prawa; nakoniec przez trzecie dwa lata słuchać będą historyi naturalnej, chemii, tudzież literatury. Te sześć lat obraca się na ćwiczenie „refleksyi".

Atoli oprócz wymienionych tu nauk, wszystkich mających obowiązywać, potrzebne są jeszcze nauki, „do których przykładanie się dogadzać będzie albo szczególnemu gustowi, albo nieuchronnej potrzebie tych, którzy przez własne oświecenie zechcą być pożytecznymi społeczności i razem zabezpieczyć sobie na przyszłość sposób pewny do życia". Takiemi naukami są: 1° matematyczne, czyste i stosowane jako to: matematyka wyższa, astronomia, mechanika, hydraulika i hydrostatyka praktyczna; 2° nauki fizyczne, jako to: ogrodnictwo i rolnictwo teoretyczne i praktyczne, anatomia, fizyologia, chirurgia, sztuka położnicza, weterynarya; 3° gramatyka powszechna czyli

filozoficzna języków słowiańskich; język grecki, „gramatykalnie dawany z porównaniem prawideł jego do języka łacińskiego i języków słowiańskich“; 4° bibliografia czyli „wiadomość o dziełach pisarzów dawnych i teraźniejszych we wszystkich objektach“. Ponieważ zaś te nauki wkraczały w zakres studyów uniwersyteckich, autor „przedstawienia“ uprzedza możliwe zarzuty co do chęci zerwania łączności z uniwersytetem wileńskim, powiadając: „Dość będzie związku między tutejszem gimnazyum i Szkołą Główną, gdy stąd odsyłani zostaną do Wilna na nauki kandydaci do stanu nauczycielskiego; gdy chcący doskonalić się w medycynie, rzymskiem i kościelnem prawie, teologii, muszą się udać do tej Szkoły Głównej dla dokończenia kursów, których po gimnazyach nie będzie i dla otrzymania stopni doktorskich; dość nareszcie, gdy ta szkoła będzie miała najwyższą zwierzchność nad wszystkiemi gimnazyami i szkołami przez wizyty od siebie wysyłane, przez władzę sądowniczą w przypadkach ustawami przepisanych; lecz trudno odmówić potrzebie miejscowej, ażeby gimnazya nie miały u siebie potrzebnych nauk do udoskonalenia nauczycielów parafialnych, dobrych ogrodników i rolników, chirurgów, kobiet do sztuki położniczej i konowałów“, żeby niektórzy z uczniów gimnazyum nie mieli się doskonalić w matematyce i innych naukach.

W końcu wspomina autor o uprawie „przyjemnych talentów“, jako to o nauce rysunków, muzyki i niektórych sztuk gimnastycznych a szczególniej pływania.

Tyle co do gimnazyum. Pomyślawszy atoli o wykształceniu mężczyzn, nie można zapomnieć o koniecznej reformie wychowania całej połowy społecz-

ności ludzkiej tj. kobiet. Gdyby wychowanie kobiet zostało zaniedbane, „nadaremnie pracowaćby przyszło nad urządzeniem najlepszego wychowania mężczyzn“. One jako matki, jako towarzyszki życia mężczyzn wielce wpływają na pierwsze wrażenia, pierwsze wiadomości i na urobienie charakteru mężczyzn; „chcąc poprawić obyczaje mężczyzn, trzeba zacząć od ulepszenia obyczajów kobiet; bo czego częstokroć wychowanie i ostre prawa poprawić w mężczyznach nie zdołają, to dobrze wychowane i cnotliwe kobiety w najprzyjemniejszy sposób niewątpliwie poprawią“. Wychowanie to musi odbywać się w domu „jako najprzyzwoitszej dla kobiet szkole“, gdyż „wychowanie panien w którem kolwiek z naszych miast, a tembardziej w jakiem mieście obcem nietylko jest niepożyteczne, ale nawet obyczajom wiejskiego życia szkodliwe“. Złemu zaradzić może jedynie założenie „szkoły publicznej mistrzyń“, gdzieby one „doskonaląc się w objektach swemu powołaniu potrzebnych, stały się zdolnemi dzielić najpożyteczniejsze wychowania prace wraz z matkami, w ich domu i pod ich dozorem“. Zapobiegając zaś ówczesnemu niedostatkowi mistrzyń, a chroniąc młódź żeńską od niebezpiecznego wychowania, „jakie pospolicie być musi po teraźniejszych pensyach“; projektuje równocześnie ze szkołą guwernantek zaprowadzić „konwikt dla panienek obywatelskich, gdzieby one, pod tymże samym dozorem co i kandydatki na mistrzynie, jednakowym sposobem ćwiczyć się mogły“.

Ostatnie trzy, stosunkowo krótkie paragrafy zawierają kwestyę funduszów na gimnazyum wołyńskie, kwestyę wyboru miejsca zarówno na nie jak i na seminaryum mistrzyń, wreszcie oświadczenie się za je-

dnem tylko gimnazyum w gubernii wołyńskiej, z zastrzeżeniem, że podobne gimnazya istniećby winny w gub. podolskiej i kijowskiej.

W tymże samym czasie, w którym były czytane uwagi Kołłątaja (8—17 paźdź.), przemienione potem w „przedstawienie o gimnazyum wołyńskiem", podał Czacki zarys myśli odnoszących się do szczegółowego obrobienia ustawy dla wszystkich zamierzonych przezeń instytucyj. Zarys ten, wydrukowany w „korespondencyi listownej" (t. I., str. 338—358), zawiera projekt pensyj dla nauczycieli gimnazyum i szkoły mistrzyń, projekt urządzenia nauki dla „dyrektorów parafialnych", projekt szkoły ogrodnictwa i rolnictwa, szkółek parafialnych i szkoły dla mistrzyń.

Ta ostatnia, lubo nie przyszła potem do skutku, zasługuje na baczniejszą uwagę ze względu na zakres nauki, jaki Czacki dla kobiet za potrzebny uważał. Kurs nauk miał trwać najwięcej lat 9, najmniej 7 (od 10 do 12 roku życia poczynając). Nauki miały być następne: 1) Nauka moralna, 2) gramatyka polska, 3) gramatyka rosyjska, 4) język francuski i niemiecki, 5) nauka stylu w pisaniu listów, 6) arytmetyka do ułamków dziesiętnych, 7) geografia i historya, 8) regestratura, 9) nauka ogrodnictwa, 10) nauka gospodarstwa domowego, szczególniej kucharstwa, 11) rysunki, 12) wokalna muzyka dla uzdolnionych do śpiewu, 13) muzyka na klawikordzie, 14) nauka robót jako to: szycia, wyszywania, haftowania, szycia włóczkami, robienia koszuli i sukien, 15) pierwsze prawidła budownictwa wiejskiego, a w ostatnim roku mechaniki praktycznej. Do seminaryum tego miało być wybranych z każdego powiatu po 4 panienki, ogólna zatem ich liczba wynosić miała 48. Po ukończeniu nauk miały

być odbierane, za wolą marszałka powiatowego, do powiatu, skąd były wzięte. Wolno im było u którejkolwiek pani, lecz koniecznie w tym samym powiecie, być guwernantkami; przez sześć lat musiały się zadawalać pensyą zł. 500 i 600; po sześciu latach miały być wolne od wszelkich obowiązków względem powiatu. Gdyby taka panna nie znalazła miejsca w danym powiecie przez rok pierwszy, mogła, za świadectwem marszałka, pójść do innego powiatu tej gubernii, i ten rok rachował się jako odbyty. Gdyby w 3cim lub dalszym roku edukacyi okazał się w której pannie „szczególniejszy dowcip", to może się uczyć jeszcze innych nauk, albo też w jednej jakiej nauce specyalnie doskonalić. Takich panien można tylko dwie na rok wybrać, one będą kandydatkami na guwernantki w seminaryum mistrzyń.

Na podstawie rzuconych w tym zarysie myśli, jako też rozmów z Czackim, napisał Kołłątaj obszerną rozprawę, ukończoną i przepisaną (aż do rozdz. VI. o szkołach parafialnych) 17 listopada, a wydrukowaną w „Korespondencyi listownej" (t. II., str. 1—205) p. n. „Projekt urządzenia gimnazyum wołyńskiego w mieście J. Imper. Mości Krzemieńcu i wszystkich innych szkół w gubernii wołyńskiej zaprowadzić się mających, podany do najwyższego potwierdzenia od wizytatora nadzwyczajnego szkół trzech gubernij: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej". Trudno dziś zbadać, jakie w projekcie tym zmiany zaprowadził Czacki, zanim go przesłał do opinii uniwersytetowi wileńskiemu; wiadomo tylko, że kilka miesięcy przetrzymał go u siebie, że zasięgał rady ks. Adama Czartoryskiego i Ignacego Potockiego, że zarzuty robione projektowi temu komunikował Kołłątajowi, który na

nie szeroko odpowiadał. Zbadanie jednak, w jakim stosunku był projekt przesłany przez Czackiego do uniwersytetu, z projektem Kołłątaja, mogłoby wprawdzie wyświetlić oryginalne pomysły Czackiego, ale nie wpłynęłoby na dokładniejsze poznanie samej sprawy. Zasadnicze bowiem myśli są w „Projekcie“ też co i w „Przedstawieniu“; opracowanie ich szczegółowe, rozkład przedmiotów, układ stosunków pomiędzy gimnazyum a seminaryum mistrzyń i innemi instytucyami już były dziełem samego Kołłątaja, lubo w głównych punktach opierały się na szkicowym zarysie Czackiego. Ponieważ zresztą projekt ten w tym zakresie, w jakim był napisany, nie uzyskał zatwierdzenia, rozbiór jego szczegółowy na tem miejscu mniej jest potrzebny.

Czacki zanim wysłał „Projekt“ ten do uniwersytetu, napisał i przesłał do tej instytucyi, jakby dla przygotowania umysłów do konieczności reformy, swój raport „O stanie jeneralnym oświecenia gubernii wołyńskiej i o środkach urządzenia i upowszechnienia nauk“, podpisany w Brusiłowie 10 stycznia 1804 r. Podawszy cyfry rozległości gubernii i jej ludności, mówi tu o stanie jej oświecenia za czasów rządu polskiego, następnie o upadku stopnia oświaty po r. 1795, o zmniejszonej liczbie uczniów w szkołach, dalej o wielkiej ofiarności obywateli okazanej w czasie wizyty, o koniecznych zmianach, jakie zaprowadzić potrzeba, ażeby oświatę podnieść. Między temi zmianami zastanawiają szczególniej następne: Obywatele pragną — pisze Czacki — „aby ten tylko był domieszczonym na urzędy, kto wszystkie klasy i kursa nauk przejdzie; ktokolwiek zaś w innej uczył się szkole lub w domu, powinien odbyć egzamin i ten

w aktach szkoły zapisanym będzie... Prywatne edukacye nie mogą być bronione, lecz wypada, aby każdy guwerner, metr i guwernantka byli egzaminowani wprzód, niż te obowiązki pełnić zaczną, a uczniowie ich aby się poddawali egzaminom szkolnym, jeżeli zechcą być na urzędy wybierani... Ktokolwiek wszystkie klasy odbędzie, a z swego wydziału nauki, którą obrał, egzaminowanym zostanie, wolnym być winien od potrzeby zostawania w wojsku. Proszą powiaty wszystkie, aby z młodzieży kończącej nauki marszałek powiatowy mógł wzywać pewną ich liczbę do pomocy i pracy. Ci pierwszą usługę publiczną odbyliby w rewizyi szkółek parafialnych, śledztwach itd. część ich *cum voto consultivo* (z głosem doradczym) w sądach ziemskich i w sądach głównych, gdy do tego ranga i do urzędów pierwszeństwo zastrzeżone będzie... Gdy zakony podejmują się uczyć, nauczyciele, z ich grona wybrani, należą do hierarchii szkolnej; nie powinni być zatem przypuszczonymi do obowiązku nauczycielów, póki stopniów nauczycielom przyzwoitych w Szkole Głównej nie odbiorą. Nadto, przemiana, przenoszenie ich na inne urzędy, nie powinna być zostawiona samowolnej władzy zakonnej. Co rok po zakończonej wizycie zakonna władza niech się z uniwersytetem znosi... Święta familii panującego największą odbiorą cześć, gdy je większa gorliwość w pracy uczniów oznaczy; jeśli je uczniowie święcić mają, należy je przenieść dla nich na niedziele... Elementarne książki potrzebują rewizyi a w wielu materyach nowe są oczekiwane; czujemy ważną potrzebę książki elementarnej dla usposobienia nauczycielów i dania im prawideł. Gdy wielu pisało *de arte paedagogica* a nikt elementarnego dzieła w tym rodzaju nie

napisał, potrzebny jest na to konkurs podług prawideł, które uniwersytet przepisze, a gubernia wołyńska na medal temu, który pierwszeństwo otrzyma, czer. zł. 200 ofiaruje. Damy zaś wołyńskie, pragnąc mieć jak najprędzej elementarne książki dla swojej płci, składają dukatów 200 na medale, nagradzając najlepsze w tym rodzaju dzieło. Gubernia wołyńska żąda, aby z funduszów (zebranych), po opatrzeniu gimnazyum i ustanowień do tego przyłączonych, wyznaczyć co rok zł. 2000 na nagrody dla nauczycieli. Nauczyciel, biorąc w ogół gubernię, pod którym najlepiej uczniowie postąpią w nauce i obyczajach, weźmie raz jeden zł. 1000, drugi po nim zł. 600, trzeci zł. 400. Wizytator da o tem zdanie, przyłączając autentyczne dowody, a uniwersytet nagrodę przysądzi, która z dowodami publicznie gazetą ma być ogłoszona. Równie świeccy jak i zakonnicy do tej nagrody są przypuszczeni".

Po przesłaniu „Przedstawienia", „Raportu" i „Projektu" nastąpiło długie, półtoraroczne blizko oczekiwanie na potwierdzenie ustaw dla przedsięwziętych instytucyj. Czas ten wypełnił Czacki zbieraniem ofiar w dalszym ciągu, staraniem o zjednanie przełożonych i nauczycieli dla przyszłego zakładu, przygotowaniem gmachów w Krzemieńcu do zamierzonego w celach szkolnych użytku, załatwianiem kłopotliwych i przykrych spraw, tyczących się karności szkolnej w zakładach z trzech gubernii, odpowiadaniem wreszcie na zarzuty, robione „Projektowi" ze strony uniwersytetu, kuratora, a nawet współobywateli.

Dochodziły Czackiego niepokojące wieści, iż rektor Strojnowski i uniwersytet wogóle przyjął niechętnie samą myśl utworzenia w Krzemieńcu zakładu,

który miał przybrać inną organizacyę, aniżeli przepisana dla wszystkich gimnazyów w ustawie opracowanej w części przez samego Strojnowskiego, — zakładu, który miał posiadać pewne katedry uniwersyteckie i mógł w pewnej mierze z uniwersytetem wileńskim rywalizować. Czacki, niecierpliwy i lubiący iść niebezpieczeństwu naprzeciw, pisał do znajomych sobie profesorów w Wilnie, mianowicie do Jędrzeja Śniadeckiego, starając się ich zjednać dla swej myśli propozycyą zajęcia posady w przyszłym zakładzie lub szukaniem ich rady, a nadto zwrócił się wprost do Hieronima Strojnowskiego, z którym go dawna, jeszcze z czasów urzędowania w Komisyi Skarbowej, łączyła znajomość. Rektor uczuł się widać dotkniętym jakiemś wyrażeniem Czackiego, gdyż w jednym z listów (28 lutego 1804) odpisał mu z niezwykłą sobie żywością, protestując przeciw przypuszczeniu, iż on mógłby projektowi rozszerzenia oświaty stawać na zawadzie. „Zdaje mi się — powiada — że byłoby rzeczą cale śmieszną, gdyby uniwersytet lub onego rektor chcieli się komu tłómaczyć i usprawiedliwiać, że nie są przeciwnymi pomnożeniu światła w prowincyach wydziału od monarchy sobie określonego. Zatem cóż więcej mogę, tylko zaręczyć słowem uczciwem, że to wszystko jest bajką, fałszem, obelgą i potwarzą, od złości, zawiści i ciemnoty rzuconą na uniwersytet i jego rektora? tak jak często bywa w samem Wilnie. Muszę nawet wyznać, że w samem gronie akademii znajduje się człowiek, który mimo rozumu i talentów, zaślepiony pasyą, gdy mu różne role nie udały się, zrucił nakoniec maskę i jawnie ze wszystkiego w akademii niekontent, zmyśla dzikie rzeczy, gada, szydzi, inaczej przewraca, wszystkich

płochych, kobiety i dzieci uprzedza". Nie wiem napewno, o kim ks. rektor z taką pasyą się wyrażał, znany jest w tych czasach intrygant Horodecki, ale ten „rozumu i talentów" posiadał niewiele; rektor może miał na myśli Jędrzeja Śniadeckiego, z którego wówczas był bardzo niezadowolony; mniejsza jednak o tę osobę; dość, że rektor sam wyrażał w liście szczere uznanie dla wszystkich projektów i zabiegów Czackiego. To też ten pośpieszył (10 marca) z gorącem podziękowaniem: „List JWPD. napełnił duszę moją pociechą, upewnił mi spokojność. Wszystko dla mnie zdawało się być tajemnicą. Milczenie przyjaciela, list Wawrzeckiego, list z Wenecyi, doniesienia, jak widzę, mylne z Wilna i z Petersburga: wszystko razem wzięte zagrażały mi różnicą opinii, nie w szczegółach, ale w pierwszej zasadzie. Ważne dzieła muszą być otoczone trudnościami. Upłynęły dnie nieporozumienia się, nastąpił dzień, w którym za sprawą powszechną zgodne przekonanie. Szczęśliwy, że mam w osobie JWPD. zwierzchnika i przyjaciela... Wspólna praca większe zbliży pożytki ojczyźnie. Cała nasza jest duma w tem, aby głos naszego sumienia dał nam to miłe świadectwo, że zabieżymy pogrążeniu ludzi w ciemności i uczynimy krok jeden w drodze oświecenia. Jeżli godzien jestem szacunku JWPD., jeżli mi chlubne dajesz przyjaciela imię, pozwól, abym prosił o poprawę tego wszystkiego, co znajdziesz potrzebnem. Masz więcej zdatności i doświadczenia".

Naturalnie, pomimo wymiany słów przyjaznych, roztrząsanie „Projektu" szło swoją drogą; uniwersytet poczynił swoje uwagi, które wskutek nalegania Czackiego były mu częściowo komunikowane. Jedne z nich dotyczyły strony formalnej, inne nastawały

na to, że nie należy odmieniać ustaw przepisanych dla gimnazyów, ze względu na jednostajność nauczania, inne dotykały kwestyi pedagogicznej (jednostronności ćwiczenia pamięci w klasach a refleksyi na kursach, niemożności założenia szkoły cyrulików i akuszerek), inne wreszcie mówiły o niedostateczności zebranych funduszów, skutkiem czego wprowadzenie naraz w życie wszystkich instytucyj projektowanych staje się niemożliwem. Dnia 1 czerwca Strojnowski doniósł Czackiemu, że raport z wizyty w gub. wołyńskiej oraz wszystkie projekta wraz z uwagami uniwersytetu już do kuratora zostały odesłane. D. 25 czerwca Czacki odebrał od Czartoryskiego list, zawierający uwagi nad przesłanym projektem. Oprócz kwestyj formalnych kurator zwraca baczność inicyatora na to, że „patentowanie cyrulików i akuszerek na gubernią wołyńską byłoby wprowadzeniem nowości, która żadnej teraz korzyści nie może obiecywać dla krzemienieckiego gimnazyum", że „wielkie szczególne ustanowienia zostawić należy dalszemu czasowi dla zrobienia potrzebnych odmian lub poprawy, jeżeli konieczność wyciągać tego będzie", że wypada porozumieć się z uniwersytetem. Zdaniem kuratora „bezpieczniej byłoby zmniejszyć osnowę całej budowy, aby ją na mocnych postawić zasadach"; dlatego też prosi Czackiego, aby stosownie do funduszu, nie podlegającego już żadnej wątpliwości lub dwuwykładności, „ułożył plan przyszłego gimnazyum, zajmując początkowie to tylko, czego istotna potrzeba i dobro edukacyi usilnie wyciągają". W rodzaju objaśnienia tych słów kurator dodał: „Może nie byłoby wielkiej nieprzyzwoitości opuścić w nim (tj. w planie gimn.) teraz kurs astronomii; później zaś gdy się

otworzą nowe źrzódła dochodów; gdy się okaże nieodbita potrzeba i konieczność zaprowadzenia w nim tych nauk, jakie się dają w uniwersytecie, można powoli zwracać się do pierwszego planu".

Po tym liście kuratora, dość wyraźnie dającym do poznania, że plany Czackiego mogą uledz znacznej zmianie, i po liście Jędrzeja Śniadeckiego (7 sierpnia), który donosił, że w uniwersytecie „powstaniu gimnazyum wołyńskiego niemal wszyscy są przeciwni"; — gorliwy wizytator wystarał się o uwagi uniwersytetu i choć tenże już je cofał, postanowił na nie odpowiedzieć. Rzuciwszy więc, według zwyczaju, parę myśli, prosił Kołłątaja o ich obrobienie i danie szczegółowej odpowiedzi na wszystkie zarzuty.

Dopełnił tego Kołłątaj chętnie i (w imieniu Czackiego) starał się plan nowych urządzeń we wszystkich częściach usprawiedliwić. (Zob. „Korespondencya listowna t. III.. str. 1—61). Czackiego najwięcej oburzała ta okoliczność, że uniwersytet doniósł urzędownie, jakoby fundusz nie był dostateczny, gdy według Czackiego przewyżka wynosiła blizko 15 tys. zł. „Było to — pisał do Kołłątaja — najdowcipniejsze wywrócenie planu, okrywszy go pochwałami; było to zrobione na okazanie, iż cała robota jest na piasku". Najsilniejszym w tym względzie argumentem dla Czackiego było oświadczenie, że obywatele wołyńscy „ofiary swoje poświęcają pożytkom własnej gubernii i to na takie cele, jakie projekt obejmuje; inaczej gotowi są cofnąć je, kiedy one mają podlegać woli arbitralnej uniwersytetu wileńskiego, a nie odpowiadać zamiarom obywatelów". Pociechą i otuchą dla Czackiego był list kuratora z 22 paźdz., który go zapewniał, że nie miał żadnej obawy ani nieufności

względem projektów jego, a zarazem upoważniał Czackiego, aby przystąpił do urządzenia gimnazyum „wedle myśli ogólnej tego planu“, jaki kuratorowi był nadesłany. „Tym sposobem — dodawał kurator — sam JWPD. z doświadczenia najlepiej będziesz mógł widzieć, co z rzeczonego planu teraz uskutecznić można, co zaś dalszemu czasowi zostawić należy“.

III.

Upewniony o protekcyi z góry, postanowił Czacki przyjść do porozumienia z uniwersytetem, któremu kurator zwrócił prawdopodobnie i projekt i uwagi dla ostatecznego sformułowania ustaw gimnazyum wołyńskiego. Ponieważ listownie trudno było załatwić wszystkie mogące się nastręczyć przy rozbiorze kwestye, musiał się Czacki wybrać osobiście do Wilna, gdzie wtedy, wśród grona profesorów wielkie panowały niezgody i intrygi. Skłoniła go ostatecznie ku temu wola kuratora, który chciał, ażeby Czacki wpływem swoim niesnaski te zażegnał. Udał się do Wilna w grudniu; szczegóły pobytu jego nie są nam znane; rezultat musiał być bardzo pomyślny, kiedy Czacki pisał 25 grudnia do Kołłątaja: „Dumnym być mogę z ufności powszechnej, której tu dowody odebrałem. Porobiły się organizacye i różne układy; niezgoda, niewprawa, niepewność co jest lepszego, a co gorszego, małe uwagi, zatrudnienie się drobiznami: wszystko to razem wzięte, czyniło przeszkody postępowi i zastanawiało całą machinę. Zniknęła niezgoda... Dało się nowe życie w wielu względach. Godzi się akademia z opinią i życzeniem obywatelów. Plany nasze poszły z nic nieznaczącemi odmianami. Przez

te siedmnaście dni, które tu bawiłem, nie miałem wolnej godziny. Bez władzy, stałem się przez ufność niejako wglądaczem we wszystko".

Gdy tak bronił projektów swoich wobec kuratora i uniwersytetu, musiał nadto walczyć z uprzedzeniami i niechęciami w łonie samego społeczeństwa, wynikłemi już to wskutek zadraśniętych interesów, już też wskutek obawy nowości. Karność, którą zaprowadzić musiał, jako wizytator, w wielu szkołach, nakłanianie do odmiany sposobu uczenia mianowicie w zakładach zakonnych, wydalanie ze szkół jednostek nie mających kwalifikacyi naukowej lub moralnej robiło Czackiemu wielu nieprzyjaciół. W Łucku żądanie Czackiego co do ofiar na rzecz edukacyi księża przyjmowali chętnie, ale później utrzymywali, że to „są dzieła irreligii, które podkopują prerogatywy stanu duchownego". W Dubnie „za jakieś wyłajanie bernardynów i za groźbę zamknięcia ich szkółki" nazwano Czackiego „francmasonem i ateuszem". Metrowie języka rosyjskiego tak w Łucku jak w Krzemieńcu, żalili się publicznie, jakoby Czacki pod pozorem niezdatności chciał ich wykluczyć ze szkół dla pomieszczenia Polaków itd. itd. Z powodu skargi podanej przez prowincyała pijarów międzyrzeckich, pisze Czacki do Filipa Platera (1 sierpnia 1804): „Gryzą mnie wszędzie. Ja to cierpię, bo dobro kraju tej ofiary wymaga... Żądam, aby pijarzy okryli się chwałą, aby do ulepszenia nowego pokolenia przyłożyli się. Racz, Panie, zatwierdzać tę powinność w prowincyale i w rektorze. Będę ich wielbił, będę służył, ale niech czynnie sprawie oświecenia służą".

Obok tych głosów zranionej miłości własnej lub interesu, były i inne z czystszego wypływające źródła.

Aleksander Chodkiewicz wyrażał swoje wątpliwości co do nacisku na naukę języków w klasach, co do szczupłości godzin na naukę klasową przeznaczonych i co do kształcenia panien. Chcąc wątpliwości te rozproszyć, Czacki udawał się o radę do Kołłątaja, który nie zaniedbywał jej udzielać; tym sposobem powstały odpowiedzi udzielone Chodkiewiczowi.

Ponieważ rzucają one niejakie światło na poglądy Czackiego, i na jego stosunek do Kołłątaja, przytaczam je z rękopismu, w skróceniu. D. 27 listopada pisze Czacki z Porycka: „Do nauk, na które tylko trzy lata dawniej przeznaczano, teraz się przydaje rok czwarty. Doświadczenie pokazało, że dzieci wcale nie miały czasu ugruntować się w języku łacińskim, a inne obce języki, będąc tylko dawane w czasach wolnych od godzin czterem klasom przeznaczonych, wcale zaniedbane zostały od uczniów przez same niepodobieństwo przykładania się do nich“. Nowa reforma „dawniejszych metrów języka robi nauczycielami czterech klas pierwszych, dzieli między nich godziny dzienne, wkłada obowiązek przechodzenia z jednej do drugiej klasy, a tem samem dzieli uczniów na poczynających, postępujących i doskonalących się w tych językach. „Cztery lata będąc na ten koniec przeznaczone, zwłaszcza dla dzieci, których pamięć jest ostrzejsza i szczęśliwsza, odpowiedzą zamiarowi reformy i sprawią, że uczniowie czterech klas doskonale posiadać będą języki“. Co do rozkładu czasu: Uczeń wstaje o 5 rano; pół godziny pozwala się na ochędożne ubranie, kwadrans mniej więcej na ranny pacierz. Od $^3/_4$ na 6 do $^3/_4$ na 7 ma tylko czas na przygotowanie się do lekcyi, na jej odrecytowanie przed dyrektorem i objaśnienie się w tem, czego do-

brze nie pojmuje. Przed 7-mą idzie na mszę, ta zabiera $^1/_2$ godziny. Idzie do klasy dla odrecytowania lekcyi przed audytorem i powraca do stancyi na śniadanie; o 8ej już jest w szkole. O 10-tej wraca do domu, gdzie go zaraz dyrektor egzaminuje z tego, czego się od nauczyciela nauczył. Uczeń musi powtórzyć całe szkolne tłómaczenie, a czego dobrze nie pojął, dyrektor go objaśnia; powinien wygotować ćwiczenia dane od nauczyciela i porządnie je przepisać. Następuje obiad. Od $1^1/_2$ do 2-giej recytuje przed audytorem lekcyę; od 2 do 4-tej jest w szkole. O 4-tej powróciwszy do domu musi zdać sprawę z tego, czego się nauczył; od $4^1/_2$ do 5-tej podwieczorek i krótki odpoczynek. Od 5-tej do 7-mej uczy się zadanej od profesora lekcyi, gotuje się z pomocą dyrektora do jutrzejszej lekcyi. O 7-mej wieczerza. Od 8 do 9-tej przypomina sobie lekcye. Od 9 do 5-tej śpi [1]. „Lepiej się dłużej uczyć — dodaje Czacki — niż na pół umieć". Co do „kursów" starać się trzeba, aby uczniowie nie byli czytelnikami „jednej tylko książki"; niektórzy bez dyrektorów obejść się już mogą. „Osobnego nauczyciela nie żądam nauki moralnej. Bo ta zawarta jest w katechizmie, kursie kazań, rekolekcyach rozsądnie co rok robionych i w księdze obyczajowej ks. Piramowicza. Nie przestaje się ona dawać w wyższych kursach. Nauczyciel historyi okazuje władze moralności i nieszczęścia, kiedy od niej się usuwa. Prawo natury, prawo narodów, ekonomika polityczna i prawo krajowe jest kursem moralnej nauki. A jeśli chcesz etykę wprowadzać, znajdzie się ona w tych naukach,

---

[1]) Cały ten ustęp listu do Chodkiewicza jest nawet stylowo, prawie dosłownem powtórzeniem listu Kołłątaja do Czackiego z 13 listopada 1803 („Koresp. list." t. I., str. 271—280).

aż do tej linii, gdzie nauka religii zaczyna swoją świętość wdrażać moralności“. Mówi dalej Czacki o mechanice i o potrzebie oddzielnego do niej nauczyciela, którego fizyk nie może wyręczyć. Logiki ma uczyć matematyk. Co do Kanta, o którym natrącał Chodkiewicz, znajdujemy tu zdania dość splątane: „Szanujmy królewieckiego filozofa, lecz osobno winniśmy czynić o jego transcendentalizmie i empiryzmie. Nie przeklinaj Kanta, ale racz nie żałować trudu w czytaniu Plattena. Kanta systema ma zaprzeczoną ewidencyę, a jego metafizyczna logika nie jest dla uczniów. Z cytacyi widzę, że Kanta znasz w obrazie, który dał Vrilliers (? zapewne Villers). Fichte i Gardey niewiernym go wykładaczem nazwali. Chcesz go poznać, przebacz mojej otwartości, czytaj go w oryginale. Weź całą historyę filozofii, nie opuszczając części scholastycznej, a może wstrzymasz przez znaną roztropność życzenie, aby Kanta systema było powszechnem“. Na interpelacyę Chodkiewicza co do dzieł elementarnych, odpowiada Czacki, że myśli o nich i że zalecił 1° aby do 1 marca (r. 1804) każdy z nauczycielów właściwej materyi dzieło elementarne, z którego uczy odczytał, i zrobił nad niem uwagi, 2° aby od 1 marca do 1 maja na zgromadzeniu szkolnem wspólnie spostrzeżenia swoje rozważyli i uwagi zgodne lub różniące się do Krzemieńca odesłali. Mówiąc o dziełach elementarnych Komisyi Edukacyjnej, powiada: „Każda konstytucya rządu szkolnego i nauki same potrzebują rewizyi“ [1]). Na inne zarzuty, o których mu zapewne do-

---

[1]) Ten ustęp listu odznacza się większą samodzielnością, jakkolwiek kilka myśli wziął Czacki już to z przytoczonego listu Kołłątaja, już to z „Uwag“ jego wydrukowanych w „Koresp. list.“ t. I., str. 162, 163.

nosił Chodkiewicz, odpowiada Czacki w liście z 15 paźdz. 1804 r. Wspomniawszy o pokątnych szemraniach, domaga się krytyki jawnej i mówi: „Pozwólmy ludziom się urągać. Pozwólmy, aby naszym kosztem się bawili; nakoniec niech widzą niepodobieństwa, byle my okazali oczewistość. Niech na drugiej stronie wyroku nawet niesławy zapiszą potrzebne ustawy, nie będzie nas kosztować ofiara z miłości własnej... Kto pokątnie urąga się, niech głośno walczy... kto mnie zna, nie powinien mnie obwiniać o lekkość w czynieniu... Za powiatowych nauczycielów nie ręczę, choć i tym daję materyały do dysertacyj i z nich poznawam osoby; lecz skład gimnazyalnych osób nie zlęknie się rządu. Chcemy mieć Polaków nauczycielami, nie dlatego, aby cudzoziemiec nie mógł zdatnością wyprzedzić, ale dlatego, że kto chce prawdziwego oświecenia, ten pragnie bez tłómacza uczyć i przekonywać, a u nas trudność jest w tłómaczeniu się obcą mową... Zbyt jest plan obszerny — mówi wielu. Złe jest ogólne i wkorzenione, zepsucie z niewiadomością jest w ścisłem przymierzu: nie warto myśleć o gotyckiej łataninie, ale o budowie prostej i trwałej. Czyż dlatego, że pierwsi mówimy o edukacyi kobiet, mamy być oskarżeni o dziwaczną nowość? Napróżno myślimy o moralności narodowej, o szczęściu nawet synów naszych, jeżli drugiej połowy rodu ludzkiego nie urządzimy wychowania. Niech powstanie głośny przeciwnik temu projektowi. Niech ośmieli się wziąć pióro w rękę i weźmie obronę niewiadomości połowy świata“.

W początkach roku 1805 zaszły jeszcze trudności z powodu ofiar przez Czackiego zbieranych. Już w samym początku tej kwestyi ostrzegał Czackiego kurator, ażeby wszelkie zobowiązania obywateli były

dokonywane według form wymaganych przez prawo. Czacki polegał w zupełności na słowie obywatelskiem; Czartoryski żądał, aby każdy czyniący ofiarę przesyłał listy do niego, do ministra oświecenia i do cesarza, a gdy Czacki doniósł o trudności uzyskania takich listów, żądał „urzędowego doniesienia z opisaniem i wyszczególnieniem ofiar“, następnie „sprostowania tabelli składek“, potem „przyznania u sądu“ przez ofiarodawców, a gdyby to było niemożliwem, domagał się, ażeby Czacki sam przynajmniej zaoblatował przed sądem dotychczasowe zapisy wszelkich ofiar a na przyszłość wymagał od ofiarodawców aktu prawomocnego. Gdy już Czartoryski tabellę ofiar podawać miał do potwierdzenia, spostrzegł na 1-ej stronie istotną pomyłkę w dodawaniu liczb; różnica wynosiła 10 tys. zł. rocznego dochodu (zamiast 51.300 jak podsumowano, było tylko 41.300 zł.). „Prócz tego — dodawał Kurator w liście do Czackiego z 20 stycznia 1805 r. — jest czasami jakaś niezgodność pomiędzy tabellą oblatowaną a temi, które wprzódy mnie przysłane były, tak względem imion samych osób, jako też i co do nazwisk dóbr, na których są one ubezpieczone; ja się pilnuję tabelli oblatowanej... obawiam się jednak, gdyby (!) pomyłki tego rodzaju, jakkolwiek są drobne, nie dały później jakiegoś powodu do nieporozumienia się i wątpliwości“. Gdy Czacki doniósł kuratorowi, że już po spisaniu owej tabelli zebrał 15.420 rs. rocznego dochodu, licząc w to 5.700 rs. dawanych corocznie przez skarb na każde gimnazyum, Czartoryski odpisał 29 czerwca, że dał do potwierdzenia ustawy gimnazyum wołyńskiego. Ustawy te, poprzedzone reskryptem Aleksandra I. do Czackiego, dziękującym za starania około założenia gim-

nazyum, podpisanym w Petersburgu 29 lipca 1805, zaopatrzone zawieszoną w pozłacanej puszce pieczęcią państwa na laku czerwonym dnia 31 sierpnia 1805 r. wyciśniętą, wyszły w przekładzie polskim Antoniego Strzeleckiego p. n. „Reskrypt Jego Cesarskiey Mości Alexandra I. do JW. Tadeusza Czackiego, Taynego J. J. Mości Konsyliarza, Wizytatora Szkół Gubernii Wołyńskiey, Kiiowskiey i Podolskiey, Orderu Orła Białego i ś. Stanisława Kawalera i Ustawy dla Gymnazyum Wołyńskiego“ (b. r. i m. kart. nlb. 8).

IV.

Z Ustaw tych, nie wchodzących w szczegóły urządzeń szkolnych, widzimy, że w czasie ich zatwierdzenia fundusz zebrany przez Czackiego wynosił rs. 194.400, procent zaś od niego rs. 15.420. Ponieważ suma ta nie była dostateczna do utrzymania wszystkich przez Czackiego projektowanych instytucyj, Ustawy polecają odłożyć ustanowienie konwiktu dla kandydatów sposobiących się na nauczycieli parafialnych, oraz szkoły guwernantek, aż do czasu zebrania odpowiedniego kapitału; gimnazyum natomiast jako też szkołę architektury, mechaniki praktycznej, rolnictwa, ogrodnictwa, chirurgii, sztuki położniczej i weterynaryi otworzyć. Zarządza gimnazyum dyrektor, któremu do pomocy naznacza się prefekt. Stosunki gimnazyum wołyńskiego z uniwersytetem wileńskim, mającym nad temże zwierzchni rząd, i z szkołami temuż gimnazyum podlegającemi zachować się mają według przepisów ogólnych. Rozrządzenie sumami zależy od dyrektora gimnazyum, który obowiązany jest wnoszone dochody odbierać za swymi kwitami i z nich wydawać pen-

sye wszystkim należącym do gimnazyum i wypłacać sumy na instytucye temuż podlegające za kwitami odbierających i rządców tych instytucyj. W pewnych terminach obowiązany jest dyrektor zdawać uniwersytetowi wileńskiemu rachunek o przychodzie i rozchodzie sum, a po skończonym roku rachunek ogólny ogłosić drukiem. Ofiary, które w przyszłości otrzyma gimnazyum, mają być przedstawione niezwłocznie uniwersytetowi z wyłożeniem opinii, na jakie w szczególności potrzeby użyte być mają (jeżeli sam ofiarodawca tego nie oznaczył); uniwersytet zaś przedstawia tęż opinię kuratorowi; nie mogą one być jednak obracane na co innego, tak samo jak możliwe renty od rocznego dochodu, prócz na miejscowe potrzeby gimnazyum lub jego ustanowień, albo na inne szkoły gubernii wołyńskiej.

Co do nauk, Ustawy milczą o podziale na „klasy“ i „kursa“; powiadają tylko, że nauczycieli w gimnazyum ma być 19: dziewięciu starszych, dziesięciu młodszych. Starsi dawać mają: 1-szy matematykę elementarną, 2-gi matem. wyższą 3-ci fizykę i chemię, 4-ty historyę naturalną, 5-ty historyę i geografię, 6-ty literaturę, 7-my ekonomikę polityczną i prawo, 8-my anatomię i fizyologię, 9-ty chirurgię. Naukę moralności mieli rozdzielić między siebie nauczyciele matematyki, historyi i literatury. Nauczyciele młodsi uczyć mają: 1-szy rolnictwa i ogrodnictwa, 2-gi architektury i mechaniki praktycznej, 3-ci sztuki leczenia bydląt; 4-ty języka rosyjskiego, 5-ty języka greckiego, 6-ty jęz. francuskiego, 7-my jęz. niemieckiego, 8-my jęz. łacińskiego z polskim, 9-ty rysunków, 10-ty sztuki pisania. Ponieważ podział ten na nauczycieli starszych i młodszych miał na widoku głównie wysokość pen-

syi, nic więc właściwie nie orzekał o samym planie nauki, który Czacki utrzymał według pierwotnego projektu. Zgodnie z życzeniem Czackiego Ustawy dozwalały „obywatelom i miastom gubernii wołyńskiej przysyłać i utrzymywać na własnym koszcie uczniów, aby ci, podług żądania utrzymujących ich, mogli się w będących przy wołyńskiem gimnazyum ustanowieniach uczyć architektury i mechaniki praktycznej, rolnictwa i ogrodnictwa, chirurgii, nauki położniczej i nauki leczenia bydląt". Uczniowie, którzy skończyli nauki klas wyższych, a szczególniej słuchacze chirurgii, nauki położniczej i weterynaryi, oraz chcący być geometrami praktycznymi, odbywszy egzamin w gimnazyum, brać mieli od dyrektora świadectwo, na mocy którego uniwersytet wileński wydawał im patent służący im na całe imperyum. Uczniowie zaś ogrodnictwa i rolnictwa poprzestawać mieli na świadectwie dyrektora, po odbytym, rozumie się, egzaminie.

Wreszcie Ustawy zatwierdzają zakładającą się przy gimnazyum bibliotekę z tym dodatkiem, że bibliotekarz prócz właściwej sobie czynności, obowiązanym będzie dawać kurs gramatyki powszechnej i bibliografii; — oraz mającą się z ofiar obywatelskich założyć drukarnię, w której „pozwala się drukować i przedawać wszystkie książki do nauk, jakie od uniwersytetu naznaczone będą, i inne dzieła, a to stosując się do ustaw o cenzurze wydanych".

Do Ustaw dołączony był etat Gimnazyum Wołyńskiego, który ze względu na rzadkość druku tego, podaję tu w całości, jako interesujący przyczynek do dziejów wynagradzania pracy nauczycielskiej, jakkol-

wiek z góry uprzedzić muszę, iż Czacki pensye etatem wskazane wielu nauczycielom podwyższał.

I. Urzędnicy Gimnazyum:

		rs.
Dyrektorowi	rocznie	1000
Prefektowi	„	600
Bibliotekarzowi	„	700
Kapelanowi	„	350
Wikaremu jego	„	150

II. Nauczyciele:

Dziewięciu starszym t. j. 1) matem. element., 2) matem. wyższej, 3) fizyki i chemii, 4) historyi natur., 5) ekonom. polit. i praw po 600 rocznie	3000
6) geografii i hist., 7) literat., 8) anatom. i fizyki, 9) chirurgii po 500 rocznie . . .	2000
Dziesięciu młodszym t. j. trzem: ogrodn. i roln., sztuki lecz. bydl., archit. i mech. prakt. po 400 rocznie	1200
pięciu nauczycielom języków, t. j. rosyjs. franc., niem., grec., łacińsk. wraz z polskim, każdemu z 4-ch pierwszych po 400 rocznie	1600
ostatniemu zaś	500
nauczycielom rysunków	300
nauczycielom sztuki pisania	150

III. Pomocnikom i innym:

Pomocnikowi bibliotekarza	150
„ przy gabinecie fizycznym . . .	100
„ przy laboratoryum i gabinecie hist. natur.	200

	rs.
Pomocnikowi nauczyciela anatomii i chirurgii	200
„ nauczyciela sztuki lecz. bydląt	200
Szwajcarowi i stróżowi	160
Na robotników do ogrodu	300

IV. Na różne ekspensa:

Na utrzymanie i oporządzenie budowli gimn.	600
„ powiększenie biblioteki	240
„ pisma peryodyczne i gazety	100
„ modele i machiny	200
„ doświadczenia i narzędzia fizyczne . . .	200
„ doświadczenia i narzędzia chemiczne . .	200
„ utrzymanie ogrodu botanicznego	300
„ objazdy, zdejmowanie rysunków i sztychowanie na blachach miedzianych, roślin .	300
„ narzędzia anatomiczne i dyssekcye	200
„ utrzymywanie drukarni, pokąd taż dostatecznego dochodu z siebie nie przyniesie	220
Suma . .	15420

V.

Po otrzymaniu Ustaw Czacki postanowił jak najświetniej dzieło swoje zaprezentować i jak zwykle udał się do Kołłątaja z prośbą o nakreślenie programu uroczystości, programu nauk i napisanie mowy dla niego. Kołłątaj śpieszył z wykonaniem poleceń i wszystkie trzy załatwił. (Czytać je można w „Korespondencyi listownej“ III., 160—165, 207—234, 247 do 283). Pierwsze dwa projekta Czacki przyjął, ostatni odsunął, napisawszy mowę sam, bo myśli „swoje własne choć mniej dobre, z większem mówi się uczuciem“ — jak się usprawiedliwiał przed Kołłątajem.

Dnia 1 października wobec wielkiego zjazdu obywateli pod przewodnictwem marszałków, oraz osób urzędowych, na czele których był gubernator książę Wołkoński, wobec biskupa łuckiego Cieciszowskiego, wobec delegatów od uniwersytetu i Towarzystwa Przyjaciół Nauk warszawskiego, przy huku stu dział i dzwonieniu we wszystkie dzwony, rozpoczęła się uroczystość okazale urządzonem nabożeństwem, na którem Jan Kanty Bożydar Podhorodeński miał kazanie o potrzebie łączenia religii z nauką. Potem nastąpiły mowy. Czacki jako twórca zakładu powitał radośnie dostojne grono, wykazując charakter i znaczenie tego wielkiego w dziejach edukacyi święta. „Rzadko bywa — mówił on — tak ważna i przyjemna wszystkim uroczystość, jak jest dzisiejsza. Ojcowie familii przynoszą zgodne życzenia i trwałe ofiary dla szczęścia potomków. Młodzież uznaje dzień dzisiejszy za święto nadziei dla siebie, a wdzięczności ku sprawcom przyszłego ich wydoskonalenia. Nauczyciele, zapisani w poczet urzędników państwa, zwiększają odtąd obowiązki dla kraju, który staje się im dobroczynną ojczyzną, a nauk siedliskiem. Szanowny pasterz wśród współ-biskupów, opatów i różnej dostojności kapłanów pali błagalne kadzidło Panu zastępów, aby religia i moralność, te pierwsze zasady naszych ustanowień, mimo odmianę pokoleń, stały się trwałem narodowej i familijnej społeczności dziedzictwem. Panujący, przemówiwszy (!) łaskawie do narodu z otwartością o potrzebie doskonałego wychowania tłomaczy dziś wdzięczność, że jego starania przemieniły się w powszechną troskliwość, a dzieło cesarza stało się wspólnem dziełem monarchy i narodu". Wystawia potem mówca stan oświecenia w dawnej Pol-

sce, wspomina z uwielbieniem (działając, według rady Kołłątaja, na ambicyą słuchających obywateli-ofiarodawców) imiona tych, co się do krzewienia nauk przyczynili, wysławia Aleksandra I, który dozwolił, żeby każdy naród mógł „w swoim języku własne i nabyte wiadomości upowszechniać i przenosić“, wspomina o Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Warszawie, o uniwersytecie wileńskim, przedstawia w krótkości praktyczne korzyści, jakie przynieść mogą nauki w gimnazyum wołyńskiem zaprowadzone, szerzej zastanawia się nad ważnością wychowania kobiet, nadmieniając, że ma być założone seminaryum mistrzyń, rozumnie przemawia do niewiast: „płci piękna! nie pozwalaj, aby cię przyrównywano do kwiatu; piękność róży trwa dni kilka, więdnieje prędko i ciernie tylko zostają; lata pierwszej młodości są krótkie; ważniejsze jest wasze w wieku dojrzalszym przeznaczenie, stajecie się matkami nowego pokolenia; niech wam zawsze zostanie to cieszące wspomnienie, że cień skazy nie dotknął się nawet dni waszej piękności“. Wspomniawszy wreszcie o bibliotece, gabinetach historyi naturalnej, fizyki, zachęciwszy współobywateli do dalszych ofiar, kończy przemową do delegatów uniwersytetu, uznając potrzebę „jednej władzy edukacyjnej“, do nauczycieli gimnazyum i młodzieży szkolnej.

W imieniu dyrektora, który nie przyjechał, wypowiedział mowę (napisaną przez Czackiego) prefekt Antoni Jarkowski, kiedy mu wręczono dyplom ustanawiający gimnazyum wołyńskie. Wystąpili potem inni mówcy; z pośród nich wymienić należy Jana Nepomucena Wyleżyńskiego, członka Tow. Przyj. Nauk, który w imieniu obywateli wypowiedział pochwałę

nauk wogóle i złożył podziękowania Czackiemu za jego niestrudzoną gorliwość w doprowadzeniu do skutku instytucyi, co światło w narodzie rozszerzać miała.

Obiad, na którym pito tylko zdrowie Aleksandra I, zakończył uroczystość otwarcia.

Nazajutrz i dnia następnego rozpoczęły się lekcye również przy współudziale licznych gości, poprzedzone wstępnemi mowami. Antoni Jarkowski rozpoczął wykład prawa obszerną mową, w której skreśliwszy rys historyczny rozwoju tej nauki, przedstawił system Quesnaya jako najdoskonalszy i zapowiedział, iż w lekcyach swoich jego trzymać się będzie, gruntując całą naukę na tej podstawie, że „porządek moralny, z którego wypływają wszystkie nasze obowiązki, zasadza się na tychże samych prawach przyrodzenia, wiecznych, nieodmiennych i koniecznych, na jakich zasadza się porządek fizyczny“. Wszystkie „umiejętności moralne“ dadzą się „okazać sposobem matematycznym, póki tylko iść będą za tym fizyczno-moralnym porządkiem, a gdzie przez takowy sposób okazane i dowiedzione być nie mogą, będzie to dowodem, że od tego jedynego porządku odstąpiły“. Prawo polityczne, ekonomia polityczna, prawo narodów, prawo cywilne i kryminalne, „cała zgoła prawodawstwa umiejętność we wszystkich względach uważana niczem innem w samej rzeczy nie będzie, tylko nauką prawa przyrodzenia pod wielorakimi stosunkami uważanego“.

Wojciech Jarkowski zagaił wykład matematyki elementarnej.

Antoni Malawski zachęcał do uczenia się języka niemieckiego z dwu względów, najprzód dlatego, że

„Niemcy nauki i umiejętności do najwyższego podnieśli stopnia“, że wszystko, co jest dobrego, tłomaczą i że obszar tego języka jest wielki; powtóre dlatego, że pewna część Polaków podlega panowaniu niemieckiemu i że w samej Rosyi dużo jest Niemców, z którymi trzeba umieć porozumiewać się.

Antoni Strzelecki odczytał mowę (przez Czackiego napisaną), w której rozwodził się o znaczeniu nauki języków słowiańskich dla umiejętności wogóle, mówił o grafice odrębnej, którą zrażać się nie trzeba, wykazywał potrzebę znajomości języka rosyjskiego, przywodząc i tę okoliczność, że „statuta litewskie pisane były po rusku“, że „Wilno i Kraków, a potem Ostróg najpierwsze miały ruskie drukarnie, jeźli w Wenecyi drukowane w tym języku pisma za doświadczenia pierwsze tylko uważać zechcemy“; powoływał Słowian do łączności: „Dobroczynność monarchy nas wszystkich zjednoczyła. Zawierajmy przymierze, jakie ludziom słowiańskiego rodu należy. Miejmy w ręku obiecany uczonego Lindego słownik: wspomagajmy równie potrzeby języków i wyobrażeń. Nikną trudności, gdy je kto pragnie i umie zwyciężać“.

Na całej tej uroczystości Kołłątaj nie był; ponieważ Czacki nie okazał „szczerej chęci w zaproszeniu swego spółpracownika“; boleśnie to odczuł expodkanclerzy, jak to widać z listów po 1 paźdz. pisanych. Czacki starał się pochlebnemi słowy i wzywaniem rady i pomocy zatrzeć to niemiłe wrażenie; wysłał w dniu otwarcia gimnazyum rodzaj urzędowego podziękowania, w którem między innemi pisał: „Ośmieliłem się wezwać JWPana rady, dałeś ją rozważnie i w przyjemnym sposobie. Dałeś ją jak człowiek, który czuł i wielkość dzieła, jego cele i który

chciał oddać usługę krajowi i wsparł moje niedoświadczenie. To szczere wyznanie niech służy za świadectwo mego czucia, niech dowodzi rozległość jego użytecznej, wiekiem i nieszczęściami nie zmniejszonej gorliwości". Ale słowa takie nie mogły naprawić tego, co się stało; w duszy Kołłątaja kryła się gorycz, która w liście do Czackiego (3 paźdz.) zdradziła się szorstką krótkością odpowiedzi, a w liście do prefekta gimnazyum wołyńskiego (18 paźdz.) wyjawiła się w sposób wyraźny; mówi tu Kołłątaj o zazdrości prześladującej go przez całe życie i dodaje: „ponieważ ją nalazłem tam nawet, gdziem się spodziewać nie powinien, przeto chętnie już ustępuję z drogi i więcej się z nią (t. j. zazdrością) passować nie chcę".

VI.

Początki działalności gimnazyum wołyńskiego świetnymi nazwać się nie mogły. Z 19 nauczycieli, wymaganych przez ustawę, ledwie 13 rozpocząć mogło wykłady, jak to widzimy z publikacyi (w języku polskim i łacińskim) p. n. „Wzór i porządek nauk, które na lekcyach publicznych w Gymnazium Wołynskiem od 1 października 1805 do ostatnich dni lipca 1806 dawane będą". W „czterech klasach języków" uczyli: 1) Franciszek Olędzki (łaciny i polskiego), 2) Paweł Jarkowski (jęz. francuskiego i nauki moralnej), 3) Antoni Malawski (jęz. niemieckiego i geografii), 4) Antoni Strzelecki (jęz. rosyjskiego i arytmetyki). W „kursach nauk dwuletnich" wykładali: a) w kursie pierwszym: 5) Wojciech Jarkowski (geometrye teoryczną, trygonometrye płaską i geometryę praktyczną), 6) Karol Mirowski (geografię polityczną

i historyę, zaczynając od nowożytnej; b) w kursie drugim: 7) Jan Witwicki (fizykę), 8) Antoni Jarkowski (prawo natury, polityczne, ekonomię polityczną i prawo narodów; c) w kursie trzecim: 9) Franciszek Scheidt (chemię i historyę naturalną). W „kursach dodatkowych" uczyli: 10) Józef Czech (algebry), 11) Franciszek Zaliwski (mechaniki praktycznej); 12) Michał Jurkowski (języka greckiego); 13) Feliks Sapalski (rysunków). Nie było zatem nauczycieli literatury, anatomii z fizyologią, chirurgii, rolnictwa z ogrodnictwem, architektury, weterynaryi. Osobnej godziny na wykład religii nie było; kazania i nauki niedzielne i świąteczne zastępowały ją przez lat parę. Lekcye, tak samo jak za czasów Komisyi Edukacyjnej, były zazwyczaj dwugodzinne.

Obowiązki lekarza uczniów pełnił Jan Kanty Bartsch, doktór medycyny, członek Towarzystwa amerykańskiego w Edynburgu. Dyrektorem był znany matematyk (ur. 1762) Józef Czech, prefektem Antoni Jarkowski b. profesor prawa przyrodzonego w akademii krakowskiej, człowiek surowy, lecz prawy. Ani biblioteka, ani ogród botaniczny, ani osobna szkoła mechaników i geometrów, ani drukarnia urządzone nie zostały.

Uczniowie zjeżdżali się powoli; w ciągu roku szkolnego 1805/6 było ich ogółem 280. Martwiło to Czackiego, ale pocieszał się tem, że „we wszystkich szkołach jest niezmiernie mała liczba uczniów; twierdzą powszechnie, że drożyzna jest przyczyną".

Z wykładu nauczycieli i działalności zarządu gimnazyum Czacki był zadowolony, niecierpliwiło go tylko, że w Krzemieńcu „lubią robić pomału". On sam pracował gorączkowo; oprócz pisania rozpraw nauko-

wych (o żydach, o cyganach), wynajdował młodzieńców, których wysławszy na naukę zagranicę mógłby następnie spożytkować jako nauczycieli gimnazyum, załatwiał interesa szkolne, pośredniczył w pozyskaniu Jana Śniadeckiego na profesora i rektora uniwersytetu wileńskiego, tworzył nowe projekta szkolne i zaprowadzał nowe urządzenia w Krzemieńcu.

Do tych ostatnich należy ustanowienie „sądu uczniów“ według ustaw, przez siebie (w sekrecie przed Kołłątajem) napisanych. Sąd ten miał tylko stosować się do uczniów wyższych kursów. Składał się z trzech członków, z każdego kursu po jednym i z prezesa; wszyscy powoływani byli przez wybór. Co roku, w dwa tygodnie po rozpoczęciu nauk, dyrektor gimnazyum wyznaczał dzień wyboru; dawał prezydencyą któremu z profesorów lub prefektowi, jeśli sam był zatrudnionym. Dyrektor, prefekt lub nauczyciel prawa przekładał uczniom, jak wybór własnych sędziów jest pochlebny dla wybierających, jak zaufanie władzy edukacyjnej powinno szczęśliwe wywrzeć skutki, że wreszcie po wyborze sędziów w ich sprawowaniu się będzie można poznać, czy ta udzielona wolność jest pożyteczną dla doskonalącej się młodzieży. Następnie oznaczeni profesorowie polecali podanie kandydatów przez tajemne głosowanie. Dyrektor potwierdzał wybory; z ważnych przyczyn, z których sprawę zdawał tylko wyższej zwierzchności, mógł raz jeden polecić powtórny wybór jednego członka i to nieodwłocznie. Ażeby zapobiedz chęci pieniania się, ustanowieni byli cenzorowie w liczbie trzech; ich zadanie polegało na nakłonieniu do zgody, a w razie niepodobieństwa, na spełnianiu czynności instygatora, jeżeli przewinienie było publiczne. Skargę podawano na piśmie. Sądu

pierwszem zadaniem było doprowadzenie do zgody; wielość ugód była zasługą sędziów, gdy wielość spraw popieranych była zakałą skarżącego się. Wyrok większością zdań wydany zapisywano w osobnej księdze i ogłaszano; w sprawie większej wagi, gdy zdania były rozdzielone, sędziowie wzywali rady profesora prawa. Wyrok i akta przesyłano dyrektorowi gimnazyum, który albo wyrok potwierdzał, albo w sprawach, gdzie możliwą była zgoda, pośredniczył, albo wolność odwołania się do całego zgromadzenia nauczycielskiego zostawiał i wraz z niemi ostateczny wyrok wydawał. W wymierzaniu kar kierowano się zasadą „utrzymywania punktu honoru". Były one takie: 1) Za złe uczenie się, niebywanie na lekcyach, za użycie obelżywych wyrazów, lub za nieposłuszeństwo i krnąbrność: a) zawieszenie od prawa noszenia szpady lub szabli w święta, w które pozwala się je nosić uczniom wyższych kursów; b) zawieszenie od praw ucznia gimnazyalnego, imię i nazwisko takiego ucznia okryte krepą; c) ogłoszenie we wszystkich klasach, że się źle uczy; d) „po doświadczonej niepoprawie" wymazanie zupełne z regestru uczniów bez dania świadectwa szkolnego. 2) Za przewinienia przeciwko obyczajom stosowano dopieroco wymienione kary, z tym dodatkiem, że obostrzano wymazanie ogłoszeniem, aby „uczeń nie znajdował się w żadnem społeczeństwie uczniów". 3) Za podniesienie ręki lub uderzenie ze złości najwyższą karą było ogłoszenie winy po szkołach całej gubernii.

Jak widzimy, plagi z wyższych kursów usunął Czacki zupełnie, uważając uczniów niejako na równi ze studentami uniwersytetów; w „klasach" polecił „kary batogów" używać jak najrzadziej. Łagodność

w postępowaniu z uczniami za największą nauczyciela zaletę poczytywał, twierdząc i słusznie, że przykład nauczyciela wpływa na charakter ucznia. „Uczeń — powiadał — przenosi do swego serca naukę i przykłady. Doświadcza surowego postępowania, czemuż nie ma być równie surowym? Doświadcza w szkole rozumu, serca, sprawiedliwości — wymierzać ją równie ośmieli się. Nauczyciele są zastępcami rodziców. Cóż dla ich serca pochlebniejszego, czy kiedy dziecię widzi razem i dawcę życia i dawcę kar, czy kiedy całuje z uczuciem tę rękę, która pieści w kolebce, a prowadzi łagodnie w dojrzalszym wieku do wspólnictwa pracy i sławy" („Zalecenie szkole Dąbrowickiej" u Osińskiego, str. 114).

W tymże czasie (r. 1806) ułożył Czacki przepisy dotyczące karności uczniów i wogóle stosunku ich do gimnazyum [1]). Główniejsze z nich przytaczam. Szkoły otwierają się corocznie 15 września a kończą się 20 lipca. Każdy uczeń koniecznie przyjechać winien na czas otwarcia szkoły. Jeżeli się spóźni do 20 września, przyjętym nie zostanie; choroba tylko własna lub jednego z rodziców, zaświadczona, od tej surowości uwalnia. Ktokolwiek „bez gwałtownej przyczyny, o której stanowi władza edukacyjna, wyjedzie przed egzaminami, zostanie w tejże samej klasie lub na tym samym kursie. Wolno jest rodzicom i opiekunom zostawiać dzieci na wakacye w Krzemieńcu, gdzie „doskonalić się będą pod równym władzy szkol-

[1]) Odezw do uczniów gimnazyów wołyńskiego wylicza Estreicher (I, 229) pięć; najpierwsza z d. 11 kwietnia 1806, ostatnia z 30 kwietnia 1812; ja biorę przepisy z tej ostatniej, gdyż nie mogłem dostać dawniejszych. Sądzę jednak, że choć były odmiany, nie miały one wielkiej doniosłości.

nej dozorem". Każdy uczeń, odjeżdżając na wakacye, ma w liście pochwalnym wyrażony stopień zasługi, a kto listu pochwalnego nie ma, widać nań nie zasłużył; odwożący zatem ucznia do domu powinien zwierzchności szkolnej pytać się, czytać, co napisano w protokółach, i donosić rodzicom. Rodzice lub opiekunowie w czasie wakacyj nie dozwolą dzieciom, aby odzwyczajały się od pracy; powinny one sobie przypomnieć, czego się nauczyły, a ile to być może, gotować się mają do tych nauk, których uczyć się będą w roku przyszłym. Rodzice i opiekunowie odsyłając napowrót dzieci, uczynią rzecz pożyteczną dla siebie samych, gdy doniosą władzy szkolnej o wadach w tym czasie dostrzeżonych i o książkach, jeżeli jakie prócz szkolnych dzieciom dali. Uczeń gimnazyum wołyńskiego nie może być sobie samemu zostawionym, powinien mieć „dozorcę" a gdyby był przypadek, że dozorca taki nie został umówiony, to władza szkolna wyznaczy, na koszt rodziców lub opiekunów, dozorcę, lub do rodziców czy opiekunów odeśle. Służący uczniów, nie chodzący nawet do szkoły, podlegać winni władzy szkolnej; rodzice, odsyłając dzieci, zechcą wyrazić w zaświadczeniu, które dadzą służącemu lub w liście do prefekta, czy mają ufność w takim służącym. Uczeń powinien być odprowadzony do szkoły i ze szkoły, do kościoła i z kościoła. Wszelkie chodzenia po mieście samego ucznia bez gwałtownej potrzeby, o której władza gimnazyalna nieodwłocznie stanowi, poczytane będzie za winę; niewolno bez pozwolenia wyjeżdżać na spacery lub do kąpieli; odpowiada za przekroczenie przepisu uczeń i dozorca. Dozorca nie może się oddalać od ucznia. Gdyby dla słabości nie mógł iść z uczniem lub miał potrzebę od-

dalenia się z domu, to w pierwszym wypadku „przyda uczniowi zaufanego widza“, w drugim zaś zostawi w stancyi przy uczniach „jaką osobę lub jednego z uczniów do dozoru wyznaczy, dawszy im zatrudnienie, które odbyć mają w jego nieprzytomności“. Wszyscy dozorcy w ważniejszych przypadkach udawać się powinni do prefekta, który udzieli rady, obmyśli środki. Jeżeli rodzice lub opiekunowie powierzą cokolwiek pieniędzy samym dzieciom, dozorcy mają pilnować, aby dzieci odsyłały co miesiąc rachunek, sprawdzony przez nich, rodzicom lub opiekunom. Uczniowie nie mogą nic brać na kredyt (miała tego pilnować policya), „gdyż nie są jeszcze panami własnej woli ani majątku swojego“. Gdyby na czas nie przyszły pieniądze z domu, dozorca lub sam uczeń udać się ma do prefekta, który potrafi zaradzić. Ubogi gdy zachoruje, receptę od doktora daną podpisze prefekt, a za nią lekarstwo wydane będzie. Wszystkie nauki są darmo dawane; z talentów — śpiew i rysunek; fechtowanie zaś i muzyka, jeżdżenie na koniu i taniec — dla uboższych, a medalami zaszczyconych; dla innych „te talenta dają się za mierną opłatą“. Uczniowie pod żadnym pozorem uwolnić się od chodzenia na lekcye nie mogą; nie pilnujący obowiązków swoich przyprowadzeni będą do szkoły; a w miarę niepoprawy większym karom podlegać mają. Codziennie „cenzorowie“ klas i kursów powinni donosić o tych, co nie byli na lekcyi lub prędzej wyszli, albo nie tak się sprawowali jak należy; cenzorowie za każde opuszczenie obowiązku odpowiedzą... Kto nie dokończy kursów, nietylko świadectwa nie dostanie, ale „rząd edukacyjny uwiadómi inne władze, aby zapowiedziana srogość przez prawo skutek swój wzięła; kraj bowiem

potrzebuje ludzi moralnych i umiejętnych"; a „przerwana i niedokończona nauka czyni młodziana półuczonym", tak że „często niewiadomość, obok prawego rozsądku, jest więcej życzoną niż natłoczone i nieuporządkowane wiadomości". Uczeń powinien pracować nad sobą, aby był panem samego siebie i umiał być wyższym nad swoje namiętności; szukać ma chluby tylko w doskonaleniu serca i rozszerzaniu władzy rozumu. Najpierwszą z cnót jest religijność; każdy uczeń powinien być na mszy, w wieczór niech rozważy codzienne postępowanie i zabawy; spowiedzi dopełniać ma w oznaczonym czasie... Gra w karty, w warcaby lub loteryę nie może mieć miejsca wśród uczniów; wszelkie zamiany rzeczy między uczniami uznaje władza szkolna za niebyłe; chowanie psów i ptaków przeszkadza nauce; gdyby je u ucznia znaleziono, władza szkolna zabierze je, sprzeda i pieniądze odda na ubogich; podobnież „z bronią ognistą"; pod żadnym pozorem „kurzenie tytuniu" uczniom i ich służącym nie może być pozwolonem; tabaka zaś tylko za piśmiennem świadectwem doktora... Uczty, jako odrywające od nauki, nie mogą mieć miejsca między uczniami. W ubiorze zaleca się skromność.

„Proszę rodziców i opiekunów — powiada Czacki — aby na niepotrzebne stroje, wymyślne bielizny lub inne ubrania, którym moda codzień daje inny kształt i to, co teraz poleca, w krótkim czasie znowu wyśmiewa, nie dawali pieniędzy. Mundur gimnazyowy z sukna krajowego w cenie śrzedniej jest zaszczytem; wolność onego noszenia jest chwałą. Mundur koniecznie na wszystkich uroczystościach powinien być noszony od tych, co go mieć mogą. Uboższi niech się starają mieć surduty mundurowe. Kto do mnie ma

interes, uczyni mi rzecz przyjemną, gdy w mundurze przyjdzie. Czapki haftowane i t. p. oznaki zbytku są śmiesznością. Uczeń nie powinien okazać miękkości, ta nie jest godna młodziana nadziei i kogo postrzegę, że zbytkownie będzie się ubierał, drogie sukno nosił, tego nie będę uważał za dziecko mnie miłe; bo uważam go jak nie chcące prostotą szlachetną szukać w mojem sercu szacunku...“

Za każde przewinienie spotka nieodwłocznie odpowiednia kara. „Zaleciłem najmocniej — powiada Czacki — aby uczniom kursowym zasłużona kara darowaną nie była. Uronię może łzę nad nieszczęśliwym, który zasłuży na całą surowość kary, lecz musi to nastąpić, aby przykład mógł wymownie przemawiać do bojaźni, kiedy szlachetne uczucia nie zawsze stworzą ciągłe i dobre postępowanie. Każdy kursowy uczeń niech wspomni, że wychodząc z klas zaczyna nową epokę życia swojego; że należąc pierwej tylko do społeczności familijnej, zbliża się do tego momentu, kiedy narodowa społeczność go przyjmuje, aby umiał sumiennie nakazywać lub dokładnie wykonywać poruczone obowiązki“.

Zbiór tych przepisów zakończył Czacki piękną do młodzieży przemową: „Nie zlęknę się sądu historyi, jeśli jaka karta tej księgi dla naszych prowincyj wśród dziejów o wielkich wypadkach zostanie; lecz nadewszystko nie zarumienię się przed sobą samym i przed wami. Pochlebiam sobie, że mam jakiekolwiek prawo do waszych serc. Nie chcieliśmy i nie chcemy was smucić. Pomagamy wam być wesołymi; a jeżeli powinność nasza każe zrządzić szczególnym uczniom przykrość dla ich dobra, stanie się ona zarodem wesołości w dniach dojrzałego życia, kiedy już

w surowej cnocie znajdziecie pomyślność, a wtenczas prawdziwe moralne nieszczęścia nazwiecie skutkiem namiętności, którym rozum nie rozkazuje. Przynoście mi waszą ufność i dobre postępowanie w nagrodę mojego do was przywiązania. Niech dla nas wszystkich Krzemieniec będzie świątynią cnoty, a przybytkiem nauk“.

Z okoliczności zamknięcia roku szkolnego, skorzystał Czacki, ażeby do licznie zebranych obywateli przemówić (dnia 20 lipca 1806) w sprawie wychowania publicznego i osłabić te uprzedzenia, jakie istniały wśród możniejszych mianowicie rodzin, wychowujących dzieci swe w domu. Czacki, który sam kształcił się tylko prywatnie, wie dobrze i uznaje wielką wartość wychowania domowego, to też z niemałą zręcznością wykazuje w początku swej mowy jego zalety, a tak usposobiwszy dobrze słuchaczów, przechodzi do przedstawienia jego wad, ażeby skończyć zachętą do powierzenia dzieci pieczy gimnazyum wołyńskiego. „Uczeń w domu — mówi tu między innemi Czacki — nie widzi tylko siebie, nauczyciela, rodziców, których może omylić, a zawsze ubłagać; patrzy na domowników, jak na przyszłe narzędzia swej woli... Samolubstwo odróżnia go od innych. Mniema, że jest najlepszym i najuczeńszym, bo nie ma punktu porównania. Wszystkie nazwiska umiejętności są mu wiadome, ale ich gruntownie nie zna i związku między niemi nie wie. Zadziwia nieumiejętnych językiem nauk, a zyskuje niepomyślną dla siebie litość od uczonych. Zna siebie choć nie dobrze, ale nie zna zupełnie ziomków. On wychodząc z podwojów własnego domu, jest dla własnej ziemi i współmieszkańców prawie cudzoziemcem. Dumnym jest, że mówi

językiem Woltera, Klopsztoka, Petrarchy lub Miltona a najrzadziej językiem Horacyusza, ale nie czuje, że mowy różnych narodów ułatwiają tylko wzajemne myśli i życzeń tłómaczenie; a ogromny słownik kilkunastu języków nie jest jeszcze jedną kartką loiki albo rozdziałem potrzebnych umiejętności. Najczęściej młodzian taki jest próżnym, bo wyższa zasługa rówiennika nie jest mu wiadoma. Wie, że jest rząd, ale nie doświadcza jego czynnej opieki w badaniu o jego postępkach, w zachęcaniu i udziale nagród. Wstydzić się tylko może przed rodzicami, których łzy łączą się ze łzami dzieci i odnawiany dają dowód czułości i nadziei. Lecz opinia publiczna nie wpływa w wychowanie takiego młodziana. Przyjaźń, zapomnienie o sobie, dla dobra społeczności, rzadko mieć mogą ołtarze w domowem zaciszu, bo nie masz takich wypadków i takiego zbioru ludzi równego wieku jak w publicznej szkole".

Kołłątaj zjechał do Krzemieńca na ten popis, na którym wygłoszona była mowa powyższa; niezbyt jednak pochlebne dla szkoły wyniósł z pobytu tego wrażenie; uderzyły go niemile „nieład i intryga"; nieład powstawał stąd, że do niektórych egzaminów wtrącał się i sam Tadeusz Czacki i brat jego Michał: „z nieporządnego i niejasnego wprowadzenia kwestyi nastąpić musiało wiele zamieszania i nieporządku". Mianowicie profesorowie historyi (Mirowski) i prawa (Antoni Jarkowski), oddawszy egzamin Czackiemu, tak się czuli zmieszanymi wskutek wyrwanych kwestyj i wielorakich zarzutów ze strony Michała Czackiego, oficyała Podhorodeńskiego i innych, iż słuchającemu wydawały się dwie te nauki najgorzej, „bez najmniejszego porządku i loiki". Intrygę dojrzał Koł-

łątaj w postępowaniu dyrektora gimnazyum, który nie lubiąc Wojciecha Jarkowskiego, nauczyciela matematyki elementarnej, sam zaczął z niej egzaminować i nadając „wieloraki zwrot kwestyom", mieszał niewprawione jeszcze w rozumowanie, bo niedorosłe dzieci; mimo to niektórzy dość dobrze odpowiadali. Czacki zaś żalił się przed Kołłątajem, że egzamin z rachunków poszedł najgorzej, gdyż „nietylko uczniowie, ale profesor nawet wyeksplikować się nie umiał". Gdy Kołłątaj inne wyraził zdanie, Czacki widocznie był z tego niezadowolony i zimno traktował swego niegdyś współpracownika. W końcu, nie mając jakoby czasu rozmówić się z nim obszernie, napomknął mu, że wkrótce będzie mógł zaprowadzić uniwersytet w Krzemieńcu i że napisany w tym celu statut prześle Kołłątajowi.

Jakoż uiścił się w 3 miesiące potem z tej obietnicy. Gdy się Kołłątaj w nadesłanym statucie rozejrzał, dostrzegł z bolesnem zdziwieniem, że to jest statut dla gimnazyum w takim zakresie, w jakim już był przezeń ów „projekt" opracowany. Statut ten nie podobał mu się w wysokim stopniu, z naciskiem zarzucał mu brak porządku. Nie znamy tego statutu; nigdy on zresztą potwierdzonym nie był; ale z odpowiedzi Czackiego na zarzuty Kołłątaja wiemy, jakie zasady w nim wyrażone najdroższe były Czackiemu. Oto one: „rząd koncentrowany w dyrektorze i ustawnej radzie, niemożność deliberowania składu nauczycielów nad administracyą, usunięcie elekcyów, ścisły dozór uczniów, polecanie wychodzących do administracyi rządowej i odbieranie od nich wiadomości, egzamina guwernerów domowych i guwernantek, oznaczenie koniecznie potrzebnych nauk,

których nieuchronnie uczyć się potrzeba". Są to „przedmioty" — dodaje Czacki — „z których ofiary nigdy nie zrobię; i gdyby część tych warunków upaść miała w dzień otwarcia uniwersytetu, wolałbym się go wyrzec, bo instrukcya młodzieży nie byłaby taka, jak my ją sobie życzymy, nie chcąc mieć niekarnych półuczonych, albo kłótni, które gorszą we wszystkich prawie akademiach". (Korespond. list. IV, 249).

Prosił Czacki, i to dość natarczywie, Kołłątaja, żeby nad tym statutem uwagi swoje porobił, ale ten zrażony bezowocnym niemal skutkiem pracy swojej poprzedniej, oświadczył stanowczo, że nie wprzód weźmie się do rozpatrzenia statutu, aż dostanie go uporządkowanym według uwag Jana Śniadeckiego, który wtedy w Porycku u Czackiego bawił i który już przed Kołłątajem statut ów przeglądał.

Wywiezienie Kołłątaja do Moskwy w końcu 1806 czy też na początku 1807 r. przerwało naprężone już wielce w ostatnich miesiącach stosunki z Czackim, który prawie od roku zwrócił się po rady do innego znakomitego pedagoga, do Jana Śniadeckiego. Lecz i z tym przyjazne stosunki trwały niedługo, gdyż niemal z chwilą objęcia urzędu rektora w uniwersytecie wileńskim przez Śniadeckiego, powstały między nim a Czackim spory z powodu gimnazyum.

Czacki, który napisaniem wspomnianego statutu zaznaczył usamowolnienie się z pod wpływu Kołłątaja, zostaje od r. 1807 już samoistnym twórcą i wykonawcą projektów, które w jego płodnej a ruchliwej wyobraźni rodziły się co chwila, i były dowodem gorącego uczucia i niestrudzonej chęci działania, chociaż na drodze do urzeczywistnienia traciły wiele ze swej imponującej wielkości.

VII.

Od r. 1807 powstaje szereg urządzeń, mających na celu przedewszystkiem wzmożenie zasobów naukowych i materyalnych gimnazyum a następnie i zakładów naukowych, w trzech guberniach powierzonych pieczy Czackiego.

Zanim atoli do przeprowadzenia tych urządzeń zabrać się mógł, musiał Czacki przejść przez nieprzyjemną próbę. Napoleon utworzył Księstwo Warszawskie, wojska francuskie były przy granicach cesarstwa; osobistość Czackiego zwracała na siebie, jak naturalna, oczy wszystkich obywateli. Otóż gdy twórca gimnazyum udał się na kontrakty kijowskie, jenerał gubernator wojenny Goleniszczew Kutuzow radził mu (26 stycznia 1807) oddalić się do Charkowa pod pozorem zwiedzenia tamtejszego uniwersytetu.

Przez trzy tygodnie nie otrzymawszy żadnego wyjaśnienia co do powodów tego honorowego uwięzienia, Czacki napisał list do Aleksandra I., żądając sprawiedliwości: „jeżelim wykroczył — pisał tu — niech się stanę przykładem niewdzięczności ukaranej; jeżelim zaś niewinny, nie dozwolisz, NP., aby moja sława i wolność odnosiły uszczerbek“.

Na rozkaz cesarza udał się pod strażą do Petersburga. Tu komisya, złożona z dwu ministrów Wiktora Koczubeja, Piotra Łopuchina i tajnego radcy Mikołaja Nowosilcowa, rozpatrywała sprawę Czackiego, któremu łatwo było dowieść swojej niewinności. Cesarz uznał to i uwzględniając usprawiedliwienie się „postanowił zniszczyć sprawę z okoliczności czasowych tylko wynikłą“, przyczem zapewnił, że względy i ufność jego „ani się zachwieją“. Wyrok ten podpi-

sany 20 lipca 1807 r. w dniu popisów szkoły Krzemienieckiej. W cztery dni potem pisał Czacki do Chodkiewicza: „Zostałem na moim urzędzie, nie przyjąłem ofiarowanej senatoryi, prosiłem, aby mi nie dano orderu... Mój wypadek, cnota Komburleja i Czewkina położyły granice oskarżeniom a może i nieszczęściu wielu... Czuć możesz, jak wiele mnie boli, że na popisach nie byłem i nie wiem, czy dotrzymałeś słowa w znajdowaniu się“.

Pozostał Czacki w Petersburgu aż do końca r. 1807, gdyż po wyjeździe Czartoryskiego do Kurlándyi powierzone mu było zastępstwo kuratora wydziału wileńskiego. W tym przeciągu czasu przeprowadził Czacki trzy projekta odnoszące się do dalszej organizacyi szkół i trzy projekta mające na celu powiększenie albo ustalenie funduszu edukacyjnego.

W d. 27 lipca (s. st.) 1807 r. otrzymał ukaz o szkole na 36 „jeometrów praktycznych“ wraz ze zleceniem od ministra „interesów wewnętrznych“ posyłania uczniów z miast skarbowych do szkoły „mechaniki praktycznej“, przy gimnazyum wołyńskiem urządzić się mającej. W szkole geometrów miano uczyć: arytmetyki, geometryi, trygonometryi, algebry, rysunków, języka rosyjskiego i polskiego. Czacki dodał jeszcze naukę rysunków topograficznych, polecił dawać uczniom wykład z części prawa krajowego o granicach. Uczyli się też oni pisać raporty i inne urzędowe akta; wakacyj nie mieli, doskonaląc się w tym czasie w geometryi praktycznej. Zachęcani byli prócz tego do innych nauk i języków. W szkole „mechaników“ niektórzy zaczynali od czytania i pisania. Przedmiotami wykładowymi były: arytmetyka, geometrya, algebra, mechanika, hydrostatyka i hydrau-

lika. Niektórzy, acz w małej liczbie, słuchali wyższej matematyki i niektórych części fizyki. Uczyli się także budownictwa wiejskiego; ćwiczyli się w praktycznem zastosowaniu praw mechanicznych. Czacki powiada o uczniach mechaniki: „Są modele przez nich zrobione, a ta sama ręka, co obciosała drzewo do podstawy młyna, co faszyny uczy się do grobel układać, umie obrachować moc powietrza i ognia, zaczyna matematyczne robić narzędzia“.

Dnia 31 sierpnia 1807 r. wyszedł ukaz o szkołach parafialnych, według planu Czackiego [1]). Dotyczył on zarówno miejskich jak i wiejskich szkółek, oddawał je pod bezpośredni nadzór księży a opiekę obywateli, dozwalając każdemu fundować szkółki w swoich dobrach, i zachęcając ich, w imię własnego interesu, ażeby się przyczyniali do urzeczywistnienia tego wielkiego przedsięwzięcia.

Ustawa dzieli szkółki parafialne na dwa rodzaje: miejskie i wiejskie, pierwsze są dwuoddziałowe (większe), drugie jednooddziałowe (mniejsze), wolno jednak obywatelom zaprowadzać i po wsiach szkółki dwuoddziałowe. W dwuoddziałowych przez lat cztery uczono: w 1-szym oddziale: czytania, pisania, rachunków, nauki moralnej, katechizmu; w 2-gim oprócz doskonalenia się w pisaniu i rachunkach, ćwiczyli się

---

[1]) Ściśle biorąc jest to właściwie zmodyfikowany plan Kołłątaja, przesłany Czackiemu jeszcze 1 lutego 1804 r. (wydrukowany w „Korespondencyi listownej“ T. 2, str. 148—205). Zasadnicza zmiana, zaprowadzona przez Czackiego, polega na tem, że bardzo ograniczył naukę dzieci włościańskich, o których Kołłątajowi szło najwięcej, a wprowadził natomiast do szkółek parafialnych dzieci ubogiej szlachty, o których Kołłątaj wcale nie wspominał.

uczniowie w mechanice praktycznej, poznawano geografię miejscową, z historyi naturalnej ptactwo i zwierzęta domowe, niektóre owady mianowicie pszczoły, jako też zwierzęta szkodliwe; prócz tego zaznajamiano się z ogrodnictwem, rolnictwem i śpiewem kościelnym. W szkółkach jednooddziałowych uczniowie dzielili się na początkujących i doskonalących się. Początkujący uczyli się nauk dla pierwszego oddziału przepisanych; doskonalący się zaś w pewne dni oznaczone zapoznawali się z naukami dla drugiego oddziału naznaczonemi. W szkółkach dwuoddziałowych nauki trwały od 15 września do 20 lipca, w jednooddziałowych, kończyły się zazwyczaj z 15 kwietnia. W dni świąteczne odbywało się powtarzanie lekcyj i próby praktyczne z ogrodnictwa i rolnictwa. Nauczyciel obowiązany był dawać wskazówki, jak gasić ogień, ratować pozornie umarłych, a dalej służyć włościanom za przykład dobrego gospodarza, wprowadzającego na roli i w ogrodzie pożyteczne ulepszenia; — pilnować wreszcie, ażeby włościanie, stosownie do ilości zajmowanej ziemi, upamiętniali swoje urodziny, małżeństwa i oddanie dzieci do szkółki, zasadzeniem lub zaszczepieniem pewnej liczby drzew trwałych. Władza miejscowa czuwać miała nad tem, żeby nauczyciele pod pozorem nauki, nie przymuszali uczniów do pracy dla siebie.

Do tak urządzonych szkółek obowiązani byli posyłać swe dzieci niezamożni „obywatele“ (t. j. szlachta) i rzemieślnicy, tak dalece, iż gdyby który z nich nie oddał do szkółki syna zdrowego między 6 a 8 rokiem, musiał dostarczyć szkółce albo korzec (szlachcic) albo pół korca (mieszczanin) żyta; od kary tej uwalnia się szlachcic wtedy jedynie, gdy szkółka od-

dalona jest o 40 wiorst od miejsca zamieszkania. Synom włościan ustawa tylko „nie zabraniała“ uczyć się „w zimie“ nauk dawanych w szkółkach parafialnych; nakaz zaś ograniczyła do punktów następnych: 1) co święto dzieci od lat 10 zbierają się rano w szkółce i uczą się pieśni kościelnych; 2) przez 6 tygodni po Bożem Narodzeniu pokazywano im 4 razy na tydzień narzędzia gospodarskie, objaśniając ich skład, sposób naprawy i użytek; 3) na wiosnę, jesień i w lipcu pokazywano im sposób sadzenia i szczepienia drzew; 4) po każdej takiej lekcyi dawano im naukę moralną.

Co się tyczy wykształcenia dziewcząt, to i tu zachowała ustawa różnicę między córkami obywatelskiemi i mieszczańskiemi a włościańskiemi. Córki szlachty i rzemieślników uczyły się czytania, pisania, rachunków, nauki moralnej i katechizmu, ćwiczyły się w przędzeniu obu rękami, szyciu, praniu, gotowaniu, utrzymywaniu ogrodowizn, obchodzeniu się z nabiałem, hodowli ptactwa i zwierząt domowych, w śpiewaniu pieśni kościelnych „o cnotach rodzinnych“. Córki włościańskie zaś tylko w dni świąteczne i wolne od pańszczyzny uczyły się prząść obu rękami, obchodzić się z nabiałem i wogóle z gospodarstwem, śpiewać pieśni kościelne; o czytaniu i pisaniu niema mowy.

Szkółki dla obu płci miały być oddzielne. W dwuoddziałowych (tylko męskich) dwa mieszkania dla dwu nauczycieli i dwie izby dla uczących się, w jednooddziałowych jedno mieszkanie dla nauczyciela lub nauczycielki, jedna izba dla uczących się. Gdyby który założyciel chciał mieć szkółkę wspólną dla obu płci, to powinny być dwie izby, albo przynajmniej chłopcy od dziewcząt przegródką oddzieleni.

Uposażenie nauczycieli określała ustawa szczegółowo, ale udzielanie go zostawiała dobrej woli założyciela szkółki; po założeniu wszakże nie można go już było cofnąć pod groźbą przymusu (§. 29, rozdz. XVI). Dla dwu nauczycieli i nauczycielki, pod orkę morgów chełmińskich 60, na ogród 4, na sianożęć 4, razem 68. Dla jednego nauczyciela i nauczycielki pod orkę morgów 45, na ogród nauczyciela 2, nauczycielki 1, na sianożęć 3, razem 51. Pensya w mieście dla nauczyciela drugiego oddziału zł. 300, pierwszego oddziału zł. 250, dla nauczycielki 150; na wsi nauczyciel drugiego oddziału miał brać zł. 250, pierwszego 2C0, nauczycielka 130. Zamiast ziemi można było dawać ordynaryę, ale ustawa zalecała rolę. Pensyę miano wypłacać tercyałem albo przynajmniej miesiącem naprzód.

Za każde dziecko oddane do szkoły rodzice wnoszą cenę pół korca żyta; kto nie ma ziemi albo rzemiosła, uwalnia się, jeśli złoży świadectwo ubóstwa.

Najbliższą zwierzchnością szkółek parafialnych była szkoła powiatowa, której dyrektor sam lub przez zastępstwo corocznie zwiedzać je był powinien.

Wyznaczano nagrody nauczycielom i nauczycielkom: 1) za dostarczenie większej liczby dzieci postępujących w naukach, 2) za zasłużenie na poważanie władzy duchownej i świeckiej i zaufanie rodziców dzieci uczących się, 3) za celujące prowadzenie gospodarstwa i ogrodnictwa.

Projektowano wreszcie w tej ustawie założenie szkoły nauczycielek parafialnych.

Co do ustalenia i pomnożenia funduszów, to najprzód w d. 13 lipca uzyskał Czacki zatwierdzenie na własność gimnazyum wołyńskiego, klasztoru bazylia-

nów w Krzemieńcu, jako też rozszerzenie praw do starostwa krzemienieckiego, darowanego już dawniej szkole krzemienieckiej, ubezpieczające całkowite i wieczyste jego posiadanie. W klasztorze bazylianów pomieszczono szkołę mechaników. Najważniejszem atoli w kwestyi funduszów dziełem Czackiego było wyjednanie ukazu (21 grudnia) ustanawiającego komisye sądowo-edukacyjne na Litwie i Rusi.

W tej sprawie, ciągnącej się przez znaczną część r. 1807, starły się opinie Czackiego i Jana Śniadeckiego, naówczas już rektora uniwersytetu wileńskiego, co było początkiem zaognionych pomiędzy nimi stosunków. Zdaniem Czackiego należało utrzymać prawo z r. 1788 o dobrach pojezuickich dozwalające ich kupno, zdaniem zaś Śniadeckiego, wypadało dobra te utrzymać i na zawsze obwarować przy nazwisku i naturze dóbr funduszowych edukacyjnych. Projekt Czackiego utrzymał się; w głównych zarysach był następny: 1º „wszystkie dobra pojezuickie zamienić na sumy kapitalne i od tych powiększoną do sześciu od sta prowizyę na zawsze ustanowić; 2º znieść wszystkie lustracye i rewizye dóbr, jako już nie należących do funduszu, ale tylko służących za ewikcyę lokowanym na nich kapitałom; 3º ewikcye zapewniające stan kwitnący dóbr pojezuickich, na innych dobrach dziedzicznych oparte, skasować, dlatego, że polepszony stan tych dóbr wystarcza na bezpieczeństwo lokowanej sumy funduszowej; 4º pozwolić posesorom dóbr pojezuickich uwolnić dobra od sum funduszowych, powiększywszy te sumy czwartą częścią czyli 25 procentem“.

Motywa, które skłoniły Czackiego do takiego postawienia kwestyi, znajdujemy w liście jego do

Śniadeckiego (27 kwietnia 1807): „Nie o to idzie — czytamy tu — czy jest rzeczą dobrą ustanowić czynsz pieniężny z dóbr, które mieć będą podniesioną cenę, ale o to, czy rzecz już udecydowaną przed 30 laty i w kraju własnym zniszczyć wolno i można. Chęć zachowania spokojności ubezpieczyła dary starostw, emfiteuzy i dobra pojezuickie dała formalnie przedane. Co sejm 1775 r. ustanowił, to Rosya gwarantowała; co sejm 1788 r. zaczęty napisał, to szanujemy. Pewność własności, ufność w rozkazie rządu, jaki egzystuje, więcej interesuje władzę kraju niż utrata znaczna w funduszu, który może być nadgrodzonym przez najwyższą opiekę i szczodrotę partykularnych. Ten, co otrzymał nadanie jezuickich dóbr, grzeszył, lecz ten, który kupił, a potem przedał, za cóż ma być karanym? Zmieniwszy rząd polityczny, winniśmy strzedz naszych praw, które na jednej karcie nam, na drugiej innym majątki upewniają. Utrzymuje Rosya wszelkiego gatunku nadania zrobione w Polszcze, te jedne tylko podlegałyby wyjęciu?... Nie jest nawet interesem naszym wieść spory z kilkuset familiami, które posiadają też dobra... Lecz jeżeli roztropność nie każe wywracać całkowitego dzieła konstytucyi 1775 r., które sejm 1788 r. zachował, powinnością jest władzy edukacyjnej cokolwiek nagrodzić sobie poczynione szkody“ (przez podniesienie stopy procentu).

Rząd, podzielając ten wywód historyczno-prawny, przyjął projekt Czackiego, uwzględnił wszakże poprawkę Śniadeckiego, żeby zamiast komitetów tymczasowych, projektowanych przez Czackiego, ustanowić dwie juryzdykcye w Litwie i na Wołyniu do roztrząsania i sądzenia spraw jedynie tyczących się

pod jakimkolwiek względem bezpieczeństwa funduszów edukacyjnych.

Tym sposobem powstały dwie komisye sądowo-edukacyjne, jedna na Litwie dla pięciu gubernij, druga na Wołyniu dla trzech. Czacki obrany został prezesem Komisyi wołyńskiej, której członkami byli: Filip Olizar, Wacław Borejko, Michał Sobański, Aleksander Chodkiewicz. Głos doradczy mieli: Filip Plater, Feliks Czacki, Romuald Stecki. Pisarzem został Franciszek Skarbek Rudzki, sekretarzem Józef Kruczkowski, plenipotentem Tomasz Dunin Borkowski.

Czacki w obszernym traktacie, podawszy wywód historyczny pochodzenia wszystkich funduszów i rozrządzania nimi, ułożył przepisy postępowania dla nowo-utworzonej magistratury i gorliwie się zajął rozplątaniem licznie nastręczających się a wielce zagmatwanych węzłów w tym wątku interesów materyalnych, które tyle drażliwości w ludziach wywołują. Czackiemu powiodło się wydobyć fundusz edukacyjny, 2,350.000 złp. przeszło wynoszący.

W sprawie tej naraził się na wiele nieprzyjemności i narzekań, nie uniknął chwilowego niezadowolenia ks. Czartoryskiego, a z Janem Śniadeckim musiał przeprowadzić długi i zacięty spór o Suraż, co następnie przyczyniło się do zaostrzenia stosunku między rektorem a wizytatorem. Suraż, majętność niedaleko Krzemieńca położona, należała niegdyś do jezuitów z daru Anny Chodkiewiczowej, która zobowiązała ten zakon do utrzymywania konwiktu na 20 uczniów z ubogiej szlachty. Dobra te w początkach wieku naszego oszacowane były na 700.000; procent od nich był oczywiście funduszem edukacyjnym. Aleksander Chodkiewicz oświadczył Czackiemu, że on,

jako spadkobierca Anny Chodkiewiczowej, ofiaruje te dobra na szkołę elementarną. Komisya sądowo-edukacyjna wołyńska przyjęła tę propozycyę i wydała wyrok, wyłączający Suraż z ogólnej masy funduszu edukacyjnego na rzecz konwiktu nauczycieli szkół parafialnych przy gimnazyum w Krzemieńcu. Sprzeciwił się temu Śniadecki, dbający o całość i bezpieczeństwo funduszu edukacyjnego, i podał do ministra oświecenia przedstawienie, żeby wyrok komisyi wołyńskiej, jako nielegalny, nie był potwierdzony. Pomimo usilnych starań Czackiego, pomimo propozycyj ugody (aby jedni nauczyciele w Wilnie, drudzy w Krzemieńcu się kształcili), zdanie Śniadeckiego przemogło; Suraż został na tabelli funduszu ogólnego.

Niebawem kwestya funduszów przybrała charakter ogólniejszy. Rachunki, które gimnazyum krzemienieckie obowiązane było składać uniwersytetowi, przedstawiały się Śniadeckiemu w stanie zawikłanym; zauważył, że sumy z innych szkół obracane były na potrzeby Krzemieńca, że wydatki przewyższały dochód. Oświadczał on, że uniwersytet nie wymaga od Czackiego rachunku z tego, co wpłynęło i wpływa z ofiar obywatelskich, ale potrzebuje sprawozdania z sumy etatem dla Krzemieńca wyznaczonej, z dochodów starostwa krzemienieckiego i zabranych remanentów z innych kas szkolnych w trzech guberniach. Jeżeliby nieporządkom tym się nie zapobiegło, wróżył smutną dla szkoły krzemienieckiej przyszłość. „Widzę z prawdziwym bólem serca — pisał do Czecha, dyrektora gimnazyum wołyńskiego, 3 czerwca 1808 — że to okrzyczane dzieło, więcej napuszone jak gruntowne, pęknie i źle się skończy tak, jak się skończyły najpiękniejsze roboty i przedsięwzięcia Ty-

zenhauza w Litwie, dlatego, że były nagle pędzone i przesadzone nad sposoby i środki, a nawet nad naturą rzeczy ludzkich". I samemu Czackiemu przekładał potrzebę oględności w wydatkach i ścisłości w rachunkach, naprzód spokojnie i oględnie, potem coraz żywiej i gwałtowniej. Czacki nie pozostał w odpowiedziach dłużnym. Zaczęto głosić, że Czacki dąży do zniesienia jedności pod względem edukacyjnym, że chce się uwolnić od kontroli uniwersytetu.

VIII.

Współcześnie prawie z tymi sporami o fundusze, toczyła się sprawa samej zasady nauczania, przyjętej w Krzemieńcu. Śniadecki, dopóki nie był rektorem pochwalał plany Czackiego, teraz mając sobie powierzony kierunek sprawy wychowania na Litwie i Rusi, przejęty przekonaniem o konieczności jednostajnego programu instrukcyi, dopatrzył się w owych planach omyłek znacznych i sądził, że krzemieniecki układ nauk musi pozostać tylko w Krzemieńcu „dla próby", ale nie może być do innych szkół w trzech guberniach zaprowadzony. Tymczasem Czacki, uzupełniając go w Krzemieńcu, pragnął właśnie widzieć go w szkołach powiatowych, ażeby uczniowie, przybywający z nich do Krzemieńca, byli już do tutejszego trybu nauczania przygotowani.

W r. 1807/8 zaprowadził Czacki w Krzemieńcu naukę języka angielskiego jako dodatkową, na kursach dodał wykład literatury rosyjskiej. W r. 1808/9 skłonił pijarów, utrzymujących szkołę w Międzyrzeczu, żeby się kierowali według planu nauk, przyjętego w Krzemieńcu.

Uniwersytet posłał do Międzyrzecza napomnienie, polecając przywrócić instrukcyę w szkole do dawnego stanu. Zakon, opierając się na powadze Czackiego, odpowiedział uniwersytetowi odmownie; a Śniadecki wezwał urzędownie prowincyała pijarów do przywrócenia dawniejszego porządku i o całej sprawie doniósł kuratorowi. Kurator miał właśnie w tym czasie zwiedzić szkoły gub. wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Na popisy r. 1809 przybył do Krzemieńca i okazał zadowolenie z tego, co widział i słyszał, a pełen wyrozumiałości i oceniając szlachetne zamiary Czackiego, w liście oficyalnym wyraził się nader pochlebnie o stanie gimnazyum. „Nigdy — pisał — zamiary nie mogły być piękniejsze i zbawienniejsze, nigdy też pomyślniejszym nie mogły być uwieńczone skutkiem. Mało jest bezwątpienia przykładów, ażeby szkoła jaka w tak krótkim przeciągu czasu mogła się podnieść do tak wielkiego stopnia, jak gimnazyum krzemienieckie", które „służyć może za wzór drugich". Nie decydowało to jednak o stanowczem planów Czackiego zwycięstwie, gdyż ani sprawa szkoły międzyrzeckiej nie była ostatecznie załatwioną, lubo w praktyce pijarowie międzyrzeccy trzymali się zmodyfikowanego planu krzemienieckiego, jak się to okazuje z programatu w r. 1810 wydrukowanego [1]), —

[1]) Zob. „Wykład materyy nauk dawanych w szkole publiczney międzyrzeckiey XX. Piiarów od dnia 2 novembra 1809 do dni pierwszych lipca 1810 roku" (str. 54 w 4-ce). Różnica od planu krzemienieckiego polegała najprzód na mniejszej liczbie wykładanych przedmiotów, powtóre na wydzieleniu nauki języków nowożytnych (rosyjskiego, niemieckiego i francuskiego) z całości przedmiotów szkolnych, traktowanych w „klasach". Tak więc w „klasach młodszych" (I—III) uczono:

ani też zarzuty, robione gimnazyum krzemienieckiemu zarówno pod względem instrukcyi jak i funduszów, nie były nieodparcie uchylone.

I wśród obywateli trzech gubernij powstawały głosy niezadowolenia. Dnia 24 września 1808 r. pisze Czacki do Chodkiewicza: „Worcell senator miał mądrą mowę o potrzebie przeniesienia gimnazyum z Krzemieńca do Winnicy, lecz mądra elokwencya nie pomogła. Butowicz także okrutnie krzyczał, że miał syna w Krzemieńcu i rozumu nie pomnożył, musiał go tedy posłać do Moskwy“.

Niektórzy urzędnicy niechętnem też patrzyli okiem na Krzemieniec, którego szkoła coraz większą liczbą uczniów się zapełniała.

Skutkiem jakiejś skargi, podanej podobno przez współobywateli i marszałków szlachty, ustanowioną została reskryptem najwyższym 23 września 1810 r. komisya w Żytomierzu w celu zbadania, czy sposób dawania nauk odpowiada powszechnej nadziei, czy może być dogodniejsze na szkołę miejsce nad Krzemieniec, czy dochody właściwie są używane. W „Tłómaczeniu się“ swojem (drukowanem w końcu r. 1810) Czacki z godnością odpowiada na zarzuty komisyi

---

religii, moralności, jeografii i historyi „początkowej“, języka łacińskiego wraz z polskim, arytmetyki, początków „jeometryi płaskiej“. W „kursach nauk w klasach starszych“ (IV—VI) uczono jeometryi płaskiej, jeometryi brył, jeometryi praktycznej, trygonometryi, algebry, loiki, fizyki, historyi naturalnej, literatury, wymowy, prawa przyrodzonego, ekonomiki, prawa cywilnego polskiego, historyi powszechnej i polskiej. Języki nowożytne były wykładane w trzech kursach: dla uczniów początkowych, postępujących i doskonalących się; w tym ostatnim uwzględniano historyę literatury.

i sam podnosi takie, które reskrypt nastręczał. Choć imię jego w reskrypcie nie było wspomniane, on odpowiada, bo on rządził. Przy ułożeniu planu instrukcyi publicznej „nie o to szło, aby liczne i różne między sobą nauki wszystkich zajmowały, ale o to, aby dobroczynny wpływ światła sposobił urzędników i obywatelów, aby kapłan, żołnierz, rzemieślnik i włościanin nawet, w miarę potrzeb i powinności swoich to umiał, co jest w jego życiu do wiadomości potrzebnem, aby podług jednych prawideł formował się i odnawiał ciągle stan nauczycielów, aby odkryte tajemnice przyrodzenia i wypadki rachunku pomogły rękodziełom, przyniosły pociechę cierpiącej ludzkości, aby ekonomika ludzka i zwierzęca otrzymała środki do ulepszenia stanu, w którym teraz zostaje, nakoniec aby płeć żeńska miała wychowanie do stanu różnych klas potrzebne i ułatwione środki do uprzyjemnienia tych nawet wiadomości, z których jedne są wspólne, drugie pomocne mężczyznom, a dla dążeń i zatrudnień domowych stają się koniecznemi lub użytecznemi".

Tak wyłożywszy zasady, na których oparł instrukcyę w gimnazyum wołyńskiem, powołuje się na świadectwo współobywateli, iż zarówno co do zarządu funduszów jak i co do nauczania nie podzielają zdania tego, kto zaniósł nań skargę: „Oto jednogłośnie marszałkowie powiatów donoszą, że prośbę (owego oskarżyciela) mają za przeciwną prawdzie, życzeniom i interesowi gubernii, a proszą o odkrycie autora omylnych doniesień. Oto ci, którzy szczególne fundusze poczynili, uprzedzają się w tłómaczeniu woli własnej, iż ich ufność jest i teraz równa, a do ministra i do komisyi zanoszą prośby przeciwne doniesieniu. Całe

nawet powiaty tłómaczą swoją troskliwość, aby czynność im niewiadoma nie była uważana za ich dzieło, łaskawie za mną, przychylnie za gimnazyum i tej szkoły umieszczeniem przemawiają".

Następnie odpowiada Czacki kolejno wedle porządku zarzutów, zaczynając od kwestyi rachunków. Z odpowiedzi tej poznajemy szczegółowo stan finansowy gimnazyum wołyńskiego. W przychodzie główną wagę mają „ofiary obywatelskie", które zbierały się w następnym stosunku: r. 1803 — zł. 67.260, r. 1804 — zł. 3.100, r. 1805 — 16.800, r. 1806 — 4.124 gr. 24, r. 1807 — 9.016 gr. 20, r. 1808 — 34.826 gr. 20, r. 1809 — 47.207 gr. 7, r. 1810 — 35.885 gr. 15; razem zł. 218.220 gr. 26. Wyłączywszy z tej sumy ofiary jednorazowe lub na specyalne cele przeznaczone, ogólny dochód roczny z ofiar obywatelskich wynosił zł. 193.580 (rs. 19.038·35). Do tego dodawszy dochód z izby skarbowej wołyńskiej i ze starostwa krzemienieckiego, podaje Czacki jako ogół dochodu gimn. woł. w r. 1810 rs. 41.775 kop. $8^3/_4$. Co do rozchodów, to naprawa domów, urządzenie ogrodów itp. kosztowały do końca r. 1809 około 50 tys. rubli (podaję cyfrę okrągłą, w „Tłómaczeniu się" jest ona szczegółową), biblioteka, gabinet fizyczny, mineralogiczny, medale „i inne potrzebne rzeczy" kosztowały czerw. zł. 15.000. Etat nauczycieli wzrastał corocznie, r. 1805 wynosił rs. 10.501, r. 1806 — 12.652, r. 1807 — 14.862, r. 1808 — 19.166.

Z zestawienia cyfr tych widać, że przychód nie wyrównywał rozchodowi. „Niedostatek mojemi zastępowałem pieniędzmi — powiada Czacki — czyniłem ofiary, bo jestem obywatelem i ojcem, bo dzieło całe należało utrzymać i zbliżyć do doskonałości, bo nale-

żało owoce pracy przynosić rządowi i familiom, jakie być mogą w krótkiej lat kolei. Teraźniejszy stan gimnazyum nie jest taki, jaki być powinien; jest bowiem tymczasowy". Ze swej pensyi wizytatorskiej (rs. 1500 rocznie) zakupywał książki w Wilnie i te przedawał „na pożytek gimnazyum". W końcu wszakże stara się wykazać, że w r. 1810 dochód wyrównał się z przychodem.

W przedziale II. mówi Czacki o nauczycielach, uczniach i naukach w gimnazyum wołyńskiem, broniąc zaprowadzonego w niem porządku co do przedmiotów wykładanych, przedstawiając zwiększającą się liczbę uczniów (w 1805 — 280, w 1806 — 422, w 1807 434, w 1808 — 404, w 1809 — 413, w 1810 — 612), dając chlubne świadectwo ich sprawowaniu się i z uznaniem wspominając o pracy nauczycielów.

W przedziale III. nakoniec porusza trzy kwestye, o których komisya nie pytała go jeszcze, lubo je „reskrypt monarszy zgłębić zlecił". Kwestye te były: 1° Czy przywiązanie do monarchy w uczniach się wkorzenia? Na to odpowiada Czacki: „Obowiązki dla Pana i dla Państwa, którego jesteśmy częścią, liczy nasza wdzięczność między pierwsze obowiązki. Głosimy ją w świątyni Pana Zastępów, głosimy ją w mowach, a młodzież ośmiela się doświadczać swojej zdatności, kiedy mówi i pisze o monarsze, co usta nieskażone jeszcze pochlebstwem głosić mogą i powinny". Dostateczna zresztą odpowiedź na powyższe pytanie, zależy, zdaniem Czackiego, od uznania, czy nauki są dobrze dawane. Drugie pytanie brzmiało: „Jak fundacye wołyńskiego gimnazyum w dalszym czasie ubezpieczyć należy i zbyt ubogich uczniów upewnić?" Czacki mówi, że to rzecz komisyi, on ze

swojej strony prosi tylko o pomoc „dla wykonania tych praw, które dobroć monarchy dała“. Ofiarność obywateli może być niewyczerpana, dowodem to, co do owego czasu zrobiono. Trzecia kwestya dotyczyła przeniesienia gimnazyum do Winnicy, „gdzie są wygody większe a szczególniej lasy dostateczne“, z powodu, jakoby Krzemieniec był miastem zbyt drogiem. Czacki starannie zestawia wszystko, co za Krzemieńcem przemawia: a) dla 9-ciu powiatów gub. wołyń. Krzemieniec jest prawie we środku; b) wspaniała budowa kościoła i domu szkolnego, jakich w trzech guberniach niema; c) budynek pobazyliański przez dwie linie pośrednich murów dokończy całej „fabryki“; d) ogród botaniczny obszerny zaraz za kollegium; przy gotowym obwodowym murze łatwa jest do postawienia „bursa dla ubogich uczniów“; są miejsca blizkie na wielki szpital, wydział cały cyruliczny, szkołę synów urzędników, którą koniecznie założyć potrzeba, i na inne wszelkie ustanowienia; e) brakowi wody zaradził Czacki przez studnie obfite; f) taniość znaczna; za 15 kopiejek cztery razy „dość wygodnie“ jeść można, a ubogi uczeń „za 6 kopiejek żyje“; g) można zrobić to miasto najczystszem, byle je wybrukować, co kosztować będzie tylko zł. 118000; h) dwa klasztory mogą mieścić kleryków i zakonników, którzy winni chodzić do gimnazyum; i) mimo ogromne błoto Krzemieniec jest miastem zdrowem, najmniej w niem ludzi umiera, najmniej chorób i śmiertelności wśród uczniów; „febrowej i nerwowej gorączki nie było, wiatr wiejący między górami czyści powietrze“; k) wielką wygodę stanowią place; l) wielka część ofiar przywiązana jest do Krzemieńca; gdyby gimnazyum przeniesiono, upadłyby te fundusze;

m) zaczęły się murować, stawiać i poprawiać domy „w części za pożyczone pieniądze“; n) podnosiła się ludność, zachęcili się obywatele do stawiania domów, wiele lat potrzeba, aby ułożyć i wykonywać projekt i „znowu stworzyć ufność, że to, co się ułoży, odmienionem nie będzie“. Winnica jest zanadto odległa od Włodzimierza, Kowla i Tarnopola, jest niezdrowa, nerwowe gorączki w niej panują, błoto, niedobra woda, kościół pojezuicki opuszczony, bez dachu, sklepienia się walą; ogrodu w blizkości nie ma; brak miejsca na różnorodne zakłady; lasy dawniej istniejące zniknęły i drożyznaby się zwiększyła.

Komisya żytomierska musiała uznać niewinność Czackiego i złożyć zaszczytne świadectwo jego gorliwości i ofiarności. Samo jej atoli ustanowienie zaszkodziło częściowo przynajmniej sprawie gimnazyum wołyńskiego. „Patrz – pisał Czacki 30 grudnia 1810 do Antoniego Jarkowskiego prefekta, który po zaszłej wtedy śmierci Józefa Czecha (24 listop. 1810) zastępował dyrektora gimnazyum — byłbym więcej zebrał tego roku, ani mi się godzi prosić. Z Warszawy uczniów boją się przysyłać. Muszą iść rzeczy powoli; powiększenie pensyi profesorów musi się odłożyć; codziennie pokrzepiam moję cierpliwość. Nie traćmy odwagi. Jeśli pewny porządek nie wprowadzimy; jeżeli nie ubezpieczymy siebie: staniemy się przedmiotem narzekania od jednych, urągowiska od drugich. Pracujmy; tak nam każe cnota“.

Dla obudzenia otuchy, a zarazem dla złożenia dowodu, jak należy uczcić zasługi około szerzenia oświaty, zajął się Czacki uczczeniem pierwszego dyrektora gimnazyum wołyńskiego. D. 2 grudnia 1810 r. z Żytomierza wydał odezwę „Do uczniów i nauczy-

cielów wol. gimnazyum", w której obok pochwał dla zmarłego Józefa Czecha pomieścił ubocznie uznanie dla pracy jego pomocników w sprawie wychowania młodzieży uczącej się, a zarazem pod pokrywką myśli dyrektora torował drogę dla własnych projektów. „Dyrektor — powiada Czacki — własnem uzbrojony doświadczeniem znał tę linię, która oddziela szkodliwe nowości od zadawnionych omyłek. Był w jego ręku rachunek możności nauczania i możności uczenia się. Wsparty radą i pomocą zacnego prefekta zdawał się być przytomnym w każdym domu ucznia... On stosować życzył niższego rzędu szkoły do jednakowego planu... Opowiadał konieczną potrzebę doskonalenia domowych dozorców, aby tak rodziców w domu zastępowali, jak nauczyciele w szkole i w imię rządu uczyli tego, co umieć powinien człowiek obywatel i urzędnik... W każdej chwili dnia jednakowa uprzejmość przyjęła prośbę lub udzielała rady, jednakowa sprawiedliwość przynosiła ogólne przekonanie, że stronnym być nie mógł".

Celem uczczenia pamięci pierwszego dyrektora, wydał przepisy świadczące o prawdziwie zacnem jego sercu i znajomości natury ludzkiej, potrzebującej znaków widomych dla utrwalenia w swej duszy uczuć idealnych. W oznaczonym dniu miało się odbyć żałobne nabożeństwo w kościele gimnazyalnym; nauczyciele i uczniowie znajdować się na niem mieli w żałobie, którą nosić mają przez sześć tygodni; profesor literatury (ksiądz Alojzy Osiński) miał mieć kazanie, a profesor wymowy (Euzebiusz Słowacki) pogrzebową pochwałę. Zaniósł następnie Czacki prośbę do biskupa Cieciszowskiego, aby „duszę zmarłego modlitwom dyecezyi polecić raczył"; w każdej zaś szkole

powiatowej tych trzech gubernij, z których szczególniej młodzież w Krzemieńcu doskonaliła się, miało się odbyć nabożeństwo wraz z mową pogrzebową, którą do gimnazyum przesłać należało. Obraz zmarłego miał być zawieszony w sali fizycznej; na marmurze wyryte imię, nazwisko, urząd, zasługi Józefa Czecha z tem wyrażeniem, że „każdy, co go znał, żałował jego zgonu i po jego śmierci płacz był powszechny“. Ilekroć nastąpi odmiana dyrektora w gimnazyum wołyńskiem, to w mowie, którą się miewa przy oddaniu władzy przyjmującej ją osobie, mają być te wyrazy: „bądź podobnym Józefowi Czechowi, a równa wdzięczność publiczna ciebie czeka“. Wdowie i dzieciom upewnił Czacki utrzymanie „w miarę możności“. Polecenia te nakazał po wydrukowaniu oddać każdemu nauczycielowi i uczniowi w dwu egzemplarzach, w protokole właściwym zapisać, w każdej klasie i kursie przeczytać; przez trzy lata w dniu żałobnym nabożeństwa za dobroczyńców nauk odczytać w kościele i przy każdej odmianie dyrektora nowemu następcy wręczać.

Ponieważ Czacki obawiał się, aby na dyrektora nie przeznaczono już to Gleynicha, już to Myszkowskiego z Kijowa, podał więc ze swej strony Jana Nepomucena Lerneta, jako dobroczyńcę gimnazyum wołyńskiego (ofiarował 15.000 rs., które później zwiększywszy do 37.500 na konwikt dla 4-ch ubogich uczniów przeznaczył), jako „okrytego znakiem zaszczytu i tytułami“, mającego zatem nadzieję oddalenia „nieufności rządu“ do szkoły i do Czackiego (list Czackiego do A. Jarkowskiego z 21 lutego 1811). Antoni Jarkowski spodziewał się wprawdzie, że on sam zostanie dyrektorem, ale Czacki, ceniący go jako

prefekta, tak, że chciałby go „mieć wzorem dla następców w tym urzędzie“, dyrektorem zrobić go nie mógł, naprzód dlatego, że Jarkowski nie posiadał nauk fizyczno-matematycznych, będących „dziś pierwszemi, gdy stan wojskowy rozkazuje nam cywilnym“, mogących dać szkole „wziętość prawdziwą“ i usunąć wielkość zamiarów nieprzychylnych szkole krzemienieckiej, a powtóre dlatego, że Jarkowski w języku francuskim się nie doskonalił, a ten „teraz jest pierwszą potrzebą“. „Podobno nie uniży prefekta być prefektem — pisał Czacki — kiedy ja jestem wizytatorem, a Śniadecki może być naczelnikiem rozkazującego mi ciała“.

Lerneta atoli rząd nie potwierdził; prefekt więc rządził wszystkiem i miał podwójną pensyę (prefekta i dyrektora). Taki stan trwał 17 miesięcy; w tym przeciągu czasu „12-cie przynajmniej przykrych listów Śniadeckiego zapowiadało nowy wybór dyrektora“, kurator pisał o jego potrzebie, a Filip Plater, który się udał w interesach gimnazyum do Petersburga, ostrzegał stamtąd, że się gotuje następca na urząd dyrektora (List do Stanisława Andrzejowskiego z 15 maja 1812 r.). Dyrektorem został Michał Sciborski, matematyk polecony przez Śniadeckiego, władający językiem francuskim.

Zanim jednak do tego przyszło, za urzędowania Jarkowskiego zjechała komisya uniwersytecka z Wilna celem zbadania, czy sposób uczenia, w Krzemieńcu zaprowadzony, może być i do innych szkół w trzech guberniach zastosowany. Wypłynęła ona z dawno już ciągnącego się sporu pomiędzy Śniadeckim i Czackim. Śniadecki bowiem, który w czasie komisyi żytomierskiej gorliwie pracował nad tem, ażeby Czacki z cię-

nia nawet zarzutu uwolniony został, po jej stosunkowo szczęśliwem ukończeniu, nie przestał narzekać przed kuratorem, że system krzemieniecki nie jest dobry i dlatego opierał się stanowczo zastosowaniu go do szkół powiatowych. Cztery główne zarzuty robił on temu systemowi: 1^0 „że instrukcya publiczna trwa w nim lat dziesięć, a zatem cztery lata dłużej, jak zwyczajnie, czego powszechnie ustanowić w kraju nie można; 2^0 że kursa ledwo nie każdej nauki są dwuletnie, a przez to niedogodne uczniom z innych szkół tam przybywającym i znajdować mogącym kończącą się naukę, której nie zaczęli, albo trafiającym na same początki tego, w czem szukają wyższej instrukcyi; 3^0 że w tych dwuletnich kursach dlatego nauki nie sięgają wyższego stopnia wiadomości i kończą się na elementach, iż pomieszano razem instrukcyę młodzi początkową i wyższą; a pierwsza nadto zabierając czasu nieprzygotowanym umysłom, mało go zostawia dla drugiej; 4^0 iż w początkowych klasach pomieszawszy języki zagraniczne żyjące z naukami, trzeba albo wyłączyć cudzoziemców od uczenia swych rodowitych języków w szkołach, albo poruczyć im język z naukami, do których się sposobić powinni krajowcy (List Śniadeckiego do Czartoryskiego z 1-go września 1809)“.

Myśl wysłania delegatów uniwersyteckich w celu zbadania tych zarzutów już dawniej powstała; Czacki na nią się zgadzał, życzył sobie, ażeby zjechał znakomity filolog i pedagog Groddek; ustanowienie komisyi żytomierskiej odwlokło urzeczywistnienie tej myśli, ale jej nie usunęło. Komisya uniwersytecka przyszła do skutku w lipcu 1811 r. Z jej powodu przyśpieszono popisy roczne, które się rozpoczęły

11 lipca i trwały wyjątkowo naówczas dni dziewięć, tak, że się przemieniły na istotne egzamina. Po uroczystem zakończeniu kursu nauk w gimnazyum delegowani wraz z Czackim, w przytomności kilku nauczycieli, roztrząsali (21 lipca) plan nauk w szkole krzemienieckiej. W raporcie złożonym przez nich uniwersytetowi z rezultatu swych spostrzeżeń, podpisanym przez Szymona Malewskiego i Szymona Żukowskiego, zaznaczyli obok pochwał dla nadzwyczajnej gorliwości wizytatora, przynoszącej znakomite rezultaty zarówno pod względem postępów w naukach jak pod względem karności uczniów, małe przygotowanie w języku łacińskim. Co do propozycyi rozciągnięcia planu gimnazyum wołyńskiego do szkół powiatowych, delegowani, pomimo przełożeń i argumentów Czackiego, wyrazili zdanie nieprzychylne, a to z następujących względów: 1° uczniowie gimnazyum wołyń., ukończywszy „klasy“, mają osobne „kursa“ literatury tych samych języków, których się w „klasach“ uczyli; w szkołach zaś powiatowych, po skończonych 4 klasach, chodząc na kursa nauk, nie mieliby już sposobności doskonalenia się w językach i musieliby je zapomnieć; 2° dozorcy domowi nie byliby w stanie przygotowywać uczniów do wszystkich języków, a na opłacenie korepetytorów szkolnych (jak to było w gimn. woł.) w szkołach powiatowych funduszu niema; 3° zaprowadzenie powyższego planu po szkołach powiatowych wymagałoby większych wydatków aniżeli etat dozwala; 4° plan ten wymagałby więcej czasu na edukacyę, niż obecnie, coby było obciążeniem wielkiej liczby familij ubogich, które „dzieci swoje do szkół powiatowych oddają i nie żądają, aby umiały wiele języków, lecz

aby były usposobione do posług skarbowych lub obywatelskich; 5° plan ten zmniejszałby postęp w nauce języka łacińskiego w szkołach powiatowych; 6° zaprowadzenie arytmetyki Czecha i geometryi Euklidesa przez tegoż przerobionej do szkół powiatowych, zmniejszyłoby postępy w tych naukach, gdyż arytmetyka owa jest za wysoka dla pojęcia dziecinnego, geometrya zaś nie zawiera solidometryi jak dziełko Lhuilliera, według którego uczono w innych szkołach.

Wobec tych uwag delegacyi uniwersyteckiej Czacki żądał, aby mu było wolno przynajmniej w jednej szkole powiatowej, którąby się na nowo urządzać miała, zaprowadzić plan gimnazyum wołyńskiego. Uniwersytet, jak się zdaje, nie wydał formalnego pozwolenia, ale faktycznie plan ten utrzymał się w szkole międzyrzeckiej, jakkolwiek ze znacznem uszczupleniem ze względu na brak funduszów.

IX.

Wśród takich obaw, kłopotów i zajęć przeprowadził jeszcze Czacki w r. 1811 dwa odrębne ustanowienia, ku pomnożeniu dobra gimnazyum wołyńskiego zmierzające. Jednem z nich było założenie w Krzemieńcu drukarni gimnazyalnej. Fundatorem jej był w przeważnej części Filip Plater, który „wystawił dom obszerny, obowiązał się wszelkie naznaczone“ od Czackiego „podług wzorów charaktery (czcionki) sprowadzić, narzędzia potrzebne kupić, w papier drukarnię zaopatrzyć, 10% taniej drukować dla gimnazyum od ceny, jaka jest najniższa w tych prowincyach, a po jego śmierci dom, charaktery i wszelkie sprzęty stają się własnością Gimn. woł.

bez żadnego wynagrodzenia". Delegaci uniwersytetu wileńskiego w czasie swojej wizyty widzieli już rozpoczęte roboty drukarskie.

W tym samym mniej więcej czasie została uporządkowana i biblioteka, licząca 15.820 tomów. Od 1 listopada 1810 „zaczęła się układać". Delegaci wileńscy widzieli już „jednę salę zupełnie i przyzwoicie urządzoną"; druga sala nie była jeszcze ukończoną, stąd znaczna ilość ksiąg znajdowała się w pakach; katalog wszakże „ułożony porządnie" już istniał.

Innego rodzaju „ustanowieniem" z tego roku było „kasyno". Jego organizatorami byli Czacki, Antoni Jarkowski, Michał Sobański, Wacław Borejko i inni członkowie komisyi sądowo-edukacyjnej. Miały to być „zebrania publiczne, gdzieby młodzież pod okiem władzy szkolnej, nauczycielów, rodziców i obywatelstwa bawiąc się, przywykała do więcej światowego znajdowania się w towarzystwie". Powstały one prawdopodobnie pod wpływem rodziców, którzy licznie zjeżdżali podczas zimy do Krzemieńca, ażeby nadzorować edukacyę dzieci a zarazem zabawić się. Do takiego wniosku upoważnia wyrażenie Czackiego w jednym z listów do prefekta (30 grudnia 1810), w którym przypominając mu potrzebę sprowadzenia nauczyciela tańców, Szlancowskiego z Warszawy, dodaje: „Organizacya nóg interesuje więcej wielu nieroztropnych od zapełnienia głowy potrzebnemi wiadomościami".

Treść ustaw owego „kasyna" była: 1° że każde kasyno powinno być w sobotę albo w wigilię jakiegoś święta, ażeby nie przeszkadzało przygotowaniu się na lekcye poniedziałkowe i poświąteczne; 2° że uczeń nie mający z całego tygodnia świadectwa pil-

ności w naukach i dobrego prowadzenia, znajdować się na zabawie nie mógł; 3⁰ że celujący nawet w naukach, jeżeliby miał u prefekta jaką obyczajową notę, tracił prawo do bywania na zabawie; 4⁰ że tym tylko wolno było bywać na tych zebraniach, których fundusz, po zaspokojeniu potrzeb istotnych, pozwalał kilka złotych obrócić na bilet wejścia; 5⁰ że jeśliby się okazało, że uczeń dług zaciągnął, aby mieć pieniądze na kupienie biletu, taki tracił nadal prawo wchodzenia na te zebrania; 6⁰ że na każdem kasyno z obowiązku znajdować się powinno dwu nauczycieli i prefekt, ażeby mieć pilną baczność na zachowanie się uczniów; 7⁰ że dla uniknienia zbytku w ubraniu, uczniowie w mundurach szkolnych bywać powinni. (Andrzejowski: Ramoty starego Detiuka, II., 243).

W „odezwie do uczniów i do zacnych ziomków“ Czacki, zdając niejako sprawę ze skutków zaprowadzenia kasyna, jakie się okazały w praktyce, powiada: „Pamiętałem, że młodzież w szkole powinna mieć zabawę, że ci, co się uczą tańcować, powinni, bez uszkodzenia nauk gruntownych, mieć wprawę, że ta młodzież wychodząc z Krzemieńca, będzie należała do światowej społeczności, w której i praca i rozrywka a szczególniej grzeczne obchodzenie się ma miejsce. Oznaczone zostały baliki uczniów; 16 było w czasie od Bożego Narodzenia (1811) do końca karnawału. Byli uczniowie, były panny z pensyi, byli obywatele i obywatelki. Zgromadzeni uczniowie niewinnie się bawili pod okiem gospodyni, gospodarza i władzy szkolnej... Te 16 balów kosztowało 35 złotych. Zaludnione bale dawały naukę obyczajności, łączyły powagę sędziwych z wesołością młodych. Żadna nie okazała się nieprzyzwoitość. Z pociechą, acz nieprzy-

tomny, odbierałem o tych zabawach wiadomości. Będę się starał, aby i w przyszłym roku z takim tylko wydatkiem były podobne bale. Wreszcie wolno jest rodzicom lub opiekunom tej zabawy dzieciom, będącym pod ich władzą, odmówić. Samo z siebie wynika, że na żadnych redutach i ubocznych balach uczeń być nie może. Ci, co lepiej jeżdżą na koniu, karuzele w niektóre dni wolne od nauki w miesiącu maju i czerwcu odbywać mogą przed rejtszulą gimnazyową“.

X.

Zanim przejdziemy do skreślenia ostatnich kilkunastu miesięcy działalności Czackiego, wypada nam przyjrzeć się rozwojowi gimnazyum od r. 1805 pod względem zwiększenia liczby przedmiotów wykładowych i nauczycieli. W tym celu rozpatrzymy program lekcyj na rok 1811/12 jako najpełniej przedstawiający stan naukowy gimnazyum wołyńskiego za życia założyciela. Widzimy w nim najprzód wprowadzoną do planu nauk (jedna godzina na tydzień) religię czyli naukę chrześcijańską, którą wykładał ks. Bazyli Sobkiewicz. Wykład jego scharakteryzować wolno temi zdaniami, które wygłosił publicznie profesor wymowy, Euzebiusz Słowacki, przy rozpoczęciu popisów w r. 1808. Z młodzieży „starano się uczynić dobrych chrześcijan, chroniono się utworzyć kłótliwych zagorzalców; starano się wpoić w ich serca przywiązanie do wiary przodków, ale nie napełniać one wzgardą i nienawiścią ku innym wyznaniom; usiłowano dać uczuć, że miłość Twórcy i stworzenia jest tą skłonnością duszy, która się najbardziej podoba niebu, że nie można kochać Boga, nie kochając ludzi

i że to oboje zasadza się na pełnieniu spraw towarzystwu pożytecznych".

Języka polskiego i łaciny, oraz „sposobów dobrego pisania wraz z ortografią" uczył po dawnemu Franciszek Olędzki, chociaż o jego znajomości łaciny i talencie sam Czacki trochę powątpiewał. Język rosyjski i arytmetykę dawał również po dawnemu Antoni Strzelecki, a język niemiecki i geografię Antoni Malawski. Do nauki języka francuskiego i moralności nowego znajdujemy przewodnika, Karola Leforta. Podstawą nauki języków była gramatyka Kopczyńskiego; porządek w niej przeprowadzony i wyrazy techniczne w niej użyte stosowano w nauczaniu innych języków, dodając prawidło każdemu z nich właściwe. Oprócz nauczycieli byli korepetytorowie szkolni (Józef Madejski do francuskiego, Michał Kołpaczkiewicz do niemieckiego), którzy w klasach w dnie i godziny oznaczone powtarzali lekcye języków naznaczone przez nauczycieli, wprawiając w dobre wymawianie i pisownię. Uczniowie klasy 4-tej uczyli się dodatkowo początków geometryi i 4-ch pierwszych ksiąg Euklidesa.

Przechodzimy do nauk dawanych w „kursach". W kursie pierwszym:

1) Wojciech Jarkowski wykładał geometryę Euklidesa, „podania" (twierdzenia) wybrane z Archimedesa o wymiarze figur i trygonometryę płaską z zastosowaniem do działań na gruncie. Tenże dla „Szkoły Jeometrów" i innych uczniów wykładał w całej rozciągłości geometryę praktyczną, tłómaczył prawa krajowe o granicach i „proces" (procedurę) tym prawom właściwy, dodawał wreszcie wiadomości historyczne o granicach i o pisarzach dawnych, zawartych w dziele

„Rei agrariae Scriptores“ wydania Goesiusza 1674. Podczas wiosny wszyscy bez wyjątku uczniowie geometryi uczyli się na polu obchodzić z narzędziami geometrycznemi, kreślić mapy i plany.

2) Mikołaj Czarnocki dawał algebrę, po wyłożeniu której tłómaczył naturę i własności funkcyj przestępnych. Tenże wykładał logikę Condillaca, łącząc w tej mierze potrzebne uwagi wyjęte z innych celniejszych pisarzów. Dla uczniów zaś pierwszoletnich kursu II. objaśniał własności linij krzywych „różnego porządku przez zrównania algebraiczne“ i teoryą granic, według dzieła Śniadeckiego.

3) Jędrzej Szemega dawał lekcye rysunków topograficznych i sposób kreślenia map geograficznych, ekonomicznych i sytuacyjnych.

4) Karol Mirowski wykładał jak dawniej geografię i historyę.

5) Ks. Alojzy Osiński (prof. literatury i zastępca profesora wymowy po Euzebiuszu Słowackim, który uczył wymowy od r. 1807 do końca r. 1810), podawał w I-ym kursie prawidła retoryki i tłómaczył wzorowych pisarzów; w kursie II-gim prawidła rozmaitych rodzajów poezyi i tłómaczył wzorowych poetów; w kursie III-cim rozbierał autorów łacińskich. Właściwego wykładu dziejów literatury polskiej lub łacińskiej nie było; tylko przy objaśnianiu różnych gatunków poezyi i prozy wymieniał i rozbierał nauczyciel główniejszych autorów, przyczem nie zaniedbywał wyliczać i oceniać przekładów na język polski. Oto dla przykładu schemat lekcyi „literatury łacińskiej i polskiej“: O mówcach (rozbiór mów Cycerona, Demostenesa, Pliniusza).; o dziejopisach (Liwiusz, Salustyusz, Cezar, Tacyt, Kurcyusz, Justyn, Florus, Pa-

terkul); o życiopisach (Nepos, Swetoniusz); o listach (Cyceron, Pliniusz); o gramatykach (Seklucyan, Meniński, Statoryusz, Wojno, Szylarski, Trąbczyński, Kopczyński); o dziełach filozoficznych (Cyceron, Seneka). Uczniowie, wprawiając się w styl, pisali po polsku listy, wiersze, rozprawy w rozmaitych przedmiotach, po łacinie listy i przekładali mowy.

6) Jan Aleksandrowski, podzieliwszy uczniów kursowych na dwa oddziały, w 1-szym dawał prawidła języka rosyjskiego i wprawiał do tłómaczenia, w 2-gim historyę narodu, oświecenia i języka rosyjskiego, wprawiając także do czytania ruskich rękopismów w oryginałach dawnych; dzieła zaś nowszych pisarzów rosyjskich w każdym rodzaju rozbierał i stosował do ogólnych prawideł wymowy i poezyi z przyłączeniem „uczonego życia każdego pisarza“. Uczniowie pisywali listy i rozprawy.

W kursie II-gim: 7) Jan Łuczyński wykładał fizykę i geografię fizyczną podług dzieła Jana Śniadeckiego. Tenże uczył trygonometryi kulistej w „niedziele i święta“.

8) Michał Ściborski (dyrektor) rozwijał teoryę rachunku dyfferencyalnego i integralnego. Tenże w każdą niedzielę domowym dozorcom uczniów wykładał „zasady powszechne mowy ludzkiej, biorąc w pomoc Sicarda i Condillaca“.

9) Michał Choński objaśniał prawo przyrodzone, polityczne i narodów z historyą tychże praw.

10) Hipolit Gerlache, podzieliwszy uczniów na dwa oddziały, w 1-szym wprawiał w czystą i właściwą deklamacyę utworów francuskich i wykładał istotniejsze prawidła wymowy (retoryki) franc., w 2-gim przedstawiał historyę literatury francuskiej.

W kursie III. oprócz wyżej wspomnianych, wykładali:

11) Tadeusz Szostakowski — chemię według dzieła Jędrzeja Śniadeckiego.

12) Wilibald Besser — zoologię, a w ostatnim kwartale botanikę (codziennie od 6 do 7 z rana.

13) Ignacy Ołdakowski — instytucye Justyniana.

14) Michał Jurkowski — historyę literatury greckiej w języku łacińskim według świeżo wtedy ogłoszonego dzieła Grodka.

Z powyższego przeglądu widzimy, że liczba nauczycieli, ustawami gimnazyum wołyńskiego przepisana, prawie zupełnie się wypełniła (18 na 19), a jednakże przedmiotów niektórych, ustawami przepisanych, nie uczono; a mianowicie anatomii z fizyologią, chirurgii i rolnictwa. Wynikło to stąd, że Czacki ustanowił po dwu nauczycieli na język i literaturę rosyjską i francuską, gdy tymczasem ustawy po jednym tylko przeznaczały; zrobiła się tym sposobem szczerba w funduszach, tak iż o wprowadzeniu owych wakujących katedr nie było można myśleć. Natomiast wprowadził jeszcze Czacki pozaplanową naukę języka angielskiego, wykładanego przez Jerzego Forstera... Bądźcobądź gimnazyum wołyńskie, lubo nie posiadało wielu katedr w uniwersytecie wileńskim istniejących, miało inne, wówczas w zakładzie tym nieobsadzone; takiemi były katedry: historyi i prawa krajowego, gramatyki powszechnej, mechaniki praktycznej.

Obok właściwego gimnazyum istniała „Szkoła Mechaników“. W niej uczyli: Franciszek Miechowicz, podzieliwszy uczniów na 3 oddziały, wykładał: geometryę Euklidesa, teoryę mechaniki „stosowaną do równowagi i biegu ciał ziemskich a w szczególności

do 8 machin pojedyńczych"; 2) Franciszek Zaliwski stosował teoryę mechaniki, hydrauliki i hydrostatyki do machin odpowiednich; uczniowie codziennie wprawiali się do robienia planów, a następnie do tworzenia modelów w całości i w części, tudzież do robienia planów z budownictwa wiejskiego; nakoniec przy warsztatach różnych rzemiosł uczyli się sposobów ich robienia i użycia.

O „Szkole ogrodniczej", tej ulubionej Czackiego instytucyi, zapowiedzianej już stanowczo luźnym drukiem w połowie 1809 r. ogłoszonym, powiada Niemcewicz w parę lat potem, iż „zaprowadzoną nie jest".

Wreszcie co się tyczy talentów i sztuk gimnastycznych mieli uczniowie gimnazyum wołyńskiego następnych przewodników: 1) Józefa Pitschmana, który wykładał prawidła i wprawiał do praktyki rysunków; dla poczynających przewodnikami byli dwaj pomocnicy; 2) Jana Lanzi'ego, który uczył grać na skrzypcach; 3) Jana Rollego, który dawał lekcye śpiewu, gry na klawikordzie i dętych instrumentach; 4) Franciszka Szlancowskiego, który uczył tańców; 5) Karola Audibert'a, który uczył jazdy konnej; 6) Szczepana Roussel'a, który wprawiał w fechtunek. Wszystkie lekcye (z małymi wyjątkami) odbywały się codzień.

Biblioteka gimnazyalna otwarta była cztery razy na tydzień. Lekarzem gimnazyalnym był Siedelmeier. Kaznodzieją ukochany przez uczniów ks. Prokop Krzywicki, kapucyn. Liczba uczniów wynosiła 693.

XI.

Czacki zajęty rozwinięciem ukochanej swej szkoły w Krzemieńcu, mniej zwracał uwagi na inne szkoły

w trzech powierzonych sobie guberniach. Gdybyśmy mogli w zupełności zaufać rozdrażnionemu zdaniu Śniadeckiego, szkoły te „niegdzś kwitnące“ przedstawiłyby się nam za czasów Czackiego jako „opuszczone, zaniedbane i nawet zniechęcone“. Tak źle jednak niewątpliwie rzeczy się nie miały. Wizytator mógł się w usprawiedliwieniu swojem przed komisyą żytomierską oprzeć na cyfrach, gdy miał dowieść, że działalność jego w trzech guberniach bezowocną nie była. Przykładowo podaje on tylko gubernię wołyńską, zapewniając, że o gub. podolskiej i kijowskiej podobneż wiadomości złożone być mogą; w zestawieniu atoli cyfr dopuszcza się gmatwaniny, której rozplątać nie mogąc, musimy ją powtórzyć, ażeby podać liczbę szkół i uczących się w owym czasie na Podolu, Wołyniu i Ukrainie.

Czacki zastał na Wołyniu w szkołach powiatowych uczniów 1451; w roku zaś 1810 było ich w 11 szkołach nietylko wołyńskich (Krzemieniec, Żytomierz, Owrucz, Włodzimierz, Ołyka, Lubar, Międzyrzecz, Dąbrowica, Kamieniec, Bar, Winnica) 2351, w 24-ch szkołach parafialnych zastał uczniów 125, w r. 1809 w 157 takichże szkołach[1]) było uczniów 646. Prócz pomnożenia liczby szkół i uczących się, porobił Czacki zmiany w składzie nauczycieli, zwiększył karność szkolną. Faktem jednakże było, że wraz z mnożącemi się trudnościami i zajęciem się szkołą krzemieniecką, zapomniał o pierwotnym planie podniesienia w każdej gubernii szkoły jednej na wyższy stopień, zapomniał o założeniu gimnazyum w Winnicy i Kijo-

[1]) Na początku r. 1812 podał Czacki cyfrę szkół parafialnych „dobrze opatrzonych“ 179 (Mowa w Kijowie miana).

wie. Potrzebę tego przypominał mu uniwersytet i kurator.

Szczególniej Kijów zajmował silnie Czartoryskiego, który niemal wraz z otwarciem gimnazyum wołyńskiego ustawicznie przywodził na pamięć Czackiemu bezwarunkową konieczność otwarcia podobnego zakładu w stolicy Rusi. Jeszcze 20 stycznia 1805 pisał Czartoryski do Czackiego, że młodzież rosyjska ma w całym wydziale naukowym wileńskim bardzo mało miejsc do kształcenia się; że w guberniach białoruskich znajdują się wprawdzie gdzieniegdzie szkółki rosyjskie, ale są one w bardzo małej liczbie i w bardzo złym stanie. W takiem położeniu rzeczy gimnazyum kijowskie byłoby jedną z najznaczniejszych szkół dla młodzieży rosyjskiej i zdaje się, „iż byłoby tem większą niesprawiedliwością pozbawiać ją tej korzyści, że miasto Kijów znajduje się oddawna pod panowaniem rosyjskiem“. Gdyby niektórzy obywatele podolscy chcieli oddawać dzieci swoje do Kijowa — pisze dalej kurator — „nie widzę w tem żadnej nieprzyzwoitości, byleby to gimnazyum dobrze urządzone było; owszem dzieci mieliby (!) to w zysku, iż z łatwością mogliby się (!) nauczyć języka rosyjskiego, którego znajomość tak wiele jest teraz potrzebną“. Czartoryski tak dalece nie wątpił o rychłem otwarciu gimnazyum w Kijowie, że już się starał o zdolnych nauczycieli i imiennie ich Czackiemu wyliczał. D. 17 marca znów mu przypomina, żeby się porozumiał z gubernatorem kijowskim, Pankratjewem, „który poradą i znaczeniem swojem uprzątnąć może tysiączne zawady“; wzmiankował nadto, że i drugie gimnazyum w gubernii kijowskiej możnaby utworzyć ze szkoły humańskiej. D. 29 czerwca donosi, że minister

oświecenia, Piotr Zawadowski, pojechał do Kijowa, poleca więc Czackiemu, ażeby udał się tamże „dla ułożenia się z nim względem sposobów do rychłego założenia gimnazyum“; dodaje nadto, iż gubernator kijowski pisał mu o gotowości magistratu kijowskiego ofiarowania „na początkowe zaprowadzenie szkoły“ kapitału 10.000 rs., wskazuje miejsce najdogodniejsze „klasztor bratski, gdzie się utrzymuje szkoła pod nazwą akademii“, którą gubernator chciałby z przyszłem gimnazyum połączyć, ażeby z czasem założyć w Kijowie uniwersytet. Gdy Czacki doniósł Czartoryskiemu, że obywatele gubernii kijowskiej ofiarowali znaczną sumę na założenie gimnazyum w Kijowie z wykładem polskim, kurator zrobił mu uwagę (10 kwietnia 1806), że w takim razie nie można tej ofiary łączyć z funduszem wyznaczonym przez magistrat, gdyż ten domagał się wykładu rosyjskiego; nadto wedle ukazu 21 marca 1805 — mówi Czartoryski — w Kijowie ma być założony korpus kadetów dla 9-ciu pobliższych gubernij, z których większa część jest dawna rosyjska (Czernichowska, Pułtawska, Katerynosławska, Chersońska i Taurydzka); zalecono zaś, żeby gimnazya znajdowały się ile możności najbliżej, gdyż w nich kadeci przez lat 5 pobierać będą naukę; dla rządu nie może być rzeczą obojętną, ażeby w Kijowie, gdzie w liczbie 400 kadetów większa część będzie młodzieży rosyjskiej, uczono w gimnazyum po polsku. „Prawda — dodaje kurator — iż JW. minister Zawadowski oświadczył mnie, iż w mieście samem Kijowie i gubernii t. n. język polski jest więcej używany aniżeli rosyjski; z tem wszystkiem daleki bardzo jest on od tego, ażeby miał się zgodzić, iżby

nauki w gimnazyum kijowskiem zupełnie po polsku były dawane. Minister uważa, iż ofiara obywatelów kijowskich zasługuje na sprawiedliwe względy, lecz tak z powodu, iż korpus kadetów ma być założony w Kijowie, jako też, że obywatelstwo żąda, ażeby suma 5.700 rs. przeznaczona ze skarbu na utrzymywanie gimnazyum złączona była z ich ofiarą, uznaje potrzebnem, ażeby część kursów dawana była po rusku. Jeśliby obywatele nie chcieli nic odstąpić od oświadczonego w uchwale swojej żądania, rząd możeby się znalazł w konieczności albo utrzymywać drugie gimnazyum rosyjskie w Kijowie, albo li też przenieść szkołę wojskową z tego miasta do innego. W pierwszem zdarzeniu fundusze obywatelów zostawione byłyby samym sobie, w drugiem obywatele gub. wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej nie małoby stracili na tem, gdyby musieli posyłać daleko dzieci swoje do szkół wojskowych".

Przez dwa lata inne sprawy odciągnęły uwagę Czartoryskiego od myśli o gimnazyum kijowskiem. Dopiero w r. 1808, gdy Czacki doniósł kuratorowi, iż obywatele kijowscy chcą przyłączyć ofiarę swoją do składek na gimnazyum wołyńskie, co było potwierdzone uchwałą delegacyi z 24 stycznia, przesłaną przez marszałka Kozłowskiego, Czartoryski odpisuje (7 maja), że zdaniem ministra gimnazyum wołyńskie, mając dostateczne z siebie fundusze, nie potrzebuje nic wcale albo bardzo mało wsparcia do swojego utrzymania się; w Kijowie zaś wydatki będą znaczne z powodu, iż tam po raz pierwszy gimnazyum się wprowadzi, inaczej zaś zaspokoić ich nie można tylko z funduszu nadzwyczajnego, uchwalonego przez oby-

wateli. Ze swej zaś strony Czartoryski dodaje: „Jakożkolwiek pożyteczną jest rzeczą wynieść jednę szkołę nad inne i postawić ją na tak wysokim stopniu, aby światło od niej na kilka razem prowincyj rozchodzić się mogło, pożytek ten nie będzie zupełnie doskonały, jeżeli nie ułatwimy każdemu mieszkańcowi sposobności edukowania dzieci w blizkości i nie zachowamy przyzwoitego stopniowania pomiędzy wyższemi i niższemi szkołami. Im bardziej wołyńskie gimnazyum w składzie swoim różnić się będzie od drugich i przybliżać się do akademii, tem większa czuć się da potrzeba podniesienia w równej proporcyi szkół początkowych, aby młodzież, odbywszy w nich nauki, z pożytkiem doskonalić się mogła w Krzemieńcu... Złe robi wrażenie w tutejszej stolicy, iż my, mając w naszym wydziale jedno starożytne miasto rosyjskie, z tak wielu względów warte szczególnej uwagi, żadnegośmy dotąd nie zrobili kroku dla doskonalszego w niem urządzenia edukacyi publicznej“. Zauważywszy następnie, że aby złączyć fundusze dwu gubernij, potrzeba zezwolenia jednomyślnego obywatelów, gdy tymczasem marszałek powiatu kijowskiego Butowicz zaniósł protest przeciwko uchwale owej delegacyi, kończy radą, iż „chyba po zupełnem zaspokojeniu potrzeb miasta Kijowa i obywatelów tej gubernii, resztę funduszów, jeżeli obywatele usilnie tego żądać będą, można złączyć z funduszami wołyńskiego gimnazyum“.

W rok potem blizko (11 marca 1809) Czartoryski przypomina Czackiemu, że w Kijowie „gwałtownie założyć potrzeba gimnazyum“. Pomimo tych tak silnych nalegań, Czacki zwlekał z otwarciem gim-

nazyum kijowskiego bardzo długo, gdyż dopiero 30 stycznia 1812 r. przyszło ono do skutku [1]).

Odbyło się ono z nadzwyczajną uroczystością. Gubernator wojenny kijowski, Michał Miłoradowicz, na którego ręce przyszła ustawa najwyżej zatwierdzona dla gimnazyum kijowskiego, zaprosił metropolitę kijowskiego, rząd gubernialny, marszałka gubernialnego i powiatowych, gimnazyum i oficyała rzymsko katolickiego, a przez nich władze sądowe i publiczność. Czacki zaś zaprosił od siebie „wszelkie władze duchowne, wojskowe i cywilne, oraz akademię duchowną i magistrat kijowski". Uroczystość rozpoczęła się o 9 zrana. Dyplom monarszy znajdował się w domu gubernatora wojennego; więc wszyscy zaproszeni tam się udać musieli, aby po przemówieniu Czackiego dyrektor gimnazyum mógł dyplom ten zabrać. Od gubernatora udano się w przepisanym z góry po-

---

[1]) M. Czajkowski przechował anegdotę o sposobie, w jaki Czacki dokazał swego z feldmarszałkiem Gudowiczem, z którym miał się porozumieć co do gimnazyum kijowskiego. Gudowicz był to syn Ukrainy, dumny wzięciem Anapy, fortecy na piasku, i szlachectwem polskiem — zaporoskiem. Czacki przedstawił się jako szlachcic polski, nie zaś urzędnik rosyjski. W rozmowie feldmarszałek zapytał: „Ludzie mówią, żeś ty rozumny, umnica, powiedz, kto dziś jest najznakomitszym wojownikiem tego świata?" Czacki w mig odpowiedział: „Ludzie mówią, że Napoleon, a ja utrzymuję, że zdobywca Anapy". Powstał feldmarszałek, uściskał Czackiego. Najlepszemu malarzowi w Kijowie kazał wymalować jego portret. I dotąd jeszcze — mówi Czajkowski — w Czeczelniku, w zamku Gudowiczów, wiszą dwa portrety: jeden feldmarszałka z podpisem pierwszego wojownika świata, drugi Czackiego z podpisem: pierwszy umnica świata. („Dziwne życia Polaków i Polek", 1865, str. 48).

rządku (oddzielnie w paradnej karecie wieziona była ustawa), a najprzód do cerkwi Peczerskiej Ławy, gdzie „dyplom złożono na przygotowanym stole po prawej ręce przy drzwiach świętych przed obrazem Chrystusa“. Po odprawieniu nabożeństwa przez archimandrytę Serapiona, całe zgromadzenie udało się do domu gimnazyalnego; po poświęceniu wody, Czacki miał mowę, w której przedstawiwszy dzieje dawne Kijowa i wspomniawszy z uwielbieniem starania rządu o szerzenie oświaty, zwrócił się następnie do znakomitości urzędowych, obecnych na tym akcie, do obywateli, mieszczan, przedstawicieli akademii duchownej, do dyrektora i nauczycieli gimnazyum i młodzieży, już to dziękując za ofiarność na rzecz wychowania, już to przypominając obowiązki.

Najdonioślejszym niewątpliwie ustępem tej mowy był zwrot do nauczycieli: „Na ważnem jesteście stanowisku — mówił Czacki — nowi i dawni Rosyi synowie są uczniami. Szanujcie sławę i nieszczęścia nawet zgasłej ojczyzny jednych, wielbcie ojczyznę drugich. Okazujcie, że w tem wspólnem już państwie jest monarcha, którego dobroczynność rozkazuje naszej wdzięczności. Ułatwiajcie między uczniami szczerej przyjaźni związki. O kilka kroków odległości w jednej świątyni w tem mieście spoczywają Konstantyn książę Ostrogski i Romansow Zadunajski. Rzucajcie kadzidło cieniom obudwóch. W przestrzeni wieków wielcy ludzie zachowują między sobą braterstwo. Stawają oni przed tronem Przedwiecznego. Każdy mężny obrońca, każdy cnotliwy i umiejętny poradnik własnej ojczyzny ma przed Jego sprawiedliwością zasługę. Przyrodzenie, dawniejsze od cnót i zbrodni ludzi, gładzi władzą czasu mogiły, te pomniki nie-

szczęsnych niezgód. Nadużywał szczęścia Polak w Rosyi, nadużywał szczęścia Rosyanin w Polsce. Taki jest los wojen. Starajcie się stawiać i zdobić ołtarz zgody i jedności. Niech nieufność i nieprzyjaźń się nie zbliżą Niech cały ród Słowian czci Aleksandra. Przez oświeconą dobroć godzien jest wiecznie panować sercom. Pracujmy, aby monarchy naszego sprawiedliwość bezpiecznie wyrzec mogła, że my tych prowincyj mieszkańcy posiadamy jego przywiązanie, a zasługujemy na jego szacunek“.

Młodzieży przypomniał Czacki potrzebę gruntownego ukształcenia, za pośrednictwem którego można położyć prawdziwe względem kraju zasługi, przypomniał, że chełpienie się z zasług przodków nie ma żadnego znaczenia, gdyż w życiu społecznem, nie w historyi pożytecznym okazać się trzeba: „Obrazy przodków — mówił — wtenczas prawdziwie zdobią, kiedy szacunek powszechny potomka złączy z dziadami. Wolno, użytecznie i szlachetnie jest pięknymi czynami zaczynać ród świetny. Zasługi tak powinny być trwałe, jak jest ród człowieczy“.

Czackiemu odpowiedział marszałek gubernialny Potocki; potem przemawiali: Adam Rzewuski i dyrektor gimnazyum, Myszkowski. Zakończyła się uroczystość poświęceniem pokojów gimnazyalnych, pobłogosławieniem domu gimnazyalnego „świętym obrazem“ a muzeum „Księgą Pisma św.“ Nastąpił potem obiad u Czackiego, bal i kolacya u gubernatora. Wieczorem całe miasto było oświetlone a nad domem gimnazyalnym jaśniał transparent.

O organizacyi, składzie nauczycieli i innych szczegółach pedagogicznych w gimnazyum kijowskiem nie posiadamy wiadomości.

Gimnazyum podolskie w Winnicy otwarte zostało dopiero po śmierci Czackiego, w r. 1814; plan nauk był w niem szczuplejszy aniżeli w gimnazyum wołyńskiem, w każdym jednak razie o wiele szerszy niż w szkołach powiatowych; oprócz nauk zazwyczaj dawanych, wykładano w Winnicy: logikę, prawo, estetykę i matematykę wyższą. (Por. „Wykład nauk i sposobu tychże dawania w Gimnazyum Podolskiem... przez dyrektora.... X. Michała Maciejowskiego... do druku podany“. Berdyczów 1816, str. 95).

XII.

W ostatnich miesiącach życia dwie troski dręczyły serce Czackiego, jedna mniejszej, druga nader wielkiej wagi, bo grożąca obaleniem gmachu, z taką wytrwałością i poświęceniem budowanego.

Od r. 1809 zaprowadzone były przy gimnazyum wołyńskiem „konwikty“ dwojakiego rodzaju: jeden, w którym uczniowie utrzymywani byli bezpłatnie, drugi, zwany „wolnym“, w którym za mierną opłatą (69 rs. 50 kop., biedniejsi 45 rs. 30 kop., a nawet 22 rs. 50 kop.) mieli wszelkie wygody i dozór.

Konwikt bezpłatny powstał częścią z sumy, przez rząd corocznie wypłacanej, częścią z ofiar obywatelskich, częścią wreszcie z opłat uiszczanych przez miasta w celu ukształcenia geometrów i mechaników praktycznych. Zasiłek rządowy, przez Czartoryskiego wyjednany, wynosił rocznie rs. 2970 (119 rs. 50 kop. na osobę); ofiary obywatelskie blizko drugie tyle; miasta dostarczały na utrzymanie 16 uczniów mechaniki. Uczniowie, chodzący do „szkoły jeometrów“ (w liczbie 36), mieli zapewnione od rządu 150 rubli

asygnacyjnych rocznie; ponieważ zaś powierzała im zwierzchność szkolna dozór nad dziećmi i pozwalała dawać korepetycye, mogli wyżyć. Czacki dodawał każdemu z nich 30 rs. asyg. na rok i zaopatrywał ich w „kosztowniejsze potrzeby do nauki“ z ogólnej do rozporządzenia danej mu kasy.

Konwikt wolny, założony „za radą i pomocą“ prefekta, Antoniego Jarkowskiego, służył „dla dzieci obywatelskich średniego majątku“. Konwiktorowie niezupełnie zadawalali Czackiego, jak to widzimy z listów jego do prefekta; 3 stycznia 1811 r. pisze: „Proszę moją troskliwość o konwikta przyjąć nie za wymówkę, bo tej myśli nie miałem, ale widzę mało celujących w konwiktach“; a pod koniec tegoż roku (14 grudnia) znowuż utyskuje: „smutną jest rzeczą, że ja w nich nie widzę tej nadziei, jaką mieć należy“. Niezadowolenie to jednak nie przeszkadzało staraniom o zwiększenie funduszów na utrzymanie bezpłatne i o rozszerzenie tym sposobem ważnej instytucyi. Dlatego też Czacki mocno był rozgoryczony, gdy Jan Śniadecki „wbrew dawniejszemu zdaniu“ swemu chciał rozrzucić konwiktorów po różnych gimnazyach. Zdaniem Czackiego konwikty powinny być tylko w Wilnie i w Krzemieńcu, a to z następnych powodów: 1° ponieważ są to pierwsze (najlepsze) w całym wydziale szkoły, 2° ponieważ jeden duch będzie ożywiał i jeden stopień nauki, 3° ponieważ rozrzuciwszy konwiktorów po gimnazyach, potrzeba ich będzie posłać i do Kijowa i do Białej Rusi, gdzie w języku rosyjskim nauki pobierać muszą. „Gubernia kijowska — dodaje Czacki, pisząc o tym przedmiocie do kuratora, 6 kwietnia 1812 r. — pisała do ministra, że gdy szkoła krzemieniecka jest w wyższym stopniu,

zatem konwiktorowie z tej gubernii, dla większego doskonalenia się, uczyć się powinni w Krzemieńcu. Mógłżem się spodziewać, że tysiąc szlachty ma więcej, i to zgodnej, uwagi na dobro powszechne, niż rektor! (Jan Śniadecki). Tak to nienawiść i chęć szkodzenia nam przynosi okropne szkody oświeceniu. Kocha on język polski, ale kiedy chciał źle uczynić, zapomniał, jaka ziemia go wydała!... Jest uczony, lecz w wielkich sprawach narodu nie można mu pióra powierzać".

Za ważny argument potrzeby skupienia sił, podniesienia gimnazyum do najwyższego stopnia, kształcenia konwiktorów w dwu tylko miastach, podaje Czacki konieczność przeciwdziałania szerzącemu się wpływowi jezuitów białoruskich, którzy wyjednali już sobie wtedy dyplom na akademię połocką. „Mamy — powiada w tymże liście — jezuitów moc, sprawność i wielkie środki przeciwko nam. Cokolwiek uczeni złapanymi zostaną, jak się stało po wprowadzeniu jezuitów zakonu do Polski... W dwu miejscach baczność będzie rozsądniejsza jak w kilku miejscach. Dozór taki nie może być tylko roztropny i delikatny. Myśli nawet nie można wszystkim powierzyć. Potrzeba nam roznosicielów światła i obrony sposobu naszego uczenia".

Wyrazem dbałości o takich „roznosicielów światła" jest ogłoszone przez Czackiego drukiem „Uwiadomienie o konwiktach w Krzemieńcu" (z 1 maja 1812 r.). Autor powołuje tu współobywateli do ofiarności na rzecz konwiktów, przytaczając dla zachęty przykłady takich ludzi, jak Lernet, który dawniejszą swą ofiarę zwiększył do rs. 37500, jak Aleksander Leśnicki, który umierając 23 lipca 1811 r. zapisał

20.000 zł. na fundusz uczniów ubogich „swojego imienia“, jak Klara Łopatyńska, która 10.000 na fundusz dla uczniów z nią spokrewnionych przeznaczyła. Podaje następnie warunki przyjęcia dzieci do konwiktu bezpłatnego: 1⁰ Ten miejsce wakujące w konwikcie osiągnie, kto bądź w Krzemieńcu, bądź w szkole powiatowej choć 2 klasy skończył i „eminencyi“ ma świadectwo. W przypadku równej zdatności, ma pierwszeństwo do umieszczenia w „wolnym“ konwikcie. Potrzebne było świadectwo ubóstwa, odbytej ospy, postępowania moralnego. 2⁰ Na wakacye i święta konwiktorowie odjeżdżać nie mogą. 3⁰ Gdyby jakie znaczne winy w konwiktorze pokazały się i użycie poprawy nie miało skutku, uczeń z konwiktu może być wydalony; również gdyby chroniczna była choroba i o jej uleczeniu doktor powątpiewał. 4⁰ konwiktorzy powinni być przez lat 4 „dozorcami domowymi“; stosownie do chęci kształcą się do służby wojskowej lub cywilnej; dla wielkiej zdatności można skracać lata odsługiwania się, szczególniej gdy uczniowie idą do korpusu inżynierów i artyleryi. 5⁰ kończący nauki konwiktor uroczyście przyrzeka wierność monarsze i ojczyźnie, wdzięczność szkole i obywatelom; jeżeli będzie kiedy majętnym, zobowiązuje się piśmiennie do utrzymywania na swym koszcie jednego ubogiego ucznia w gimnazyum wołyńskiem, w uniwersytecie wileńskim lub w innej szkole wydziału wileńskiego. 6⁰ Co rok 15 września przez trzy lata konwiktorzy przysyłać mieli świadectwa od władz odpowiednich do gimnazyum wołyńs. o swojem postępowaniu. „Póki się będę trudnił wołyńskiem gimnazyum — dodaje Czacki — upewniam, że w miarę możności będę się starał o danie pomocy

tak dobrym uczniom. Zapewne i następcy moi te same zachowają prawidła. Gdyby zaś takowy który uczeń źle się sprawował, po urzędownem doniesieniu, imię jego na czarnej tablicy na zawsze zapisanem zostanie".

Wszystkich konwiktorów bezpłatnych w r. 1812 było 105; w konwikcie „wolnym" było 40. Czacki pragnął, aby i konwiktorzy wolni nie odjeżdżali na wakacye, podczas których korepetytorowie języków i rodowity Francuz w szczególności dbać mieli o wprawianie uczniów w konwersacyę. Starał się też wpłynąć na rodziców, ażeby dzieci w konwikcie wolnym umieszczali, nie uwodząc się fałszywym wstydem, iż tak tanio kosztowało w nim utrzymanie, iż zatem powiedzianoby, że dzieciom żałują. Pożywienie w obu konwiktach jednakowe: śniadanie, obiad, podwieczorek, wieczerza zawsze gorąca.

Niebawem po ogłoszeniu tego „uwiadomienia" wieści o wojnie Francyi z Rosyą rozchodzić się zaczęły. Na Boże Ciało był zjazd liczny w Krzemieńcu. Czacki, wezwany przez Bagrationa do Łucka, wyjaśnił, że zjazd to był zwykły na uroczystość solennie obchodzoną. Bagration przedstawił mu spis 380 wyborowej młodzieży krzemienieckiej z Józefem Czackim (synem Tadeusza) na czele, sporządzony przez gubernatora wołyńskiego Komburleja, jako zdatnych do wojska. Czacki, przejrzawszy spis ten, miał rzec: „Mości książę! uznaję w tym spisie całą niezasłużoną złośliwość ku mnie Komburleja. Monarcha mojej gorliwej wierności tronowi zarząd szkół tej prowincyi i gimnazyum wołyńskiego powierzyć raczył. Zdawałem już sprawę przed jego majestatem z mojego urzędowania i nie zlęknę się zdać raz jeszcze. Rodzice mnie samemu poruczyli los swoich dzieci,

odpowiedzialność za nich poprzysiągłem Bogu, rodzicom i mojemu sumieniu. Mamże tak haniebnie zdradzić zaufanie moich współobywateli? O, nie! Monarcha tego po mnie wymagać nie będzie. Uczniów krzemienieckiego gimnazyum w ręce tylko rodziców oddać powinienem i oddam; ani żadna władza inaczej postąpić zmusić mię nie zdoła. Jesteś książę ojcem i serca twego zapytaj". Bagration, poruszony temi słowy, radził przyśpieszyć egzamin i rozesłać uczniów do domu, wyjechać samemu z Wołynia. Jakoż egzamina r. 1812 odbyły się o wiele wcześniej niż zwykle, bo 12 czerwca; Józef Czacki napełnił serce ojcowskie radością, dostał medal.

Nadszedł rozkaz przeniesienia gimnazyum (dokąd, nie wiemy); Czacki wstrzymał jego wykonanie, zasłaniając się niezwalczonemi trudnościami w dokonaniu tego rozporządzenia wśród niebezpieczeństw wojennych. Gubernator wojenny przystał na to, zalecając mu przesłać uwagi swoje do ministra policyi. Archiwum jednak komisyi sądowo-edukacyjnej było upakowane i gotowe do wywiezienia z polecenia samego Czackiego, który wyjechał z Krzemieńca i przez kilka miesięcy do niego nie zaglądał, bawiąc w Jałowicy, Jaśkowcach, Teofilpolu, Tarnorudzie, Korosteszewie, Łysowidach, Żytomierzu. Zastępcą jego w Krzemieńcu był Filip Plater.

Gdy się zbliżał czas otwarcia gimnazyum, Plater chciał jak zwykle ogłosić prospekt lekcyj. Czacki oparł się temu stanowczo, pisząc do niego: „Póki odpowiedź od ministra nie przyjdzie, otwierać gimnazyum nie można, bo póki ukaz o przeniesieniu trwa, póty szkoły niemasz, a nadto napisawszy, że bez jego woli nie otworzy się szkoła, jakżeż inaczej postąpić...

Inna jest rzecz wstrzymać wykonanie do dalszej wol inna przeistoczyć. Nie będzie rezolucyi za kilka dn znowu sztafetę poślę i o tem doniosę".

Ponieważ jednak niektóre zakłady całkiem prak tyczne, jak szkoła mechaników i geometrów, funkcyc nowały w dalszym ciągu, Czacki nie widział w tei nic niebezpiecznego, jeżeliby się uczniów od przyby cia do Krzemieńca nie odstręczało; „póki nie nap: szemy — dodawał — nie zjadą w wielkiej liczbie' To też pozwalał, żeby nauczyciele przybywającyı uczniom dawali lekcye w oznaczonych godzinach urzędownie jednak otwierać gimnazyum i prospek ogłosić zabronił. Rzeczywiście uczniowie bardzo pc woli się zjeżdżali, tak, że gdy po ukończeniu wojny wolno już było publicznie gimnazyum otworzyć, ze brało się tylko 135 (list Czackiego do Platera 1 stycznia 1813 r. z Brusiłowa). Roztopy i bojaźń wojn w jej skutkach wielu zatrzymywały, jak się domyśla Czacki, który stęskniony za swoją instytucyą ciągl się do Krzemieńca wybierał, ale go interesa najbliż szych, wplątanych w sprawę niedawno zakończone wojny, zmuszały do odbywania bliższych i dalszyc wycieczek. „Sama gorycz ucisków zatruwała chwil jego ostatnie — jak powiada ks. Osiński. — Ciągł przeciwności spotykał na swej drodze. Chcąc się wi dzieć z Czartoryskim, przybyłym na Wołyń, pośpie szył do Dubna; tu gorączka nerwowa, której ataków doznawał już od początków r. 1813, przez sześć dr go męczyła. I wtedy jeszcze myślał o Krzemieńc i pragnął uczniów widzieć przy sobie; wielu pośpie szyło do Dubna. Pomimo starań lekarzy, chorob wzmagana udręczeniami serca i przygnębieniem, w ja kie popadł skutkiem znacznego nadwerężenia majątkı

przemogła siły organizmu tak jeszcze młodego. Śmierć nastąpiła 8 lutego 1813 roku.

Ciało, stosownie do woli zmarłego, przewieziono do Porycka, gdzie 19 lutego odbył się wspaniały pogrzeb, przy nadzwyczaj licznem zebraniu duchowieństwa i obywatelstwa. Kacper Cieciszowski, biskup łucki i żytomierski, wraz z Janem Kantym Podhorodeńskim, biskupem polemońskim, odprawiali żałobne nabożeństwo; ks. Prokop Podgórski, kaznodzieja gimnazyalny, sławił cnoty zmarłego z tekstu: „Pokój i cześć czyniącemu dobrze“; Jan Chołoniewski, marszałek powiatu włodzimierskiego — zasługi jego w dziedzinie wychowania i oświaty.

Pod koniec roku szkolnego wspomnienie założyciela szkoły nanowo było przywołane przez profesora wymowy, ks. Alojzego Osińskiego.

W całym wydziale wileńskim odbywano żałobne nabożeństwa i miewano mowy: w Wilnie wysłużony profesor wymowy, Filip Nereusz Golański, w szkołach lubarskich ks. Ignacy Baszniański itd. Nawet jezuici połoccy złożyli hołd swemu niegdyś przeciwnikowi; ku czci Czackiego miał kazanie ks. Reddig.

Serce Czackiego złożono w jednej z sal gimnazyum wołyńskiego z tym trafnym napisem z ewangelii: „*ubi thesaurus tuus, ibi et cor tuum*“ (gdzie skarb twój, tam i serce twoje).

XIII.

Rzeczywiście przez ostatnie osiem lat życia serce Czackiego wypełnione było gimnazyum wołyńskiem; dzieło przezeń stworzone pochłaniało niemal całkowitą jego działalność; podniesienie szkoły krzemie-

nieckiej do najwyższego szczytu doskonałości stało się celem wszystkich jego usiłowań, przechodzących w wielką, szlachetną namiętność. Z namiętności tej wypłynęły i zalety i wady Czackiego jako pedagoga, szerzyciela oświaty. Nie był on systematykiem pedagogicznym, nie wypowiedział nawet żadnej doniosłej myśli pedagogicznej, którąby wyłączną jego była własnością; w zasadach ogólnych poszedł za realistycznymi (filantropinistycznymi) poglądami wieku XVIII; — ale natomiast, jako człowiek czynu, urzeczywistniał przyswojone sobie ideały wychowawcze. Gimnazyum wołyńskie ukochał głęboką miłością ojcowską; poświęcił dla niego wszystko: majątek, zdrowie, siły umysłowe, naukę wielką, gorliwość nadzwyczajną. Przy jego zakładaniu i stopniowem rozszerzaniu rozwijał całą przebiegłość serca i przenikliwość rozumu, ażeby dla niego pozyskać fundusze, zjednać przychylność, wymusić uznanie. W organizacyi sam wchodził w najdrobniejsze szczegóły, starając się o to, ażeby w szkole jego było wszystko to, czego wymagał postęp nauki i potrzeba kraju, a zarazem wszystko to, czem ognisko domowe uczucia ku sobie pociąga. Chciał, aby gimnazyum jego spełniło jaknajlepiej podwójne zadanie, stawiane przez pedagogikę, wychowania i nauczania, zadanie, które w nowszych czasach rzadko kiedy urzeczywistnionem zostało; chciał, aby wychowaniec tego gimnazyum mógł się stać cnotliwym, światłym i użytecznym krajowi obywatelem, a równocześnie człowiekiem towarzyskim; chciał, aby wychowaniec ten w szkole nietylko się uczył, ale i bawił, aby się nie czuł jednostką tylko w tem wielkiem zbiorowisku, ale członkiem jego mogącym liczyć na przyjaźń, poparcie i pomoc tak, żeby we wspom-

nieniach swoich zwracał się do szkoły z taką niemal tęsknotą, z jaką zazwyczaj zwracamy się do dni dziecinnych, w domu rodzicielskim spędzonych.

Obrawszy na szkołę miejsce stosowne, małe miasto nie nastręczające sposobności do odrywania się od nauki, przejąwszy swym duchem przełożonych i nauczycieli, biorąc sam czynny i gorący udział zarówno w dopomaganiu do pracy jak i w podzielaniu zabaw młodzieży, rozciągnąwszy opiekę rodzicielską nad zdrowiem, utrzymaniem, pracą domową uczniów, pobudzając w nich ciągle uczucia szlachetne, podnosząc nastrój chwil uroczystych w życiu gimnazyalnem do podniosłego tonu, interesując się losami uczniów po ukończeniu szkoły, sprawiał, że wychowańcy gimnazyum wołyńskiego ukochali je istotnie uczuciem synowskiem, czcili i wielbili jego założyciela, a dla siebie wzajem po bratersku byli usposobieni.

Złożyli tego wymowny dowód w 30 lat po śmierci Czackiego, gdy niektórzy pisarze (Henryk Rzewuski, Michał Grabowski) zbyt lekko o jego wyrazili się zasługach; z jakimże to młodzieńczym zapałem stanęli oni w obronie jego pamięci!...

Zasługa gimnazyum nie polega na wydaniu pierwszorzędnych uczonych lub poetów, bo wytwarzanie ich do zadań szkoły, mającej do czynienia z przeciętnemi zdolnościami, nie należy — ale raczej na przygotowaniu do życia zacnego obywateli, kochających nauki, starających się o szerzenie światła na rozmaitych stanowiskach, jakie w życiu dalszem zajmą. Gdybyśmy jednak chcieli koniecznie jakie świetne imię ze wspomnieniem szkoły krzemienieckiej zespolić, toby jedno nazwisko autora „Maryi“, który

za czasów jeszcze Czackiego w Krzemieńcu nauki pobierał, zupełnie było wystarczającem. A co się tyczy ukształconych fachowo ludzi i światłych obywateli, to poważny ich szereg znaleźć można w artykule Dra Karola Kaczkowskiego, pomieszczonym w „Atheneum“ 1845 p. n. „Odpowiedź na list pana kwestarza somnambula“.

Ta wszakże namiętna miłość dla gimnazyum wołyńskiego, która połączyła w tym zakładzie zalety publicznego i domowego wychowania, wywołała też i ujemne objawy w zakresie pedagogicznej działalności Czackiego. Nie można mu wprawdzie robić zarzutu z tego, że lubo uznawał i głosił ważność szkół elementarnych, nie zajął się przecież niemi w praktyce z całą możliwą gorliwością; a nawet w samej ustawie dla tych szkółek uszczuplił ich doniosłość, przeznaczając je głównie dla szlachty ubogiej i mieszczan; na usprawiedliwienie bowiem Czackiego można przytoczyć ówczesne stosunki poddańcze, nadzwyczaj utrudniające wszelkie usiłowania, w kierunku oświaty ludowej podejmowane. Ale było to już błędem, którego uniknąć należało, gdy Czacki nakreśliwszy z początku szeroki plan reorganizacyi wychowania na Rusi, ścieśnił go następnie do szczupłego stosunkowo terytoryum Wołynia, a co więcej jeszcze, do Krzemieńca. W tym względzie postępował on nie jak rozważny pedagog, ale jak namiętny amator. Dla Krzemieńca zakupywał bogaty księgozbiór, zbiory numizmatyczne i mineralogiczne, zaprowadzał ogród botaniczny, przerabiał i ozdabiał gmachy, ażeby gimnazyum ukochane przedstawiało się imponująco. Na te wydatki, jak niemniej na podwyższenie pensyi nauczycielom szły fundusze, pierwotnie na cele wycho-

wania w trzech guberniach przeznaczone, tak że innych szkół nie było z czego uposażyć hojniej; musiały poprzestawać na tem, co rząd wyznaczył. A przecież sam Czacki bardzo słusznie w przedstawieniu do rządu zwrócił uwagę na potrzebę ułatwienia nauki uczniom uboższym; ci ubożsi nie mogli, pomimo wszelkich dogodności, podążać do Krzemieńca i zadawalać się musieli nauką w szkołach powiatowych najbliższych; podniesienie zatem tych szkół powinno było stać na pierwszym planie.

W postępowaniu Czackiego przebija się pewien duch prowincyonalizmu, dążący do tego, ażeby Wołyń zasłynął jako siedlisko nauk i ogłady; skutkiem czego Podole i Ukraina nie doznawały już należytej pieczołowitości ze strony wizytatora trzech gubernij, któremu troskliwość swoją równomierniej okazywać należało. W tym też duchu prowincyonalizmu widzieć musimy po części źródło owego przywiązania do planu nauk zaprowadzonego w Krzemieńcu. Plan ten miał swe odrębności, polegające głównie na połączeniu w jednym zakładzie cech szkoły średniej z cechami uniwersytetu. Zupełnie zadowalającym planu tego nazwać niepodobna; przejście od „klas“ do „kursów“, nie mając żadnego stopniowania, było zbyt gwałtowne, a przypadając na wiek zbyt jeszcze młody (lata 13—14), nie mogło być wielce korzystne. Tylko przy takich staraniach i pomocach specyalnych, jakie były w Krzemieńcu, mógł plan ten przynieść istotny dla uczniów pożytek; w innych szkołach, nie posiadających takich pomocy, okazałby się wadliwym. Czacki jednak, lubo nie był jego samodzielnym twórcą, przywiązał się do niego, jako do znamienia, wyróżniającego gimnazyum wołyńskie, i chciał go, jako takie

znamię wprowadzić do innych szkół, pod jego zarządem zostających.

Te atoli zboczenia szlachetnej namiętności nie mogą przyćmić zasług tego „jałmużnika wielkiego“ w sprawie oświaty, jak go nazwał Jan Chołoniewski, tej duszy czystej i obdarzonej wolą hartowną i wytrwałą, która się pod naciskiem nieszczęść nie łamała, ale nabierając nowej energii w poczuciu obowiązku, szła niezmordowanie ku wytkniętemu wielkiemu celowi. To, co on pisał do ukochanego syna Józefa na kilka lat przed śmiercią, najlepiej może określa jego poglądy, uczucia i dążności: „Los nigdy dla mnie nie uśmiechał się. Od kilkunastu lat publiczne i prywatne przygody ciągłą idą koleją. Opatrzność może położy granicę nieszczęściom, może je zwiększy. Szanujmy wyrok Nieba, a pracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni mieć pomyślność w udziale. Już zbliżasz się do tego wieku, gdzie będziesz poznawał te wszystkie przyczyny, które kraj wymazały z liczby narodów i okropne spuściły klęski... Przekonasz się, że sama cnota jest wszystkiem; ona towarzyszyć winna od pierwszych lat do grobu; ona jedna czyni, że człowiek nie może być zupełnie nieszczęśliwym. Pamiętaj, abyś ziomkom służył. Apatya niech nie ma w twoich oczach cechy cnoty obywatelskiej. Są ludzie, jest ta sama ziemia, która przodków twoich żywiła i ciebie żywi. Jest i będzie wiecznie ten sam Bóg, który współludziom przynosić pomoc i nawzajem ją odbierać każe“ (List do Józefa Czackiego z 2/14 marca 1808 r. Poryck, z autografu). Że w życiu zasady te stosował, pokazuje się z jego działalności publicznej, w najogólniejszem scharakteryzowaniu której wyręczę się pięknemi słowy ks.

Adama Czartoryskiego, najlepszego niewątpliwie w tej mierze sędziego. „Pałała w nim — mówił książę kurator, rozdając medale celującym uczniom krzemienieckim 1 lipca 1818 roku — pałała w nim, jak w mężach starożytności, czysta miłość kraju, cnoty i chwały: równie miał wstręt do nizkich powodów egoizmu; lecz w swej wyniosłej niewinności, wielu jego skrytych i szpetniejszych nie pojmował nawet kształtów Od pierwszej młodości każdy rok życia Czackiego odznaczony był dziełem lub pracą, cnotliwem usiłowaniem lub ofiarą użyteczną. Wewnętrzna moralna siła jakaś niezwalczona bez przerwy nagliła go do pięknych czynów, do poświęcania się, to przyjaciołom, to cierpiącym, to krajowi swojemu, to dobru ludzkości i przyszłych pokoleń; o sobie radzić, swój tylko pielęgnować interes, nie było w jego mocy“. (*Kuryer Litewski*, 1818, Nr. 61).

Spis prasy:

P. Chmielowski: Józef Korzeniowski.

dtto : Zygmunt Kaczkowski.

dtto : Tadeusz Czacki.

DATE DUE			